

ELEKTRYZUJĄCY THRILLER
NAJBARDZIEJ TAJEMNICZEJ BRYTYJSKIEJ AUTORKI

Piękna, trzymająca w napięciu
„Guardian”



DOTYK

CLAIRE
NORTH

Świat Książki

Spis treści

Karta tytułowa Karta redakcyjna Rozdział 1 Rozdział 2 Rozdział 3
Rozdział 4 Rozdział 5 Rozdział 6 Rozdział 7 Rozdział 8 Rozdział 9
Rozdział 10 Rozdział 11 Rozdział 12 Rozdział 13 Rozdział 14 Rozdział
15 Rozdział 16 Rozdział 17 Rozdział 18 Rozdział 19 Rozdział 20
Rozdział 21 Rozdział 22 Rozdział 23 Rozdział 24 Rozdział 25 Rozdział
26 Rozdział 27 Rozdział 28 Rozdział 29 Rozdział 30 Rozdział 31
Rozdział 32 Rozdział 33 Rozdział 34 Rozdział 35 Rozdział 36 Rozdział
37 Rozdział 38 Rozdział 39 Rozdział 40 Rozdział 41 Rozdział 42
Rozdział 43 Rozdział 44 Rozdział 45 Rozdział 46 Rozdział 47 Rozdział
48 Rozdział 49 Rozdział 50 Rozdział 51 Rozdział 52 Rozdział 53
Rozdział 54 Rozdział 55 Rozdział 56 Rozdział 57 Rozdział 58 Rozdział
59 Rozdział 60 Rozdział 61 Rozdział 62 Rozdział 63 Rozdział 64
Rozdział 65 Rozdział 66 Rozdział 67 Rozdział 68 Rozdział 69 Rozdział
70 Rozdział 71 Rozdział 72 Rozdział 73 Rozdział 74 Rozdział 75
Rozdział 76 Rozdział 77 Rozdział 78 Rozdział 79 Rozdział 80 Rozdział
81 Rozdział 82 Rozdział 83 Rozdział 84 Rozdział 85 Rozdział 86
Rozdział 87 Rozdział 88

CLAIRE
NORTH

DOTYK

Z angielskiego przełożył
Tomasz Wyżyński


Świat Książki
wydawnictwo

Tytuł oryginału
TOUCH

Wydawcy
Grażyna Woźniak
Agnieszka Koszałka

Redaktor prowadzący
Beata Kołodziejska

Redakcja
Joanna Popiołek

Korekta
Jadwiga Piller

Copyright © 2015 by Claire North
Copyright © for the Polish translation by Tomasz Wyżyński, 2016

Świat Książki
Warszawa 2016

Świat Książki Sp. z o.o.
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

Księgarnia internetowa: swiatksiazki.pl

Skład i łamanie
Joanna Duchnowska

Dystrybucja
Firma Księgarska Olesiejuk Sp. z o.o., Sp. j.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91

e-mail: hurt@olesiejuk.pl tel. 22 733 50 10
www.olesiejuk.pl

ISBN 978-83-8031-405-4

Skład wersji elektronicznej
pan@drewnianyrower.com

Rozdział 1

Josephine Cebula umierała, choć miałam umrzeć ja.

Dwie kule trafiły ją w klatkę piersiową, jedna w nogę. Na tym powinno się skończyć, lecz zabójca stanął nad konającą dziewczyną i szukał mnie.

Mnie.

Czaiłam się w ciele kobiety o opuchniętych kostkach i wiotkich nadgarstkach. Obserwowałam śmierć Josephine. Zsiniły jej wargi i zbladła skóra; krew wypływająca z rany w okolicy żołądka miała w sobie coś równie nieuniknionego jak niekontrolowana erupcja ropy naftowej. Kiedy oddychała, na jej zębach pojawiały się czerwone bąble, a krew wypełniała płuca. On – zabójca – zaczął odchodzić, obrócił głowę i uniósł pistolet, szukając wzrokiem następnego gospodarza, następnego ciała. Tłum na dworcu przypominał ławicę sardynek uciekających przed rekinem. Biegłam razem z ludźmi, potykając się w niepraktycznych butach, a potem straciłam równowagę i upadłam. Dotknęłam dłonią nogi brodatego staruszka w brązowych spodniach; był siwy i zapewne lubił kołysać na kolanach szczęśliwe wnuki. Miał twarz wykrzywioną ze strachu i próbował uciec, odpychając łokciami nieznanym i uderzając ich pięściami, choć niewątpliwie był dobrym człowiekiem.

W takich chwilach biorę to, co jest pod ręką. Nadawał się.

Zacisnęłam palce wokół jego kostki i skoczyłam,

wślizgując się bezszelestnie w jego ciało.

Chwila niepewności. Przed chwilą byłam kobietą, teraz jestem mężczyzną, starym i przestraszonym. Ale mam mocne nogi i silne płuca; nie przesiadłabym się, gdybym nie była tego pewna. Za moimi plecami rozległ się okrzyk kobiety o opuchniętych kostkach. Zabójca odwrócił się z uniesioną bronią.

Co widzi?

Kobietę, która upadła na schodach, i uprzejmego staruszka pomagającego jej wstać. Noszę białą czapczkę pielgrzyma do Mekki, chyba Kocham swoją rodzinę i w moich oczach jest dobroć, której nie wymazała trwoga. Postawiłam kobietę na nogi i poprowadziłam w stronę wyjścia. Morderca widział tylko moje ciało, ale nie mnie, i odwrócił głowę.

Kobieta, którą byłam przed chwilą, doszła do siebie na tyle, by spojrzeć na twarz nieznanego mężczyzny. Kim jestem? Jak to się stało, że jej pomagam? Nie знаła odpowiedzi, ogarnął ją paniczny lęk – zawyła z trwogi jak wilczyca i szarpnęła się do tyłu, drapiąc mnie paznokciami w podbródek. Wyrwała się i rzuciła do ucieczki.

W górze, w kwadratowym portalu światła na szczycie schodów: policja, dzień, ocalenie.

Z tyłu: mężczyzna z pistoletem, ciemnobrązowe włosy i czarna marynarka ze sztucznej skóry. Nie biegł, nie strzelał, lecz rozglądał się, szukał ciała.

Na schodach krwawiła Josephine.

Kiedy oddychała, z jej gardła dobiegały bulgocące dźwięki, ledwo słyszalne w zgiełku panującym na dworcu.

Moje ciało chciało uciec, cienkie komory starego serca pompowały krew w kościstej piersi. Oczy Josephine napotkały moje spojrzenie, lecz mnie nie widziały.

Zawróciłam. Podeszłam do niej, uklęknęłam, przycisnęłam dłoń do rany najbliższej serca i szepnęłam:

– Wszystko w porządku. Wyzdrowiejesz.

Tunelem nadjeżdżał pociąg. Zdziwiłam się, że nikt nie wstrzymał ruchu, jednak pierwszy strzał oddano zaledwie trzydzieści sekund wcześniej: wszystko działo się błyskawicznie.

– Nic ci nie będzie – szepnęłam do Josephine po niemiecku. – Kocham cię.

Może maszynista nadjeżdżającego pociągu nie zauważył krwi na schodach, matek rozpaczliwie tulących dzieci, kryjących się za szarymi kolumnami i rozjarzonymi automatami sprzedającymi kanapki. A może zauważył, lecz zareagował jak jeź, który widzi nadjeżdżającą betoniarkę

– nie potrafił wykrzesać z siebie oryginalnej myśli, uległ rutynie i zwolnił.

Mężczyzna z pistoletem rozejrzał się po stacji. W górze wyły syreny, w dole hamował pociąg. Nie zobaczył tego, czego szukał, i pobiegł.

Wskoczył do jednego z wagonów, gdy rozsunęły się drzwi.

Josephine Cebula nie żyła.

Wsiadłam za zabójcą do pociągu.

Rozdział 2

Trzy i pół miesiąca przed śmiercią Josephine Cebula powiedziała:
– Pięćdziesiąt euro za godzinę.

Siedziałam na brzegu hotelowego łóżka, przypominając sobie, dlaczego nie lubię Frankfurtu. Po wojnie władze miejskie odbudowały kilka pięknych ulic na znak dumy z historii miasta, ale czas biegł zbyt szybko, potrzeby były zbyt wielkie, toteż odtworzono zaledwie kilometr kwadratowy germańskiego kiczu, by uczcić zaginioną kulturę, historię kojarzącą się z legendami. Resztę stanowi nudna architektura z lat pięćdziesiątych, projektowana przez ludzi potrafiących myśleć tylko w kategoriach linii prostych, zbyt zajętych, by stworzyć coś ciekawszego.

Teraz wśród szarych betonowych ścian siedzą szarzy jak beton dyrektorzy, prawdopodobnie dyskutując o betonie, i we Frankfurcie nie ma nic, co mogłoby się podobać. Jedne z najgorszych piw w Niemczech, najnudniejsze bary w Europie Zachodniej, punktualne autobusy, koszmarnie drogie taksówki na lotnisko, turyści zmęczeni w chwili przyjazdu i zadowoleni w chwili odjazdu.

I w tym otoczeniu Josephine Cebula powiedziała:

- Pięćdziesiąt euro za godzinę. Cena nie podlega negocjacom.
- Ile masz lat? – spytałam.
- Dziewiętnaście.
- A naprawdę, Josephine?
- A ile byś chciał?

Obejrzałam jej sukienkę, która wyglądała na drogą, bo celowe noszenie tak niewielkiej ilości tkaniny musiało oznaczać bardzo modną kreację. Z boku znajdował się zamek błyskawiczny, a sukienka ściśle przylegała do żeber i wypukłości brzucha. Wysokie buty opinały łydki, a pod kolanami tworzyło się niewygodne wybrzuszenie. Obcasy były zbyt wysokie, by dobrze utrzymać równowagę; dziewczyna stała w niepewnej pozycji. Rozebrałam ją w wyobraźni z tego nędznego

stroju, uniosłam jej podbródek, zmyłam z włosów tanią farbę i doszłam do wniosku, że jest piękna.

– Skąd jesteś? – spytałam.

– Co cię to obchodzi?

– Twój akcent nie jest niemiecki. Polski?

– Po co te pytania?

– Odpowiedz na nie i dostaniesz trzysta euro, natychmiast.

– Pokaż.

Wyłożyłam na podłogę między nami sześć szeleszczących banknotów po pięćdziesiąt euro, jeden po drugim.

– Dostaję czterdzieści procent.

– Masz słaby układ.

– Jesteś gliną?

– Nie.

– Klechą?

– W żadnym wypadku.

Chciała obejrzeć pieniądze, zastanawiała się, ile jeszcze mam przy sobie, lecz zdołała nie oderwać ode mnie oczu.

– A potem?

Namyślałam się przez chwilę.

– Podróż – odpowiedziałam w końcu. – Chcę zmienić scenerię.

Masz na rękach ślady po igłach?

– Nie. Oddawałam krew.

Oczywiste kłamstwo wypowiedziane nieprzekonującym tonem, nie musiałam nawet sprawdzać.

– Mogę zobaczyć?

Zerknęła na pieniądze leżące na podłodze. Wyciągnęła ramiona.

Obejrzałam zasinienie w zgięciu łokcia, pomacałam skórę, tak cienką, że zdumiałam się, że jej nie przebiłam, lecz nie zauważyłam innych śladów po zastrzykach.

– Jestem czysta – mruknęła, patrząc mi w oczy. – Jestem czysta.

Puściłam jej ręce. Przycisnęła je do piersi.

– Nie robię głupot.

– Jakich głupot?

– Nie siedzę i nie gadam. Mamy zawrzeć transakcję, to ja

zawrzyjmy.

– W porządku. Chcę twojego ciała.

Wzruszenie ramionami. To nic nowego.

– Za trzysta mogę zostać na noc, ale muszę uprzedzić facetów.

– Nie, nie na noc.

– No to na jak długo? Nie zawieram umów długoterminowych.

– Trzy miesiące.

Parsknięcie. Zapomniała, jak naprawdę brzmi śmiech.

– Zwariowałaś.

– Trzy miesiące – powtórzyłam. – Dziesięć tysięcy euro po zakończeniu kontraktu, nowy paszport, nowa tożsamość i nowy początek w mieście, które wybierzesz.

– I co za to chcesz?

– Powiedziałem: chcę twojego ciała.

Odwróciła twarz, bym nie zauważyła strachu ściskającego jej gardło. Przez chwilę się zastanawiała, u jej stóp leżały pieniądze, na końcu łóżka siedział nieznajomy mężczyzna. Potem:

– Więcej. Powiedz mi więcej, a ja się zastanowię.

Wyciągnęłam dłoń zwróconą ku górze.

– Weź mnie za rękę – powiedziałam. – Pokażę ci.

Rozdział 3

Działo się to trzy miesiące temu.
Teraz Josephine nie żyła.

*

Stacja metra Taksim ma niewiele zalet.

Rankiem wzdłuż Bosforu jadą zdążający do pracy ludzie o zaspanych oczach, obijając się o siebie w mokrych od potu koszulach w zatłoczonych pociągach obsługujących dzielnice Yeniköy i Levent. W metrze roi się od studentek w punkrockowych T-shirtach, krótkich spódniczkach i kolorowych chustach; zmierzają w stronę wzgórza Galata, kawiarni Beyoğlu, sklepów z iPhone'ami i tłustą *pide* na ulicy Siraselviler Caddesi, gdzie drzwi nigdy się nie zamykają i nigdy nie gasną światła za szklanymi witrynami sklepów odzieżowych. Wieczorem matki odbierają dzieci z przedszkoli i wiozą je w podwójnych wózkach, mężowie wracają do domów z teczkami w rękach, a turyści, którzy nie rozumieją, że Stambuł to miasto ludzi pracujących, i interesują się przede wszystkim kolejką szynową, dostają w tłumie zawrotów głowy od woni ludzkiego potu.

Taki jest rytm kwitającego miasta, więc kiedy pociąg metra opuszcza stację Taksim, nikt się nie dziwi, że jedzie nim morderca. Ma pistolet schowany pod czarną sportową marynarką, zwiesił głowę i mocno trzyma się poręczy.

*

Jestem dobrodusznym staruszkiem w białej czapeczce. Mam przystrzyżoną brodę i trochę poplamione krwią spodnie, bo uklękałam obok martwej kobiety. Nic nie świadczy o tym, że minutę wcześniej biegłam przez stację Taksim w strachu o własne życie, może z wyjątkiem nieco nabrzmiałych żył na szyi i lekko spoconej, zaczerwienionej twarzy.

Kilka metrów ode mnie – bardzo blisko, lecz bardzo daleko ze względu na liczbę oddzielających nas ciał – stoi mężczyzna z pistoletem pod marynarką i nic nie wskazuje na to, że przed chwilą z zimną krwią zastrzelił kobietę. Z jego czapeczki bejsbolowej, nasuniętej na oczy, wynika, że jest kibicem GÜngörenspor, drużyny piłkarskiej, której aspiracje zawsze okazują się większe od osiągnięć. Ma jasną cerę, niedawno opaloną tropikalnym słońcem, lecz brąz zaczął już blednąć. Przestrzeń między nami wypełnia około trzydziestu ludzi, którzy kołyszają się w obie strony jak woda w filiżance. Za kilka minut policja zamknie linię do Sanayii. Za kilka minut ktoś zauważy krew na moim ubraniu i nikle czerwone ślady pozostawiane przy każdym kroku.

Nie jest zbyt późno na ucieczkę.

Obserwowałam mężczyznę w bejsbolówce.

On również uciekał, lecz w całkowicie inny sposób. Próbował wtopić się w tłum i rzeczywiście, w czapeczce naciągniętej na oczy i z lekko zgarbionymi ramionami wydawał się normalnym pasażerem, a nie mordercą.

Szłam przez wagon, ostrożnie stawiając nogi między stopami innych ludzi: dziwna, tocząca się w milczeniu gra nieznanym, którzy próbują nie patrzeć sobie w oczy.

Na stacji Osmanbey w pociągu wcale nie zrobiło się luźniej, lecz zapanował jeszcze większy ścisk. W chwili odjazdu morderca patrzył przez okno na czarne ściany tunelu; jedną ręką ścisnął poręcz nad głową, a drugą chował pod marynarką, być może wciąż trzymając palec na spuście pistoletu. Przed wielu laty złamał sobie nos, który później zrekonstruowano. Był wysoki, lecz nie ogromny; pochylał szyję i garbił plecy, by wyglądać na niższego. Szczupły, lecz nie kościsty, muskularny, ale nie masywny, napięty jak tygrys, leniwy jak kot. Potrącił go chłopiec z rakieta tenisową pod pachą, a zabójca gwałtownie uniósł głowę, zaciskając palce pod marynarką. Chłopiec odwrócił wzrok.

Przecisnęłam się obok lekarki wracającej do domu ze szpitalnym identyfikatorem podskakującym na piersi. Z plastikowej plakietki ponuro spoglądała jej twarz, obniżając oczekiwania dotyczące poziomu opieki medycznej w Turcji. Mężczyzna w bejsbolówce znajdował się zaledwie metr ode mnie, miał płaski kark i tuż nad nim wygolone włosy.

Kiedy pociąg zaczął zwalniać, mężczyzna znów uniósł głowę i rozejrzał się po wagonie. Jego spojrzenie padło na mnie.

Chwila. Najpierw kamienne nic, nieznajomi patrzący na siebie w metrze, brak wyrazu lub emocji. Później uprzejmy uśmiech, bo byłam miłym starszym panem z kolejami życia wypisanymi na twarzy. Uśmiechnął się i miał nadzieję, że dam mu spokój. Nawiązał ze mną kontakt wzrokowy, upłynęło kilka sekund. W końcu zerknął na moje ręce, które już unosiły się w stronę jego twarzy, i uśmiech zbladł, bo zobaczył na moich paznokciach rdzawe pasma zaschniętej krwi Josephine Cebuli. Otworzył usta i zaczął wyjmować pistolet z kabury pod pachą, a ja wyciągnęłam dłoń, dotknęłam palcami boku jego szyi i skoczyłam.

*

Chwila zamętu. Stojący przede mną brodaty człowiek z krwią na rękach stracił równowagę, zachwiał się, potrącił chłopca z rakietą tenisową, oparł się o ścianę pociągu, uniósł oczy i zauważył mnie. Pociąg wjeżdżał właśnie na stację Şişli-Mecidiyeköy, a staruszek się wyprostował, wyciągnął palec w stronę mojej twarzy i biorąc pod uwagę okoliczności, wykrzyknął z niezwykłą odwagą:

– Morderca! Morderca!

Uśmiechnęłam się uprzejmie, schowałam z powrotem do kabury do połowy wyciągnięty pistolet i wyskoczyłam na zatłoczony peron przez drzwi, które otworzyły się za moimi plecami.

Rozdział 4

Şişli-Mecidiyeköy to miejsce poświęcone bóstwom globalnego braku oryginalności. Białe centra handlowe sprzedające taną whisky i filmy DVD na temat życia proroka Mahometa, olbrzymie wieżowce przeznaczone dla rodzin na tyle bogatych, by należeć do elity, lecz niedostatecznie bogatych, by żyć w luksusie – Şişli jest dzielnicą światła, betonu i jednolitości. Jednolite bogactwo, jednolite ambicje, jednolity handel, jednolite krawaty i jednolite opłaty za parkowanie.

Gdyby mnie spytano, gdzie najlepiej ukryć ciało mordercy, Şişli nie znalazłoby się na początku listy.

A jednak...

– Morderca, morderca! – dobiega krzyk z pociągu. Słyszę go za swoimi plecami.

Z przodu zdezorientowani ludzie robiący sprawunki, którzy zastanawiają się, co to za awantura i czy im nie przeszkodzi.

Moje ciało nosiło niezłe buty.

Pobiegłam.

*

Centrum handlowe Cevahir, kuszące jak wapień, romantyczne jak opryszczka, mogłoby się znajdować w dowolnym miejscu na świecie. Biała terakota, przeszklone sufity, balustrady z kutego żelaza, geometryczne wzory na posadzkach i złociste kolumnady w pasażach, gdzie oferują swoje towary Adidas, Selfridges, Mothercare, Debenhams, Starbucks i McDonald's. Jedyne ustępstwo na rzecz miejscowej kultury to burgery kofta oraz lody z jabłkami i cynamonem sprzedawane w plastikowych kubeczkach. Na ścianach wiszą niezliczone kamery telewizji przemysłowej, które obracają się powoli, obserwując podejrzanych nastolatków w workowatych spodniach, zamożną matkę w średnim wieku, która zostawiła dziecko z opiekunką i wiezie torby z zakupami w pustym wózku dziecięcym, zmierzając w stronę stoiska

z kosmetykami. Cevahir jest równie islamskie jak świńskie nóżki w galarecie, a jednak pojawiają się tu nawet ubrane na czarno matrony z Feniru. Trzymają za ręce dzieci, próbują pizzy z Pizza Hut w wersji halal i sprawdzają, czy nie potrzebują nowego rodzaju prysznic.

A jednak za moimi plecami zawyły syreny, więc nasunęłam na oczy bejsbolówkę, wyprostowałam plecy i wmieszałam się w tłum.

Rozdział 5

Moje ciało.

Jego właściciel, kimkolwiek był, musiał uważać za normalne, że ma tak bardzo napiętą skórę na łopatkach. Nie miałby z czym porównać swoich odczuć. Gdyby zapytać jego kolegów o łopatki, niewątpliwie odpowiedzieliby, że są normalne.

Czuję się normalnie.

Czuję się sobą.

Gdybym kiedyś porozmawiała z mordercą, którego ciało noszę, poinformowałabym go, że jego wrażenia są błędne.

Ruszyłam w stronę toalety i z przyzwyczajenia weszłam do damskiej.

Pierwsze minuty są zawsze najtrudniejsze.

*

Siedziałam za zamkniętymi drzwiami kabiny w męskiej toalecie i przeglądałam kieszenie mordercy.

Pięćset lir i trzy przedmioty: wyłączona komórka, pistolet w kaburze pod pachą i kluczyki do wynajętego samochodu. Nic więcej, nawet papierka od cukierka.

Brak dowodów nie jest dowodem, ale łatwo zgadnąć, kim jest mężczyzna uzbrojony w pistolet, lecz niemający portfela. Najważniejszy wniosek, który można wyciągnąć, jest następujący: to zawodowy morderca.

Jestem zawodowym mordercą.

Niewątpliwie wysłanym, by mnie zabić.

A jednak to Josephine zginęła.

Siedziałam i zastanawiałam się, jak zabić swoje ciało. Trucizna byłaby łatwiejsza od noża. Proste przedawkowanie odpowiednio toksycznej substancji i mogłabym odejść jeszcze przed pierwszymi oznakami bólu, stać się kimś obcym i czekać, aż zabójca umrze.

Włączyłam komórkę.

W książce telefonicznej nie było żadnych numerów, żadnych śladów, że jest to coś więcej niż aparat tanio kupiony na straganie. Już chciałam wyłączyć komórkę, gdy nadszedł esemes.

Brzmiał: *Kirke*.

Zastanawiałam się przez chwilę, po czym wyłączyłam telefon, wyjęłam baterię i schowałam ją do kieszeni.

Pięćset lir i kluczyki do wynajętego samochodu. Ścisnęłam je w dłoni, poczułam, jak wbijają się w skórę, sprawiła mi przyjemność myśl, że ręka może zacząć krwawić. Zdjęłam bejsbolówkę i marynarkę, lecz spostrzegłam, że widać teraz kaburę i pistolet, owinęłam je zatem niepotrzebnymi ubraniami i wyrzuciłam do najbliższego kosza na śmieci. Opuściłam toaletę w białym T-shircie i dżinsach, po czym weszłam do najbliższego sklepu odzieżowego, uśmiechając się do ochroniarza stojącego przy drzwiach. Kupiłam brązową marynarkę z dwoma suwakami z przodu; drugi z nich nie służył żadnemu zrozumiałemu celowi. Nabyłam również szarą apaszkę i szary wełniany kapelusz, który zasłonił mi twarz.

Przy wielkich szklanych drzwiach prowadzących z galerii handlowej do stacji metra stało trzech policjantów.

Jestem zawodowym zabójcą.

Jestem turystą.

Jestem człowiekiem bez znaczenia.

Przeszłam obok, nie zwracając na nich uwagi.

*

Metro było zamknięte, a wokół zdenerwowanego strażnika zebrał się tłum rozwścieczonych ludzi. To niesłychane, to zbrodnia, zdajecie sobie sprawę, co robicie?! Nawet jeśli zginęła kobieta, dlaczego mamy marnować cały dzień?!

Złapałam taksówkę. Cevahir to jedno z nielicznych miejsc w Stambule, gdzie łatwo znaleźć taksówkę, bo ludzie myślą: „Wydałem tyle pieniędzy, to cóż szkodzi wziąć taksówkę?”. Kierowcy dobrze na tym zarabiają.

Kiedy włączyliśmy się do ruchu, taksówkarz zerknął na mnie

w lusterku i rozpromienił się z zadowolenia, że złowił podwójnego frajera – nie tylko człowieka wracającego do domu z zakupami, lecz również cudzoziemca. Spytał, dokąd mnie zawieźć, i zabiło mu serce ze szczęścia, gdy odpowiedziałam, że na Perę, wzgórze pełne wielkich hoteli, gdzie można liczyć na hojne napiwki od naiwnych turystów oczarowanych Bosforem.

– Turysta, tak? – spytał łamaną angielszczyzną.

– Podróżnik, nie – odpowiedziałam po turecku z idealnym akcentem.

Zaskoczenie na dźwięk rodzimego języka.

– Amerykanin?

– Czy coś z tego wynika?

Moja apatia go nie zniechęciła.

– Kocham Amerykanów – wyjaśnił, gdy pełznąliśmy zatłoczonymi ulicami w godzinie szczytu. – Większość Turków ich nienawidzi – są tacy głośni, grubi i głupi – ale ja ich uwielbiam. Czynią zło tylko dlatego, że rządzą nimi grzeszni ludzie. Moim zdaniem to dobrze, że mimo to chcą być mili.

– Doprawdy?

– O tak. Spotkałem wielu Amerykanów i zawsze są hojni, bardzo hojni. Pragną, by wszyscy ich lubili.

Kierowca nie przestawał gadać, zarabiając dodatkową lirę za każde sto wesołych słów. Pozwoliłam mu mówić i czułam ściętna poruszające się pod skórą moich palców, dotykałam włosków na przedramieniu, długiej szyi i ostrego zarysu szczeki. Kiedy przełykałam ślinę, unosiło mi się i opadało jabłko Adama. Po gardle Josephine wydawało się to dziwne.

– Znam w pobliżu świetną restaurację – wykrzyknął taksówkarz, gdy jechaliśmy wąskimi uliczkami Pery, wyłożonymi kocimi łbami. – Dobre ryby. Niech pan im powie, że pana przysłałem, że uważam pana za miłego gościa, na pewno dadzą panu rabat, nie ma wątpliwości. Tak, właściciel to mój kuzyn, jest tam najlepsze jedzenie po tej stronie Złotego Rogu.

Wręczyłam mu suty napiwek, gdy wysadził mnie za rogiem ulicy, na której stał hotel.

Nie chciałam się wyróżniać z tłumu.

*

W Stambule są tylko dwaj naprawdę popularni patroni: sułtan Sulejman i Atatürk. Imię Sulejmana Wielkiego często występuje w nazwach restauracji, hoteli i budynków, Atatürk to patron portu lotniczego, dworca i kilku centrów handlowych. Fotografia Atatürka ozdabia ścianę za każdą kasą i bankomatem w mieście. Hotel Sułtan Sulejman nie należy do wyjątków, choć obok flagi tureckiej wisi na nim flaga Unii Europejskiej. To gigantyczny gmach we francuskim stylu kolonialnym – koktajle są drogie, pościel świeża, a każda wanna przypomina basen. Mieszkałam tam już wcześniej, w różnych ciałach.

W sejfie w pokoju numer czterysta osiemnaście znajdowało się dziesięć tysięcy euro gotówką, szczelnie zapakowane w folię, oraz paszport należący do Josephiny Kozel, obywatelki tureckiej zameldowanej w hotelu, właścicielki pięciu sukienek, trzech spódnic, ośmiu bluzek, czterech piżam, trzech par butów, jednej szczotki do włosów, jednej szczoteczki do zębów. Szczęśliwcem byłby pracownik hotelu, który zdołałby otworzyć sejf i przywłaszczyć sobie nagrodę przeznaczoną dla Josephine Cebuli, pochowanej przez policję w anonimowym grobie.

Nie zabiłam Josephine.

To ciało zabiło Josephine.

Łatwo byłoby je okaleczyć.

W hotelu nie pojawiła się jeszcze policja. Jeszcze nie zidentyfikowano ciała Josephine, lecz pojedynczy klucz z drewnianą przywieszką w końcu doprowadzi policjantów do tego pokoju. Pojawia się tutaj w białych plastikowych fartuchach i z plastikowymi torebkami, po czym znajdują ładne rzeczy, które kupiłam, by podkreślić naturalne wypukłości mojego,

jej,

ciała, modny podarunek na pożegnanie.

Czas przed przybyciem policji należał do mnie.

Zastanawiałam się, czy nie iść do pokoju Josephine i nie odzyskać zdeponowanych tam pieniędzy – moje pięćset lir szybko się kurczyło –

lecz rozsądek przemawiał przeciwko takiej decyzji. Gdzie miałam zostawić swoje obecne ciało, pożyczwszy ciało sprzątaczkii?

Zamiast tego zeszłam betonową rampą na parking, jeszcze bardziej pozbawiony wyrazu niż Starbucks w centrum handlowym Cevahir.

Wyjęłam z kieszeni kluczyki do auta, po czym ruszyłam przez podziemia hotelu, szukając na przednich szybach i tablicach rejestracyjnych nalepki wypożyczalni samochodów. Naciskałam guzik otwierania drzwi w pobliżu wszystkich prawdopodobnych wozów i bez większej nadziei czekałam na zapalenie się migaczy.

Ale zabójca okazał się leniwy.

Przyjechał za mną do hotelu i skorzystał z parkingu.

Na trzecim piętrze podziemi mrugnęły do mnie żółte światła srebrzystoszarego nissana. Dotarłam do celu.

Rozdział 6

Samochód wynajęty przez mężczyznę, który próbował mnie zabić.
Otworzyłam bagażnik kluczykiem znalezionym w jego,
mojej
kieszeni i zajrzałam do środka.

Dwie czarne sportowe torby, jedna większa, druga mniejsza.

Mniejsza zawierała białą koszulę, parę czarnych spodni, plastikowy płaszcz przeciwdeszczowy, dwie pary szarych skarpetek i kosmetyczkę. Kiedy wyjęłam plastikowe dno, znalazłam dwa tysiące euro, tysiąc tureckich lir, tysiąc dolarów amerykańskich i cztery paszporty. Niemiecki, brytyjski, kanadyjski i turecki. Choć nazwiska stale się zmieniały, fotografia przedstawiała moją twarz.

Druga, znacznie większa torba zawierała wyposażenie zawodowego zabójcy. Pudełko ze starannie spakowanymi nożycami i złowrogimi ostrzami służącymi do walki, lina, taśma klejąca i sztywne bawełniane bandaże, dwie pary kajdanek, beretta kalibru dziewięć milimetrów, trzy zapasowe magazynki oraz zielona torba z lekarstwami, poczynając od trucizn, a kończąc na środkach uspokajających. Nie bardzo wiedziałam, co myśleć o obcisłym kombinezonie z lycry osłaniającym całe ciało, grubych gumowych rękawicach i hełmie przeciwichemicznym z plastikową osłoną na oczy.

O mało nie przeoczyłam wypchanej szarej teczki wciśniętej do wewnętrznej kieszeni torby, ale suwak błyskawiczny przyciął jej narożnik i dostrzegłam jej kształt na tle czarnego wnętrza torby. Otworzyłam teczkę i prawie natychmiast znów ją zamknęłam.

Zawartość wymagała większej uwagi, niż mogłam jej w tej chwili poświęcić.

Zatrzasnęłam bagażnik, wsiałam do samochodu, poczułam wygodne krzywizny siedzenia, poprawiłam kąt lusterek, wsadziłam rękę do schowka na rękawiczki, gdzie znalazłam tylko mapę drogową północnej Turcji. Uruchomiłam silnik.

*

Choć po kimś tak starym jak ja można by się spodziewać czegoś zupełnie innego, zupełnie nie jestem staroświecka.

Mieszkam w ciałach, które są młode, zdrowe, interesujące, pełne energii.

Posługuję się ich iPodami i iPhonami, tańczę z ich przyjaciółmi, słucham ich płyt, noszę ich ubrania, jem potrawy z ich lodówek.

Ich życie jest moim życiem, a jeśli młodziutka dziewczyna, w której ciele mieszkam, używa skomplikowanych mikstur na trądzik, naśladowuję ją, bo zna swoją skórę lepiej ode mnie, wie, co nosić, a czego nie nosić. Przede wszystkim idę z duchem czasu.

Żadne z tych doświadczeń nie przygotowuje człowieka do prowadzenia auta w Turcji.

Turcy nie są złymi kierowcami.

Tak naprawdę można utrzymywać, że są absolutnie fantastycznymi kierowcami, bo na autostradzie Otoyol-3 do Edirne można przeżyć tylko dzięki błyskawicznemu refleksowi, znakomitym umiejętnościom i bezwzględnej determinacji. Nie chodzi o to, że kierowcy nie wiedzą, czym są pasy ruchu – kiedy zostawiają za sobą stolicę i otaczają ich niskie wzgórza wznoszące się wzdłuż brzegu morza, otwarta przestrzeń wyzwala w nich zwierzęce instynkty. Naciskają pedał gazu do dechy, przez otwarte okno wpada wiatr i chodzi tylko o to, by pędzić, pędzić, pędzić do przodu!

Zwykle jeżdżę w spokojniejszy sposób.

Nie dlatego, że jestem staroświecka.

Po prostu nawet kiedy jestem najbardziej samotna na najciemniejszych drogach, zawsze wiozę pasażera.

Rozdział 7

Najbardziej przerażająca jazda w moim życiu.

Był 1958 rok, przedstawiła się jako Peacock i szepnęła mi do ucha: „Chcesz pojechać w jakieś spokojne miejsce?”. Natychmiast się zgodziłam. Fajny pomysł.

Pięć i pół minuty później siedziałam za kierownicą limuzyny lincoln baby z otwartym dachem. Pędziła w ryczącym wietrze przez góry Sacramento niczym orzeł w czasie tornada, a ja kurczowo ścisnęłam deskę rozdzielczą i spoglądałam w przepaście uciekające przed kołami samochodu.

– Kocham to zasrane miasto! – wrzasnęła. Gdybym czuła coś innego niż ślepa trwoga, mogłabym powiedzieć coś dowcipnego. – Kocham tych kurewskich ludzi! – krzyknęła. Nadjeżdżający z przeciwka chevrolet gwałtownie zahamował, a jego kierowca włączył klakson. Pędziliśmy w stronę światła tunelu. – Są kurewsko mili! – ryknęła. Z jej kręconych jasnych włosów wypadło kilka szpilek. – Kurewsko grzeczni! „Kochanie, jesteś słodka!”, a ja na to: „Dziękuję, miło, że to mówisz”. Wtedy oni: „Ale nie możemy ci dać tej roli, bo jesteś za słodka, kochana”, a ja na to: „PIEPRZĘ WAS WSZYSTKICH!”. – Pisnęła z radości z powodu tej konkluzji, a gdy znaleźliśmy się w żółto oświetlonym tunelu przebitym w skale, mocniej nacisnęła pedał gazu. – Pieprzę was wszystkich! – powtórzyła, a silnik zaryczał jak ranny niedźwiedź. – Gdzie wasza kurewska odwaga, gdzie wasze kurewskie jaja, skurwysyny?! – Z przodu pojawiła się para reflektorów i wydało mi się, że jedziemy po złej stronie drogi. – Pieprzę was! – darła się. – Pieprzę was!...

Światła skręciły, ona zaś skręciła za nimi, ustawiając się naprzeciwko nadjeżdżającego auta jak rycerz w czasie pojedynku na kopie. Reflektory znowu zjechały na bok z piskiem opon, by ustąpić jej z drogi, lecz ona jeszcze raz obróciła kierownicę i pędziła prosto na zbliżający się wóz. Wpatrywała się zachłannie w przednią szybę i nie

zamierzała się cofnąć. Dość lubiłam ciało, w którym przebywałam w owym czasie (dwudziestodwuletni mężczyzna o wspaniałych zębach), i nie miałam ochoty w nim umrzeć, więc kiedy zbliżał się moment czołowego zderzenia, wyciągnęłam rękę, chwyciłam ją za łokieć i skoczyłam.

Rozległ się straszliwy pisk hamulców, metalu trącego o metal, torturowanych opon i resorów. Samochód wpadł w poślizg i zaczął się obracać; po chwili uderzył bokiem w ścianę tunelu, wyrzucając ogromną fontannę żółtobiałych iskier, i z trzaskiem się zatrzymał.

Bezwładność rzuciła mnie do przodu i mocno uderzyłam głową w kierownicę. Miałam wrażenie, że mój mózg wypełnił się papką złożoną z neuronów: przestałam na chwilę myśleć. Uniosłam głowę i zobaczyłam krew na kierownicy, przycisnęłam do policzka dłoń w rękawiczce w pawie oczka i poczułam w ustach słony smak. Obok mnie poruszyło się bardzo przystojne ciało młodego mężczyzny, w którym przedtem mieszkalam: otworzyło oczy, przeciągnęło się jak kot i zaczęło się rozglądać.

Dezorientacja zmieniła się w lęk, lęk w panikę. Później istniały tylko dwie możliwości: wściekłość i trwoga. Mężczyzna wybrał to drugie i zaczął wrzeszczeć:

– O Boże, o Boże, o Boże, kim jesteś, kim ty, kurwa, jesteś?! Gdzie ja jestem, gdzie ja jestem! O Boże, o Boże...

Lub coś w tym stylu.

Drugi samochód, który miał być sprawcą naszej śmierci, zatrzymał się w odległości około dwudziestu metrów, po czym z otwartych drzwi wygramolił się mężczyzna o czerwonej twarzy i brzydkiej cerze. Poprzez krew zalewającą oczy zobaczyłam, że chociaż ma na sobie białą koszulę i czarne spodnie, trzyma w jednej ręce mały rewolwer o srebrzystej lufie, a w drugiej odznakę policyjną. On również wrzeszczał i dobiegały do mnie słowa o rodzinie, samochodzie, komisarzu policji, o tym, że auto mogło spłonąć...

Kiedy nie odpowiedziałam, skinął w moją stronę pistoletem i ryknął na mojego sąsiada, by rzucił mu moją torebkę. Ona także, podobnie jak cały mój strój, miała wzór w pawie oczka i była obszyta zielonymi i czarnymi cekinami. Kiedy leciała w powietrzu, zaśniła jak

świeżo zrzucona skóra węża. Mężczyzna z pistoletem złapał ją niezgrabnie, otworzył, zajrzał do środka, po czym natychmiast cisnął ją na ziemię z mimowolnym westchnieniem.

W tej chwili nikt nie krzyczał i w gorącym, ciemnym tunelu słychać było tylko cichy warkot silnika. Pochyliłam się do przodu by popatrzeć na torebkę i przekonać się, co sprawiło, że ludzie nagle umilkli.

Zawartość mojej torebki leżała rozrzucona na asfalcie. Prawo jazdy, z którego wynikało, że moje imię brzmi Peacock, czyli paw – przekleństwo będące wynikiem ograniczonej wiedzy ornitologicznej moich rodziców. Szminka, podpaska, klucze do mieszkania, portfel. Niewielka plastikowa torebka z tajemniczym żółtawym proszkiem. Zakrwawiony ludzki palec, jeszcze ciepły, owinięty w białą bawełnianą chusteczkę, nierówno odcięty od dłoni.

Uniosłam wzrok i zobaczyłam, że mężczyzna z rewolwerem spogląda na mnie z trwogą.

– Do licha! Chyba powinien mnie pan aresztować! – powiedziałam. Zdjęłam rękawiczki, ściągając z palców zakrwawiony jedwab, i wysunęłam do przodu nagie nadgarstki, by mógł założyć mi kajdanki.

Kiedy człowiek przenosi się do nowego ciała, problem polega na tym, że nigdy do końca nie wiadomo, czym się wcześniej zajmowało.

Rozdział 8

Zachodzące słońce zabarwiło asfalt na różowoczerwony kolor i uznałam, że jestem w połowie drogi do Edirne. Kiedy zamykałam okno samochodu choćby na kilka minut, znów pojawiał się zapach wypożyczalni – połączenie odświeżacza powietrza i środka dezynfekującego. Radio nadawało audycję dokumentalną na temat konsekwencji ekonomicznych arabskiej wiosny, po czym puszczano piosenki o nieszczęśliwej miłości, szczęśliwej miłości, złamanych sercach, sercach pełnych otuchy. Samochody jadące z zachodu miały włączone reflektory, a słońce zasłoniły czarne chmury, nim zdążyło się skryć za horyzontem.

Kiedy zapadł zmrok, zatrzymałam się na stacji benzynowej, oświetlonej dwiema potężnymi lampami halogenowymi. Stacja obiecywała jedzenie, benzynę, gry i rozrywkę. Kupiłam kawę, *pide* i czekoladę zawierającą aż trzy rodzynki, usiadłam przy oknie i patrzyłam. Nie podobała mi się twarz odbita w szybie. Wydawała się należeć do człowieka bez skrupułów.

Na autostradzie Otoyol-3 często panuje duży ruch. Jadący na zachód widzą tablice zapowiadające Edirne, lecz równie dobrze mogłyby one wskazywać drogę do Belgradu, Budapesztu, Wiednia. Znudzeni kierowcy ciężarówek traktują ogromny most łączący Azję z Europą przerzucony nad cieśniną Bosfor tylko jako nieprzyjemne wąskie gardło, a widok meczetu Hagia Sophia na brzegu Złotego Rogu to po prostu sygnał wywołujący myśl: Jeszcze dziesięć godzin do domu...

Sześcioosobowe rodziny wciśnięte do pięciomiejscowych aut zachowywały się na stacji jak hordy więźniów uwolnionych z cel. W pewnej chwili wybuchła sprzeczka między rodzicami a pożałowania godną babcią, która również wybrała się podróż, a tymczasem dzieci wrzeszczały, zrozumiałwszy neodpartą prawdę, że przez całe życie marzyły tylko o plastikowym pistolecie na wodę i taniej lornetce o dwukrotnym powiększeniu.

Musiałam się pozbyć samochodu, raczej prędzej niż później.
Zastanawiałam się, kiedy twarz w oknie podjęła tę decyzję.
Prawdopodobnie w tym samym momencie, gdy postanowiła nie
połykać powolnie działającej, lecz śmiertelnej trucizny.

Może w chwili, gdy otrzymała esemesa w nieużywanym telefonie:
Kirke.

Nagle zdałam sobie sprawę, że nie jestem sama.

Mężczyzna spytał mnie o godzinę.

Nie miałam zegarka.

Czy jadę do Edirne?

Nie.

Czy dobrze się czuję? Wyglądam... inaczej.

Wszystko w porządku. Zajmuję się sprawami osobistymi.

Wszyscy szanują facetów, którzy zajmują się sprawami osobistymi.

Zostawił mnie samą.

W półmroku parkingu wrzeszczeli na siebie kochankowie, których
rozkwitający romans legł w gruzy w trakcie traumatycznej próby
czytania mapy w ciemności. Wsiadłam z powrotem do samochodu,
włączyłam radio na pełny regulator, otworzyłam okna, by wpuścić do
środka chłodne powietrze, po czym ruszyłam na północ, w stronę Edirne.

Rozdział 9

Zawsze lubiłam Edirne. Niegdyś było ono siedzibą książąt i królów, lecz w ostatnich dekadach popadło w ruinę – przypominało starego człowieka, który nosi dziurawy sweter jako dumne świadectwo skromności i zapobiegliwości. W zimie rynsztoki prostych dwupasmowych ulic wypełniają się szarym błotem, a w lecie chłopcy i mężczyźni uczestniczą w dorocznych zawodach zapaśniczych i tarzają się w piasku z lśniącymi od oliwy torsami i pośladkami, obejmując wygięte w łuk plecy muskularnych przeciwników. Nigdy nie miałam ochoty uczestniczyć w walkach, nawet przebywając w ciałach mistrzów. Naturalnie Edirne nie posiada wielkich atrakcji Stambułu, z wyjątkiem marmurowego meczetu o srebrnej kopule zbudowanego przez jednego z sułtanów o imieniu Selim oraz szpitala ufundowanego przez Bajazyda, miłośnika podbojów i pokuty – lecz mimo wszystko odznacza się dumną jednolitością celu i projektu, który sprawia, że goście odwiedzający miasto pamiętają, że Edirne nie musi być krzykliwe, by być wielkie.

*

Zaparkowałam samochód obok fontanny ozdobionej gigantycznymi metalowymi słonecznikami.

Wyjęłam torby z bagażnika, włożyłam do kieszeni sto lir i jeden z paszportów, zapięłam na prawym nadgarstku jedną z obręczy kajdanek, schowałam kluczyki do wewnętrznej kieszeni marynarki, naciągnęłam rękaw na stalową bransoletkę, zarzuciłam torby na plecy i ruszyłam w mrok Edirne.

Na ścianach, gdzie płonęły niegdyś pochodnie, znajdowały się teraz lampy sodowe z pomarańczowymi żarówkami w starych żelaznych obsadach. Nowoczesne apartamentowce sąsiadowały z ozdobnymi pałacami z dziewiętnastego wieku, w tej chwili przerobionymi na mieszkania dla pracowitych rodzin – za drzwiami balkonowymi migotało szaroniebieskie światło telewizorów. Za bielizną suszącą się na

sznurku syknął kot. Kierowca pędzącego autobusu zatrafił na nieostrożnego motocyklistę. Właściciel restauracji pożegnał ulubionych klientów, którzy podążyli do domu mroczną ulicą, chwiejąc się na nogach.

Ruszyłam w stronę biało oświetlonych ścian meczetu Selimiye, bo tam, gdzie są wspaniałe zabytki architektury, są również hotele.

*

Recepcjonista drzemał przed telewizorem, w którym pokazywano dramat o braciach bliźniakach granych przez jednego aktora. W końcowej scenie obaj stali na wzgórzu i podawali sobie ręce. Po lewej stronie niebo było zachmurzone, ciemne, a po prawej przejrzyste i niebieskie. Kiedy ich ręce się spotkały, niebo i ziemia pękły na dwie części. Pojawiły się napisy końcowe, recepcjonista się ocknął. Położyłam na ladzie kanadyjski paszport i spytałam:

– Pokój?

Uważnie odczytał nazwisko w paszporcie, starając się nie pominąć żadnej sylaby.

– Nathan Coyle.

– To ja.

Wszyscy uwielbiają Kanadyjczyków.

Trzypiętrowy hotel, pierwotnie zbudowany z drewna, był teraz wzmocniony ceglami. Znajdowało się w nim zaledwie dwanaście pokoi, dziewięć było wolnych, i na korytarzach panowała cisza.

Do pokoju zaprowadziła mnie dziewczyna z podkrążonymi oczami, czarnymi, prostymi włosami i sterczącym podbródkiem. Większą część niewielkiego pomieszczenia zajmowało dwuosobowe łóżko. Sufit był skośny, za oknem znajdował się pięciocentymetrowy balkon. Pod drewnianą półką z telewizorem umieszczony był kaloryfer. Łazienka, której czterech ścian mogłam dotknąć, stojąc pośrodku, lekko pachniała cytryną i produktami toaletowymi. Dziewczyna zatrzymała się w drzwiach i spytała po angielsku z silnym tureckim akcentem:

– Odpowiada panu pokój?

– Bardzo – odpowiedziałam. – Może mi pani pokazać, jak to obsługiwać?

Skinęłam w jej stronę pilotem do telewizora trzymanym w ręce. O mało nie przewróciła oczami, lecz się powstrzymała.

Uśmiechnęłam się szeroko, a na mojej twarzy pojawił się wyraz dezorientacji. Dziewczyna wyciągnęła rękę, by wziąć pilota; w tej samej chwili sięgnęłam do tyłu i zatrzasnęłam wolną obręcz kajdanek na rurze kaloryfera na ścianie. Słyszając metaliczny szczęk, dziewczyna spojrzała na mnie, ja zaś objęłam palcami pilota, przycisnęłam dłoń do jej ręki i skoczyłam.

*

Moje palce gwałtownie się poruszyły.

Na ekranie telewizora pojawił się obraz.

Spiker roześmiał się z jakiegoś dowcipu, który zagubił się w eterze. Za jego plecami ukazała się mapa pogody, po czym znów się zaśmiał, jakby chciał dać do zrozumienia, że nie ma nic wspanialszego od pogody, choć za oknem niebo jest szare i leje deszcz.

Mężczyzna stojący przede mną, który według jednej czwartej posiadanych przez siebie paszportów był Kanadyjczykiem nazywającym się Nathan Coyle, zachwiał się i przyklęknął na jedno kolano. Usiłował wstać, lecz zabrzęczały kajdanki przypięte do kaloryfera, więc popatrzył mętным wzrokiem na metalową bransoletę uniemożliwiającą mu ruch.

Obserwowałam go. Jego oddech powoli się uspokajał, gdy opuszczała go dezorientacja i przerażenie. Rozszerzył nozdrza i kilka razy głęboko odetchnął, aż wreszcie zapanował nad sobą i siedział napięty z wysoko uniesioną głową.

– Witam! – powiedziałam.

Zacisnął usta i popatrzył na mnie. Miałam wrażenie, że widzi nie mnie, nie mnie-która-jestem-dziewczyną-pracującą-w-hotelu, ale mnie

prawdziwą,

i poczułam, jak oddech więźnie mi w gardle.

Spoglądał w milczeniu, skulony na podłodze, z wyciągniętą do tyłu prawą ręką napinającą kajdanki.

– Połkniesz truciznę – powiedziałam, stojąc poza zasięgiem jego ramienia.

Milczenie.

– Dwa pytania sprawiają, że jeszcze żyjesz. Po pierwsze, dla kogo pracujesz i czy będą wysyłać następnych. Zakładam, że tak. Ludzie tacy jak ty zawsze to robią. Po drugie, dlaczego zabiłeś Josephine Cebulę?

Popatrzył na mnie jak zraniony kot i nie odpowiedział.

Moje ciało było zbyt długo na nogach, czułam w ustach smak papierosów, ciężar dnia wyginał mi kręgosłup. Miałam niewygodny stanik, za ciasny na plecach, a lewe ucho, niedawno przekłute, piekło od rozwijającej się infekcji.

– Połkniesz truciznę – powtórzyłam, patrząc w przestrzeń. – Interesują mnie odpowiedzi na pytania.

Milczenie.

– Ta relacja będzie trudna dla nas obojga – oznajmiłam i dodałam: – Lewa kieszeń.

Lekkie poruszenie brwi. Lewa dłoń Coyle'a poruszyła się instynktownie w stronę lewej kieszeni, później zawahał się i zanim zdążył zebrać myśli, wyciągnęłam rękę i chwyciłam go za palce.

Przesiadka.

Dziewczyna z optymistycznie ciasnym stanikiem zachwiała się na nogach. Włożyłam rękę do kieszeni marynarki, wyjęłam schowane tam klucze i otworzyłam kajdanki. Kiedy zaczęła się przewracać, wstałam, podtrzymałam ją delikatnie i powiedziałam:

– Wszystko w porządku, proszę pani? Chyba kręci się pani w głowie... – Ludzki umysł ma niewiarygodną zdolność wierzenia w to, co go nie przeraża. – Może niech pani lepiej usiądzie.

Rozdział 10

Moja pierwsza przesiadka.

Skończyłam trzydzieści trzy lata.

Miał prawdopodobnie zaledwie dwadzieścia kilka lat, ale jego ciało wydawało się znacznie starsze. Kiedy się drapał, odpadały mu płaty białego naskórka i popękane żółte paznokcie wydawały nieprzyjemny szelest. Zaczął już siwieć, a pokryty bliznami podbródek porastały rzadkie kępki włosów. Zabił mnie uderzeniem w głowę, by zdobyć pieniądze na jedzenie, bo miał kompletnie pusty żołądek.

Miałam kompletnie pusty żołądek,

o czym przekonałam się natychmiast po skoku.

Nie zamierzałam go dotknąć, ale przed chwilą mnie zaatakował. Nie chciałam umrzeć w samotności, więc, z oczami zalanymi krwią, wyciągnęłam rękę i chwyciłam go za łopatkę, gdy zerwał mi sakiewkę przyczepioną do pasa. W tej samej chwili stałam się nim i zobaczyłam, jak umieram.

Rozdział 11

Budzę się o trzeciej nad ranem w pokoju hotelowym.

Ciągle pali się światło.

Pusty ekran telewizora.

To ciało potrzebuje snu.

Ja potrzebuję snu.

Sen nie przychodzi.

Umysł, który nie może się uspokoić, myśli pędzące przez głowę.

O dziewiątej czterdzieści rano z pokoju hotelowego w Stambule wyszła Josephine Cebula i ruszyła w stronę morza. Trzy dni wcześniej spotkała dwóch nowych znajomych, którzy zaproponowali, by się do nich przyłączyła, i obiecali nauczyć ją łowienia ryb z mostu Galata.

Jestem zbyt piękna, by łowić ryby, pomyślał umysł korzystający z ciała Josephine Cebuli. Jesteście pewni, że nie powinnam się przebrać w odpowiednie ciało?

Łowienie ryb będzie cudowne, odrzekły moje świeżo umalowane wargi. Zawsze chciałam się nauczyć łowić ryby.

W południe zauważyłam kogoś kątem oka i o dwunastej dwadzieścia uciekłam, zadowolona, że mam buty na płaskich podszwach, że na stacji metra Taksim są tłumy ludzi, że łatwo się wymknęłam. Muskałam palcami mijane osoby, przeskakiwałam z ciała do ciała i gdy stałam się kobietą o opuchniętych kostkach, ze smakiem kokosa w ustach, zabójca za moimi plecami wystrzelił. Poczułam pocisk przebijający nogę, rozszarpujący ciało i tętnice, zobaczyłam własną krew tryskającą przede mną na beton, a kiedy zamknęłam oczy z bólu i otworzyłam usta, by krzyknąć, moje palce dotknęły kogoś nieznanego. Uciekłam i zostawiłam Josephine Cebulę, by umarła.

Potem

z niezrozumiałych powodów

zabił Josephine.

Upadła, a ja uciekłam. Wpakował jej dwie kule w pierś i umarła,

choć ścigał mnie.

Dlaczego to zrobił?

W hotelu o trzeciej w nocy bolała mnie lewa noga, chociaż nie było na niej rany ani żadnej widocznej przyczyny bólu.

*

Szara teczka z torby podróżnej Nathana Coyle'a.

Rzuciłam na nią okiem, gdy ukradłam samochód, a teraz, przed świtem, rozłożyłam zawartość na łóżku i znów na nią spojrzałam. Zobaczyłam przed sobą twarze swojego życia. Na wierzchu teczki napisano jedno słowo: „Kepler”.

Imię dobre jak każde inne.

Rozdział 12

Wyprowadziłam się z hotelu w Edirne o siódmej rano. Śniadanie zjadłam w piekarni za rogiem, gdzie kupiłam ciepłe rogaliki, dżem wiśniowy i najlepszą kawę, jaką piłam w tym ciele. Zrzuciłam torby na plecy, nasunęłam bejsbolówkę na oczy i poszłam szukać pierwszego autobusu do Kapıkule i dalej za granicę. Przebywałam w ciele mordercy i nie mogłam zwlekać.

Jakie to dziwne uczucie! Nie popełniłam żadnego przestępstwa, ale policja ściga moje ciało.

Uśmiechałam się przez całą drogę do kasy biletowej.

*

W autobusie jadącym do Kapıkule siedziało jedenastu pasażerów, co wydawało się rozsądną liczbą, ponieważ był to zaadaptowany minivan z papierową tabliczką z napisem: KAPIKULE. PRZYJMUJEMY LEWY I LIRY. GOTÓWKA POWINNA BYĆ ODLICZONA.

Na fotelach przede mną siedzieli starszy mężczyzna i jego matka. Nieustannie się sprzeczali.

– Nie chcę – rzekła kobieta.

– Matko...

– Nie chcę i tak ma być.

– Musisz, matko, musisz, rozmawialiśmy o tym, od tego zależy nasza przyszłość, a zatem jedziemy. Musisz i tak ma być.

– Ale nie chcę! – powtórzyła podniesionym głosem, bliska płaczu.

Rozmawiali w ten sposób przez całą drogę do stacji końcowej i niewątpliwie po wyjściu z autobusu.

Kapıkule to zapadła prowincjonalna dziura. Nie tak dawno temu nigdy bym tam nie pojechała i wsiadłabym do pociągu bezpośrednio na głównym dworcu w Edirne. Ale czasy były trudne, część połączeń kolejowych zawieszono z braku funduszy, a stacje popadały w ruinę

z powodu zmniejszającej się liczby ludzi dojeżdżających do pracy.

Dworzec mieścił się w brzydkim dwukondygnacyjnym budynku oświetlonym jarzeniówkami. W innym kraju mogłoby to być ponure centrum handlowe pełne sklepików skazanych na bankructwo albo dobrze zaprojektowany budynek mieszkalny sprzedany MegaMart International przez chciwych właścicieli. W Turcji pełnił rolę stacji kolejowej.

Kiedy się zbliżyłam, bileter siedział z podbródkiem wspartym na dłoni. Miał czapkę nasuniętą na oczy, a gdy spojrział na pieniądze leżące przed nim na stalowej ladzie, podekscytowana spostrzegłam, że jest ostatnim człowiekiem na świecie, który uważa wąsy w stylu Hitlera-Chaplina za szczyt męskiej elegancji.

Przesunęłam w jego stronę gotówkę i turecki paszport Coyle'a. Przyjrzał im się jak lekarz oglądający uciętą nogę i zastanawiający się, gdzie jest brakujące ciało.

– Dokąd? – spytał.

– Do Belgradu – odpowiedziałam.

Westchnienie, z jakim wziął pieniądze – i zignorował paszport – świadczyło o kompletnym pogodzeniu z losem. Musiał sprzedać mi bilet, nie miał wyjścia, ale, do licha, sympatyczniejszy człowiek po prostu by sobie poszedł, pozwoliłby biednemu urzędnikowi odpocząć, zamiast skazywać go na pracę.

– Pociąg odjeżdża wieczorem – powiedział, kładąc na ladzie zadrukowane arkusiki. – Musi pan poczekać.

– W Kapıkule jest coś ciekawego do obejrzenia? – spytałam. Jego spojrzenie przeraziłoby kobrę. Uśmiechnęłam się czarująco, wsunęłam bilety do paszportu i powiedziałam: – Znajdę jakieś miejsce, by się zdrzemnąć.

– W żadnym wypadku proszę nie spać na dworcu! – warknął. – To teren kolejowy!

– Naturalnie. Jakież jestem niemądry...

*

Nie miałam ochoty czekać w miejscu odwiedzanym przez wielu ludzi.

W tej chwili policjanci mogli znaleźć odciski palców mojego ciała, zagubiony włos albo inne ślady, o których nie miałam pojęcia, i zaczęli tropić uciekającego zabójcę. Oni – wielcy nieznani „oni” – mogli dotrzeć do nagrań z monitoringu, a później cofnąć się od chwili, gdy Josephine Cebula stoczyła się ze schodów na stacji Taksim, do momentu, gdy zabójca zostawił wynajęty samochód na parkingu w podziemiach hotelu. Jeśli byli naprawdę dobrymi fachowcami, rozpoczęli poszukiwania auta, które stało w cieniu cyprysa naprzeciwko fontanny ozdobionej metalowymi słonecznikami.

A może nie?

Może policja jest w kropce?

Któż to może wiedzieć?

*

Schroniłam się w maleńkiej kaplicy z różowego kamienia stojącej nad rzeką. Przebywałam w Turcji, ale na drugim brzegu widziałam starannie zaorane pola przygotowane do przyszłorocznych siewów: to już była Grecja. Mogłabym się tam z łatwością przedostać i przez chwilę się nad tym zastanawiałam – szybko podciąłabym sobie żyły, a potem odeszłabym w ciele greckiego rolnika o oddechu pachnącym czosnkiem, w butach wytartych od piasku.

Kiedy siedziałam ze skrzyżowanymi nogami na kamiennej ławce, zbliżył się ksiądz z czarną brodą. Zwrócił się do mnie najpierw po grecku, w języku, w którym nigdy nie byłam mocna. Usłyszał mój akcent, uniósł ze zdziwieniem brwi i przeszedł na turecki.

– Ten kościół został ufundowany przez Konstantyna Pierwszego. Podróżował po cesarstwie i przybył do Kapıkule, gdzie napił się wody z rzeki. Tego dnia, kiedy spał, przysłała do niego Najświętsza Maria Panna, obmyła mu stopy i dłonie wodą ze strumienia oraz zwilżyła nią wargi. Wizja zrobiła na nim takie wrażenie, że gdy się obudził, rozkazał zbudować tu klasztor. Było to popularne miejsce pielgrzymek: ludzie przybywali do Kapıkule, obmywali sobie stopy w rzece i śnili o Najświętszej Marii Pannie. Później Turcy osmańscy zburzyli wszystko z wyjątkiem niewielkiej kaplicy, którą teraz pan widzi, ale kiedyś w czasie polowania przybył tu sułtan Selim Okrutny. Zasnął na brzegu

rzeki i przyśnił mu się ten sam sen co jego poprzednikowi, Konstantynowi. Kiedy się obudził, obmył wodą dłonie i stopy, a następnie ogłosił, że rzeka jest błogosławiona, i zabronił dalszego niszczenia murów. Pozostawił ten napis. – Skinął ręką, dotykając spłowiałych metrowych liter, namalowanych złotą farbą w pobliżu ołtarza. – To sułtańska tugra, oficjalna pieczęć. Edykt głosił, że gdyby ktokolwiek chciał zburzyć te mury, należy wprowadzić go do kaplicy i pokazać znak władcy. Sułtan ocalił kaplicę, choć pielgrzymi przestali się pojawiać.

Skinęłam powoli głową jak znawca teologii, popatrzyłam na pieczęć sułtana i widoczny nad nią smutny uśmiech Najświętszej Marii Panny, a potem spytałam, czy mogę zejść do rzeki i sprawdzić, czy zmyje moje grzechy.

Oczy księdza rozszerzyły się ze zgrozy.

Oczywiście, że nie możesz, wykrzyknął. Rzeka jest błogosławiona!

Rozdział 13

Ciało Nathana Coyle'a.

Po przemyśleniu sprawy dochodzę do wniosku, że nie jest w moim typie. Mięśnie pod pachami i na plecach są trochę zanadto rozwinięte wskutek bezcelowego podnoszenia ciężarów na siłowni. Lata biegania wzmocniły układ sercowo-naczyniowy, ale lewe kolano po dłuższym bezruchu zaczyna boleć. Ból stopniowo narasta, dopóki nie rozciągnę ścięgien. Jestem trochę dalekowzroczna – doskonale widzę oddalone przedmioty, lecz gdy patrzę z bliska, mam skłonność do zezowania. Nie znalazłam w torbie soczewek kontaktowych ani okularów. Może zamierzał iść do okulisty? Albo po prostu nie zdaje sobie sprawy, że zez nie jest czymś normalnym, bo nie miał żadnych doświadczeń oprócz własnych?

*

Na moich kolanach leżała teczka zatytułowana „Kepler”.

Ławka na dworcu w Kapikule była zimna, twarda, metalowa. Wiatr wiał ze wschodu, w powietrzu unosił się zapach deszczu, pociąg do Belgradu miał dwadzieścia minut spóźnienia.

Nie jestem zainteresowana podróżą do Belgradu. Moim celem jest wydostanie się z Turcji, ucieczka przed policją ścigającą moje ciało. Coyle ma paszport amerykański, kanadyjski i brytyjski, w mojej komórce jest esemes o treści *Kirke*. Łatwo byłoby zabić to ciało i przeskoczyć do następnego, ale pamiętam uczucie, gdy pocisk przebił mi nogę. Chociaż uciekłam i Josephine zginęła, jednak to mnie chciał zabić.

Dossier leżące na moich kolanach składało się z fotografii i dokumentów ułożonych w porządku chronologicznym. We wstępie wyrażono żal, że skromne informacje o skradzionych życiach i straconym czasie to jedyne dane o istocie o imieniu Kepler. Żaden przypis, dodatek ani znak wodny nie zdradzał tożsamości autora.

Przeglądałam pliki zapisanych kartek i sztywne lśniące fotografie, patrzyłam na twarze i nazwiska, których prawie nie pamiętałam, aż dotarłam do najnowszego zdjęcia – przedstawiało mnie. Josephine Cebulę.

Kopia polskiego paszportu znaleziona u alfonsa we Frankfurcie. Twarz Josephine, pozbawiona makijażu i radości, była pospolita i ponura, podobnie jak moje własne oblicze oglądane rankiem w lustrze.

Zdjęcie wykonane na rogu ulicy z przejeżdżającego samochodu. Lekko odwrócona głowa, dawno minioną chwilą, która zastygła w obiektywie.

Informacje o jej pierwszym zatrzymaniu przez policję i zwolnieniu po dziewięciu godzinach. Następna fotografia: krótka skórzana kamizelka, obnażony pępek, spódniczka ledwo zasłaniająca tyłek i wielki siniak pod prawym okiem.

Bilet na samolot, gdy leciałam z Frankfurtu do Kijowa, szykując się do męczącej podróży na Krym. Podróżowałam w klasie biznes, ubrana w nowe, kolorowe ciuchy, a kiedy stewardesa nalała mi whisky, poczułam chęć na papierosa i przypomniałam sobie, że Josephine pali, a ja nie zaspokajam jej potrzeb. Po wylądowaniu w Kijowie, klęcząc, kupiłam opakowanie plastrów nikotynowych i przyrzekłam sobie, że kiedy zwrócę jej ciało, będzie absolutnie czysta, nie tylko fizycznie, lecz może nawet psychicznie.

Moje zdjęcie, gdy wychodzę z hotelu w Perze, z twarzą oświetloną promieniami słońca i komórką w ręce. Byłam młoda, bogata i piękna, a jeśli te cechy mają jeden konkretny skutek, polega on na szybkim zdobywaniu przyjaciół. Pamiętałam tamten dzień, tamtą sukienkę. Było to trzy dni przed strzelaniną na stacji Taksim, gdy zginęłam z rąk mordercy. Obserwowali mnie przez trzy dni, szykując się do ataku.

Mocno wbiłam paznokcie w dłonie, aż poczułam ból. W tej chwili trochę krwi nie zaszkodzi.

Przejrzałam dossier Josephine. Matka skłonna do przemocy, która przysięgała, że ją kocha, i płakała na ramieniu Josephine po każdym wyjściu córki z więzienia. Chłopak, który nie miał nic przeciwko temu, by sypiała z jego przyjaciółmi – w istocie rzeczy potrzebował pieniędzy, żeby kupować jej ładne rzeczy. Lot do Frankfurtu, ucieczka przed

przeszłością z trzydziestoma dwoma euro w kieszeni. Autor raportu nie wątpił, że zamierzała rozpocząć nowe, lepsze życie, lecz nie miała żadnych szans, dopóki nie pojawiła się istota znana jako Kepler i nie zaproponowała jej pieniędzy za morderstwo.

Przerwałam lekturę.

Lista zabitych. Doktor Tortsen Ulk, utopiony we własnej toalecie. Magda Müller, zasztyletowana w swojej kuchni, gdy jej córki spały na piętrze domu. James Richter i Elsbet Horn, znalezieni w swoich objęciach: wydłubano im oczy, a ich wyprute wnętrzności pokrywały kabinę niewielkiego jachtu, którym płynęli po Renie. Autor dossier twierdził, że policja nigdy nie powiązała tych morderstw, lecz zrobiliśmy to my, ponieważ ofiary były członkami naszej organizacji. Zginęły z ręki Josephine na polecenie Kepler.

Przeczytałam te słowa dwukrotnie, nie mając pewności, czy dobrze rozumiem.

Za drugim razem znaczyły to samo i były takimi samymi kłamstwami.

*

Pociąg do Belgradu był niczym metalowa teściowa, a gdy zatrzymał się w Kapikule, spod jego kół trysnęły snopy białych iskier. W wagonach z kuszetkami ciągle paliły się nieliczne światła. Tu i tam otworzyły się grube, pomarańczowe drzwi i na peron opadły metalowe schodki. Pociąg był kiedyś pomalowany na pomarańczowo i niebiesko: barwy bułgarskich linii kolejowych. Te kolory już dawno zniknęły, pokryte warstwami graffiti namalowanych sprejem – дума linii kolejowej skapitulowała przed dumą nastolatków, którzy zbierali się na bocznicach na obu końcach trasy. Poczulałam zapach moczu dolatujący z toalety koło drzwi i usłyszałam odgłos spuszczonej wody, gdy jeden z pasażerów popełnił najstraszliwszą zbrodnię i załatwił się na stacji. Później zaczęłam szukać swojego przedziału.

Znajdowało się w nim sześć miejsc do spania, z czego cztery były już zajęte. Trzy przez męża, żonę i nastoletniego syna, a czwarte przez starego mężczyznę, który żuł jakieś zioła, poruszając szczękami jak wielbłąd. Leżał na plecach i czytał artykuły o starych samochodach

i podrózach na wschód. Trzyosobowa rodzina rozpoczęła prowizoryczną ucztę, przekazując sobie prowiant z góry na dół i w przeciwnym kierunku. Jaja na twardo, płaty szynki, porcje owczego sera, chleb, którego okruchy sypały się na podłogę. Kiedy nóż przecinał bochenek, mężczyzna czytający czasopismo o samochodach krzywił się, jakby ostrze piłowało kości.

W końcu pociąg ruszył, a ja wdrapałam się na swoje miejsce pod sufitem. Umieściłam pod głową torbę z ubraniami, w nogach torbę z bronią, i zaczęłam się zastanawiać. Metalowa leżanka w dole, plastikowy sufit w górze, rozmiar trumny.

Nikt nie przyszedł sprawdzić paszportów.

Rozdział 14

Istnieje wiele sposobów zdemaskowania widma mieszkającego w ciele ukochanej osoby. Na podstawowe pytania – o nazwisko, wiek, imię ojca, imię matki, uniwersytet – może odpowiedzieć każdy, kto zadał sobie trud zebrania niezbędnych informacji, lecz wystarczy kilka minut, by udowodnić oszustwo.

Po pierwsze – miejsce zamieszkania po opuszczeniu rodzinnego domu.

Nazwisko wychowawczyni ze szkoły podstawowej.

Pierwsza pocałowana dziewczyna.

Albo – moje ulubione pytanie – czy grasz na skrzypcach?

Rozkoszna właściwość ostatniego pytania polega oczywiście na tym, że widmo, spytane o coś, w czym jest ekspertem, wstaje i z ulgą prezentuje pięć ulubionych utworów w tonacji G-dur, po czym po ostatniej półnucie okazuje się, że normalny właściciel ciała nigdy nie trzymał skrzypiec w rękach.

*

Kiedy po raz pierwszy się przesiadłam, nie udzieliłam prawidłowej odpowiedzi na zadane pytanie.

Byłam mordercą o pustym żołądku. Konstabl, który przycisnął mnie do posadzki lochu, spytał mnie o imię.

Podalam je.

– Nie to imię! – warknął. – Nie imię nieszczęśnika, którego zabiłeś. Chcę znać twoje imię!

Zamieszkałam w ciele człowieka, który roztrzaskał mi głowę.

Byłam mordercą schwytanym na gorącym uczynku.

– Jak się naprawdę nazywasz?!

Byłam młodzikiem o łuszczącej się skórze, czułam na karku pałkę, w plecy wbijało mi się kolano, miałam złamane dwa żebra i opuchnięte oko, na zawsze uszkodzone. I podobnie jak ludzie, którzy mnie pobili,

również chciałam poznać odpowiedź na to dręczące pytanie.

Jak się naprawdę nazywasz, sukinsynu?! Morderca, rzeźnik, kłamca, złodziej! Jak się naprawdę nazywasz?!

Wtrącono mnie do więzienia Newgate, do straszliwych cel, gdzie trafiali ludzie z gminu, pięćdziesięciu w jednym pomieszczeniu – rankiem czterdziestu siedmiu i trzy trupy – a ja śmiałam się histerycznym śmiechem szaleńca, który nie zdaje sobie sprawy, że powinien płakać. Kiedy sędzia skazał mnie na powieszenie, ugięły się pode mną nogi, lecz miałam pustą twarz i spokój w duszy. Najpierw próbował mnie zabić Gruby Jerome, król lochów więziennych, który ścisnął moją szyję wielkimi lepkiemi łapami. Nie walczyłam, nie stawiałam oporu, nie wydałam żadnego dźwięku, lecz ofiarowałam duszę Szatanowi, bo sądziłam, że nie mam innego wyjścia.

Jednak okazało się, że nie chcę umrzeć. Gruby Jerome zabijał mordercę, który mnie zamordował,

i w nieunikniony sposób, po chwili namysłu, patrzyłam na twarz swojego zabójcy oczami Grubego Jerome'a i rozluźniłam uścisk.

Mój zabójca upadł na kolana, chwytając ustami powietrze, z czerwoną twarzą i wybałuszonymi oczami. Wokół zebrał się niewielki tłum, przyciskając nas do siebie, aż czuliśmy woń swojego potu, i ktoś spytał:

– Dlaczego go nie wykończyłeś, Jerome? Dlaczego pozwoliłeś mu żyć?

Nie mogłam wykrztusić słowa.

– Ja to zrobię, Jerome! – zawołał złodziej z zajęczką wargą i opaską na ręce, który desperacko chciał zaimponować królowi celi, władcy tłumowi.

Uznał moje milczenie za zgodę, po czym zwinnie podbiegł i wbił trzonek łyżki w oko mojego mordercy.

Rozdział 15

Wagon sypialny to błędne określenie.

Wagon wyrywający ze snu w środku nocy wydaje się trafniejsze.

Kiedy nocą zmieniają się maszyniści i robotnicy przetaczają wagony na stacjach, podróż do Sofii zmienia się w festiwal straszliwych zgrzytów i koszmarnych trzasków. W wagonie sypialnym nie da się spać; można tylko drzemać w stanie półprzytomności, budząc się od czasu do czasu. Człowiek zdaje sobie sprawę, że nie jest w pełni świadomy, że jego myśli nie są prawdziwymi myślami. Wierzy, że doskonale rozumie swój stan, po czym zasypia i budzi się, nie zdając sobie sprawy, że w ogóle spał.

Dotarliśmy do Sofii o czwartej dwadzieścia trzy rano. Nie miałabym o tym pojęcia, ale samotny pasażer nastawił budzik na czwartą piętnaście. W przedziale rozległ się potworny ryk syreny ostrzegającej przed atakiem nuklearnym, który natychmiast postawił wszystkich na nogi, przyprawiając o palpacje. Starzec zwał się z łóżka w ubraniu, w którym wkroczył poprzedniego dnia do przedziału, wziął torbę i wyszedł bez słowa. Odsłoniłam okno, gdy wjeżdżaliśmy na dworzec. Miasto było ciągle pogrążone w mroku. Na pustym peronie czekał samotny bagażowy. Poprawiłam cienką jak opłatek poduszkę, przewróciłam się na drugi bok i znów zasnęłam.

Nie odsłoniłam okna, gdy wyjeżdżaliśmy z Sofii. O czwartej dwadzieścia trzy rano miasto, jego historia, mieszkańcy, legendy i tragedie nie budzą we mnie żadnego zainteresowania.

*

Serbowie nie sprawdzili paszportów.

Na stacji Kalotina Zapad do pociągu wsiadła nowa ekipa gładko ogolonych kolejarzy, a zaspana obsługa z poprzedniej nocy wysiadła i przeszła z walizkami na kółkach na przeciwległy peron, by wrócić do domu. Nowi konduktorzy nosili eleganckie czapki z daszkami

i wyświechtane granatowe mundury. Kiedy wyjeżdżaliśmy ze stacji, zaczęli stukać w drzwi każdego przedziału, wołając: „Bilety! Paszporty!”.

Zabrano nam bilety i paszporty, by je skontrolować. Wręczyłam konduktorom turecki paszport z nazwiskiem, którego niedawno się nauczyłam, i położyłam się, żałując, że nie mogę otworzyć okna i popatrzeć na bułgarski krajobraz. Nie obawiałam się aresztowania po tej stronie granicy. Niezależnie od sprawności tureckiej policji, wydanie międzynarodowego listu gończego zajmuje trochę czasu.

Kiedy sprawdzono mój paszport i ostemplowano bilety, zaczęłam przeglądać dossier oznaczone imieniem Kepler.

Blisko sto fotografii i nazwisk, ujęcia z monitoringów sprzed lat, nakazy aresztowania, fotografie rodzinne. Stenogramy wywiadów, wysłane i otrzymane mejle, podsłuchy telefoniczne. Ledwo pamiętałam niektóre twarze pojawiające się w aktach; inne przez lata stanowiły część mojego życia. Żebrak, którego poznałam w Chicago, po zgoleniu brody okazał się niemal chłopcem. Przed odejściem zapisałam jego ciało na kurs cateringu w Saint Louis, doszedłszy do wniosku, że mogą istnieć gorsze miejsca, by rozpocząć nowe życie. Kobieta odtrącona przez ludzi, którzy niegdyś ją kochali; znalazłam ją wędrującą po ulicach Petersburga bez pieniędzy, by wrócić do domu. „Niechaj piekło pochłonie wszystkich fałszywych przyjaciół!” – syczała. Prokurator okręgowy z Nowego Orleanu, który powiedział, siedząc obok mnie w barze: „Jeśli ten świadek złoży zeznania, zdemoluję linię obrony oskarżonego, ale za bardzo się boi, by stawić się w sądzie”. „A jeśli go tam przyprowadzę?” – spytałam.

Dziesięć lat mojego życia dokładnie opisane w porządku chronologicznym, by w przyszłości można było znów sięgnąć do tych materiałów: każda przesiadka, każdy skok, każde ciało. Na ostatniej stronie pojawiała się Josephine.

Ktoś poświęcił wiele lat na śledzenie mnie, badał każdy mój ruch, analizował przypadki amnezji, zeznania mężczyzn i kobiet, którzy nie pamiętali, co robili przez godzinę, dzień, kilka miesięcy. Mistrzowskie śledztwo, arcydzieło, triumf kryminalistyki aż do chwili, gdy nagle, bez żadnego wyjaśnienia, w beczelnie kłamliwy sposób ja i moja gospodyni

zostałyśmy napiętnowane jako morderczynie.

Wyjęłam z teczki kilka fotografii.

Kobieta siedząca przy oknie kawiarni w Wiedniu. Nietknięte ciastko, stygnąca kawa.

Mężczyzna w szpitalnym szlafroku z jasnorudą brodą na wydatnym brzuchu. Patrzy w zamyśleniu przez okno.

Nastolatek z fryzurą punka, który wystawia do kamery język z kolczykiem i pokazuje środkowy palec. Zdecydowanie nie w moim typie, ale może, biorąc pod uwagę okoliczności, jego obecność w teczce jest mimo wszystko szczęśliwym zrzędzeniem losu.

Rozdział 16

Kiedy pociąg zwolnił i wjechał do Belgradu, sprawdziłam swoje rzeczy.

Paszporty, pieniądze, broń, komórkę.

Włożyłam baterię z powrotem do telefonu i włączyłam aparat.

Zlokalizował swoje położenie dopiero po pewnym czasie i wreszcie niechętnie przyznał, że, owszem, jesteśmy w Serbii. Wysłał mi esemesa, by mnie o tym poinformować, i życzył miłego pobytu. Czekałam. Dwie nowe wiadomości. Pierwsza to nieodebrane połączenie, żadnego nagrania, numer nieznan. Drugi to esemes o treści: *SOS Kirke*.

Nic więcej.

Zastanawiałam się przez chwilę, po czym wyłączyłam komórkę, wyjęłam baterię i schowałam na dnie torby.

*

Co można powiedzieć o Belgradzie?

Niedobrze być tam starym lub chorym.

Świetne miejsce, by się bawić.

Dworzec to pomnik triumfalnych ambicji dziewiętnastego wieku, kamienny pałac o pięknych liniach, który mógłby zawstydzić Kapikule. Po wyjściu na zewnątrz słyhać klaksony taksówek, widać pędzące samochody, tramwaje i trolejbusy pod pajęczyną przewodów trakcyjnych zasilających transport komunalny. W miejscu, gdzie nie tak dawno spadły pociski manewrujące NATO, w dalszym ciągu stoi kilka szarych, pustych wieżowców. Prawdziwy dworzec w sercu miasta. Tam, gdzie Sawa wpada do Dunaju, zapach rzeki miesza się z wyciewami samochodów i dymem z papierosów, po czym okazuje się, że „rzeka” oznacza coś zupełnie innego, niż wyobraża sobie ktoś, kto dotychczas nie widział Belgradu. Stojąc na brzegu Dunaju, łatwo uwierzyć, że świat jest mimo wszystko wyspą.

Wieczorami na barkach przycumowanych do brzegu gra muzyka

i migocą światła dyskotek, na których bawi się młodzież. W ciągu dnia na ulicach w śródmieściu Belgradu, gdzie nie wolno wjeżdżać samochodami, roi się od modnych ludzi kupujących modne rzeczy, by utwierdzić się w przekonaniu, że są modni, a tymczasem na skraju miasta siedzą starcy, mężczyźni o zapadniętych, pozbawionych blasku oczach, którzy palą papierosy, patrzą na buńczuczny świat, lecz nie robi on na nich wrażenia.

Po drugiej stronie Sawy rzucają długie cienie wieżowce i betonowe budynki mieszkalne z epoki komunistycznej utopii o tak atrakcyjnych nazwach, jak Blok 34, Blok 8, Blok jakiś-tam. Wydają się bardziej rzeczywiste niż utopia ekskluzywnych butików wzdłuż alei Kniazia Michała. W tych osiedlach życie nie jest olśniewające, a moda prowokuje zazdrość i pogardę.

Wynajęłam pokój w hotelu, który był dawniej jednym z tysiąca hoteli prowadzonych na całym świecie przez dziesięć korporacji. Posłużyłam się niemieckim paszportem, a recepcjonistka zawołała łamanym *Deutsch*:

– Ach, witamy tu pana bardzo!

Pokój, inaczej niż w Edirne, był przestronny, jednolicie umeblowany i odznaczał się jasnym, luksusowym wystrojem, którego oczekują głupawi turyści z Europy, zbyt zmęczeni, by się zastanawiać, gdzie jest czajnik, lub oglądać cokolwiek innego niż wiadomości CNN i powtórki *Kryminalnych zagadek Las Vegas*. Zamknęłam walizkę w schowku, włożyłam do kieszeni kilkaset euro, wsunęłam po pachę dossier Kepler i poszłam szukać kawiarenki internetowej.

*

Na czternastej stronie dossier Kepler znajdowała się fotografia mężczyzny.

Miał włosy ufarbowane na czarno, metalowe kolczyki w nosie, podbródki, uszach i policzkach, nosił T-shirt z białą czaszką. Gdyby nie silne okulary korekcyjne i podręcznik *Prüfungs gemacht Physik* widoczny w tle, natychmiast bym go zdyskwalifikowała jako typowego punka.

Podpis brzmiał: „Berlin, 2007. Johannes Schwarb. Krótkotrwały

pobyt, długotrwała znajomość?”.

Patrzyłam na lubieżny uśmiech widoczny na ozdobionej metalem twarzy i przeszył mnie dreszcz na myśl, że mogłam kiedykolwiek się zastanawiać nad zamieszkaniem w tym ciele, choćby na krótko.

Rozdział 17

Miał szesnaście lat, a ja dwadzieścia siedem i próbował mnie poderwać w nocnym klubie w Berlinie.

– Nie – powiedziałam.

– Chodź...

– Nie.

– Chodź, mała.

– Absolutnie nie.

– Chodź...

Bar był głośny, muzyka dobra. Nazywałam się Christina i lubiłam koktajl mojito, a Johannes Schwarb był naćpany.

Wyciągnął w moją stronę język jak zdychająca ryba, pokazując kolczyk wbity w różową tkankę.

– Młody człowieku – powiedziałam. – Jeszcze pół minuty i będziesz miał kłopoty.

Wydaje się, że Johannes nie zrozumiał moich słów, choć były prawdziwe, i ocierał się o stołek stojący obok mnie, wykorzystując te części ciała, nad którymi jeszcze panował. Nie miał odwagi ocierać się o nic żywego, musiał się zadowolić meblami. Przez krótką chwilę zastanawiałam się, czy nie zrobić czegoś niewyobrażalnego – chwycić jego głowę i wsunąć mu język do gardła, by się przekonać, co się stanie.

Prawdopodobnie odruchowo by mnie ugryzł z powodu szoku. Pozostawienie Christiny w tym klubie ze spuchniętym językiem i smakiem wódki w ustach wydawało się niesprawiedliwe.

Do Johannesesa podbiegła nagle jego przyjaciółka. Miała piętnaście lat i płakała. Szarpnęła go za rękaw i zawołała:

– Są tutaj!

– Dziecko! – jęknął. – Nie widzisz, że jestem... – Gest próbujący opisać wszystko: krzywizny mojego ciała, fason sukienki, morderczy wyraz moich oczu.

– Są tutaj! – syknęła. – Chcą kasy!

Rozejrzała się po parkiecie, a on podążył za jej wzrokiem. Przekręcił się i o mało nie upadł, próbując ustalić źródło zagrożenia. W białkach jego oczu wiły się czerwone naczynia krwionośne.

Po parkiecie kroczyło trzech mężczyzn, których wygląd świadczył, że impreza jest dla nich jedynie źródłem dochodów, nic więcej. Na ich twarzach malowała się żelazna determinacja. Johannes pisnął, uniósł ręce, ukazując kolczyk w pępku, i wrzasnął:

– Hej, sukinsyny! Weźcie sobie tę kasę!

Jeśli trzech dżentelmenów usłyszało jego słowa, nie zrobiły one na nich żadnego wrażenia.

– Musisz uciekać! Proszę, szybko! – szepnęła przyjaciółka Johanna, ciągnąc go za rękaw.

– Pierdolcy! – ryknął z twarzą pełną ekstazy. Wyobrażał sobie jakieś cudowne rozwiązanie całej sytuacji, którego nikt inny nie dostrzegwał. – Chodźcie! No, chodźcie!

Grzecznie stuknęłam w ramię dziewczynę, po której twarzy spływały łzy.

– Narkotyki? – spytałam.

Nie odpowiedziała, nie musiała. Johannes ryknął. W ręce jednego z nadchodzących mężczyzn błysnął nóż.

– W porządku – mruknęłam i położyłam dłoń na ramieniu Johanna.

Przesiadka do pijanego ciała to bardzo nieprzyjemne przeżycie. Zauważyłam, że proces picia pozwala się uodpornić na efekty upojenia alkoholowego. Umysł stopniowo przyzwyczaja się do tego, że pokój się kołysze, skóra piecze, żołądek ogarniają skurcze. Ciało głośno ostrzega, że alkohol to trucizna, ale powolne narastanie stanu upojenia nie pozwala uznać tego, co się dzieje, za całkowite zło.

Przeskok z trzeźwego organizmu do ciała pozostającego pod wpływem substancji odurzających, których natury nie chciałam nawet dociekać, przypominał nagłą przesiadkę z kłusującego kuczka do pędzącego pociągu.

Moim ciałem wstrząsnął dreszcz, a palce zacisnęły się na blacie baru, gdy próbowałam odzyskać panowanie nad sobą. Czułam w ustach smak żółci, pękała mi głowa. „Jezu Chryste...” – syknęłam, a kiedy

zobaczyłam przed sobą Christine, która chwiała się z otwartymi oczyma, przycisnęłam dłonie do skroni, odwróciłam się i rzuciłam do ucieczki.

Dotyk skóry nieznanymi ludźmi sprawiał, że przeszywały mnie dreszcze podobne do uderzeń prądu elektrycznego: przebiegały przez moje ramiona, docierały do żołądka i sprawiały, że kołysał się niczym fale wzburzonego morza. Słyszałam krzyki dziewcząt i widziałam uciekających chłopców; wpadłam na mężczyznę o skórze o barwie kawy i oczach koloru awokado, wyjątkowo przystojnego – miałam ochotę natychmiast wskoczyć w jego ciało, niech diabli porwą Johannesesa.

Drzwi przeciwpożarowe były zamknięte tylko na klamkę, alarm zaś już dawno wyłączono, by palacze, wächacze i podrywacze mogli wychodzić na uliczkę biegnącą na tyłach klubu. Potknęłam się, zapomniawszy, że nie mam na sobie sukienki ani modnych butów Christiny. Wdrapałam się po schodach na ulicę, dotarłam do najbliższego pojemnika na śmieci, oparłam czoło o chłodny, śmierdzący metal i z ulgą obficie się wyrzygałam.

Zatrzasnęły się za mną drzwi przeciwpożarowe.

– Już nie żyjesz, Schwarb! – rozległ się głos.

Uniosłam głowę i zobaczyłam pięść, która uderzyła w twardą kość pod moim okiem. Upadłam, szorując dłońmi po asfalcie. Kręciło mi się w głowie i dzwoniło w prawym uchu; wykasłałam trochę rzadkiej żółci.

Trzej młodzi ludzie mieli dziewiętnaście, co najwyżej dwadzieścia lat. Nosili podróbki markowych ubrań sportowych: workowate spodnie i obciste poliestrowe T-shirty, które podkreślały ich niezbyt imponujące mięśnie.

Zamierzali mnie zmasakrować, a ponieważ kręciło mi się w głowie, zupełnie nie rozumiałam dlaczego.

Usiłowałam wstać, lecz jeden znów zamachnął się pięścią i trafił mnie w policzek. Uderzyłam głową w ziemię – miało to swoje zalety, ponieważ w pozycji leżącej nie mogłam upaść niżej. Jeden z napastników musiał dojść do tego samego wniosku, bo chwycił mnie za kołnierz koszuli i próbował postawić na nogi. Instynktownie chwyciłam go za nadgarstki, a kiedy rozszerzył oczy i nozdrza, wbiłam mu palce w skórę i skoczyłam.

Trzymałam Johannesesa i mocno biło mi serce. Chryste, chciałam

kogoś uderzyć, koniecznie chciałam kogoś walnąć, całe moje ciało dygotało od adrenaliny i pomyślałam – dlaczego nie, do cholery?!

Puściłam Johannesesa, który upadł na ziemię, po czym uderzyłam w podbródek swojego najbliższego towarzysza, wkładając w cios cały ciężar ciała, napinając kolana, biodra, barki i ramiona. Usłyszałam trzask pękającej szczęki i stuknięcie zębów o zęby, a kiedy upadł do tyłu, wskoczyłam mu na pierś, wrzeszcząc głosem, który niedawno przeszedł mutację. Waliłam go z całych sił pięściami i czułam, że mam krew na kostkach rąk, choć nie byłam pewna, z czyjego ciała pochodzi. Trzeci chłopak chwycił mnie za szyję, wykrzykując imię, które musiało należeć do mnie. Kiedy ściągnął mnie ze zmasakrowanego ciała, na którym siedziałam, złapałam rękę otaczającą moją szyję i znów się przesiadłam.

Trzymałam przeciwnika za szyję prawą ręką, a później objęłam go jeszcze lewym przedramieniem i zwiększyłam nacisk. Oszołomiony, dezorientowany dwudziestolatek wił się i wierzgał, próbując się uwolnić. Kopnęłam go w lewe kolano, a kiedy upadł, jeszcze bardziej zwiększyłam nacisk, aż wytrzeszczył oczy i przestał stawiać opór, po czym wreszcie

puściłam go

i popatrzyłam na Johannesesa, dysząc ciężko.

Siedział na ziemi, z dużego rozcięcia na twarzy spływała mu krew, miał brudne, podrapane dłonie i spoglądał na mnie z otwartymi ustami i wybałuszonymi oczyma. Popatrzyłam na dwóch napastników leżących na asfalcie i spostrzegłam, że szybko nie wstaną. Zerknęłam na Johannesesa. Drżały mu wargi; najwyraźniej nie wiedział, jak zareagować. Kiedy znalazł wreszcie właściwe słowa, powiedział coś niespodziewanego.

– O mój Boże! – szepnął. – To było zajebiste!

Rozdział 18

Wydarzyło się to wcześniej.

Belgrad, ciało mężczyzny, który mógł się nazywać Nathan Coyle albo inaczej.

Poszłam do kawiarenki internetowej za ciemną kopułą katedry Świętego Sawy, zapłaciłam za godzinę, otworzyłam paczkę herbatników i weszłam do internetu.

Potrzebowałam hakera.

Kiedy w sieci pojawił się Johannes Schwarb, posługiwał się zupełnie inną tożsamością.

Christina 636: Hi, JS.

Spunkmaster13: OMG! Co u ciebie?

Christina 636: Potrzebuję przysługi.

Rozdział 19

Kolejne fotografie w teczce Kepler.

Twarze i wspomnienia. Oglądane miejsca, odwiedzeni ludzie.

Wyjęłam z teczki jedno ze zdjęć.

Horst Gubler, obywatel Stanów Zjednoczonych. Pierwszy kontakt z Kepler 14 listopada 2009 roku.

Aktualne miejsce pobytu: Hospicjum Dominico, Słowacja.

Miło ze strony Słowaków.

Nikt inny by go nie przyjął.

*

Podróż pociągiem z Belgradu do Bratysławy zajmuje dwanaście godzin.

Samolot pokonuje tę trasę błyskawicznie.

Ale w samolocie można utknąć i ma się znacznie mniej możliwości niż w pociągu, którym jedzie tysiąc dwustu zmęczonych pasażerów.

A przemykanie pistoletu... pociąg wydawał się prostszym rozwiązaniem.

Złapałam pociąg z Belgradu do Bratysławy. Odjeżdżał o szóstej czterdzieści osiem.

*

Notatki w pociągu z Belgradu:

Mieszmasz wagonów i przedziałów, niektóre serbskie, słowackie i węgierskie, w większości czeskie. Zaskakująco dużo miejsc dla niepełnosprawnych, choć żadnych nie widać. Cały wagon przeznaczono dla pasażerów z dziećmi poniżej dziesiątego roku życia, ponieważ ktoś doszedł do mądrego wniosku, że spędzenie dwunastu godzin w towarzystwie płaczącego niemowlęcia może każdego doprowadzić do zbrodni. W wagonie restauracyjnym można kupić kanapki, zupę, herbatę, kawę, herbatniki, kalafiory i kapustę, wszystko starannie podgrzane w mikrofalówce, by zadowolić klientów. Pociąg przekracza

trzy granice państwowe, choć paszporty zostają sprawdzone tylko raz. Gdyby nie drobne różnice w pisowni wyrazu „toaleta” na peronach, można by w ogóle nie zauważyć różnicy między krajami.

Kiedy przekraczaliśmy granicę między Serbią a Węgrami, włączyłam komórkę

należącą do tego ciała. Był jeden nowy esemes: *Eol*.

W dalszym ciągu żadnego numeru.

Znów wyłączyłam telefon, wyjęłam baterię i schowałam ją na dnie torby.

– Siedemset euro – odezwał się podróżny przy barze. – Po ostatniej podróży służbowej musiałem zapłacić rachunek na siedemset euro.

Myślałem, że Unia Europejska uporządkuje te sprawy. Myślałem, że próbują coś zmienić: to telefony na terenie Europy, jesteśmy jedną wielką rodziną, prawda? Jak mogą pozwolić operatorom telekomunikacyjnym robić takie rzeczy? Jak mogą pozwalać okradać ludzi i udawać, że wszystko jest okej? Wie pan, co było najgorsze?

Nie, co było najgorsze?

– Telefonowałem wyłącznie w sprawach firmy. Z prywatnej komórki, bo służbowa się zepsuła. A te sukinsyny nie chciały pokryć rachunku. Powiedzieli, że to moja wina. „To pańska wina, że nie zwrócił pan uwagi na ten punkt regulaminu; skoro popełnił pan błąd, nie może pan żądać od nas refundacji”. Kurwa, myślę, kurwa mać! Czym jest właściwie recesja?! Czym jest właściwie rząd?! Czy zawsze musimy płacić za cudzą chciwość i próżność? Ludzie tacy jak pan i ja są potrzebni tylko po to, by ich doić!

I co pan zrobił?

– Jak to co?! Rzuciłem tę zasraną robotę!

I jak panu idzie?

– Cholerne gówno. Wracam do domu, by zamieszkać z matką. Ma osiemdziesiąt siedem lat i myśli, że ciągle jest mężatką, głupia wiedźma. Ale co mam zrobić?

Kupiłam w wagonie restauracyjnym następną butelkę wody i opakowanie chipsów, po czym wróciłam na swoje miejsce i zapadłam w drzemkę, a tymczasem pociąg pędził wzdłuż Dunaju na północ, w stronę Słowacji.

Rozdział 20

Zamierzałam odwiedzić Horsta Gublera.

Nie dlatego, że go lubiłam, ale dlatego, że w którymś momencie autor dossier Kepler również go odwiedził. Gdybym miała szczęście, w czasie tej podróży mogłabym nawet nosić właściwą twarz.

*

Oto, jak poznałam Horsta Gublera.

– Chcę, żeby zapłacił – powiedziała.

Zaciskała dłonie na szklaneczce whisky, miała napiętą twarz, sztywne ramiona. Siedziała na tarasie białego drewnianego domu, gdy słońce zachodziło nad wierzbami płaczącymi.

– Chcę, żeby cierpiał – rzekła rozwlekłym akcentem z Alabamy.

Dotknęłam palcem krawędzi szklaneczki i nie powiedziałam ani słowa. Na horyzoncie widać było różowe smugi, warstwy chmur i słońca, chmur i słońca, rozciągające się aż do rzeki. Na sąsiednim domu powiewała flaga amerykańska; obok następnego stał wózek dziecięcy, a rodzice dziecka rozmawiali z sąsiadem o codziennych spawach. Prezydentem był Obama, nadeszła recesja, ale wydawało się, że w tym zakątku Stanów nikt się tym nie przejmuje.

Oprócz niej.

– Zgwałcił ją – powiedziała. – Zgwałcił ją i zgwałcił inne. Pieprzę to, co mówi na ten temat prawo, ponieważ to zrobił, a potem się wymigał i w przyszłości znowu się wymiga. Chcę, żeby Gubler zapłacił.

– Umarł? – spytałam.

Pokręciła głową, a jej gęste czarne loki zaczepiły o kołnierzyk.

– Zabójstwo to grzech, Biblia mówi to wyraźnie. Ale Biblia nie wspomina o wyczyszczeniu mu kont bankowych, odebraniu domu, pozbawieniu go przyjaciół i wysłaniu na koniec tego pieprzonego świata w worku pokutnym. Podobno potrafisz to zrobić. Podobno byłaś kiedyś selekcjonerką.

Wypiłam łyk whisky. Był to kiepski amerykański trunek, produkowany na gigantycznych farmach większych od przeciętnego angielskiego hrabstwa, reklamowany jako znakomity z myślą o ludziach, którzy wierzą, że noszenie biretu uniwersyteckiego oznacza rozumienie prawd uniwersalnych. Naprzeciwko mnie siedziała w białej koszuli i kremowej spódnicy Maria Anna Celeste Jones, której przodków porwano w Sierra Leone i której ojczyzną był stan Missisipi. Marzyła o zemście.

– Jak o mnie usłyszałaś? – spytałam.

– Ktoś nosił moje ciało. – Mówiła beznamiętnie, rzeczowo. – Byłam skórą. Tak to nazywacie, prawda? Miałam siedemnaście lat i znalazłam się w rynsztoku. Podszedł do mnie tamten facet. „Masz piękne oczy”, powiedział, a potem mnie dotknął. Zasnęłam, a kiedy obudziłam się sześć miesięcy później, na moim łóżku siedziała dziewczyna, która rzekła: „Dziękuję za przejażdżkę”. Pod łóżkiem leżało piętnaście tysięcy dolarów i list z Uniwersytetu Nowojorskiego, że zostałam przyjęta na studia.

– Pojechałaś?

– Spaliłam list. Dwa tygodnie później napisałam na uczelnię, że list zaginął na poczcie. Poprosiłam, by przysłali następny, a oni to zrobili. Pojechałam do Nowego Jorku i studiowałam prawo. Dowiedziałam się też innych rzeczy. Że istnieją ludzie, którzy przenoszą się z ciała do ciała, ale czasem mają ten sam adres mejlowy. Ten, który nosił moją skórę, nazywał się Guanyin i gdy opuścił moje ciało, zostawił adres mejlowy w hotelowym komputerze.

– Znam Guanyin – mruknęłam. – Ona... była rodzaju żeńskiego, gdy ostatnio sprawdzałam... jest niechlujna. Wiele widm jest niechlujnych. Czy... – zastanawiałam się nad właściwym doborem słów – ...zostawiła cię w takim samym stanie, w jakim cię znalazła?

Maria Anna Celeste Jones spojrzała mi prosto w oczy. Miała stalowy wzrok i żelazną wolę.

– On... ona... pieprzyła się z ludźmi moim ciałem. Jadła, piła, ukradła sześć miesięcy mojego życia, zrobiła sobie manicure, obcięła włosy, zostawiła mnie w jakimś mieście, którego nigdy wcześniej nie widziałam. Guanyin dała mi więcej pieniędzy, niż miałam w całym

swoim życiu, zapisała mnie na uniwersytet. Nigdy nie oglądałam się za siebie. Czyli odpowiedź brzmi: nie. Nie zostawiła mnie w takim samym stanie, w jakim mnie znalazła. Głupie pytanie, nie sądzisz?

Wypiłam łyk whisky, zastanawiałam się przez chwilę, odchrząknęłam.

– Ale nie chciałaś się zemścić.

– Nie. Na niej nie. Już nie. – Zaciśnęła palce na kieliszku. – Gubler. Guanyin cię poleciała. Powiedziała, że jesteś w tym dobra. Mówiła, że jesteś selekcionerką.

Przesunęłam palcem po krawędzi kieliszka, który lekko zadzwieczał. Nie byłam w stanie spojrzeć w oczy Anny Marii.

– Wy tłumaczyła, co to znaczy?

– Powiedziała wystarczająco dużo. Gubler jest bogaty, robi karierę, zamierza startować w wyborach do Kongresu i uzyskać mandat, bo jeśli nie kupi czegoś za pieniądze, zdobędzie to kłamstwem. Pomiała pracownikami zbierającymi fundusze, gwałci biedne czarne dziewczęta, bo wie, że ujdzie mu to na sucho, że wszyscy pozwalamy, by uchodziło mu to na sucho. Prawo. Wszyscy powinni być równi w obliczu prawa, ale niektórzy ludzie są przecież równiejsi, prawda? Jeśli chcę coś osiągnąć w życiu teraz, gdy należy do mnie, to załatwić Gublera. Zrób to dla pieniędzy, zrób to dla nagrody, zrób to dla zabawy albo dlatego, że potrzebujesz nowego pieprzonego ciała – nie obchodzi mnie, dlaczego to robisz. Po prostu to zrób.

Nie mówiła podniesionym tonem, spoglądała mi prosto w oczy. Jej słowa były nagraniem odtwarzanym w kostnicy, świadectwem zza grobu, dobrocią zakopaną dawno temu pod grubą warstwą mokrej ziemi.

Dopiłam whisky, odstawiłam kieliszek na stół i powiedziałam:

– Okej.

*

Cztery dni później miała na sobie błękitną suknię balową podkreślającą wąską talię, krągłość pośladków i miękki zarys nóg, a ja nosiłam ciało pozbawionego charakteru mężczyzny w nowym garniturze. Sprzedawał łatwowiernym ludziom kiepskie samochody i próbował ze mną swoich sztuczek. Staliśmy na schodach muzeum

poświęconego wielkiej bitwie wojny secesyjnej, gdzie z równym zapałem walczyli żołnierze wierzący w słuszność sprawy i ludzie, którzy znaleźli się na miejscu tylko dlatego, że sprzysięgły się przeciwko nim okoliczności. Z wnętrza budynku dobiegały dźwięki nieszkodliwej muzyki granej przez spokojny kwartet, szum kulturalnych głosów kobiet w szpilkach, brzęk kieliszków, szmer pieniędzy wypływających z ust jednych ludzi i absorbowanych przez uszy innych, gdy zawierano umowy i składano obietnice, których nie spisano jeszcze na papierze.

Maria Anna miała specjalne zaproszenie. Wyciągnęłam rękę, zachęcając ją do tańca, i spytałam:

– Mogę?

Jej twarz nie wyrażała żadnych uczuć, ale palce, które dotknęły mojej dłoni, lekko drżały.

Delikatnie uścisnęłam jej rękę i zauważyłam, że się zachnęła. Skoczyłam.

Sprzedawca samochodów zatoczył się lekko i jęknął, zdezorientowany, lecz wchodziłam już po schodach w obłoku tafty i perfum z różą, ze zbyt wysoko upiętymi włosami. Serce waliło mi w piersi tak szybko, że przez chwilę kręciło mi się w głowie. Zdawałam sobie sprawę, że bije z powodu zdenerwowania Marii Anny, gdy przed chwilą ze mną rozmawiała.

A jednak wzięła mnie za rękę.

Wyjęłam zaproszenie, prawie nie patrząc na chłopaka, który je ode mnie wziął. Przepuścił mnie, gapiąc się na noszone przeze mnie ciało. Maria Anna, wysoka i wdzięczna, z perłą podkreślającą smukłość łabędziej szyi, ze spoconymi dłońmi – fizjologiczna reakcja na zbyt długo tłumiony stres. Kiedy weszłam do głównej galerii muzeum, ujrzałam gości w smokingach i sukniach, którzy krążyli wśród żeliwnych armat, pomników poległych i szklanych gablotek – jedna zawierała pistolety generała, inna mundur pułkownika poległego w czasie szarży, jeszcze inna sztandar regimentu wybitego do nogi przez artylerię na jakimś wzgórzu. Goście rozmawiali na tle pamiątek historycznych jak postacie z wczorajszych wiadomości telewizyjnych.

Wzięłam kieliszek szampana z tacy niesionej przez przechodzącego kelnera, po czym ruszyłam w stronę ekspozycji

ziarnistych, brązowych fotografii o tematyce wojskowej. Popijałam trunek i czekałam, a moje serce się uspokoi. Nadciśnienie powoli ustępowało, mięśnie miałam straszliwie napięte, nerwy prawie nie były w stanie przesyłać bodźców. Rozejrzałam się po twarzach gości, szukając Horsta Gublera otoczonego grupką podziwiających go fanów.

Nie musiałam długo szukać. Otaczający go hałas przypominał huk przyboju i w odróżnieniu od normalnych uczestników przyjęcia to nie on musiał szukać towarzystwa, lecz towarzystwo szukało jego.

Przepchnęłam się do przodu, olśniewająco się uśmiechając, aż stanęłam blisko, trochę z boku, i słuchałam opowiadanych przez niego anegdot o tym, jak złowił rybę, poznał ministra albo podziwiał zachód słońca nad saudyjskim polem naftowym. Publiczność wybuchała śmiechem, lecz ja milczałam, co zwracało na mnie powszechną uwagę.

Gubler obejrzał mnie od stóp do głów. Wpatrywał się w moje ciało, aż wreszcie uśmiechnął się z zadowoleniem, bo mnie poznał. Kiedy zobaczyłam jego uśmiech, poczułam skurcz żołądka.

– Witam! Witam! Doskonale panią pamiętam – rzekł.

Chociaż nic mi nie dolegało, a moje ciało dwa lub trzy razy w tygodniu uprawiało ćwiczenia fizyczne i rozsądnie się odżywiało, miałam w ustach smak żółci. Szybko wyciągnęłam rękę w stronę uśmiechniętej, niepewnej twarzy i odparłam:

– Tak, ja też pana pamiętam.

Uścisnął mi dłoń.

*

Później, gdy przypominano sobie przemówienie Horsta Gublera w muzeum, ludzie o tolerancyjnym nastawieniu twierdzili, że zachowywał się dość dziwnie, zupełnie inaczej niż zwykle. Osoby skłonne do surowszych ocen – a także prasa – utrzymywali, że musiał być pijany, bo jego zachowania nie można wytłumaczyć w inny sposób.

Wszyscy, niezależnie od osobistych uprzedzeń i inklinacji, zapamiętali początek przemówienia, unieśmiertelniony w gazetach całego stanu.

– Sie ma, kutasy! – zawołało ciało Gublera i uciszyło zgromadzonych, uderzając srebrną łyżeczką w kryształowy kieliszek. –

Bardzo się cieszę, że tu jesteście, bardzo się cieszę! Chcę powiedzieć jedno, nim zaczniemy dzisiejszą uroczystość. Prezydent Obama to pieprzony pedał!

Trzy dni później leciałam samolotem do Słowacji z jego paszportem w ręce i kartami kredytowymi w kieszeni. Z aktywów Gublera – okazało się, że to zaledwie milion osiemset tysięcy dolarów i mnóstwo fanfaronady – dwadzieścia tysięcy trafiło na szwajcarskie konto bankowe anonimowego podróżnika krążącego po świecie, osiemdziesiąt tysięcy do jego byłej żony, a reszta, wraz z pozostałymi składnikami majątku, do organizacji charytatywnej pomagającej ofiarom gwałtów, brutalnych napadów i przemocy w rodzinie. Byli tak wdzięczni, że wysłali mi mosiężną tabliczkę z wygrawerowanym podziękowaniem, którą przekazałam wraz z pozdrowieniami Marii Annie Celeste.

Rozdział 21

Słowacki?

Ani słowa.

Znam francuski, niemiecki, rosyjski, chiński (w wersji mandaryńskiej), japoński, angielski, suahili, malajski, arabski, turecki, perski i włoski. Dzięki temu rozumiem również wiele podobnych języków, choć rozumienie nigdy nie oznacza umiejętności udzielenia odpowiedzi.

Węgierski? Czeski?

Nic a nic.

Tylko kilka zapożyczonych słów – toaleta, TV, karta kredytowa, internet, mejl – które pojawiły się zbyt szybko i zbyt późno, by językoznawcy zdołali wymyślić coś lepszego.

*

Wysiadłam z pociągu kilka stacji przed Bratysławą.

Kiedy po raz pierwszy odwiedziłam Słowację, był to piękny kraj wielkich rzek, ogromnych pól na żyznych równinach, porośniętych sosnami gór wznoszących się na widnokręgu i dalekiego brzęku dzwonek na szyjach krów w szarobłękitnych dolinach o zachodzie słońca. Chyba nawet noszono tradycyjne stroje – choć w owych czasach tradycja nie była jeszcze gloryfikowana jako romantyczna idea.

Komunizm, jak zwykle, nie był łaskawy dla tej idylli. W małych prowincjonalnych miejscowościach, gdzie niegdyś stały kamienne domy i starannie utrzymane kościoły, teraz dumnie wznosiły się przysadziste bloki mieszkalne i betonowe hale zakładów przemysłowych, które popadły w ruinę prawie natychmiast po oddaniu do użytku. Rzeki, dawniej czyste, płynęły powoli przez równinę, pokryte grubą warstwą zielonych szumowin, których nie dawało się usunąć. Kraj wciąż był bardzo piękny, lecz szpeciły go pozostałości zbyt ambitnych marzeń o industrializacji.

Zatrzymałam się na nocleg i śniadanie w mieście o nazwie niemożliwej do wymówienia. W dni powszednie autobusy do Bratysławy kursowały co trzy godziny, w niedziele dwa razy dziennie. Jeden kościół, jedna szkoła, jedna restauracja i jeden supermarket na skraju miasta, sprzedający oprócz wędlin i ryb także meble ogrodowe, wyposażenie łazienek i niewielkie samochody elektryczne.

Zatrzymałam się w pensjonacie prowadzonym przez słowackie małżeństwo. Drugi pokój zajmowała para austriackich rowerzystów, którzy pedałowali przez równiny Europy. Oczekałam, aż mieszkańcy budynku pójdą spać, po czym wyszłam w mrok.

W miasteczku znajdował się jeden kościół i jeden bar.

W barze grano z CD piosenki pop z lat osiemdziesiątych. Na parkiecie ocierały się o siebie nastolatki desperacko pragnące uciec z prowincji, zbyt podniecone, by wrócić do domu, zbyt bojące się partnerów, by naprawdę zdecydować się na seks.

Rozejrzałam się, szukając osoby, która mogłaby być zainteresowana seksem, i zauważyłam dziewczynę siedzącą z dala od parkietu i obserwującą go z ciemności. Zajęłam miejsce naprzeciwko niej i spytałam, czy mówi po angielsku.

Trochę, odpowiedziała.

W jej fachu trochę angielskiego całkowicie wystarczało.

Postawiłam jej drinka, którego ledwo spróbowała.

Okazało się, że zna angielski lepiej, niż twierdziła, a później odkryłyśmy, że fantastycznie mówi po francusku. Spytała, gdzie się zatrzymałam.

W pensjonacie.

Pensjonat się nie nadaje, odparła. Jeśli jesteś zainteresowany, znam spokojne miejsce.

Spokojne miejsce byłoby idealne.

Właśnie tego potrzebowałam.

*

Mieszkała na samym skraju miasta. Ciężko zatrzasnęły się za nami drzwi frontowe, na ścianach wisiały fotografie leciwych babek, które dumnie opierały ręce na ramionach synów.

W pokoju było łóżko, biurko, kilka tandetnych obrazków powieszonych na ścianach przez lokatora parę pokoleń wcześniej. Nie podobały mu się na tyle, by je zabrać, a leniwy gospodarz pozostawił je na ścianach. Pod łóżkiem leżały książki o ekonomii, chemii, matematyce. Na niewielkim biurku stały talerze pokryte pleśnią, a obok wały się kawałki folii ze śladami pudru. Odsunęła kopniakiem książki, zdjęła żakiet i spytała, czy jestem gotowy.

Cięcia na jej przedramieniu były wąskie, lecz widoczne. Schłodne rzędy cienkich białych blizn na nadgarstkach dochodzące do łokcia, spłowiałe i stare, brzydkie od rozdrapywania. Spytałam, ile ma lat.

Pokręciła głową.

Jesteś gotowy?

Uśmiechnęłam się. A może jakaś perwersja? – spytałam.

Najpierw dałam jej kluczyk, potem wyjęłam kajdanki. Nie należy robić niewłaściwego wrażenia. Przez chwilę wydawała się zaszokowana, ale profesjonalizm sprawił, że szybko się uśmiechnęła, a potem skinęła w stronę łóżka i powiedziała: „Kładź się!”.

Położyłam się na łóżku i pozwoliłam przypiąć prawą rękę do zagłówka. Kiedy pochyliła się nade mną, by mi się przyjrzeć, chwyciłam ją wolną ręką za lewy nadgarstek i skoczyłam.

– Hej, posłuchaj, chyba powinniśmy porozmawiać – odezwałam się, a ciało leżące na łóżku mrugało zmętniałymi oczami.

Rozdział 22

Swędziały mnie blizny na ramionach.

Pod rajstopami miałam świeże rany na wewnętrznej stronie ud. Ciągłe mnie piekły, prosiły o skalpel i przetarcie środkiem antyseptycznym.

Nathan Coyle – a przynajmniej człowiek posługujący się kanadyjskim paszportem na to nazwisko – leżał przykuty kajdankami do łóżka. Usiadłam obok niego, założyłam nogę na nogę, wsparłam dłoń podbródek i powiedziałam:

– Masz kilka esemesów.

Skupił na mnie wzrok i stopniowo rozjaśniło mu się w głowie. Zacisnął zęby, napiął palce.

– Domyślam się, że sprawdzają, co się z tobą dzieje – ciągnęłam. – Pierwsza wiadomość to *Kirke*, a druga *Eol*. Nie miałam pojęcia, komu wysłać odpowiedź ani co napisać, więc milczałam. Twój koleś musi już wiedzieć, że masz kłopoty. To dla ciebie dobra wiadomość, chyba że cię zastrzelę, jak ty zastrzełeś Josephine.

Leżał bez ruchu. Na wznak. Przykułam mu ramię do szczytu łóżka pod niewygodnym kątem, ale był twardym gościem. Tacy jak on się nie wiercą.

– Czytałam akta Kepler – dodałam, walcząc z pokusą podrapania się po ramionach. – Większość informacji się zgadza – jestem pod wrażeniem – ale ty się tam nie pojawiaasz, a z moich wspomnień wynika, że nigdy nie dotykałam twojego ciała aż do chwili, gdy do mnie strzelałeś. Nie jest to zatem sprawa osobista. Spotkałeś wcześniej jakieś widma, Coyle?

Milczenie.

Oczywiście.

Twardzi faceci poradzą sobie ze wszystkim. Budzą się skuci kajdankami w obcym otoczeniu, strzelają do kobiet na dworcach, widma przejmują ich ciała i wożą je przez pół Europy.

– Zastanawiałam się, czy cię nie okaleczyć – szepnęłam, prawie nie zwracając uwagi na wypowiedane słowa, i z zadowoleniem spostrzegłam, że w twarzy Coyle’a coś drgnęło. – Oczywiście nie w chwili, gdy przebywałam w twoim ciele: nigdy nie przepadałam za takimi ekscesami. Ale ciągle mam nadzieję, że twoi koledzy – kimkolwiek są – mogą się wahać, czy cię zabić, bo zastrzeliłeś moją Josephine, i to wahanie może uratować mi życie.

Milczenie.

– W Edirne zadałam dwa pytania. Spędziwszy trochę czasu w twoim ciele, mam ich więcej, choć kierunek śledztwa się nie zmienił. Dla kogo pracujesz i dlaczego kłamali o Josephine?

Uniósł się, tylko troszeczkę, i po raz pierwszy spojrzął mi prosto w oczy.

– To kłamstwo – ciągnęłam. – Większość dossier jest zgodna z prawdą, ale fragment na temat Josephine to kłamstwo. Twoi mocodawcy chcieli, by zginęła tak samo jak ja. Dlaczego, jak sądzisz? Kim są osoby, które rzekomo zamordowała? Ludzie zawsze usiłowali zabijać istoty mojego gatunku, robili to przez wieki. To nieuniknione ze względu na naszą naturę. Trafiłeś Josephine w nogę, a potem strzeliłeś jej dwa razy w pierś, chociaż uciekłam, chociaż wiedziałeś, że uciekłam. Nie rozumiem dlaczego. Chcę, żeby to się dobrze skończyło. Jesteś mordercą, ale nie działałeś sam. Żyjesz, bo jesteś moim jedynym tropem.

Czekałam.

On także.

– Chcesz się zastanowić – podsumowałam. – Rozumiem. – Dotknęłam palcami miękkiej skóry przedramion. Wyczułam blizny i znów miałam ochotę się podrapać. Odsunęłam rękę i wstałam, mając nadzieję, że zapomnę o tej potrzebie. Uśmiechnęłam się. – To ciało... – skinęłam ręką w swoją stronę – ...ma może siedemnaście lat. Samouszkodzenia, narkotyki, prostytutka i podręczniki szkolne pod łóżkiem. Oczywiście to nie mój problem. Zatrzymałam się w nim na krótki odpoczynek, to nie moja sprawa. Powiedz mi: podoba ci się to, co widzisz?

Czy twardzi faceci mają opinie?

Nie wydawało się, że Coyle je ma.

Może zdolność tłumienia strachu wywoływała również tłumienie myśli.

– Namyśl się, a ja spokojnie posprzątam – powiedziałam.
I właśnie tym się zajęłam.

Wrzuciłam brudne kawałki folii do plastikowej torby, zmiotłam okruchy z biurka, otworzyłam okno, wpuszczając chłodne nocne powietrze. Poprawiłam książki, poskładałam ubrania, które wypadły z koślawej szafy, wyrzuciłam dwie pary rajstop z monsturalnymi dziurami. Wyprostowałam tandetne obrazki na ścianie, przeszukałam szuflady, znalazłam dwie niewielkie paczuszki, jedną z marihuaną, drugą z kokainą, po czym wyrzuciłam je do śmieci. Dolna szuflada była zamknięta na klucz. Wyważyłam ją nożem kuchennym i wyjęłam dobrze utrzymane nożyczki medyczne, bandaże i jeden srebrzysty skalpel. Zawahałam się, a później wyrzuciłam ostre narzędzia i zostawiłam bandaże.

Coyle obserwował mnie z łóżka, napięty jak kot, cichy jak zwierzę czające się w mroku.

Jego spojrzenie mnie rozpraszało. Kiedyś stałam przed amerykańską Izbą Reprezentantów, opowiadałam żarty i panowałam nad sobą, ale wtedy nosiłam garnitur za dwa tysiące dolarów, jadłam lunchy za dwieście i zachowywałam się fantastycznie, bo tego się po mnie spodziewano.

Ta dziewczyna – kimkolwiek była – nie była fantastyczna. Kryła się w swojej kruchości, zwinięta w kłębek w chudym ciele, w podartych rajstopach, z poranionymi rękami, z łopatkami sterczącymi jak skrzydełka kurczaka, opuszczonym podbródkiem i napiętą szyją – wszystko to było dla niej równie naturalne jak noc. Mimo to Coyle w dalszym ciągu mnie obserwował, nie dziewczynę, tylko mnie, i żadne zasłanianie oczu ani odwracanie twarzy nie zmieniły przedmiotu jego zainteresowania.

Niepokojące. Nieprzyjemne i nietypowe. Ekscytujące.

Skupiłam się na sprzątaniu, próbując doprowadzić pokój do porządku starannie przemyślanymi ruchami. Sprzątanie sypialni to przedłużenie toalety osobistej, wymiana mebli i ubrań. Każdy potrzebuje hobby, a moim hobby są ludzie.

– Jesteś arogancką suką – odezwał się nagle Coyle.

– Mój Boże, on mówi! – wykrzyknęłam.

– Babrzysz w jej życiu, kurwa...

– Wolno mi przerwać, nim zaczniesz mówić zbyt emocjonalnie?

Chcę z tobą porozmawiać. Ponieważ nie możesz myśleć, gdy mieszkam w twoim ciele, potrzebuję innego gospodarza, by móc nawiązać z tobą konwersację. Nie zaprzeczam, że łatwo się nudzę i w naturalny sposób traktuję noszone ciała jak rodzaj wyzwania, projektu wymagającego realizacji. Niektórzy robią na drutach, inni uprawiają jogę. Gdybym miała w niej mieszkać przez dłuższy czas, z pewnością zajęłabym się jogą – czuję, że przydałoby się to moim kolanom. Ale przebywam w niej tylko chwilowo, więc robię, co mogę, a ty, zamiast wygłaszać uwagi na temat mojej potworności, powinienesz czuć ulgę, że sprzątam i wyrzucam prochy, a nie wydrapuję ci oczu paznokciami.

Znów zamilkł.

Usiadłam na końcu łóżka, podciągnęłam kolana pod brodę, objęłam pokiereszowanymi ramionami chude nogi i popatrzyłam w szare, ciemne oczy Coyle'a.

– Rozszarpujesz ludzi na strzępy – rzekł w końcu.

– Tak, to prawda. Nie zaprzeczam. Przechodzę przez ich życie i kradnę to, co znajduję. Ciała, czas, pieniądze, przyjaciół, kochanków, żony – biorę to wszystko, jeśli chcę. Czasami składam ich w innym kształcie. Ta skóra – trąciłam niesforny kosmyk włosów za uchem – obudzi się za kilka minut, przestraszona i zdezorientowana, bo nagle znikło kilka godzin jej życia. Będzie myśleć, że ją zgwałciłam, może odurzyłam, zrobiłam coś z jej ciałem, jej rzeczami, które są jedynym symbolem jej osiągnięć życiowych – podobnie jak w przypadku większości ludzi. Będzie przerażona nie z powodu bólu, lecz dlatego, że ktoś wdarł się do jej mieszkania. Może robić różne rzeczy w samotności. Może się tnie, szprycuje koką, pije, a potem sprowadza faceta, który płaci za to wszystko. Tak naprawdę nie wiem. Ale musimy porozmawiać.

Lekki oddech.

– Rzeczywiście?

– Mogłabym z łatwością polecieć z tobą do Chin z pięcioma

kilogramami heroiny przyklejonymi do ciała, a potem wpaść w czasie kontroli na lotnisku. Jeśli ze mną porozmawiasz, możesz mieć szansę.

– Kradniesz życie, kradniesz prawo wyboru – jej wyboru.

– Nie w tej chwili. Za kilka godzin odzyska swoje ciało, a ja zniknę. Kilka minut, kilka sekund i wszystko się zmieni. Albo nic.

Ważne jest to, co człowiek robi, gdy nadchodzi ta chwila.

– Złodziej to złodziej.

– A morderca to morderca. To rozwinięcie twojego argumentu, prawda?

Poruszył się lekko na łóżku.

– Czego chcesz?

– Zabiłeś Josephine – odpowiedziałam. Mój głos był szeptem w chłodnym półmroku. – Wiesz, jak to odbieram. Dlaczego chciałeś mnie zabić, Coyle?

– Ty mi powiedz.

– Czasami łatwiej walczyć niż rozmawiać.

– Rozmawiałabyś z wirusem ospy?

– Gdyby ten wirus mógł mi opowiedzieć o epidemiach, które widział, o wielkich ludziach, których odwiedził, o dzieciach, które przeżyły, i matkach, które umarły, zafundowałabym mu obiad i weekend w Monako. Nie porównuj mnie do sekwencji DNA w białkowej otoczce, takie argumenty są poniżej godności nas obojga. Twoje paszporty, pieniądze, broń; wszystko jasno wskazuje, że należysz do dużej, sprawnej organizacji. Utrzymujesz się w doskonałej kondycji fizycznej – obawiam się, że nie przestrzegałam diety ani nie robiłam pompek. Zabijasz ludzi takich jak ja. – Westchnęłam. – Domyślam się, że robisz to po prostu dlatego, że istniejemy. Myślisz, że jesteś pierwszy? Prędzej czy później ktoś zawsze próbuje. Ale nie można nas zniszczyć, bo jesteśmy uparci jak śmierć. Dwa osobne kontynenty, dwie całkowicie różne ścieżki ewolucji i powstają funkcjonalnie identyczne gatunki sępa, bo natura wypełnia próżnię. Niezależnie od tego, ilu nas zabijecie, ciągle powracamy jak czkawka natury. Oto jak wygląda sytuacja – ciągnęłam.

– Zabiłeś moją gospodynię, którą kochałam. Może ci trudno w to uwierzyć, ale naprawdę kochałam Josephine Cebulę, a ty ją zabiłeś. Zabijeś ją dlatego, że w dossier znajdowała się informacja, że jest nie

tylko gospodarzem, lecz również morderczynią. To kłamstwo. Twoi szefowie cię oszukali. Tylko to jest czymś nowym.

– Dossier nie kłamało – odpowiedział. – Josephine Cebula musiała umrzeć.

– Dlaczego?

– Wiesz dlaczego.

– Zupełnie nie wiem. Nazwiska w aktach – jej rzekome ofiary – Tortsen Ulk, Magda Müller, James Richter, Elsbet Horn. Nigdy wcześniej o nich nie słyszałam, zamordowano ich brutalnie, w sadystyczny sposób. Josephine nie mogła ich zabić. Nie miała motywu, możliwości ani środków. Wiedziałbyś o tym, gdybyś sam wszystko sprawdził. Była moją skórą, tylko tyle i aż tyle. – Nie patrzył mi w oczy. Chwyciłam go za podbródek i obróciłam mu głowę, zmuszając, by na mnie spojrzał. – Powiedz, dlaczego musiała umrzeć.

– Galileusz – odparł. Zamarłam, trzymając go mocno za podbródek. Wydawał się zdziwiony, że się odezwał. – Z powodu Galileusza.

– Kim jest Galileusz?

– „Santa Rosa” – rzekł. – To właśnie był Galileusz.

Zawahałam się, szukając czegoś w jego twarzy, czegoś więcej, i w tej samej chwili uderzył mnie w twarz lewą pięścią. Krzyknęłam, przewróciłam się na bok i spadłam z łóżka. Uklęknął, sięgnął po kajdanki i szarpnął obiema rękami stalowy łańcuch. Słupek na szczycie łóżka pękł z trzaskiem. Wstałam z wysiłkiem, a on usiłował kopnąć mnie w brzuch, lecz złapałam jego stopę. Kiedy uwolnił rękę, dotknęłam nogawki jego spodni, poczułam między palcami kostkę i to był koniec.

Rozdział 23

Zawsze jesteście tropieni.

Po raz pierwszy zetknęłam się z tą prawdą w 1838 roku. Było to w Rzymie i nigdy się nie dowiem, jak mnie odnaleziono.

Przyszli w nocy, mężczyźni w grubych skórzanych rękawicach i czarnych maskach nasączonych słodko pachnącą substancją, lekarze zadżumionych walczący z wyjątkowo dziwną zarazą. Mieli obwiązane sznurami ramiona, kostki i talie, bym nie mogła dotknąć palcami ich skóry. Dwóch siedziało mi na piersi, a trzeci umieścił na mojej szyi obrozę na metrowym kiju, po czym postawił mnie na nogi. Charczałam, wyrywałam się i wierzgałam, próbując dosięgnąć czyjejś ręki, włosa, stopy, palca – jakiegokolwiek kawałka ich ciała – ale byli ostrożni, bardzo ostrożni. Poprowadzili mnie w obroży ciemnymi ulicami jak wściekłego psa i ostrzegali się nawzajem: uważajcie, uważajcie, nie zbliżajcie się do demona, nie pozwólcie, by dotknął was palcami. W ciemności patrzyły na nas obojętnie posągi cesarzy rzymskich ze zniszczonymi twarzami, martwe bóstwa o ułamanych rękach, zapłakane oczy Najświętszej Marii Panny, a zakapturzeni mężczyźni kroczyli ze mną brukowanymi zaułkami obok pochylonych, cuchnących domów.

W kamiennej celi w kamiennej wieży wybudowanej przez dawno zmarłego Rzymianina i odnowionej przez dawno zmarłego Greka przykuto mnie żelaznymi kajdanami do drewnianego fotela, tak że nie mogłam się poruszać. Później przyszli księża i lekarze, żołnierze i kaci, którzy bili mnie długimi pałkami, okadzali moją twarz i mówili: „Zgiń, przepadnij, zły duchu! W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, wypędzamy cię! Zgiń, przepadnij!”.

Trzeciego dnia od schwytania do mojej celi weszło trzech zamaskowanych mężczyzn, prowadząc kobietę z oczami zaczerwienionymi od płaczu. Na mój widok próbowała się rzucić do moich stóp, całować moje związane ręce okryte rękawiczkami, lecz strażnicy nie pozwolili jej przekroczyć linii z soli rozsypanej wokół

krzesła, na którym siedziałam.

Płakała i krzyczała: „Mój synu, mój synu, jaki demon cię opętał?!”.

Gdyby nie połamali mi żeber, nie zatruli lekarstwami i nie karmili tylko wodą i wilgotnym chlebem za pomocą bardzo długiej łyżki, mogłabym odpowiedzieć: „Zrobili mi to ci mężczyźni, dobra matko. Zrobili mi to ludzie, których przed sobą widzisz. Zbliź się, by twoje ucho dotknęło moich warg, to ci opowiem”.

Ale zmasakrowali moje ciało i siedziałam wiotka i złamana, a kobieta płakała, zawodziła, wołała swojego syna i przeklinała demony. W końcu się uspokoiła, dostała kubek wina i łyk mocniejszego trunku, po czym usiadła na niskim stołku.

Później przywódca moich dręczycieli, mężczyzna w wielkim czerwonym kapturze i ogromnych szkarłatnych rękawicach, które rozszerzały się na nadgarstkach i były przywiązane do przedramion, ukląkł przed moją matką i rzekł:

– Twój syn nie żyje i jest w niebie. To, co widzisz, to szyderstwo z jego ciała, upiór, który zamieszkał w zgniłym trupie twojego syna. Moglibyśmy go zabić, nic ci o tym nie mówiąc, ale jesteś jego matką i powinnaś poznać potworności dokonane przez demona, bo masz prawo do wiedzy o losie swojego syna.

Usłyszawszy te słowa, kobieta znów się rozplakała, a ja prawie podziwiałam wielkoduszność i miłosierdzie okazane przez mordercę mojej matce.

– Ten demon mieszkał w ciele twojego syna i uprawiał rozpustę – ciągnął kat. – Spółkował z kobietami i mężczyznami. Udawał twoje dziecko, popełniał niezliczone grzechy, cieszył się swoją władzą, rozkoszował się złem. Musi umrzeć, bo każdy jego postępek hańbi pamięć twojego syna. Rozumiesz to, dobra matko? Wybaczysz nam to, co musimy zrobić?

Kobieta oderwała wzrok od anioła śmierci i spojrzała na mnie.

– Matko... – szepnęłam.

Morderca natychmiast ścisnął ręce kobiety i syknął:

– To nie twój syn, tylko demon! Powie wszystko, by żyć.

Matka oderwała ode mnie oczy.

– Niechaj Bóg się zlituje... – szepnęła z łzami spływającymi po

policzkach, lecz nie powiedziała, nad kim ma się zlitować.

Kiedy ją wyprowadzali, wyrywałam się i wrzeszczałam, wołałam: „Matko, matko, błagam!”, ale nie obejrzała się za siebie i wcale jej za to nie winię, bo, szczerze mówiąc, nawet nie znałam jej imienia.

*

Nazajutrz o świcie zabrano mnie na dziedziniec otoczony szarymi kamiennymi murami, w których znajdowały się okna zasłonięte okiennicami. Był to pałac, który należał niegdyś do wielkich ludzi, lecz popadł w ruinę w epoce stali i dymu, zniszczona pamiątka ambicji o cesarstwie.

Na środku ułożono stos, przy którym dymił metalowy kosz z tłącym się żarem. Wokół miejsca egzekucji stali ubrani na czerwono władcy mojej śmierci. Zwiesili głowy i splekli na piersiach dłonie w rękawicach. Rytuał sprawia, że łatwiej kogoś zamordować: można się skoncentrować na czymś innym. Ujrawszy stos, znów zaczęłam wierzgać i krzyczeć, lecz strażnicy powlekli mnie w jego kierunku i rzucili na kolana. Stał przede mną ksiądz w długiej czarnej szacie osłaniającej nogi w czarnych trzewikach. Uniósł ręce, by pobłogosławić moje ciało, które miał strawić ogień. Przyszło mi do głowy, że pod obszerną szatą duchownego mogą się znajdować owłosione łydki. Nigdy wcześniej nie zastanawiałam się zbyt głęboko nad tym, co się kryje pod sutannami księży, lecz teraz okazało się to niewiarygodnie ważne, więc rzuciłam się na ziemię mimo obroży, która wpijała mi się w gardło i prawie uniemożliwiła oddychanie. Kiedy upadłam na kamienie, pociągnęłam za sobą prowadzącego mnie strażnika, a ksiądz popatrzył na mnie zdumiony, że jego słowa wywołały tak silną reakcję. Przez krótką chwilę nacisk na moją szyję zelżał, uniosłam się zatem na brzuchu, wyszczerzyłam zęby, wsadziłam twarz pod szatę duchownego i mocno ugryzłam to, co się pod nią znajdowało.

Dotknęłam policzkami owłosionej skóry i poczułam słony smak krwi w ustach, a kiedy duchowny krzyknął z przerażenia, skoczyłam i cofnęłam się o kilka kroków z czarną sutanną wirującą wokół nóg. U moich stóp leżało skute kajdanami ciało, które uderzono pałką w głowę i odciągnięto. Odeszłam, czując, że drżą mi ręce, i zawołałam

po włosku:

– Odejdź w pokoju w imię Boże!

Stałam z boku, oddychając ciężko. Ze świeżego ugryzienia na łydce ciekł strumyczek krwi, lecz nikt go nie zauważył. Tymczasem zdezorientowane ciało, w którym poprzednio mieszkałam, otworzyło oczy. Kiedy przykuto je do stosu, zaczęło wołać, że nie wie o co chodzi, pytało, co się dzieje, błagało o pomoc.

Spojrzałam na swoich niemych towarzyszy. Grube rękawice, długie szaty, nie ma jak się wślizgnąć. Jeden ze strażników zapalił pochodnię od metalowego kosza z żarem, a kiedy podpalił stos, przykuty do niego człowiek spojrzał na mnie i krzyknął:

– Święty ojcze, pomóż mi, proszę!

Poczułam na ramieniu dłoń odzianą w rękawicę i ktoś spytał mnie cicho po francusku:

– Nie dotknął cię, prawda, ojcze?

Popatrzyłam w parę oczu widocznych nad czerwoną maską i pokręciłam głową.

– Nie – odparłam. – Ochroniła mnie szata.

Oczy się zwęziły i przyszło mi do głowy, że ciało, które w tej chwili nosiłam, mogło nie znać francuskiego.

Biblia wypadła mi z rąk, a kiedy zakapturzony mężczyzna zwrócił się do swoich towarzyszy, strąciłam mu z głowy kapelusz, zerwałam z twarzy maskę, chwyciłam go jedną ręką za szyję, a drugą przycisnęłam do oczu. Kiedy zaczął się wyrwać,

skoczyłam, obróciłam się i uderzyłam łokciem w brzuch księdza w czarnych szatach. Moje ciało było wysokie, stare, ale silne, uzbrojone w sztylet i pistolet wiszący na czarnym sznurze. Wyciągnęłam go i strzeliłam do pierwszego mężczyzny, który skierował na mnie broń. Stos objęły języki ognia, buchał z niego czarny dym, a ciało przykute do słupa zaczęło przeraźliwie krzyczeć. Wśród mężczyzn w czerwonych szatach wszczął się ruch, sięgali po broń, krzyczeli, a ja pochyliłam głowę, złożyłam łokcie i zaatakowałam z pochyloną głową najbliższego mężczyznę, uderzając go w pierś i przewracając na ziemię. Rozległ się strzał i coś we mnie wybuchło, rozdzierając płuco i kości. Upadłam do tyłu, ciągle słysząc echo ostatniego strzału, lecz nie czułam bólu, tylko

szok. Mężczyzna, który oddał strzał, stał niespełna pięć metrów ode mnie i ponownie nabijał pistolet. Wstałam niezgrabnie, zalana potokami krwi, i pobiegłam w jego stronę, ściągając z prawej dłoni rękawicę, on zaś skończył ładować broń, uniósł pistolet i znów dał ognia.

Uderzenie pocisku sprawiło, że wykonałam pełny obrót, a kiedy upadłam, chwyciłam najbliższą rzecz w zasięgu ręki. Okazał się nią strzelający mężczyzna i zdarłam mu palcami szatę z piersi. Poczułam dotyk ciepłego obojczyka i

błogosławioną ulgę, błogosławioną, cudowną ulgę, gdy przeskoczyłam

do ciała o nietkniętych kościach,

a trup czepiający się mojego barku osunął się na ziemię z otwartą raną na piersi i twarzą pokrytą własną krwią.

Mężczyźni krzyczeli, wyciągali pistolety i unosili sztylety, lecz w zamęcie nikt nie wiedział, do kogo strzelać, a ja rozejrzałam się, szukając wyjścia z dziedzińca, drogi, którą mnie tu przyprowadzono. Za moimi plecami płomienie strzelały coraz wyżej. Cisnęłam pistolet na ziemię i rzuciłam się do ucieczki.

Za mną, na stosie, wrzeszczał mężczyzna, którego nogi skwierczały w ogniu. Zapaliły mu się włosy, płonął żywcem.

Uciekłam.

Rozdział 24

Ja, nazywana przez wrogów Kepler, przebywająca w ciele mężczyzny o nazwisku Coyle, wsiadłam do autobusu odjeżdżającego do Bratysławy o siódmej zero trzy.

W ostatnich latach bardzo się staram zachowywać przyzwoicie, co nie oznacza, że standard moich starań jest wyjątkowo wysoki.

W małym pokoju w małym mieszkaniu w małym mieście siedziała dziewczyna z bliznami na przedramionach. Bała się. Nie pamiętała, że sprzątnęła pokój, i była gotowa przeżyć życie, którego nie mógł przeżyć nikt oprócz niej.

Mgnienie oka i wszystko się zmienia.

Konsekwencje ponoszą tylko ludzie, których ciała opuszczam.

*

Autobus przejeżdżał przez maleńkie słowackie wioski. Czasem wsiadała do niego staruszka, czasem para nastoletnich kochanków – w środku nigdy nie było więcej niż sześciu lub siedmiu pasażerów.

Miejsce, gdzie chciałam wysiąść, nie było oznakowane, ale kierowca je znał i zatrzymał się obok kościoła pod wezwaniem Świętego Krzysztofa, tuż przy błotnistej drodze biegnącej w tunelu buków. Grząską ziemię pokrywały opadłe żółte liście, a ja ruszyłam w stronę szarego, martwego budynku otoczonego porośniętymi trawą ogrodami i stawami, w których ciągle kwitły lilie. W oknach znajdowały się żelazne kraty. Zauważyłam drewnianą tablicę z napisem: HOSPICIUM DOMINICO, PROSIMY O ZGŁOSZENIE SIĘ W RECEPCJI.

W epoce komunizmu psychiatria była prostą dyscypliną. Osoby cierpiące na depresję, schizofrenię, cyklofrenię lub, co najgorsze, wyrażające poglądy sprzeczne z głoszonymi przez państwo należało odizolować od społeczeństwa dla wspólnego dobra. Chorych uznawano za winnych. Władze uważały, że człowiek, który dostrzega brutalność świata i rozumie wszechobecne kłamstwo, sam jest sobie winien

i powinien być wdzięczny za najdrobniejsze oznaki litości ze strony państwa.

Nazywamy to chorobą, szepnął raz do mnie lekarz w zaułku w Wiedniu, ale tak naprawdę łatwiej obwiniać człowieka niż chorobę.

Komunizm upadł, lecz idee giną wolniej od ludzi.

Wiedziałam o tym, gdy wiele lat temu opróżniłam konta bankowe Horsta Gublera, wydziedziczyłam jego rodzinę, a następnie zaprowadziłam jego ciało do bramy hospicjum i oświadczyłam, że jestem opętana.

*

Recepcjonistka spytała mnie o nazwisko.

Przedstawiłam się jako Nathan Coyle, mówiąc ze swoim najlepszym kanadyjskim akcentem. Brzmiał prawie identycznie jak akcent amerykański, z wyjątkiem wymowy głoski „z”, lecz słowacka siostra przełożona siedząca za ladą zupełnie nie doceniła tego niuansu.

Powiedziałam, że jestem siostrzeńcem pana Gublera. Chciałam porozmawiać z wujem.

Miała zdumioną minę.

Wielkie nieba, w czasie swojej ostatniej wizyty nie wspomniał pan, że jest jego siostrzeńcem, panie Coyle!

Doprawdy?

Może miałem mętlik w głowie.

Proszę mi przypomnieć, kiedy tu ostatnio wpadłem.

*

W dossier Kepler znajduje się zdjęcie Horsta Gublera.

Widać na nim mężczyznę w wieku sześćdziesięciu kilku lat siedzącego tyłem do okna. Ma dwa podbródki: jeden ostry, spiczasty, drugi zaś złożony z fałd skóry wiszących na szyi. Siwe, proste, krótko obcięte włosy i haczykowaty nos, który dobrze pasuje do rysów twarzy, choć u niższego mężczyzny mógłby się wydawać za duży. Nie patrzy w obiektyw aparatu, jest lekko odwrócony w kierunku kogoś znajdującego się poza kadrem, ma na sobie niebieską szpitalną piżamę i wydaje się zdziwiony, że znajduje się w tym miejscu na tle

zachodzącego słońca. W innym życiu mógłby być dobrodusznym wujkiem, miśkowatym Świętym Mikołajem, a może – gdyby pozwoliły na to okoliczności – godnym zaufania kongresmenem i gwałcicielem. Ale tutaj, teraz, jest kimś pozbawionym znaczenia – człowiekiem bez pieniędzy, przyjaciół, a nawet obywatelstwa, bo oskarżył się o liczne przestępstwa, spalił swój amerykański paszport po przekroczeniu granicy Słowacji, rozdał majątek, zerwał z przyjaciółmi i zachowywał się niczym opętany, jak zresztą sam przyznał w chwili przyjęcia do zakładu psychiatrycznego.

Prowadzono mnie korytarzami pachnącymi środkami dezynfekcyjnymi i gotowaną cebulą. Za ciężkimi metalowymi drzwiami, które otwierały się przy akompaniamencie elektrycznych brzęczyków, siedzieli w milczeniu ludzie wyrzuceni poza nawias społeczeństwa, oglądając telewizję. Niedawna darowizna anonimowego dobroczyńcy pozwoliła urządzić salę zajęć plastycznych, niewielki pokój z szerokimi oknami wychodzącymi na północ, jednak prowadzące do niej drzwi pozostawały zamknięte, ponieważ zabrakło funduszy na zatrudnienie instruktora i zakup farb.

– Chcemy, by pacjenci wyrażali swoją osobowość – wyjaśniła siostra przełożona, prowadząc mnie korytarzami. – Pomaga im się to odnaleźć.

Uśmiechnęłam się w milczeniu.

– Nie apróbuję – rzekł starzec siedzący samotnie w fotelu. Miał na sobie zrobiony na drutach sweter zbyt ciasny w ramionach i wysuwał do przodu dolną wargę, tak że wystawała niemal dalej niż czubek nosa. – Nie wiedzą. Kiedy odkryją, nadejdzie wielki dzień, wtedy wrócą, jak już mówiłem.

Oczywiście, że nie wrócą, uśmiechnęła się siostra przełożona. Znów pan mówi nonsensy.

Korytarz, kilka stopni, zamknięta krata z brzęczykiem. Liczne drzwi z cienkiego drewna, w większości otwarte. Przed każdymi stelaż z papierami – notatki z obchodów, ciśnienie krwi, dawki podawanych leków i nieliczne fotografie przeznaczone dla ludzi chcących pamiętać: rodziny, które dawno odeszły, dzieci, które nigdy nie przyjeżdżają, dom, którego pacjent już nigdy nie zobaczy.

Przed uchylonymi drzwiami Horsta Gublera nie było fotografii.

Siostra przełożona zapukała, a później otworzyła drzwi szerzej, nie czekając na odpowiedź.

Jedno łóżko, krzesło, biurko, umywalka. Lustro z PCW, starannie laminowane i przyklejone do ściany. Zakratowane okno wychodzące na zachód z widokiem na drzewa pokryte czerwonymi liśćmi.

– Popatrz, kto wrócił, Horst – odezwała się po angielsku z silnym słowackim akcentem.

Horst Gubler wstał z jedyne go krzesła znajdującego się w pokoju, odłożył książkę – zaczytaną powieść przygodową bez żadnej wartości – i popatrzył na mnie. Wyciągnął lepka od potu rękę i wyjąkał:

– M-m-miło mi pana widzieć...

– Pamięta pan pana Coyle'a? – spytała z wyrzutem siostra. – Odwiedził pana zaledwie pięć tygodni temu.

– Tak, tak, rzeczywiście. – Skoro siostra przełożona powiedziała, że odwiedziłam Gublera, musiało to być prawdą. – Miałem nna-dzieję... – język zaplątał mu się na tym słowie, ale zacisnął mocno powieki i ciągnął: – ...nadzieję, że jest pan z ambasady.

– Horst, już o tym rozmawialiśmy. – Siostra przełożona pokręciła smutno głową, co sprawiło, że Gubler wbił wzrok w ziemię.

– Tak, siostro.

– Pan Gubler ma słabą pamięć, prawda?

– Tak, siostro.

Odwróciła się w moją stronę i oznajmiła dźwięcznym głosem:

– Często się zdarza, że pacjenci mający epizody psychotyczne zachowują się z pozoru normalnie, lecz później cierpią na zaniki pamięci. Psychoza pana Gublera – wiara w opętanie – jest dość typowa, lecz na szczęście obecnie zdarza się w społeczeństwach zachodnich rzadziej niż w przeszłości. – Rozpromieniła się, zachichotała cicho, falując pierściami, po czym dodała uspokajająco: – Świat staje się coraz lepszy, zawsze to powtarzamy!

Roześmiałam się, bo ona również się roześmiała, a później zerknęłam na Gublera, który stał nieruchomo ze zwieszoną głową i dłońmi splecionymi na brzuchu. Nie powiedział ani słowa.

*

Usiadł na skraju łóżka i trzymał się go rękami, jakby się obawiał, że się przewróci.

Kiedy siostra przełożona wyszła, zamknęłam drzwi, a później zajęłam miejsce na krześle naprzeciwko niego i przyjrzałam się jego twarzy.

Ledwo ją rozpoznawałam. Przez wiele tygodni obserwowałam ją w lustrze i zapaściłam krótką brodę, która maskowała rysy twarzy zamiast je uwydatniać. Ale nawet gdy szukałam sposobów, by ukarać tę twarz, gdy z całych sił próbowałam zniszczyć Horsta Gublera, w oczach i skrzywionych wargach malowała się duma, której nie mogłam wymazać. Tak długo wpatrywałam się w jej odbicie, że zaczęła budzić we mnie wstręt, bo niezależnie od tego, jak bardzo się krzywiłam, mrużyłam oczy i marszczyłam nos, zawsze pojawiał się na niej wyraz buntu.

Teraz już nie.

Zrobiłam wszystko, by zniszczyć twarz Horsta Gublera, i osiągnęłam cel dopiero na samym końcu, gdy stanęłam przed obcym człowiekiem w obcym kraju i wygłosiłam jedno prawdziwe zdanie: „Jestem opętany”.

Złamałam opór jego twarzy, zakończyłam swoje dzieło.

– Dzień dobry, panie Gubler – powiedziałam.

– Dzień d-dobry – wyjąkał, nie podnosząc głowy, by na mnie spojrzeć.

– Pamięta mnie pan?

– Tak, panie Coyle. Moja pamięć się poprawiła. Przyjechał pan tutaj ze swoją p-partnerką.

– Ach tak, partnerką. Proszę mi wybaczyć, mam kilka partnerek. Czy mógłby mi pan przypomnieć, z którą pana odwiedziłem?

Zerknął na mnie i pomyślał, że to test, że na pewno sprawdzam jego pamięć. Nie chciał się pomylić.

– Alice. Nazywała się Alice.

Uśmiechnęłam się i pochyliłam lekko do przodu. Zachnął się i odwrócił głowę.

– Pamięta pan, o czym rozmawialiśmy, panie Gubler? Kiedy

ostatnio pana odwiedziłem? – Kiwnął apatycznie głową. – Może mi pan powiedzieć, o czym mówiliśmy?

– Chciał pan poznać moją historię. Miałem atak psychozy – dodał, unosząc głos, by podkreślić, że wierzy w swoje słowa. – Nie byłem opętany, to tylko choroba wywołana stresem w małżeństwie i pracy zawodowej.

– Bez wątpienia – odparłam. – Pamiętam, jak pan mi o tym opowiadał. Jak to się zaczęło? Dotknęła pana jakaś kobieta. Miała ciemną skórę, nosiła błękitną suknię, uścisnęła pana dłoń i potem pamięta pan tylko, że...

– Znalazłem się tutaj. – Mówił ledwo dosłyszalnym szeptem. – Tutaj...

– Tak, to prawda. – Pochyliłam się do przodu, wsuwając palce między kolana. – I co jeszcze pan nam mówił? O opętaniu?

– Nie byłem opętany, nie byłem opętany...

– Pamięta pan coś jeszcze, prawda? – szepnęłam. – Kiedy się pan tutaj obudził, trzymał pana za rękę lekarz, a pan na niego popatrzył. Co pan zrobił potem?

– Nie byłem opętany! – powtórzył ostro. Ścisnął krawędź łóżka tak mocno, że zbieleły mu kostki. Miał zgarbione plecy, niepewny wyraz ust.

– Opowiadał pan mnie i Alice o lekarzu? Mówił pan, jak się do pana uśmiechał?

– Uśmiechał się, cieszył się, że mnie widzi, uśmiechał się, pomógł mi.

– Podał pan nam nazwisko lekarza?

Znajdowałam się teraz kilkanaście centymetrów od Gublera, trącałam go kolanami, mogłam go dotknąć dłonią. Kiedy moje ręce zakołysały się tuż obok niego, szarpnął się gwałtownie do tyłu i oparł plecami do ścianę.

– Nie dotykaj mnie! – wrzasnął. – Nie dotykaj mnie, kurwa!

Cofnęłam się na krzesło i uniosłam dłonie, starając się go uspokoić.

– Wszystko w porządku – szepnęłam. – Nie dotknę pana. Nikt pana nie dotknie.

Na zaczerwienionych powiekach Gublera pojawiły się łzy,

oddychał spazmatycznie, siedział oparty o ścianę.

– Doktor zapomniał, zapomniał, że mnie dotknął... – szepnął. Mówił szybko, wyraźnie, całkowicie przytomnie. – Jak oni to tłumaczą? Czy potrafią to zrozumieć? – Popatrzył na mnie i przez chwilę znów widziałam w jego oczach twardość, która prześladowała mnie w lustrze, nie ulegając narkotykom. – Rozumiałeś, siedziałeś przede mną, Alice trzymała aparat i powiedziałaś, że rozumiesz. Wierzyłeś mi. Okłamałeś mnie? Okłamałeś mnie, kurwa?!

– Nie – odparłam.

– Okłamałeś mnie, kurwa?!

– Nie. Uważam, że nie.

– Śmiejesz się ze mnie?!

– Nie.

– Czekam od lat. Przyjaciele, ambasada... to pizdy. Pieprzone pizdy. Mówią, że są opóźnienia, że sądy mają mnóstwo zaległych spraw. Powiedziałeś, że spróbujesz coś załatwić. Czego chcesz?

– Wszystkiego – szepnęłam. – Wszystkiego, co pamiętasz o mnie i Alice. Chcę, żebyś powiedział, co mówiłem, co ona mówiła, jak byłem ubrany, jak ona była ubrana. Jakim językiem mówiłem: po słowacku? Czy Alice była zmęczona, czy wydawała się szczęśliwa, smutna, młoda, stara? Chcę wszystkiego.

– Dlaczego?

Spojrzałam na swoje stopy, a później wyprostowałam palce i wstałam. Wsunęłam krzesło pod biurko, przesunęłam dłonią po włosach i usiadłam blisko Gublera. Bardzo ostrożnie położyłam rękę na nogawce jego spodni i poczułam pod spodem ciepło łydki. Odetchnęłam powoli, po czym popatrzyłam mu prosto w oczy.

Nasze spojrzenia się spotkały i po raz pierwszy od mojego wejścia do pokoju zobaczył mnie. Zacisnęłam palce wokół jego łydki, wbijając je w ciepłą skórę.

– Co ty na to? – spytałam.

Rozdział 25

Wieczór w Bratysławie.

Komputer w kawiarence, smak kiepskiej kawy, torby Coyle'a wepchnięte pod krzesło.

Mejl na konto pocztowe, które założyłam kilka lat wcześniej i którego nigdy nie zlikwidowałam, od człowieka przedstawiającego się jako Spunkmaster13.

Czasy się zmieniły, ale nie Johannes Schwarb.

Raport na temat paszportów, którymi posługiwał się Nathan Coyle – były czyste, z wyjątkiem tureckiego, gdyż jego właściciela poszukiwała miejscowa policja. Podejrzewano, że zastrzelił kobietę na stacji metra Taksim, a następnie uciekł nocą samochodem do Edirne.

Postanowiłam spalić turecki paszport i odpowiedziałam na mejl.

Spunkmaster13 czekał już na czacie i pojawił się, nim zdążyłam napisać kilka słów.

Nastąpiła wymiana banalnych uprzejmości, którym towarzyszyło mnóstwo uśmiechniętych buziek i znikających emotikonek w kształcie ninja, najwyraźniej stanowiących główną część słownika Johannesesa. Później:

Christina 636: Chcę, żebyś znowu coś dla mnie sprawdził.

Spunkmaster13: Jasne, co takiego?

Christina 636: Numer rejestracyjny samochodu prowadzonego przez dwóch ludzi – mężczyznę nazywającego się Nathan Coyle i kobietę nazywającą się Alice White. Odwiedzili szpital psychiatryczny na Słowacji, wypełnili formularz w recepcji, podając numer rejestracyjny samochodu. Jeden z pensjonariuszy opisał kobietę następująco: wiek około 29–35 lat, krótkie jasne włosy, wzrost 165–175 centymetrów, szczupła budowa ciała, jasna cera, niebieskie oczy. Możesz to sprawdzić?

Spunkmaster13: Nawet we śnie.

Christina 636: Jeszcze jedno. Mówi ci coś imię Galileusz?

Spunkmaster13: Dawny astronom?

Christina 636: Dwie nazwy: Galileusz i Santa Rosa.

Spunkmaster13: Nie kojarzę.

Christina 636: Nieważne. Dziękuję.

Rozdział 26

Bratysława o zmroku.

Niebo przybierało barwę dwudniowego siniaka, na zachodzie lśniła smuga złotego słonecznego światła, które usiłowało się przebić pod deszczowymi chmurami.

Nie byłam w Bratysławie od dziesiątków lat. Kilkanaście pięknych ulic w centrum miasta, zamek na wzgórzu, trolejbusy i mnóstwo architektury bez wyrazu. Większość turystów zalicza to miasto w dwa dni. Godzinny rejs statkiem z Wiednia, tyle samo pociągiem przez równiny zalewane przez powodzie, trudno się pozbyć uczucia, że w pobliżu stolicy Słowacji można obejrzeć coś bardziej interesującego.

W kawiarence internetowej, z której kontaktowałam się z Johannesem, sprzedawano ciastka z obeschniętymi brzegami. Na placu na zewnątrz białe, zimne latarnie oświetlały jasne kamienie, a gdy zaczęło padać, rynsztokami popłynęły w stronę rzeki strumienie roziskrzanej wody.

Wyszłam z kawiarenki w czasie ulewy i zaczęłam żałować, że nie zaopatrzyłam się w porządne ubrania w ciągu kilku niespokojnych minut w Stambule, gdy po raz pierwszy zamieszkałam w ciele Nathana Coyle'a. Nie wiedziałam, jak długo będę w nim przebywać.

Pobiegłam w potokach deszczu, który bębnił w pochyłe dachy i spływał metalowymi rynnami. Z podbródków i nosów poważnych rzeźb na kościołach kapąło, kaskady wody spadały z anielskich skrzydeł na bramy średniowiecznych budynków. Nad ulicami kołysały się przewody trakcyjne trolejbusów, a zamek o czterech wieżach stojący na wzgórzu zmienił się w prostokąt żółtego światła wiszący nad ciemnym miastem.

Biegłam w mokrych spodniach i z pustym żołądkiem, niosąc na plecach torbę z cudzymi sekretami. Mijałam pogrążone w półmroku twarze mężczyzn z płaszczami zarzuconymi na głowy, walczących o taksówki; kobiety z parasolkami wywróconymi na drugą stronę,

z włosami przylepionymi do bladych, chłodnych twarzy; nastolatki, których szpilki nie nadawały się do chodzenia w deszczu, toteż niosły je w rękach i brodziły w wodzie zalewającej ulice. Przez chwilę swędziały mnie palce, twarz miałam zdrętwiałą od zimna i zerknęłam na

kobietę o pięknych czarnych włosach sięgających do podstawy szyi, z gołymi ramionami, zziębniętą na lodowatym chłodzie. Usiłowała włożyć marynarkę, podawał ją mężczyzna, wsunęła ramię w jeden rękaw, czuła smak czekolady na wargach, wyglądała pięknie, a jej życie wydawało się spokojne. Dziś wieczorem może zje kolację z kochankiem, a kiedy deszcz przestanie padać, staną razem na balkonie

– z pewnością ma balkon –

i popatrzą w dół na rzekę w chłodnym nocnym powietrzu, rozumiejąc się bez słów.

Odwróciła się, a ja pobiegłam dalej, bo każde życie wydaje się piękniejsze, gdy patrzy się na nie z boku.

*

Mój hotel, przeznaczony dla turystów, stał na brzegu rzeki. Nad wodą znajdował się bar z balustradą oświetloną fioletowymi diodami LED, wokół rozlegał się brzęk kieliszków. W lobby wisiały widoki starej Bratysławy, wizerunki martwych książąt i szlacheckich królów. Recepcjonistka mówiła pięcioma językami, wszystkimi biegle, zawsze z uśmiechem, a kiedy wsunęłam kartę do zamka swojego pokoju, drzwi rozsunęły się bezszelestnie. Wnętrze było trochę przegrzane i pachniało miękkaczem do tkanin.

Wzięłam kąpiel.

Leżąc w wannie wypełnionej wodą, dotykałam palcami śladów przeżytego życia. Okrągła biała blizna na lewym ramieniu, gdzie przed laty zaszczepiono mnie przeciw gruźlicy. Pamiętam czasy, gdy ludzie mieli dzioby po ospie; teraz nosili ślady szczepień. Inna blada blizna znajdowała się między kciukiem a palcem wskazującym prawej ręki, a tuż pod żebrami wyczułam coś naprawdę ciekawego – długą różowawą szramę, zygzakowaty szew wykonany przez chirurga, ciągle wyraźnie wyczuwalny. Dotknęłam blizny i poczułam zgrubienie pod skórą. Domyśliłam się, że to ślad po ciosie noża, który ześlizgnął się po

żebrach. Rana dawno się zagoiła i w duchu pochwalałam Nathana Coyle'a za silne mięśnie, które rozwinął w tym miejscu od tamtego czasu, jednak została mu pamiątka w postaci blizny niczym hałda po nieczynnej kopalni.

Horst Gubler rozpoznał Coyle'a. To dobrze. Moja wypożyczona twarz do czegoś się jednak przydała.

Co najważniejsze, wymienił imię współpracownicy, kogoś, kogo powinnam odnaleźć. Nie śpieszyło mi się do odtwarzania przebiegu swojego życia, ale jeśli zdołam dzięki temu wyśledzić ludzi, którzy kazali mnie zabić,

kazali zabić Josephine,
powinnam to zrobić.

A jeśli to ciało, leżące w tej chwili w gorącej wodzie, która wypełniała przestrzeń między palcami nóg, umrze w czasie tej próby?

W ogóle mnie to nie obchodziło.

Rozdział 27

Wspomnienia widm.

Anna Maria Celeste Jones, siedząca w wyprostowanymi plecami i patrząca prosto przed siebie.

Ktoś nosił moje ciało, rzekła. Byłam skórą.

Piękno to cecha, którą trudno zmierzyć. Byłam kiedyś modelką o łabędziej szyi, ze złocistymi włosami. Okazało się, że trudno mi chodzić w ciasnych czerwonych szpilkach, i rozpaczałam nad tym, jak szybko moja skóra traci blask, jeśli nie jest codziennie poddawana absurdalnie skomplikowanym zabiegom pielęgnacyjnym. Po każdym myciu głowy wypadało mi mnóstwo włosów, a moje pełne wargi pękały już po jednym dniu. Byłam idealnie zbudowaną modelką zaledwie tydzień, lecz irytacja wywołana koniecznością ciągłego pielęgnowania ciała sprawiła, że przeniosłam się w miejsce, które nie wymagało takiego zachodu.

Piękno to nie oczy, dłonie, pukle włosów. Widziałam starców z przygarbionymi plecami, w białych koszulach, którzy spoglądają na przechodniów, i w ich mądrych uśmiechach jest więcej piękna, więcej blasku duszy niż w jakimkolwiek wypielęgnowanym ciele. Widziałam żebraka, z prostymi plecami i brodą sięgającą do piersi, którego zielone oczy i siwiejące włosy były tak piękne, że pragnęłam mieć w sobie jego cząstkę, chodzić w łachmanach i krążyć dumnie po ulicach miasta. Drobną kobietą mającą sto dwadzieścia pięć centymetrów wzrostu, w fioletowej sukni i naszyjniku z pereł, tęga matką w dżinsach opinających gruby zadek, jej piskliwy głos między stelażami w supermarkecie. Byłam nimi wszystkimi i przeglądałam się w ich lustrach. Wszyscy okazali się piękni.

*

W 1798 roku, gdy siedziałam na brzegu Morza Czerwonego, po raz pierwszy zrozumiałam prostą prawdę: nie jestem jedyną istotą, która

przechodzi z ciała do ciała, z życia do życia.

Rozdział 28

Nazywałam się Abdul Mu'allim al-Ninowy i stanęłam po niewłaściwej stronie, a może należałoby powiedzieć, że niewłaściwa strona wybrała mnie.

Przybyłam do Kairu w 1792 roku, gdy władza imperium osmańskiego się załamała i Egipt padł łupem potężnych wodzów mameluków. Abdul Mu'allim al-Ninowy mieszkał z dala od smrodliwego miasta w białym pałacu z dziedzińcem z fontannami. Miał trzy żony. Kochałam jedną z nich, nazywała się Aisza bint Kamal, lubiła pieśni, wino, poezję, psy i astronomię. Ojciec wydał ją tanio za mąż w młodym wieku; również lubił wino i psy, lecz pieśni, poezja i astronomia budziły jego dezaprobatę.

Spotkałam Aiszę w łaźni, gdzie występowałam jako szanowana wdowa – dostatecznie młoda, by czuć się dobrze pod względem fizycznym, lecz na tyle stara, by nie być narażona na zaloty zbyt wielu ludzi zainteresowanych moją fortuną. Śmiałyśmy się i rozmawiałyśmy w parnej łaźni dla kobiet, z dala od mężczyzn. Kiedy spytałam, kim jest, między jej wyskubanymi brwiami pojawiła się zmarszczka i odpowiedziała: „Jestem młodszą żoną Abdula al-Mu'allima al-Ninowy, który sprzedaje pszenicę Turkom, bawełnę Grekom i niewolników wszystkim. To wielki, potężny człowiek. Gdyby nie on, byłabym nikim”.

Mówiła głosem równym jak kamienie, na których siedziałyśmy, i następnego dnia stałam się czternastoletnim służącym, który przynosił al-Mu'allimowi chleb i na którego nikt nie zwracał uwagi. Pięć dni później, zebrawszy wystarczająco dużo informacji, by odgrywać swoją rolę, stałam się samym al-Mu'allimem, grubawym, czterdziestoparoletnim, ze wspaniałą brodą wymagającą ciągłej pielęgnacji, wargami lekko swędzącymi tuż przed deszczem i przesadnie długimi paznokciami, które skróciłam pierwszego dnia.

Naturalnie po zamieszkaniu w jego ciele wprowadziłam w domu nowe porządki. Sprzedałam niektórych niewolników i pozbyłam się

części służących. Kiedy w drzwiach pojawiali się przyjaciele, których twarzy nie znałam, informowano ich uprzejmie, że mam febrę i że nie mogę ich przyjąć. Strach przed zarazą sprawił, że nawet najbardziej lojalni współpracownicy nie pukali do moich drzwi, z wyjątkiem jednego siostrzeńca, który miał nadzieję, że wuj umrze na febrę, co pozwoli mu coś odziedziczyć. Nie wątpię, że modlił się w tej intencji.

Jedna z moich dwóch głównych żon okazała się koszmarną megierą. Dowiedziawszy się, że ma siostrę w Medynie, zaleciłam pielgrzymkę – dla zdrowia, zarówno fizycznego, jak i duchowego – za którą naturalnie zapłaciłam. Druga żona była znacznie sympatyczniejsza, ale już po kilku dniach zaczęła podejrzewać, że nie jestem sobą, a zatem, by uniknąć plotek wśród domowników, znów zasugerowałam pielgrzymkę – gdzieś bardzo, bardzo daleko, najlepiej na kulawym wielbłądzie.

Obie nienawidziły myśli o pielgrzymce, podobnie jak nienawidziły się nawzajem, ale byłam panem wielkiego domu i musiały okazywać mi posłuszeństwo. Wieczorem przed odjazdem główna żona weszła do mojej komnaty i zaczęła na mnie krzyczeć. Szarpała moją odzież, a gdy nie zrobiło to na mnie wrażenia, szarpała własną, wyrywała sobie kępki włosów z głowy i wrzeszczała:

– Potworze! Potworze! Przysięgałeś, że mnie kochasz, sprawiłeś, że uwierzyłam, że mnie kochasz, ale zawsze byłeś potworem!

– Skoro tak, moja droga – odparłam – czy nie byłabyś szczęśliwsza z dala ode mnie?

W tym momencie rozsunęła szaty, ukazując ciało, starannie utrzymane jak na swój wiek, dobrze odżywione, lecz nie otyłe, miękkie jak poduszka, blade jak letni obłok.

– Czyż nie jestem piękna? – zawołała. – Czyż nie tego pożądasz?

Kiedy rankiem ją pożegnałam, w ogóle na mnie nie patrzyła.

Załatwiwszy większość swoich spraw, przeniosłam resztkę domowników do pałacu na wybrzeżu i zaprosiłam Aiszę na kolację. Niestety, w ciągu kilku pierwszych tygodni zupełnie nie zachowywała się jak miła kobieta, którą poznałam w łaźni, i zastanawiałam się, czy nie popełniłam straszliwego błędu, opuszczając ciało bogatej wdowy. Aisza nie patrzyła mi w oczy, odpowiadała krótko i szorstko, a jej chłód

sprawiał, że wydawała się mniej piękna. Zalecałam się do niej łagodnie jak nowy kochanek, lecz nic się nie zmieniało, aż pewnego wieczoru, gdy jedliśmy świeże daktyle w ogrodzie owiewanym chłodnym wiatrem, powiedziała:

– Bardzo się zmieniłeś, mój mężu.

– Podoba ci się ta zmiana?

Milczała przez chwilę, po czym odrzekła:

– Kocham mężczyznę, którego poślubiłam, szanuję go i modłę się codziennie o jego duszę. Ale przyznaję, że bardziej kocham mężczyznę, którego widzę przed sobą, i dobrze się czuję w jego towarzystwie, dopóki jesteśmy razem.

– Dlaczego mnie poślubiłaś? Czy nie z powodu tego, kim jestem?

– Dla pieniędzy – odpowiedziała z prostotą. – Miałam dobry posag, ale posag to nie dochód. Ty masz dochody, prestiż, imię. Nawet gdybyś nie miał pieniędzy, prestiż i imię przyniosłyby ci dochody. Moja rodzina jest biedna, nie ma imienia ani prestiżu. Kiedy cię poślubiłam, zapewniłam jej awans społeczny.

– Rozumiem – mruknęłam. Nie wiedziałam, co odpowiedziałby na to al-Mu'allim, i dlatego postanowiłam jak najmniej mówić.

Reakcja Aiszy na moje milczenie trochę mnie zdziwiła: nie zamknęła się w sobie, lecz na jej wargach pojawił się uśmiech. Po raz pierwszy popatrzyła prosto na mnie i zabiło mi mocno serce. Później – rzecz prawie niewyobrażalna przy stole – wyciągnęła rękę i dotknęła mojej dłoni.

– Masz słabą pamięć – szepnęła. W jej słowach nie było oskarżenia, tylko zrozumienie, odkrycie.

Chwila paniki. Siedziała bez ruchu, dotykając palcami mojej dłoni, a kiedy zaszło słońce, stanęliśmy razem nad brzegiem morza i powiedziałam:

– Muszę ci coś wyznać. Coś, czego możesz nie zrozumieć.

– Nie mów! – odparła na tyle ostro, że się wzdrygnęłam.

Wyczuwając moje zaskoczenie, powtórzyła ciszej: – Nie mów.

– Dlaczego nie chcesz wiedzieć?

– Przysięgam ci miłość. Mam obowiązek cię szanować i okazywać ci posłuszeństwo. Kiedy wypełniam swoje obowiązki, moje sumienie

jest czyste. Jednak w ciągu ostatnich miesięcy zaczęłam znajdować w tym radość. Tylko... tylko w ciągu ostatnich miesięcy. Nie wypowiadaj słów, które mogłyby skazić naszą radość. Nie niszczyć tej chwili.

Więc nic nie powiedziałam. Była moją żoną, a ja jej mężem. To wszystko, co musieliśmy wiedzieć.

*

Trwało to sześć lat. Żyliśmy w bogactwie – handel pszenicą, bawełną i chłopcami prawie zawsze jest dochodowy – lecz wreszcie w Kairze pojawili się Francuzi i wszystko się zmieniło. Kiedy Egipcjanie zaczęli się buntować przeciwko dość łagodnym najeźdźcom, do mojego domu przyszli spiskowcy, by prosić o broń, poparcie i pieniądze – a ja grzecznie odmówiłam.

– Miastem władają niewierni! – zawołali. – Ile czasu upłynie, nim przyjdą zgwałcić twoją żonę?!

– Doprawdy, nie wiem – odpowiedziałam. – A ile czasu upłynęło, nim przyszli zgwałcić wasze żony?

Wyszli, szepcząc, że jestem bezbożnikiem, ale ich przybycie do mojego domu zostało zauważone. Kiedy w końcu wybuchło powstanie, gdy rozległy się strzały z armat, gdy na ulicach zapanował chaos, a sam Napoleon wydał rozkaz zburzenia Wielkiego Meczetu i wymordowania wszystkich mężczyzn, kobiet i dzieci, którzy się tam schronili, moje imię znalazło się na liście skazanych na śmierć przywódców rebelii.

Przybiegł do mnie nastoletni chłopiec, w którego ciele po raz pierwszy obejrzałam dom al-Mu'allima. Wyrósł teraz na mężczyznę i zawołał:

– Panie, idą po ciebie Francuzi!

Obok stała moja żona, milcząca i wyprostowana. Odwróciłam się do niej i spytałam:

– Co powinienem zrobić? – Był to rzeczywisty problem, bo gdybym zamieszkała w ciele jakiegoś francuskiego oficera – oczywiste wyjście z sytuacji – w jednej chwili skończyłoby się całe moje dotychczasowe życie i utraciłabym wszystko, co miałam. – Co powinienem zrobić?

– Al-Mu'allim nie może zostać schwytany w Kairze – odpowiedziała i po raz pierwszy od sześciu lat popatrzyła na mnie, wypowiadając imię mojego ciała. – Jeśli zostaniesz, Francuzi wtrącają cię do więzienia i zabijają. Na rzece są łodzie, a ty masz pieniądze. Opuść miasto.

– Mógłbym wrócić...

– Al-Mu'allim nie może zostać schwytany – powtórzyła i w jej głosie zabrzmiał gniew. – Mój mąż jest zbyt dumny i leniwy, by uciekać.

Jeszcze nigdy tak otwarcie nie przyznała, że wie, kim jestem, bo chociaż trzymała mnie za rękę, mówiła o moim ciele, jakby znajdowało się w innym miejscu.

– A co z tobą?

– Bonaparte chce, nawet teraz, udowodnić, że jest sprawiedliwy. Umieszcza w mieście plakaty, które głoszą: „Nie pokładajcie nadziei w Ibrahimie albo Muhammadzie, lecz ufajcie temu, kto podbija imperia i tworzy władców”.

– Nie wierzę w te obietnice – odpowiedziałam.

– Bonaparte nie zabije wdowy. Ochronią nas słudzy, bogactwo i przyjaciele.

– Albo narażą na niebezpieczeństwo.

– Jestem w niebezpieczeństwie tylko wtedy, gdy al-Mu'allim pozostaje w Kairze! – odparowała. Napięły jej się ścięgna na szyi, gdy zdusiła krzyk. – Jeśli mnie kochasz, a myślę, że tak jest, odejdz.

– Idź ze mną.

– Twoja obecność naraża mnie na niebezpieczeństwo. To... kim jesteś, naraża mnie na niebezpieczeństwo. Jeśli mnie kochasz, nie pozwolisz mnie skrzywdzić.

– Mogę cię chronić.

– Naprawdę? – odpowiedziała ostro. – Kim jesteś, by mnie chronić? Mój mąż nie jest w stanie tego zrobić, nawet gdyby kochał mnie na tyle, by chcieć. Kiedy to wszystko się skończy, może do mnie wrócisz w innej postaci.

– Jestem twoim mężem...

– A ja twoją żoną – odrzekła. – Chociaż nigdy wcześniej żadne z nas nie musiało tego mówić.

*

Aisza bint Kamal.

Stała wyprostowana na brzegu rzeki, trzymając rękę na brzuchu.
Na głowie miała niebieską chustę, a obok niej cicho płakał służący.

Opuściłam ją, gdy Kair odpowiadał grzmotem na wrzaski
niewiernych.

Odchodzenie to jedna z nielicznych rzeczy, w których jestem
dobra.

Rozdział 29

W 1798 roku na brzegach Nilu nosiłam ciało człowieka, którego życie już mnie nie interesowało. Wody rzeki zalewały wysokie trzciny, aż wydawało się, że Nil nie ma końca i zatapia ziemię.

Zabrałam al-Mu'allima na południe, daleko od Francuzów, który walczyli pod piramidami z mamelucką kawalerią. Wychudłam, pożółkły mi paznokcie i chętnie opuściłabym swoje ciało, gdyż budziło we mnie niesmak – przypominało pomarszczonego trupa. Później przypominałam sobie żonę i przyrzeczenie, że jej mąż będzie bezpieczny. Zacisnęłam pięści, spuściłam wzrok i szłam dalej.

Chociaż Francuzi znajdowali się daleko od górnego biegu Nilu, nawet tutaj imamowie z bielmami na oczach potępiali ich postęпки i krzyczeli: „Niewierni! Niewierni! Masakrują nas! Masakrują Egipt!”. Im bardziej oddalałam się od Kairu, tym straszniejsze krążyły pogłoski. Miasto spalono, mieszkańców wymordowano. Zgwałcono wszystkie kobiety, a dzieci zarznięto na stopniach meczetu. Po pewnym czasie przestałam zaprzeczać tym opowieściom, bo moja prawdomówność sprawiała, że uznawano mnie za zdrajcę dżihadu, który rodził się na pustyni.

Ruszyłam w stronę nadbrzeżnych gór na terenie Sudanu, aż w końcu dotarłam do Morza Czerwonego na wysokości Dżuddy. Kiedy dobiegły nas wieści o wielkiej bitwie morskiej zakończonej klęską Francuzów, usiadłam na brzegu, popatrzyłam na morze i postanowiłam wreszcie coś zmienić.

Na zachodnim wybrzeżu Morza Czerwonego znajdowało się niewiele portów, ale walki na pustyni i chaos u ujścia Nilu, gdzie Nelson rozgromił flotę francuską, wywołały poruszenie wśród właścicieli maleńkich łodzi rybackich i feluk z ożaglowaniem łaćńskim zajmujących się głównie piractwem. Przewóz wyposażenia wojskowego na północ w stronę Morza Śródziemnego zapewniał znakomite zyski. Moją uwagę zwrócił jeden statek, stary szkuner, który już dawno przestał

nadawać się do żeglugi. Kapitanem był roześmiany Murzyn z plemienia Dinka; nosił przy pasie ogromną szablę, a na piersi dwa pistolety, co nadawało mu wygląd pirata. Załogę stanowiła najbardziej wieloetniczna mieszanina ludzi, jaką kiedykolwiek widziałam, poczynając od genueńskiego majtka na oku, a kończąc na malajskim pilocie, który porozumiewał się z resztą marynarzy łamanym arabskim, niezłym holenderskim i wulgarnymi gestami. Najbardziej zainteresował mnie jednak jeden z pasażerów, podróżujący do Indii, który stał w milczeniu na dziobie w długiej czarnej szacie, spoglądając na wodę.

Liczący niewiele ponad dwadzieścia lat, wysoki i chudy, miał nieskazitelną hebanową skórę, muskularne ramiona i kręcone czarne włosy. Nosił się dumnie jak książę i gdy spytałam o niego załogę, okazało się, że nim właśnie jest: księciem z plemienia Nuba podróżującym do Indii w misji dyplomatycznej.

– Czy ktoś go zna? – spytałam. – Ma rodzinę albo służących?

Nie, nikt go nie znał, chyba że ze słyszenia, i przybył na statek bez służby, lecz z ogromną ilością gotówki. Jego osobowość była tajemnicą, a dzieje jego życia jeszcze większą. Pamiętając o tym wszystkim, podążyłam za nim, nadal w ciele al-Mu'allima, gdy zszedł na ląd w niewielkim portowym mieście. Śledziłam go wśród niezgrabnych lepianek w zaułkach na szczycie nadmorskich klifów, wyciągnęłam rękę, by dotknąć jego ramienia i skoczyć, gdy nagle usłyszałam w głowie pisk morderczych nietoperzy, poczułam, jak pękają mi w oczach naczynka krwionośne, mój język nabrał posmaku stali, a piękny książę się odwrócił, również pobladły, i z nienagannym akcentem zawołał po arabsku:

– Co robisz, do licha?!

Rozdział 30

Niespokojny sen, niespokojne wspomnienia w anonimowym pokoju hotelowym w...

gdzie dokładnie?

W Bratysławie.

Co, na litość boską, robię w Bratysławie?!

Śpię obok dossier drobiazgowo analizującego życie istoty znanej pod imieniem Kepler. Przewracam się z boku na bok pod przykrywką kołdrą w ciele mordercy o nazwisku Coyle. Spaliłam turecki paszport i wrzuciłam popiół do muszli klozetowej. Zawsze wiedziałam, że będę musiała się kiedyś pozbyć jednej z jego tożsamości, po prostu musiałam się dowiedzieć, której.

Myśl w nocy. Pojawia się tak nagle, że siadam na łóżku, kompletnie rozbudzona.

Władze tureckie nie mają powodu ścigać właścicieli moich pozostałych paszportów, brytyjskiego, kanadyjskiego i niemieckiego, bo nic o nich nie wiedzą.

Ale koledzy Coyle'a, kimkolwiek są, znają wszystkie jego nazwiska.

*

Gonitwa myśli o czwartej nad ranem. Żółty prostokąt światła na suficie, kształt okna. Reszta pokoju jest ciemnogramatowa, a nie szara jak świt w Bratysławie.

Byłam ostrożna – bardzo ostrożna. Unikałam kontroli, szybko i po cichu przekraczałam granice, by ktoś nie sprawdził zbyt dokładnie mojego paszportu. Johannes powiedział, że mój turecki paszport jest spalony, więc go zniszczyłam. Ale w przypiływie nadmiernej pewności siebie pozwoliłam recepcjoniście w hotelu zeskanować swoje niemieckie dokumenty.

Czy to wystarczy?

Miałam nadzieję, że straż graniczna będzie sprawdzać informacje powoli, że hotele nie przeszukają baz danych ani nie skontaktują się z policją. Gdybym starała się uciec przed służbami jednego z państw europejskich, moje środki ostrożności byłyby wystarczające.

Ale nie ukrywałam się przed policją. Ktokolwiek nadał mi imię Kepler, nie przejmował się granicami i hotelową dyskrecją. Może dziś jestem bezpieczna, bo zapłaciłam gotówką, ale gdyby ktoś dokładnie wszystko sprawdził,

a byłam pewna, że w tej sytuacji tak się stanie,
ciało Nathana Coyle'a można by wytropić.

*

Twarz w lustrze o czwartej trzydzieści rano, szara w świetlówce łazienki. Nosłam lepsze twarze, nosłam gorsze. Z czasem mogłabym się przyzwyczaić do tych rysów, ale ich studiowanie nie dostarczy mi odpowiedzi, których szukam. Powieki są ciężkie, usta słabe, blizny świadczą tylko o tym, że pierwotny mieszkaniec tego ciała nie zawsze miał szczęście do przyjaciół. Czy zmarszczki są jego czy moje?

Zbieram bagaż, chowam kajdanki do zewnętrznej kieszeni marynarki, a kluczyki do wewnętrznej, po czym idę do miasta. Nie ma pokoju dla bezbożnych.

Rozdział 31

Nazywa się Janus.

Na brzegach Morza Czerwonego nosiła ciało księcia z plemienia Nuba, a kiedy usiłowałam zdobyć to bardzo pożądane dobro, obie miałyśmy później piekielnego kaca.

Ponad sto pięćdziesiąt lat później przyszła do mnie w ciele siedemnastoletniej dziewczyny i oznajmiła:

– Planuję przeprowadzkę.

Spotkałyśmy się w barze na Wschodniej Dwudziestej Szóstej Ulicy. Jej ciało było opalone, co robiło wrażenie, ponieważ w czasie deszczowej jesieni w Chicago w 1961 roku ludzie czerwienili się tylko od wódki i wiatru.

W okresie prohibicji była to nielegalna spelunka handlująca alkoholem. Mężczyzna z siwiejącą brodą i rzednącymi włosami wycierał kieliszki za tym samym długim drewnianym szynkwasem, gdzie niegdyś jego poprzednik czyścił starym ręcznikiem kubki do kawy, czekając na nalot policji i aresztowanie klientów. W dalszym ciągu był to spokojny bar, jeden z nielicznych, które dotrwały do szalonych lat sześćdziesiątych. Najlepsze trunki w dalszym ciągu przechowywano w zamkniętej szafce pod barem.

Janus nosiła niebieski kostium, a ja ciało Pattersona Wayne'a, biznesmena z Georgii, w którym zamieszkałam, gdy spieniżył wszystkie swoje aktywa i umieścił gotówkę w walizce. Dzień później jego firma splajtowała, co doprowadziło do zwolnienia czterdziestu siedmiu pracowników i likwidacji sześćdziesięciu siedmiu prywatnych emerytur. Był zdrowy, w wieku, który szanują młodzi i który budzi zazdrość starszych.

– Jestem boska, popatrz tylko! Dotykałaś mojej skóry? Mięciutka jak jedwab! A cera? Wiesz, że w ogóle nie noszę makijażu? Nie potrzebuję! Fantastyczne!

Skórę miała rzeczywiście bardzo gładką i chociaż wydawała się

jedyną kobietą w centrum Chicago, która nie malowała się w jaskrawy sposób zgodnie z modą tamtej dekady, brak makijażu wręcz przyciągał uwagę, wyróżniał ją z tłumu.

– Jest pewien drobny problem – mruknęła, odwracając głowę od samotnego właściciela baru i jego ciekawych uszu. – Kiedy zobaczyłam tę skórę, uznałam, że wygląda bosko. Było to na przystanku autobusowym, jechała na północ i pomyślałam... czemu nie? Samotna dziewczyna, nikt się nią nie interesuje, może paru chłopaków, mogę zatem spędzić kilka rozkosznych miesięcy, lat... Jedyne problem... – konspiracyjnym gestem przycisnęła dłoń do brzucha. – Teraz wiem, dlaczego musiałam wyjechać! – szepnęła głosem drżącym z zachwytu. – Zdaje się, że jeszcze tylko pięć miesięcy i będę miała dzidziusia!

Przesunęłam na bok szklaneczkę whisky, oparłam łokieć na barze, wyjęłam z wewnętrznej kieszeni marynarki cienki notatnik i krótki ołówek.

– Czego dokładnie szukasz?

Janus z namysłem przygryzła wargi.

– Mężczyzny, nieżonatego, wiek dwadzieścia pięć lat – mógłby być młodszy, gdyby wyglądał poważnie, ale nie mam ochoty zostać chłopcem. Maksimum trzydzieści dwa lata, starsi nie są warci zachodu. Naturalnie kawaler. Nie przepadam za nadmiernym owłosieniem. Nie mam nic przeciwko codziennemu goleniu się, ale obfity zarost jest za bardzo w stylu lat osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku. Byłabym szczęśliwa, gdyby miał własny apartament albo dom na zachód od Chicago, nie dalej niż w Princeton. Hipoteka może być obciążona, ale nie chcę zajmować się papierkowymi formalnościami w czasie zakupu.

Polizałam koniuszek starego ołówka, przewróciłam stronicę notatnika.

– Jakieś kwalifikacje akademickie, perspektywy kariery?

– Oczywiście. Poszukuję długoterminowej inwestycji. Chcę założyć przedsiębiorstwo, rodzinę. Chcę... a czego pan chce, panie Patterjones Wynne?

Pytanie padło tak nagle, że z początku myślałam, że się przesłyszałam.

– Ja?

– Pan. Czego pan chce?

Zawahałam się, trzymając ołówek nad notatnikiem.

– Czy to ważne?

– Kiedy po raz pierwszy się spotkaliśmy, chciał pan... Jak ona miała na imię?

– Aisza – odpowiedziałam cicho, zdziwiona, że moja odpowiedź padła tak szybko. – Aisza bint Kamal. Była... ale musiałam odejść.

– Kobieta – podsumowała, wzruszając ramionami. – Kobieta, żona, normalne życie. Czego teraz chcesz?

Zastanawiałam się przez chwilę, po czym odłożyłam notatnik, popatrzyłam jej w oczy i odpowiedziałam:

– Tego, co wszyscy – czegoś lepszego.

– Lepszego niż co?

– Lepszego od życia, które prowadzę w tej chwili.

Dalej rozmowa mogła się potoczyć na wiele sposobów. Po chwili Janus się uśmiechnęła, poklepała mnie po plecach i zawołała:

– Będziesz miała z tym sporo zachodu! Powodzenia!

Westchnęłam i podniosłam notatnik.

– Na czym jeszcze ci zależy? Znośny stan zdrowia, szczepienia...

Wzruszyła ramionami, wyprostowała plecy i przycisnęła łokcie do ciała.

– Dobra – rzekła. – Nie mam nic przeciwko rozmowie o konkretach. Żadnego płaskostopia. – Przy każdym słowie dźgała mnie palcem w udo. – Możesz uważać, że to małoduszne, ale nie mam czasu na takie rzeczy. Nie mam nic przeciwko okularom – dodają człowiekowi godności – ale dzwonienie w uszach, egzema, wszelkiego rodzaju choroby skórne są absolutnie wykluczone i nie chciałabym mieć również żadnych niespodzianek w sferze seksualnej, bardzo dziękuję.

– Wzrost?

– Przeszło sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, ale nie chcę być olbrzymem. Przy stu osiemdziesięciu człowiek wygląda godnie, przy stu dziewięćdziesięciu ludzie zaczynają się dziwić.

Zapisałam liczby.

– Rozumiem, że mówimy o latach, nie miesiącach?

– Tak. Można tak powiedzieć.

– Jakieś cele, które powinnam znać?

Zastanowiła się.

– Chcę założyć rodzinę, poślubić dziewczynę, mieć dom i dziecko.

Byłoby bosko, gdybyś potrafiła znaleźć kogoś, kto skończył Harvard.

Rozdział 32

Pięćdziesiąt lat później szłam przed świtem po ulicach Bratysławy z torbą na ramieniu i kajdankami w kieszeni. Byłam wściekła.

Szarobłękitna godzina największego mrozu, gdy ciepło poprzedniego dnia wreszcie się rozpląnęło w mrokach nocy i nie pozostało nic oprócz nadziei na wschód słońca. Przed drzwiami supermarketu z zasłoniętymi oknami spał żebrak, martwy dla świata, z niebieską foliówką owiniętą wokół głowy. Na sennym placu Miletičova ryczała i grzechotała śmieciarka, która zbierała i miażdżyła resztki z poprzedniego dnia targowego, a jej obracające się żółte światła padały na szarobiałe mury. Wezbrany Dunajem płynęła w stronę Wiednia barka towarowa pomalowana na pomarańczowo, z plamami rdzy na burtach. Ruszyłam w stronę mostu Apollo i zauważyłam pod nim samotnego ulicznego zmiataacza siedzącego na ławce i palącego papierosa. Miał mętne oczy, obok stał wózek z workiem opadłych liści.

Uniósł oczy, gdy się zbliżyłam, lecz nie uznał mnie za zagrożenie. Sięgnęłam do kieszeni, wyjęłam kajdanki i skułam sobie przednie ręce na brzuchu. Słyszając metaliczny trzask, zmiataacz znów na mnie spojrział, ja zaś położyłam mu ręce na barkach i dotknęłam palcami miękkiej skóry w miejscu, gdzie obojczyk styka się z szyją. Przesiadka.

Kiedy wstałam, Nathan Coyle się zakołysał. Nim zdążył się poruszyć, uderzyłam go w ramię, nie bardzo mocno, lecz z wystarczającą siłą. Zachwiał się, stracił równowagę i upadł niezgrabnie na ziemię, bo nie mógł zamortyzować upadku z powodu skutych rąk. Usiadłam na nim i przygniotłam go do ziemi prawym kolaniem, spocona i rozgrzana w kufajce zmiataacza, po czym oparłam przedramię o jego szyję, przyłożyłam mu drugą dłoń do policzka i spytałam:

– Dla kogo pracujesz? – Zamierzałam krzyknąć, ale dźwięki rozchodziły się po powierzchni rzeki, tak że mogliby je słyszeć inni ludzie. Mocniej przycisnęłam ramieniem szyję Coyle'a i warknęłam: – Dlaczego zabiłeś Josephine?! Dla kogo pracujesz?!

Przygniotłam kolanem jego ramię, on zaś próbował się uwolnić, przewracając się na bok. Uderzyłam go pięścią w twarz, usiadłam mu na piersi i szepnęłam z wściekłością:

– Czego chcesz?!

– Kepler... – Ledwo zdołał wykrztusić to słowo, gdyż miażdżyłam mu gardło. – Galileusz... – wycharczał.

– Kim jest Galileusz? Kto to?

– „Santa Rosa”.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– „Santa Rosa”. „Milli Vra”. „Alexandra”.

– Co to za nazwy? Co to znaczy?!

Znów starał się poruszyć, lecz skrzywiłam wargi i zrezygnowałam, nie popełniając kolejnego błędu.

– Zabija, bo lubi – szepnął. – Zabija, bo może zabijać.

– Kto? Galileusz? – Nie odpowiedział, lecz również nie zaprzeczył. Przycisnęłam mu łokieć do tchawicy, aż wybałuszył oczy. – Nie jestem mordercą – syknęłam. – Chcę tylko żyć.

Wystawił język i usiłował odpowiedzieć, ale ja przez chwilę się zastanawiałam. Ta twarz, teraz pełna cudzego lęku, kiedyś spoglądała na mnie z lustra. Ten człowiek zabił Josephine Cebulę.

Jego czerwone policzki powoli siniały.

Cofnęłam gwałtownie łokieć, pozwalając mu zaczerpnąć tchu. Poruszał głową w obie strony i z wysiłkiem wciągał do płuc powietrze.

– Dla kogo pracujesz?! – warknęłam, zaciskając pięści w ciężkich, śmierdzących rękawicach. – Kto chce mnie zabić?!

Leżał i charczał, ale nie odpowiedział.

– Ciebie też zabiją. Jeśli są tacy jak ty, spróbują mnie zamordować, a przy okazji zastrzelą i ciebie.

– Wiem – odparł. – Wiem.

Wie, ale go to nie obchodzi. Nie przypominam sobie, kiedy ostatni raz chciałam umrzeć.

– Dlaczego zabiłaś Josephine?

– Rozkazy.

– Bo była morderczynią?

– Tak.

– Bo zabiła kilkoro ludzi w Niemczech? Doktora Ulka, Magdę Müller, tak?!

– Tak.

Chwyciłam go za koszulę i zbliżyłam jego twarz do swojej.

– To kłamstwo! – syknęłam. – Dokładnie sprawdziłam Josephine, przebadalam całe jej życie, nim złożyłam jej ofertę. Twój szefowie kłamali. Nikogo nie zabiła, była niewinna! Chcesz chronić tych pieprzonych oszustów?! O co im chodzi?!

Czułam na twarzy jego oddech. Pachniał tanią pastą do zębów; nie zauważyłam tego, gdy usta należały do mnie. Puściłam go. Upadł z powrotem na bruk i leżał pode mną, dysząc ciężko.

– Czego chcesz, Coyle?! – spytałam, ściskając jego drżące ręce. – Zapomnij o tym, kto cię wysłał i okłamał. Czego chcesz ty sam?!

Nie odpowiedział.

– Co byś zrobił, gdybym cię puściła? – spytałam, nie patrząc na niego.

– Wpakowałbym ci kulę w łeb, nim zdążyłabyś jeszcze kogoś dotknąć.

– Tak właśnie myślałam. – Potem: – Wiem o Alice. – Prawie niedostrzegalny ruch mięśni wokół oczu, lecz mimo to reakcja była wyraźna. – Rozmawiałam w Gublerem. Poznał mnie – ciebie. Mówił, że byłeś miły, pełen zrozumienia. Powiedział, że odwiedziłeś go z Alice. Tajni agenci nie powinni podawać w recepcji numerów rejestracyjnych samochodów.

Oddychał nieco szybciej.

– Nie znajdziesz jej.

– Oczywiście, że znajdę – odrzekłam. – A nawet jeśli nie, to ona mnie znajdzie. Noszenie twojej twarzy to najlepsza przynęta, jaką mogłabym wymyślić. Może mi powie, dlaczego zginęła Josephine.

Zesłam mu z piersi i usiadłam na kamieniach. Coyle w dalszym ciągu leżał na wznak z rękami skutymi na brzuchu, wpatrując się w deszcz.

– Wykonywałem... rozkazy.

– Wiem – westchnęłam. – Jesteś tylko żołnierzem.

Otworzył usta, by coś powiedzieć. Chwyciłam go za rękę.

Nie wyobrażałam sobie, że może mieć coś ciekawego do powiedzenia.

Rozdział 33

Statek do Wiednia.

Srebrzyste wody Dunaju są miejscami tak szerokie, że można je pomylić z morzem. Podróżni przekraczają granicę ze Słowacji do Austrii, nawet tego nie zauważając – urzędnik na pokładzie ledwo rzuca okiem na paszporty. Na brzegach stoją opuszczone szopy używane niegdyś przez rybaków; okna zniszczyły powodzie. Dunaj nie nadaje się do żeglugi luksusowymi jachtami, to mulista rzeka przemysłowa płynąca po wielkich równinach. Czerpią z niej wodę fabryki, za polami znajdują się małe miasteczka o długich nazwach, gdzie nikt nie próbuje odkryć sekretów sąsiadów. Austriacy cenią prywatność, toteż wioski przycupnięte na brzegu rzeki czekają w ciszy na zmianę, która nigdy nie nadchodzi.

Nie powinnam była uderzyć Coyle'a.

Mam obolałą, zaczerwienioną twarz. Za kilka godzin pojawi się ogromny siniak.

Znalazłam się w strefie Schengen i na pewien czas mogę się pozbyć paszportów, które przestały mi być potrzebne. Mówię dość dobrze po niemiecku, a jeśli mam zniknąć, nadarza się świetna okazja. Nowe ciało, nowe życie, nowe nazwisko. Jeden gęsty tłum, może po wyjściu z katedry albo ruchliwego marketu, i mogę zmienić ciała dziesięć, piętnaście razy. Nie da się tego wyśledzić, niezależnie od zastosowanych środków. Połknij truciznę, a potem, nim zadziała, skocz i pozostaw Coyle'a, by spotkał go los, na jaki zasługuje. Rozpocznij nowe życie, wspanialsze, lepsze niż dotychczas. Następne życie jest zawsze lepsze.

Josephine Cebula, martwa na stacji Taksim.

Nie ucieknę.

Nie dzisiaj.

Statek przybił do brzegu tuż za Schwedenbrücke. Na zachodnim brzegu rzeki stary Wiedeń, Wiedeń turystów, miasto wież kościelnych,

pałaców, *Sachertorte* i koncertów Mozarta po pięć groszy za tuzin. Na wschodnim brzegu kwadratowe okna zabytkowego miasta, które rozplynęło się w białym betonie i przypominających silosy blokach mieszkalnych powojennej Europy. Ruszyłam na zachód, w stronę starego miasta, mijając schludne matrony w ciasnych spódnicach spacerujące nieskazitelnymi ulicami z wypielegnowanymi pieskami na krótkich smyczach. Mijałam sztywno wyprostowanych dżentelmenów z czarnymi lśniącoymi teczkami, imigrantów sprzedających z plecaków płyty DVD, ściganych przez policjantów w granatowych czapkach, którzy wiedzą, że alkohol i narkotyki są problemem tylko wtedy, gdy denerwuje to władze miasta. Mijałam twarze kamiennych cherubinów patrzących ze smutkiem na ulice skażone obecnością prymitywnych cudzoziemców; mijałam kamienne posągi cesarzy na koniach, cesarzowych znanych ze szlachetnych uczynków i martwych generałów sławnych z powodu walk z Turkami i rebeliami wewnętrznymi. Minęłam galerię sztuki, w której urządzono wystawę zatytułowaną *Barwy podstawowe: renesans postmodernizmu*. Według plakatów eksponowano tam płótna o jednolitych barwach – czerwone, niebieskie, zielone i, dla radykalnie nastawionych, żółte – z jedną białą kropką w dolnym rogu mającą w mistyczny sposób przyciągać wzrok. Niektóre nosiły artystyczne tytuły – *Kochanek anawryzmu* był fioletowym płótnem z mikroskopijnym niebieskim wzorkiem widocznym tylko po zmrużeniu oczu. Inne malowidła, na przykład dwa czarne płótna wiszące obok siebie, podpisano po prostu *Bez tytułu*.

Poszłam dalej. Lubię wierzyć, że idę z duchem czasu, ale czasem tęsknię nawet za końcem dziewiętnastego wieku.

Antykwariat znajdował się na parterze wielkiej białej kamienicy. Miał drzwi z mosiężnymi okuciami wychodzące na plac, na którym bulgotała fontanna ozdobiona rzeźbami delfinów i bóstw morskich. Kiedy otworzyłam drzwi, zabrzączał niewielki mosiężny dzwonek. Wnętrze sklepu pachniało starym papierem, piórami, miedzią i gliną. Para chińskich turystów – którzy nie zamierzali niczego kupić – oglądała niewielki marmurowy posązek przedstawiający biskupa z surowym spojrzeniem i obwisłym podbródkiem, lecz na mój widok zachichotali i czym prędzej go odstawili niczym dzieci przyłapanie na manipulowaniu

przy automacie sprzedającym słodycze. Zza lady, na której leżały czaszki, garnki, papiery i obowiązkowo modele katedry Świętego Szczepana, wyszedł ku mnie lekko siwiejący mężczyzna w zielonych spodniach przetartych na kolanach. Spojrzał na mnie i stanął jak wryty.

– Już panu mówiłem! – wyrzucił z siebie. – Proszę odejść!

Zapomniałam na chwilę, w jakim mieszkam ciele, i oblałam się rumieńcem, nagle zawstydzona.

– To ja, Romy, Klemensie – odpowiedziałam.

Ręce, którymi machał w powietrzu, jakby ich ruchy mogły mnie wygonić, zamarły. Jego twarz stężała, obnażył zęby.

– Ty świni! – rzucił z rozwlekłym akcentem, który sprawił, że obelga nabrała większej mocy. – Nie mam nic do powiedzenia, a ty przychodzisz tu jak...

– To ja, Romy – powtórzyłam, robiąc krok do przodu. – Byliśmy razem w operze, jeździliśmy na karuzeli. Lubisz zielony groszek i nie znosisz brokułów. Jestem Romy. Jestem Di'u. To ja.

Rozdział 34

Klemens i Romy Ebnerowie.

Pojawiają się mniej więcej po jednej trzeciej dossier Kepler.

Poznali się w 1982 roku na kolacji w Wiedniu i wzięli ślub pięć miesięcy później. Ona była katoliczką, on odszedł od Kościoła, lecz zawarli małżeństwo przed obliczem Boga i byli sobie całkowicie oddani.

Ich pierwsze dziecko przyszło na świat w 1984 roku. Kiedy miało czternaście lat, wysłano je do szkoły z internatem, skąd przyjeżdżało do domu nie częściej niż dwa razy w roku. Klemens uwielbiał spacerować po porośniętych lasem wzgórzach otaczających Wiedeń, lecz Romy za tym nie przepadała, toteż miłośnik wędrówek siedział w domu lub spoglądał w dal z okna tramwaju na Brunerstrasse w drodze do pracy.

Kiedy zapisał się do chóru, Romy mówiła, że śpiewa jak wiewiórka ziemna. Zaczęła chodzić na spotkania w miejscowym kościele, on zaś zapisał się na kurs gotowania, lecz Romy twierdziła, że jego potrawy to zagraniczne paskudztwo, i nie chciała ich jeść. Kiedy przeszła na emeryturę, by zająć się sobą, Klemens pracował jeszcze więcej, by zaspokajać ich potrzeby, i przekonał się, że wieczorami lubi siedzieć samotnie w antykwariacie.

Poznałam ich jako Trinh Di'u Ma, sprzedana przez handlarzy żywym towarem w wieku trzynastu lat, której rodzice pięć lat później zapłacili selekcjonerowi, by ją odnalazł i sprowadził z powrotem. Nie mieli ani grosza, przehandlowali zatem jedyny posiadany przez siebie towar – sześć miesięcy życia córki w zamian za jej bezpieczny powrót do domu. Przyjęłam propozycję i szybko tego pożałowałam, bo po zabranii Trinh z burdelu w Linzu spędziłam prawie cały miesiąc na badaniach lekarskich i detoksie. Kiedy nie mogłam już wytrzymać głodu narkotykowego, przeskakiwałam z Di'u do ciała pilnującej jej pielęgniarki i siedziałam z głową dłońmi, gdy ona błagała o heroinę, wrzeszczała, obiecywała zrobić za nią wszystko.

Nawet kiedy z organizmu Di'u usunięto ostatnie ślady opiatów

i wyszłam niepewnie przez drzwi kliniki, czułam pustkę jej umysłu, pragnienie krążące we krwi i zastanawiałam się, czy zdołam dotrzeć do Wietnamu bez załamania, choć przeżywałam tylko odległe echo jej nałogu.

Siedziałam w hali odlotów portu lotniczego w Wiedniu z fałszywym paszportem w kieszeni, obejmując rękami kolana. Miałam gonitwę myśli od kofeiny, a niechęć dobrze ubranych pasażerów robiła na mnie większe wrażenie od spojrzeń pracowników ochrony lotniska. Mój wiek, rasa i blednące blizny sprawiły, że celnicy wzięli mnie na bok i poddali rewizji osobistej. Dotykali dłońmi wszystkich skrawków mojego ciała i przystawiali wykrywacze do mojej nagiej skóry pokrytej gęsią skórką. Stałam z rozłożonymi ramionami i rozkraczonymi nogami, milczałam i czułam przytłaczające pragnienie, by z tym skończyć.

Niewiele brakowało, bym pozostawiła kompletnie zdezorientowaną Di' u na lotnisku w Wiedniu z biletem do Hanoi, gdy nagle jakiś mężczyzna zauważył, że siedzę skulona między ławkami, podszedł do mnie i spytał łamaną angielszczyzną:

– Nic ci nie jest, dziecko?

Klemens Ebner, w żółtym swetrze i szokujących beżowych spodniach, ukląkł obok dygocącej wietnamskiej nastolatki i spytał:

– Proszę pani? Panienko? Wszystko w porządku?

– Odejdź od niej, Klem! – zawołała za jego plecami Romy Ebner, sztywno wyprostowana, ubrana w czarno-niebieski kostium.

Popatrzyłam przez zamglone oczy Trinh Di' u Ma w oczy jedyne go mężczyzny na świecie, którego obchodziłam. Był piękny. Zakochałam się.

*

Dwa tygodnie później zastukałam do ciężkich, czarnych drzwi mieszkania w Wiedniu, mając na obolałych nogach eleganckie sandały miejscowego listonosza.

– List polecony – powiedziałam.

Drzwi otworzyła Romy Ebner. Kiedy podpisała pokwitowanie i oddała mi długopis, chwyciłam ją za nadgarstek i skoczyłam.

Rozdział 35

Z powrotem w ciele Nathana Coyle'a. Siedziałam w najciemniejszym kącie najbardziej zatłoczonej kawiarni w Wiedniu i jadłam ciasto cytrynowe z czereśniami, a tymczasem Klemens trzymał w ręce małą filiżankę kawy i nie mógł oderwać ode mnie wzroku.

– Jak skończyłaś jako ten mężczyzna? – spytał cicho, by nie usłyszeli nas goście, którzy przyszli na lunch. – Jak to się mogło stać?!

Jego zmrużone oczy sugerowały niechęć, a głos wyrażał nienawiść. Wzruszyłam ramionami, podniosłam na widelczyku kawałek fioletowego ciasta i próbowałam nie czuć się urażona.

– Chciał mnie zabić – odpowiedziałam. – Rozumiem, że już go gdzieś spotkałeś?

– Zajrzał do sklepu i pytał o ciebie – odburknął i wypił kilka łyčzków kawy. – Nie wymienił twojego imienia ani nie opisywał twoich... zdolności. Wiedział, że moja żona ma zaniki pamięci, kilka dni tu, kilka dni tam, i chciał wiedzieć, czy mnie też się to zdarza.

– Co mu powiedziałaś?

– Zaprzeczyłam.

– A o żonie?

Klemens się uśmiechnął, po czym natychmiast zmarszczył brwi. Na jego twarzy radość zmagala się z poczuciem winy.

– Powiedziałem, że żona wydaje się całkowicie normalna, a później nie pamięta, co robiła poprzedniego dnia. Wspomniałem, że byliśmy kilka razy u lekarza, ale nie zdiagnozował żadnej choroby i niezbyt się tym wszystkim przejmowałem.

– Czy był... – Prychnęłam. – Czy moje obecne ciało wydawało się zadowolone z odpowiedzi?

– Przyjął to... spokojnie. Jego partnerka nie wydawała się przekonana.

– Ach, partnerka. Alice?

– Takie imię podała.

– Jak wyglądała?

Dmuchał w smugę pary unoszącą się nad filiżanką i zaczął się zastanawiać.

– Mówiła po niemiecku z berlińskim akcentem, zachowywała się apodyktycznie, jak mężczyzna, wydawała się bardzo twarda, bardzo dumna. Kilka razy rozmawiała przez komórkę, notowała, fotografowała – prosiłem, by tego nie robiła. Miała krótkie jasne włosy. Próbowwała być bardziej stanowcza niż ten mężczyzna. Moim zdaniem te starania w jakiś sposób ją osłabiały.

– Czy te cechy wzajemnie się wykluczają? Kobiecość i twardość? – spytałam. Ku mojemu zdumieniu Klemens się zarumienił, co sprawiło mi skrytą przyjemność. Miał ładny rumieniec, sięgający od szyi do czubków uszu.

– Nie – wymamrotał. – Bynajmniej... Po prostu miałem wrażenie, że za bardzo próbuje udawać kogoś... kim nie musi być.

Uśmiechnęłam się szeroko i powstrzymałam chęć dotknięcia jego dłoni. Spojrzał mi w oczy, po czym odwrócił wzrok i popatrzył w czarną otchłań filiżanki z kawą.

– Zostawiła mi wizytówkę. Adres mejlowy, telefon kontaktowy. Przydałyby ci się?

– Tak. Chryste, tak! Właśnie tego potrzebuję.

– W takim razie są twoje – rzekł. – Postaraj się... dobrze je wykorzystać.

Prostokątna wizytówka z trzema linijkami tekstu: adres mejlowy, telefon, nazwisko: Alice Mair. Wyjął ją z portfela pełnego kart lojalnościowych, których nigdy nie używał i o których istnieniu zapomniał. Kiedy przesunął ją w moją stronę, nasze palce się zetknęły. Nie cofnęłam ręki, lecz on zrobił to natychmiast.

– Nie spodziewałem się... twojej wizyty – przyznał.

– Bardzo mi przykro. Nie miałam zamiaru cię odwiedzić.

– Wszystko... w porządku. Wiem, że to ty. Musisz mieć powody. Mężczyzna, którym jesteś... którym się stałaś. Zrobił ci krzywdę?

– Tak.

– Tak myślałem – szepnął. – Nie wydajesz się kimś, kto robiłby coś bez powodu.

– Zabił kogoś... kto był mi bliski.

– Przykro mi.

– To ja byłam celem.

– Dlaczego?

– Tak się czasem dzieje – odparłam. – Co kilkadziesiąt lat ktoś się dowiaduje o naszym istnieniu, zdaje sobie sprawę, do czego jesteśmy zdolni, i wpada w przerażenie. Tym razem...

– Tym razem?

– Tym razem wydano rozkaz, by zabić nie tylko mnie, lecz również moją gospodynię. To się nigdy wcześniej nie zdarzyło. Moja gospodyni była niewinna. Złożyłam jej ofertę, a ona ją przyjęła. Teraz nie żyje, a ludzie, którzy chcą mnie zabić, podali kłamliwe przyczyny jej egzekucji.

Odchylił się do tyłu, prawdopodobnie nie zdając sobie z tego sprawy. Moja twarz była twarzą mordercy. Chociaż rozmawiał z kimś innym, uczciwi ludzie mają głęboko zakodowane reakcje.

– Co zrobisz?

– Znajdę zabójcę Josephine. To ciało nacisnęło na spust, ale... po prostu wykonało rozkaz. Ktoś kazał ją zabić. Chcę wiedzieć dlaczego – jaka była rzeczywista przyczyna.

– A potem?

Chwila milczenia. Uśmiechnęłam się, lecz nie rozproszyło to niepokoju Klemensa.

– Jeszcze kawy?

– Nie, dziękuję.

Wpatrywał się w filiżankę, próbując odczytać w niej przyszłość.

– Co u twojej żony?

Zerknął na mnie, później odwrócił wzrok.

– Dobrze. Cóż. Zajęta, zawsze jest bardzo zajęta.

– I... jesteście szczęśliwi?

Znów spojrzał na mnie, wyraz jego twarzy na moment się zmienił, po czym wszystko wróciło do normy.

– Tak – odpowiedział cicho. – Jesteśmy szczęśliwi.

– Dobrze. Cieszę się.

– A ty? – spytał. – Jesteś... szczęśliwa?

Zastanawiałam się przez chwilę, po czym wybuchnęłam śmiechem.
– Wziąwszy wszystko pod uwagę... nie. Wcale nie.
– Cóż... przykro mi to słyszeć. Jak powinienem cię nazywać?
– Mam na imię Nathan.
– Spróbuję... tak do ciebie mówić. Czy to twoje imię, czy... –
Skinął palcami w stronę pożyczonego przeze mnie ciała.
– Jego – odparłam. – Straciłam własne imię dawno, dawno temu.

*

Klemens Ebner.

Bardzo łatwo go kochać, jeśli zapomni się o znużeniu, przygarbionych ramionach i utraconych marzeniach. Łatwo go kochać może z powodu prostoty jego uczuć, cierpliwości, zrozumienia i lojalności. Wielu ludzi uważa miłość Klemensa Ebnera za coś oczywistego, nie dając nic w zamian.

Po raz pierwszy przyszłam do niego w ciele jego żony. Wszystko dokładnie sprawdziłam, bo byłam dobrą selekcyjerką i wiedziałam, jak znaleźć właściwą osobą i przesuwając ją jak pion na planszy Monopoly. Kiedy po raz pierwszy nosiłam ciało Romy Ebner, zaproponowałam wyjście na kolację. Zjedźmy coś tajskiego.

Klemens Ebner uwielbiał tajskie potrawy, zamówiliśmy więc półmisek pikantnych przysmaków: duszoną kaczkę z orzechami nerkowca, ryż kokosowy, chipsy krewetkowe, kluski ryżowe, tofu na warstwie czosnku i grzybów. Kiedy skończyliśmy posiłek, powiedziałam, że za rogiem jest koncert. Grano Brahmsa i trzymałam Klemensa za rękę w czasie partii skrzypcowych.

W domu, w ciemności, leżeliśmy razem na skrzypiącym łóżku i kochaliśmy się jak nastolatki odkrywające swoje ciała. Rano wziął mnie w ramiona i powiedział:

– Nie jesteś moją żoną.

Oczywiście, że jestem twoją żoną, zawołałam, czując szybkie bicie serca. Nie bądź niemądry!

Nie, odpowiedział. Moja żona nienawidzi rzeczy, które kocham, bo nienawidzi myśli, że mogę kochać coś oprócz niej. Kiedy się kochamy, chce mnie ułagodzić, bo seks jest brudny, ciało wstrętne, a mężczyźni

śpią z kobietami tylko dlatego, że są słabi. Ty – istota, którą obejmuję – nie jesteś moją żoną. Kim jesteś?

Powiedziałam mu, ku swojemu zaskoczeniu.

*

Nie jestem Romy Ebner. Nie jestem Nathanem Coyle'em, Trinh Di'u Ma, szlochającą w objęciach ojca, kiedy z ulgą opuściłam jej ciało. Nie jestem Josephine Cebulą, martwą w tureckiej kostnicy, al-Mu'allimem błędzącym nad Nilem ani dziewczyną o pustych oczach siedzącą w wiosce na południu Słowacji z bliznami na ramionach i narkotykami we krwi. Chcesz spróbować dziś wieczorem czegoś perwersyjnego?

Co kilka lat wracam do Klemensa Ebnera i jego żony, której nigdy nie opuści, na kilka nocy, najlepiej w czasie weekendu, gdy nie mają zobowiązań towarzyskich. Dopuszcza się rozkosznego cudzołóstwa z własną żoną, pływamy żaglówką po rzece, jeździmy na karuzeli, żyjemy jak turyści, trzymając się za ręce, aż odchodzę, a on kocha ciało, które pozostawiam.

Moje dossier nazywa mnie Kepler.

To powinno wystarczyć.

Rozdział 36

Klemens spytał, czy chcę zostać.

Wolał, żebym nie została, lecz mimo wszystko spytał, z grzeczności.

Dziękuję, nie.

Kiedy nosiłam ciało jego żony, zawsze udawało mi się spotykać z nią jedynie na moment, byle tylko ją dotknąć, i, szczerze mówiąc, nie jestem pewna, czy chcę to teraz zmienić.

Mówi:

Jeśli masz kłopoty... możesz zostać mną. Na krótki czas. Gdyby ci zależało.

Propozycja noclegu to fałsz, propozycja ciała jest rzeczywista.

Muszę pamiętać, by go nie pocałować, kiedy mówię: Nie, dziękuję.

Odpowiada:

Mężczyzna, którym teraz jesteś? Ten... Nathan? Zabijesz go?

Słowa są niewyraźne, odważne, pełne lęku.

Może, odpowiadam. Może.

Kiwa głową, zastanawiając się nad moimi słowami, a potem mówi:

Nie rób tego. Życie to piękna rzecz. Nie zabijaj go.

Do widzenia, Klemensie Ebnerze.

Do widzenia, Nathanie.

Wymieniamy oficjalny uścisk dłoni, a później, gdy odchodzę, jego palce dotykają wewnętrznej strony mojego przedramienia, gdzie skóra jest delikatna. Jest przestraszony, lecz nie cofa palców, ledwo muskających moją skórę. Gdyby ta chwila miała nadejść, nastąpiłoby to właśnie teraz.

Odchodzę, nie oglądając się za siebie.

*

Hotele dla turystów.

Kto widział jeden, zna wszystkie.

W foyer stały dwa zdezelowane komputery, z których goście mogli korzystać przez pół godziny, by łączyć się z internetem. Miałam wiele kont mejlowych, lecz tylko jedno zawierało ciekawsze wiadomości niż zaproszenie do zakupu trzech fabrycznie nowych filiżanek do kawy z rabatem o wysokości dwudziestu ośmiu procent lub reklamę kremu przeciwko cellulitowi dla nowoczesnych kobiet.

Mejl pochodził od Johannes Schwarba o nicku Spunkmaster13, a na dole znajdowało się ostrzeżenie, że wszelkie przekazane dane mają poufny charakter, a wartość inwestycji może zarówno wzrosnąć, jak i spaść. Johannes zapomniał je usunąć przed kliknięciem w przycisk WYŚLIJ.

Mejl był krótki i treściwy.

Podawał numer rejestracyjny samochodu, który przyjechał do hospicjum na słowackiej prowincji.

Nazwisko kobiety, która wynajęła go w firmie Eurocar w Bratysławie.

Numer karty kredytowej wykorzystanej do opłacenia rachunku.

Ostatnie dwanaście miejsc, gdzie posługiwano się tą kartą.

Pięć z nich znajdowało się w Stambule, przed śmiercią Josephine Cebuli.

Resztę stanowiły sklepy w Berlinie.

Na dole podano nazwisko i adres.

Alice Mair.

Miło cię w końcu poznać.

Rozdział 37

Selekcjoner ma dwa główne zadania.

Pierwsze z nich to długoterminowa działalność inwestycyjna. Nie ma sensu przenosić się do czyjegoś ciała, jeśli nie zna się statusu społecznego, karalności i stanu zdrowia właściciela, niezależnie do płci i wieku. Znałam siedem widm, które trafiły do szpitali z powodu astmy, zawału, cukrzycy – łatwo mogły tego uniknąć, gdyby wcześniej zdobyły podstawowe informacje – a dwa zmarły, gdyż problemy zdrowotne pojawiły się tak nagle, że nie zdążyły nawet przeskoczyć w ciało sanitariusza. Gdyby jedno z nich sprawdziło wewnętrzną kieszeń marynarki aktualnie zamieszkiwanego ciała, odkryłoby tam epinefrynę, co oznacza stałe zagrożenie. Mogłoby żyć, gdyby nie ignorancja na temat stanu własnej garderoby.

Drugie zadanie dobrego selekcjonera to dokładna analiza krótkoterminowych przesiadek.

Rozważmy pewien przykład.

*

– Chcę być Marilyn Monroe.

W 1959 roku Hollywood mogło wyglądać wspaniale, ale restauracja Scarlet i Star na North Arlen Boulevard serwowała najgorszą jajecznicę na półkuli zachodniej. Dotknęłam jej ostrożnie łyżeczką, a tymczasem po drugiej stronie stołu ciało czterdziestodwuletniej Anne Munfield powiedziało:

– Chcę nią zostać choćby na kilka dni. W piątek jest przyjęcie, mówi o tym całe miasto, a ja pomyślałam: może Tony Curtis, może Grace Kelly, może pójdę jako polityk, a nawet kelner, ktokolwiek – ale później zdecydowałam. Marilyn. Po prostu na kilka dni, nawet dwa wieczory. Chcę być Marilyn Monroe.

Kiedy dotknęłam widelcem jajecznicę, wyciekł z niej rzadki płyn, który mógł być wodą albo wysmażonym olejem – czymkolwiek był,

wyglądał jak idealne środowisko dla ewolucji prehistorycznego potwora.

– A zatem? – spytała moja towarzyszka, pochylając się nad plastikowym blatem. – Co o tym sądzisz?

Odłożyłam widelec. Istota zasiedlająca ciało Anne Munfield nazywała się Aurangzeb, choć nie bardzo rozumiałam, skąd się wzięło to imię, ponieważ utrzymywała, że jest widmem niespełna trzydzieści lat i że w poprzednim życiu wychowała się na farmie w stanie Illinois. Nawet gdyby nie przyznała się do swojego pochodzenia, zdradziłoby ją zachowanie.

– W porządku – mruknęłam. – Zastanówmy się nad tym przez chwilę. Dlaczego Marilyn?

– Jezu, a dlaczego nie?! – wykrzyknęła. – Ma zgrabne małe ciało, jest piękne, a także prawdziwe. Wiesz, co mam na myśli: prawdziwy tyłek, prawdziwe cycki, prawdziwy brzuch. Można je nazwać pulchnym, ale nie o to chodzi – jest po prostu prawdziwe.

– Podobno lubi alkohol i prochy.

Aurangzeb uniosła ręce ze sfrustrowaną miną.

– A kto ich nie lubi w Hollywood? Widziałaś twarze niektórych aktorów: wyglądają jak pogryzione przez kraby. Słyszałam, że znasz się na takich sprawach. Podobno jesteś dobra. Moje obecne ciało ma więcej forsy niż rozumu: mogę ci zapłacić każdą sumę, w dowolnej walucie. Opanowałam podpis do perfekcji. Po prostu załatw to, okej?

Anne Munfield mogła kiedyś być dystygowaną kobietą w średnim wieku, spokojną i miłą, prawdopodobnie wegetarianką. Teraz twarz miała wykrzywioną przymilnym, pożądlivym uśmiechem, a jej oczy przypominały ślepią potulnego szczeniaka bojącego się, że pan wymierzy mu klapsa pantoflem. Dziecinne błaganie nie pasowało do rysów poważnej matrony.

Z jajecznicy wydzielala się oleista ciecz, a moje ciało marzyło o kapuście. Nigdy nie przepadałam za kapustą, lecz w tej chwili mój żołądek tęsknił za nią jak niemowlę za mlekiem matki. Aurangzeb skamlala, a wszystkie jej mięśnie, nerwy i żyły pragnęły stać się kimś innym.

– Jeśli się zgodzę, chcę, żeby umowa była całkowicie jasna – rzuciłam. – Jedna, co najwyżej dwie noce i koniec. Marilyn Monroe

obudzi się w poniedziałek rano z piekielnym kacem i poczuciem, że nie pamięta czegoś nieistotnego. Właśnie o to chodzi. Koniec. Ani mniej, ani więcej. Zgoda?

Aurangzeb pisnęła z radości, klaszcząc w dłonie, a ja poczułam ukłucie wstydu, że jej piękne ciało wydaje mi się tak brzydkie.

*

Rozpracowanie Marilyn nie wymagało wielkiego wysiłku.

Była jedną z pierwszych gwiazd filmowych, które nie tylko flirtowały z prasą, lecz starały się ją uwieść. Nawiązywała bliskie relacje z dziennikarzami, umawiała się z nimi na spotkania, a kiedy na ich twarzach pojawiały się ślady szminki, ścierała je chusteczką – niekiedy dosłownie.

Trochę więcej zachodu musiałam włożyć, by zdobyć ważne – i może bardziej interesujące – informacje o otaczających ją ludziach.

Spędziłam pół dnia jako wesoła Murzynka o imieniu Maggie, która podawała kawę wszystkim szefom wytwórni 20th Century Fox; kolejne trzy godziny jako zabiegany producent z rzednącymi włosami i, jak podejrzewałam, niezdiagnozowaną rwą kulszową. Przez trzy minuty odgrywałam rolę ochroniarza, przez dwie głównego elektryka, przez siedem dziewczyny zajmującej się kostiumami, a w końcu, szukając drogi wyjścia, spędziłam czterdzieści pięć sekund w ciele gwiazdki filmowej, której nazwiska zapomniałam i której usta pachniały olejkiem anyżkowym.

Kiedy znalazłam się na świeżym powietrzu, przy samochodzie czekało na mnie moje ciało – to, które wybrałam.

– Jak poszło? – spytał.

– Nienawidzę Hollywood – odpowiedziałam. – Każdego bolą usta od uśmiechów.

Wzruszył ramionami.

– Dobrze na tym wychodzą. Hej, idziesz dzisiaj?

– Zastanawiałam się nad tym, czemu pytasz?

– Grają dziś Dodgersi. Myślałem, że chcesz iść na mecz?

Namyślałam się przez chwilę.

– Czemu nie? Przebiorę się w coś mniej rozsądnego.

Wypowiedziawszy te słowa, wzięłam go za rękę i skoczyłam.

*

Nie interesuję się Dodgersami.

Nie interesuję się bejsbolem.

Sportowe błahostki.

Jeśli podejrzewasz, że siedzisz naprzeciwko widma, sugeruję, byś wykorzystał sportowe błahostki, by je zidentyfikować. Ciało noszące koszulkę z logo Dodgersów powinno znać wynik meczu – ale które szanujące się widmo marnuje czas na takie idiotyzmy?

Właśnie za to płaci się selekcjonerom.

*

Proste białe ulice na szarej szachownicy Los Angeles.

Moje ciało jest młode, silne, zjadło przyzwoity posiłek, ma pod pachą pieprzyk, który uparcie mnie fascynuje; zmuszam się, by nie bawić się nim publicznie. To ciało jest również bardzo ważnym współpracownikiem selekcjonera – czystym, skłonny do współpracy zmiennikiem.

Spotkałam swoje ciało pod autostradą numer sto jeden.

Miejsce, gdzie umarły sny. Aktorzy, którym się nie powiodło, gwiazdki porno zbyt późno podejmujące leczenie. Technik wyrzucony ze studia po plajcie, scenarzysta, który nigdy nie zarobił prawdziwych pieniędzy. Diler narkotyków, który stracił ostatnią partię towaru w nalocie policyjnym, chłopak, którego ojciec siedzi w więzieniu i którego matka nie potrafi sobie poradzić. Ognisko martwicy w tkance miasta, mroczny zakątek między jasno oświetlonymi ulicami. Niebezpiecznie chodzić tam samotnie po nocy. Idealny teren, by znaleźć ciało, którego losem nikt się nie zainteresuje.

Miał na sobie śmierdzące stare szmaty przypominające postrzępiony całun mumii. Broda sięgała do piersi. Wydawał się siwy, ale kiedy przykucnęłam naprzeciwko niego i wrzuciłam do brudnego czarnego kapelusza banknot dwudziestodolarowy, powiedział że nazywa się Will i ma dwadzieścia dwa lata.

– Ćpasz? – spytałam.

– Jezu... – jęknął. Nad naszymi głowami rozlegał się łoskot jadących samochodów. – Po co to pytanie?

– Właściwa odpowiedź może zmienić twoje życie – odparłam. – Nie chodzi tylko o forszę.

Obrócił głowę w obie strony niczym łabędź oglądający swoje pióra.

– Nie. Myślisz, że stać mnie na to gównno?

– Jak się tu znalazłeś?

– Zakochałem się w facecie.

– I co?

– W Teksasie nie przepadają za homoseksualizmem. Gdyby był biały, może by mi się upiekło. A może nie? Porobiło się takie gównno, że musiałem zwiewać.

– Masz tu rodzinę, przyjaciół?

– Mam takich, co mnie szukają – odpowiedział i lekko się najeżył.

– Nie o to chodzi...

Zmrużył oczy.

– Gadaj. Nie kręć, tylko mów.

Usiadłam na ziemi, obejmując rękami kolana.

– Za pięć sekund obudzisz się, stojąc, i nie będziesz wiedział, kiedy się podniosłeś.

– Co za...

Chwyciłam go za nadgarstek i skoczyłam. Po pięciu sekundach stał i nie wiedział, kiedy się podniósł.

– Co ze mną zrobiłeś, kurwa?!

Zakołysałam się, gdyż kręciło mi się w głowie po dwóch szybkich skokach.

– Chcę, żebyś uważnie posłuchał. Czasami nadchodzi chwila, która zmienia ludzkie życie. Dzieje się to błyskawicznie. Dwie sekundy, gdy kierowca ciężarówki nie naciska hamulca. Moment, kiedy powiedziałeś coś głupiego, a powinieneś powiedzieć coś miłego. Chwila, gdy policjanci wyważają drzwi. Człowiek czuje, że jego życie wisi na włosku. To jedna z takich chwil.

– Kim jesteś? – wyjąkał. – Kim jesteś, kurwa?!

– Widmem. Żyję w ciałach innych ludzi, mieszkam w nich.

Wskakuję szybko, bezboleśnie, potem nic się nie pamięta. Nie proszę o natychmiastową decyzję. Nie będę cię nachodzić i pozwolę ci przemyśleć tę ofertę. Spędzę kilka tygodni w Los Angeles, załatwiając różne sprawy. Potrzebuję ciała, w którym mogłabym się schronić po dniu pracy. Nie chcę, by nagle odeszło i zniknęło, gdy w nim nie mieszkam. Rozumiesz?

– Kurwa, nie! – odpowiedział, lecz nie krzyczał, nie wrzeszczał, nie uciekał, co było optymistyczną oznaką.

– Umowa jest prosta. Doprowadzę cię do porządku: nowe ubrania, fryzjer, pieniądze, dokumenty, wszystko. Wynajmę mieszkanie na sześć miesięcy, wypełnię lodówkę jedzeniem, wpłacę pięć tysięcy dolarów na rachunek bankowy na dowolnie wybrane nazwisko. Jeśli masz jakieś preferencje kulinarne lub niepokoisz się kwestiami związanymi z życiem seksualnym, możemy negocjować. W ramach umowy chciałabym korzystać z twojego ciała przez trzy tygodnie.

Pokręcił głową, lecz nie okazał gniewu ani nie odrzucił propozycji.

– Kompletnie zwariowałaś, kurwa! – szepnął.

– Proszę w uprzejmy sposób – odpowiedziałam. – Gdybyś zawarł tę umowę z własnej woli, byłoby to bardzo korzystne. Jeśli wątpisz w moje słowa, zamierzam opuścić swoje obecne ciało jutro w porze lunchu. Zamieszkałam w nim tylko po to, by przyjechać autobusem do Los Angeles. Nie będzie pamiętał, jak się tu dostał, nie będzie pamiętał, skąd ma aktualnie noszone ubrania i skąd się wzięła wkładka w jego lewym bucie. Ostatnie trzy dni będą dla niego białą plamą; nie będzie miał pojęcia, skąd na dnie walizki wzięło się tysiąc dolarów. Może wpaść w panikę, uciec, zrobić mnóstwo rzeczy, na które, niestety, nie mam żadnego wpływu. Albo może to uznać za dar losu, bo tak jest w istocie. Kiedy się obudzi, on również stanie wobec wyboru, który może zmienić całe życie, i sam o wszystkim zdecyduje. Postanowisz odmówić: świetnie. Wchodzisz do gry: przyjdź jutro na róg Lexington Avenue i Cahuenga Boulevard. To dobra propozycja: zastanów się nad nią.

Wypowiedziawszy te słowa, odeszłam.

Rozdział 38

Nienawidzę Los Angeles.

Niekończące się proste linie łączące coś banalnego z czymś trywialnym.

Nawet miejsca, które powinny być zielone – parki i tak zwane „obszary rekreacyjne” – są tylko ogrodzonymi betonowymi płaszczyznami, gdzie siedzą i piją nastolatki, czekając, aż zdarzy się coś ciekawego.

Ale cokolwiek można powiedzieć o Los Angeles, zawsze można tam znaleźć kogoś, kto chętnie wynajmie swoje ciało za odpowiednią cenę.

Trzy minuty po południu opuściłam swojego gospodarza i przesiadłam się do przechodzącego nieznajomego. Później podążyłam Lexington Avenue dostatecznie daleko, by mój poprzedni gospodarz niczego nie podejrzewał, i przeszłam przez ulicę do miejsca, gdzie czekał Will, mrużąc oczy w jaskrawym słońcu.

– Cześć, to ja! – powiedziałam i trzeba mu przyznać, że nawet się nie wzdygnął. – Zdecydowałaś się?

*

Dwa tygodnie później siedzieliśmy na betonowych trybunach stadionu. Jadł popcorn, a ja miałam na sobie przesadnie opaloną, wysuszoną skórę nieznajomej kobiety, która się akurat nawinęła. Will wyciągnął rękę i powiedział:

– Widzę cię teraz.

– Co widzisz?

– Ciebie – odparł. – Nieważne, czyje ciało nosisz, skąd przychodzisz. Czekam przy samochodzie i kiedy się zbliżasz, by się ze mną spotkać, wiem, że to ty.

– Skąd?

Wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Coś w sposobie poruszania się. Coś w wyglądzie. Coś starczego. Potrafię cię rozpoznać, kimkolwiek jesteś. Wiem, kim jesteś teraz.

Próbowałam odpowiedzieć i okazało się, że nie potrafię. Piekły mnie oczy; odwróciłam twarz w nadziei, że nie zauważy łez.

Rozdział 39

Teczka Kepler nie wspominała o selekcjonerach.

Lista moich ciał była daleka od kompletności. Szczegóły powiązane ze sobą na podstawie zeznań świadków, danych medycznych, ale ciała, których używałam, miały jedynie luki w pamięci i nie mogły podać żadnych konkretnych informacji.

Nigdzie nie wspomniano o moim poprzednim zawodzie.

Gdyby go wymieniono, Nathan Coyle bardziej by się starał, gdy postanowił nacisnąć spust.

*

Dobry selekcjoner bada obiekt długie miesiące.

Korzystnie jest zamieszkać na dłużej w ciele, które jest czyste: wolne od więzów społecznych i zależności ekonomicznych, tak że nikt nie zauważy nagłej zmiany. Idealnym kandydatem jest pacjent w stanie śpiączki, którego rodzina straciła wszelką nadzieję. Kiedy nikogo nie ma w domu, może robić, co mu się żywnie podoba. Wadą korzystania z ciała, którego pierwotny mieszkaniec przypomina warzywo, jest niemożność przewidzenia zakresu szkód fizycznych odniesionych przez pacjenta. Nieunikniony jest częściowy zanik mięśni; z moich doświadczeń wynika, że trudna bywa również kontrola nad pęcherzem oraz różnego rodzaju wydzielinami, jak łzy, ślina i śluz. Można to doprowadzić do normy dzięki cierpliwości, lecz istotom mego gatunku często jej brakuje.

W rzadkich przypadkach zdarzało się, że widma wskakiwały w ciała pacjentów w stanie wegetatywnym, po czym okazywało się, że nie panują nad mięśniami i nie są w stanie się poruszyć. Tkwiły w pułapce, świadome, sparaliżowane, wydając z siebie niemy krzyk, aż wreszcie – Bogu niechaj będą dzięki! – ktoś, na przykład pielęgniarka lub przechodzący portier, przypadkowo dotykał nagiej skóry chorego, co pozwalało widmu odzyskać wolność. Spędziłam kiedyś w takim stanie

dwa dni, po czym umyło mnie gąbką, a kiedy z ulgą przeskoczyłam do ciała pielęgniarki, upadłam na podłogę, płacząc ze szczęścia, że znowu odzyskałam swobodę.

Niezależnie od ryzyka, prawie zawsze lepiej osiedlić się na dłuższy czas w czystym, wolnym od zobowiązań ciele niż w znanej postaci. Pomagają w tym selekcjonerzy: nauczą cię imion braci, ojca, matki, córek, kolegów, przyjaciół, pokażą, gdzie skóra trzyma kluczyki do samochodu, nauczą podrabiać podpis, imitować akcent, opowiadać anegdoty – dzięki temu przeskok do nowego ciała odbywa się maksymalnie bezproblemowo. Zamieszkanie w ciele człowieka o utrwalonej pozycji społecznej to trudny problem, lecz próba wcielenia się w Marilyn Monroe jest kompletnym szaleństwem.

*

– Bierze narkotyki – powiedziałam do Aurangzeb, która siedziała w moim mieszkaniu i popijała wino. Z wielkiego szklanego okna w salonie rozciągała się panorama Los Angeles. Miasto, leżące nieco w dole, pokrywał smog, w którym lśniły czerwone i żółte światła.

– Kto ich nie bierze w Hollywood? – odrzekła.

– Miesza narkotyki z alkoholem.

– Daj spokój! – Aurangzeb przewróciła oczami. – Mój pobyt będzie dla niej szczęściem! Kilka czystych dni, prawda?

– Przeżywałaś kiedyś głód narkotykowy?

– Moim zdaniem po dniu, co najwyżej dwóch, jeszcze się nie załamie, prawda? Podaj mi potrzebne informacje. Z kim sypia, jak się nazywa jej agent, komu jest winna pieniądze, takie rzeczy. Czy... – pochyliła się z ciekawością do przodu – czy sypia z Kennedym?

– Nawet jeśli tak, Monroe reaguje chłodno na takie propozycje i moim zdaniem powinnaś ją naśladować – odparłam. – Najlepszy sposób to odpowiedź: „Nie chcę teraz o tym mówić”.

– Mam w tym wprawę.

– Nie jest idiotką – dodałam szybko. – Cokolwiek robisz, nie udawaj idiotki. – Jej reakcja obronna to udawana bezbarwność, ale potrafi być brutalna, gdy jest pewna swojej władzy. Po takich krótkich studiach niczego tak naprawdę nie wiemy, więc staraj się być pusta, ale

nie głupia.

– Nie wiem, czym się tak martwisz – rzekła Aurangzeb, wyciągając na blacie stołu nogi w pończochach. – Myślałam, że ci się to spodoba.

– Szczerze mówiąc, uważam to za absurd – odpowiedziałam i odsunęłam papiery od jej szpilek.

– Nie widzisz sensu w zostaniu Marilyn Monroe, kurwa?! – pisnęła.

– Nie. Zależy ci na pieniądzach? Są bogatsi ludzie. Ciele? Są piękniejsze. Pragniesz sławy? Chcesz być podziwiana, uwielbiana przez jeden wieczór? Nie będą podziwiać ani uwielbiać ciebie. Jeśli chcesz przeżyć coś takiego, wskocz w ciało charakterizatorki albo inspicjentki, a potem chwyć za nadgarstek aktora, który wychodzi skłonić się przed publicznością szalejącą z zachwytu. Albo sama zrób karierę jako aktorka. Znajdź ładne ciało – ładne anonimowe ciało – a ja zostanę producentem albo reżyserem w dowolnym studiu filmowym w Los Angeles, a potem postawię ptaszka przy twoim nazwisku, kiedy obrócisz się do kamery i uśmiechniesz się swoim plastikowym uśmiechem.

Kiedy zaczęłam mówić, Aurangzeb przewróciła oczami; gdy skończyłam, zrobiła to jeszcze raz.

– Chcesz, żebym pracowała?! Mogę w każdej chwili zostać Clarkiem Gable'em. – Pstryknęła długimi palcami o pomalowanych paznokciach. – Mogę przeprowadzić Laurence'a Oliviera nago przez Londyn, mogę zostać pieprzonym Marlonem Brando – pieprzyć jako Marlon Brando – a ty każesz mi zmarnować pięć lat życia, może dziesięć, by zdobyć to, co mogę dostać w ciągu jednego dnia?! Co się z tobą, kurwa, dzieje?! – Pochyliła się do przodu, spuściła nogi na podłogę i spoglądała na mnie błyszczącymi oczyma. – Słyszałam o tobie różne rzeczy. Myślałam, że naprawdę żyjesz.

– Co słyszałaś? – spytałam cicho.

– Że eksperymentujesz. Że byłaś grubą sopranistką, pilotem linii lotniczych, że ściskając ludziom dłonie, dotarłaś do Gabinetu Ovalnego w Białym Domu. Słyszałam, że robiłaś różne rzeczy na wojnie. Podobno w w 1943 roku w Europie Środkowej była masa żołnierzy z zanikami pamięci, więcej niż pieprzonych V1 zrzuconych na Londyn.

– Nie miałam pojęcia, że Janus tak lubi plotki. A ty co robiłaś w czasie wojny?

– Podróżowałam. Ameryka, Kanada. Przyszło mi do głowy, że fajnie byłoby popłynąć z żołnierzami amerykańskimi do Europy, gdy U-Booty przestały być groźne, ale w końcu zabrałam się z drugim pilotem i udałam zatruć żołądkowe nad Atlantykiem. Znacznie prostsze. Widziałam wyzwolenie Paryża.

– I jak było?

– Jedno wielkie gówno – odpowiedziała. – Żołnierze maszerowali tam i z powrotem, ludzie machali rękami, grały orkiestry, a ja myślałam: Gdzie byliście w zeszłym tygodniu? Gdzie byliście wczoraj, gdy nie było wiadomo, czy wywieszać flagę Wolnej Francji, czy swastykę? Potem okazało się, że gość, którego ciało nosiłam, był kolaborantem, co jeszcze bardziej popsulo mi humor. – Uderzyła się pięściami w uda i wykrzyknęła: – Wojna to kompletny idiotyzm!

Przyszło mi do głowy, że mimo eleganckich ciuchów i starannej fryzury Aurangzeb zachowuje się jak typowy Amerykanin: przesadnie gestykuluje i siedzi z rozkraczonymi nogami.

Dotknęłam grzbietu swojego nosa.

– W porządku – westchnęłam. – Musimy ci znaleźć buty na wyższych obcasach.

Rozdział 40

Między Wiedniem a Berlinem kursuje bezpośredni pociąg. Białe monstrum ozdobione czerwonymi kwadratowymi literami DB – Deutsche Bahn. Eleganckie białe toalety z umywalkami z nierdzewnej stali są jak środkowy palec pogardliwie pokazany ekspresowi bałkańskiemu.

Miałam dwuosobowe miejsce do spania tylko dla siebie. Złożone leżanki to olśniewająco biały triumf zagospodarowania przestrzeni. Kiedy są rozłożone, pasażerowie wciskają się do nich jak węgorze próbujące się przedostać przez popękana śluzę.

Za oknami mknął romantyczny banał niemieckiej nocy, rozjarzonej żółtymi światłami autostrad. Pędziliśmy na północ. Nad polami wisiała mgła nasycona księżycowym światłem, mijane miasta przypominały kałuże bieli, między czarnymi górami wiły się ogromne rzeki, wśród drzew widać było niewielkie wille z białego betonu i czystego szkła, gdzie próbowały odpoczywać żyjące w stresie rodziny z Monachium i Augsburga. Kiedy pociąg zaczął skręcać na wschód, pędził po wielkim łuku przywodzącym na myśl zamaszty ruch pędzla artysty malującego krzywiznę kobiecej piersi.

Obserwowałam krajobraz sunący za oknem. Moje łóżko było posłane, lecz nietknięte. Każdy przyzwyczaja się do swojego zapachu, lecz nawet ja czułam, że śmierdzą. Woda w umywalce była albo zbyt gorąca, albo zbyt zimna – nie istniały stany pośrednie.

O pierwszej w nocy usłyszałam kroki hostessy obchodzącej śpiący pociąg. Zatrzasnęłam kajdanki na nadgarstku swojej lewej ręki, wychyliłam się z przedziału i szepnęłam:

– Proszę pani! – Nawet o tej porze jej uśmiech był olśniewający. – Przepraszam, czy mogłaby mi pani pomóc?

– Naturalnie, proszę pana. Z przyjemnością.

Zaprosiłam ją skinieniem ręki do przedziału. Weszła do środka, rozglądając się z zaciekawieniem, w dalszym ciągu uśmiechnięta. Kiedy

w przedziale przebywała jedna osoba, mógł się wydawać przytulny; obecność dwóch sprawiała, że wydawał się ciasny i duszny.

– Co mogłabym... – zaczęła.

Wyciągnęłam rękę, chwyciłam ją za nadgarstek i skoczyłam.

Nathan Coyle. Coraz lepiej rozpoznawał symptomy przebudzenia. Zatoczył się, czując zawroty głowy, i usiłował mnie uderzyć: zamachnął się i wałnął pięścią w ścianę przedziału. Chwyciłam jego rękę, przypięłam kajdanki do poręczy wyższego łóżka i czekałam, aż przestanie mu się kręcić w głowie.

W końcu doszedł do siebie. Poczul, że ma unieruchomioną lewą rękę, zauważył kajdanki, jęknął i oparł się o ścianę.

– W porządku! – prychnął. – Co teraz?

– Pociąg do Berlina.

Uniósł opadającą powiekę i popatrzył na mnie.

– Czym teraz jesteś? Myślałem, że interesują cię tylko kurwy i śmieciarze.

Poprawiłam mundur hostessy.

– Moim zdaniem wyglądam dość elegancko. Nie miałeś przyjemności oglądać Kapikule, ekspresu jadącego przez Bałkany ani słowackich autobusów i nie doceniasz, kiedy stempluje ci bilet uśmiechnięty konduktor. Na szczęście wspólnie zjemy śniadanie dostarczone przez Deutsche Bahn. Mają pyszną marmoladę.

– Nie znoszę marmolady.

– A ja ją lubię – odparłam. – Mogłabym zjeść cały słoik.

Wyprostował się lekko i spojrzał na mnie uważnie.

– Grozisz mi... śniadaniem?

Wsunęłam kosmyk włosów za delikatne ucho i odpowiedziałam:

– Mam adres Alice Mair.

Zacisnął pięści.

– Będzie na ciebie czekać – szepnął.

– Wiem. Twoi przyjaciele przeczesują w tej chwili całą Europę, by znaleźć ciebie – a raczej mnie, powiedzmy, że nas. Oboje powinniśmy być wdzięczni, że jeszcze nas nie dopadli. Przejrzałam dossier Kepler i nie wiem, co zrobiłam, że czujesz do mnie taką osobistą nienawiść. Rozumiem zawodową niechęć i konflikt interesów. W ciągu ostatnich

dziesięciu lat nosiłam ciała prostytutek, żebraków, przestępców, kłamców, zabójców, złodziei. Nie zawsze byłam... nie zawsze byłam tym, czym jestem teraz, ale na pewno widzisz, że się staram. – Zadygotałam z chłodu w cienkim mundurku. – Twoje dossier kłamie. Może przyjmujesz, że zabiłam... że mieszkałam w jakimś ciele przez jedną noc, upajałam się seksem, brałam heroinę, a potem zostawiłam tę osobę, by samotnie umarła z przedawkowania na podłodze szpitala. Jestem starsza, niż sobie wyobrażasz, i miałam... niespokojne życie. Rozmawiałeś z moimi gospodarzami. Czy byli nieszczęśliwi? Czy zostawiałam ich nagich i samotnych? Istnieją różne istoty podobne do mnie, ale powinieneś rozumieć, powinieneś wiedzieć... że jestem niewłaściwym celem ataku.

Nie odezwał się, nie poruszył. Syknęłam, sfrustrowana, splatając chude ręce na kościstej piersi.

– Udajesz wyższość. Większość morderców tak postępuje. Ale to mnie powinieneś zabić, nie Josephine.

Czy na jego twarzy pojawiło się wahanie? Refleksja, nie tylko nienawiść? Nie mogłam się zorientować. Spędziłam zbyt wiele czasu w jego ciele, nie patrząc na jego rysy.

– Kim jest Galileusz? – spytałam i zauważyłam, że nerwowo przestępuje z nogi na nogę.

– Ile czasu minęło? – spytał. – Kilka minut temu strzelałem do ciebie na stacji metra Taksim, przed sekundą byłaś kloszardem... w jakimś zaułku. Gdzieś indziej. Ile czasu naprawdę minęło?

Przypomniałam sobie wszystko, co robiłam.

– Pięć dni? To nie do mnie strzelałeś.

– Nie, do ciebie! – odpowiedział ostro. – Strzelałem właśnie do ciebie, a tragedia polega na tym, że nie ty zginęłaś.

– Miałeś rozkaz zabić również Josephine?

– Tak.

– Dlaczego?

– Była skompromitowana.

– W jaki sposób?

– Wiesz.

– Naprawdę nie mam pojęcia.

– Zabijała naszych ludzi.

– Wcale tego nie robiła, ale rozumiem, że chcesz coś zasugerować okrężną drogą.

Lekko napiął kajdanki na nadgarstku. Nie sprawdzał siły więzów, wydawało się raczej, że coś go zirytowało.

– Na pewno bardzo dobrze znasz moje ciało – rzekł w końcu.

– Tak.

– Co o nim sądzisz? – spytał i obrócił się lekko, bym mogła je obejrzeć. – Wiesz o nim wyjątkowo dużo. Spełniam twoje wymagania? Czy moja twarz jest wystarczająco surowa, nogi dostatecznie długie, czy podoba ci się kolor moich włosów?

– Surowy wyraz twarzy to nie stała cecha ciała.

– Nie potrafię sobie wyobrazić, że moja twarz mogłaby mieć inny wyraz.

– A ja potrafię – odparowałam. – Dbałeś o siebie, to jasne. Trudno powiedzieć, czy przekroczyłeś granicę między dobrą kondycją a próżnością. Zaciekawiała mnie blizna na twoim brzuchu. Musisz również pomyśleć o okularach. – Wykrzywił wargi, zaskoczony. – Wierz mi, jestem ekspertem w tych sprawach: wkrótce będziesz potrzebował okularów do czytania.

– Mam idealny wzrok!

Zdumiewające, jaką dumę i złość mogą budzić naturalne zjawiska fizjologiczne. Zaskakujące, jak głęboko zakorzeniona bywa próżność.

Usiłowałam oprzeć dłonie na biodrach, ale w ciasnym przedziale zdołałam unieść tylko jedną rękę.

– Mówisz to, by mi zaimponować? – spytałam. – Przez pewien czas mieszkałam w twoim ciele i wyobrażam sobie, że jesteś dumny ze swojej kondycji fizycznej, ale wiem z doświadczenia, że należy dbać o oczy. Miałam już zaćmę, infekcje, dalekowzroczność, krótkowzroczność, częściową ślepotę...

– Nie ty! – warknął. – Nie ty. Te oczy należały do kogoś innego, ktoś inny był ślepy.

– Ja – odpowiedziałam. – Właśnie ja. Doświadczyłam tego osobiście. Prowadziłam ludzi do sądu, bo obawiali się złożyć zeznania. Poszłam do szpitala za idiotę chorego na raka, bo bał się operacji i nie

chciał się leczyć. Możesz mnie uważać, za kogo chcesz, ale nie próbuj negować moich doświadczeń. Marnujesz tylko czas.

Jeszcze przez chwilę próbował robić groźną minę, prostował plecy i marszczył brwi, ale wyglądało to sztucznie i zrezygnował. Usiadłam na dolnym miejscu do spania. Moje polakierowane paznokcie wydawały się fascynująco twarde. Bolały mnie plecy, miałam za ciasny pasek, a kiedy przycisnęłam dłonie do kręgosłupa, uderzyła mnie pewna myśl.

– Czy jestem... – zaczęłam i umilkłam. Coyle popatrzył na mnie z uniesioną brwią. Ostrożnie dotknęłam dłońmi brzucha, naciskając miękką skórę, próbując wyczuć coś znajdującego się w głębi. – Chyba jestem w ciąży.

Pociąg turkotał, nikt się nie odzywał. Później Coyle zadygotał lekko, odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął głośnym śmiechem.

– Cholera jasna! – jęknęłam.

Coyle szybko przestał się śmiać. Za oknem widać było świeżo zaorane, płaskie pola ciągnące się aż po horyzont. Na bezchmurnym niebie świecił księżyc w pełni, zapowiadając lodowate wiatry i poranne przymrozki. Dotknęłam dłońmi brzucha i poczułam ruch czegoś, co nie było moim żołądkiem.

– To... dziwne – powiedziałam.

– Nie przepadasz za radościami macierzyństwa? – spytał. – Myślałem, że zechcesz spróbować, choćby z ciekawości.

Skrzywiłam się.

– Czasami wykonywałam niespodziewane skoki pod wpływem stresu. Jestem pewna, że poród to niezwykle przeżycie, zwłaszcza jeśli kobieta ma nadzieję na wieloletnie szczęście rodzinne w domowym zaciszu. Ale istnieje pięćdziesięcioprocentowe prawdopodobieństwo, że w czasie skurczów porodowych staniesz się noworodkiem ciągle połączonym pępowiną z wrzeszczącą, zdezorientowaną kobietą. Na pewno rozumiesz, dlaczego nie budzi to mojego entuzjazmu.

Na twarzy Coyle'a pojawiło się zrozumienie.

– Mogłabyś się wcielić... w płód?

– Naprawdę przerażająca myśl.

– Nigdy nie próbowałaś?

– W żadnym wypadku.

– Nie kusiło cię?

– Ani trochę. Nie mam złudzeń związanych z fizjologią.

Mieszkałam w najróżniejszych ciałach, jakie tylko można sobie wyobrazić, i jedyne wnioski są następujące: w młodości należy uprawiać ćwiczenia fizyczne, dbać o kręgosłup i w miarę możliwości używać elektrycznej szczoteczki do zębów.

– Dziesiątki lat kradzieży ciał i tak wygląda główny wniosek?

– Tak.

– Od jak dawna jesteś widmem?

Uniosłam wzrok i zobaczyłam, że wpatruje się we mnie błyszczącymi oczami.

– Chciałbyś wiedzieć? A skąd masz tę bliznę na brzuchu, Coyle?

– Wiesz, że naprawdę tak się nie nazywam.

– Ciekawe, ale w ogóle mnie to nie obchodzi. Kilkaset lat. –

Zabłyśły mu oczy, a ja pochyliłam się do przodu, instynktownie przyciskając rękę do brzucha. – Kilkaset lat – powtórzyłam cicho wśród turkotu pociągu. – Zamordowano mnie na ulicach Londynu. Rozbito mi głowę. Kiedy leżałam na ulicy, chwyciłam mordercę za kostkę. Czułam nienawiść, przerażenie. Straszliwie się bałam, że umrę samotnie; potrzebowałam go, pragnęłam, by ze mną został. Nagle okazało się, że stoję i patrzę na swoje zwłoki. Aresztowano mnie za zabójstwo, ironia, która nigdy nie wydawała mi się zabawna. Niezbyt piękny początek, prawdę mówiąc, ale wydaje się, że pragnienie życia jest silniejsze od innych instynktów.

– Kim byłaś, kiedy umarłaś?

– Kimś... pozbawionym znaczenia – szepnęłam. – A ty, Coyle?

Skąd masz tę bliznę?

Milczenie.

– Galileusz – odpowiedział i urwał.

Czekałam.

– Galileusz dźgnął mnie nożem.

– Widmo?

– Tak.

– Dlaczego dźgnął cię nożem?

– Byłem ostatnim żywym człowiekiem.

- Gdzie?
- Na „Santa Rosa”.
- Już słyszałam tę nazwę.

Lekkie poruszenie głową, uśmiech. Nie wierzy we własne słowa. Teraz nie pora tego kwestionować.

– Istnieje... plotka – mruknął. – Mit. Z czasem ta historia zaczęła obrastać w fantastyczne szczegóły. A jednak jest w niej ziarno prawdy. Kilkogodzinny rejs promem przez cieśninę Malakka, a może Bałtyk. Maszyny stają, a kiedy pasażerowie i załoga czekają na ratunek, ktoś znajduje zwłoki. Martwy człowiek to... cóż, nieważne. Podcięte gardło, krew na pokładzie. Wszyscy wpadają w panikę, aż wreszcie jedna z osób zauważa, że morderca nie mógł uciec i że musiały go zarejestrować kamery, na pewno jest zakrwawiony. Przeglądają nagrania z kamer i znajdują zabójcę, który siedzi skulony w toalecie, dygocąc ze strachu, z krwią na twarzy, rękach, ubraniu. Schwytaliśmy mordercę, ogłaszają. Po naprawieniu maszyn i dopłynięciu do brzegu przekazemy go policji.

Później znajdują następne zwłoki z wyprutymi wnętrznościami. Oczy trupa spoglądają w przestrzeń, język wystaje z otwartych ust i wszyscy rozumieją, że nie schwytano mordercy albo ma on współnika. Szerzy się panika, załoga promu jest nieliczna w porównaniu z mnóstwem pasażerów, nie ma szans na zaprowadzenie porządku i kapitan rozkazuje pasażerom zebrać się w jednym miejscu. Mają przebywać razem, nie poruszać się samotnie po statku, zapewni im to bezpieczeństwo. Bezpieczeństwo w grupie. Wszyscy trochę się uspokajają, aż pierwszy oficer odkrywa, że nie żyją wszyscy pasażerowie na pokładzie pierwszej klasy. Niektórzy mają zakrwawione ręce, inni twarze; niektórzy próbowali odgryźć sąsiadom uszy; niektórzy próbowali uciec, ale jeden pozostał. Stoi, uśmiechając się do kamery, i macha ręką na pożegnanie. Po kilku minutach on również zostaje znaleziony martwy.

Dotarcie do promu i naprawa maszyn zajęło straży przybrzeżnej siedemnaście godzin. W tym czasie zginęło siedemnastu ludzi, pięciu było w stanie krytycznym. Kiedy policyjni kryminolodzy zbadali zwłoki, okazało się, że na każdym ciele znajdują się ślady cudzego DNA, jakby każda ofiara została zamordowana przez kogoś innego. Na każdym nożu

znajdowano inne odciski palców. Znasz tę historię? – spytał, przestając spoglądać niewidzącym wzrokiem w przestrzeń.

– Tak – odpowiedziałam. – Znam.

– Znasz nazwy statków, nazwiska ofiar?

– Niektóre – odparłam. – W 1899 fregata u wybrzeży Hongkongu. W 1924 roku statek wycieczkowy. W 1957 roku prom, choć nigdy tego nie potwierdzono – ktoś otworzył furty ładunkowe i wszyscy, żywi i martwi, poszli na dno. Coś podobnego wydarzyło się w 1971 roku: dwudziestu trzech zabitych, władze uznały to za atak piratów. W 1983 roku jacht u wybrzeży Szkocji. Na pokładzie zginęło dwóch ludzi, według standardów Galileusza liczba ofiar była niewielka, ale to ciągle on. Wszyscy słyszeliśmy te plotki.

Skinął głową z nieobecnym wyrazem twarzy.

– „Santa Rosa” – szepnął. – Październik 1999.

– Byłeś tam? – spytałam.

– Tak. Zabiłem człowieka. Nie pamiętam, że to zrobiłem, ale otworzyłem oczy i miałem zakrwawione ręce: przede mną leżał mężczyzna z poderżniętym gardłem. Jeszcze żył, a kiedy oddychał, na jego szyi pojawiały się bańki krwi. Trzymałem w ręce nóż, a obok stała kobieta, która patrzyła na mnie i konającego mężczyznę. Wyjęła mi z rąk ostrze – kuchenny nóż z kambuza – położyła mi rękę na ramieniu jak matka, po czym wbiła go we mnie, obróciła i uśmiechnęła się bez słowa. Uznano mnie za martwego, aż wreszcie jeden z lekarzy krzyknął, że wyczuwa tętno. Później uznano mnie za mordercę. W pewnym sensie rzeczywiście nim byłem.

– Galileusz?

Skinął głową, prawie nie zwracając uwagi na mnie ani moje słowa.

– Powinieneś wcześniej o tym powiedzieć – szepnęłam. –

Mogłabym pomóc.

– Pomóc?! – Zakrztusił się, zabrzmiało to prawie jak śmiech. – Jesteś pieprzonym widmem! Możesz się komuś do czegoś przydać?

– Czasami. Spotkałam twojego Galileusza.

Tym razem obrócił głowę. Błysk jego oczu przypominał uderzenie czekana w lód.

– Gdzie?

– W Petersburgu, Madrycie, Edynburgu, Miami. Po Miami już nie.
– Jesteś pewna?
– Tak.
– Jak to było?
– Wbrew obiegowym opiniom nie każde widmo co dwadzieścia lat wpada w morderczy amok – odpowiedziałam. – Jeśli ma takie skłonności, zapada w pamięć.
– Opowiedz!
– Dlaczego? – szepnęłam i zauważyłam, że prawie się wzdrygnął.
– Koniecznie chcesz mnie zabić. Zamordowałaś Josephine i chociaż rozmawiamy w przyjaznej atmosferze, trudno zapomnieć o burzliwych aspektach naszego związku: ja mam problemy hormonalne, a ty nosisz kajdanki. Chcesz mnie zabić, Coyle, bo o mało nie zabiło cię jakieś widmo. Nie jestem tym widmem. Chcesz mnie zabić jako mnie. Dlaczego miałabym ci pomóc odnaleźć Galileusza?
Zacisnął wargi, po czym na moment odwrócił głowę i znów spojrzał prosto na mnie.
– Gdybyś mi nie pomogła, choć coś wiesz, byłby to dowód, że jesteś potworem, za którego cię uważam.
– I tak uważasz mnie za potwora. Powiedz mi coś więcej. Dlaczego zabiłaś Josephine?
– Rozkazy.
– Dlaczego?
– Szanuję ludzi, którzy je wydali. Z akt wynikało... – Zaplątał mu się język. – Z akt wynikało, że zamordowała czterech naszych naukowców. Ona: nie ty, tylko ona.
– Dlaczego?
– Próbowwała zinfiltrować jeden z naszych projektów. Testy medyczne. Powinnaś o tym wiedzieć.
– Coś wiem. Potrzebowała pieniędzy, testy medyczne we Frankfurcie, coś związanego z banalnym przeziębieniem. Odrzucili jej kandydaturę, gdy odkryli, że to dziwka. Sprawdziłam biografię Josephine Cebuli przed zawarciem z nią umowy.
Pokręcił głową.
– Nie chodziło o banalne przeziębienie.

– Zdumiewasz mnie. Więc o co?

– Szczepienia.

– Przeciwno czemu? – Nie odpowiedział. Uderzyła mnie pewna myśl. Odchyliłam się do tyłu, czując, jak osiada w mojej głowie niczym zakurzona pajęczyna na czystej skórze. – Ach, przeciwno nam.

Próbowaliście stworzyć szczepionkę przeciwno widmom. Udało się?

– Nie. Czterech naszych naukowców zamordowano.

– To nie ja.

– Ale Josephine. Widziałem film z kamery przemysłowej.

Widziałem ją z krwią na rękach. Potem przyjechałaś do Frankfurtu, złożyłaś jej propozycję. Jak to rozumieć?

Chłonełam jego słowa. Nie byłam pewna, czy dostatecznie panuję nad sobą i zdołam powstrzymać gwałtowną reakcję fizjologiczną.

Dotknęłam palcami brzucha.

– Uważasz, że wcieliłam się w Josephine z powodu jakichś testów medycznych? Myślisz, że wspólnie was zaatakowałyśmy? Że postanowiłyśmy zamordować jakiegoś doktora i jego zaufanych współpracowników?

Namyślał się przez chwilę.

– Tak, właśnie tak myślę.

Opuszki moich palców pachną detergentem, moje gardło pamięta smak herbatki owocowej. Policzyłam powoli od dziesięciu do jednego i powiedziałam:

– Mylisz się.

Coyle nie odpowiedział.

Pociąg zwalniał, wagony uderzały o siebie, zbliżaliśmy się do bocznic. Zastanawiałam się, jak ciało tej dziewczyny poradzi sobie z ciążą. Wydawała się wyjątkowo wychudzona: cienkie kostki, wąska talia. Czy herbatka owocowa to naprawdę remedium na poranne mdłości?

– Dla kogo pracujesz? – spytałam.

Pokręcił przecząco głową.

– Wiesz, że się dowiem.

– Opowiedz mi o Galileuszu.

– Zamierzam nosić twoje ciało, Coyle, aż ktoś mnie zastrzeli. Jeśli

chcesz, by wszystko się dobrze skończyło, potrzebuję więcej informacji.

– Informacji?! – spytał z histerycznym śmieszkiem, nie mając lepszego wyjścia. – Dziesięć minut temu w Stambule minęło południe. W pociągu dotknął mnie jakiś mężczyzna i znalazłem się w innym miejscu, w nowym ubraniu, rozmawiając z nieznanymi ludźmi. Rozebrałaś mnie do naga, mówiłaś moim językiem, jadłaś moimi ustami, pociłaś się, sikałaś, łykałaś moją ślinę, a teraz chcesz informacji?! Wal się, Kepler! Pieprz się!

Milczenie.

Pociąg podskakiwał na nierównych zwrotnicach, zwalniał, lokomotywa generowała coraz mniej energii. Może w pobliżu znajdowała się stacja, na peronie czekał podróżny chcący odbyć nocną przejażdżkę? Może bocznica, na której mogliśmy stać przez kilka godzin, a maszynista wypiłby kawę i wypalił papierosa przy torze? Lokomotywa sapała sama do siebie, nie chcąc zapaść w sen.

Dotknęłam dłońmi brzucha i zastanawiałam się, kim się stanie moje dziecko.

Może będzie pracować na kolei jak mama?

Może postanowi zostać kimś innym?

Może politykiem, który za trzydzieści lat stanie przed narodem i oznajmi: „Któregoś dnia moja matka jechała pociągiem z Berlina do Wiednia. Chciała mnie wspierać, by moja przyszłość była lepsza od przeszłości”.

Może moje dziecko nie zechce zostać kolejarzem ani politykiem?

Może postanowi prowadzić spokojne, samotne życie jako matka, która nieustannie podróżuje i przysyła pocztówki z zagranicy, mając poczucie, że jej życie nie należy do niej?

– Galileusz – powiedziałam, spoglądając w przestrzeń. – Chcesz się czegoś dowiedzieć o Galileuszu?

Oddech, oczy na mojej twarzy.

Wszystko mu powiedziałam.

Rozdział 41

W 1912 roku w Petersburgu można było uwierzyć, że dynastia Romanowów przetrwa. W 1905 roku słyszałam salwy karabinowe, widziałam barykady na ulicach i wierzyłam, podobnie jak wielu innych, że jej dni są policzone. Reformy społeczne nie nadążały za wymaganiami gospodarki, reformy polityczne nie nadążały za przemianami społecznymi. Wydawało się, że na początku dwudziestego wieku jakaś część Rosji musi zginąć.

Ale w 1912 roku, tańcząc pod kryształowymi żyrandolami Pałacu Zimowego w jedwabnych rękawiczkach sięgających do łokci, z wysoko upiętymi włosami ozdobionymi grzebieniem wysadzonym brylantami, wierzyłam, że ten świat będzie istnieć wiecznie.

Byłam Antoniną Baryszkiną, siódmą córką starego wielkiego księcia, i potrafiłam okazywać, że jestem gotowa gotowa do zawarcia małżeństwa, czego moja gospodyni zupełnie nie umiała. Szesnastoletnia Antonina uchodziła za flirtiarę, kandydatkę na ładacnicę i, co najgorsze, kobietę, która przespałaby się z proletariuszem głównie dlatego, że tata tego zabrania. Przymus, namowy ani brutalne groźby nie skłoniły Antoniny do poprawy. Kiedy plotki groziły przekształceniem się w skandal, selekcjonerka z Moskwy o imieniu Guanyin przedstawiła mi niezwykle ofertę złożoną przez jej ojca.

– Sześć miesięcy – powiedziała. – Piękna kobieta, piękne życie. Moim zdaniem nie ma na świecie bardziej wyrafinowanej osoby niż panna Baryszkina.

– A w zamian za to... wyrafinowane życie?
– Powinnaś okazać dojrzałość godną przyrzeczonej nagrody.
– W jakim celu?
– By udowodnić światu, że Antonina Baryszkina to dobra kandydatka do małżeństwa.

Uwielbiałam żyć w ciele Antoniny Baryszkiny. Miała piękną gniadą klacz, na której jeździła każdego ranka niezależnie od pogody.

Była właścicielką wiolonczeli i choć prawie nigdy na niej nie grała, struny instrumentu płakały niczym owdowiały bóg, gdy ich dotykałam. Tańczyłam, śmiałam się, dyskutowałam o bieżących sprawach politycznych i pogodzie, plotki o wybrykach Antoniny przycichły i wszyscy kawalerowie w Petersburgu ustawili się w kolejce, by spojrzeć na młodą dziedziczkę, która się poprawiła.

Ignorowałam nudziarzy; przystojnym i dowcipnym pozwalałam się odwiedzać w pałacu nad brzegiem kanału, częstowałam ich herbatą i rachatlukum. Kilku przynosiło wiersze i pieśni, by dostarczać mi rozrywki; klaskałam w dłonie i dostawałam zawrotów głowy z powodu hołdów składanych przez tylu adoratorów. Uczestniczyłam w demonstracjach sufrażystek i marszach na rzecz praw obywatelskich i równości; w dalszym ciągu lekko się rumienię, gdy przypominam sobie młodych ludzi recytujących poezje na moją cześć.

Po pewnym czasie przyszedł do mnie ojciec i powiedział:

– Przyjmujesz w domu wielu kawalerów i moim zdaniem przyszła pora porozmawiać o perspektywach małżeństwa.

Nigdy nie wiedział, jak rozmawiać z córką. Teraz, gdy mieszkałam w jej ciele, wyrażanie własnych myśli przychodziło mu jeszcze trudniej.

– Umowa polegała na tym, bym unikała poruczników – łowców posagów, a poza tym nie angażowała się w niepewne związki seksualne, które mogłyby przynieść ujmę memu nazwisku. Nigdy się nie umawialiśmy, że mam szukać kandydatów do małżeństwa.

Tylko wspaniała rosyjska broda może się naprawdę nastroszyć i rzeczywiście się nastroszyła.

– Nie sugeruję, że masz wyjść za mąż za któregoś z nich! – odparował. – Musimy po prostu stworzyć fundamenty, z których skorzysta moja córka.

Po krótkich targach zgodziłam się zjeść kolację z dziesięcioma najlepiej urodzonymi, najbogatszymi kawalerami, których ojciec był w stanie znaleźć. Zerwałam z czterema po pierwszym spotkaniu z powodu grubiańskich, czasem wręcz barbarzyńskich zachowań, a z pozostałymi sześcioma nawiązałam kontakty towarzyskie, grzecznie trzymając ich na dystans. Z czasem ojciec zaczął szanować moje opinie i chwilami zapominał nawet, że rozmawia ze mną, a nie z córką.

– Zdajesz sobie sprawę, książę, że kiedy nasza umowa wygaśnie, ci dżentelmeni będą mieli do czynienia z twoją córką? – zapytałam go któregoś dnia.

– Moja córka pragnie tylko jednej rzeczy na świecie: chce być adorowana – odpowiedział. Siedzieliśmy w półmroku jego karety, jadąc nocą po ulicach Moskwy. – Ta potrzeba sprawiła, że stała się osobą, której zupełnie nie można adorować. Kiedy zda sobie sprawę, że jest adorowana dzięki twoim wysiłkom, uspokoi się i łatwiej będzie nią kierować. Nawet jeśli tak się nie stanie, odzyska część reputacji. Może za kilka lat, gdy wypędzimy z niej demona, zdoła wykorzystać dobre imię, które dla niej stworzyłaś.

– Nie niepokoi pana... nieortodoksyjny charakter naszego związku?

– Jak związek masz na myśli?

– Mój i twojej córki, książę – odpowiedziałam cicho. – Mam na myśli również swój związek z tobą i twój z twoim dzieckiem.

Milczał przez chwilę, gdy jechaliśmy z turkotem po ciemnych ulicach Petersburga. W końcu zapytał:

– Kiedy przyjęłaś warunki umowy, musiałaś się zapoznać z dziejami mojego rodu, prawda?

– Oczywiście.

– To znaczy zrobiłaś więcej niż moja córka, niezależnie od twoich motywów – prychnął. – Zdajesz sobie sprawę, że mój ród ma długie tradycje wojskowe. Mój ojciec walczył w wojnie krymskiej i został odznaczony za odwagę.

– Czytałam o tym.

– Kłamstwo – odpowiedział sucho. – Mój ojciec nie brał udziału w wojnie krymskiej. Uczestniczyło w niej jego ciało i z wszystkich relacji wynika, że walczyło dzielnie, ale zapewniam cię, że ojciec nie pamiętał żadnych bitew ani pokonanych wrogów. Nie znosił widoku krwi, lecz do dziś dnia słynie jako znakomity żołnierz. Wiesz, jak mogło się to zdarzyć?

– Tak – szepnęłam. – Chyba wiem.

Wyprostował się i w zamyśleniu lekko skinął głową.

– Zastanawiasz się, dlaczego ci pozwoliłem... wybacz, nie jest to właściwe słowo... dlaczego zaprosiłem cię do odgrywania roli mojej

córki. Uważasz, że to niegodne ojca? Moja odpowiedź brzmi następująco: Gdybyś musiała odciąć zgangrenowaną nogę albo stanąć przed kochankiem i powiedzieć, że twoja miłość umarła; gdyby sytuacja zmusiła cię do zamordowania przyjaciela, który zawsze był lojalny, wbicia noża w jego gardło – co poświęciłabyś, by tego nie robić? I co byś poświęciła, by ktoś to zrobił za ciebie?

– Dlaczego sądzisz, książę, że ktoś chciałby zrobić coś, czego sama nie mogę zrobić?

– Bo nie niszczysz własnego kochanka, a jednak twoje ofiary widzą cię i naprawdę cierpią. Moja córka szydzi ze swojego urodzenia i potępia swój ród. Tak jest lepiej.

Kareta się zatrzymała. Zakołysaliśmy się i końskie kopyta uderzyły w krawężnik. Przez chwilę mój ojciec się nie poruszał.

– Chciałbym ci zadać jedno pytanie – rzekł po chwili.

– Proszę.

– Kiedy się poznaliśmy, byłaś moim służącym i nosiłaś imię Josif. Teraz jesteś moją córką i nazywasz się Antonina... Rozmawiasz sam na sam z mężczyznami, myjesz się przed lustrem i zajmujesz się prywatnymi czynnościami kobiecymi, których nie chciałbym zbyt dokładnie rozważać. Moje pytanie brzmi: kim jesteś? Kiedy nie jesteś ani Antoniną, ani Josifem, kim jesteś, gdy zasypiasz jako moja córka?

Zastanawiałam się przez chwilę.

– Jestem rosyjską arystokratką. Wiolonczelistką, która kocha swoją gniadą klacz i bardzo ją rozpieszcza. Jestem grzeczna przy stole, czarująca wobec ludzi, którzy zasługują na moją uwagę, i chłodna wobec kawalerów zainteresowanych tylko moim ciałem i bogactwem. To wszystko prawda. Czy reszta jest ważna?

Poruszył się, zamierzając coś powiedzieć, a ja wyciągnęłam dłoń w rękawiczce i dotknęłam ręki pokrytej wątrobianymi plamami.

– Czy ojciec księcia pytał, kto walczył za niego na Krymie? – szepnęłam. – Chciał się tego dowiedzieć?

– Nie, nie sądzę. Krążyły plotki, że... w mojego ojca wstąpiło coś złego, ale w czasie wojny zdarzają się dziwne rzeczy.

– Niech zatem książę zada sobie pytanie, czy chce wiedzieć, komu pozwolił zamieszkać w ciele córki.

Widziałam w półmroku karety jego poruszające się jabłko Adama. Po chwili spytał ze śmiechem:

– Na co się wybieramy dziś wieczorem, Antonino?

Wybieraliśmy się na bardzo kiepskie przedstawienie i wieczorem po opadnięciu kurtyny oklaskiwałam aktorów i uśmiechałam się do publiczności, której spora część biła brawo dla mnie, bo byłam piękna i bogata, idealny obraz osoby, jaką powinna być Antonina.

*

A później, w tłumie ludzi, którzy krążyli pod żyrandolami w foyer – żaden członek towarzystwa nie przychodził do teatru tylko dla przedstawienia – mojego łokcia dotknął dziecięcy palec i usłyszałam cienki głosik:

– Wiem, kim jesteś.

Odwrociłam się i zobaczyłam małą dziewczynkę z głową pokrytą loczkami. Różowa jedwabna sukienka okrywała płaską pierś, a jednak policzki małej były umalowane. Kiedy dotknęła mojego ramienia, miałam wrażenie, że czuję w zębach delikatne mrowienie.

– Naprawdę? – spytałam, przyglądając się jej twarzy.

– Tak. Uwielbiam twoją sukienkę.

– Dziękuję, panno...

– Sieniawina. Jestem... och! – Uniosła drobną dłoń do ust, powstrzymując śmiech. – Nazywam się Tulia. A może Tasza? Jesteśmy tak do siebie podobne, że trudno nas rozpoznać, a mama nazywa nas aniołkami.

Cofnęłam się w mroczny zakątek foyer, oświetlony pełgającymi płomykami świec, okrywając mantylką szczupłe ramiona.

– Od jak dawna mama was tak nazywa?

– Chyba od urodzenia – odpowiedziała dziewczynka. – Ale ja słyszę to dopiero od dwóch tygodni. – Przechyliła głowę i spojrzała na mnie z ukosa. – Spaliłam domek dla lalek Tulii. A może Taszy? Pokoiki były pomalowane na różowo, lecz chciałam, by były niebieskie, a rodzice się nie zgodzili, to go spaliłam. Co tu robisz?

– Ratuję reputację młodej kobiety, która jest zbyt naiwna, by rozumieć, jaka jest wartość dobrej reputacji – odparłam. – Za dwa

tygodnie będę chyba kimś innym.

– Tylko dwa tygodnie? – spytała Sieniawina. – Ja odchodzę dziś wieczorem. Popatrz. – Wskazała pulchnym palcem młodego człowieka z ciemnymi podkręconymi wąsami, który stał wyprostowany w środku foyer ze smukłym kieliszkiem w palcach. Miał na piersi jasnoczerwoną szarfę. – Podoba ci się to, co widzisz? Jest piękny, prawda?

– Bardzo miły.

Dziewczynka obróciła się w moją stronę z zatroskaną buzią.

– Chciałam cię poinformować – wyjaśniła. – Kiedy się zorientowałam, kim jesteś, postanowiłam cię uprzedzić, że jest mój. Kocham go. Kocham jego pot, zapach. Jego oczy uśmiechają się nawet wtedy, gdy ma nieruchome wargi, a jego miękkie włosy opadają pięknie na czoło. Próbuje trzymać ręce nieruchomo, lecz mimo to leciutko drgają, bo rozpiera go energia. Kiedy pocałuję jego wargami kobietę, będzie wołać: „Nie! Proszę, nie!”, a potem pocałuje mnie jeszcze mocniej, bo będzie widzieć moje piękno. Chętnie zatrzymałabym go na zawsze, takiego jak teraz, idealnego, ale ludzie się starzeją, ciało więdnie. Potrzebuję go teraz, gdy jest ciągle młody, nim jego twarz się zmieni. Jest taki piękny, że zastanawiałam się, czy się nie wtrącis. To możliwe. No to postanowiłam się przywitać i cię uprzedzić. Jest mój. Kocham go. Dotknij go tylko, a wydłubię ci oczy i nakarmię nimi swoją kotkę.

Wypowiedziawszy te słowa, mała panna Sieniawina uśmiechnęła się rozkosznie, ujęła dwa palce mojej ręki i uściśnęła je na pożegnanie. Stałam w milczeniu, patrząc, jak odchodzi tanecznym krokiem.

Myślę, że było to moje pierwsze spotkanie z istotą znaną jako Galileusz.

Nie ostatnie.

Rozdział 42

W pociągu do Berlina Coyle stał w milczeniu z przymkniętymi oczyma i zastanawiał się nad moimi słowami.

– Jesteś starsza, niż się wydajesz.

Wzruszyłam ramionami.

– Idę z duchem czasu. Skóra, ubrania, ciało. Mam odtwarzacz MP3, kolczyk w języku. Piercing, tatuaże, chirurgia plastyczna. Mogę wybierać, kim chcę być, i najczęściej chcę być młoda. Młodzieńcze ciało to młodzieńczy charakter, bo ból fizyczny i zobowiązania wobec społeczeństwa, które kształtują ludzką osobowość, najczęściej nie wpływają na dudziestodwuletnią miłośniczkę punku. Podoba mi się to, pasuje do mojego charakteru.

– Kim byłaś na początku? – spytał. – W swoim... pierwszym ciele. Mężczyzną? Kobieta? Kim?

– Czy to ważne?

– Jestem ciekaw.

– A jak sądzisz?

– Kiedyś myślałem, że mężczyzną. Wydawało mi się... nie wiem, co mi się wydawało, może po prostu przyjąłem takie założenie.

– A teraz?

– Kobiety są zabijane w ciemnych uliczkach tak samo jak mężczyźni – odparł. – Jak się nazywasz?

– Kepler, podobnie jak ty Coyle. To nam powinno wystarczyć.

– Masz jakieś preferencje... pod względem płci?

– Lubię dobre zęby i mocne kości – odrzekłam. – Lubię zdrową skórę i, przyznaję, mam słabość do rudych włosów, kiedy je spotkam i są prawdziwe. Można mieć różne zastrzeżenia do dziewiętnastego wieku, ale wtedy nikt przynajmniej nie farbował włosów.

– Jesteś snobką.

– Mieszkałam w ciałach wielu ludzi i łatwo rozpoznaję, kiedy próbują być kimś, kim nie są. Mogę ci pomóc – dodałam. – Jeśli

Galileusz używał twojego ciała, wykorzystał cię, jeśli jest twoim celem – mogę ci pomóc.

– W jaki sposób?

– Powiesz mi coś? – Nie odpowiedział. – Dla kogo pracujesz?

Milczenie.

– Wierzysz w to, co ci powiedzieli o Frankfurcie? Wierzysz, że pracowali nad szczepionką?

Milczenie.

– Wybrałam Josephine, bo było to dla mnie wygodne. Zawarłyśmy umowę, bo potrzebowała gotówki, a ja zmiany. Nie muszę zniszczyć twoich pracodawców, ale chciałabym, żebyś mi podał jakiś powód, choćby cień wątpliwości, dlaczego mam ich wszystkich nie zabić, kiedy ich znajdę. A znajdę na pewno.

Spoglądamy sobie w oczy. Przez wiele dni patrzyłam w oczy Coyle'a w lustrze w łazience i widziałam tylko pogardę.

– Robią, co mogą – odparł. – Bardzo się starają.

Na moich wargach pojawił się grymas, skrzywienie. Moje ciało mogło przewidywać swój los, bo normalnie miało ładne usta i uśmiechało się na myśl o macierzyństwie.

– Niewystarczająco – powiedziałam, chwyciłam go za rękę i skoczyłam.

Rozdział 43

Leżę w wagonie sypialnym i przypominam sobie...
Marilyn Monroe.
Cóż za cholernie głupi pomysł...

*

Pewnego gorącego jesiennego wieczoru na przedmieściach Los Angeles wślizgnęłam się w ciało Louisa Quinna, początkującego aktora i modela zatrudnionego jako kelner, i niosąc na czubkach palców tacę z kieliszkami szampana, poszłam zobaczyć gwiazdy filmowe.

Willa przypominała pałac i miała basen, podobnie jak każdy dom w Los Angeles. Marilyn leżała na brzegu basenu, trzymając w dłoni kieliszek szampana, rozczochrana, śmiejąc się piskliwie. Podobno na filmie każdy wygląda, jakby ważył kilka kilogramów więcej. Ludzie przybierający na wadze patrzą na każdą fałdę tłuszczu jak na nowo narodzonego potwora. Przebywałam w ciałach smukłych, pięknych kobiet, stałam nago przed lustrem i nagle spostrzegłam, że jestem gruba, pomarszczona, mniej atrakcyjna niż wtedy, gdy patrzyłam na siebie oczami kogoś nieznanego.

Moim zdaniem w rzeczywistości Marilyn Monroe była piękniejsza niż na ekranie, bo mimo pulchnego brzucha i bulwiastego podbródka ubierała się w taki sposób, by się sobie podobać, a tego efektu nie potrafi osiągnąć żaden stylist.

Jednak tego wieczoru było inaczej. Patrząc na jej nieskazitelne majtki i luźno zawiązany stanik, miałam wrażenie, że ktoś się przebrał za Marilyn. W paradoksalny sposób czyniło ją to brzydka.

Odstawiłam tacę, przeskoczyłam z kelnera do ciała producenta rozmawiającego z Marilyn, a gdy oszołomiony kelner chwiał się za moimi plecami, pochyliłam się i szepnęłam Marilyn do ucha:

– Aurangzeb.

Skrzywiła się, jakby ugryzła kwaśną śliwkę. Obróciła powoli

głowę, popatrzyła na mnie wściekłym wzrokiem i syknęła:

– Co tu robisz, do cholery?!

– Możemy zamienić kilka słów na osobności?

– Jestem z przyjaciółmi!

– Tak, widzę. Powinniśmy porozmawiać.

– Świetnie. – Skrzywiła się, chwyciła ręcznik i owinęła się nim w talii. – I tak zrobiło się nudno.

Zaprowadziła mnie na koniec ogrodu, gdzie zielone żywopłoty przycięto na kształt kota o płaskim nosie, psa z uniesionymi łapami, parasolki w kieliszku koktajlowym i innych podobnych kiczów. Kiedy znalazłyśmy się za najbliższym tworem tego rodzaju, Aurangzeb odwróciła się do mnie i warknęła:

– Czego?

– To już pięć dni – odpowiedziałam. – Umówiliśmy się na najwyżej dwa.

– Jezu! – zawołała, unosząc ręce z udawaną frustracją. – Co się z tobą dzieje, kurwa?! Ci ludzie mnie kochają! Uważają, że jestem fantastyczna, lepsza od prawdziwej Marilyn. Pytają, co zażywam, z kim się spotykam, bo jestem znacznie spokojniejsza, bardziej... znacznie bardziej... no wiesz, po prostu bardziej! – Urwała, nie mogąc znaleźć słów. – John Huston przed chwilą błagał mnie, żebym wystąpiła w jego następnym filmie, mówił, że będę świetna.

– Bardzo miłe. Ale co zamierzasz zrobić, gdy każą ci stanąć przed kamerą, a ty nie będziesz potrafiła grać?

– To Hollywood! Ludzie pójdą na film, bo w nim gram, a nie dlatego, jak gram.

– Nie mam nic przeciwko temu, żebyś zniszczyła jej karierę, jeśli chcesz, ale później zaczną się plotki, już się zaczęły, a ja nie zamierzam ponosić odpowiedzialności za jeden z najgłośniejszych skandali w środowisku aktorskim. Jeśli Marilyn Monroe straci pamięć na tydzień, wszystko będzie okej. To pasuje do Hollywood. Jeśli straci pamięć na pół roku, rok albo pięć lat i w końcu obudzi się w jakimś filmie kategorii B z majtkami na głowie, bo potrafi się tylko rozbierać, będziemy mieli problem, a ja nie chcę przejść do historii jako selekcjonerka, która to zaaranżowała. Więc mówię – wyjdź z niej. Znajdź inne ciało.

– Nie.

– Nie?

– Nie. – Aurangzeb włożyła wiele wysiłku w skrzywienie warg. – Jestem nią. Odgrywam tę rolę. Dam sobie radę.

Cofnęłam się o krok.

– To twoja ostateczna odpowiedź?

– Tak.

– W porządku.

Rozchyliła ze zdziwieniem wargi, po czym wybuchnęła śmiechem.

– To wszystko, co masz mi do powiedzenia?

– To wszystko – odpowiedziałam. – Zamierzam znaleźć kelnera, w którym tu weszłam – ma ładne ręce – i wyjdę. Pojadę w jakieś chłodne miejsce. Może Kanada albo Alaska. Popatrzę na zorzę polarną.

– Jezu, jesteś wyjątkowo beznadziejna!

– Jasne. Jestem beznadziejna. Prowadziłam awanturnicze życie, a teraz lubię spokój. Zatrulałam ci szampana.

Śmiech zamarł jej na ustach, zmniejszył się, zniknął. Na twarzy pojawił się kalejdoskop uczuć, żadne z nich nie było przyjemne.

– Kłamiesz! – wypałała. – Nie ośmieliłabyś się!

– Jasne, że bym się ośmieliła. Przyszłam tu jako kelner. Jeśli ty i ja jesteśmy w czymś naprawdę dobre, to we wtapianiu się w tłum. Miłego płukania żołądka.

Odwróciłam się. Odeszłam.

– Hej! – zawołała za mną. Potem: – Hej... ty!

Pustka w miejscu, gdzie powinno być moje imię. Gdyby Aurangzeb staranniej przejrzała dossier, które dla niej przygotowałam, znalazłaby moje zdjęcie wraz z dokładnymi wyjaśnieniami, ale okazała się leniwa, nie zadała sobie trudu, żeby zebrać podstawowe informacje.

– Hej! – wrzasnęła tak głośno, że ludzie zaczęli się oglądać.

Uśmiechnęłam się pogodnie i podeszłam do zaskoczonego kelnera próbującego zebrać myśli.

– Dobrze się czujesz, synu? – mruknęłam, kładąc mu rękę na ramieniu, i skoczyłam.

*

Gra na skrzypcach, znajomość francuskiego i głęboka wiedza na temat Dodgersów.

Jeśli to wszystko na nic się nie zda i naprawdę chcesz się dowiedzieć, czy osoba, którą się interesujesz, to przyczajone widmo, innym świetnym sposobem jest niezbyt żołądkowo-jelitowy.

Rozdział 44

Pociągi sypialne nigdy nie przyjeżdżają na miejsce o rozsądnych porach.

Szósta dwadzieścia siedem rano to niezbyt dobry czas, by rozpocząć dzień.

Sklepy są zamknięte, jedyna kawa, jaką można kupić, to tania brązowa lura przeznaczona dla ludzi dojeżdżających rano do pracy, którzy są zbyt niewyspani lub zbyt skacowani, by się przejmować jej smakiem. Nie można wynająć pokoju w hotelu i trzeba siedzieć z bagażami w pierwszej lepszej kawiarni, zastanawiając się, dlaczego nie poleciało się samolotem.

Zrobiło się wyraźnie chłodniej. W ciągu ostatnich pięciu dni niebo i ziemia pociemniały, a kiedy wlokłam się w stronę stalowo-szklanego gmachu Berlin Hauptbahnhof, z moich ust wydobywały się obłoki pary.

Lubię Berlin.

Lubiłam go, nim go zburzono, i lubię go po odbudowie. Architekci nowego Berlina nie wpadli w pułapkę i nie uwierzyli, że wszystko należy dokładnie zrekonstruować; nie uznali również, iż trzeba zlikwidować ślady przeszłości. Połączyli najlepsze elementy tradycji i nowoczesności, rezygnując z budowy betonowych bloków, które wznoszono w wielu miastach w latach pięćdziesiątych. Zamiast tego zdecydowali się na kamienice, szerokie bulwary i posadzenie tyłu drzew, na ile pozwalał budżet. W Berlinie Zachodnim stworzono mnóstwo terenów zielonych – z czasem wzdłuż starannie utrzymanych ulic pojawiły się kojące zagajniki i wielkie parki, w których dzieci mogą się bawić w chowanym pomiędzy grubymi korzeniami; hałasy miasta giną wśród krzewów. Berlin Wschodni rozwijał się w mniej sielankowy sposób i drzewa zaczęto tam sadzić dopiero po upadku komunizmu. Pokrywały się liśćmi między funkcjonalnymi wieżowcami i blokami mieszkalnymi zaprojektowanymi przez planistów pragnących pośpiesznie stworzyć ideał nowoczesnego miasta.

Lubię warzywa, które można kupić w Berlinie, soczystsze i smaczniejsze od dostępnych w supermarketach. Podoba mi się łatwość, z jaką można się poruszać po Berlinie na rowerze – ścieżkami biegnącymi przez parki, ulicami zamkniętymi dla samochodów, wśród tłumów rowerzystów dojeżdżających do pracy. Lubię sznycle, ziemniaki purée, piwo, hałas w miejscach, które powinny być hałaśliwe, i spokój tam, gdzie powinno być cicho. Nie przepadam za gotowaną kiełbasą i gotowanymi warzywami – zupełnie nie rozumiem, jak ktoś może serwować ludziom potrawy, które przygotowuje się, poddając składniki działaniu wody.

Alice Mair, partnerka Nathana Coyle'a, również mieszkała w tym uporządkowanym mieście, lecz nie psuło mi to zbytnio humoru, choć gdyby mnie zobaczyła, prawdopodobnie natychmiast by mnie zabiła, podobnie jak chciał to zrobić jej przyjaciel.

Pierwsze zadanie – miejsce, by zostawić ciało Coyle'a.

Kupiłam najmniej niesmaczną kawę, jaką zdołałam znaleźć, i poszłam szukać kawiarenki internetowej.

*

Istoty mojego gatunku zawsze korzystały z usług selekcjonerów, w ten czy inny sposób. Mogą być oni wsparciem, gdy znajdziesz się w trudnej sytuacji: potrafią uratować ciało, które zrobiło coś złego, i pomogą trafić do właściwego gospodarza.

Selekcjonerka działająca w Berlinie nazywała się Hekuba.

Próbowałam zadzwonić do jej biura, lecz telefon był wyłączony.

Usiłowałam wysłać mejla z fikcyjnego konta i wiadomość natychmiast do mnie wróciła: adresat nie odbiera poczty.

Zlikwidowałam konto mejlowe, z którego próbowałam nawiązać kontakt, po czym zmieniłam kawiarenki i kontynuowałam poszukiwania.

Wysłałam mejle do kilku znajomych – Fyffe, Hery, Guanyin, Janus. Odpowiedziała tylko Hera: nie, od lat nie miała wiadomości od Hekuby.

Spróbowałam nawet Johannes Schwarba, który natychmiast odpowiedział, że nie. Hej, jesteś w Berlinie, może gdzieś skoczymy?

Dziękuję, Spunkmaster13, odpowiedziałam. Dam ci znać.

Hekuba wydawała się nieosiągalna.

Zirytowana skorzystałam z kilku bardziej przyziemnych źródeł. Było to powolniejsze, powoli pozbywałam się swojego zasobu euro, poszukując niejasnych wspomnień imion i twarzy, aż trafiłam na kogoś znajomego. Ute Sauer ostrzygła włosy, nosiła nowiutki kostium, miała piętnaście lat doświadczeń, ale ciągle była moją skórą.

Zadzwoiłam do niej z budki telefonicznej.

– Już się tym nie zajmuję – odpowiedziała.

– Nie prosiłabym, gdyby to nie było ważne. Bardzo proszę, wręcz błagam.

Milczała przez dłuższą chwilę.

– Zehlendorf – odrzekła w końcu. – Przyjadę po ciebie. Jak teraz wyglądasz?

*

Zehlendorf jest cukierkowaty.

Berlińska dzielnica Zehlendorf, w której stare niemieckie kamienice sąsiadują z nowoczesnymi bliźniakami otoczonymi trawą i wodą, to idealne miejsce, by kupować konopne torby i słomkowe kapelusze słoneczne. Ma się tam uniwersalne poczucie jedności z otoczeniem. Latem jest to wieś na terenie miasta. Zimą ludzie idący zaśnieżonymi ulicami, by zrobić zakupy, słyszą śpiew szczęśliwych chórów dziecięcych. Ute przyjechała po mnie na stację U-Bahnu. Prowadziła srebrzysty wóz z napędem hybrydowym; jedną ręką otworzyła drzwi od strony pasażera, a drugą rzuciła na tylne siedzenie stos płyt CD: kwintety Mozarta i *Piosneczki dla szczęśliwych dzieci*. Wsiadłam, a kiedy ruszyliśmy, głośnik samochodu poinstruował mnie, bym zapięła pasy.

– Nie znoszę tego kretyńskiego automatu – sarknęła Ute. – Nie mogę teraz stawiać zakupów na przednim siedzeniu. Czy jesteśmy jakimiś pieprzonymi dziećmi, żeby maszyny mówiły nam, co wolno, a czego nie wolno? Śmiechu warte, po prostu śmiechu warte...

Ute Sauer.

Kiedy ją poznałam, miała siedemnaście lat, mieszkała w Berlinie Wschodnim, a jej ojca aresztowało Stasi.

Przerzuć mnie na Zachód, a moje ciało jest twoje, powiedziała.
Będzie moje, odparłam, ale może w inny sposób, niż myślisz.

Kilka lat później runął mur berliński, ale Ute pozostała w rejestrze miejscowego selekcjonera jako to, czym w istocie była – czyste ciało do wynajęcia, idealne do krótkich eskapad albo podróży rekonesansowych. Pobierała stawkę godzinową i pozwalała korzystać ze swojego samochodu pod warunkiem, że klient nie będzie przekraczał dozwolonej prędkości i parkował w niedozwolonych miejscach. Idealna skóra do poszukiwań następnego kandydata do przesiadki. Ute z dumą podkreślała, że zachowuje się godnie, prowadzi zdrowy tryb życia i skromnie się ubiera. Kiedy opuściłam Berlin, w dalszym ciągu współpracowała z Hekubą, służąc widmom działającym w stolicy Niemiec. Czekala na zlecenia podobnie jak Will w Los Angeles, choć traktowała to jako zawód.

Jechałyśmy przez Zehlendorf w promieniach słońca przeświecających przez drzewa zrzucające liście.

– O drugiej trzydzieści muszę odebrać dzieci ze szkoły – powiedziała Ute. – Długo to potrwa?

– Niewykluczone, że dość długo. Próbowałam dzwonić do Hekuby, ale nikt nie odpowiada.

Krótkie kasztanowe włosy, kwadratowa twarz. Ute musiała być upartym dzieckiem, a teraz stała się matką wiedzącą, jak postawić na swoim.

– Hekuba nie żyje – powiedziała. – Biuro napadnięto, zniszczono.

– Kto to zrobił?

– Nie wiem. Nie sprawdzałam. Mam teraz dzieci.

– Jesteś bezpieczna?

– Nikt nie chciał mnie zabić, jeśli o to pytasz.

– Właśnie o to pytam.

– W takim razie jestem bezpieczna.

– Poznajesz moje ciało? – spytałam.

Zerknęła na mnie kątem oka.

– Nie. Nigdy cię wcześniej nie widziałam. Powinnam?

– Nie, nie powinnaś – odpowiedziałam cicho, siadając wygodnie w fotelu. – Potrzebuję miejsca, by ukryć to ciało na pewien czas.

– Po co? – Jej głos był twardszy od asfaltu pod kołami naszego samochodu.

– Uważam, że to ciało nie jest dla ciebie zagrożeniem: ten mężczyzna jest głównie zainteresowany mną. Próbował mnie zabić; jeśli uważasz to za problem, po prostu mi powiedz. Odejdę i rozstaniemy się bez urazy.

Zacisnęła wargi, zastanawiając się nad moją propozycją. W końcu podjęła decyzję i szybko skinęła głową.

– Mój mąż handluje nieruchomościami. Mamy dom, gdzie moglibyśmy go przechować. Możemy go uśpić?

– Tak.

– Dobrze. Ukryjemy go, uśpimy, ty załatwisz swoje sprawy, a ja pojawię się przed bramą szkoły o drugiej trzydzieści po południu. Rozumiemy się?

– Tak. Dziękuję.

– Nie musisz mi płacić. Dobrze się znamy. Stare przysługi do czegoś zobowiązują.

– To bardzo miło z twojej strony.

– Wpół do trzeciej – odrzekła. – Czas ucieka.

*

Dom był kwadratowym pałacem z drewna i szkła z ogromnymi oknami i tarasami pokrytymi terakotą. Puste pokoje czekały na szczęśliwych ludzi, białe ściany wydawały się zbyt jasne, by je pobrudzić, kuchnia zbyt czysta, by w niej gotować, łazienka była wyłożona wypolerowanym czarnym marmurem. Wyjęłam z torby kajdanki i zestaw medyczny Coyle'a ze strzykawką i nożami. Podwinęłam rękaw, zdezynfekowałam skórę w zgięciu łokcia, potarłam ją, by uwidoczniła się żyła, po czym szybko wstrzyknęłam środek nasenny. Kiedy płyn wniknął do krwiobiegu, wydawał się zimny, lecz po chwili poczułam ogarniające mnie ciepło. Przykułam się do najbliższego kaloryfera z rękami na plecach, a Ute wyrzuciła igłę. Uklękła obok mnie i spytała:

– Działa?

Zachichotałam, nie wiedząc, dlaczego się śmieję. Wargi Ute

drgnęły lekko: mógł to być uśmiech, choć jeszcze nigdy nie widziałam, by się uśmiechała.

– Uznaję to za odpowiedź twierdzącą – rzekła i wzięła mnie za rękę. – A teraz...

– ...zatańczymy?

Jej głos, moje słowo.

Patrzyłam na Nathana Coyle'a, który otworzył oczy. Wyjęłam z jego torby skarpetkę i rolkę taśmy samoprzylepnej, po czym wsadziłam mu skarpetkę do ust i zakleiłam je taśmą, tłumiąc ryk, który chciał się z nich wydobyć. Ciało Ute było starsze niż wtedy, gdy ostatni raz je nosiłam: poskrzypywały jej kolana, bo chrząstki stały się cieńsze. Coyle wierzgał na podłodze, szarpał kajdanki przymocowane do kaloryfera. Poruszał oczami, nie skupiając na niczym wzroku. Znow próbował krzyknąć, lecz jego głos stopniowo ucichł.

– Dobranoc – powiedziałam do wywróconych białek.

*

Pojechałam z powrotem do miasta samochodem Ute. Nie mogłam uwierzyć, że Ute ma w prawie jazdy odnotowany tylko jeden punkt karny, i poczułam dziecinny lęk, że popełnię jakieś nowe wykroczenie. Dostać w cudzym ciele mandat za złe parkowanie, a później odejść bez zapłacenia to szczyt grubiaństwa.

Czułam w piersi dziwną drętwotę, ciężar, którego nie rozumiałam. Nie był to ból ani pieczenie, nic mnie nie swędziało i nie miałam ochoty się podrapać. W połowie Schönhauser Allee zdałam sobie sprawę, że to blizna pooperacyjna, miejsce, skąd wycięto kawałek ciała. Gdybym się skupiła na tym doznaniu, mogłoby być bardzo nieprzyjemne, ale moją uwagę rozpraszała konieczność bezpiecznej jazdy, by nie denerwować niezwykle pedantycznych berlińskich policjantów.

Ute nie wspomniała o swoich bliznach i nie zamierzałam o nie pytać.

Zaparkowałam samochód za rogiem w dzielnicy Pankow, zostawiłam kluczyk w stacyjce i czekałam, aż zbliży się do mnie ciemnoskóry biznesmen. Miał krótkie włosy, długą koszulę, eleganckie buty.

– Przepraszam, czy mógłby pan mi powiedzieć, która godzina? – spytałam, gdy mnie mijał.

Zwolnił kroku, zastanawiając się, czy odpowiedzieć. Kiedy spojrzał na zegarek, złapałam go za nadgarstek i skoczyłam.

Ute zachwiała się lekko i oparła o bok samochodu. Chwyciłam ją za ramiona, upuszczając teczkę na ziemię, i czekałam, aż jej wzrok znów stanie się normalny.

– Chyba... się odzwyczaiłam – powiedziała.

– Jak się czujesz?

– Dobrze... doskonale. Mam jeszcze trochę czasu?

– Mnóstwo. Dziękuję.

Zerknęła na zegarek, marszcząc brwi i próbując zapanować nad drżeniem rąk.

– Mogę zostać jeszcze godzinę, jeśli mnie potrzebujesz – powiedziała.

– Dam sobie radę. Najważniejsze było ukrycie Coyle’a.

– Tak się nazywa?

– Nie – odparłam. – Ale musi to nam wystarczyć.

Obejrzała od stóp do głów moje nowe ciało, a później spytała:

– To twój nowy styl?

– Nie – odrzekłam niezadowolonym tonem i z ponurą miną podniosłam teczkę. – Mam teraz grzybicę stóp.

*

Schludne ulice, schludne domy. Schludna piekarnia sprzedająca schludne bochenki na schludnych tackach. Schludnie zaparkowane samochody i uprzejme dzwonki rowerów. Berlin to miasto, które potrafi podtrzymywać pozory.

Przeszłam kilka przecznic do schludnego żółtego bloku mieszkalnego na rogu ulic łączących się pod idealnym kątem prostym. Ruszyłam brukowaną ścieżką, wzdłuż której stały pojemniki na papier, metal, plastik i odpady organiczne, po czym zbliżyłam się do grubych niebieskich drzwi. Spojrzałam na listę lokatorów obok guzików domofonu. Alice Mair nie zasłoniła swojego nazwiska.

Na bruku zaturkotały kółka. Odwróciłam się i zobaczyłam starszą

panią w kapeluszu z wózkiem z zakupami. Miała tak zgarbione plecy, że trzymała głowę niemal poziomo. Odsunęłam się, a ona zaczęła szukać kluczy. Z lekkim dreszczem lęku wyciągnęłam rękę i dotknęłam jej dłoni.

Nienawidzę być stara.

Przesiadka z ciała, którego nogi chodzą sprężystym krokiem, do staruszki o odwapnionym kośćcu bez szans na poprawę to prosta droga do katastrofy. Zrobiłam krok do przodu i o mało się nie przewróciłam, źle oceniając stabilność nóg. Następny, znacznie ostrożniejszy krok sprawił, że poczułam dygot kolan i kręgosłupa. Lewą ręką ścisnęłam w kieszeni klucze, a kiedy je wyjęłam, spostrzegłam, że trzęsą mi się palce, a moja skóra przypomina powierzchnię suszonego daktyla. Pochyliłam się lekko, by lepiej przyjrzeć się kluczom, i poczułam ból w plecach; przyszło mi do głowy, że gdybym je teraz upuściła, byłoby to katastrofą.

Za moimi plecami zdezorientowany mężczyzna z wyświechtaną teczką zastanawiał się, czy mnie nie spytać, gdzie się znajduje, skąd się tu wziął, ale czy w dzisiejszych czasach ktoś pyta o coś sklerotyczne staruszki?

*

Alice Mair mieszkała na drugim piętrze.

Pojechałam windą i zostawiłam wózek na półpiętrze.

Nacisnęłam mosiężny guzik dzwonka. Raz, drugi raz. Żadnej odpowiedzi. Zastanawiałam się, czy nie zapukać, lecz moje kości wydawały się puste. Miałam wrażenie, że moje ramię to zrolowana gazeta rozmokła na deszczu.

Znowu zadzwoniłam.

– Już idę! – zawołał ktoś po niemiecku.

Drzwi uchyliły się na kilka centymetrów, zabezpieczone łańcuchem. Uśmiechnęłam się głupkowato, ukazując sztuczne zęby, i spytałam:

– Przepraszam, widziała pani moje klucze?

W szparze w drzwiach pojawiło się jasnoblękitne oko.

– Pani... klucze?

– Miałam je, ale zgubiłam – wyjaśniłam.

W oku pojawił się namysł.

Wszyscy wiedzą, że widma są próżne. Dlaczego miałyby nie być? Podobno starzy ludzie nie zdają sobie sprawy ze swojego wieku, dopóki nie zaczną doświadczać bolesnych dolegliwości; w ten sam sposób astmatyk zakłada, że wszyscy ludzie łapią oddech z podobnym wysiłkiem. Widma niechętnie osiedlają się w ciałach starców.

– Jedną chwileczkę – rozległ się głos.

Usłyszałam grzechot łańcucha i drzwi się otworzyły. Stała przede mną kobieta mająca około stu sześćdziesięciu centymetrów wzrostu, krótko ostrzyżone jasne włosy i blade piegi na zarumienionych policzkach; była ubrana w T-shirt do joggingu i szorty z lycry. Kiedy otworzyła usta, by udzielić mądrej rady starej sąsiadce stojącej na progu, uśmiechnęłam się promiennie i chwyciłam ją za rękę.

Chyba nie miała nawet czasu się przestraszyć.

– Pomóc pani zanieść zakupy do mieszkania? – zwróciłam się do starej kobiety, która stała naprzeciwko mnie, mrugając oczami.

Rozdział 45

Wrażenia na temat ciała kobiety o nazwisku Alice Mair.

Dobre zęby, chemicznie wybielone, ładne włosy, łagodnie zakrzywione, niewyskubane brwi. Lekki skurcz w łydkach, który może być skutkiem zbyt długiego biegania na zimnie. Oczy wydają się niezłe, nosi wygodne buty. Swędzący nos. Ulga, że jestem znowu młoda.

Zamykam drzwi na klucz i oglądam mieszkanie.

Farba na ścianach nie jest śnieżnobiała – dekoratorzy wewnątrz zapewne nazywają ten odcień „perłowym”. Meble do samodzielnego montażu, kremowe zasłony w oknach. Telewizor plazmowy, kilka czasopism o kobiecym boksie i zagrożeniach dla niedźwiedzi polarnych. Na ścianach kolekcja pseudoimpresjonistycznych obrazów nabyta na wyprzedaży tandetnych dzieł sztuki. Łóżko Alice niedawno pościelono, kołdra pasuje do poszewek na poduszki, ale laptop w kuchni obok filiżanki ze stygnącą kawą jest zabezpieczony hasłem. Poklepałam się po biodrach i nie znalazłam kieszeni, po czym zauważyłam komórkę leżącą na kuchence mikrofalowej. Do niej również potrzebny był PIN.

Wyciągałam szuflady, grzebałam w książkach i starych papierach, przejrzałam śmieci, torbę z odpadkami pod zlewem. Żadnych fotografii przyjaciół, notatników z adresami, list prezentów świątecznych dla kolegów i koleżanek z pracy. Żadnych teczek, folderów, zdjęć z wakacji – w mieszkaniu brak było jakichkolwiek śladów normalnego życia, oczywiście z wyjątkiem pistoletu kalibru dziewięć milimetrów w szafce obok łóżka. Alice nie była ideałem gościnności.

Siedziałam na miękkiej kanapie w kremowym pokoju, piłam resztki kawy Alice i próbowałam myśleć.

Mogłam wybrać jedną z kilku dróg postępowania – nie było ich wiele – lecz tylko jedno rozwiązanie wydawało się w miarę sensowne. Ale je także można by kwestionować.

Odejść?

Alice Mair nigdy by się nie domyśliła, że zamieszkałam w jej ciele.

Mogłabym zastukać do drzwi starszej pani, wznowić rozmowę tam, gdzie ją przerwałyśmy, ulotnić się, zniknąć. Ktoś w końcu znajdzie Coyle'a. Mogłabym być bardzo daleko, nim ktoś zacznie mnie szukać.

Gdzieś w Stambule Josephine Cebula zostanie pochowana w anonimowym grobie i nic się nie stanie mężczyźnie, który powtarzał tylko jedno imię: „Galileusz, Galileusz, Galileusz”.

(Mała dziewczynka w Petersburgu – dotknij go tylko, a wydrapię ci oczy i nakarmię nimi swoją kotkę).

Wzięłam komórkę Alice, wyjęłam baterię, chwyciłam laptop i, po chwili namysłu, również ciepły sweter, portfel, kartę do U-Bahnu, po czym wyszłam na chłodne światło dnia.

*

Widma są próżne.

Większość z nas nie dysponuje głębszą wiedzą.

Chcesz zostać specjalistą od techniki raketowej? Porwij jednego na kilka dni, a jeśli ktoś cię o cokolwiek spyta, mów, że „wymaga to dalszych badań”.

Chcesz zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych? Ścisła wiele dłoni, wychodząc z mityngów wyborczych; jeśli jesteś wyjątkowo ładną dziewczynką w różowej sukience w kwiatki, twoje szanse na błogosławione dotknięcie znacznie wzrastają. To samo można powiedzieć o papieżach, choć umiejętności językowe wymagane do zamieszkania w ciele papieża znacznie przekraczają te niezbędne w Białym Domu.

Chcesz iść na uniwersytet – mój Boże, pierwszy tydzień roku akademickiego! Cóż za wspaniała okazja, by zdobyć czystą skórę: masa obcych ludzi z dala od domu, wystarczy złapać dobrego studenta historii i nie trzeba zdawać matury, by się dostać na uczelnię.

Co nie znaczy, że czasem nie próbujemy zdobywać wiedzy. Uzyskałam kilka licencjatów renomowanych uniwersytetów i prawie pół dyplomu lekarza. Jeśli mogłabym mieć jakiegokolwiek poczucie winy, że pozbawiłam swoich gospodarzy doświadczeń z okresu studiów, pocieszam się myślą, że pierwszorzędne dyplomy, które zdobyłam w ich imieniu, były świetnym zakończeniem kariery akademickiej, lepszym od

choroby wenerycznej lub nałogu, których mogli się nabawić bez mojej interwencji.

Istoty zmieniające ciała jak rękawiczki, uwalniające się ze wszystkich dotychczasowych zobowiązań w chwili skoku, uważają moją pracę nad sobą za śmiechu wart kaprys, jednak dzięki niej nie jestem zupełną ignorantką.

Mimo to znam swoje ograniczenia.

Na przykład nie jestem hakerką komputerową.

Christina 636: OK. Znow potrzebuję twojej pomocy.

Spunkmaster13: Super! Zabawmy się!

Rozdział 46

Johannes Schwarb.

Spotkanie twarzą w twarz wywołało nieprzyjemne wspomnienie kilku minut, które spędziłam w jego ciele – alkohol, narkotyki i ciosy pięści w ciemnym zaułku w środku nocy.

Spotkaliśmy się w McDonalddie na Adeneuerplatz, gdzie imitacje śródziemnomorskich kafejek, niemieckie bary i wszechobecne sklepy odzieżowe Kurfürstendamm sąsiadują z eleganckimi biurami zamożnych adwokatów i wspaniałymi apartamentami wielkich bankierów. Nigdy nie można tam złapać taksówki.

Burgery były kiepskie, a McCroissanty niejadalne.

Kiedy Schwarb – dla przyjaciół Spunkmaster – wszedł do lokalu, prawie go nie poznałam. Nosił czarny garnitur w szare prążki, miał przyлизane rzadkie włosy, był gładko ogolony i nawet maleńki kolczyk z brylantem w prawej małżowinie usznej wyglądał jak smutna próba zmanifestowania radykalizmu przez człowieka, który już dawno sprzedał marzenie o rewolucji za gwarantowane przez państwo obligacje inwestycyjne. Zamówił podwójnego burgera, podwójne porcje frytek i majonezu, podwójne porcje wszystkiego, yeah! Wydawało się to do niego pasować, a kiedy przysiadłam się do stolika za przepierzeniem, zawołał:

– O Boże, jesteś naprawdę boska! Taka... taka... – Wściekle machał ręką w górę i w dół, po czym, nie znalazłszy lepszych słów, zakończył: – Taka seksowna!

– Co u ciebie?

– U mnie? Świetnie! Rządzę światem, wiesz?

– Myślałam, że jesteś doradcą finansowym.

– Niezależnym doradcą finansowym – poprawił. – Wyjątkowo niezależnym doradcą finansowym!

– Miałam wrażenie, że to szanowany zawód, odpowiedzialny, praca od od dziewiątej rano do piątej po...

Splaszczyl burgera dłonią, tworząc naleśnik z przetworzonych warzyw i przetworzonego mięsa.

– Zarabiam trzysta pięćdziesiąt euro za godzinę, mówiąc ludziom rzeczy, które mogliby znaleźć w internecie. Jestem jak... oczywiście jestem dobry, wiem, co jest grane – ale ci ludzie, gówna z mnóstwem kasy, chcą mieć wszystko, wiesz? Chcą mieć dwieście procent z inwestycji bez żadnego ryzyka, a ja mówię, że powinni się zabezpieczać. – W moim spojrzeniu musiało się pojawić niedowierzanie, bo dodał: – Hej, interesują cię porady finansowe?

– Raczej nie.

– Nie. Potrzebujesz czegoś związanego z kompami, co? Epoka cyfrowa, dwudziesty pierwszy wiek, he-he-he! – Nim zdążyłam odpowiedzieć, podniósł z blatu burgera i odgryzł ogromny kawałek.

Czekałam, aż minie najgorsze, a potem powiedziałam:

– Potrzebuję trzech rzeczy. Dostępu do laptopa. Dostępu do komórki. Dostępu do kilku urządzeń zabezpieczonych hasłem, tak myślę.

– Myślisz?

– Jestem prawie pewna.

– Okej. Możemy zrobić zdalnie? Żyjemy w epoce globalizacji.

– Nie wiem, gdzie są te komputery.

– Jasne...

– Na pewno je poznam, gdy je znajdę.

– Okej...

– Możesz mi po prostu wejść do pendrive'a?

Popatrzył na mnie z wystudiowanym przerażeniem.

– Jesteś kompletnie zielona, co?

Nagle zdałam sobie sprawę, że mimo woli trzepocę rzęsami.

– Właśnie dlatego przyszłam do eksperta.

Rozdział 47

Kiedy rozstałam się ze Schwarbem, słońce zachodziło i palce Alice Mair zbieleły z zimna. Piłam herbatę, gdy zajmował się laptopem i komórką, instalował oprogramowanie, prychał, klął i odprawiał coś w rodzaju technologicznych modlitw do mądrych demonów i uczonych duchów, by pomogły rozwiązać problem.

Kiedy już włamał się do laptopa, zajął się zdejmowaniem blokady z komórki.

Siedziałam z komputerem Alice na kolanach i przeglądałam mejle, portale informacyjne oraz niewielką, lecz budzącą szacunek kolekcję gier strategicznych.

Mejle dotyczyły spraw osobistych, nie zawodowych.

Siostra z Salzburga przesyłająca ostatnie USG. Strzałka na niewyraźnym zdjęciu wskazywała biały obszar, który z czasem mógł stać się głową, parą nóg i kciukiem ssanym w łonie matki.

Spotkanie absolwentów college'u. To już dziesięć lat, wyobrażasz sobie? Nie? Napij się z nami, może nie będzie to konieczne.

Seria próśb, zawiadomień – ktoś szuka przyjaciela. Nieznajomy chce udostępnić plik. Komuś podoba się twój profil randkowy. Posłużyłaś się fałszywym nazwiskiem i przedstawiłaś się jako account manager, ale opublikowane przez ciebie własne zdjęcie, Alice Mair, jest piękne. Masz na sobie błękitną sukienkę i wydajesz się zdziwiona własną kobiecością, zachwycona, że czujesz się taka niemądra i wolna, gdy obiektyw utrwała tę chwilę.

Dzieje życia Alice są w komputerze, gotowe do przeczytania.

Ale nie historia jej pracy.

Tylko jeden plik, ciągle w folderze z niedawno pobranymi materiałami. Jeszcze go nie skasowała, obejrzała tymczasową kopię, a później zapomniała o jego istnieniu.

Film.

Obraz z monitoringu, kobieta w kapturze i minispódniczce. Zdjęła

buty na wysokich obcasach i niesie je, trzymając za paski, w rozczapierzonych palcach lewej ręki. Idzie ścieżką na brzegu rzeki, może kanału. Woda jest spokojna, a brzeg znajduje się nisko; nie widać go pod tym kątem. Idzie szybko, potem wolno, wydaje się, że czuje na sobie obiektyw kamery, unosi wzrok, rozgląda się, uśmiecha, uśmiecha się do kamery. Ręce ma poplamione czymś ciemnym. Klęka przed ekranem i dotyka dłonią asfaltowej ścieżki. Czasem nieruchomieje, przesuwa palcami po dłoniach, wokół nadgarstków. Coś pisze. Atrament byłby ciemniejszy, farba gęstsza, ale ciecz plamiąca jej skórę, pokrywająca uda, rozmazana na twarzy nadaje się do pisania. To nie jej własna krew i dlatego od czasu do czasu się zatrzymuje, by nabrać trochę na końce palców z plam na ciele.

Kiedy wstaje, napisane przez nią słowa są prawie widoczne.

Podoba ci się to, co widzisz?

Josephine Cebula wpatruje się w obiektyw kamery, zadając pytanie wypisane u jej stóp.

Odchodzi.

Zerkam na datę i godzinę filmu.

Schwarb szuka śladów fałszerstwa.

Szukam skojarzonych plików i znajduję listę nazwisk.

Tortsen Ulk, Magda Müller, James Richter i Elsbet Horn.

Zamordowani we Frankfurcie. Ich śmierć nie była czysta, nie zginęli wskutek zamachów lub z rąk spłoszonego włamywacza. Cierpieli przed śmiercią i sprawiało to zabójcy przyjemność.

Coyle oskarżał Josephine, lecz przestudiowałam jej życie i wiedziałam, że tego nie zrobiła.

Twarcz zastygła na ekranie, patrząca w obiektyw.

Podoba ci się to, co widzisz?

Zamknęłam laptop i kazałam Schwarbowi go ukryć.

– Co zamierzasz zrobić? – spytał.

*

Wyszłam z biura po zachodzie słońca. W kieszeni miałam pamięć USB w gumowej osłonce w kształcie pingwina wesoło machającego łapką.

Wstąpiłam do domu towarowego na wschodnim krańcu Kurfürstendamm. Po upadku muru berlińskiego do tej świątyni handlu przybywało mnóstwo mieszkańców Berlina Wschodniego, których priorytety były jasne: pachnące mydło i miękkie skarpetki. Kupiłam parę spodni i wciągnęłam je na szorty z lycry służące do biegania. Wyglądałam, jakbym zamierzała wystartować w maratonie, lecz kieszenie były bardzo użyteczne.

Kupiłam dwie tanie komórki z kilkoma euro na kontach i ruszyłam na wschód, w stronę Potsdamer Platz. W miejscu, gdzie znajdował się niegdyś Checkpoint Charlie, zbudowano muzeum upamiętniające wielki *Mauer*, który żywcem pożerał swoje ofiary, lecz na Potsdamer Platz trudno było uwierzyć, że betonowe monstrum w ogóle istniało. Na odblaskowe szyby rzucono plamy jaskrawego światła, wokół krzywizn sąsiednich budynków płonęły diody LED, dźwięk ludzkich głosów walczył z tupotem stóp przed wystawami sklepów i krzykami kelnerów, którzy otwierali drzwi restauracji oferujących sushi, makaron smażony po tajsku, chipsy krewetkowe, grzane wino, gulasz z dziczyzny, gorące knedle i wódkę. Pod stalowym dachem Sony Center, kojarzącym się z origami, należało robić zakupy, wydawać pieniądze i wesoło spędzać czas, ciesząc się kolorami i luksusem.

Po nadejściu zimy władze miejskie otworzyły nie tylko lodowisko, lecz również niewielki stok narciarski i Zimową Krainę Czarów, gdzie wrzeszczały dzieci, a nerwowe pary martwiły się o bezpieczeństwo swoich kostek. Kupiłam bilet na lodowisko i nie wiedziałam, co odpowiedzieć, gdy spytano mnie o numer butów.

– Chciałaby pani... sprawdzić? – odezwała się kobieta za kontuarem, gdy milczałam zbyt długo.

– Dziękuję – wymamrotałam. – Nigdy nie pamiętam numeru.

Przymierzyłam dwie pary łyżew i siedziałam na twardej drewnianej ławce na skraju lodowiska, słuchając muzyki i patrząc na wiśniowe plamy światła na lodzie. Na lodowisku ślizgały się setki ludzi, unosząc ręce w grubych rękawiczkach. Nikt z nich nie był zawodowym łyżwiarzem: zawodowi łyżwiarze za żadne skarby nie pojawiliby się na Potsdamer Platz. Nastolatki czepiały się siebie nawzajem i piszczały, gdy jedno upadało na lód, pociągając rząd następnych, aż wreszcie cała

grupa leżała na tyłkach na lodzie z uniesionymi nogami, śmiejąc się do rozpuku. Przy bandzie stali ludzie, którzy nigdy nie mieli ochoty jeździć; przestępowali z nogi na nogę, gdy tymczasem ich sprawniejsi, lepiej przygotowani towarzysze śmigali obok.

W końcu zawiązałam buty, poklepałam się po kieszeniach, by sprawdzić, czy mam wszystko, co potrzebne, i włączyłam komórkę Alice.

Pojawiły się komunikaty – nieodebrane połączenia, esemesy – w sumie tuzin. Schowałam telefon do kieszeni i wyszłam na lód. Dołączyłam do tłumu jeżdżącego w kółko, śmiałam się wraz z innymi, zawracałam, gdy inni zawracali, i miałam poczucie jedności z uczestnikami zabawy, które pojawia się tylko wtedy, gdy wszyscy robią coś kompletnie absurdalnego. W tym momencie kochałam Berlin, kochałam chłodny lód pod łyżwami, kochałam śmiech wydobywający się z mojego gardła, piękny i dźwięczny, i kochałam Alice Mair.

Ale przyjemności nie mogą trwać wiecznie. Rzeczywistość niszczy wszystko jak kula trafiająca w plecy.

Po kilku okrążeniach, gdy byłam coraz bardziej rozgrzana i zdrętwiały mi policzki, usłyszałam dzwonek komórki. Zjechałam na skraj lodowiska i odebrałam połączenie.

– Halo?

– Gdzie jesteś, do licha? – rozległ się ostry głos, mówiący po niemiecku z silnym francuskim akcentem.

– Na Potsdamer Platz. Jeżdżę na łyżwach.

– Po co?

– Lubię jeździć na łyżwach. Wprawia mnie to w dobry nastrój.

Poza tym robiłam sprawunki, coś zjadłam, wybrałam się na miły spacer...

– Co właściwie...

– Zaraz wyjaśnię – przerwałam. – Alice chwilowo nie ma.

Cisza.

– Kim jesteś? – szepnął wreszcie.

– Wasze dossier nazywa mnie Kepler – odpowiedziałam. –

Zawiera mnóstwo kłamstw. Jeśli za piętnaście minut nie pojawisz się na tym lodowisku z egzemplarzem „Frankfurter Allgemeine” pod lewą

pachą, Alice Mair podetnie sobie żyły.

– Jazda zajmie mi pół godziny.

– Zobaczymy się za kwadrans – odpowiedziałam i przerwałam rozmowę.

Po kilku minutach jazdy na łyżwach zdałam sobie sprawę, że się uśmiecham.

Rozdział 48

Dziesięć minut po odebraniu telefonu przez ciało Alice Mair ruszyłam do przodu, musnęłam palcami szyję kobiety jadącej przede mną i skoczyłam.

Po piętnastu sekundach byłam cztery ciała dalej i zmierzałam do wyjścia.

Alice Mair znajdowała się tam, gdzie ją zostawiłam, w środku tłumu, z komórką w kieszeni. Jakaś nieznajoma pytała, czy dobrze się czuje. Stała jak skamieniała, jak wkliniwana na siłę w szczelinę w skale, zimniejsza niż lód pod jej łyżwami. Spoglądała w przestrzeń, a kobieta znów spytała, czy dobrze się czuje, czy nic jej nie jest, po czym Alice obróciła głowę w stronę łyżwiarki trzymającej ją za łokieć. Nie odezwała się.

Usiadłam na ławce, by zdjąć buty, i odkryłam, że noszę grube skarpetki w renifery i że zaczynają mi się robić pęcherze na piętach. Kiedy znów uniosłam głowę, ramiona Alice drżały, wyglądała, jakby miała się za chwilę rozplakać.

Obserwuj ją, przychodzi mi nagle do głowy. Unosi ręce do twarzy, potem chwila wahania, nie jest pewna, czy dotknąć.

Obserwuj ją.

Nikt nie wydaje się zaniepokojony; nic jej nie boli, może nie skażono jej ciała, i oto nadchodzi jedyne pytanie, które pragnie zadać.

W jaki sposób zbezczeszczono jej ciało?

Jest także drugie.

Kto właściwie zbezczeszczył jej ciało?

Nie ośmiela się spytać, gdy świat obraca się wokół niej, samotnej w środku tafli lodu.

Alice Mair.

Nie będzie płakać.

I oto następna myśl, patrz, jak uderza w czerń jej oczu. Muszę być blisko.

Kto trzymał ją za ramię, gdy otworzyła oczy?

Kto patrzy?

Kto odszedł?

Odwraca się w zbyt luźnych butach i szuka mnie wzrokiem. A ja siedzę, rozwiązuję sznurowadła, uderzam o siebie ostrzami, strząsając deszcz szronu. Jestem szczęśliwa, że patrzy, za chwilę sięgnie do kieszeni po komórkę, a potem zatrzyma się, pomyśli i...

Zaczyna się. Myśli i nie dotyka telefonu. Sprytnie, bo wstrętna istota, która nosiła jej ciało jak stare łachy, mogła zrobić różne rzeczy, nigdy nic nie wiadomo.

Teraz, gdy orientuje się w sytuacji, sprawdza kalendarz – ile minęło godzin, ile dni, od czasu, gdy ktoś porwał jej ciało, ile minut minęło, odkąd ją uwolniono? Czy potrafi mnie wyczuć? Czy pozostał jakiś szczątkowy instynkt, który jej powie, gdzie jestem, i...

Nie.

To niemożliwe.

Nikt nie jest bardziej upokorzony, nieszczęśliwy i samotny niż ta kobieta, która na niepewnych nogach sunie do krawędzi lodowiska w pożyczonych łyżwach. Siada na skraju ławki, po czym zasłania twarz dłońmi, by ukryć łzy napływające do oczu.

Nie czuję...

...prawie nic.

Widziałam już to wszystko.

Z dziewczyny w skarpetkach w renifery przeskakuję w ciało mężczyzny w kraciatej koszuli, później kobiety piszącej miłosne esemesy, a potem sprzątacza w zielonym dresie ścierającego mokrą podłogę wokół krawędzi lodowiska. Nadaje się. Zawsze kręci się w pobliżu.

Wycieram podłogę, a gdy unoszę oczy, za Alice stoi mężczyzna z egzemplarzem „Frankfurter Allgemeine” pod lewą pachą. Przygląda jej się uważnie. Ma spodnie wsunięte w skarpetki spięte żółtymi klipsami rowerowymi. Koszula schowana w spodnie, mocno zaciśnięty pasek. Podejrzewam, że pod ubraniem nosi obcisły kombinezon z lycry. Grube rękawice wsunięte w rękawy. Widać tylko jego twarz, lecz nawet ona jest osłonięta przez kapelusz i szalik.

Moim zdaniem musi mu być bardzo gorąco z powodu tylu warstw odzieży.

Przypuszczam, że nie przyszedł sam.

Kończąc myć swoją część podłogi, wsadzam szczotkę do wiadra, a później odwracam się i pcham wózek w stronę drzwi. Koło wyjścia natychmiast zauważam jednego z kolegów Alice: na lodowisku jest bardzo niewielu ludzi w kombinezonach opinających całe ciało. W pobliżu stoi drugi. Pracują w grupach, obserwują się nawzajem, co jest rozsądnym środkiem ostrożności. Przechodzę koło recepcji i uśmiecham się do recepcjonistki, która pozdrawia mnie w odpowiedzi.

W przedsionku zauważam dwóch następnych towarzyszy Alice. Mijam ich, nie podnosząc oczu, i podchodzę do pachnącego octem kosza na śmieci, do którego wepchnęłam plastikową torbę z portfelem Alice, jej pistoletem i swoim zapasowym telefonem. Ktoś wyrzucił na wierzch sałatkę coleslaw. Krzywię się, otrzepuję torbę, zauważam przechodzącego ochroniarza, mówię: „Przepraszam” i chwytam go za nadgarstek.

Łapię plastikową torbę, nim ląduje na ziemi, po czym uśmiecham się miło do oszołomionego sprzątacza, ciągle trzymającego mnie za nadgarstek, i odchodzę.

*

Kupiłam dwie komórki.
Druga znajdowała się w kieszeni Alice.
Wyjęłam telefon z torby i wybrałam numer.
Gdzieś w tłumie łyżwiarzy na lodowisku zadźwięczał dzwonek.
Może komórka była ciągle w kieszeni Alice.
Dzwoniła bardzo długo, a potem...
Męski głos, ten sam, który odpowiadał wcześniej.
– Cześć! – odezwałam się po niemiecku. – A zatem ją znalazłeś?
– Myślałem, że chcesz porozmawiać.
– Tak, chcę. Porozmawiajmy. Zdaje się, że przyprowadziłeś kilku przyjaciół.
– Czego chcesz, Kepler?
Wciągnęłam z sykiem powietrze między zębami.

– Siedem dni temu nie chciałam niczego. Absolutnie niczego. Ciszey i spokoju, by przeżyć swoje życie, czymkolwiek miałyby być. Zmieniście moje zainteresowania. Mam Coyle'a.

– Udowodnij to.

– Blizna na brzuchu, twierdzi, że ma świetny wzrok, lecz w oczywisty sposób się myli, nie lubi marmolady, cztery paszporty i wyposażenie zawodowego zabójcy w bagażniku samochodu. Bez mrugnięcia okiem zastrzelił moją gospodynię na schodach stacji Taksim. Podać jeszcze numer kołnierzyka?

Milczenie, cisza, oddech, w tle odgłosy lodowiska, kiepski pop i wesole okrzyki.

– Powiedz, czego chcesz.

– Chcę wiedzieć, dlaczego zginęła Josephine Cebula.

– Już wiesz, byłaś tam.

– Czytałam wasze dossier. Ale miałam nadzieję, że jesteś dostatecznie wysoki rangą, by wiedzieć, dlaczego kłamie.

– Nie kłamie.

– Zabiję Coyle'a, jeśli tylko w ten sposób zdołam skupić twoją uwagę – powiedziałam. – Kim jest Galileusz?

Lekki wdech, potem wydech.

– Dlaczego Galileusz?

– To sprawa osobista, jak wszystko, co jest związane z istotami mojego gatunku.

Ktoś stuknął mnie w ramię. Kobięcy głos, przepraszam, czy wie pan, gdzie jest toaleta?

– Bardzo dobrze – rozległ się głos w słuchawce. – W jasny sposób przedstawiłaś, co cię interesuje.

Kolejne stuknięcie w ramię, toaleta, proszę, czy wie pan, gdzie jest toaleta?

Zapomniałam już, że jestem ochroniarzem. Kto, do licha, pyta ochroniarzy o drogę do toalety?!

Nagle poczułam, że nad prawą łopatką wbija mi się w skórę coś gorącego. Przez chwilę zastanawiałam się, czy tego nie zignorować: to tylko pieczenie, nic więcej. Później ugięło się pode mną lewe kolano i runęłam do przodu, czując, że w plecach tkwi coś ostrego.

Cholera...

Szukałam skóry i znalazłam tylko ciemność.

Rozdział 49

Mój organizm oczyszcza się z narkotyków.

Ochroniarz, którego ciało noszę, to potężnie zbudowany, twardy mężczyzna: może dużo wytrzymać. Gdyby wiedział, że jest przywiązany pasami do krzesła w szklanym sześcianie w nieznanym pomieszczeniu, nie byłby zadowolony. Na szczęście nie zdaje sobie z tego sprawy.

Nie doceniłam przyjaciół Coyle'a.

Zauważyli przesiadkę czy podążali tropem amnezji?

Powinłam być ostrożniejsza: należało wskoczyć w jakiegoś staruszka, dziecko, nieznanego o słabych kolanach. Nikt nigdy nie szuka widma w artretycznym ciele.

Patrzę na szklaną pułapkę i zastanawiam się, co robić. Składa się z przejrzystych tafli biegnących od podłogi do sufitu. Na wprost przede mną znajdują się przejrzyste szklane drzwi. Szklany sześcian znajduje się w większym pomieszczeniu o betonowych ścianach. W jednej z nich są czerwone metalowe drzwi prowadzące do nieznanych miejsc. Nad głową płonie świetlówka – za wysoko, by się do czegoś przydać. Przy drzwiach stoi mężczyzna z pistoletem ubrany w gumowy kombinezon ochronny. Gumowe rękawice, gumowy kombinezon, gumowe buty, plastikowa przyłbica: strój na skażenie chemiczne lub bakteriologiczne. Nigdzie ani centymetra nagiej skóry, połączenia zaklejono taśmą. W innym życiu mogłoby to być zabawne.

Musiano zameldować, że odzyskałam przytomność, ponieważ otwierają się metalowe drzwi z zakratowanym okienkiem i do pomieszczenia wchodzi dwoje ludzi w gumowych kombinezonach. Nadają im fałszywe imiona, którymi lubią się posługiwać: Eugene, Alice.

– Mogłabym dostać szklankę wody? – pytam.

Nikt się nie śpieszy, by mi ją przynieść. Nikt nie wchodzi do szklanego sześcianu przez przezroczyste drzwiczki. Eugene skręca w lewo, Alice w prawo.

– Kepler, tak?

Głos Eugene’a. Wyciągnęłam szyję i zobaczyłam, że opuszcza moje pole widzenia i zaczyna okrążyć szklany sześcian. Tania sztuczka. Sugerowało to, że nie do końca wierzy w swoją zdolność zastraszenia i musi się uciekać do dodatkowych błazeństw. Wydawało się to niekorzystne: brak pewności siebie często rodzi agresję.

– Imię równie dobre jak każde inne.

– Gdzie jest Coyle?

– Nie.

– Nie?

– Wy chcecie Coyle’a, ja chcę wyjść. Nasza sytuacja tak naprawdę się nie zmieniła.

– Przeceniasz swoją ważność, Kepler. – Eugene znów pojawił się w moim polu widzenia jak osa krążąca wokół ofiary. – Dobro Nathana to przedmiot naszej wielkiej troski. Naturalnie, wielkiej troski, i zrobimy wszystko, by go chronić. Ale ty – ty jesteś przedmiotem jeszcze większej troski, jak z pewnością ci wyjaśnił, jeśli z nim rozmawiałaś.

– Rozmawialiśmy – odpowiedziałam, wzruszając skrępowanymi ramionami. – Rozmawialiśmy o życiu, miłości, broni palnej i Galileuszu. – Krzesło, na którym siedziałam, nie było przytwierdzone do podłogi: skrzypiało, gdy się poruszałam.

– Dlaczego interesujesz się Galileuszem?

– Dostanę trochę wody, jeśli panu powiem?

Zawahał się. Każdy dobry negocjator powinien rozumieć, że musi grać niezależnie od liczby posiadanych kart, bo inaczej wypadnie z gry.

– Nie chcemy, by twój gospodarz niepotrzebnie cierpiał.

– Wyobrażam sobie, że pańska definicja słowa „niepotrzebnie” jest różna od mojej.

Ciche westchnienie. Biedny Eugene, zestresowany członek kierownictwa organizacji. Zastanawiałam się, czy nie ma nadciśnienia, czy nie bolą go plecy.

– Gdzie jest Nathan?

– Przykuty kajdankami do kaloryfera z kneblem w ustach – odpowiedziałam. – Dlaczego zginęła Josephine?

– Gdzie jest Nathan?

– Knebel jest zrobiony ze skarpetki i taśmy klejącej. Josephine.
– Wydaje się, że bardzo się martwisz swoją poprzednią gospodynią.

– Zawarłam z nią umowę.

– A jednak pozwoliłabyś, by uszkodzono ciało, które obecnie nosisz?

– Na nic nie pozwalałam – odparłam. – To wy podejmujecie decyzje i wcielacie je w życie, nie mam na to wpływu. Potrzebuję gospodarza, by żyć, i umieram w chwili jego śmierci. Nie mieszajmy moralności z biologią.

– Gdzie jest Nathan?

– Moglibyśmy sobie nawzajem pomóc.

Eugene przestał krążyć wokół szklanego sześcianu i stanął naprzeciwko mnie. Uniósł pamięć USB w kształcie pingwina, którą wsunęłam do kieszeni Alice.

– Co to jest?

– Autobiografia.

– Może wirus? Coś... bardziej skomplikowanego? Sama programujesz czy poprosiłaś przyjaciela?

– Jestem widmem. Wszyscy wiedzą, że widma nie znajdują się na komputerach.

– To znaczy, że masz przyjaciół.

– Albo przyjaciół przyjaciół, zawsze ktoś się trafi.

– Wydajesz się pozytywnie nastawiona do społeczeństwa.

– Tak. Ludzi łatwiej kolekcjonować niż przedmioty. Sprawdziłaś, czy nikt cię nie zgwałcił? – zwróciłam się do Alice, która stała przed szklaną taflą. Zaciśnęła wargi, lecz wyraz jej twarzy się nie zmienił. – Jasne, że tak. Moja powściągliwość nie wynikała z szacunku do twojego ciała. Chodziło o to, że w tej sytuacji seks byłby potworną stratą czasu.

– Kepler! – Głos Eugene'a sprawił, że znów skupiłam na nim uwagę. Pokazał mi pamięć USB, a potem położył na posadzce i zmiażdżył piętą, przekształcając pendrive'a w masę krzemu i gumy. – Powiesz nam, gdzie jest Nathan. To jedyny cel twojego istnienia.

Przekręciłam głowę na bok, a on zdjął stopę ze zmiażdżonej pamięci, jednego z najlepszych dzieł Spunkmastera (choć nie do końca).

– Mogę panu opowiedzieć o swojej znajomości z Kennedym – zaproponowałam. Eugene znów zaczął maszerować wokół szklanego sześcianu. – A może trzydziestu sekundach spędzonych w ciebie Churchilla? Opowiem historie o bogatych, wspaniałych ludziach, którzy już dawno nie żyją, a może chciałby pan wiedzieć, co naprawdę czuje młody wolny Murzyn stojący przed trybuną, z której przemawia Martin Luther King? Słyszałam jego mowę i jestem pewna, absolutnie pewna, że cierpienia mojego ludu to nie haniebnie piętno, lecz symbol najszlachetniejszej dumy, że pokonani nie zostali wdeptani w ziemię, lecz są gigantami Newtona dźwigającymi świat na wyższy poziom. A może nie powinnam tego robić? – zakończyłam smutno. – Może nie jest pan zainteresowany punktem widzenia innych ludzi? A zatem proszę kontynuować. Niech pan zrobi to, co zamierza pan zrobić... Kim jestem? – Usiłowałam lepiej się przyjrzeć swojemu ciału. Nadmiar piwa sprawił, że mój brzuch był lekko zaokrąglony; mięśnie współzawodniczyły z tłuszczem o to, kto zwycięży w metabolicznej wojnie. – Miałam przy sobie dokumenty?

– Twierdzisz, że troszczysz się o swoich gospodarzy, lecz pozwolisz, by skrzywdzono ciało, które obecnie zamieszkujesz?

– Jestem w rozpaczliwej sytuacji – odpowiedziałam. – Zrobi mi pan krzywdę niezależnie od tego, kim jestem. Może najlepszym rozwiązaniem problemu byłaby przesiadka do jednego z was? Wtedy mógłby pan bić, dręczyć, torturować jednego ze swoich podwładnych. To uczciwsze, nie sądzi pan? Mój gospodarz... to po prostu przypadkowy widz, a pańscy ludzie z pełną świadomością zgodzili się wykonywać tę pracę... – Zreflektowałam się i uśmiechnęłam. – Nie, może nie z pełną świadomością. To chyba za dużo powiedziane. Ale ze świadomością, że kiedyś może dojść do takiej sytuacji, w jakiej się w tej chwili znaleźliśmy. Więc proszę robić swoje. Niech pan będzie mężczyzną.

Eugene uśmiechał się za plastikową przyłbicą. Automatyczny uśmiech ukrywający prawdę.

– Niech wszyscy wyjdą.

Był szefem. Wyszli.

Ukucnął przede mną, przyciskając dłoń do przezroczystej tafli.

Czekałam, sprawdzając więzy na nadgarstkach i kostkach.

Zastanawiałam się, ile wytrzyma krzesło, zanim pęknie.

Po chwili zaczął się rozbierać.

Odkleił taśmę łączącą rękawice z rękawami, buty ze spodniami i hełm z kołnierzem. Uwolnił głowę, rozsypując rudawe włosy, a następnie rozpiął suwak kostiumu. Pod spodem nosił białą kamizelkę. Zdjął buty i spodnie, aż ukazały się szare majtki i czarne skarpetki. Jego nogi wydawały się starsze niż twarz, wewnętrzne strony łydek były gruzłowate, uda chude. Ściągnął kamizelkę, po czym ukazała się koścista pierś pokryta białymi bliznami. Nie mogę tego nazwać skórą, bo nigdy nie widziałam skóry, która byłaby tak poszarpana i popalona. Rozłożył ramiona, bym mogła zobaczyć nierówności i blizny, ślady po elektrowstrząsach na plecach, wzdłuż kręgosłupa, tak że kręgi przypominały łańcuch różowoszarych, zniekształconych wyrostków. Na ramionach widać było wypukłości, nieforemne kule po źle zrośniętych mięśniach i kościach.

Obrócił się kilkakrotnie, bym mogła dokładnie obejrzeć jego ciało, a później stanął naprzeciwko mnie, stary mężczyzna w majtkach, przycisnął dłoń do przejrzystej tafli i spytał:

– Podoba ci się to, co widzisz, Kepler?

(Podoba ci się to, co widzisz?).

– Mogłaś spotkać istotę, która nosiła moje ciało, gdy mi to zrobiono. Nazywała się Guanyin, jak chińska bogini miłosierdzia. Nasza akcja się nie udała. Miałem rozdarty kombinezon i Guanyin wsadziła palec do środka. Nie pamiętam, co się później działo. Zażywam trzy różne środki przeciwbólowe. Sikam kwasem, oddycham ogniem. Moje ciało poddano wszelkim możliwym torturom, a Guanyin nie chciała go opuścić, nie chciała nic powiedzieć, tylko wrzeszczała, płakała i srała krwią. Trwało to trzy tygodnie, aż wreszcie złamaliśmy jej opór i moje ciało. Błagała o śmierć.

Mój dawny kolega zgłosił się na ochotnika, by mnie ocalić. Miał siedemdziesiąt dwa lata, jego żona nie żyła, był bezdzietny i po trzydziestu latach palenia zachorował na raka płuc. Podszedł do mnie i wziął mnie za rękę, a ja pamiętam, że otworzyłem oczy i zobaczyłem uśmiech na twarzy przyjaciela, swojego dawnego nauczyciela, lecz po chwili uśmiech zbladł. Spojrzał na mnie i nie był już przyjacielem, tylko

Guanyin, która ośmielała się twierdzić, że jest miłosierna. Natychmiast wpakowali jej dwie kule w głowę i pochowali ją w grobie mojego przyjaciela ze wszystkimi honorami, na jakie zasłużył. Był to dobry koniec. Mam nadzieję, że zgodzisz się na podobny układ, gdy nadejdzie właściwy moment. A nadejdzie. A zatem, Kepler – ciągnął z rozpostartymi ramionami, z gumowym kombinezonem ochronnym u stóp – podoba ci się to, co widzisz?

(Kocham to ciało, odpowiedziała Janus. Kocham, kocham, kocham!).

– Znałam Guanyin – odrzekłam, powoli wymawiając znajome słowa w obcym języku. – Miała dobre serce.

– Jej jedyny dobry uczynek, jaki znam, to sposób jej śmierci. Chcę, żebyś rozumiała, kim jesteśmy. Rozumiesz?

– Tak.

– Boisz się?

– Tak.

– To okaż sobie miłosierdzie, jeśli nie chcesz go okazać innym.

Gdzie jest Coyle?

Oblizalam wargi.

– Jedno pytanie.

– Gdzie jest Coyle?

– Tylko jedno pytanie, a potem panu powiem. Powiem, a później może pan znaleźć miłe ciało cierpiące na śmiertelną chorobę i umrę.

Czekał. Storturowane ciało milczało. Zamknęłam oczy, zastanawiając się nad doborem słów.

– Myślę o Frankfurcie. Pana organizacja prowadzi badania nad szczepieniami – szczepieniami przeciwko mnie, istotom należącym do mojego gatunku. Zabito czterech naukowców, obwiniliście o to Josephine i mnie. Przystudiowałam dossier Josephine. Nie była zabójcą, ale kiedy zamieszkałam w ciele Alice, zajrzałam do jej komputera. Znalazłam zapis z monitoringu z Frankfurtu, gdy zginęła Magda Müller. Josephine uśmiechała się do kamery. Uśmiechała się, ale to nie była ona, oboje o tym wiemy. Nie Josephine, nie moja Josephine. Zaproponowałam jej umowę i nie miała pojęcia, kim jestem. Nie rozumiała, co oznacza bycie gospodarzem. Ale wasz film z monitoringu

jest wcześniejszy od naszego pierwszego spotkania, więc jeśli ktoś nosił jej ciało, nie zdawała sobie z tego sprawy. Może wskoczył w nią w nocy jakiś mężczyzna, z którym spała? Zniknęła na kilka godzin, kilka minut. Zamknęła oczy w pokoju hotelowym obcego mężczyzny i obudziła się w tym samym miejscu, choć ręce miała czystsze niż wcześniej, i może minęły dwie albo trzy godziny? „Minęło tyle czasu?” – spytała, a nieznajomy odpowiedział, że tak, bo przecież czas mija błyskawicznie podczas dobrej zabawy, prawda? Potem odeszła, nie zdając sobie sprawy, że w łazience za drzwiami woda w dalszym ciągu splukiwała krew zmytą z jej dłoni.

Eugene przesunął palec po bliźnie na brzuchu – przyzwyczajenie, fascynacja własnym ciałem, oczy wpatrzone w przestrzeń, automatyczne ruchy.

– Nie zadałaś żadnego pytania.

– Chcę, by je pan rozumiał, nim to zrobię. Powiedział pan Coyle’owi, że Josephine zabiła tych ludzi na moje polecenie, że dokonała świadomego wyboru. Oskarżył mnie pan o inne przestępstwa bez żadnych dowodów. Wysłał pan Coyle’a – zawodowego mordercę – by mnie zabił. Przez cały czas myślę o Galileuszu. Gdzie w tym wszystkim jest miejsce dla Galileusza? Josephine nikogo nie zabiła. Przystudiowałam jej życie, to nie ona. Kilka godzin tu, kilka godzin tam i rzeczywiście, jej ciało mogło kogoś zabić. *Modus operandi* wskazuje na Galileusza. Wszystko pasuje. To albo jest pan głupcem, który wydaje rozkazy niezgodne z własnymi intencjami, albo jest pan tylko marionetką. Moje pytanie brzmi: czy ginie panu czas?

Milczenie.

Spaceruje.

Odwraca się.

Staje.

Znowu spaceruje.

Zastanawia się nad pytaniem czy po prostu nad odpowiedzią?

Znowu spaceruje.

Staje.

Mówi: „Nie”.

To wszystko.

– No to w porządku – odpowiedziałam. – Jesteś po prostu kolejnym pionkiem.

Spojrzał mi prędko w oczy, po czym znowu odwrócił wzrok.

– Gdzie jest Coyle?

Palce dotykające blizn.

– Rathaus Steglitz – odparłam.

– Adres.

Podaliśmy go.

Rozdział 50

Czekam w więzieniu.

Nudzę się, czekam, aż zacznie się coś ciekawego.

Pamiętam:

(Podoba ci się to, co widzisz?).

(Kocham to ciało! Kocham, kocham, kocham!).

Guanyin.

Pamiętam, że była uczciwa, choć wyniosła.

Pamiętam ją jako ją, piękną w ciele Kongijki, z włosami związanymi z tyłu, z ledwo widocznymi bliznami na nadgarstkach, gdzie wbiła nóż.

– Powiedziała, że znowu to zrobi – oznajmiła.

I co ty na to?

– Cóż, zabrałam ją stamtąd.

I co zrobisz, jak się obudzi? Guanyin, bogini miłosierdzia, co zrobisz, kiedy kobieta, której ciało nosisz, otworzy oczy, a żal, że odeszłaś, będzie ciągle świeży w jej sercu?

– Otworzę jej oczy w bezpiecznym miejscu, gdzie nie będzie noży
– odparła. – Wybiera śmierć, bo wydaje się prostsza od życia. Sprawię, że decyzja stanie się trudna.

Słowa Guanyin zrobiły na mnie wrażenie.

– Podoba ci się to, co widzisz?

– Jesteś bardzo piękna – odpowiedziałam. – Bardzo dobra.

Dopiero później przyszło mi do głowy, że w ogóle nie spytałam, kiedy zamierza zwrócić ciało.

*

A potem, z dala od surowego chłodu Guanyin, spotkałam Janus, która stała przed lustrem w apartamencie w Brooklynie i powiedziała:

– Kocham je!

Był 1974 rok i chociaż ciągle szalała zimna wojna, a Nixon pod

żadnym pozorem nie chciał ustąpić ze stanowiska, wszyscy wyczuwali, że nadeszły czasy, gdy wszystko się zmieni.

Miała typowy życiorys i dość banalne ambicje – dom, rodzina, własne życie. Czyste ciało bez przeszłości, bez obciążeń. Musiałam po prostu pomóc jej zacząć.

Znalazłam skórę w pierwszym tygodniu nowego roku akademickiego.

– Kocham to ciało! Kocham, kocham, kocham!

Michael Peter Morgan, dwadzieścia trzy lata, zbierający materiały do doktoratu z ekonomii. Ukończył Harvard, oboje rodzice zmarli i zostawili mu duży spadek. Niezgrabny młody człowiek z niewiarygodnie czarnymi włosami i grubymi brwiami, garbiący się lekko, gdy patrzyli nań inni ludzie. Na początku odrzuciłam jego kandydaturę. Jednak kiedy spojrzałam na niego po raz drugi, zauważyłam, że mimo ciężkich powiek i zaciśniętych pięści ma zadatki na przystojnego mężczyznę.

Janus wślizgnęła się w jego ciało, jakby zakładała elegancki szlafrok, i moje podejrzenia się potwierdziły. Wyprostował ramiona, uniósł głowę i przestał ścisnąć kolana. Janus rozebrała się przed lustrem, a później wypięła pierś i zawołała:

– Wow, chodzę na siłownię?

– Na Harvardzie uprawiałaś taekwondo.

– Och, rozumiem! – pisnęła, oglądając swoje nagie ciało. Uniosła ramiona i napięła mięśnie, mrużąc z zadowolenia. – Jak długo trzeba zapuszczać brodę? Myślisz, że powinnam mieć brodę?

– Morgan goli się co trzy lub cztery dni, niezbyt starannie.

– Moim zdaniem siwizna będzie mi pasować. Dodaje męskości. Ile ma w banku?

– Pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

– Czym się zajmuje?

– Zacznie pisać doktorat.

– To znaczy, że jest wykształcony?

– Znakomicie.

– Doktorat na jakiś ciekawy temat?

– Nie – przyznałam. – Podejrzewam, że... do tych celów nie.

– Świetnie, mogę się obyć bez doktoratu. A teraz mój tyłek... Nie mogę go zobaczyć, ale czy nazwałabyś go jędrnym?

Popatrzyłam na tyłek Morgana.

– Wygląda bardzo dobrze.

Klepnęła się głośno dłonią w pośladek, po czym obmacała tyłek, uda, brzuch.

– Jezu... – westchnęła. – Taekwondo, tak?

– Nie ćwiczyłaś przez pewien czas. Moim zdaniem powinnaś być zadowolona, że ciągle jesteś w dobrej formie.

– Tak, kurwa! Zawsze łatwiej mi zachować kondycję, gdy jestem facetem. – Janus rozejrzała się po pokoju Morgana i jej wzrok zatrzymał się na szafie. Otworzyła drzwi i zrobiła ponurą minę. – Jutro czekają mnie zakupy! – prychnęła.

Próbowałam nie bębnić palcami po kolanie.

– Myślisz, że dasz sobie radę?

Po moim pytaniu Janus teatralnie westchnęła, po czym na jej twarzy pojawił się promienny uśmiech.

– Jest tylko jeden problem: uważasz, że będzie mi dobrze w żółtym kolorze?

*

Janus była Michaeliem Peterem Morganem przez trzydzieści lat.

Ożeniła się.

Miała dzieci.

Prowadziła wygodne życie i, jak sędzę, ani razu nie skakała w inne ciało. Taką luksusową egzystencję może zapewnić tylko selekcjoner. Rozkoszne zalecanie się do żony przez wiele trudnych lat, zmartwienia związane z hipoteką, przywilej wizyty u lekarza z powodu wrastającego paznokcia. Radość z przyjaciół, którzy kochają cię za to, co mówisz i myślisz, zaszczyty z powodu osiągnięć. Nazwisko, tożsamość, która po wielu latach pracy staje się całkowicie twoja. Prawie rzeczywista.

Nie wiem, co prawdziwy Morgan zrobiłby ze swoim życiem, gdyby mógł je przeżyć.

Selekcjonerzy nie zadają pytania: „Co by było, gdyby?”.

Podoba ci się to, co widzisz?

Rozdział 51

Nie wiem, ile czasu zajęło im dotarcie do Rathaus Steglitz.

I odkrycie, że nie ma tam Nathana Coyle'a.

Eugene, znów w gumowym kombinezonie i plastikowej przyłbicy, wszedł bez słowa do pomieszczenia, a potem do mojej przezroczywej celi, klatki wewnątrz klatki. Ruszył naprzód, uniósł prawą dłoń do lewego barku i z całej siły uderzył mnie w twarz wierzchem dłoni.

Cios nie było bardzo mocny, ale całe moje ciało przeszył dreszcz.

– Gdzie jest Nathan? – spytał.

Pokręciłam głową. Znów mnie uderzył.

– Gdzie jest Nathan?

Kolejny cios.

– Gdzie jest Nathan?

Przy czwartym uderzeniu dłoń zacisnęła się w pięść. Przewróciłam się razem z krzesłem i uderzyłam głową o podłogę. W ustach zagrzechotał mi wybity ząb i pomyślałam, że ktoś kiedyś zapłaci za wybicie tego zęba. Krzesło, do którego byłam przywiązana, zatrzeszczało.

Znudził się biciem i próbował kopać, ale za trzecim razem trafił w nerkę i nagle coś we mnie pękło: z wnętrza mojego ciała dobiegł suchy trzask. Poczułam, jak w moim brzuchu rozlewa się ciepły płyn, wypełniając miejsca, gdzie nie powinien się znajdować.

Gdyby przestał mnie bić, prawdopodobnie znalazłabym jakiś powód, by odpowiedzieć na pytanie. Ale nie przestał, więc nie mogłam odpowiedzieć, a kiedy stanął na moim małym palcu i zaczął go miażdżyć, przyszło mi do głowy, że próbuje na mnie wyładować frustrację wywołaną przez problemy osobiste. Znów zmiażdżył mi palec, o mało go nie łamiąc, i prawie przestałam myśleć.

– Gdzie jest Nathan?

– W Steglitz... – jęknęłam. – W Steglitz...

Kolejne kopnięcie.

– Steglitz!

Chwycił mnie za włosy dłonią w grubej rękawicy i przysunął moją twarz do swojej.

– Umrzesz tu, Kepler!

Główna strategia obronna widm to ucieczka.

Według legendy jedna z istot podobnych do mnie, ścigana przez zabójców, ukryła się w ciele kobiety w ósmym miesiącu ciąży. Kiedy przywódca morderców spytał ją o imię, widmo go nie знаło i schowało się w jedynym dostępnym miejscu – ciele nienarodzonego dziecka w łonie matki.

Dalszy ciąg tej historii – życie, śmierć – nie jest znany, ale morał wydaje się oczywisty: w razie zagrożenia widmo woli uciekać niż walczyć.

Teraz należało zerwać z tą tradycją.

Z całej siły uderzyłam głową w przyłbicę Eugene'a. Cofnął się, wrywając mi włosy z głowy; w plastikowej przyłbicy zasłaniającej jego twarz pojawiło się pęknięcie. Przewróciłam się na kolana, po czym fiknęłam kozła do tyłu razem z krzesłem.

Usłyszałam trzask pękającego plastiku. Poruszyłam rękami i okazało się, że jedna jest wolna, bo noga krzesła się odłamała. Drugą rękę ciągle miałam przykutą do siedzenia. Krzesło mogło krępować moje ruchy lub stać się groźną bronią. Popatrzyłam na przerażone oblicze Eugene'a i uderzyłam go krzesłem w twarz. Przyłbica pokryła się pajęczyną spękań, a Eugene upadł na bok, trafiony w boczną część głowy. Inni mężczyźni obecni w pomieszczeniu rzucili się w jego stronę, jeden sięgnął po paralizator, Alice wyciągnęła pistolet. Próbowałam rzucić się w ich stronę, lecz miałam ciągle skute nogi i upadłam na twarz. Zobaczyłam, że mężczyzna z paralizatorem celuje we mnie, i zasłoniłam się krzesłem. Rozległ się syk elektrod, które uderzyły w drewno; poczułam pieczenie dłoni i usłyszałam strzały z pistoletu. Ktoś objął mnie od tyłu ramieniem za szyję i zaczął dusić. Miałam mgłę przed oczami i dzwoniło mi w uszach. Eugene uderzył mnie kolaniem w plecy i pięścią w żyłę szyjną, lecz udało mi się obrócić – objęłam jego kolana skutymi stopami, cofnęłam głowę i z całej siły uderzyłam czołem w popękana przyłbicę, tłumiąc histeryczny śmiech.

Plastik rozleciał się na kawałki, raniąc mnie w twarz i oczy. Z czyjegoś gardła – mojego? – wyrwał się krzyk. Rozległ się ogłuszający strzał i kula trafiła mnie w łopatkę, ale udało mi się musnąć czołem policzek Eugene'a i

usłyszałam kolejny strzał. Znajdujący się pode mną mężczyzna szarpnął się i krzyknął z bólu, a ja mocno go trzymałam, czując pot spływający po plecach. Obejmowałam ręką szyję strażnika, po którego plecach spływała krew z rany w łopatkę, gdzie kula przebiła płuco jak puszkę coli. Spoglądał na mnie oszołomionym wzrokiem, próbował odetchnąć i poczuł, że jego płuco wypełnia się krwią, a nie powietrzem.

Martwy mężczyzna w moich rękach.

Wystawił język z zakrwawionych ust, wybałuszył oczy, niczego nie zrozumiał i umarł.

Cofnęłam się. Odłamki roztrzaskanej przyłbicy zsunęły się w głąb kombinezonu.

Uniosłam wzrok.

Patrzyła na mnie Alice. Trzymała obiema rękami pistolet i celowała we mnie.

– Leontes! – warknęła, a ja spojrzałam na nią pustym wzrokiem, czując pustkę w głowie. – Leontes! Masz uszkodzony kombinezon, Leontes!

Przypomniałam sobie, że nie mam już skutych nóg. Próbowałam wstać, bolały mnie blizny na całym ciele. Skurcz w piersi, obolałe żebra, smak krwi w ustach, dzwonięcie w prawym uchu. Zastanawiałam się, czy Eugene pamiętał, jak się czuje normalny człowiek; w końcu znał tylko cierpienie fizyczne.

– Leontes! – Głos Alice drżał, lecz nie pistolet.

SMS-y w komórce Coyle'a: *Eol, Kirke*.

Hasło i odzew.

Alice zawołała „Leontes”, a Eugene odpowiedział...

...Bóg wie co.

Zrobiłam krok w jej kierunku. Kiedy odbezpieczyła broń, by oddać strzał, potknęłam się i upadłam bez tchu na czworaki. Moja ręka poślizgnęła się w powiększającej się kałuży krwi...

...patrzącego martwym wzrokiem człowieka, który umarł,

kimkolwiek był.

Uniosłam wzrok i spojrzałam w oczy Alice. Wiedziała, że nie jestem Eugene'em, nie mogła w to wierzyć. Nie wydałam żadnego dźwięku, lecz skoczyłam z podłogi w stronę jej twarzy, wyciągając ręce, by zerwać plastikową przyłbicę. Usłyszałam strzał i poczułam uderzenie w korpus. Z rozmysłem celowała nisko, ale kula mnie nie zatrzymała – zderzyłam się z Alice i przewróciłam ją na ziemię tuż za drzwiami szklanego sześcianu. Uklękałam na jej piersi i szarpałam kombinezon, czując krew ciekącą po nodze. Nagle ktoś wskoczył mi na plecy i próbował mnie odciągnąć. Z całych sił uderzyłam go łokciem w brzuch i usłyszałam głucho stęknienie, zdołałam wsadzić palce pod hełm Alice, zaledwie na dwa centymetry, ona zaś usiłowała mnie odepchnąć, przyciskając ręce do mojej szyi i piersi. Zauważyłam skrawek nagiej skóry, a gdy mężczyzna, którego przed chwilą uderzyłam, znów się na mnie rzucił, pochyliłam się pod jego ciężarem, przycisnęłam wargi do szyi Alice i skoczyłam.

Alice Mair.

Dobrze być kimś, kogo się zna.

Eugene ugiął się pod ciężarem mężczyzny leżącego mu na plecach. Cofnęłam pięść i z całej siły uderzyłam go w twarz. Poczułam, jak nos pęka pod moimi palcami. Zwiotczał. Zrzuciłam go z siebie; potoczył się na bok wraz z atakującym mężczyzną, który w dalszym ciągu z całych sił go ścisnął. Nasunęłam na twarz przyłbicę, a gdy ostatni mężczyzna w pokoju puścił Eugene'a, wstałam i krzyknęłam:

– Pomóż mu! Pomóż mu, na litość boską!

Popatrzył na mój kombinezon, poplamiony krwią Eugene'a, i nie zauważył rozdarcia.

– Jest w nim! – wrzasnęłam piskliwie, przesadnie oceniając siłę własnego głosu. – Pomóż mu!

Gdyby przyjrzał mi się z bliska, bardzo bliska, zauważyłby niewielką lukę między kombinezonem a przyłbicą, gdzie wsunęłam palce, by dotknąć skóry Alice. A może niczego by nie dostrzegł? Może wszędzie było za dużo krwi?

Po chwili wstał, pobiegł do czerwonych metalowych drzwi, wystawił głowę na korytarz i ryknął:

– Pomocy! Niech ktoś nam pomoże!
„Nam”, czyli również mnie.

Rozdział 52

Berlin Wschodni.

Przekroczenie granicy między Berlinem Zachodnim a Wschodnim, obecnie nieistniejącej, można poznać po wielu oznakach. Drzewa są mniejsze, ulice prostsze, nowe budynki znacznie nowsze. Są to oznaki zewnętrzne, lecz moim zdaniem nic nie może się równać z wnętrzem betonowej hali przemysłowej bez okien, na której ścianach znajduje się nieśmiertelne hasło: WIERZYMY W ZWYCIĘSTWO SOCJALIZMU.

Kapitalizm jest nieskończenie pewny siebie, lecz nigdy nie manifestuje tego tak ostentacyjnie jak jego socjalistyczni rywale.

Tupot biegnących stóp, pędzący ludzie, podniesione głosy. Skulić się i ukryć.

Nad Eugene'em klęczą ratownicy medyczni, wszyscy ubrani w gumowe kombinezony. Przyłbica hełmu pokryta kropelkami pary. Przycupnęłam pod ścianą, bojąc się, że ktoś spyta mnie o hasło albo coś tak prostego jak moje prawdziwe nazwisko.

Musiałam się wydostać z tego kombinezonu. Potrzebowałam ciała.

Wymioty też nie zaszkodzą.

Zgięłam się wpół, chwyciłam za brzuch i zaczęłam dygotać jak kobieta, która za chwilę zwymiotuje. Widok człowieka mającego mdłości często wywołuje mdłości u innych. Ludzie rozstępowali się przede mną, gdy wybiegłam z pochyloną głową na korytarz.

Uważali, że mieszkam w ciele Eugene'a.

Niech w to wierzą. Jeśli dopisze mi szczęście, Eugene szybko się nie ocknie. Jeżeli będę miała pecha, jakiś spryciarz obejrzy monitoring z ostatnich trzydziestu sekund i zauważy, że moje usta musnęły szyję Alice, a później podniesie alarm. Tak czy inaczej, najważniejszy jest czas.

Oddalałam się od klatki, krzyki powoli cichły, a ja zapuszczałam się coraz dalej w głąb budynku.

Prawdopodobnie kiedyś mieściła się w nim fabryka. Ciężkie

żelazne drzwi prowadziły do betonowych jaskiń, gdzie na sufitach wisiały niczym liany stare kable zasilające wentylatory. Większość pomieszczeń była pusta, lecz gdzieś tam umieszczono serwery komputerowe – widziałam rzędy jednostek centralnych połączone płataniną kabli. Kręcili się wśród nich pracownicy należący do organizacji, mężczyźni i kobiety, niektórzy w fartuchach, inni w garniturach i krawatach, jeszcze inni w dresach. Nikt nie był uzbrojony, choć w jednym z pomieszczeń zauważyłam stos zamkniętych na kłódki skrzyń, które, jak się domyślałam, zawierały coś znacznie bardziej niebezpiecznego niż zestawy oświetleniowe do dyskotek. Omijałam ludzi z daleka, szłam ze spuszczoną głową i przyciskałam dłoń do brzucha jak kobieta biegnąca do ubikacji. Udawałam kogoś, kto ma zły dzień i kogo lepiej unikać. Minęłam siedemnaście osób, nim znalazłam wreszcie szare, nieoznakowane drzwi prowadzące do damskiej toalety. W środku znajdowała się brzydka, poplamiona kabina, z której wyszła kobieta.

– Dobrze się czujesz, kochanie? – spytała z uśmiechem na mój widok.

Wbiegałam do kabiny.

Nigdy się nie odzywaj, gdy nie musisz tego robić.

Zostawiłam Alice Mair coś ważnego.

Stałam na czworakach przed muszlą klozetową w różowe kropki i włożyłam dwa palce do gardła.

Ktokolwiek mówi, że wywoływanie wymiotów może mieć walory terapeutyczne, kłamie.

Dopiero za czwartym razem udało mi się wywołać nie tylko skurcze, lecz prawdziwe wymioty. Kiedy skończyłam, usiadłam, spocona i nieszczęśliwa, opierając się ręką na sedesie, i próbowałam zapanować nad oddechem. Kiedy wreszcie doszłam do siebie i popatrzyłam na rzygowiny, wśród różowej, kleistej treści żołądkowej zawierającej niestrawione cząstki burgera, który zjadłam na Kürfurstendamm, znajdowała się druga pamięć USB Spunkmastera13.

Widma są leniwe.

Ale nie głupie.

*

Zdjęłam hełm, rękawice.

Pod kombinezonem miałam T-shirt i parę czarnych legginsów. Nie był to idealny strój, lecz przynajmniej nie był poplamiony krwią Eugene'a.

Szłam przez budynek. Uśmiechałam się do nieznajomych, kiwałam głową do ludzi, którzy pozdrawiali mnie skinieniem głowy, i wbijałam wzrok w ziemię. W pewnej chwili zatrzymał mnie mężczyzna z ołówkiem za uchem; położył mi rękę na ramieniu i spytał, co się dzieje z Kepler, podobno coś się stało? Instynktownie się zachnęłam i odpowiedziałam, że wszystko w porządku. Sytuacja jest pod kontrolą. I ruszyłam dalej.

Znalezienie wolnego komputera zajęło mi sporo czasu. Weszłam do szarego, nagiego kompleksu biurowego, żałując, że w drzwiach nie ma zamka. Wszystko wyglądało prowizorycznie – martwe szare biurka w martwych szarych pokojach, żadnych obrazków, żółtych karteczek z notatkami, bałaganu, jaki pojawia się w normalnym środowisku pracy. Komputery były wystarczająco nowe, by na nich pracować, lecz na tyle stare, by procesory skomlały jak szczeniaki, błagając o więcej RAM-u. Nie próbowałam odgadnąć hasła, lecz po prostu wsunęłam pamięć USB Johannesesa – oczyściwszy ją z rzygowin – do najbliższego gniazda i po chwili na ekranie pojawiły się rzędy niezrozumiałych znaków. Zajrzałam do biurka. Najlepszym sposobem radzenia sobie z technikami Spunkmastera było pozwolić im działać samodzielnie.

Biurko, podobnie jak wszystko w tym pokoju, było puste. Żadnych zużytych chusteczek higienicznych ani nadgryzionych kanapek; pomieszczenie wyglądało jak dekoracja niskobudżetowego filmu. Przyszło mi do głowy, że gdyby kopnąć ściany, okazałyby się zrobione z tektury, a po drugiej stronie znajdowałyby się lśniące kamery i śmiejący się widzowie.

Przypomniałam sobie dzień, gdy próbowano mnie spalić na stosie.

Eugene kopał mnie, bo chciał. Gdzie jest Coyle?

Kogo obchodzi, gdzie jest Coyle?

Mam dostęp do komputera.

Zalogowałam się do swojego profilu, nie zwracając uwagi na

błyskającą ikonkę ani komunikat Johanna, który manifestował jego genialność. Mejl, z którego wynikało, że właściciel tego komputera to niejaki P.L. Trent. W tajnych organizacjach na świecie są różne stanowiska, lecz wydawało się, że zdołał zostać dyrektorem finansowym.

Przyszło mi do głowy, że nawet tajne organizacje wyspecjalizowane w zabójstwach potrzebują księgowych.

Natychmiast skopiowałam mejle z ostatniego roku na pendrive'a Johanna, a potem zaczęłam ściągać pliki z twardego dysku. Kiedy się zapisywały, zerknęłam na skrzynkę pocztową P.L. Trenta i z irytacją spostrzegłam, jak wiele nadchodzących wiadomości dotyczyło sporów o rachunki z podróży i toner do kserokopiarki. Tylko jedna nazwa pojawiała się z dostateczną regularnością, bym zwróciła na nią uwagę – Aquarius. Aquarius stosuje ściśle określone stawki ubezpieczeń medycznych; w czasie akcji Aquarius nie pokrywa już kosztów posiłków o wartości przekraczającej pięć euro. Aquarius lubi zabijać widma.

Rachunki są nudne, ale ważne.

Wyjęłam z komputera pamięć USB i wstałam, słysząc syreny alarmowe.

Ktoś gdzieś nacisnął guzik, pociągał za sznurek albo zrobił coś innego, co robią ludzie w tym fachu, gdy zdają sobie sprawę, że mają kłopoty. Może ktoś przypadkiem zerknął na monitor telewizji przemysłowej. Może Eugene otworzył oczy i wiedział, co odpowiedzieć na hasło „Leontes”. Kiedy lekarz spytał, kogo widział na końcu, odpowiedział, że Alice.

Pora wiać.

Rozdział 53

Podobno widma nie troszczą się o ciała, które noszą. Obżeramy się, uczujemy, zaspokajamy wszystkie możliwe zachcianki, leniuchujemy. Wydajemy cudze pieniądze, śpimy z mężczyznami i kobietami, kobietami i mężczyznami. Kiedy mamy już dość, gdy kości są połamane, a skóra poraniona, ruszamy dalej, pozostawiając wykorzystane ciało.

Uważam, że w sprzyjających okolicznościach postępuję lepiej. To nie były sprzyjające okoliczności.

*

Dźwięk syreny alarmowej dochodził z niewielkich czarnych głośników, które w innej epoce mogły zachęcać masy pracujące do refleksji na temat chwały swoich wysiłków. Teraz był to krzyk niepokoju, od którego o mało nie popękały mi bębenki w uszach, gdy śpiesznie szłam korytarzem. Musiały istnieć zasady postępowania w takiej sytuacji, ale ponieważ ich nie znałam, posłużyłam się brutalną siłą.

Wyszedłszy zza zakrętu korytarza, zobaczyłam mężczyznę w białej koszuli zamykającego ciężkie drzwi. Zerknął na mnie i otworzył usta, prawdopodobnie zamierzając wypowiedzieć kolejne hasło, na które nie znałam odzewu. Zaciśnęłam pięść i z całej siły uderzyłam go w nos. Rozległ się trzask i upadł, chwytając się palcami za twarz: z jego nosa trysnęła krew. Kopnęłam go kolanem w krocze i runął do przodu, obryzgując ścianę kropelkami czerwonej krwi. Otoczyłam ramieniem jego szyję, przycisnęłam mu dłoń do twarzy i syknęłam:

– Wyjście. Natychmiast. Albo wskoczę w twoje ciało!

Miał ramiona szersze od moich, dyszał ciężko jak wieloryb wyrzucony na brzeg morza, a ja wbiłam mu mocniej palce w skórę i warknęłam:

– Wyjście!

– Schody na końcu korytarza... – wyjąkał. – Trzy piętra w dół.

– Jakie są procedury bezpieczeństwa? – Kiedy nie odpowiedział, rzuciłam z wściekłością: – Mów albo zaprowadzę cię tam, gdzie cię zastrzelą!

– Chodzimy dwójkami. Jeden obserwuje drugiego, pełna kontrola.

– Broń? Kombinezony?

Zdołał skinąć głową.

– Jaki jest twój znak rozpoznawczy? Hasło i odzew?

Nie odpowiedział.

– Mów!

Ciągle milczał, chciał żyć. Pod pachami miał ciemne plamy potu, wciągnął brzuch i napiął kręgosłup, lecz milczał.

Wykrzywiłam się, cofnęłam rękę i z całej siły uderzyłam jego czaszką w ścianę. Kiedy upadł, na beton trysnęła krew, a ja przeszłam nad nim i pobiegłam w stronę końca korytarza, trzymając w ręce pamięć USB. Z przodu otworzyły się drzwi i pojawiło się w nich dwóch mężczyzn ubranych w niekompletne gumowe kombinezony, z pistoletami w rękach. Nie zwolniłam, uniosłam rękę i krzyknęłam:

– Kirke! Kirke!

Zawahali się, ogarnęły ich wątpliwości i strach. Wykorzystałam tę chwilę, zmniejszyłam odległość, chwyciłam jednego za szyję, skoczyłam,

odepchnęłam Alice, której wypadła z ręki pamięć USB. Uniosłam broń i z bliskiej odległości strzeliłam w bok drugiego mężczyzny. Kiedy upadł, przeszłam nad nim i kopnęłam pistolet trzymany przez niego w dłoń, po czym odwróciłam się w stronę Alice, próbującej odzyskać równowagę, chwyciłam jej palce zaciśnięte na kolbie pistoletu i

skoczyłam,

a moja dłoń, zaciśnięta na kolbie pistoletu,

nacisnęła spust.

Mężczyzna w niekompletnym kombinezonie upadł, chwytając się za udo. Podniosłam pamięć USB, poczułam w ręce ciężar pistoletu, zablokowałam stopą zamykające się drzwi i wyszłam.

*

Na klatce schodowej wycie syren alarmowych było przytłumione,

lecz ciągle wyraźne. Usłyszałam głosy na górze, kroki na dole i ruszyłam w dół. W ścianach znajdowały się niewielkie kwadratowe okna, przez które wpadało żółte światło. W dole zatrzasnęły się drzwi. Uniosłam pistolet i kiedy zza rogu wyszedł pierwszy mężczyzna, ubrany w pełny kombinezon, wpakowałam mu kulę w brzuch tuż pod żebrami. Przechylił się na bok, a ja przekręciłam się, usłyszałam strzał, za moim lewym uchem rozległ się ogłuszający huk i dałam nurka za ciało rannego. W ścianę nad moją głową trafiła kolejna kula, na klatce schodowej rozległo się echo rykoszetu odbijającego się od betonu i metalu. Następny pocisk przeleciał tuż nad moją głową, a ja chwyciłam tylną część kombinezonu mężczyzny i wyszarpnęłam go ze spodni. Kilka centymetrów nagiej skóry – przycisnęłam do niej rękę, zamknęłam oczy i skoczyłam.

Ból przypominał oślepiający błysk porannego słońca. Zacisnęłam zęby, czułam, że krwawię, przypominałam sobie, że mogę ciągle poruszać ramionami, obracać głową, sięgnąć za siebie. Wyrwałam pistolet z rąk Alice, znów się obróciłam, wycelowałam w mężczyznę stojącego w dole i dałam ognia.

Kiedy upadł, Alice kopnęła mnie od tyłu i pchnęła na poręcz schodów. Piersi, oczy, język i umysł zalała mi krew. Usiłowałam ją chwycić, lecz nosiłam niewygodne gumowe rękawice. Uderzyła mnie łokciem w pierś i zawylałam z bólu, reagując jak zraniony pies, ona zaś sięgnęła do tyłu i złapała pistolet, który ciągle trzymałam w rękach. Ścisnęłam go z całej siły, próbowałam otoczyć nogą jej pierś, by ją unieruchomić. Nagle poczułam, że coś ustępuje w okolicy mojego rękawa, a gdy Alice zauważyła, że zdiera mi gumę z dłoni, wyciągnęłam rękę i przycisnęłam nadgarstek do jej szyi i skoczyłam.

Wyrwałam pistolet z rąk mężczyzny, zesłam z niego i z trudem stanęłam, dysząc ciężko, czując szybkie bicie serca Alice. Pode mną jęczał ranny mężczyzna, wydając długi, niski skowyt, który odbijał się echem od ścian klatki schodowej. Znów chwyciłam pamięć USB i zaczęłam zbiegać w dół, o mało się nie przewracając.

Wszystko byłoby znacznie łatwiejsze, gdybym nie niosła ze sobą przedmiotu.

Drzwi na dole okazały się zamknięte, nie znałam kodu do elektronicznego zamka. Z góry dobiegały krzyki, po schodach powoli kapła krew. Czułam w ustach gorzki, nieprzyjemny smak. Najbliższe okno, znajdujące się wysoko nad schodami, było tak wąskie, że mogłoby się przez nie przecisnąć tylko dziecko, ale na zewnątrz widać było światła uliczne, uznałam zatem, że to moja jedyna szansa. Wcelowałam w nie pistolet i opróżniłam magazynek. Na początku szkło pokryło się pajęczyną spękań, lecz po ostatnim strzale rozpadło się na kawałki i zasypało schody odłamkami przypominającymi płatki śniegu. Słyszałam tupot ludzi biegnących w moją stronę. Podciągnęłam się na kościstych ramionach i zaczęłam się wyczołgiwać przez okno. Cięły mi skórę szklane zęby, z poranionych rąk spływała krew, plamiła brzuch i pierś. Kiedy za moimi plecami rozległ się pierwszy strzał, przecisnęłam się przez okno i poleciałam głową w dół na zewnątrz.

Betonowy parking otoczony betonowym murem. Wylądowałam na rękach, usłyszałam trzask, poczułam ostry ból w prawym ramieniu i drętwotę w łokciu. Usiłowałam wstać, upadłam, znów usiłowałam wstać. Poruszyłam palcami prawej ręki, lecz poczułam straszliwy ból kości i mięśni; nie podejmowałam więcej takich prób. Za moim lewym barkiem huknął strzał i kula trafiła w beton. Wstałam, podtrzymując złamaną rękę, by nie wywołać nieostrożnym ruchem kolejnej fali bólu, który mógłby sprawić, że zemdleję, i rzuciłam się do ucieczki.

Rozdział 54

Alice Mair.

Ładne ciało, aż wstyd, co z nim zrobiłam.

Biegłam nocą nieznaną ulicą w nieznannej okolicy, zakrwawiona kobieta ubrana za lekko jak na taką pogodę.

Niech nikt wam nie wmówi, że strach jest zabawny albo podniecający. Taki ekscytujący strach można odczuwać na karuzeli w wesołym miasteczku, gdy wiadomo, iż pas bezpieczeństwa gwarantuje, że nic się nie stanie.

Prawdziwy strach to straszliwa niepewność: umysł nie może się uspokoić, bo bez przerwy wyobrażasz sobie, że za plecami czai się morderca z siekierą. Zdyszany oddech pogrążonego w mroku przechodnia, który może nagle się na ciebie rzucić, głos nieznajomego śmiejącego się z ciebie – o tak, na pewno z ciebie. Mocne bicie serca, kiedy na ulicy słychać wystrzał z rury wydechowej samochodu, drżenie rąk i rozpaczliwe myśli, aż zaczynasz się śmiać, bo nie rozumiesz, że za chwilę wybuchniesz płaczem. Błyskawiczny ruch głowy węża, gdy wije się w leśnym poszyciu, skok przerażonej sarny, wściekły trzepot skrzydeł wróbla i – tak – jestem człowiekiem.

Uciekam.

Boję się.

*

Pewnego razu,

dawno temu,

Hekuba przyszła do mnie w ciele mężczyzny z wielkimi bokobrodami i laską z główką z kości słoniowej.

– Znalazłam ich – powiedziała.

Byłam Victorią Whitten. Rodzice nadali jej imię królowej i pozostawili majątek godny księżniczki. Bił ją mąż, aż straciłam cierpliwość, zamieszkałam w jej ciele i zaczęłam bić męża. Mieszkał

teraz w Norwich, ja w Londynie. Raz w miesiącu pisał, że czuje się dobrze, a ja nie odpowiadałam.

Siedziałyśmy w salonie mojego domu, piłyśmy herbatę.

– Całe gniazdo, pod naszym nosem – powiedziała Hekuba. – To organizacja, bractwo.

– Masz ochotę na makaronik?

Pochyliła się do przodu i powtórzyła:

– Znalazłam ich. Pójdiesz ze mną? – Różowy koniuszek jej nosa drżał lekko.

– Po co?

– Musimy ich powstrzymać.

– Chcesz użyć materiałów wybuchowych?

– Każda metoda jest dobra.

– Nie lubię ostrych narzędzi – odparłam, obracając w wypielegnowanych palcach maleńki makaronik. – Staram się nie używać broni palnej, chyba że to konieczne.

Odchyliła się do tyłu i założyła nogę na nogę w sposób, który sugerował, że jeszcze niedawno nosiła sukienkę i chwilowo zapomniała o swojej płci.

– Zabijają widma! – rzuciła. – Działają poza prawem. Nie ciekawi cię to?

– Jasne, że ciekawi. Ale czy to zainteresowanie jest wystarczającym powodem, by odkryć kryjówkę, gniazdo, spelunkę ludzi pragnących nas zniszczyć, a później wszystkich zabić? Obawiam się, że niestety nie.

– Twój gospodarze ginęli gwałtowną śmiercią – odpowiedziała ostro. – Wszystkie widma mają takie doświadczenia. Może to nie robota tych ludzi, nie nowego „bractwa”, ale na przestrzeni lat ciała, w których mieszkaliśmy, płonęły na stosach, szły na szubienicę, trafiały pod mur...

– Bo zwracaliśmy na siebie uwagę – odpowiedziałam, odstawiając filiżankę. – Skakaliśmy za często, a może zbyt rzadko, zostawialiśmy po sobie zbyt wiele opowieści. Wyprzedzający masowy mord ludzi pragnących nas zniszczyć na pewno narobiłby mnóstwo hałasu. Mam nadzieję, że nie czujesz do mnie urazy z powodu mojego sceptycyzmu.

Hekuba wykrzywiła się jeszcze bardziej. Rzadko widywałam takie

twarze od lat osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku. Oblicze typowe dla epoki wiktoriańskiej, z wielkimi bokobrodami przypominającymi wąsy szczura wodnego i podkreślonymi wąsami usztywnionymi woskiem. Grymasy takich twarzy mogą wyrażać niezwykle rzeczy. Czasami poszukiwałam ludzi o podobnym wyglądzie i znajdowałam tylko ponurych starców siedzących w cieniu w upalnych krajach tropikalnych albo skorumpowanych technokratów wściekłych na swoje marne emerytury.

Hekuba się skrzywiła; wraz z nią skrzywiła się jej dusza.

– Spodziewałam się po pani czegoś więcej, pani Whitten – powiedziała z przekąsem. – Sądziłam, że jesteś selekcjonerką.

– Czasem się tym zajmuję – odpowiedziałam serdecznie. – Podejmuję daleko idące starania, by ciała przygotowane przeze mnie dla klientów były niemożliwe do wyśledzenia i nie budziły zainteresowania, gdy inaczej się zachowują. Ale masz rację: moi gospodarze ginęli z rąk ludzi, o których mówisz. Nosili inne stroje, nazywali się inaczej, a jednak ich motywy były zawsze takie same. Strach. Ignorancja. Przewidywalne uprzedzenia stale obecne w historii ludzkości. Nie mogę powiedzieć, że moje doświadczenia uczyniły mnie mądrzejszą lub lepszą, nie uzbroiły mnie również w zasady moralne, które pozwalałyby mi głosić swoje poglądy na forum publicznym, lecz nauczyłam się jednej rzeczy: masowy rozlew krwi nigdy, ale to nigdy nie rozwiązuje problemu. Naturalnie gdybyś tropiła ludzi, którzy ścigają właśnie mnie, byłabym hipokrytką, gdybym ci serdecznie nie podziękowała, jednak uważam, że te podziękowania byłyby przedwczesne. Istnieje prawie nieskończona liczba ludzi, którzy czują strach i życzą mi źle, ale tylko jeden stoi w mroku z nożem w ręce.

Hekuba prychnęła i wstała.

– Dziękuję za herbatę i ciekawe uwagi.

Ja również wstałam, uprzejmie skinęłam głową i odprowadziłam ją do drzwi. Położyła dłoń na klamce, po czym zawahała się i odwróciła.

– Nie jestem głupia i rozumiem, dlaczego to mówisz, ale chciałabym ci zadać jedno pytanie. Robi nam krzywdę mnóstwo ludzi, a nas jest niewielu. Jesteś niezwykle istotą, sumą wielu różnych doświadczeń, których nie ma nikt inny. Dlaczego przywiązujesz tak

wielką wagę do życia ludzi, którzy w porównaniu z tobą są pospolici jak łajno i głupi jak kamienie?

Zastanawiałam się przez dłuższą chwilę nad pytaniem Hekuby, stojąc w wysokiej, chłodnej sali.

– Słyszałam raz pewną opowieść. To historia mężczyzny o imieniu al-Mu'allim. Pewnego dnia z pustyni przybył džinn i opętał al-Mu'allima. Wygnał jego starsze żony, ale kochał najmłodszą, która była piękna i inteligentna: nie pasowała do swojej epoki. Mieli dziecko, lecz żona umarła, a džinn uciekł. Oto historia, którą słyszałam; zdarzyła się bardzo dawno temu. Wiesz, jak to traktuję?

Hekuba wzruszyła ramionami. Nie знаła odpowiedzi i przeczuwała, że nie będzie jej ona obchodzić.

– Jako opowieść. Życie innych ludzi zawsze jest tylko opowieścią. To samo odnosi się do mnie. Jedyne ślad, jaki po nas pozostaje, to szybko opowiedziana historia, bez szczegółów, które wkrótce odejdą w niepamięć.

Hekuba zastanawiała się przez chwilę nad moimi słowami, po czym prychnęła:

– Jeśli uważasz się tylko za ulotną opowieść, może nie warto, byś przerwała. Do widzenia, pani Whitten.

– Do widzenia – odparłam. – Życzę powodzenia.

*

Cztery dni później „London Gazette” podała informację o zabójstwie jedenastu mężczyzn i trzech kobiet w magazynie w pobliżu Silver Wharf. Ocalało dwóch świadków. Jeden twierdził, że bezdomni koczujący w porcie zaatakowali się nawzajem, zarzynając po kolei sąsiadów, jakby opętał ich demon.

Drugi ocalały, który mówił znacznie wolniej, bo wydłubano mu oczy, oznajmił, że to nieprawda.

Nie był to jeden demon.

Dwa.

Kiedy ten drugi demon wyłupił mu oczy, roześmiał się dziecięcym śmiechem i szepnął:

– Podoba ci się to, co widzisz?

Rozdział 55

Zawsze można coś zniszczyć.

Na początku odłamałam grubą gałąź od niskiego kolczastego drzewa, które zapuściło korzenie w betonowym murze.

Wybiłam gałęzią okno białej furgonetki zaparkowanej za rogiem, a gdy zawył alarm, wsadziłam rękę do szoferki i otworzyłam drzwi. Później złamałam siedzenie kierowcy, wczołgując się do tylnej części samochodu, gdzie wyważyłam pokrywę skrzynki z narzędziami, skąd ukradłam lewar, latarkę i pelerynę przeciwdeszczową.

Później rozprułam stacyjkę i ukradłam furgonetkę.

*

Nie zamierzałam jechać daleko.

Nawet gdyby Aquarius nie zdołał zlokalizować furgonetki z wyjącem alarmem i wybitym oknem, policja mogłaby się ocknąć ze stuporu i zadać kilka pytań.

Jechałam, aż znalazłam się poza zasięgiem pościgu prowadzonego na piechotę, po czym porzuciłam furgonetkę i poszłam poszukać czegoś lepszego. Pod pachą niosłam lewar, pelerynę narzuciłam na ramiona.

W tej dzielnicy Berlina stały parterowe hale fabryczne, rozjarzone wieżowce i wielkie tablice reklamowe zachwalające tanią benzynę, dobre odkurzacze i armaturę łazienkową sprzedawaną w lokalnych centrach handlowych. Autobusy kursowały rzadko i nie miałam ani centa, by zapłacić za bilet. Szłam środkiem pustej ulicy, przy której znajdowały się tanie pralnie i sklepiki, gdzie można kupić podstawowe towary: świeże pomidory i owoce w puszkach.

Postanowiłam zacząć od pralni samoobsługowej.

Podważyłam kłódkę w drzwiach, aż ustąpiła, po czym rozbiłam szybę za żaluzją i weszłam do środka. Zawyła syrena alarmu, lecz o tej porze okoliczni mieszkańcy reagowali wolno, a policja jeszcze wolniej. Zresztą najmniej obawiałam się aresztowania.

Rozbiłam kasę i nie zdobyłam ani grosza. Przejrzałam ubrania w plastikowych pokrowcach wiszące na szynie na zapleczu pralni, zapominając na chwilę, że jestem mniejsza, delikatniej zbudowana niż Nathan Coyle i że bardziej pasuje mi suknia koktajlowa niż smoking. Zauważyłam niewielkie czerwone pudełko na brzegu najwyższej półki; kiedy je otworzyłam, znalazłam trzydzieści euro w monetach o nominale jednego euro oraz kilka monet dwudziestopięciocentowych. Fundusz na nieprzewidziane wydatki, który z radością sobie przywłaszczyłam.

Wydało mi się, że słyszę w oddali syrenę, i szybko opuściłam pralnię. Pod moimi stopami chrzęściło rozbite szkło. Na miejscu przestępstwa pozostało mnóstwo odcisków palców Alice, choć na dłuższą metę nie miało to żadnego znaczenia.

*

Zgubić się w obcym mieście w zimną noc...

Chciało mi się spać, tak samo jak mojemu ciału.

W ustach czułam smak żółci, pulsowało mi ramię, bolały zębra.

W którymś momencie musiałam się uderzyć mocniej, niż przypuszczałam.

Obróciłam twarz w stronę, gdzie powinno się znajdować centrum miasta. Rozpoczęłam długi marsz ku porankowi, kierując się w stronę wieżowców.

Rozdział 56

Świt nie rozświetlił nieba, lecz sprawił, że granat zmienił się w szarość przy akompaniamencie plusku padającego deszczu.

Chciałam się wyrwać z tego ciała.

Kolejny dzień, kolejna kawiarenka internetowa.

Kocham internet.

Bankowość online! Facebook!

Z trudem przypominam sobie swoje życie przed pojawieniem się tych dwóch cudów technologii. Dokładnie pamiętam – wielki Boże, przechodzi mnie dreszcz zgrozy, gdy o tym myślę! – jak ciężko harowałam, by zdobyć informacje o przyjaciółach i znajomych swojego ciała, o jego przeszłości, majątku. Śledziłam obiekt przez długie tygodnie, całe noce katalogowałam spotkanych ludzi, opowiedziane historie. Podśluchiwałam i intrygowałam, by poznać sekrety skór – a teraz, ach, teraz pomaga mi największy cud cudów, Facebook! Życie, osobowość, każdy przyjaciel i członek rodziny skatalogowany w całej swojej chwale – wystarczy jedno hasło, jeśli skóra się wylogowała. Facebook! Jak mogłam żyć bez Facebooka, łapczywie pożerając cudze ciała?!

Ale największy cud to bankowość internetowa.

Niewiarygodne, fantastyczne, rozkoszne. Wystarczy pamiętać nazwisko, hasło, a potem w każdym ciele, w każdej skórze, mogę usiąść przed komputerem i przesyłać pieniądze dokoła świata, otwierać konta bez konieczności stawania się dwa razy tą samą osobą. Dawno minęły dni, gdy zakopywałam pieniądze bogacza pod samotnie rosnącym drzewem, by wrócić w to miejsce w ciele biedaka, gdy nadszedł czas ruszać w drogę. Teraz drzewem jest świat, a ziemia stała się zautomatyzowana.

Dziękuję ci, technologio!

*

Miasto się obudziło, a ja tęskniłam za snem.

Pod skradzionym ubraniem bolało mnie kilkanaście skaleczeń. Próbowałam się podrapać, ale kiedy dotknęłam skóry pod pachą, poczułam wbite w nią kawałki szkła i wzdrygnęłam się, czując wstręt do własnego ciała.

Wynajęłam na godzinę komputer w całodobowej kawiarence internetowej wśród ludzi usiłujących rozmawiać przez Skype'a z matkami na Tajwanie, cierpiących na bezsenność fanów zakupów oraz milczących osobników ściągających porno.

Godzina spędzona przy komputerze przyniosła mi trzysta euro, które wypłaciłam w najbliższym bankomacie.

Kupiłam za jedno euro hot doga u sprzedawcy z wózkiem, nad którym unosiły się obłoki pary. Dołożył mi dodatkową cebulę i zawołał:

– Wczynie dziś pani wstała! Gorąca noc, co?

– Wielki Boże, już rano?! – odparłam.

Kupiłam za dwieście pięćdziesiąt euro niewielki laptop.

Usiadłam w najdalszym zakątku najciemniejszej kawiarni, jaką zdołałam znaleźć, walcząc z pokusą szukania nowego ciała. Postanowiłam znosić niewygody ze stoickim spokojem i wsunęłam do gniazda komputera jedyną rzecz, która wcześniej utrudniała mi przesiadki – pamięć USB lekko zaplamioną rzygowinami.

*

Co można powiedzieć o organizacji, która nadała sobie nazwę Aquarius?

Gdyby zabezpieczała swoje dane równie dobrze jak członków, chyba nie miałabym żadnych szans.

Mejle, foldery, zdjęcia, konta, informacje personalne – na przeczytanie wszystkich dokumentów zdobytych przez złośliwe narzędzia Spunkmastera¹³ nie starczyłoby mi dnia, a nawet tygodnia.

Większość była banalna.

Nawet tajne organizacje morderców potrzebują zapasów papieru toaletowego. Nawet zabójcom kończą się gumki recepturki.

Próbowałam wyszukać nazwisko Nathan Coyle i znalazłam mejl oznakowany małą czerwoną chorągiewką.

Treść brzmiała: *Skompromitowany*.

To wszystko.

Wpisałam do wyszukiwarki imię *Kepler*.

Znalazłam ten sam plik, który Coyle zabrał ze sobą do Stambułu, z jednym uzupełnieniem. Teraz na początku dokumentu znajdowało się zdjęcie Coyle'a, nie Josephine.

Wypróbowałam inne imiona.

Hekuba.

Blisko trzydzieści fotografii i nazwisk z minionych czterech i pół roku. Ostatnie zdjęcie przedstawiało kobietę w chustce, z przekrzywioną głową, z dziurą od kuli w czaszce i drugą w szyi, leżącą na schodach na Senefelderplatz. Hekuba wskoczyła w ciało tej kobiety w czasie ucieczki, po czym po jedenastu sekundach zginęła od strzałów grupy pościgowej.

Kolejne nazwiska, kolejne twarze.

Guanyin, zabita w skórze mężczyzny, który oddał życie, by zmasakrowane ciało Eugene'a mogło dalej istnieć.

Nazwiska prowadziły do kolejnych nazwisk: pseudonimów, których nie znałam. Niektóre nie były mi obce. Marionette, otruty w Petersburgu. Huang Li, zastrzelony w Tokio. Karol Wielki, który, gdy zdał sobie sprawę, że jest ścigany, ukrył się w ciele siedmioletniego chłopca i oznajmił: „Nigdy mnie nie dopadniecie”. Nie zabiją mnie, nie zamordują dziecka. W pewnym sensie miał rację, ponieważ członkowie Aquariusza przez wiele tygodni prowadzili eksperymenty na żyjącym chłopcu – wycinano mu mózg kawałek po kawałku w poszukiwaniu cudownego sposobu, który uratuje ciało przed widmem. Serce dziecka stanęło, gdy znajdowało się w śpiączce, jednak członkowie Aquariusza nigdy się nie dowiedzieli, czyj umysł naprawdę umarł, i anonimowego chłopca pochowano na polu pod Sewillą.

Aquarius nie bał się eksperymentować na widmach.

Ani gospodarzach.

Może Hekuba miała rację, gdy przed wielu laty nie chciała jeść moich makaroników?

Janus.

Dossier było grube, lecz pełne luk. Zaczynało się w 1993 roku od

spekulacji na temat poprzedniej działalności Janus, w większości mylnych. Brakowało danych o latach 2001–2004, ale później opisywano, że Janus na dłuższy czas zamieszkała w kimś w Barcelonie. Ten ktoś był śmiertelnie chory na chłoniaka i zdumiałam się, jak długo tkwiła w umierającym ciele.

Najnowsze zdjęcie przedstawiało Japonkę w średnim wieku w paryskiej kafejce, z kapeluszem nasuniętym na oczy i szalikiem związanym pod szyją z powodu wiatru. Gazeta na stole pochodziła sprzed trzech tygodni.

Galileusz.

Fascynacja pokonała ostrożność. Otworzyłam plik.

Fotografie, strzępy informacji.

Twarz z 2002 roku, inna z 1984 roku. Notatka sugerująca, że Galileusz wsiadł do samolotu, lecz w czasie lotu przeskoczył w ciało innego pasażera. Twarz lekko obrócona w stronę obiektywu, cień w oknie, rachunek za lunch, wyciąg z opróżnionego konta bankowego. Edynburg, 1983 rok. Ktoś dał cynk ludziom, którzy założyli Aquarius, i prawie go dopadli. Prawie, czyli ponieśli fiasko.

Zdjęcie Coyle'a w szpitalu, rurki i bandaże. Trupy leżące na nabrzeżu portowym, a za nimi rufa statku. Czarny napis „Santa Rosa” i policjanci z całych sił powstrzymujący się, żeby nie wymiotować.

Fragmenty, zebrane części życia Galileusza. Kiedy z narastającym zdumieniem przeglądałam plik, nabrałam pewności, że prawie wszystkie elementy są błędne, z kilkoma szlachetnymi wyjątkami.

Pozostało tylko jedno zadanie.

Wpisałam do wyszukiwarki *Josephine Cebula*.

Rozdział 57

Pojechałam do Zehlendorf za trzy euro.

W coraz bardziej ulewnym deszczu szły dzieci, rozchlapując czarną wodę w powiększających się kałużach. Przechodnie odskakiwali na bok, gdy przejeżdżające furgonetki zalewały chodniki fontannami wody.

Z powrotem do spokojnego domu na cichej uliczce, gdzie nikogo nie może spotkać nic złego.

Z powrotem do Coyle'a.

Kiedy weszłam, dom był cichy, światła wyłączone, pokoje puste.

Nathan Coyle leżał tam, gdzie go zostawiłam, przykuty do zimnego kaloryfera, z głową na podłodze. Spał.

Ruszyłam powoli w jego stronę, niosąc pod pachą maleńki laptop. Pod moimi stopami zaskrzypiała podłoga i ciało się poruszyło. Otworzył oczy i instynktownie szarpnął kajdanki. Jakimś cudem knebel znajdował się ciągle we właściwym miejscu. Kiedy Coyle odzyskał świadomość i zobaczył mnie, jego oczy się rozszerzyły – najpierw ze zdumienia, a potem z wściekłości.

Ja, Alice Mair, partnerka mężczyzny, który nazywał się Nathan Coyle, usiadłam na podłodze poza zasięgiem jego nóg i uniosłam pokrywę laptopa.

Spod knebla dobiegł zduszony skowyt, uderzył piętami w podłogę.

– Chcę ci coś pokazać – powiedziałam.

Kolejny skowyt, wściekle spojrzenie, twarz pokrywająca się rumieńcem, gdy próbował rzucić się na mnie czystą siłą woli.

Włożyłam pamięć USB do komputera, zaczęłam przeglądać pliki.

– Ukradłam to Aquariusowi – powiedziałam. – Na pierwszy rzut oka to dane o kontaktach bankowych, informacje personalne, mejle, korespondencja, dokumenty. Wystarczy, by zniszczyć Aquariusą z drugiego końca świata, wcielając się w dyrektorów banków i urzędników.

Znów szarpnął kajdanki, wydając gardłowy skowyt stłumiony przez knebel.

– Ale najpierw chciałabym ci to pokazać – ciągnęłam.

Obróciłam ekran laptopa, by mógł widzieć otwierane przeze mnie pliki.

– Oto dossier istoty, którą nazywacie Galileuszem. Jest niekompletne, znacznie bardziej od innych akt, w tym moich własnych. Na przykład fotografia mężczyzny z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego roku; mógł on być Galileuszem albo nie. Oto trupy na „Milli Vra”, promie, którego pasażerowie oszaleli i zabijali się jeden po drugim w czasie nocnego rejsu. Oto fotografia... – przysunęłam ekran nieco bliżej – ...mężczyzny uważanego za Galileusza, schwytanego w dwa tysiące szóstym roku. Dżentelmen z Nowego Jorku. Zwróć uwagę na elegancki strój, modne czarne buty, wypiełgnowane paznokcie. Domyślam się, dlaczego ktoś chciałby się stać tym mężczyzną – niewątpliwie wydaje przyjęcia i chodzi do teatru na najlepsze spektakle. Ale popatrz trochę uważniej. – Puknęłam palcem w ekran. – Przyjrzyj się miejscu, gdzie szyja łączy się z kołnierzykiem. Widzisz?

Przez chwilę ciekawość Coyle’a okazała się silniejsza od dumy. Zauważył na szyi nieznanego tuż nad kołnierzykiem czerwoną plamę złożoną z popękanych naczyń krwionośnych.

– Większość ludzi bardzo wrażliwie reaguje na stan swojej skóry – sądzą, że właśnie to widzą inni – i próbują zamaskować każdą anomalię, która nie przystaje do społecznie akceptowanego ideału. W tym przypadku nie zastosowano żadnych takich środków. Co z tego wynika? Albo ten dżentelmen nie przejmuje się pozorami, co wydaje się mało prawdopodobne ze względu na staranność jego stroju, albo zmiany skórne są normalną cechą jego ciała i nie uważa ich za nic niezwykłego. Co o tym sądzisz?

Coyle, zakneblowany i skuty, nic nie sądził. Przestał się szamotać. Leżał bez ruchu, spoglądając na fotografię, którą musiał wcześniej widzieć sto razy, przedstawiającą mężczyznę uważanego za Galileusza.

Pozwoliłam mu patrzeć, po czym pokazałam następne zdjęcie.

– A to? Kobieta w wieku dwudziestu kilku lat, przepiękna, absolutnie olśniewająca. Wspaniała, prawda? Dzień w takim ciele,

godzina takiej dumy. Ale popatrz – popatrz uważnie. Zwróć uwagę na miejsce, gdzie buty łączą się z kostką. Widać plastry. Bąble i krew. Cena zapłacona za atrakcyjny wygląd, mógłbyś powiedzieć, ale ja się z tym nie zgadzam. Źle dopasowane buty są wyjątkowo trudne do wytrzymania. A twoje dossier stwierdza, że Galileusz przebywał w ciele tej kobiety przez trzy miesiące! – Szybko przerzuciłam kilka następnych fotografii, kręcąc głową. – Bąble, znowu bąble! Spójrz na to! – Kolejna fotografia, kolejna twarz. – Naprawdę myślisz, że to Galileusz? – spytałam z niedowierzaniem i uniosłam laptop, by Coyle mógł popatrzeć na zdjęcie. – Złoty zegarek, jedwabna koszula, wszystko bardzo ładne. Ale spójrz na jego twarz! Ten człowiek ma szklane oko!

Coyle skamieniał, zgarbił się, wyprostował nogi. Spokojniej pokazywałam następne fotografie, kręcąc głową i wzdychając.

– To nie Galileusz. Trzy miesiące z bąblami, dwa ze zmianami na skórze? Popatrz na tę kobietę – jest stara. Twarz ma wypielęgnowaną kosmetykami, ale jej palce są pomarszczone, ujawniają prawdziwy wiek, bo wielu ludzi dba o twarz i zapomina o rękach. Żadne widmo nie nosiłoby jej ciała dłużej niż kilka minut. Problemy z kręgosłupem, artretyzm – każdy znośny selekcjoner natychmiast by ją zdyskwalifikował. To nie materiał dla widma. Galileusz chce być kochany. Chce patrzeć w lustro i kochać swoją twarz, widzieć, że jego twarz również go kocha. Chce całować swoje odbicie, czuć dreszcz rozkoszy, gdy dotyka własnej skóry. Chce, by nieznajome rzucały mu się w ramiona, bo jest piękny, tak piękny, że kiedy się z nimi pieprzy, przeskakuje w ich ciała na moment, a potem wraca. Chce kochać wszystkich i wszystko jednocześnie, dopóki wszyscy kochają jego. Zabija wtedy, gdy patrzy w lustro i widzi tylko pogardę, więc musi zniszczyć swoją twarz. Tnie ją nożem, a potem patrzy znowu i nie widzi w niej piękna, więc jeszcze raz zabija, a potem znowu... Cóż, nie będę mówić dalej. Doskonale znasz tę historię. Dlatego powinieneś wiedzieć, że ci ludzie to nie Galileusz. Nawet gdyby byli... Tutaj...

Wyświetliłam na ekranie ostatnią fotografię, datowaną na 2001 rok. Przedstawiała kobietę siedzącą na skórzanej kanapie z koktajlem w ręce.

– Zdjęcie wykonano między listopadem dwa tysiące pierwszego

roku a styczniem dwa tysiące drugiego. Przyznaję, że w tym przypadku nie ma żadnych deformacji fizycznych i że nic nie stoi na przeszkodzie, by w niej zamieszkać, ale wiem, w kim mieszkał Galileusz w listopadzie dwa tysiące pierwszego roku. Nie w niej.

Wypowiedziawszy te słowa, zamknęłam laptop. Coyle siedział bez ruchu. Moje gałki oczne wydawały się lepkie i ciężkie.

– Aquarius poddaje widma eksperymentom. – Zdanie to spadło z mojego języka jak kropla wody. – Tortury nie mają na celu zdobywania informacji. Chodzi o sprawdzenie granic wytrzymałości. Popatrz na dossier Galileusza. Popatrz na Josephine – na jej prawdziwe dossier, nie stek kłamstw, które dali ci przeczytać. Przypomnij sobie Frankfurt i zastanów się, czy był to rzeczywiście program szczepień, czy coś zupełnie innego. Zastanów się nad danymi, które zebrali, nad kierunkiem badań, dostępnymi źródłami. Zastanów się, dlaczego zginęli naukowcy, dlaczego w tak bolesny sposób. Popatrz na moje dossier, popatrz na daty, czas, miejsca, sprawdź, czy byłam w Frankfurcie, gdy ich zabito. Popatrz na twarz Josephine na filmie z monitoringu i zastanów się, kto na ciebie patrzy. Powinieneś rozumieć, że skoro stykałam się z Galileuszem, on również stykał się ze mną. To nie pierwszy raz, gdy pojawiajemy się w tym samym miejscu. Zastanów się: komu w Aquariusie ginie czas? Ale nic nie mów. Cokolwiek się stanie, nie mów im, co odkryłeś. Teraz jesteś skompromitowany.

Wstałam.

– Idę – powiedziałam, prawie nie zwracając sobie głowy patrzeniem na niego. – Przyślę kogoś, żeby cię zabrał. Możesz zatrzymać pieniądze, laptop. Nie mogę ich wziąć ze sobą. Ale to należy do mnie. – Zacisnęłam palce na pendrivie Schwarba. – Powiedz to swoim szefom. I spytaj, dlaczego kłamali na temat Galileusza. Zniszczyli tyle widm i zabili tylu ludzi.

Końcem stopy pchnęłam ku niemu laptop, by mógł go dosięgnąć. Odeszłam.

Rozdział 58

Kiedy nosisz cudze ciało, musisz podróżować bez bagażu.
Wszystkie twoje rzeczy należą do kogoś innego.
Musisz zostawić wszystko, co uważasz za cenne.
To nie ja założyłam rodzinę.
To nie ja mam dom.
To ktoś inny, którego twarz pożyczyłam na pewien czas. Żyłam jego życiem, a gdy odejdę, on zacznie żyć moim życiem.
Pora ruszać.

Poszłam na pocztę i wysłałam swojego pendrive'a listem poleconym do skrzynki pocztowej w Edynburgu, gdzie jakiś czas temu nosiłam skórę, która nazywała się

Jakiśson,
i założyłam konto bankowe, po czym nigdy go nie zamknęłam. Bo nawet widmo musi mieć coś własnego.
Pojechałam na lotnisko.

*

Oto, jak uciekłam.
Nazywam się Alice.
Stoję w hali odlotów portu lotniczego Berlin-Brandenburg, otaczają mnie tłumy ludzi czekających na oddanie bagażu, a ja rozczapierzam palce i muskam dziewczynkę trzymającą rękę matki. Idziemy razem w stronę okienka, gdzie odprawiani są pasażerowie lecący do Aten. Kiedy patrzę na twarz matki, dochodzę do wniosku, że moje obecne ciało jest zbyt młode i że ma zbyt podkrążone oczy, bo wstało wcześniej rano, przeskakuję zatem w mamę, wyprostowaną i mającą nieco za mocno ściśnięty pasek. Podtrzymuję córkę, która lekko się chwieje, po czym wyciągam rękę i grzecznie dotykam mężczyzny stojącego za ladą na bagażu. –

Przepraszam, czy mógłby mi pan pomóc? – pytam, a kiedy się odwraca, muskam mu palcami szyję i staję się

potężnie zbudowanym bagażowym, z ramionami splecionymi na piersi i oddechem pachnącym tytoniem. Uśmiecham się do matki dziewczynki i postanawiam szybko opuścić ciało mężczyzny albo zjeść miętówkę. Maszeruję w stronę punktu kontrolnego i zbliżam się do znudzonej funkcjonariuszki ochrony lotniska, która konfiskuje wszystkie butelki o pojemności ponad stu mililitrów (zostaną skonfiskowane, choćby były puste).

– Masz papierosa? – pytam.

Obraca się, zauważa mnie, przewraca oczami, a ja chwytam ją za rękę i

wyrywam dłoń z lepkiego uścisku zdezorientowanego, potężnie zbudowanego bagażowego, prychem i mówię:

– Papierosy cię zabiją, wiesz?

Robię w tył zwrot i ruszam w stronę punktu kontrolnego, przeciskając się wśród ludzi stojących w długich kolejkach. Tłum jest gęsty i niechętnie się rozstępuje nawet przed kobietą w mundurze, przeskakuję zatem

w ciało nastolatki ze słuchawkami na uszach. Porażona strasliwym rykiem bębnow i basów, wyrywam kabel z gniazdka w odtwarzaczu. Ciągłe dzwoni mi w uszach, wyciągam dłoń i staję się zgarbionym biznesmenem, który przestępuje z nogi na nogę, niecierpliwie czekając na lot, a później

mężem, który przestał słuchać żony
i dotyka ramienia

studentki mającej przy sobie coś nielegalnego. Stoi z przodu kolejki, mocno bije jej serce, chociaż moje jest spokojne, i zastanawiam się, co chce przesmuglować, że rentgen budzi w niej taką trwogę, ale może nie pora tego sprawdzać, i kiedy strażnik przesuwają w moją stronę tacę na rzeczy osobiste, muskam jego palce, po czym

prostuję się, uśmiecham się uspokajająco do przerażonej studentki, odwracam się do koleżanki, patrzącej ze znudzoną miną na ekran rentgena, i pytam:

– Hej, która godzina?

Koleżanka na moment unosi wzrok znad monitora i mamrocze odpowiedź, a ja znajduję się po drugiej stronie lady i wskakuję w ciało kontrolera, który przed chwilą przeglądał damską bieliznę. Kobieta jest zaczerwieniona, wstydzi się różowych koronek, chociaż ja, kiedy wskakuję do jej ciała i znów pakuję torbę, uważam te rzeczy za urocze, wcale nie tak erotyczne, jak może jej się wydaje, a kiedy przechodzę w stronę obszaru dla osób, które nie mają nic do oclenia, sięgam do kieszeni i wyjmuję bilet. Okazuje się, że jest do San Francisco. Wzdycham, po czym idę poszukać kogoś, kto leci do Paryża.

Rozdział 59

Nazywam się Salome.

Tak głosi mój paszport i nic nie wiem o tej kobiecie. Zamierzałam polecieć pierwszą klasą, ale w kolejce stali dziwni ludzie i nie miałam ochoty skakać, więc pozostałam Salome. Siedzę przy oknie, dotykając kolanami oparcia przede mną, i patrzę na skrzydło, silnik i kawałek nieba.

Gdzieś zmierza w stronę Edynburga pamięć USB zawierająca archiwa organizacji o nazwie Aquarius.

Policja z Zehlendorf otrzymała informację, że w jednym z mieszkań znajduje się mężczyzna przykuty do kaloryfera. Ma zamęt w głowie, boi się.

Nie podoba mi się imię Salome, wolałabym być Amelią. Zamykam oczy, w chwili startu bezwładność wciska mnie w fotel. Nie mam na świecie nic własnego i myślę o Paryżu.

*

Słyszałam raz pewną historię w paryskiej kawiarni w suterenie, gdzie zbierali się artyści, by rozmawiać szeptem o buncie. Cicha muzyka, woń mocnej kawy i tani gin.

Opowiedziała ją kobieta nazywająca się Nour Sayegh, która przez pewien czas studiowała na Sorbonne Nouvelle i mówiła po francusku z algierskim akcentem. Miała w twarzy coś, co mnie fascynowało, budziło zachwyt, a kiedy siedziałam wśród innych studentów – jakże uwielbiam początki roku akademickiego! – zastanawiałam się, czy jej wcześniej nie spotkałam albo nie nosiłam skóry jej siostry. Kiedy w końcu zaczęła mówić, przypomniałam sobie, skąd znam jej twarz.

– Nazywam się Nour Sayegh – powiedziała. – W mojej krwi płonie ogień dzinnów.

Powolne odgłosy bębna, bo było to miejsce dla ludzi lubiących występować publicznie, dla studentów marzących o sławie i gardzących

ludźmi, którzy już ją zdobyli. Nour opowiedziała swoją historię – mówiła o podróżach po Afryce i przyjeździe do Francji, kołysząc się w rytm bębna, który tworzył niezwykle nastrój.

– Moja pra-pra-pra-pra-pra-prababka poślubiła dżinna – rzekła. – Jej mąż był bogaczem z Kairu, lecz nie kochał żony. Traktował ją jak ozdobę domu, a nie kobietę. Płakała w samotności, patrzyła na święte wody Nilu skąpane w księżycowym świetle i modliła się do starożytnych bogów, do sokoła Horusa i łagodnej Izydy, matki wszechrzeczy, by mąż spojrział na nią innymi oczami. Płakała bardzo cicho, bo obawiała się, że ktoś spostrzeże jej smutek; wiedziały o nim tylko świerszcze siedzące obok jej stóp i wiatr wiejący od morza. Aż pojawił się dżinn. Ogień pustyni, gorący wicher, przybył, pędząc w burzy piaskowej. Jego imię to tysiąc oczu bez wyrazu, *elf'ayyoun we 'ain douna ta 'beer, youharrik elqazb doun arreeh*. Jego głos to szum trzciny w bezwietrzny dzień, miecz to światło gwiazd, a oczy to żar zgasłego słońca.

Nie znamy prawdziwego imienia dżinna, ani nie wiemy, dlaczego płacz prababki zwabił go do jej domu, lecz kiedy zobaczył ją płaczącą w ogrodzie, posmutniał i przybrał postać małego chłopca o srebrzystej skórze i włosach czarnych jak heban.

„Dlaczego płaczesz, pani? – spytał. – Dlaczego płaczesz?”

„Mąż mnie nie kocha – odpowiedziała babka. – Jestem jego małżonką, muszę z nim być, ale lamentuję nad swoim losem, ponieważ widzę inne żony i wiem, że są kochane, co sprawia mi wielki ból”.

Usłyszawszy te słowa, dżinn był głęboko poruszony.

„Chodź ze mną, a będę cię kochał jak mąż” – rzekł.

„Niechaj Allah broni, bym w ogóle rozważała taką myśl! – odparła. – Jestem poślubiona mężowi i nie mogę się zgodzić, by ktokolwiek inny posiadał moje ciało! Odejdź, dżinnie, bo chociaż mówiłeś z dobroci serca, twoje słowa są plugawe!”

Zaskoczony dżinn odleciał. „Śmiertelnicy to dziwne istoty, więźniowie własnej wyobraźni – myślał. – Aby osiąść tę kobietę, muszę zostać jej mężem!”. Wypowiedziawszy te słowa, zmienił się w obłok pary i wśliznął się do pokoju męża, który spał, chrapiąc, po nocy spędzonej u boku innej żony. Dżinn wniknął przez nos w ciało męża i owinał się wokół jego serca. Kiedy nadszedł poranek, ze snu

obudził się nie mąż, tylko džinn, po czym obrócił się w stronę kobiety leżącej obok i warknął: „Idź precz, dziwko!”.

Kobieta uciekła z łóżka z płaczem, a džinn, będący teraz panem domu, poszedł prosto do pokoju mojej prababki i powiedział:

„Wybacz mi moje okrucieństwa. Jestem twoim prawowitym małżonkiem, odtąd będę cię darzył miłością i szacunkiem, na jakie zasługujesz”.

Moja babka była bystrą kobietą i zmiana, która zaszła w mężu, od razu ją zastanowiła, lecz przyrzekła mu wierność i posłuszeństwo, choć nie wierzyła w jego słowa. Mijały tygodnie i džinn okazywał jej wielkie przywiązanie, toteż zmiękło jej serce i nabrała nadziei, że przemiana męża jest prawdziwa. Modliła się o to do Allacha.

„Panie – rzekła do męża pewnej nocy – twoje zachowanie tak się zmieniło, że zupełnie nie przypominasz mężczyzny, którego poślubiłam”.

Dżinn napuszył się jak paw.

„Tak naprawdę to ty mnie zmieniłaś, zaspokoiliś moje pragnienia i uczyniłaś lepszym”.

Po tej rozmowie byli razem szczęśliwi, ale moja babka pamiętała rozmowę z džinnem, który kusił ją w ogrodzie zakazanymi rozkoszami. Patrzyła na męża i zastanawiała się. Czy to naprawdę mój małżonek, czy zwodzi mnie ognista istota z pustyni, duch zrodzony z piasków? Nawet jeśli tak było, cóż mogła począć? Istnieją różne rodzaje džinnów; niektóre chętnie płatają ludziom figle, owszem, ale dobrze traktują tych, których lubią, i Allah darzy je miłością. Pamiętajmy, że pewien džinn zawiózł w ognistym obłoku do Bagdadu głodującego księcia, a inny pomógł rannemu kupcowi dotrzeć do bram Damaszku. Pamiętajmy, że istniały dzinny, które kochały ludzi i wiernie im służyły, strzegąc matek rodzących dzieci w burzliwe noce. Zbyt łatwo obwiniamy dzinny o złe uczynki, oskarżamy o swoje nieszczęścia i zapominamy o dobroci, którą przypisujemy sobie.

„Bardzo się zmieniłeś – odezwała się znowu do męża, gdy leżeli nadzy pod drzewem pokrytym bujnymi liśćmi. – Bardzo się zmieniłeś”.

Dżinn chciał odpowiedzieć, lecz natychmiast mu przerwała.

„Mówi się, że niewinni odnajdą drogę do raju. Nie popełniłam

żadnych zbrodni, ale jeśli mam pozostać wolna od grzechu, powinnam zachować czystość. Gdyby podstępnie wykorzystał mnie duch podziemi, nie byłaby to moja wina. Ale gdyby sprawiało mi to przyjemność, stałabym się ladacznicą i wiedźmą zasługującą na napiętnowanie. Czyż nie tak?”.

Usłyszawszy te słowa, dżinn mądrze milczał, bo wiedział, co babka ma na myśli. Długo leżeli razem w chłodnych podmuchach wiatru wiejącego znad Nilu, aż wreszcie rzekł:

„Stwórca nie zabrania ci kochać tego, kogo kochasz, i być tym, kim chcesz być. Allach stworzył cię do miłości i życia, zaprzeczanie temu to sprzeciwianie się woli Boga”.

Babka przeszła dżinna wzrokiem ostrym jak grot strzały. Wniknęła w głąb jego duszy i dotarła do serca. O mało nie wyskoczył ze skóry człowieka, w którym mieszkał, lecz nagle babka uśmiechnęła się i spytała:

„A jeśli Allach wzbudził złość w innych ludziach?”.

„W takim razie musi być w tym jakiś cel” – odpowiedział dżinn.

Przebywał u boku babki przez dziesięć lat. Kochali się, nigdy nie wspominali o przemianie męża i nie zastanawiali się, jak do niej doszło. Zachowywali się jak ludzie niewinni, kochali się całym sercem i byli najlepszym małżeństwem na świecie.

Później w Egipcie wybuchła wojna i po męża prababki przyszli żołnierze, ponieważ poprzednio działał przeciwko władcom Kairu. Kiedy chwycili go za ramiona, rozwścieczony, przerażony i oszołomiony dżinn opuścił ciało, w którym mieszkał przez dziesięć lat, i zniknął w mroku nocy. Kiedy żołnierze to zobaczyli, przestraszyli się czarów, natychmiast ścięli męża i rzucili jego ciało krokodylom. Babka płakała nad zakrwawioną wodą, lecz żołnierze nazwali ją czarownicą i zabrali do więzienia, gdzie najpierw sędzia, a później święty mędrzec zarzucili jej bluźnierstwo. Wtrącili ją do najgłębszego lochu w Kairze, gdzie okrutni ludzie torturowali ją z powodu jej złych uczynków. Co noc wzywała dżinna, męża, utraconego kochanka i obrońcę, lecz nie przybył na ratunek, bo dżinny są równie zmienne jak księżyc, bojaźliwe jak morze, a jej krzyki tłumiły grube kamienne mury.

Cierpienia babki skończyły się dopiero wtedy, gdy kaci zauważyli,

że jest brzemienna. Później wielu chciało ją wtrącić na dno lochu, lecz pewien człowiek zlitował się nad nią i wykradł ją z więzienia. Zrozpaczona, pokryta krwią, szła nocą ulicami spowitymi mgłą, aż w końcu zemdląła na progu medresy, gdzie dobry imam zaopiekował się nią i ją wyleczył.

Jednak pobyt w lochu głęboko zranił serce babki i poród okazał się bolesny, wstrętny i krwawy, ponieważ rodziła dziecko dżinna, istoty stworzonej z ognia. Dziecko paliło łono matki, która nie mogła znieść jego czarodziejskiej natury. Kiedy imam ujrzał płaczącego noworodka, nie wiedział, co robić. Zamierzał oddać dziecko matce, lecz już nie żyła.

Imam, który pozostał sam z wrzeszczącym noworodkiem i trupem kobiety, modlił się do Allacha o oświecenie i nagle zrozumiał, że sam stał się dżinnem, bo jego umysł zjednoczył się z dzieckiem. Czuł przerażenie, żal i ból w małym ciele, lecz nade wszystko miłość, którą ojciec niemowlęcia darzył martwą babkę, jaśniejszą od płomieni, które ją zabiły. Doszedłszy do siebie, zrozumiał, że nie może zabić dziecka, bo choć poczęte w nieprawym związku, było owocem czystej miłości. Wychował chłopca, który z czasem stał się mężczyzną, obcował z kobietami, a te stały się moimi przodkiniami. Każda z nich miała w sobie krew dżinna, ogień pustyni i miłość do nieśmiertelnej duszy.

*

Nour Sayegh skończyła swoją opowieść, a gdy słuchacze zebrani w paryskiej kawiarni zaczęli bić brawo, siedziałam milcząco w rogu i patrzyłam w oczy potomkini Aiszy bint Kamal i Abdula al-Mu'allima al-Ninowy, a także mojej duszy.

Rozdział 60

Paryż.

Co mogę powiedzieć o Paryżu?

Kiedy Francuzom czegoś się odmawia, nie przyjmują tego do wiadomości.

Wojny, zamieszki, rebelie, rządy tworzone i obalane z regularnością epidemii zimowej grypy, straszliwa nędza i wielkie bogactwo. I przez cały czas Paryż zawsze pozostaje Paryżem, koroną Francji, miastem bulwarów, szyku i czerwonego wina.

W romantycznych filmach Paryż to Sekwana i sentymentalne rozmowy pod ciemnoczerwonymi markizami lokalnej kafejki, gdzie kelnerzy w sztywno wykrochmalonych białych fartuchach podają na srebrnych talerzykach malutkie rogaliki i szepczą filozoficzne prawdy o miłości.

W amerykańskich thrillerach Paryż to korupcja, brudne metro, gdzie apasze o mętym wzroku żują tajemnicze zioła, a potem plują na tory, śmieją się do młodych kobiet i ścigają się na bruku Montmartre'u.

Dla dzieci Paryż to piętrowe pociągi i wieża Eiffla; dla bogatych dorosłych to korki od szampana strzelające w restauracji na najwyższym piętrze wieżowca obok Notre Dame. Dla nacjonalistów – trójkolorowa flaga na Łuku Triumfalnym, podobnie jak dla historyków, choć ci ostatni patrzą na czerwień, biel i granat z nieco większą rezerwą.

Dla mnie Paryż jest piękny w maju, czerwcu i wrześniu, ohydny w sierpniu i ponury w lutym. Najbardziej czarodziejski wydaje się wtedy, gdy służby miejskie splukują brud z ulic i płyną nimi rwące potoki wody.

Dla Aquariususa Paryż był ostatnim znanym miejscem pobytu istoty znanej jako Janus.

*

Opuściłam Salome w hali przylotów portu lotniczego Charles'a de

Gaulle'a i poszłam na postój taksówek jako funkcjonariusz ochrony lotniska, który miał zamiar mnie przeszukać. Później złapałam za rękę taksówkarza, ale nie mogłam wytrzymać smrodu alkoholu, którym zionęłam, i straszliwego bólu głowy wywołanego kacem, podeszłam zatem do następnego kierowcy, wślizgnęłam się do jego ciała i ostrożnie wyjechałam z postoju, sygnalizując, że taksówka jest zajęta.

Na Autoroute du Nord trwały roboty drogowe i utknęłam w korku, co mnie rozwścieczyło. Nerwowo bębniłam palcami w kierownicę, słuchając kiepskiego europopu nadawanego przez radio. Kiedy pojawił się komunikat dla kierowców, który przerwał wyznania piosenkarza, że jego ukochana to światło, oddech, radość, pożywienie, tost posmarowany masłem, okazało się, że korek sięga aż do Bulwaru Peryferyjnego Paryża. Zasyczałam z irytacją, zjechałam z autostrady i rozpoczęłam poszukiwania dworca.

W Drancy złapałam pociąg Szybkiej Sieci Regionalnej Île-de-France, gdzie wskoczyłam w młodą kobietę z włosami ufarbowanymi na słomkowy kolor. Siedząc samotnie w rogu odrapanego wagonu, przejrzałam torebkę, by się dowiedzieć, kim jestem. Nazywałam się Monique Darriet, miałam w portmonetce pięćdziesiąt euro w banknotach i bilonie, klucz do mieszkania o nieznanym adresie, szminkę, komórkę, dwie prezerwatywy i zestaw do wstrzykiwania insuliny. Kiedy podciągnęłam rękaw, zobaczyłam bransoletkę, z której wynikało, że choruję na cukrzycę i że w razie zapaści należy natychmiast wezwać pogotowie.

W Stade de France wskoczyłam w ciało staruszka z cienkim wąsikiem. Nie był tak przystojny ani wygodny jak Monique, ale nie miałam ochoty stale mierzyć sobie poziomu cukru we krwi.

*

W pobliżu Gare du Nord lub Gare de l'Est pojawiają się tylko kretyni i desperaci. Podobnie jak na wszystkich dworcach kolejowych we wszystkich wielkich miastach świata można tam kupić lurowatą kawę i koszmarnie drogie papierosy; wszędzie czuć smród spalin taksówek czekających na postojach. Hałas, tłok i poczucie, że nikogo nic nie obchodzi – właśnie to definiuje istotę ponurych dworców

kolejowych, gdzie za żadne pieniądze nie można kupić przyzwoitej kanapki. Zaczęłam się rozglądać za hotelem dopiero w odległości piętnastu minut drogi od stacji.

W wąskiej uliczce, wzdłuż której stały zbyt wysokie domy, znalazłam masywne drzwi z wiszącym obok sznurem dzwonka, którego pociągnięcie sprawiło dużą trudność moim starczym, chudym ramionom. Właściciel wydawał się zdumiony, że ma gościa, ale uściśnęłam jego włochatą rękę, po czym zatrzasnęłam drzwi, zostawiając za nimi swojego poprzedniego gospodarza, który patrzył na mnie ze zdumioną miną.

Pozbawiony okien korytarz oświetlały gołe wolframowe żarówki – ich włókna przypominały skręcone spirale DNA. Powietrze pachniało ciepłym oddechem i lakierem do drewna. Weszłam za kontuar i wynajęłam dla siebie apartament na najwyższym piętrze. Oznaczyłam go jako opłacony z góry, zakopałam klucz w doniczce na podeście schodów, wzięłam płaszcz i wyruszyłam na miasto. Zamierzałam zjeść solidny posiłek i szukać zaginionego widma.

*

Moje obecne ciało nie czuło głodu, ale trudno się wyzbyć przyzwyczajęń i psychiczny przymus jedzenia okazał się silniejszy od potrzeby fizjologicznej. Stał przede mną parujący gulasz, obok stygła kawa, a ja obserwowałam ulicę i myślałam o Janus.

Aquarius sfotografował ją przed trzema tygodniami: była Japonką siedzącą w tej samej kawiarni z gazetą na stoliku. Wydawała się roztargniona i patrzyła w przestrzeń po lewej stronie obiektywu. Prawdopodobnie musiała przemyśleć wiele rzeczy.

*

– Przepraszam – zwróciłam się do kelnerki, kładąc na tacy suty napiwek. – Szukam przyjaciółki. Nazywa się Osako Kuyeshi. Czasem przychodzi do tej kawiarni. Widziała ją pani?

Paryż nie jest tak wielonarodowym miastem jak Londyn lub Nowy Jork. Samotna Japonka popijająca kawę zwraca na siebie uwagę. Podobnie jak jej nieobecność.

Znalazłam ją w przychodni centrum medycznego Georges-Pompidou, gdy czekała na tomografię komputerową. Wślizgnęłam się w ciało kobiety w szpitalnej piżamie i grubych skarpetach przeciwwyłakowych i spytałam:

– Czekasz na tomografię?

Potwierdziła.

– O co chodzi, jeśli wolno spytać?

– Mam torbiele – wyjaśniła. – I straciłam pamięć.

– To straszne. Ja czekam na badanie już od wielu miesięcy – jęknęłam, dotykając językiem sztucznej szczęki przyklejonej do dziąseł.

– Też mam straszne problemy z pamięcią. Jednego dnia rozmawiam w pociągu z nieznanym, a po dwóch miesiącach budzę się w cudzej sypialni w samych majtkach.

– Nie! – wykrzyknęła Osako Kuyeshi. – Pani też?!

– Tak! Szokujące, po prostu szokujące. Nie były to nawet moje własne majtki... Ale nie mówmy więcej o mnie. Niech mi pani opowie, co panią spotkało.

*

Po czterdziestu minutach wyszłam ze szpitala jako młody lekarz ze stetoskopem na szyi.

Trzy dni temu Osako Kuyeshi otworzyła oczy i nie wiedziała, gdzie się znajduje. Zniknęło pięć miesięcy jej życia. Prawie nie mówiła po francusku; pamiętała, że wcześniej była w Tokio, gdzie miała odebrać pieniądze. Lekarze nie wiedzieli, co o tym sądzić, podobnie jak mili mężczyźni, którzy zaczęli ją wypytywać, gdy czekała na konsultację u psychiatry.

– Wszystko w porządku – powiedziałam. – Jestem pewna, że wyniknie z tego coś dobrego.

– Nie sądzę – odparła. – W zeszłym miesiącu zmarł mój mąż i teraz jestem samotna. Nie spodziewam się już w życiu niczego dobrego.

Osako obudziła się w cudzym mieszkaniu.

Zaciekawiło mnie to.

Gdyby Janus musiała nagle opuścić ciało Osako, zrobiłaby to na

zatłoczonej ulicy, wśród mnóstwa ludzi, do których ciał mogłaby wskoczyć.

Mieszkanie świadczyło o planie, braku paniki.

Pojechałam do stacji metra Sèvres-Lecourbe, na południe od Les Invalides, pomnika ambicji militarnych, by szukać nowego gospodarza Janus.

Mieszkanie okazało się apartamentem wakacyjnym wynajętym przez Osako, choć nie pamiętała zawierania transakcji. Pierwsza twarz, którą widziała – młoda kobieta, zielone oczy, fioletowa chusta – była marokańską sprzątaczką mówiącą pięknie po francusku i noszącą sandały. Zawołała, że pytano ją już o stan pani Osako: najpierw robili to lekarze, a później mężczyźni, którzy zastukali do jej drzwi. Powiedziała im to samo, co mnie – że pomogła pani Osako, gdy madame się potknęła.

A później?

Sprzątaczką nie była pewna. Pamiętała potknięcie, później stała na ulicy, a madame Osako krzyczała, po prostu krzyczała. Biedna kobieta, nic jej nie jest?

– Znalazła się pani na ulicy, ale nie wie pani, jak to się stało?

– Jasne, że wiem! – zawołała. – Poszłam tam! Nie pamiętam, dlaczego tam poszłam, ale musiałam to zrobić, bo tam byłam!

Widziała pani na ulicy jakąś odchodzącą osobę?

Zabawne: mężczyźni zadali jej dokładnie to samo pytanie.

*

Gdzie jesteś, Janusie, bożku o dwóch obliczach?

Najpierw Osako, potem sprzątaczką, potem nieznajomy na ulicy.

Tyle że nie był to nieznajomy, bo wszystko zaplanowano. Janus zaaranżowała całą sytuację, a nieznajomy to...

Monsieur Petrain, mieszkający pod numerem czterdzieści dziewięć. Chcę zadać tylko jedno pytanie, które rozwiąże całą zagadkę:

– Monsieur Petrain. Jego tyłek. Czy można go nazwać „jędrnym”?

Rozdział 61

Przypominam sobie Willa, mojego zmiennika z czasów Marilyn Monroe, Aurangzeb i szampana.

Nie nosiłam jego ciała długo, bo zawarliśmy krótkoterminową umowę. Później uścisnęłam mu dłoń. Nie bał się mojego dotyku.

– Powodzenia, Will – powiedziałam.

Wyszczерzył zęby, potrząsnął moją ręką i odparł:

– Ja też życzę ci powodzenia, ja też.

Trzydzieści dwa lata później siedziałam w ciele Melissy Belvin w restauracji niedaleko Columbus, gdy do lokalu wszedł mężczyzna. Był pulchny, lecz nie gruby, a tusza wyraźnie mu nie przeszkadzała. Zamówił mocną czarną kawę i ciasto duńskie, po czym zaczął czytać „New York Post”.

Patrzyłam, jak przegląda artykuły o skandalach politycznych, korupcji, dyktatorach i ekonomii. Dotarł do końca numeru i zaczął czytać dział sportowy, studiując każdy wiersz niczym cytaty ze świętej księgi.

Po chwili podeszłam do niego i usiadłam na wysokim stołku barowym.

Zerknął na mnie znad gazety i wrócił do lektury, nie zauważywszy niebezpieczeństwa. Inni goście mogli się nam przyglądać, bo byłam piękna nawet jak na kanony tamtej epoki, nosiłam żółtą sukienkę i miałam jasne włosy.

– Jak sobie radzą Dodgersi? – spytałam.

Znów uniósł wzrok i przyjrzał mi się uważnie, po czym stracił zainteresowanie.

– Znośnie, choć na pewno mogliby się bardziej starać.

– Ciężki sezon?

– Dodgersi zawsze mają ciężki sezon. Właśnie dlatego ich sukcesy tak słodko smakują.

Powinniśmy na tym zakończyć, ale spytałam:

– Jak się miewasz, Williamie?

Szybko skupił na mnie wzrok, próbując wyczytać coś z twarzy, którą przed chwilą zlekceważył.

– Nie nazywam się William. Myli mnie pani z kimś.

– To kim jesteś?

– Chyba mnie pani z kimś pomyliła.

– Jak twoja pamięć?

Milczenie. Obejrzał mnie od stóp do głów, choć jego ciało trwało w bezruchu.

– Jezu... – szepnął. – Jezu! Popatrz na siebie! Kim ty właściwie jesteś, kurwa?

– Nazywam się Melissa.

– Jak się miewasz, Melisso, kurwa mać?

– Dobrze, dziękuję. Trochę podróżuję. A ty?

– Dobrze. Dobrze! Kurewsko dobrze! Ciągłe jesteś selekcjonerką?

Czy to... – Gwałtownie odchylił się do tyłu. – To coś związanego z pracą?

– Nie zajmuję się już tymi sprawami.

– Poważnie?

– Tak.

– Co się stało?

– Pojawiły się... trudności. Na razie jestem po prostu cudzoziemką. Spoglądał na mnie, powoli poruszając wargami jak człowiek, który chce coś powiedzieć, lecz nie może znaleźć słów. Wreszcie, nie mając pomysłu na dowcipniejszy wykrzyknik, uniósł ręce i zawołał:

– Kurwa! Masz ochotę na drinka?

*

Był starszy, miał za sobą udane życie, czas płynął wolniej niż upływające lata. W barze w pobliżu Broadwayu opowiedział mi historię Harolda Peake'a – takie nazwisko przybrał, gdy zaczął wszystko od nowa.

– Wszedłem w sport, zainwestowałem. Teraz jestem właścicielem domu w New Jersey, a mój partner... Musisz go poznać, jest fantastyczny, to cudowny facet... Mamy ogród, koszę go co niedziela,

potrafisz to sobie wyobrazić?! Koszę trawniki! Jezu, niewiarygodne!
Pamiętasz, kim byłem, kiedyśmy się po raz pierwszy spotkali?! A teraz?!

– Brzmi to znakomicie – odpowiedziałam. – Naprawdę bardzo się cieszę.

Umilkł. Nagle przestał wyglądać jak człowiek, który boi się za dużo powiedzieć.

– Kiedy straciliśmy kontakt, na pewno robiłaś ciekawe rzeczy, Melisso, czy jak tam się teraz nazywasz – wymamrotał. – Przyznaj się: kim byłaś? Powiedz!

– Nic wielkiego. Prowadzę spokojne życie.

– Nie udawaj! Jesteś... no wiesz... dlaczego nie miałybyś zostać na przykład... sama wiesz!

– Zależy mi na spokoju.

– Musisz zobaczyć mój dom. Musisz poznać Joego.

– To byłoby... miłe.

– Gdzie w tej chwili mieszkasz?

– W hotelu na Columbus Avenue, niedaleko Osiemdziesiątej Czwartej Ulicy.

– Dobra okolica, ale założę się, że nie kosisz trawników?

– Trafnie zgadłeś. Nie koszę trawników.

– Wobec tego wpadnij na kolację! W niedzielę? Masz czas w niedzielę, prawda? Nie wyjeżdżasz z miasta.

– Niedziela to idealna pora. Podaj mi adres.

*

Dom okazał się pałacem w New Jersey, świadectwem mody na architekturę z epoki kolonialnej. Partner, Joe, miał olśniewająco białe zęby i niewiarygodną opaleniznę. Doskonale jedzenie podano z meksykańskim sosem guacamole. Trawnik był idealnie przystrzyżony.

– Gdzie się poznaliście? – spytał Joe, całując mnie w oba policzki

– W Los Angeles – wyjaśnił Will. – Melissa chciała zostać aktorką w Paramount Pictures.

– Cudownie, po prostu cudownie! Ciągłe grasz w filmach, Melisso? Znałaś Harolda w jego szalonym okresie? Wyglądasz tak młodo! Na czym polega twój sekret?

– Kremy – odpowiedziałam. – Mam własną recepturę na kremy.

W domu było mnóstwo fotografii. Nawet w toalecie znajdował się oprawiony portret szczęśliwych ludzi, którzy obejmowali się za szyje. Na półkach stały rzędy pamiątek. Gipsowy model wieży Eiffla zmieniający barwę w zależności od temperatury. Pamiątkowy kubek z Santa Monica, pluszowy rekin wygrany na jarmarku w Vermont, kapelusz, który Joe podał Willowi, gdy się poznali – wiatr zerwał mu go z głowy i podniósł go jego przyszły kochanek. Wspólnie zakupiony widok Rhode Island, gdy chcieli ozdobić puste ściany pierwszego mieszkania. Pokazali mi każdy przedmiot, opowiedzieli każdą historię.

– To wspaniałe – odrzekłam. – Na pewno czujecie się jak szczęściarze.

– Boże! – odparł Joe. – To była ostra jazda, naprawdę ostra!

Za kwadrans szósta po południu Joe pojechał do kościoła potężnym wozem terenowym, a ja zastałam z Willem. Piliśmy porto i jedliśmy ser w ogrodzie na tyłach domu.

– Stworzyłeś sobie wspaniałe życie – powiedziałam, słuchając szelestu bukowych liści i krzyków dziecka w ogrodzie sąsiadów. – Na pewno jesteś z siebie dumny.

Will milczał. Zerknęłam na niego. Dłoń trzymająca kieliszek zbielała i spoglądał na zachodzące słońce.

– Dumny? Chyba tak. Zrobiłem to, co należy zrobić. Zdobyłem pracę, dom, męża. Chodzę do dentysty, czyszczę podłogi, sadzę rośliny w ogrodzie, jem kolacje z przyjaciółmi. Tak, jestem dumny.

Zrealizowałem amerykańskie marzenie, to twoja zasługa. Ale... nie jestem już pewien, czy należy być dumnym z amerykańskich ideałów. Człowiek patrzy, jak młodzi chłopcy wracają z Wietnamu, śledzi aferę Watergate, widzi, jak Rosjanie wycelowują w nas rakiety, a my w nich, i myśli... Tak, moje życie to ideał. Ale to cudze wyobrażenie o ideale. Ktoś kazał mi czuć dumę i jestem dumny, ale ta duma... nie jestem przekonany, że jest naprawdę moja.

– Co wolałbyś robić?

– Kurwa, co za pytanie?! – jęknął. – Skąd mam wiedzieć, co wolałbym robić, skoro nigdy tego nie robiłem?! Żebrałem. Klęczałem na ulicy na swoich pieprzonych kolanach i żebrałem, więc wiem, czego nie

chcę robić. Wiem, że to życie jest lepsze – do tego stopnia lepsze, że nawet nie wydaje się tym samym życiem. Wiem, że to, co zdobyłem, jest wspaniałe, bo wszyscy mi to powtarzają, ale skąd ja sam mam o tym wiedzieć? Skąd mam wiedzieć, że jestem lepszy od chirurga, który ma ręce powalane krwią? Albo od żołnierza, polityka, aktora, nauczyciela, kaznodziei? Skąd mam, kurwa, wiedzieć, że moja wiara we wspaniałość własnego życia nie jest tylko kłamstwem, które sobie powtarzam, by usprawiedliwić wielką pustkę? W życiu nie ma dość czasu, by się przekonać, czy inni ludzie mają lepiej, bo żeby się o tym przekonać, najpierw trzeba wszystko stracić. W dawnych czasach nasi ojcowie marzyli, by świat był wolny i bogaty, chcieli zbudować idealne społeczeństwo, i w jakiś sposób zmieniło się to w marzenie o większym samochodzie, większych oknach od frontu i o tym, by sąsiedzi byli biedniejsi. Wszyscy to kupili, cała pieprzona Ameryka, kupiliśmy to i jesteśmy dumni, bo mamy przystrzyżone trawniki, nasze domy są ciepłe zimą i chłodne w lecie i... kurwa! – Odstawił z trzaskiem kieliszek, rozchlapując porto, które pociekło po szkle krwawymi strugami. – Jesteśmy szczęśliwi, bo jesteśmy zbyt przerażeni, zbyt leniwi, by myśleć o czymś lepszym!

Milczenie.

Dziecko bawiące się za płotem ucichło. Will puścił kieliszek, odrywając od niego po kolei palce, i odwrócił się w moją stronę, pochylając swoje masywne ciało.

– Mogę cię o coś spytać? Mogę spytać... Co o tym sądzisz? – Skinął ręką, wskazując dom, ogród. – Podoba ci się? Możesz zostać, kim chcesz, kurwa, więc musisz mieć o tym jakieś pojęcie. Powinniśmy być dumni? – Nie odpowiedziałam. – Powiedz, ty sama, jak się tam naprawdę nazywasz. Powiedz!

Odsunęłam kieliszek na bok.

– Tak – rzekłam w końcu. – Stworzyłeś coś pięknego.

– Prawda? Możesz w każdej chwili zostać miliarderem! Możesz zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych, nie zwracając sobie głowy kampanią wyborczą. Czy to, co mamy, to tak wiele?

– Tak. Masz coś... godnego pozazdroszczenia. Nie tylko rzeczy. Każdy może kupić wiele przedmiotów. Twój dom jest pełen opowieści.

Wszystko jest opowieścią. Musisz je przechowywać.

– I to wystarczy?

– Tak. – Wzdrygnęłam się, gdy wypowiedziałam to słowo. – Kochasz Joego?

– Jasne, że go, kurwa, kocham! – Uwierzyłam w te słowa: w jego oczach pojawił się ból, a w głosie trwoga. – Kocham go. Ale skąd wiem, że go kocham? Skąd mam wiedzieć, że to miłość? Nie mam z czym tego porównać, żadnego sposobu, aby przekonać się, jak jest naprawdę. Czy to wystarczy? Jak żyjesz, kim jesteś, co wystarczy?

– Nic. Nic nigdy nie wystarczy. Niezależnie od tego, kim jesteś, zawsze można mieć coś więcej. Mógłbyś to zdobyć, gdybyś był kimś innym.

– Spraw, żebym był taki jak ty. – Wypowiedział te słowa tak szybko, że ledwo je usłyszałam. Powtórzył je z błyszczącymi oczyma, trzymając palce między kolanami. – Spraw, żebym był taki jak ty!

– Nie.

– Dlaczego?

– Nie wiem, jak to zrobić.

– Daj spokój...

– Nie. Nie wiem, jak to zrobić.

– Daj spokój! – syknął. – Daj spokój. Błagam! Błagam cię!

Starzeję się, staję się powolny, tkwię w tym domu i wiem, wiem, kurwa, że w nim umrę, przeżywając to życie. Spraw, żebym był taki jak ty!

– Nie.

– Melisso...

Wstałam gwałtownie, on też.

– Twoje życie jest piękne. Czyste, ciepłe, nudne i piękne.

Zbudowałeś coś z niczego, a teraz chciałbyś wszystko zniszczyć. Nie, nie o to chodzi – to by ciebie zniszczyło. Gdybyś stał się taki jak ja, straciłbyś nie tylko to, czym jesteś, ale także to, kim jesteś. Wszystko, co cię definiuje, od pieprzyka pod pachą do przyjaciół, którzy odwożą cię do domu, gdy jesteś zbyt pijany, by usiąść za kierownicą, wspomnień, opowiadanych anegdot, ubrań, które nosisz, i ludzi, których kochasz, to wszystko przestanie istnieć. Będzie własnością kogoś innego. Cudze anegdoty. A ty będziesz tylko... publicznością... obserwatorem życia,

którego nie możesz przeżyć. Nie pomogę ci. Nie mogę tego zrobić i nie zrobię.

Zrobiłam krok – nie wiem dokładnie, w którą stronę, może do łazienki albo drzwi – a Will rzucił się do przodu i chwycił mnie za ramię.

– Melisso..

Skoczyłam.

Instynktowna panika, ruch ciała. Skoczyłam i stała przede mną kobieta, która mrugała w oszołomieniu oczami. Zakląłam, chwyciłam ją za rękę i skoczyłam z powrotem, nim zdążyła krzyknąć. Wykorzystałam chwilę niepewności, odwróciłam się i odeszłam. Moje obcasy stukały na kamieniach ścieżki, gdy zmierzałam do furtki.

Dogonił mnie dopiero na ulicy.

– Melisso!

Zatrzymał się za moimi plecami. Miał nieszczęśliwą minę i zgarbione plecy.

– Nie mogę ci pomóc. Nie wiem jak.

– Proszę... – szepnął, a w jego oczach pojawiły się łzy. – Proszę...

– Wszyscy chcą być kimś innym. Właśnie dlatego starają się zrobić w życiu coś wielkiego. W życiu, które mogą przeżyć.

Odeszłam, a on zrobił za mną kilka kroków.

– A ty? – spytał. – Co ty robisz?

– Nic – odpowiedziałam. – Nic.

Zostawiłam go. Najpierw szłam, a potem biegłam.

Doskonale biegam.

Rozdział 62

Paryż.

Monsieur Petrain, w dzień adwokat, w nocy Adonis o jędrnym tyłku. Kiedy zobaczyłam go po drugiej stronie ulicy, wiedziałam, że spodobałby się Janus. Bawełniana koszula osłaniała ciało pełne napiętej energii. Muskularne ramiona prawie rozsadzające rękawy, kwadratowa szczęka i mętne oczy. Bardzo przypominał banalne ucieleśnienie próżności, które pamiętałam ze swoich kontaktów z Janus.

Nie była sama.

Widma lubią towarzystwo, a kiedy wskakują w nowe ciało, z łatwością kupują przyjaciół, choć inni muszą się o nich starać.

Tego dnia Janus kupowała towarzystwo za pomocą wina Côtes du Rhône, podawanego przez kelnera o zaciśniętych wargach. Siedziała przy czteroosobowym stoliku w tylnej części bistra, które specjalizowało się w kaczkach i cassoulet ze śliwkami liczi podawanym na boćwinie pokropionej sokiem z indywidualnie wybranych śliwek sycylijskich. Cena była tak wysoka, że dania nie umieszczono w menu, a jeśli ktoś o nie spytał, prawdopodobnie nie zdołałby zapłacić rachunku.

Nad Paryżem zachodziło słońce, a ja siedziałam w pełnej godności kobiecie ze staroświeckim pince-nez na końcu nosa. Miałam w torbie smartfon, na palcach mnóstwo brylantów, jadłam małże w kremie cytrynowo-czosnkowo-pieczarkowym. Patrzyłam na dwór Janus: pięknego, bogatego mężczyznę otoczonego adorującymi go ludźmi.

Nie tylko ja ją obserwowałam.

Paryż to stolica współczesnej mody, jednak gumowy kombinezon ochronny zanadto rzucałby się w oczy. Dlatego agenci Aquariusza ubierali się w sposób bardziej dostosowany do okoliczności: nosili koszule z długimi rękawami, spodnie, rękawiczki, wysokie golfy, kapelusze nasunięte na oczy, a pod spodem kombinezony z lycry, wyglądające tu i tam spod ubrania. Przypominali trochę Eskimosów przygotowanych do srogich mrozów: widać było tylko oczy, policzki

i usta. W zimie takie stroje mogły się wydawać normalne, lecz nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak polują na widma w lecie.

Dwóch agentów, może odważniejszych od swoich towarzyszy, siedziało przy oknie bistra. Jedli przystawki (prawdopodobnie na koszt organizacji) złożone z koziego sera na ciepło, prażonych orzeszków i krewetek w maśle. Nosili koszule z długimi rękawami i można było się domyślać, że pod pachami mają kabury, a całe ich ciała są okryte kombinezonami z lycry.

Naturalnie Janus nie miała o tym wszystkim pojęcia.

Po co się rozglądać, skoro niczego się nie podejrzewa?

Gromki wybuch śmiechu przy stoliku Janus świadczył o tym, że przed chwilą opowiedziano wyjątkowo zabawną anegdotę. Uczestnicy spotkania raczyli się astronomicznie drogim burgundem, którego słodycz podsycala poczucie humoru i pozwalała docenić dobre żarty. Położyłam na stole dwadzieścia euro, wzięłam laskę i torebkę i wyszłam z restauracji. Moje obecne ciało miało niedawno operację prawego biodra i chodzenie sprawiało mi lekki ból.

Przed restauracją zauważyłam niebieską furgonetkę zaparkowaną – niezgodnie z przepisami – po przeciwnej stronie ulicy. Obok latarni stał palący papierosa mężczyzna w kapeluszu nasuniętym na oczy i koszuli z długimi rękawami. Na tle wieczornego nieba widać było ciemne sylwetki dwóch mężczyzn, którzy przycupnęli za kamienną balustradą na dachu, splótszy ramiona z powodu zimna.

Pokużykałam kilkaset metrów, po czym się potknęłam i wsparłam na ramieniu przechodzącego biznesmena z teczką. Znalazłszy się w jego ciele, natychmiast się odwróciłam i podtrzymałam szacowną staruszkę stojącą obok mnie, by nie upadła.

– Wszystko w porządku, proszę pani? – spytałam. Grzeczność nie jest jeszcze w zaniku.

Dwukrotnie obeszłam kwartał ulic w nieco wygodniejszym ciele, za każdym razem sprawdzając, co się dzieje z Janus, aż wreszcie znalazłam osobę, której szukałam: strażniczkę miejską w wieku trzydziestu kilku lat. Wyglądała, jakby pochodziła z Kambodży lub Laosu, i groźnie wykrzywiła wargi.

Jestem Doris Tu, pilnuję porządku na ulicach.

Bolał mnie prawy bark i powinnam szybko sprawić sobie okulary, ale szanse szybkiego znalezienia innego strażnika miejskiego wydawały się niewielkie, nawet na ulicach Paryża, więc pogodziłam się z losem.

Mrużąc oczy, by lepiej widzieć, podążyłam z powrotem w stronę restauracji, w której Janus raczyła się *crème brûlée*, trzymając rękę pod sukienką najbliższej towarzyszki.

Przeszłam przez jezdnię i ruszyłam w stronę niebieskiej furgonetki. Miała ciemne szyby i wyłączone światła. Zastukałam w okno kierowcy.

Wyobraziłam sobie, że mężczyzna siedzący za kierownicą tłumi ordynarne przekleństwo. Opuścił szybę. W mroku pojawiła się głowa z rozczochranymi włosami, bo prawdopodobnie ściągnął przed chwilą kominiarkę całkowicie zakrywającą twarz. Mankiety wciśnięte pod rękawiczki, spodnie wsunięte w skarpetki, pistolet, z braku lepszego miejsca, w kieszeni marynarki – nie ulegało wątpliwości, że to członek Aquariususa. Mógł być dobry w walce, ale na pewno nie miał pojęcia o przepisach ruchu drogowego.

– W tym miejscu jest zakaz parkowania! – warknęłam po francusku. – Od piątku do poniedziałku od szóstej rano do dziesiątej wieczorem nie wolno się tu zatrzymywać!

– To samochód dostawczy... – wybełkotał. Za jego plecami zatrzeszczała podłoga, gdy siedzący w furgonetce mordercy próbowali nie oddychać.

– Zakaz postoju! – rzuciłam. – Otrzyma pan mandat. Proszę o prawo jazdy!

Opadła mu szczęka.

Jestem Doris Tu, kobieta pragnąca spełnić swój obowiązek zawodowy.

Próbowałam się nie roześmiać.

– Prawo jazdy! – powtórzyłam, pstrykając mu palcami przed nosem.

Co ma zrobić tajny agent pod koniec dnia pracy? Zastrzelić strażniczkę miejską?

Podał mi prawo jazdy.

Wyjęłam z kieszeni długopis i zapisałam kompletnie zmyślane dane w notatniku Doris Tu, trzymając go pod odpowiednim kątem, by

kierowca furgonetki nie spostrzegł rzucającej się w oczy różnicy między moim charakterem pisma a poprzednimi notatkami.

– Sto dwadzieścia euro! – warknęłam i podałam mu mandat przez otwarte okno. – Osiemdziesiąt, jeśli zapłaci pan w ciągu czternastu dni.

– Mogę zapłacić teraz?

Jestem biurokratką służącą dobrym paryżanom.

– Nie! Teraz musi pan natychmiast odjechać!

– Ale przecież dała mi pani mandat...

– Proszę jechać! – prawie krzyknęłam. – Inaczej wezwę policję!

Jestem strażniczką miejską. Drżycie przed moim gniewem.

Ruszył.

Kiedy furgonetka odjeżdżała od krawężnika, ja również odeszłam majestatycznym krokiem.

Za rogiem wbiegłam do najbliższego sklepu, chwyciłam za rękę pierwszą mijaną osobę

i z irytacją spostrzegłam, że mam trądzik. Szczególnie piekła mnie skóra nad lewą brwią, ale musiałam się z tym pogodzić, nie mogłam być wybredna,

po czym wróciłam do Janus w ten sam sposób.

Weszłam prosto do restauracji, gdzie przed kilkoma minutami dystyngowana dama obwieszona brylantami jadła małże w śmietanie, zbliżyłam się do stolika, przy którym siedziała Janus i wykrzyknęłam:

– Monsieur Petrain! Morgan nie żyje!

Janus, przyciskająca udo do uda jednej ze swoich towarzyszek, uniosła na mnie wzrok. Na jej twarzy zaskoczenie walczyło z irytacją, lecz w końcu zwyciężył profesjonalizm widma.

– Morgan?! To okropne!

Widma kłamie. Właśnie dlatego mamy tylu przyjaciół.

– Wysłano mnie, żebym cię natychmiast odszukała!

– Cóż, tak, domyślam się – mruknęła, dotykając kciukiem krawędzi banknotu o nominale pięćdziesięciu euro.

– Morgan? – spytała kobieta siedząca na lewej nodze Janus. – Co to za Morgan?

– Mój stary przyjaciel – odpowiedziała prędko Janus. – Jak to się stało? – dodała, przez cały czas pocierając kciukiem banknot.

– Płuca – odparłam. – Lekarze zawsze mówili, że Michael Morgan nie dożyje pięćdziesiątki. Możesz iść?

W końcu Janus zrozumiała, choć nie była tego dnia najmocniejsza w dedukcji.

– Naturalnie – rzekła. – Naturalnie. Zapłacę rachunek i zaraz do ciebie przyjdę.

*

Trzy minuty później szliśmy pod czerwonymi markizami, obok łuszczących się okiennic w wąskim paryskim zaułku.

– Kim jesteś? – spytała Janus.

– Ile widm przedstawiłaś Morganowi?

– Co tu robisz? – syknęła.

– Powinnyśmy znaleźć jakieś zatłoczone miejsce. Musimy się przesiąść.

– Dlaczego? Dopiero niedawno skakałam...

– Jesteś śledzona. Depcze ci po piętach organizacja o nazwie Aquarius. Tropią cię od madame Osako przez sprzątaczkę do monsieur Petrain. Namierzyłam cię w ten sam sposób. Zyskałyśmy dzięki temu kilka minut, to wszystko.

Lekkie skrzywienie warg.

– Dlaczego to robisz?

– Zabili Hekubę, Guanyin, innych. Nazywają mnie Kepler. Mają grube dossier na twój temat, moja teczka to kłamstwa, a akta Galileusza są fałszywe.

– Kim jest Galileusz?

– Miami. Galileusz nas zabił. Chodź, potrzebujemy tłumy.

Rozdział 63

Pamiętam Miami.

Listopad 2001 roku.

Według dossier Galileusz był wtedy piękną kobietą o kasztanowych włosach. Nie musiała nosić szpilek, by efektownie chodzić, ani używać szminki, by mieć piękne wargi. Nie wiem, kim naprawdę była ani gdzie w tym czasie przebywała, lecz nie miała nic wspólnego z Galileuszem.

*

Było dziwnie zimno jak na tę porę roku. W końcu zaczęłam nosić na dworze lekki płócienny żakiet. Ludzie siedzący na plaży rozmawiali, zamiast pocić się milczeniem w straszliwym skwarze, jak zwykle na Florydzie.

Byłam Carlą Hernandez, prokuratorem okręgowym. Zająłam ciało ze względu na mieszkanie. Z trzynastego piętra wieżowca w Miami miałam wspaniały widok na całe miasto. Po prawej stronie buchał zielenią park Oleta, plaża znajdowała się w odległości piętnastu minut drogi, a w łazience czekało jacuzzi z czarnego marmuru. Za wszystko płaciły kartele narkotykowe, które miałam ścigać.

Kiedy nagle podarowałam dużą część swoich życiowych oszczędności organizacjom charytatywnym pomagającym ofiarom przestępstw, mój księgowy wpadł w zdumienie (szybko zrezygnowałam z jego usług, gdyż straciłam do niego zaufanie), po czym zaczęłam otrzymywać liczne zaproszenia na kolacje od ludzi mających nadzieję, że skorzystają na mojej filantropii. Pieniądze kupują przyjaźń nawet najszlachetniejszych.

Powoli zmieniałam styl życia swojego ciała: zerwałam z jednym z przyjaciół, wyłączyłam telefon, wypiałam w barze drinka z nieznajomym, uprawiałam jogging na plaży, dałam prezent dozorczyńni na parterze.

Czułam się coraz lepiej, gdy usłyszałam głos:

– Uwielbiam ciało, które nosisz.

Byłam działaczką zbierającą fundusze dla organizacji charytatywnej zwalczającej korupcję. Mogłam dzięki temu uczestniczyć w przyjęciach, dostarczało mi to dreszczyku emocji, a poza tym było zabawne. I nagle pojawiła się obok mnie Janus w olśniewającej sukni z tafty.

Musiała to być Janus.

Nikt inny nie doprowadziłby sobie zębów do takiej białości.

Nikt inny nie ośmieliłby się nosić takich długich polakierowanych paznokci, tak głębokiego dekoltu i tak wysokich obcasów przy tak szczupłych nogach.

Nikt inny by się nie domyślił, że nie jestem naprawdę Carlą Hernandez.

– Kochana! – zawołała, ujmując mnie za ramię. – Jestem w Miami od dziewięciu miesięcy i Carla Hernandez to wyjątkowo perfidna suka. Królowa suk, jej śmiech przypomina szczekanie psa. A ty... – stuknęła mnie kieliszkiem w ramię – ...z pewnością nie jesteś Carlą Hernandez. Jak się masz, kochana? Jak leci?

– Cóż... – odpowiedziałam. – Panno...

– Nazywam się Ambrosia Jane. Jeśli kiedyś spotkam swoich rodziców, zrobię im awanturę z powodu imienia.

– Co się stało z Michaeliem? Michaeliem Morganem?

Janus skrzywiła się lekko i odpowiedziała głosem cichszym niż wcześniej:

– Czasem pora na zmianę. – Później znów obdarzyła mnie olśniewającym uśmiechem, zbyt promiennym, by był prawdziwy: – Słyszałam, że wycofałaś się z interesów?

– Masz na myśli to, że przestałam być prokuratorem okręgowym?

– Nie. Że przestałaś być selekcjonerką. Wielka szkoda, miałaś do tego talent.

– Czasem pora na zmianę.

Wybuchnęła śmiechem, który zabrzmiał słabo i fałszywie, jak brzęk tłuczonego szkła.

– Mam nadzieję, że czymś się zajmujesz na emeryturze.

– Ja... Tak, zajmuję się. Próbuję różnych rzeczy.

Wyskubane brwi unoszące się z troską.

– Dobrze się czujesz, kochanie? – szepnęła. – Miałaś... złe doświadczenia?

– Wszystko w porządku? A ty?

– U mnie też wszystko w porządku.

– Doskonale. To dobrze.

Milczenie. Spoglądała mi w oczy. Odwróciłam wzrok. Dotknęła dłonią zgięcia mego łokcia. Dwie kobiety w sali pełnej nieznanym, całkowicie obce.

– W ciągu ostatnich trzydziestu lat dbałam o swoje ciało, wiesz? – szepnęła. – Ćwiczenia, dieta, gra w golfa... Przede wszystkim golf. Rezygnacja z pracy była... frustrująca. Ale przynajmniej teraz nie muszę dbać o figurę. Jeszcze trochę szampana?

– Dziękuję.

– Nigdzie nie chodź – powiedziała.

*

Stań na balkonie z widokiem na Miami.

Sznury samochodów, żółte reflektory z przodu, czerwone światła stopu z tyłu, wściekle mrówki zmierzające do mrowiska.

Popatrz w dół.

Wybierz ciało.

Pierwsze lepsze.

Jako selekcjonerka wybierałam ciała starannie. Piękne, bogate, popularne, kochane. Rozbierałam ich życie na części i sprawiałam, że stawały się moje.

Więcej troski, mniej zręczności.

Patrz przez ściany. Widzisz siedem milionów ludzi, którzy odgrywają swoje życie w taki sposób, jakby ich historie i wspomnienia stanowiły definicję wszechświata.

W pewnym sensie to prawda.

Stoję na tarasie na piętnastym piętrze w czasie przyjęcia wydanego przez organizację charytatywną, której nazwy nie pamiętam, ale która jest strasznie, strasznie wdzięczna za przelanie na jej rachunek

większości moich oszczędności. Miami nie jest zimne, nawet w listopadzie; najchłodniejsze są wewnątrz budynków, gdzie działa klimatyzacja wdmuchująca do pomieszczeń arktyczne powietrze, a jednak mam dreszcze.

Później obok mnie pojawia się Janus. Jest piękna, młoda, niewyobrażalnie stara, beztroska, wolna.

– Jeszcze szampana? – pyta.

Nie odmawiam.

*

Kilka godzin później, gdy wschodzące słońce rozpraszało cienie w mojej sypialni, Janus przewróciła się na bok i powiedziała:

– Rak.

– Co takiego?

– Ja, to znaczy Morgan... Zachorowaliśmy na raka płuc.

– Przykro... przykro mi to słyszeć.

– Guz rozwijał się powoli. Był duży, ale stabilny. Nie dawał przerzutów. Lewe płuco. Miałam znakomite ubezpieczenie medyczne. Moim zdaniem przeżyje.

– Miałaś rodzinę.

Mogłam nadać temu zdaniu pytającą intonację, ale nie miało to sensu. Odpowiedź była jasna, oczywista, znana.

– Żonę, dwie córki. Elbę, Amber. Obie są już dorosłe. Śpieszyłam się. Ty i ja zawsze się śpieszymy. Leczenie to chemioterapia, radioterapia, w końcu operacyjne usunięcie guza. Przeszłam radioterapię... i wszystko było w porządku. Moja żona Paula bardzo mnie wspierała. Była dzielna. Zachowywała się, jakby nic się nie stało; właśnie tak należy postępować, gdy... to się pojawia. Kiedy dzwonili ze szpitala, natychmiast pojawiała się u mojego boku. Później zaczęły mi wypadać włosy, miałam mdłości, skurcze żołądka, nóg. Krwawiły mi dziąsła, bolały oczy, było mi gorąco, miałam zawroty głowy i czułam się coraz gorzej. Ból, którego doświadczałam... Czy uwierzysz, że gdy byłam Morganem, chodziłam do dentysty? Ale mdłości... Byłam uwięziona w umierającym ciele, wiedziałam, że nie mogę nic zrobić, moje własne ciało zatruwało mnie od wewnątrz... To było... Paula

trzymała mnie za rękę i... Nie miałam zamiaru, to się zdarzyło tak szybko. Byłam Morganem, a potem leżał na łóżku obok mnie, wypadały mu rzęsy i krzyczał, wrzeszczał: „Kim pani jest? Kim pani jest? Co się dzieje?” – tak głośno, że przybiegła Elsa. Przyszła do ojca. Chciała mu pomóc przez to przejść, a ja byłam taka... Nie zamierzałam skoczyć. Wszystko spieprzyłam. Kiedy Elsa przeszła przez drzwi i zobaczyła mnie – zobaczyła Morgana – nie poznał jej. Nigdy nie widział jej twarzy. Wszystko się skończyło. Chwila, sekunda, ułamek sekundy i... – Urwała i odwróciła twarz. Czekałam. – Moja żona. Paula. Okłamała mnie. Miała artretyzm, strasznie bolały ją ręce. Mówiła, że wszystko w porządku, że nie powinienem się martwić – proszę, zażyj jeszcze jedną tabletkę. Ale kiedy zamieszkałam w jej ciele, palce... zginając je, czułam ból w łokciu, w szczęce, coś nie do zniesienia. Okłamywała mnie, gdy przynosiła mi jedzenie i trzymała mnie za rękę w ciemności. Moja żona mnie okłamywała.

Janus bezgłośnie płakała, drżały jej plecy, opuściła głowę.

*

Później wzeszło słońce i powiedziałam:

– Przestałam być selekcjonerką.

Janus siedziała przy oknie, jedząc tost z miodem.

– W Edynburgu doszło do afery – ciągnęłam. – Transakcja się nie udała. Myślałam, że... znam to widmo. Słyszysz się różne plotki, ale człowiek nigdy nie jest zupełnie pewny, nim sam tego nie doświadczy. Sprzedałam ją. Przekazałam dane na jej temat pewnym ludziom.

– Jakim ludziom?

– Takim, którzy zabijają widma.

– Dlaczego?

Zastanawiałam się przez chwilę, po czym wzruszyłam ramionami.

– Uważałam, że nie zasługuje, by żyć.

Janus wybuchnęła śmiechem.

*

Dwanaście godzin po odejściu Janus Ambrosia Jane trafiła na ostry dyżur. Lekarze podejrzewali wstrząs mózgu, zatrucie narkotykami lub

atak psychozy; pytali ją o czteromiesięczną utratę pamięci między wejściem do autobusu w Tampie a pojawieniem się na South Beach w jedwabnej sukni.

Po tygodniu do mojego mieszkania przyszedł list zaadresowany do Carli Hernandez. Pachniał lawendą, a podpis brzmiał: „Twoja towarzyszka podróży i przyjaciółka”.

Zawierał zaproszenie na pokład „Fairview Royale”, statku turystycznego, na którym organizowano imprezy z głośną muzyką i tanim winem. Proszę, przyjdź, jeśli możesz. Będą sztuczne ognie.

*

Słyszysz się plotki.

W 1899 roku fregata u wybrzeży Hongkongu. Statek wycieczkowy w 1924 roku, prom w 1957 roku.

„Milli Vra”, „Alexandra”, „Santa Rosa”.

Nigdy nie wierzysz, że cię to spotka.

W ten sam sposób, w jaki piękny mężczyzna w paryskiej kafejce nie spodziewa się, że przyjdą go zabić mężczyźni w kombinezonach z lycry. Po prostu nie przypuszczasz, że ktoś na ciebie poluje.

Pojechałam do portu w Miami napić się czegoś na pokładzie „Fairview Royale”.

Kiedy statek wypłynął z portu, zaczęłam szukać Janus, lecz to ona mnie znalazła.

Nosiła ciało młodej Murzynki z pulchnymi ciepłymi policzkami i ogoloną głową.

– Carla? – spytała z nutą zdziwienia. – Co tu robisz?

– Dostałam zaproszenie. Myślałam, że od ciebie.

– Niczego nie wysyłałam.

To ta chwila. Sekunda, gdy pojawia się nagła trwoga. Moment, gdy paranoja podnosi głowę i szepcze: „Bój się mnie. Przez cały czas miałam rację”. Idziesz do przodu, cofasz się, wszystko jest wyborem.

– Musimy uciec z tego statku – szepnęłam.

– Carlo...

– Musimy natychmiast uciec z tego statku!

Janus nie oponowała.

*

Jestem
uczestniczką przyjęcia, z paczką tabletek w kieszeni, oddechem
cuchnącym wódką,
kelnerką, z bąblami na stopach, ze spodniami zbyt ciasnymi
w kroku.

Jestem marynarzem w dzieciennym białym mundurze, pukam do
drzwi kabiny i mówię: Panie kapitanie? Wiadomość, panie kapitanie.

Jestem kapitanem statku i jak najszybciej steruję w stronę lądu.

Janus to mój pierwszy oficer, młody mężczyzna w getrach
z białymi guzikami. Splótł ręce na piersi i patrzy na tłum bawiący się na
pokładzie.

– To nie bomba – mówi. – Gdyby to była bomba, byłybyśmy już
martwe.

– Może chcą ograniczyć liczbę ofiar?

– Kto?

– Oni. Ktokolwiek to jest tym razem.

Zerka na mnie, a potem na ludzi tańczących w dole.

– Już to robiłaś – mruczy.

– Dwa razy.

– Może to nie pułapka?

– Wierzysz w to?

– Nie.

Kieruję statek w stronę betonowego nabrzeża, na którym stoją
płaskie metalowe baraki. Na wodzie unosi się pękaty kontenerowiec,
w górze widać nieme dźwigi.

– Kiedy dopłyniemy, natychmiast uciekaj – szepczę.

– Nie musisz mi tego mówić, kochanie.

Wzdrygam się. Pierwszy oficer nie mówi do kapitana „kochanie”.

To błąd, nieprawidłowe słowa z nieprawidłowych ust, to paskudne.

W innym czasie, w innym miejscu powiem coś Janus.

Nie dzisiaj.

Statek dobija do nabrzeża, powolny jak wół, majestatyczny jak
tłusta krowa.

Janus nie zawracała sobie głowy cumą, odczekała, aż statek zwolni do prędkości spacerującego człowieka, i skoczyła. Wyłączyłam silniki, a kiedy kadłub uderzył w nabrzeże, ja również wyskoczyłam za burtę. Wylądowałam niezgrabnie na ziemi, wygięły mi się kostki. Po chwili odzyskałam równowagę i ruszyłam dalej.

Janus biegła w stronę metalowego ogrodzenia otaczającego nabrzeże, a za naszymi plecami rozległ się okrzyk zaskoczonego kelnera, który zauważył kapitana i pierwszego oficera zeskakujących na ląd.

Pędziłam przed siebie, nie wiedząc, gdzie jestem, kierując się w stronę jasnych świateł miasta. Podążałyśmy wąską groblą, w górze wznosiły się dźwigi, żółte monstra przenoszące kontenery wielkości domów. Za płotem widać było zaparkowane samochody i niskie budynki z przybitymi do drzwi groźnymi tablicami: KONTROLA CELNA I PASZPORTOWA – PROSIMY WYKONYWAĆ POLECENIA FUNKCJONARIUSZY. Janus wyprzedziła mnie, biegła między wysokimi rzędami skrzyń, w świetle żółtych lamp sodowych, w stronę metalowej bramy i jasno oświetlonej ulicy po drugiej stronie, gdy nagle przyszło mi do głowy, że ktoś mógł nas rozpoznać dopiero wtedy, gdy zaczęłyśmy biec – wcześniej byłyśmy bezpieczne.

– Janus! – zawołałam, słysząc tupot jej stóp. – Janus!

Znajdowała się kilka metrów od bramy. Odwróciła się, by na mnie spojrzeć, i upadła.

Usłyszałam brzęczenie rozgniewanej pszczoły atakującej roztargnionego niedźwiedzia. Janus leżała na ziemi z podkulonymi nogami. Przez chwilę nie widziałam krwi, ale kiedy przycisnęłam plecy do skrzyń i popatrzyłam na ciało leżące zaledwie kilka metrów od moich dygocących kolan, spostrzegłam powiększającą się kałużę. Z początku szybko, a później, kiedy stała się duża, trochę wolniej. Krew wypływała z pleców, kula trafiła Janus w płuco i przyszło mi do głowy, nie po raz pierwszy, że widma są przewidywalne. Trzeba je zidentyfikować i wyeliminować. Ktokolwiek do nas strzelał, znał naszą naturę.

Rozejrzałam się i zobaczyłam tylko wąskie tunele między spiętrzonymi skrzyniami, ogrodzenie z siatki i bramę zamkniętą na kłódkę. Janus leżała na otwartej przestrzeni z głową przekrzywioną w moją stronę. Poruszała ustami, usiłując coś powiedzieć; na jej wargach

pojawiły się krwawe bąble. Podeszłam bliżej, ciągle przywierając plecami do skrzyń, aż znalazłam się pół metra od niej.

– Ca... ca... ca...

Dźwięki mogące być początkiem imienia.

Janus wyciągała w moją stronę lewą rękę, prawa wydawała się bezwładna. Konała, próbując oddychać zmasakrowanymi płucami. Mogłabym wziąć ją za rękę, nie wychodząc na otwartą przestrzeń, pozostając w ukryciu. Krew dotarła do noska mojego buta.

Wyciągnęłam rękę, chwyciłam Janus za nadgarstek i pociągnęłam z całej siły, wlokąc jej ciało w kałuży krwi. Po chwili zaczęła się obracać.

Rozległ się strzał i ciało Janus zadygotało. Zobaczyłam, że otwiera szeroko oczy, usiłuje złapać oddech, i poczułam, że twarz zachlapała mi krew. Janus, trafiona kulą w pierś,

przeskoczyła

do jedynego ciała, które znajdowało się w pobliżu.

Wrzasnęłam i to samo zrobiła Janus. Upadłyśmy tyłem na skrzynię, stłoczone w jednym ciele. Przycisnęłam ręce do głowy, a Janus podciągnęła kolana do naszego podbródka. Krzyczałyśmy, by uciszyć wrzask rozlegający się w uszach; krzyczałyśmy, by nie słyszeć wycia w mózgu; krzyczałyśmy, bo mikroskopijne naczynia krwionośne w oczach odrywały się od nerwu wzrokowego, kanaliki łzowe wypełniały się żelaznymi opiłkami, nos pękał od gorącej krwi, a nasze ciało wierzgało i szarpało się samo ze sobą. Próbowałam wrzasnąć:

– Janus!

lecz ciało leżące obok mnie było martwe i ktoś inny był moim gardłem, a oddech rozdzierał mi pierś.

– Nie mogę... złapać... / Ratunku! / Nie mogę przestać / nie mogę oddychać!...

Odepchnęłam się z całej siły od skrzyni i wylądowałam na czworakach. Janus usiłowała postawić mnie na nogi, lecz ugięły się pod nią kolana, a ja wrzasnęłam:

– Morderca! / Dźwig / uciekajmy / ciało! Znajdź ciało!...

Po chwili Janus udało się wstać. Po mojej twarzy ciekła krew, lała się z nosa, w którym popękały naczynia krwionośne. Poczułam

przeszywający ból w boku, gdy jakaś część mojego organizmu próbowała normalnie funkcjonować i poniosła fiasko. Mój mózg nie potrafił tego znieść. Kiedy Janus zrobiła następny krok, miałam wrażenie, że mój umysł za chwilę eksploduje, i po kolejnym kroku krzyknęłam:

– Nie mogę... oddychać! / Więc... oddychaj!

Znow się przewróciłyśmy. Próbowałam nie myśleć o nogach, skupić się na oddychaniu, na świadomym akcie wciągania powietrza do płuc. Wreszcie zdołałam zaczerpnąć tchu, a Janus, mająca zawroty głowy z przerażenia, postawiła nas na nogi, po czym odeszłyśmy od stygnących zwłok. Biegłyśmy, przewracałyśmy się, znowu biegłyśmy.

Janus biegła, a ja oddychałam. Próbowałam nie posługiwać się oczami, zalanymi krwią, ani uszami, pełnymi ryku, od którego niemal pękały bębniaki. Oddaliśmy się od dźwigu, zauważyłyśmy metalowe ogrodzenie i Janus popędziła w jego kierunku, ale zdołałam wykrztusić: „Nie!” i przewrócić nas na ziemię.

– Musimy biec / snajper na dźwigu / musimy zdobyć / potrzebujemy ciała / biegnijmy / snajper!

Przewróciłam się na bok i przycisnęłam kolana do piersi, próbując nie pozwolić Janus wstać.

– Mów / teraz! / słuchaj! / teraz! / słuchaj mnie! / To... snajper... na pewno / umiera / wiem / ciało umiera! / posłuchaj! / musimy się wydostać / posłuchaj! / Nie możemy przejść przez ogrodzenie, widziałam... baraki z tyłu / z tyłu? / kilkaset metrów / umiera! / kilkaset metrów / idźmy do baraku, wezwijmy policję / policję? / ciała z bronią / biegnijmy!

Janus postawiła mnie na nogi. Nie opierałam się, w głowie miałam czerwoną mgłę, skoncentrowałam całą wolę na bolesnych próbach oddychania, po prostu oddychania. Pozwoliłam Janus kierować resztą ciała, ramionami, stopami, a nawet decydować, dokąd zmierzamy w ciemności. Baraki służb celnych widoczne w lukach między skrzyniami przypominały szare prostopadłościany w szarej mgle, a kiedy się do nich zbliżyłyśmy, poczułam w boku gorące uderzenie, lecz biegłyśmy dalej, choć kolejne części ciała, mięśnie, organy, nerwy odmawiały posłuszeństwa.

– Biegnij! – szepnęłam, gdy zatrzymałyśmy się na końcu rzędu skrzyń. Dziesięć metrów między nami a barakiem, dziesięć metrów otwartej przestrzeni i snajper za naszymi plecami. – Biegnij!

Janus pobiegła, ja także. Pędziłyśmy przez otwartą przestrzeń, unosząc wysoko nogi. Coś uderzyło w beton obok moich pleców, trzasnęło w ścianę przed nami, ale pierwsza kula minęła nas z lewej strony, a druga z prawej. Biegłyśmy i Janus uderzyła barkiem w drzwi baraku, które ustąpiły pod naszym ciężarem, po czym wpadłyśmy do ciemnego, stęchłego wnętrza budynku, i runęłyśmy na podłogę.

Leżałam przez chwilę bez ruchu, czując krew wypełniającą usta. Janus krzyknęła, budząc mój umysł. Udało mi się utrzymać otwarte oczy na tyle długo, by zauważyć beżowy telefon wiszący na ścianie. Powoli poczołgałam się w jego stronę, mając wrażenie, że moje ręce i nogi są wykonane z ołowiu. Każdy ruch sprawiał nieznośny ból, lecz wydawało się, że Janus rozumie, co chcę zrobić – poderwała nasze ciało i pobiegła w stronę aparatu.

911.

Dzwoniło mi w uszach, miałam wrażenie, że moją twarz wypełniają bąbelki. Czułam, jak pękają w policzkach, wzdłuż szczęki, a kiedy w słuchawce rozległ się głos dyspozytora, przeszła mnie kolejna fala bólu i o mało nie wypuściłam słuchawki z zakrwawionej dłoni.

– Ratunku / umieram! / port / ratunku! / karabin / ratunku!

W okno nad moją głową trafiła kula. Janus krzyknęła i upuściła słuchawkę, a ja padłam skulona na podłogę, obejmując głowę rękoma. Przycisnęłam dłonie do czaszki, by nie eksplodowała, i wrzasnęłam do wiszącej słuchawki, która kołysała się na sznurze:

– Przeprowadźcie jakieś kurewskie ciało!

Kolejny pocisk trafił w stół za moimi plecami i nagle przyszło mi do głowy, że tym razem strzały nie są ciche, że kule nie brzęczą jak osy. Strzelano do nas nie z karabinu snajperskiego, tylko z rewolweru o dużym kalibrze. Zabójca się zbliżał.

– Idzie! – syknęłam. – On tu idzie! / o Boże / muszę uciekać / gdzie? / szybko / idzie / zbliża się / Jezu, Jezu, Jezu / posłuchaj / o Boże, Jezu, Jezu / posłuchaj, musimy...

Za późno. Janus poruszyła się i wstała.

– Nie, zaczekaj... – jęknęłam, ale wychodziła już przez wyważone drzwi i przez chwilę widziałam sylwetkę poruszającą się obok skrzyń. Stała w mdłym świetle lamp ulicznych, później mignęła obok wózka widłowego. Nagle w moją nogę uderzyła kula kalibru dziewięć milimetrów, po czym obróciłam się koło framugi i znów upadłam na ziemię.

Janus wrzeszczała przeciągle, a ja wpełzłam z powrotem do baraku, przycisnęłam dłoń do rany w w udzie, które zaczynało już drętwieć, i odetchnęłam głęboko,

aż po chwili usłyszałam krzyk Janus,

znowu odetchnęłam, tym razem z mniejszym trudem, i przyszło mi do głowy, że to koniec, śmierć w baraku w porcie w Miami, śmierć od kul obcego mordercy w obcym ciele. Biorąc wszystko pod uwagę, pomijając geografię i epokę, zawsze musiało się to tak skończyć, było to nieuniknione.

Nagle otworzyły się drzwi po przeciwnej stronie baraku.

Zobaczyłam światło latarki. Janus szarpnęła się, próbując uciec, a mój żołądek się skurczył i poczułam w ustach smak rzygowin. Latarka zbliżała się do nas, trzymał ją w ręku uzbrojony strażnik w czapce z daszkiem i rewolwerem w kaburze na biodrze. Jego twarz wyrażała szok i zaniepokojenie, uklęknął obok mnie i powiedział:

– Co do chole...

Janus zareagowała

szybciej ode mnie. Chwyciła strażnika za nadgarstek i zniknęła.

Strażnik usiadł ciężko na ziemi, jakby zmienił się w dziecko uczące się chodzić. Po chwili odzyskał panowanie nad ciałem: przestał na mnie patrzeć, spojrzał na drzwi naprzeciwko nas i natychmiast zaczął wyciągać rewolwer. Chwycił go obiema rękami i wcelował w prostokąt światła, w którym miał się pojawić morderca. Leżałam na ziemi, łapiąc oddech, a szok wywołany postrzałem w udo zmienił się w silne, czyste fale bólu. Krew w moim mózgu płynęła coraz wolniej i z oczu kapały mi czerwone łzy.

Czekałyśmy, wpatrując się w drzwi. Janus przyklęła na jedno

kolano, kierując latarkę i broń w stronę wejścia do baraku.

Cisza i powolne sączenie się krwi między moimi zaciśniętymi palcami.

– Gdzie on jest? – szepnęła Janus do siebie, nie do mnie. – Gdzie on jest?

– Drugie drzwi – jęknęłam i Janus natychmiast odwróciła się w stronę drugiego wejścia, którym wszedł strażnik. Słuchawka przestała się kołysać na kablu, głos dyspozytora ucichł. – Policja już jedzie – dodałam. – Pomóż mi...

Janus znów się obróciła i wycelowała broń w drugie drzwi.

– Gdzie on jest? – powtórzyła. – Gdzie on jest?!

– Pomóż mi!

Zerknęła na mnie, po czym spojrzała w bok.

– Przykro mi, Carlo. – Wstała. – Przykro mi. – Trzymała pistolet przed sobą – Bardzo mi przykro. – Janus odwróciła się i uciekła.

*

Leżałam w ciele,
którego nie znałam,
w baraku Bóg wie gdzie,
i nie chciałam umrzeć.

Nosiłam biały mundur, na którym widać było wielkie plamy krwi. Wyobrażałam sobie, że kiedyś musiałam być bardzo dumna z tego munduru. Prasowałam go, krochmaliłam, dbałam, by kanty spodni były idealnie proste. Może, kierując statkiem

jako kapitan,

wspominałam dawne rejsy, gdy wprowadzałam do portu tankowce, walczyłam ze sztormami na Atlantyku albo występowałam w przebraniu Posejdona w czasie chrztu nowicjuszy po przepłynięciu równika albo linii zmiany daty, co w sprzyjających okolicznościach następowało jednocześnie, a ja cieszyłam się, że znajduję się w środku świata.

Działo się to, gdy byłam młoda, ale kto wie? Może przez całe życie pracowałam jako kapitan tej turystycznej łajby, krążąc po zatoce w Miami. Może kłamałam w swoim CV? Może nikt nie pamięta mojego nazwiska, jakkolwiek brzmi? Może jestem jedyną żywą osobą, która

kocha to ciało i umrze w nim?

Próbowałam wstać.

Nie udało się.

Próbowałam się czołgać w stronę drzwi.

Zdołałam się przekręcić na bok i popęzłam do przodu, odpychając się zdrową nogą i pomagając sobie rękami.

Miałam wrażenie, że słyszę syreny, ale uznałam, że to tylko wyobraźnia.

Ciało policjanta byłoby idealne.

Ciało policjanta miałoby broń.

Doczołgałam się do drzwi, przez które uciekła Janus, i spojrzałam na parking oświetlony lampami sodowymi. Znajdowała się na nim tylko zapomniana czarna furgonetka i szary kosz na śmieci z wysypującymi się odpadkami; były to jedyne obiekty, za którymi można by się ukryć.

Gdzieś na morzu rozległa się syrena statku, dumna i samotna w mroku. Poczłogałam się po podłodze do wiszącej słuchawki telefonu. Dyżurny policjant się rozłączył i w słuchawce rozlegało się tylko buczenie przypominające płacz skrzywdzonego dziecka. Oparłam się o ścianę i uniosłam się na tyle, by dosięgnąć zakrwawionymi palcami najwyższej szuflady biurka, po czym wysypałam jej zawartość na podłogę. Właściciel, niechaj umrze w męczarniach, trzymał w środku papiery, wizytówki oraz fotografię uśmiechniętej żony i córki. Żadnego zszywacza, nożyczek ani strzelby z odpiłowaną lufą.

W następnej szufladzie znajdowały się bardziej obiecujące przedmioty: spinacze, bloczki karteczek do robienia notatek, ołówki, temperówka i kubek z dużym czarnym napisem WE ARE THE BEST na boku. Rozbiłam kubek o podłogę, znalazłam ostry odłamek mieszczący się w dłoni, ścisnęłam go w palcach i położyłam się na boku z podciągniętymi kolanami i głową opartą o ziemię. Lekarze nazywają to pozycją terapeutyczną, choć jedyną korzyścią było to, że poczułam się jak dziecko, które przytuliło się do matki i zapomniało o całym świecie.

Powiedziałam sobie w duchu, że jeśli przeżyję, znów stanę się dzieckiem, choćby na kilka godzin, by poczuć ciepło bezwarunkowej miłości wybaczącej wszystkie grzechy.

W oddali rozległo się wycie syreny. Wydawało się powolne, ciche,

nieprzekonujące, nie usłyszałam efektu Dopplera. Mocniej ścisnęłam odłamek kubka i powiedziałam sobie, że jestem sama, zawsze byłam sama, więc to nic nowego.

Powolne kroki na betonie.

Nadchodzący człowiek wspiął się po schodach, stąpienia miały inny dźwięk, pusty, nieco przytłumiony. Krok na wykładzinie, oddech. Ręka trzymająca pistolet nie musiała odciągać bezpiecznika, to już było zrobione, ale wydawało mi się, że poczułam woń kordytu, smak metalu.

Oddech nade mną się poruszył.

Bliżej.

Szelest dżinsu, ruch, zgrzyt. Mężczyzna przykucnął, oparł łokcie na kolanach, miał rozluźnione nadgarstki, siwe włosy, trzymał w ręce pistolet, uśmiechnął się do mnie i zobaczyłam

Willa.

Był teraz stary, nie po prostu starszy. Pomarszczona skóra tworzyła grube fałdy, przerzedzone włosy pozwalały widzieć nieregularny kształt czaszki pokrytej żółtawymi plamami. Łuszczyły mu się ręce, w kącikach oczu zbierała się ropa, ale ciągle był tym samym Williamem, który w młodości kochał Dodgersów, a Joego na starość, i marzył, by żyć wiecznie i stać się kimś innym.

I w pewnym sensie rzeczywiście stał się kimś innym.

Popatrzyłam na niego i musiałam lekko odetchnąć. Uśmiechnął się i chociaż to Will rozchylił wargi, uśmiechał się ktoś inny, Will, który w dzieciństwie wyrywał muchom skrzydła, Will, który jako młody człowiek został wyrzucony z domu i który w krytycznym momencie życia nie zdecydował się podzielić swoim ciałem z nieznanym z Kalifornii, lecz wybrał inną drogę, sprzymierzył się z kimś innym.

Nie-Will, wciąż uśmiechnięty, obejrzał moje ciało od stóp do głów. Patrzył na moją twarz, ubranie, raną i krwawiącą nogę. Wyciągnął lewą rękę i musnął mój policzek jak kochanek, dotknął kilkudniowego zarostu na policzku, lekko pociągnął mnie za włosy, sprawdzając ich kolor. Jego ręka podążyła w dół: dotknął mojej szyi, piersi, uda i zatrzymał ją kilka centymetrów ponad raną postrzałową w nodze.

– Pomyślałem, że chciałybyś się pożegnać – powiedział w końcu, choć akcent był nieprawidłowy: gardło Willa wymawiało cudze słowa.

Trzymał rękę w powietrzu, gotów wyjąć mi palcami kulę z rany, a ja nie byłam w stanie zapanować nad oddechem i głośno dyszałam. Ścisnęłam w ręce odłamek kubka i wpatrywałam się w ciemnoniebieskie żyły u podstawy szyi Willa.

Obrócił głowę jak gołąb, obserwował mnie, patrzył na moją twarz, oczy.

– Kochasz mnie? – spytał.

Wydawało się, że czeka na odpowiedź, a kiedy jej nie udzieliłam, delikatnie przesunął palcem po zakrwawionej ranie na udzie, plamiąc biały mundur. Poczułam przeszywający ból, który przebiegł przez moją pierś i przeniknął mi rękę od łokcia do czaszki.

– Kochasz mnie? – spytał znowu. – Szukałem kogoś, kogo kochasz. Kiedy znalazłem, nie byłem pewien, czy dobrze wybrałem. Ma zniszczone nerki, raka kości, a kiedy zajrzałem pod ubranie, znalazłem to, sama popatrz... – Ujął moją prawą rękę i przycisnął ją swojego prawego boku. Poczułam pod marynarką okrągłe zgrubienie, guz: w najlepszym razie przepuklinę, a może coś znacznie gorszego. – Czy to nie odrażające? – spytał, przytrzymując moją rękę na swoim ciepłym ciele. – Czy to nie dziwne? Dlaczego ktoś miałby kochać kogoś tak brzydkiego? Popatrz! – Przesunął mi rękę wyżej. Jęknęłam z bólu, ponieważ poruszył moim ciałem. Wsunął moją rękę pod swoją pachę i przycisnął do skóry. – Mam tu pieprzyk! – zawołał z entuzjazmem w głosie. – Jest fascynujący i bawię się nim cały czas. Ty też to robiłaś? Próbowałem pocałować mężczyznę, ale niczego nie rozumiał. Powiedział, że coś jest nie tak. Nie kochał mnie, choć przysięgał, że kocha... Willa. – Wahanie, z trudem przypomniał sobie imię, wypowiedział je niepewnie. – Przysięgał, że kocha Willa, ale nie mnie. Chciałem się przekonać, czy ty czujesz to samo.

Pochylił się, nasze oddechy się zmieszały, jego wargi znajdowały się w odległości kilku centymetrów od moich, jakby zamierzał mnie pocałować, i przez chwilę myślałam, że to zrobi, ale spoglądał mi w oczy, usiłując znaleźć w nich coś, czego nie było.

– Kochasz mnie? – spytał. – Patrzyłem w lustro i niczego nie widziałem, ale przyszło mi do głowy... Byłaś mną wcześniej; wiele razy spoglądałaś w moje oczy i musiałaś kochać – kochać moją skórę, wargi,

gardło, język. Czy tak? Kochasz mnie? Kochasz Willa? Kochasz mnie?

Potrzeba. Dziecięca potrzeba, błagalny wyraz twarzy Willa.

Nie, nie Willa.

Innej twarzy.

Twarzy tego czegoś.

Nie odpowiedziałam, nic nie przychodziło mi do głowy.

– Czasami patrzę na siebie i widzę tylko pogardę. Moja twarz jest pełna nienawiści i myślę: „Dlaczego mnie nienawidzi? Przecież jestem piękny”, ale potem robię miny, miny, miny, i jest tylko nienawiść, brzydota, gdy próbuję się uśmiechać, a potem... – Dreszcz, szybki oddech. – Kochasz mnie?! Mów! – Śmiech, w którym nie ma ciepłości, humor będący jedynie przelotnym żartem. – Powiedz, Willu. Kochasz mnie czy nie kochasz?

Usiłowałam odpowiedzieć. Tak, nie, może. Szukałam prawidłowej odpowiedzi, drogi ucieczki, lecz w mojej głowie nie pojawiło się żadne słowo, nie wiedziałam, jak mogłoby brzmieć.

Twarz Willa pociemniała. Zmarszczył brwi, zmrużył oczy, starcza twarz nadała się dziecinnie. Nie była to już twarz Willa, nigdy nie widziałam na niej takiego wyrazu, nie należała już do Willa. Rzucił się do przodu i uderzył lufą pistoletu moją zranioną nogę, aż krzyknęłam z bólu. Nacisnął mocniej, zawyłam jak zwierzę, własny głos wydał mi się obcy. Mój krzyk nie był tak głośny jak kilka ciał wcześniej, ale bardziej intensywny, pełen cierpienia, i wątpię, czy kiedykolwiek wcześniej wydałam taki dźwięk, lecz pseudo-Will przycisnął lufę do rany jeszcze mocniej, dotknął lewą ręką mojej twarzy i ryknął:

– Kochasz mnie?!

Wcisnął lufę pistoletu w głąb rany, niemal dotykając mnie policzkiem, a ja uniosłam odłamek rozbitego kubka i z całej siły wbiłam mu go w szyję.

Śliska porcelana obróciła się w zakrwawionych palcach i nie trafiłam w tchawicę, lecz w miękką skórę pod podbródkiem. Na moją rękę trysnął strumień krwi, porcelanowe ostrze przebiło skórę i ugodziło w podstawę języka, a Will runął na plecy. Skoczyłam na niego, przygniotłam oboma kolanami rękę trzymającą pistolet i wykręciłam ją. Odruchowo nacisnął spust, rozległ się strzał, później drugi, huk i błysk,

ale trzymałam, trzymałam, a pode mną wiło się gorące ciało, kasłało, krztusiło się krwią z wytrzeszczonymi oczyma i bladą twarzą.

Wyrwałam mu z palców pistolet i odpełzłam do tyłu, kopiąc nogami.

Po chwili spojrział mi w oczy i uśmiechnął się z kawałkiem kubka ciągle wbitym w szyję.

– Cwszy... czszy... – Krew wypełniająca mu usta zniekształcała dźwięki i z kącika warg sączył się czerwony strumyk. Zakasłał, oblewając moją twarz kroplami krwi, i spróbował jeszcze raz. – Cwszy... czszy... podoba ci się to, co widzisz?

Uniosłam pistolet zdrową ręką. Uśmiechał się coraz szerzej. Miał sztuczne zęby, protezę czerwoną od krwi. Odwróciłam wzrok i nacisnęłam spust.

Rozdział 64

Ciała.

Nikt nie może śledzić widma w godzinie szczytu.

Zatłoczony pociąg. Ruchliwy dworzec. Stoimy ramię przy ramieniu, ludzie się ocierają, czują swoje oddechy, wachają pot spod pachy wysokiego mężczyzny, miażdżą butem palce starszej pani.

Ja,

kimkolwiek jestem,

jechałam pociągiem paryskiego metra, surfując po ciałach nieznanym.

Nie obchodziło mnie, gdzie jest Janus, w kim mieszka.

Interesowało mnie tylko to, by znajdowała się tam, gdzie jej potrzebuję, by ją spotkać na końcu podróży, w ciele kobiety, mężczyzny, kogokolwiek.

Przeskakiwałam z ciała do ciała, wstrząs, dygot, przyśpieszenie i zwolnienie, kołysanie się wagonu. Staję na cudzej stopie i jestem

dzieckiem w mundurku szkolnym,

zgarbionym starcem z laską.

Krwawię w ciele kobiety, która ma pierwszy dzień okresu,

bolą mnie stopy zmęczonego robotnika budowlanego.

Marzę o alkoholu, mam czerwony, pijacki nos.

Otwierają się drzwi i jestem znowu młoda, piękna, ubrana w zwiewną letnią sukienkę i mam nadzieję, że gęsia skórka, którą czuję, nie zmniejszy mojej urody.

Jestem głodna,

a teraz syta,

siedzę przy oknie wagonu i strasznie chce mi się sikać,

jem chipsy na miejscu przy drzwiach.

Noszę jedwab.

Noszę nylon.

Rozluźniam krawat.

Skórzane buty obcierają mi nogi.
Stale się poruszam, moje ciała stoją w miejscu, ale muśnięcie ręki
w pociągu w godzinie szczytu
sprawia, że jestem każdym.
Jestem nikim.
Jadę pociągiem na Gare de Lyon.
Do Janus.
Do kogoś innego.

*

Nieciekawa stacja, która niczym się nie wyróżnia.
Najbliższe jedzenie znajduje się po drugiej stronie kamiennego
placu, gdzie nic nie rośnie i nikt nie czeka.

Pociągi to ryczące TVG zmierzające do Montpellier, Nicei,
Marsylii. Pociągi kolei podmiejskich są pełne marzycieli z przedmieść,
mężczyzn i kobiet, którzy chcieliby mieszkać na bulwarach obsadzonych
piniami i spędzać starość, grając w bule. Staję się na minutę jedną
z kobiet w eleganckim kostiumie, z ciężką teczką, z egzemplarzem
ostatniego bestsellera pod pachą. Mam bilet do Troyes, gdzie ulice są
czyste, a burmistrz zawsze mówi dzień dobry. Szukam peronu numer
dziesięć i widzę kobietę jedzącą bagietkę, pożerającą bagietkę. Stoi przy
barierce, ma jasne włosy, młodą twarz, czarną sukienkę, płaszcz obszyty
futrem i nosi na serdecznym palcu srebrną obrączkę wysadzaną
jadeitami. Serdeczny palec wystukuje rytm, raz-dwa-trzy, raz-dwa-trzy,
raz-dwa-trzy, a stopa prawie niedostrzegalnie kreśli figurę walca.

Zatrzymuję się obok kobiety, zaczynam nucić piosenkę w tym
samym stylu, w tym samym rytmie. Nie patrzymy na siebie, aż wreszcie
kończy bagietkę i mówi:

– Mam nadzieję, że nie pozbyłam się tego bardzo pięknego ciała na
próżno.

– Nie.

– Masz plan?

– Do jakiej stacji masz bilet?

– Nie mam biletu. Zobaczyłam ją w pociągu i nagle zdałam sobie
sprawę, że nie skończyłam obiadu.

– Jesteś mężatką – zauważyłam.

Janus wzruszyła ramionami.

– Znalazłam w torebce dwie prezerwatywy i zapasową parę czarnych koronkowych majtek. Podejrzewam, że mam romans.

– Skoro tak uważasz. Tak czy inaczej, nie masz biletu, a jeśli nie znasz PIN-u karty kredytowej gospodyni...

Janus westchnęła i strzepnęła okruszki z białego futrzanego kołnierza płaszcza.

– Co proponujesz?

– Pojechać pociągiem.

– Nie mogli nas śledzić. Przesiadałam się dziesiątki razy.

– A jednak cię znaleźli – odparłam, w dalszym ciągu patrząc wszędzie, tylko nie na nią. – I znaleźli mnie.

– Świetnie – mruknęła z niezadowoleniem. – Wybierz pociąg. Znajdę jakieś nudne ciało na podróż.

*

Złapałyśmy TVG do Montpellier.

Zamieszkałam w mężczyźnie, w którego portfelu znalazłam dokumenty na nazwisko Sebastian Puis. Był właścicielem trzech kart kredytowych, jednej karty bibliotecznej, karty do siłowni, czterech kart lojalnościowych z supermarketu i talonu na bezpłatne strzyżenie w salonie fryzjerskim w Nicei.

Janus przebywała w Marillion Buclare, o ciemnych włosach i głębokich szczenięcych oczach. Na jej szyi kołysał się wisior z napisem „miłość” w języku farsy. W pociągu nie było wielkiego tłoku, Sebastian i Marillion mogliby siedzieć razem, lecz tego nie zrobiliśmy.

Sebastian Puis miał iPod. Kiedy pociąg wyjechał ze stacji i zaczął powoli się rozpędzać, przejrzałam jego zawartość. W ogóle nie znałam muzyki przechowywanej w pamięci, większość wydawała się czymś w rodzaju francuskiego rapu. Po dwudziestu minutach odłożyłam iPod. Czasem próbuję nawet się wczuć w psychikę gospodarza.

Po drugiej stronie przejścia między siedzeniami jakiś piętnastolatek gestykulował wściekle do swojego nastoletniego towarzysza. Trzymaj ze mną, mówił, trzymaj ze mną, a dobrze na tym wyjdiesz. Dzieciaki

w szkole myślą, że są kimś, ale to nieprawda, tylko gadają, gadają, gadają, nic nie wiedzą, a ja wiem, bo to przeżyłem, przeżyłem, kurwa, więc dobrze na tym wyjdiesz. Masz telefon? Daj. Znowu zadzwonię dla kawału do mojego brata. Strasznie się wścieka. Wariuje. To zdumiewające. Raz dzwoniłem do niego piętnaście razy dziennie, a potem posłałem fotkę swoich jaj. Fantastyczne. Jestem fantastyczny, kurwa, dobrze na tym wyjdiesz.

Próbowałam go nie słuchać, patrząc na ciemne równiny północnej Francji. Myślałam bez słów, wspominałam bez uczuć.

*

Na ulicy podchodzi nieznajomy.

Mówi, że jesteś piękna.

Ich ciepło, twoja skóra.

Nie ma większej samotności niż samotność w tłumie. Nie ma niczego bardziej niepokojącego niż żart zrozumiały tylko dla wtajemniczonych.

Widma takie jak ja zbyt łatwo się zakochują.

Rozdział 65

Kiedy byłam młodsza, południe kojarzyło mi się z ciepłem. Wyobrażałam sobie, że im dalej na południe, tym zimy są łagodniejsze, a lata bardziej słoneczne. Gdy zrozumiałam, że na południu może być strasznie zimno, było to dla mnie wyjątkowo przykre przeżycie: moje ciała miały sine wargi. Przyjeżdżałam nad Morze Śródziemne nieprzygotowana na zacinający deszcz i przymrozki, a potem opuszczałam ciała smukłych dziewcząt i wskakiwałam w tłustych mieszkańców wybrzeża w nadziei, że zmiana układu krążenia złagodzi cierpienia wywołane chłodem.

Sebastianowi Puis nie było ciepło. Kiedy wysiadłam z TGV na dworcu w Montpellier – typowej francuskiej stacji kolejowej – natychmiast zauważyłam, że marzną mi palce od lodowatego wiatru, a płaszcz jest za cienki jak na ulewę. Skuliłam się koło trafiki, gdzie można kupić akcesoria dla palaczy, czekoladę i karty do gry z heretyckimi obrazkami, po czym czekałam na Marillion Buclare. Zamiast Marillion Buclare pojawiła się kobieta w etoli z rudego lisa, którego nos zwieszał się smutno z jej ramienia, i powitała mnie okrzykiem:

– To ciągle ty?!

Miała kilka podbródków, pomalowanych na taki sam biały kolor jak jej twarz. Policzki obwisły poniżej szczęk, włosy padły ofiarą katastrofalnej ondulacji, paznokcie były krwistoczerwone, a wargi sine. Kiedy ruszyła w moją stronę, czułam się jak łódź wiosłowa przed dziobem nadpływającego pancernika.

– Wielki Boże! – zawołała. – Wyglądasz koszmarnie!

Janus, olśniewająca w...

– Czuję się jakbym miała na imię Greta. Twoim zdaniem przypominam Gretę?

...w kobiecie, której imię z pewnością nie brzmiało Greta, zaczęła grzebać w torebce wiszącej na złotym łańcuszku i krzyknęła: „Mogę je

wziąć, czy mogę je wziąć?”, machając grubym plikiem euro, by wszyscy je zobaczyli.

Uśmiechnęłam się cierpliwie jak zawstydzony syn spotykający ekstrawagancką matkę. Łagodnie ujęłam Janus za rękę i wyprowadziłam ze stacji, gdzie wzbudzałyśmy powszechne zaineresowanie.

– Marillion?

– Pozbyłam się jej w damskiej toalecie. Dostała wysypki, biedaczka. Nie patrz na mnie w ten sposób – dodała i poklepała mnie po ramieniu. – Skakałam pięć lub sześć razy, nim znalazłam tę fantastyczną Gretę. Co o niej sądzisz?

– Moim zdaniem nie jest w twoim typie.

– Uważam, że to ja jestem w jej typie – odparła. – Jeśli nie teraz, to w przyszłości. Stanę się taka, co? Nikt nie potrafi śledzić widma w metrze, nawet Galileusz.

Skrzywiłam się.

– Żadnych niepotrzebnych skoków. Może nie zdołają nas śledzić w godzinach szczytu, ale co się stanie, kiedy dotrą do dokumentacji medycznej Marillion? Ustalą nazwę miasta, gdzie powinni nas szukać.

– Ach, moja droga, wydajesz się rzeczywiście przestraszona... – szepnęła.

– Gdyby w ciągu ostatnich kilku dni strzelano do ciebie tyle razy, ile do mnie, ty też byś się bała.

– W takim razie powinnyśmy pojechać na lotnisko i polecieć do jakiejś zapadłej dziury, gdzie są tylko slumsy i rudery, a szpitale nie pytają o personalia i nie prowadzą dokumentacji.

– Może – odpowiedziałam. – Ale tu przynajmniej nie jesteśmy z nimi sam na sam.

– Zawsze jesteśmy sam na sam z wrogami.

– Galileusz rozpracował Aquariususa.

– Skąd ta pewność?

– Dlaczego dossier kłamie?

– To domysły, nie dowody. Nawet gdyby to była prawda, nie rozumiem, do czego ci jestem potrzebna.

– Istoty naszego gatunku nigdy ze sobą nie współpracują.

Współzawodniczymy w świecie pięknych ciał i wyrafinowanych gustów.

W Miami zachowaliśmy się jak typowe widma – wyskoczyliśmy ze statku i uciekaliśmy. Popełniiliśmy błąd i dlatego trafiły nas kule. Przed chwilą postąpiliśmy w podobnie przewidywalny sposób: wbiegaliśmy w tłum w godzinie szczytu, porzuciliśmy swoje ciała, zamieniając je na bogatych, swobodnych ludzi. Widma nie współpracują. Zaczniemy współpracować. Nie skaczymy więcej bez potrzeby.

*

Złapałyśmy taksówkę na dworcu.

Kierowca uważał, że powinien być szorstki, obcesowy i naburmuszony. Ludzie po raz pierwszy odwiedzający Montpellier biorą te zachowania za oznaki głębokiej mądrości, dopóki nie zrozumieją, że to po prostu antypatia. Za moim niewyraźnym odbiciem w szybie przesuwają się ulice miasta, które rozwijało się zbyt szybko, by rozumieć, czym naprawdę jest. Pod wysokimi ruinami rzymskiego akweduktu znajdowały się parkingi, bulwary i wąskie kręte uliczki, wzdłuż których stały srebrzystoszare słupki. Między kawiarnią a supermarketem sprzedającym po sześć euro kartony z winem z niewielkim kurkiem błyskał zielony neon apteki przedstawiający kaduceusz. Rozkołysane cedry sąsiadowały z piniami o czarnych igłach; za kolczastymi żywopłotami kryły się nowe wille pokrywające wzgórza na północnym skraju miasta.

– Urlop? – spytał taksówkarz.

Ja odpowiedziałam, że nie, a Janus, że tak.

Oznajmił, że to głupia pora na wakacje. Powinniśmy przyjechać w lecie lub bliżej Bożego Narodzenia. Teraz jest okropnie.

*

W hotelu były fioletowe sufity i granatowe dywany, a na ścianach namalowano srebrzyste bociany. Janus wynajęła dwa pokoje na jedną noc, płacąc gotówką Grety. Podawano kolację; czy mamy ochotę coś zjeść?

Nie, odpowiedziałam, przeglądając menu, w którym steki kosztowały dwadzieścia euro, a wino trzydzieści. Jednak raczej się nie zdecydujemy.

Znalazłszy się samotnie w pokoju, który mógłby być w dowolnym mieście na świecie, rozebrałam się przed wielkim lustrem i oceniłam ciało Sebastana Puis. Nie był w moim typie: jego cera i wygląd niespecjalnie mi odpowiadały. Skóra miała szarawy, niezdrowy odcień, a na na piersi i plecach znajdowały się kępki czarnych włosów, które wyglądały, jakby nie mogły się zdecydować, czy wyrosnąć.

Czułam coraz silniejsze pragnienie przeskoczenia w kogoś śniadego, bardziej inteligentnego, mającego gładszą skórę i obfitsze owłosienie – kogoś, kogo łatwiej byłoby zdefiniować, by rozpocząć tworzenie nowej postaci. Przejrzałam torbę Sebastiana, lecz nie znalazłam żadnych wskazówek, czym się zajmuje. Wyjęłam baterię z jego komórki, prostej i bezpretensjonalnej, w obawie, że przyjaciółka lub kochanka, może wciąż czekająca na dworcu w Montpellier, zacznie się denerwować jego zniknięciem. Przestraszona matka mogła już zatelefonować na policję, która odpowiedziała, że młodzi ludzie prowadzą własne życie: jeśli jest naprawdę zaniepokojona, powinna zadzwonić na komisariat za dwa dni, nie korzystając z numeru alarmowego. Policja nigdy nie akceptuje intuicji jako podstawy do przyjęcia zgłoszenia o zaginięciu, za co jestem jej serdecznie wdzięczna.

Przyjrzyj się twarzy Sebastiana i odgadnij jego charakter.

Mógł być głupawym dowcipnisiem, kretyńskim błaznem. Może jest melancholijny i samotny, siedzi bezsennie po nocach i pisze sonety do wymarzonej ukochanej. Moje ręce są miękkie, nie znają pracy fizycznej, mam zaokrągloną klatkę piersiową i lekko wystający brzuch. Na pośladkach znajdują się lekkie odgniecenia powstające od zbyt długiego siedzenia w jednym miejscu, mam zagojone zadrapanie na wewnętrznej stronie lewego uda. Czy jestem studentem, projektantem, programistą komputerowym, młodym didżejem, bardzo trendy, ale bez krzty smaku? Co ważniejsze, czy mój organizm nie toleruje glutenu? Czy radzę sobie z laktozą, czy cierpię na ból pierszczi, czy powinnam uważać, gdy jem cukier, czy może mnie zabić użądlenie pszczoły? Skąd mam wiedzieć, dopóki nie popełnię błędów, których nie zrobiłby Sebastian Puis, gdyż przeciwiczył to wszystko już wcześniej?

Przez chwilę brakuje mi znajomego ciężaru Nathana Coyle'a i pewności siebie biegaczki Alice Mair.

*

Jem z Janus posiłek w niewielkiej restauracji naprzeciwko pozostałości średniowiecznego muru obronnego. Janus zamawia ser, wino i kaczkę w gorącym fioletowym sosie. Właścicielka/kelnerka/matrona zadaje mi pytanie, czy zapłacę za posiłek matki. Janus zapomina, jak wygląda, i przez chwilę jest oburzona tym pomysłem.

Rozmowa jest pusta.

Znasz miasto?

Trochę.

Kiedy je ostatnio odwiedziłaś?

Dawno temu.

Kim wtedy byłaś?

Zapomniałam. Ale w czasie spaceru nad morzem nosiłam żółtą suknię i jadłam ostrygi z niklowanego kubelka. A ty?

Byłam kimś niezwykłym.

Zawsze jestem kimś niezwykłym, rozumiesz.

Później Janus spytała:

– Dlaczego mnie uratowałaś?

Pytanie było tak kompletnie niezwiązane z tematem rozmowy, że na chwilę zaniemówiłam ze zdziwienia.

– Nasze relacje były... dość burzliwe, chyba można to tak określić. Mogłaś szukać pomocy gdzie indziej, jeśli jej potrzebowałaś.

– Galileusz. Jesteś jedynym widmem, które go spotkało, oprócz mnie i jeszcze kogoś.

– A Miami? – szepnęła, nabijając na widelec kawałek warzywa umazanego sosem. – Co z Miami?

Odłożyłam sztućce i oparłam podbródek na splecionych dłoniach. Wydawało się, że Sebastian Puis nie wykonałby takiego gestu, ale w czasie tego krótkiego spotkania, rzadkiej rozmowy między dwiema starymi przyjaciółkami, nie jestem Sebastianem Puis, lecz...

...kimś innym.

– Ty i ja... wiemy, czym jest ciało – rzekłam w końcu. – Jesteśmy koneserkami oczu i warg, włosów i skóry. Może brakować nam emocji,

które normalnie rządzą ciałem... złożoności będącej wynikiem długiego życia. Uciekamy jak dzieci przed bólem i nie chcemy ponosić za nic odpowiedzialności. To prosta prawda naszej egzystencji. Mimo to dalej żyjemy jak ludzie. W dalszym ciągu boimy się śmierci i czujemy to wszystko, co czują ludzie. Nie jest to tylko reakcja chemiczna, ale raczej... jedyny język, jakim możemy się porozumiewać. Gdybym tamtej nocy w Miami przesiadła się do innego ciała, nie mogę gwarantować, że nie próbowałabym uciec. Nie mówię tego, bo ci wybaczam – dodałam, gdy Janus otworzyła usta, by coś powiedzieć. – Zostawiłaś mnie, żebym umarła. Podjęłaś taką decyzję. Wiem, czym jest strach, trwoga, panika, ból. Rozumiem również nienawiść, złość i poczucie zdrady. Ocaliłaś swoją skórę i pozwoliłaś mi umrzeć; chociaż rozumiem twój postępek, nie mogę go wybaczyć.

– A gdybym wyraziła skruchę? – szepnęła. – Gdybym... przeprosiła?

– Nie wiem. Nie wyobrażam sobie, jak to by mogło brzmieć.

Dotykała czubkiem palca wgłębienia łyżeczki. Chwila nadeszła, chwila minęła, to wszystko. Sprzątnięto talerze i podano kawę, bo nie można nie wypić kawy do kolacji, monsieur, zupełnie nie mieści się to w głowie. Janus wrzuciła do filiżanki pokruszoną kostkę brązowego cukru i powiedziała po prostu:

– Powinnaś go zabić.

– Kogo? Mogłam zabić tylu ludzi, że wypełniliby cały cmentarz.

– Galileusza.

– Przecież go zabiłam – odparowałam ostrzejszym tonem, niż zamierzałam. – Strzeliłam do niego, a kiedy przyjechała policja, uklęknęłam nad jego ciałem i nie czułam pulsu.

– A jednak dalej krążą plotki. „Milli Vra”, „Santa Rosa”...

– Nie wiedziałam, że się tym interesowałaś.

– Czytałam gazety. Szczególnie lubię plotki o celebrytach, ale nawet tabloidy wydrukują wzmiankę o statku dryfującym w ciemności, krwi na pokładzie, płaczących ludziach zabarykadowanych w ładowni. Jak już wspomnieliśmy, łatwo – bardzo łatwo – potrafimy podejmować decyzje dotyczące życia innych. Znasz to z doświadczenia, wiesz, jak to wygląda. Hekuba miała podobne skłonności. Mordowano całe rodziny,

od pokojówek do dziedziców. Jednak Hekuba zabijała tylko tych, którzy jej zagrażali, a ty zabijasz ludzi, którzy zagrażają temu, co kochasz, a kochasz wszystkich, prawda, Kepler?

Zazgrzytałam zębami, słysząc to imię, i ścisnęłam palcami krawędź stołu.

– Miał... gospodarza – odpowiedziałam, a Janus uniosła maleńką filiżankę kawy. Jej wyprostowany mały palec przypominał wąż czuciowy. – Nazywał się Will. W dawnych czasach był moim zmiennikiem. Pokłóciliśmy się w czasie ostatniego spotkania. Dolegała mu lewa noga: kiedy przekręcał ją w niewłaściwy sposób, dostawał skurczów. Nie znam przyczyny, nie zdążyłam tego zbadać, ale w czasie takich ataków można było wyczuć ścięgna na nodze: sterczały, jakby chciały przebić skórę. Ale był czystym, chętnym gospodarzem w mieście, gdzie widma nie są mile widziane. Starannie przycinał paznokcie i zawsze nosił flakonik płynu do płukania ust. Nie zadawał pytań. Był... dobrym kompanem. Rzadko można to powiedzieć. Potem przejął go Galileusz. Musiał zginąć, to go zabiłam: trzy strzały w pierś. Bezpieczniej byłoby strzelić mu w głowę, ale pamiętam obraz zmasakrowanej twarzy Willa. Jego nos po prostu eksplodował, oczy wylewały się z mojej – jego – czaszki. Powinnam była strzelić mu w głowę, lecz tego nie zrobiłam.

Później stałam się policjantem i zbadałam tętno. Niczego nie poczułam i uznałam, że to koniec. Pojawili się ratownicy medyczni, zaczęli go reanimować i nic to nie dało. Jasne, że nie dało, ale wyobrażam sobie, że coś się musiało stać. W pewnej chwili leżał na podłodze karetki, ratownik nacisnął jego pierś, z ramienia wyciekła strużka krwi, ochlapała ratownika i... Nie wiem, nie było mnie przy tym... stałam się wtedy... kimś innym, ale jestem prawie pewna, że ratownik medyczny, który uznał Willa za martwego, absolutnie by tego nie pamiętał, gdyby go dziś o to spytać. Zupełnie.

– Czyli Galileusz żyje.

– Na to wygląda.

– To, że jest jednym z nas, nie oznacza, że ponosimy za niego odpowiedzialność – dodała ostro. Kiedy wypowiedziała te słowa, jej barki się rozluźniły, a palce przestały ścisnąć trzonek łyżeczki. – Chociaż

wydaje się, że uczynił nas swoimi współnikami.

– Nie chodzi tylko o Galileusza.

Czekała.

– Aquarius przeprowadzał testy medyczne we Frankfurcie.

Próbowali stworzyć szczepionkę, uodpornić ludzi na nas.

– To możliwe?

– Nie wiem. Wątpię. Nie zrobili zbyt wielkich postępów. Czterech naukowców zamordowano. Zrobiła to kobieta o nazwisku Josephine Cebula. Ktoś wykorzystał jej ciało. Aquarius oskarżył o to mnie.

– Dlaczego akurat ciebie?

– Zastanawiałam się nad tym. Może dlatego, że było to wygodne, bo akurat się pojawiłam? Z drugiej strony zastanawiałam się również, dlaczego uznali, że Josephine ponosi za to współodpowiedzialność, a nie jest tylko nieświadomym gospodarzem. Widziałam film, na którym była umazana krwią, i wydawało się oczywiste – rzucające się w oczy – że prawdziwy morderca to Galileusz. To Galileusz zabił tych ludzi. Ale Aquarius oskarżył mnie i ją, po czym kazał nas zabić. Gospodarza i widmo. Zwykle odbywa się to inaczej.

– Jak zginęli?

– Kto?

– Ludzie zabici... przez twoją skórę... Galileusza.

– Brzydko. Utopienie. Sztylet. Okaleczenie. W różny sposób.

– Dlaczego?

– Może udało im się opracować szczepionkę? A może była to po prostu groźba? Ale także... – Zawahałam się. Janus czekała, trzymając w palcach widelec, bawiąc się nim jak motkiem sznurka, patrząc na mnie. Dotknęłam palcem krawędzi filiżanki, nie mogłam spojrzeć Janus w oczy. – Jak stałaś się widmem?

– Brzydko – odpowiedziała.

– W wyniku morderstwa? Kiedy... umierałam (moim zdaniem można tak to nazwać w moim przypadku), chwyciłam za kostkę mężczyznę, który mnie zamordował. To był mój pierwszy skok. Patrzyłam, jak wykrwawiam się na śmierć, i potrząsnęłam swoimi zimnymi zwłokami, próbując wejść z powrotem do dawnego ciała, lecz oczywiście było martwe, a ja żyłam. Strażnicy aresztowali mnie za

morderstwo, co w pewien sposób wydawało się sprawiedliwe. Był to rzeczywiście brzydki początek. Domyślałam się, że twoje początki są równie nieciekawe?

– Wbito mi w brzuch sztylet. Wykrwawiłam się na śmierć.

Wskoczyłam w pielęgniarkę, która usiłowała wepchnąć jelita na miejsce.

– Aurangzeb potrafił samochód.

– Aurangzeb była idiotką.

– Guanyin zatrzymała się sporyszem.

– Nigdy mi o tym nie wspominała. Jestem w stanie w to uwierzyć.

– Rzecz w tym, że nasze pochodzenie jest związane

z traumatycznymi przeżyciami.

– Czy to ma jakieś znaczenie?

– Zastanów się nad organizacją taką jak Aquarius, jakąkolwiek organizacją tego typu: jest ich mnóstwo. Zabijają widma z różnych powodów. Ale niezależnie od tego, ile zniszczą, nieustannie pojawiają się nowe, jak chwasty wyrastające na polu. Może zauważyłaś, że powstajemy w dość podobnych okolicznościach: naszymi stwórcami są przemoc, strach, ból. Aquarius nie jest w stanie wyeliminować przemocy, ale nie każde morderstwo w ciemnej uliczce stwarza istotę podobną do nas, nie każde zatrucie sporyszem lub śmierć na podłodze sypialni. Muszą istnieć jakieś dodatkowe warunki. Kilka razy byłam lekarzem i wiem, że opracowanie szczepionki przeciwko wirusowi wymaga zbadania jego właściwości. Musisz wiedzieć, jak funkcjonuje, jak się powiela. We Frankfurcie mogli próbować stworzyć szczepionkę, z pewnością. Ale najpierw musieli zrozumieć, przeciwko czemu chcą się szczepić, odkryć, kim jesteśmy.

– Sugerujesz, że w ramach programu mającego na celu opracowanie szczepionki tworzą widma, a nie tylko je niszczone?

– Przypuszczam, że w mózgu istnieje mechanizm, który może wywołać przeskok w chwili traumy. Dotyczy to niewielkiej mniejszości ludzi. Jeśli się zrozumie naturę tego mechanizmu, może uda się sprawić, że przestanie działać. Może widma można zabijać przed urodzeniem – coś w rodzaju genetycznego ludobójstwa. Może to realne?

Milczenie. Później:

– Dlaczego Galileusz? Dlaczego Frankfurt, czterech zabitych?

Złączyłam czubki palców, przygryzłam wargi.

– Pozwól mi zadać inne pytanie. Dlaczego zabójstwa były tak brutalne? Zostałyśmy stworzone w chwili przemocy, gdy stosowano brutalną siłę. „Milli Vra”, „Santa Rosa”, masowe morderstwa, strach, trauma, dlaczego? Może dlatego, że Galileusz co kilka lat spogląda w lustro i zdaje sobie sprawę, że twarz, którą widzi, wcale go nie kocha. Może usiłuje zniszczyć ten wyraz twarzy i... aranżuje odpowiednią sytuację. A może patrzy w lustro i widzi coś pięknego, co w końcu umrze, a chciałby, by rzeczy idealne trwały wiecznie. Jeśli będziemy ostrożne, ty i ja, będziemy istnieć wiecznie. Może Galileusz chce tworzyć widma? Jeśli to prawda, zależy mu na tym samym co Aquariusowi – chce nas rozumieć. Badania nad szczepieniami mogą odkryć, jak powstajemy, ale niewykluczone, że nie da się opracować sposobu niszczenia widm w zarodku. Wynalezienie szczepionki może się okazać niemożliwe. Ale to i tak dużo.

– To tylko domysły.

– Naturalnie. Musimy zebrać więcej dowodów. Jeśli sugerujemy, że Galileusz dowiedział się o badaniach we Frankfurcie, że wie, o co w nich chodzi, a nawet nimi manipuluje, wynika z tego, że dobrze zna Aquariususa. Przeniknął do organizacji, która zamierza go zniszczyć. Powinien zostać oskarżony o serię zabójstw we Frankfurcie, a zamiast tego obwiniono mnie. Ciało Josephine mogło nosić każde widmo, nie tylko ja, lecz kazano zabić zarówno mnie, jak i ją. Może Galileusz stara się dokładnie zatrzeć ślady? A może jest coś jeszcze? Może chodzi o zazdrość? Kogo wysłano, by mnie zabił? Mężczyznę nazywającego się Nathan Coyle, który ma więcej powodów, by nienawidzić Galileusza niż gardzić mną. Poza tym jest również dossier samego Galileusza, częściowo świadczące o niekompetencji autorów, a częściowo pełne kłamstw. Ordynarnych kłamstw. Aquarius chroni jedno z najgroźniejszych, najbardziej brutalnych widm. Dlaczego?

Z ust Janus wydobył się lekki śmieszek, równie wesoły jak sapnięcie krokodyla.

– Aquarius uważa, że prowadzi program badawczy, by niszczyć widma, a Galileusz wykorzystuje ten program, by je tworzyć. Absolutnie cudowne.

– Czasami cudowne, tak – uściśliłam. – Ale Josephine zginęła.

Ciągle się uśmiechała, mechanicznie i w zamyśleniu, zastanawiając się nad czymś, co wcale nie budziło jej rozbawienia.

– Zawsze byłaś zbyt przywiązana do swoich ciał. Jestem zdziwiona, że nie masz... trochę zrozumienia dla tego, co robi Galileusz.

– Nie. Żadnego zrozumienia. Trochę... wyczuwam, dlaczego tak postępuje. Poruszamy się między ciałami. Dziś jestem Sebastianem. Mam iPoda, książkę, trochę ubrań, te buty, twarz, którą mogę obejrzyć w lustrze, a jutro jestem... kimś innym i nie mam już tego wszystkiego. Dzisiaj mam... ciebie, w pewnym sensie. Żadnej z nas nie sprawia to przyjemności, ale to nas... łączy. Mogę powiedzieć: „Wczoraj byłam widmem i jutro będę widmem”. To coś konkretnego. Może dobrego, dlatego że w ogóle istnieje. Galileusz... pragnie stworzyć coś trwałego, coś swojego, niezależnie od tego, kim był w chwili narodzin. Może go rozumiem, ale to nie znaczy, że się z nim solidaryzuję.

Na stole położono rachunek. Przypomniałam sobie, że jestem synem Janus i zapłaciłam. Sebastian nie nosił przy sobie dużo gotówki. Dziś tu, jutro tam. Janus patrzyła.

– Jak Galileusz to zrobił? – spytała. – Jak przeniknął do Aquariususa? Roześmiałam się. Nie wiedziałam, skąd się wziął ten dźwięk.

Sebastian Puis miał ładny śmiech: dobiegał on z jego brzucha, prostował przy tym łopatki. Podobał mi się ten śmiech. Była to pierwsza cecha tego ciała, która mnie zachwyciła.

– To chyba ja – odpowiedziałam. – To ja to sprawiłam.

Rozdział 66

– Jesteś selekcjonerką?

Podoba ci się to, co widzisz?

„Jesteś selekcjonerką?” – spytała, a ja uniosłam głowę znad biurka. Była młoda, rozpieszczona i zupełnie nie wyglądała na siebie.

Nie chodzi nawet o jej wargi ani pojawienie się u moich drzwi.

Działo się to w Edynburgu w 1983 roku, gdzie nikt nie ubierał się tak dobrze ani nie mówił tak ładnie. Odchyliłam się do tyłu i wyobraziłam sobie, jak mogłaby naprawdę wyglądać: drobna, potulna kobiecina ubrana w bezkształtny stary płaszcz, mówiąca ciężką gwarą, wątpiąca w swoje zdolności umysłowe i fizyczne wskutek trudnych przeżyć z dzieciństwa. A może wyglądała tak, jak odnalazł ją jej gospodarz – czerwone, spiczaste szpilki dziurawiące asfalt, spódniczka ledwie zakrywająca zgrabny tyłek, sukienka za dwieście funtów, a na szyi złoto warte dwa tysiące funtów. Niektóre – nieliczne – miały dość odwagi, by poruszać się po mieście w takim stroju, ale nawet najbardziej próżne nie robiły tego tak od niechcena.

– Jesteś selekcjonerką? – spytała znowu. W głosie zabrzmiała nuta niecierpliwości, więc odpowiedziałam, że tak.

– Potrzebuję mężczyzny.

Przewyciężyłam naturalne skojarzenie i wskazałam krzesło po przeciwnej stronie biurka. Proszę usiąść, jak mogłabym...

Zbyt jej się śpieszyło, by bawić się w uprzejmości.

– Młodego, silnego, zdrowego, z kompletem badań medycznych. To ważne. Potrzebuję EKG, analizy krwi, testu pojemności płuc, badań na alergię. Sądzisz, że mogłabyś mi znaleźć jakiegoś byłego wojskowego?

– Z pewnością się postaram. Na krótko czy na długo?

– Na krótko. Historia rodziny nie ma znaczenia. Zależy mi na blondynie. Lubię blondynów. Ale nie kręcone włosy. Bez przesadnego owłosienia na plecach. Może używać olejków i płynów do golenia, ale

nie znoszę włochatych mężczyzn.

A zatem były wojskowy o jasnych, prostych włosach, dobrze zbudowany, zdrowy jak ryba, z zamiłowaniem do brzytw. Coś jeszcze?

Zastanawiała się przez chwilę, po czym rzekła:

– Przydałoby się, gdyby miał łódź.

– Łódź?

– Coś ładnego. Jacht. Pełnomorski.

– Z pewnością mogę poszukać, panno...

Spojrzała na mnie, jakby zobaczyła mnie po raz pierwszy w życiu.

– Słucham?

– Jak się mam do pani zwracać, panno...

Popatrzyła na siebie, jakby zdziwiona pytaniem i tym, że zwracam się do niej w rodzaju żeńskim. Później spojrzała na mnie z zaskoczeniem.

– Skąd mam wiedzieć, kurwa? Co to ma za znaczenie, kurwa?

– Jestem selekcjonerką, jedyną w okolicach Edynburga. Mam wielu klientów, a ponieważ wygląd może się bardzo szybko zmieniać, prowadzę listę klientów, by w przyszłości się do niej odwoływać.

– Imię?

– Gdyby mogła je pani podać.

Zastanawiała się przez chwilę i w końcu się uśmiechnęła.

– Nazywaj mnie Tazsa. Nie – Tulia. Moim zdaniem Tulia lepiej pasuje. – Później uśmiech zgasł i dawne wspomnienia zniknęły pod burzliwymi falami terażniejszości. – A teraz załatw mi kogoś pięknego.

Opłata za wykonanie zlecenia wynosiła pięćdziesiąt tysięcy funtów.

Znalazłam Eddiego Pearce'a, byłego żołnierza piechoty morskiej uwielbiającego żeglarstwo. Był tak umiejętny, że wyglądał, jakby mógł bez trudu wyważyć drzwi i podnieść biurko jednym palcem.

– Podoba ci się to, co widzisz? – spytałam.

Tazsa – a może Tulia – klasnęła w dłonie z zachwyconą miną i zawołała:

– Jest piękny! Jest taki piękny! Tak, chcę go!

Wolno spytać, po co?

Jak to po co? Cóż to za pytanie? Chcę go, bo to on! Chcę go, bo

wszystko w nim jest godne zazdrości, całe jego ciało jest przystojne i miłe, a jego życie jest fantastyczne. Chcę go, bo żegluje z twarzą owiewaną przez wiatr, bo kochają go kobiety, mężczyźni podziwiają, a gdy idzie po mieście, oglądają się za nim nieznajomi. Chcę go, bo się nudzę, bo jest czymś nowym. Chcę go, bo jest piękny. Nie rozumiesz? Nie kochasz go?

Tak, odpowiedziałam. Rozumiem.

– Ale czy go kochasz? – spytała.

– Jeszcze nie. Ale może mogłabym go pokochać.

Uśmiechnęła się, słysząc te słowa, i splotła dłonie na piersi, jakby chciała powstrzymać narastającą radość.

– Już go kocham – szepnęła. – Wiem, że on też mnie pokocha.

Dwa dni później wypłynęła jego jachtem z zatoki Firth of Forth, kierując się w stronę otwartego morza.

Po czterech dniach rybak z Dundee i jego załoga natknęli się na dryfujący jacht. Kiedy przesłuchano szypra, wyglądał, jakby połknął żywcem własne ryby i czuł w brzuchu ich poruszenia. Opowiedział najcichszym szeptem o rzeczach, które widział, i dodał, że jest wdzięczny, bardzo wdzięczny, że musnął rękę jedynej żywej osoby na pokładzie jachtu, po czym zemdlął i ocknął się dopiero na brzegu.

Wiedząc, że nie chcę się tym zajmować, i wiedząc, że nie mam wyboru, przeczytałam protokół sekcji zwłok Eddiego Pearce'a. Ciało poddawano przez dwa dni niewyobrażalnym torturom pod pokładem jego własnego jachtu, stosując różnego typu narzędzia. Jednak koroner doszedł do wniosku, że w jakiejś mierze musiało się to odbywać za zgodą zmarłego, bo chociaż ciało całkowicie zmasakrowano, to jednak zadało ono podobne rany i podobny ból kobiecie, którą znaleziono ledwo przytomną obok trupa. Kiedy rybak wyniósł ją na pokład, wyszeptała tylko:

– Podoba ci się to, co widzisz?

*

Trzy dni później opuściłam biuro w Edynburgu i stałam się kimś innym, stojącym na peronie kolejowym.

Dwa dni później działającej w Genewie organizacji przesłano

anonimowo pewien dokument. Zawierał on listę rachunków bankowych w różnych częściach świata. Ostatniego przelewu, na kwotę pięćdziesięciu tysięcy funtów, dokonano na rzecz biura pośrednictwa obrotu nieruchomościami w Edynburgu, choć gdyby ktoś zechciał to sprawdzić, przekonałby się, że biuro to w ogóle nie istnieje.

*

Janus wspomniała, że sprzedałam Galileusza.

Potwierdziłam.

Dobrze. Trzeba mieć do tego jaja.

Wyjaśniłam, że przekazałam jego dane Aquariusowi. Nie nazywał się wtedy Aquarius; była to po prostu grupa zabójców realizująca pewien plan. Później stali się Aquariusem. Dałam im wszystko, co potrzebne, by go wyśledzić – ujawniłam rachunki bankowe, z których korzystał, gdy przebywał w różnych ciałach.

Powiedziałam, że właśnie dlatego próbował mnie zabić w Miami, właśnie dlatego zginęło tylu ludzi.

Myślałam, że pomagam Aquariusowi zniszczyć Galileusza, lecz w istocie rzeczy pomagałam jemu.

Rozdział 67

Wróciłyśmy w milczeniu do hotelu.

Kiedy zostałam sama, położyłam się na łóżku, przejrzałam swój beużyteczny portfel, włączyłam telewizor, rzuciłam okiem na kilkanaście kanałów. Polityka w Brukseli, piłka nożna w Marsylii, piękni gliniarze w Ameryce, niebezpieczni bandyci w Rosji, zatroskani dziennikarze przed szkieletem wypalonego budynku gdzieś tam...

Ciekawe, czy Sebastian Puis by się tym przejął?

Jego twarz widoczna w lustrze wyglądała, jakby był zdolny do wyrzutów sumienia, ale pokryty lekkim zarostem podbródek sugerował, że prawdopodobnie szybko odzyskałby równowagę.

Hotelowa pasta do zębów jest ziarnista i zostawia nieprzyjemny posmak.

Przygasiłam światło i słuchałam opowieści o recesji i rozwoju, lokalnych historyjek o szczerbatych dzieciach, które świetnie rysują zwierzęta, i starszych paniach walczących z psimi kupami na trawnikach. Kiedy przestałam uważać, spiker odchrząknął i przeszedł do kolejnego doniesienia, na którego wcześniejszą zapowiedź jakoś nie zwróciłam uwagi.

Dwa obrazy, bardziej sugestywne od słów.

Reporterka stojąca w silnym wietrze przed Bramą Brandenburską i trzęsąca się z zimna. Za jej plecami policjanci, wokół ekipy telewizyjne.

Obraz ekranu komputera, na którym pojawia się niewyraźny film.

Wysłuchałam dziennika, mocno zacisnęłam pasek hotelowego szlafroka i zeszłam do foyer. Dziewczyna w recepcji wydawała się senna, komputer przy windzie był wolny. Szybko znalazłam film, który ładował się przez chwilę. Wideo stanowiące główną część wiadomości wstawiono na YouTube przed sześcioma godzinami, po czym wycofano i udostępniono ponownie, wycofano i jeszcze raz udostępniono. Po piętnastej reinkarnacji miało trzysta czterdzieści siedem tysięcy sto

dwanaście wyświetleń i ich liczba szybko rosła.

*

Film wykonano smartfonem.

Jego właściciel macha radośnie ręką, widać od dołu jego ogromną twarz, a później mówi po niemiecku:

– To dla ciebie.

Ciąg podłóg i ścian, następnie umieszcza smartfona na niewidzialnej podstawce. Stoi przed Bramą Brandenburską, zalany jaskrawym światłem, po czym wkłada rękę do dużej czarnej torby i wyjmuje kanister z benzyną. Oblewa się nią z szerokim uśmiechem, włosy przylepiają mu się do twarzy, benzyna ścieka po garniturze. Kiedy opróżnia kanister do ostatniej kropli, znów macha ręką do kamery i rozkłada ramiona, by widzowie mogli im się przyjrzeć.

Okrzyk poza kadrem i twarz właściciela smartfona się rozpromienia.

– Proszę podejść, przyszedł pan w samą porę! – woła, kiwając ręką. Wyjmuje z kieszeni zieloną zapalniczkę, po czym w kadrze pojawia się strażnik. Trzyma jedną rękę na pistolecie znajdującym się w kaburze, a drugą wyciąga w stronę mężczyzny, próbując go uspokoić. – Proszę się uśmiechnąć! – woła właściciel smartfona. – Będzie pan sławny.

Strażnik wypowiada przewidywalne słowa, stara się uspokoić mężczyznę, proszę, niech się pan uspokoi, pomogę panu. Nie ośmiela się zbliżyć, cofa się, gdy mężczyzna obraca się w kałuży rozlanej benzyny, ciesząc się z wrażenia, jakie robi. Nagle się zatrzymuje, patrzy na strażnika pustym wzrokiem i mówi:

– Niech pan mi pomoże.

Strażnik się waha. Kto by się nie wahał?

– Niech mi pan pomoże – powtarza mężczyzna, wyciągając błagalnie rękę. – Niech pan mi pomoże, proszę!

Strażnik to dobry człowiek. Staje na skraju rozlanej benzyny, wyciąga rękę i muska palcami błagalnie wyciągniętą dłoń.

Właściciel smartfona chwieje się na nogach i w tej samej chwili wyciągnięta dłoń strażnika zwija się w pięść. Uderza mężczyznę

w szczękę, przewracając go na ziemię.

Następuje to w dziewięćdziesiątej pierwszej sekundzie filmu.

Ekran wypełniają komentarze w rodzaju:

OMG 1.31!!

albo

Wow, myślałem, że to się skończy inaczej 1.31.

Stu pięćdziesięciu trzech użytkowników posunęło się nawet do tego, by oznaczyć film kciukami uniesionymi w górę. Zastanawiam się przez chwilę, czy widzieli dalszy ciąg.

Strażnik wyciąga rękę i wyjmuje zapalniczkę z dłoni leżącego mężczyzny. Milczy i ma spokojną, skupioną twarz. Cofa się na skraj kałuży, a właściciel smartfona unosi wzrok i mruga oczami ze zdezorientowaną miną, jakby nie wiedział, gdzie się znajduje.

Tymczasem strażnik otwiera zapalniczkę, spogląda prosto w obiektyw i szepcze:

– Podoba ci się to, co widzisz?

Johannes Schwarb, siedzący w kałuży benzyny, z zaskoczonym wyrazem twarzy i otwartymi ustami, zaczyna krzyczeć, nim płomień dolatuje do ziemi.

Strażnik czeka, aż zwłoki się dopalą, po czym wyciąga rękę, bierze wciąż działający smartfon i odchodzi.

*

Janus spogląda w milczeniu na film. Z odrazą, lecz bez zdziwienia.

– Dla kogo? – pyta, gdy ekran gaśnie.

– Co takiego?

– Powiedział, że to dla ciebie. Czyli kogo?

– Och – wzdycham, przez chwilę zdezorientowana. – Dla mnie.

Jasne, że dla mnie.

Rozdział 68

Ciało Sebastiana Puis nie spało tej nocy.

Przeskakiwałam z gospodarza do gospodarza, noc po nocy, nigdy nie śpiąc, i chociaż moja skóra jest świeża jak wiosenny kwiat, jednak jestem zmęczona. Jedyne wnioski, jakie mogę wyciągnąć, sprowadza się do tego, że umysł – jeśli w luźny sposób można mnie tak określić – potrzebuje snu tak samo jak włókna mięśniowe, nerwy i komórki produkujące hormony.

Kiedy zeszłam na śniadanie, mając mętne poczucie, że jest świt i należy coś zjeść, z lekkim zdziwieniem spostrzegłam, że w jadalni nie ma Janus. Nikt nie odpowiedział na pukanie do jej drzwi, a recepcjonista wymamrotał:

– Tak, wyszła dziś rano. Zostawiła dla pana wiadomość.

Żółta papeteria hotelowa, dziecięcy, kulfoniasty charakter pisma:
Wychodzę. Obiad, Saint-Guillaume, rue de la Garde 53, piąta po południu? xx

Obiad i pocałunek.

– Gdzie jest Saint-Guillaume? – pytam ze znużeniem.

Recepcjonista spogląda na mapę.

– Ma pan samochód?

– Nie – wzdycham. – Ale na pewno ktoś mnie podwiezie.

*

Opuszczanie ciała jest niebezpieczne.

Jeśli nie potrafisz określić chwili przesiadki, szukaj jej symptomów. Znajdź mężczyznę, który pojawił się w szpitalu przestraszony, cierpiący na amnezję, i spytaj: Jaka jest ostatnia rzecz, którą pan pamięta? Kto ostatnio pana dotknął?

W sytuacji, gdy ciało należy zostawić bez wywoływania typowych oznak, które mogą zwrócić uwagę, polecam duże dawki narkotyków lub środków nasennych.

O Francuzach można mówić różne rzeczy, ale mają dobrze zaopatrzone apteki.

*

Powoli przespacerowałam się po mieście, kupując w różnych miejscach lekarstwa – tu środek nasenny, tam środek przeciwbólowy, aż moja torba uginała się pod ciężarem groźnych medykamentów. Odwiedziłam katedrę, przeczytałam fragment książki i zdołałam się powstrzymać od edytowania zawartości iPoda Sebastiana. Kupiłam mapę okolicy i butelkę wody, schowałam je do szarej papierowej torebki i usiadłam na ławce naprzeciwko wejścia na ostry dyżur szpitala uniwersyteckiego.

Kiedy lunął deszcz padający ukośnie od strony morza, sięgnęłam do torby, wyjęłam garść tabletek i połknęłam je wszystkie, popijając wodą. Oczekałam dziesięć minut, by osłonki rozpuściły się w żołądku, po czym wstałam, zostawiając mapę pod ławką. Z zaskoczeniem spostrzegłam, że ledwo poruszam nogami i że mam wielką ochotę wybuchnąć śmiechem. Ruszyłam chwiejnie w stronę wejścia na ostry dyżur.

Rejestratorka siedząca w recepcji miała twarz zniechęcającą do zgłaszania się do szpitala w nagłych przypadkach. Zmarszczone brwi sugerowały, że znacznie lepiej cierpieć na przewlekłą chorobę niż prosić o pomoc. Uśmiechnęłam się promiennie, pochyliłam się nad biurkiem i z mojej torby wysypały się stosy opakowań z lekarstwami.

– Cześć! – powiedziałam. – Jestem na kompletnym haju! Mogę uścisnąć pani dłoń?

Przesiadka z trzeźwego ciała do ciała pijaka jest nieprzyjemna.
Skok w odwrotną stronę bywa jeszcze bardziej przykry.
Czasem jest to konieczne.

*

Po piętnastu minutach – dziesięć spędziłam w toalecie, przypominając sobie, że mdłości to reakcja psychologiczna, a nie fizjologiczna – stałam się pielęgniarką o prostych plecach, noszącym przykrótkie spodnie i mającym w kieszeni kluczyki do samochodu.

Odnalazłam auto po pięciominutowym spacerze po parkingu, wypatrując błysku migaczy. Zatrzymałam się, wyłączyłam komórkę, wyjęłam spod ławki mapę, a później wsiadłam do samochodu pachnącego tak jak ja i pojechałam na północ w stronę Saint-Guillaume.

Rozdział 69

Kiedyś w Mediolanie byłam kobietą o przystojnej twarzy i gęstych brwiach, które wydawały się strofować ludzką głupotę. Miałam małego żółtego mini, ale gdy po raz pierwszy usiadłam za kierownicą, ze zdziwieniem spostrzegłam, że zagłówek jest za wysoko, a hamulce za blisko: moje kolana obijały się o kierownicę. Fotel przesunięto do przodu, co sprawiało, że siedziałam jak kierowca rajdowy, i po dwóch minutach jazdy musiałam zatrzymać auto, poprawić każdy element, zmienić położenie każdego lusterka. Przywróciwszy wygodę i bezpieczeństwo, spędziłam cztery wspaniałe godziny, uczestnicząc w najmodniejszych przyjęciach w mieście, aż w końcu podszedł do mnie piękny nieznajomy mężczyzna w garniturze i powiedział: „Cześć!”. Kiedy zaczęłam go podrywać, okazało się, że to mój brat, zaniepokojony moim zachowaniem.

Nieco zawstydzona, szybko zmieniałam ciało, a moja dotychczasowa gospodyni kontynuowała codzienne życie, nie zdając sobie sprawy, że ukradłam jej trochę czasu. W końcu wsiadła do samochodu i natychmiast uderzyła w bok policyjnej furgonetki. Zabrano ją, wrzeszczącą, najpierw do szpitala, a potem do aresztu.

Przyzwyczajenia, które ludzie uważają za normalne, czasem bywają zadziwiające.

*

Jadę na północ. Deszcz przybiera na sile, przednią szybę samochodu zalewają potoki wody, droga zmienia się w szarą topiel, niebo staje się czarne, a góry niewidoczne. Myślę o Galileuszu.

Rozdział 70

Saint-Guillaume.

Nigdy tu wcześniej nie byłam. Wątpię, czy znowu się pojawię.

Lampy przymocowane żelaznymi klamrami do ścian na stromej ulicy przypominały bąbelki rózu wiszące w nocnym powietrzu.

U stóp wzgórza znajdował się jeden otwarty sklep, którego tylne drzwi wychodziły na szumiącą górską rzekę. Ulice były puste, tylko gdzieś w otwartych drzwiach zauważyłam sylwetki palaczy. Zaparkowanie samochodu okazało się trudne, a odnalezienie drogi wśród krętych zaułków i schodów prawie niemożliwe. Stałam pod łukiem kościoła i spoglądałam w mrok, wypatrując rue de la Garde. W końcu wskazała mi drogę stara kobieta z parasolką, bezużyteczną w zacinającym deszczu; kazała mi zejść z powrotem ze wzgórza i okrążyć piekarnię. Budynek miał zamknięte okiennice, a na chodniku stała furgonetka dostawcza zaparkowana na noc. Ślizgałam się na chodniku, posuwając się z trudem do przodu i trzymając płaszcz nad głową. Szukałam numeru pięćdziesiąt trzy, aż wreszcie zobaczyłam oświetlone okna. Zastukałam do drzwi i czekałam, by mnie wpuszczono.

– Otwarte!

Męski głos wołający w środku. Nacisnęłam klamkę i drzwi otworzyły się ze zgrzytem: ciężkie drewno szorowało po granitowej posadzce. Ogień buzujący na kominku, niski sufit, zapach cebuli unoszący się w powietrzu. Zaczęłam szukać wzrokiem szyldu restauracji i żadnego nie zauważyłam, zobaczyłam za to schludnie nakryty stół jadalny, biały, starannie wykrochmalony koronkowy obrus. Na środku blatu stała butelka, w której tkwiła zapalona świeca. Otwarte drzwi, przekrzywiony trapez wiszący na framudze, z ciepłego wnętrza dochodził zapach gotowanych potraw i wina.

– To ty? – zawołał głos tego samego mężczyzny.

– Greta? – spytałam.

– Rozstałam się z nią. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko

temu.

Strząsnęłam wodę z płaszcza obok kominka i rozejrzałam się po pomieszczeniu: dekoracyjne talerze stojące w serwantce przy ścianie, krucyfiks obok półki, fotografia dzieci i psów na okrągłym stole pod oknem.

– Co się dzieje, Janus? – zawołałam.

– Kolacja! – odpowiedziała. – Kilka miesięcy temu przyjechałam tu na wakacje i nagle przypomniałam sobie to miejsce: idealne, pomyślałam, absolutnie idealne! Doskonała kryjówka.

Zdjęłam buty przy kominku, poruszyłam palcami nóg i poczułam, że z moich skarpetek cieknie woda. Z kuchni dobiegło skwierczenie i buchnął kłęb pary. Ruszyłam w tę stronę, przeszłam z pochyloną głową przez drzwi i zobaczyłam Janus.

Była wysokim mężczyzną z lekko zgarbionymi plecami. Nosila czarną koszulę z długimi rękawami o ciasnych mankietach i czarne spodnie wsunięte w duże futrzane ranne pantofle. Trzymała w ręce rondel z wieprzowiną duszoną w winie, a obok perkotały gotujące się ziemniaki.

– Możesz mi podać butelkę? – zawołała.

Wskazała otwartą flaszkę wina. Podałam ją bez słowa. Palce, którymi ją ujęła, były pokryte żółtawymi, nierównymi bliznami.

– Dziękuję. – Wlała wino do syczącego rondla, po czym wypić duży łyk. – Podoba ci się to miejsce? Po przejściu na emeryturę zawsze chciałam zamieszkać w małej wiosce w górach.

– Emeryturę? Po co?

– Sama nie wiem. Tak sobie. Dwa razy próbowałam przechodzić na emeryturę, ale się nudziłam. Polityka, polityka, polityka... Wiesz, jak trudno zorganizować na wsi dzień wspólnego pieczenia ciast?

– Niespecjalnie.

– Koszmar! – wykrzyknęła. – Każdy zawsze chce być przywódcą! Wzięłam butelkę wina i powąchałam.

– Mogę?... – spytałam cicho.

– Poczęstuj się.

Trzęsła mi się ręka, gdy nalewałam wino, choć ta reakcja nie miała żadnych sensownych fizjologicznych przyczyn.

Odwróciłam się, trzymając w ręce kieliszek, i popatrzyłam w oko mężczyzny. Miał tylko jedno – drugie dawno temu usunięto albo zasłonięto zygzakowatą tkanką, która pokrywała twarz i szyję, niknąc pod kołnierzykiem koszuli. Mogło to być piękne oko, lazurowe jak niebo, lecz teraz kryło się w zmasakrowanej twarzy. Janus zerknęła znad rondla, czując moje spojrzenie, po czym uśmiechnęła się i gotowała dalej.

Kołysałam kieliszkiem, trzymając go czubkami palców za nóżkę.

– Co jest na kolację?

– Wieprzowina, papryka, czerwone wino, żółta fasolka, purée ziemniaczane, jarmuż i deser niespodzianka.

– Nie jestem pewna, czy poradzę sobie z następnymi niespodziankami.

– Jesteś silna, Kepler. Dasz sobie radę.

W cienkie, nierówne szyby w oknach uderzał deszcz, wypełniając noc hałasem.

– Gdzie zostawiłaś Gretę? – spytałam.

– W pociągu do Narbony.

– Dobry pomysł.

– Spodziewałam się, że to zaaprobujesz. Dotarcie do Saint-Guillaume zajęło mi trochę czasu, ale jestem czysta. Gdzie zostawiłaś... tego, kimkolwiek był.

– W szpitalu.

– Kim jesteś, jakimś...

– Pielęgniarem.

– A ty?

– Marcel... jakoś tam. Trochę samotnik.

– Rozumiem. Uszkodzenia chemiczne czy mechaniczne?

– Wybuch gazu – odpowiedziała, wzruszając ramionami. – Mam przeszczepioną skórę i ekspandery wszczepione w plecy. Słyszałaś o tej technice? Są wypełniane roztworem soli fizjologicznej, w ciągu kilku miesięcy skóra w naturalny sposób się rozciąga, po czym część można wyciąć i przeszczepić w ciekawsze miejsce. Fascynujące, naprawdę.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Spędziłam sporo czasu w szpitalach. – Ostry brzęk metalu, gdy

Janus uderzyła łyżeczką w krawędź rondla. – Pomieszaj, dobrze?

Mieszałam.

– Skoro ciągle przeszczepiają mu skórę, domyślam się, że oparzenia są dość świeże, tak?

– Dość.

– Bardzo cię boli?

– W sypialni jest morfina.

– Brałaś ją dziś?

– Nie.

– Przynieść ją?

– Nie.

– Mam kogoś przyprowadzić?

– Nie.

Kartofle unosiły się, kartofle opadały na dno, mieszałam.

Janus splotła pokryte bliznami ręce. Mały palec lewej ręki był skrócony. Podobnie kciuk. Pozostały tylko trzy długie palce, które nie pasowały do sąsiednich.

– Kolacja gotowa!

Zaniosłam talerze do jadalni. Janus przygotowała fantastyczną ucztę. Wieprzowina była krucha, ziemniaki miękkie, jarmuż pieprzny, a sos okazał się pyszny. Spytałam, gdzie się nauczyła tak gotować.

Odpowiedziała, że od żony.

Żony?

Tak, odpowiedziała. Mojej żony Pauli. Poślubiłam ją.

Koło kominka tykał stary zegar odmierzający sekundy, a Janus zbierała końcem skróconego palca sos i papkę z ziemniaków.

Widziałaś ją później? – spytałam. – Widziałaś Paulę Morgan, kobietę, którą poślubiłaś?

Nie żyje.

Nie żyje?

Nie żyje. Michael Morgan przeżył, Paula Morgan umarła. Może nie mogła znieść utraty mężczyzny, którego kochała? W skorupie po jej mężu znajdowało się dwudziestojednoletnie wrzeszczące dziecko. Może była zmęczona? Może po prostu miała dość? Kto wie, jak wygląda życie małych ludzi?

Janus znów przesunęła czubek palca wokół talerza, nabierając trochę sosu. Język, który wystawiła, by go zlizać, był wstrząsająco normalny, różowy i nietknięty. Dolna warga opadała, lewa strona była grubsza od prawej, jakby szczur pożarł Marcelowi we śnie połowę ust.

Powiedziałaś, że spędziłaś sporo czasu w szpitalach.

Tak.

Rozmawiałam z Osako w Paryżu.

Kochałam Osako, odpowiedziała Janus. Osako miała śliczne palce.

Wspomniała o torbielach.

Tak. To był kłopot.

A Miami...

Czy musimy rozmawiać tylko o przeszłości, Kepler?

...w Miami twoja gospodyni na „Fairview Royale”. Nie miała włosów i myślałam, że to taki styl, ale teraz sobie przypominam, że nie miała również brwi. A co z Gretą? Interesujący wybór, starsza niż twój zwykły Adonis o jędrnym tyłku, tyle makijażu na takim kruchym ciele...

Janus zlizuje sos z krawędzi talerza. Mówi, że czasami dobrze spróbować czegoś nowego.

– Janus, czy jest coś, co chcesz mi powiedzieć? – Odkładam na bok widelec i przyciskam dłonie do kolan.

– Ależ oczywiście, kochanie – odparła. – Umieram.

– Jak się z tym czujesz?

– Dobrze. Naprawdę dobrze. To chyba najlepsza rzecz, jaka mi się zdarzyła od pewnego czasu.

– Ale nigdy nie doszłaś do samego końca.

Lekkie westchnienie.

– Jeszcze nie.

– Torbiele Osako nie były zwykłym problemem.

– Tak.

– Ale uciekłaś. Pan Petrain miał taki śliczny tyłek. Wiesz, gdybyś chciała skoczyć z dachu, na pewno znalazłabyś kogoś śmiertelnie chorego na... cokolwiek... kto byłby gotów na wielki lot.

– Próbowowałaś kiedyś? Stałaś na krawędzi, patrzyłaś w dół, czułaś, że wszystko mogło się potoczyć inaczej?

– Nie śpieszę się, by umrzeć.

- A jednak.
- Wydaje mi się, że masz wizję, ale nie determinację.
- Kepler...
- Nazywam się Samir.

Obracała kciukiem i dwoma palcami nóżkę kieliszka. Kiedy jadłyśmy kaczkę w Montpellier, Greta robiła to samo. Przypomniałam sobie o tym dopiero po chwili i przestałam się dziwić.

- Zebrałaś dużo informacji o Samirze, prawda?
- Niespecjalnie.

– Niedbale jak na selekcjonerkę. Zawsze się zastanawiałam, dlaczego się tym zajmujesz. Na pewno nie dla pieniędzy ani ciał: mogłabyś je zdobyć w inny sposób. Z ciekawości?

– Coś w tym rodzaju. – Trudno mi było oderwać wzrok od kieliszka, który obracał się w palcach Janus. Odezwałam się, żeby o tym nie myśleć: – Łatwiej przebywać w ciele, gdy się zna jego przyjaciół. Wybór skóry powinna poprzedzić krytyczna analiza; często jesteśmy do niej tragicznie niezdolni. Może... ważna jest też bliskość? Wyobraźmy sobie, że postanowię zostać neurochirurgiem. Nie jestem zainteresowana operowaniem ludzkich mózgow, nie na tym polega sens bycia neurochirurgiem. Chcę być osobą podziwianą przez kolegów po fachu, uwielbianą przez studentów, fascynującą dla nowych przyjaciół z powodu swojego mistrzostwa. Czy kocham swoją matkę? Czy mój uśmiech jest szczery, czy wymuszony? Czy pod konwencjonalnymi brązowymi spodniami noszę fioletowe majtki w kropki? Patrę na ludzi w taki sam sposób jak architekt na wielki dom. To rozwalająca się rudera... to pałac czekający na lokatora... to maleńka chatka pełna goryczy, złości i oszustw, a to bliźniak wciśnięty między podobne budynki. Oglądam ich filmy, dotykam ich ubrań, wącham ich mydło – jest coś pięknego w wyborze mydeł dokonywanym przez obcych ludzi. Taka wiedza tworzy bliskość, nasza natura pozwala nam beznamytnie patrzeć na grzechy innych i nie brać ich pod uwagę, a bagaż historii nie czyni nas ślepyimi na cuda pojawiające się przed naszymi oczami. Selekcjoner spogląda na ludzi, cudownych, pełnych, przeżywających swoje życie, a jeśli patrzy dostatecznie długo i uważnie, przez chwilę wreszcie może coś rozumieć. Jak to jest... gdy nie jest się tylko skórą,

lecz osobą. Pełnym człowiekiem, aż do dna serca.

Janus w dalszym ciągu trzymała w dłoni kieliszek i wpatrywała się w moją twarz. W końcu:

– Nigdy nie czułaś pokusy, by przeżyć całe życie? Dziesięć, dwadzieścia lat, długoterminowy gospodarz?

– Nigdy nie potrafiłam wytrzymać.

– Dlaczego?

– To było trudne.

Cisza, z wyjątkiem tykania zegara i plusku deszczu. Później, z ostrzegawczą nutą w głosie:

– Kepler...

– Nie nazywaj mnie w ten sposób.

– To twoje imię.

– W aktach.

– To ty.

– Nazywam się Samir Chayet.

– Nie, to nieprawda.

– Mam to napisane w prawie jazdy.

– Nie, to nieprawda! – Janus uderzyła pięścią w stół, aż podskoczyły sztućce. Chwyciłam swój kieliszek, nim się przewrócił, a potem uniosłam głowę i zobaczyłam jedno lśniące oko wpatrzone we mnie nad stołem. – Kim jest Samir Chayet? – syknęła. – Kto to? Czy jest oschły, dziwaczny, dowcipny? Czy to wspaniały kochanek, znakomity tancerz, piekarz sprzedający podejrzane ciastka? Kim jest dla ciebie Samir Chayet, kurwa?! Jak śmiesz go znieważać, przyjmując jego nazwisko, ty bezużyteczny pasożycie?!

Trzymałam kieliszek za dolną część nóżki i czekałam na dalszy ciąg. Janus wypuściła powietrze i zadygotała nie tylko z wysiłku, zamknęła oko, zacisnęła palce na krawędzi stołu, a później znów powoli zaczerpnęła tchu.

– Budzisz we mnie odrazę – szepnęła z zaciśniętymi zębami.

– W porządku. Ja też za tobą nie przepadam.

Śmiech, który błyskawicznie zmienił się w jęk bólu.

– Przyniosę ci trochę morfiny – rzekłam. – Mogę...

– Nie.

- Cierpisz.
- Nic się nie dzieje. To... dobre.
- Jak to dobre?
- Zostaw tę pieprzoną morfinę! – ryknęła, aż się wzdrygnęłam.

Oddychała ciężko, próbując się uspokoić, a później spojrzała w bok i spytała:

- Powiedz mi, co wiesz o Samirze Chayecie?
- Czemu?
- Powiedz, co wiesz.
- O co ci chodzi?
- Kepler – Samir – cokolwiek. Powiedz.
- Ja... niewiele. Jest pielęgniarzem w szpitalu uniwersyteckim.

Kończył dyżur, trzymał w ręce kluczyki do samochodu. Potrzebowałam samochodu. Jest mi wygodnie. Skorzystałam z okazji, nic więcej.

Marcel...

- Nazywam się Janus.
- To śmieszne imię.
- Doprawdy? – szepnęła. – Raczej mi się podoba. Moim zdaniem...

ma swoją wagę. Czas i władza.

– Janus, co się tu dzieje, do cholery? – Zacisnęłam palce na krawędzi stołu.

Otworzyła oczy, ale w zniekształconej twarzy nie było gniewu ani żądzy zemsty, jedynie chłodna rezygnacja. Spoglądała na mnie pustym wzrokiem.

– Galileusz nadchodzi. – Zesztywniałam. Nie oddychałam, nie wydawałam żadnego dźwięku, nie odpowiedziałam. – Zadzwoiłam do Osako: ona również była wygodna. Zadzwoiłam, powiedziałam, że nazywam się Janus, przeprosiłam, oznajmiłam, że dobrze jej życzę, że mam odłożonych trochę pieniędzy i że może je wziąć, jeśli ma ochotę: nie będę ich już potrzebować. Płakała, a potem przerwała połączenie. Myślę, że mogła płakać wystarczająco długo.

– Wystarczająco długo na co? – Nie odpowiedziała. Wstałam, nie zdając sobie sprawy, że to robię. – Wystarczająco długo na co?

Westchnienie, przeciągnięcie się, błyskawica bólu.

– By Aquarius namierzył numer telefonu – odpowiedziała. –

Wystarczająco długo na to.

– Kiedy?

– Chyba trzy godziny temu... – Liczba wydawała się wzięta z powietrza.

– Czy... – Dalsze słowa uwięzły mi w gardle.

– Czy o tobie wspomniałam? Nie. Ale teraz już za późno na ucieczkę: tylko zwróciłabyś na siebie uwagę. Moim zdaniem najważniejsza kwestia polega na tym, jak dobrze znasz Samira Chayeta.

– Dlaczego? Dlaczego to zrobiłaś?

– Kepler – Janus mówiła tonem ojca, którego smuci świadectwo szkolne syna – jesteś handlarką niewolników. Morderczynią. Złodziejką czasu. Ale nie chodzi nawet o ciebie. Zanadto się cenię, by się mścić na przelotnej znajomej takiej jak ty. Musisz rozumieć, że chociaż cię nie znoszę, nawet więcej – tysiąc razy więcej – budzę niesmak w samej sobie. Jestem naprawdę odrażająca. Jeśli uzbrojeni mordercy są gotowi zrobić to, co od dawna chciałam zrobić sama, lecz brak mi odwagi, jest to tak rzadki przywilej, że nie ośmielę się z niego nie skorzystać.

Plusk deszczu.

Stałam, zaciskając ręce na oparciu niskiego drewnianego krzesła, aż zbieleły mi kostki. Janus znów obróciła kieliszek z resztkami wina na dnie. Wypiła. Błądziła wzrokiem po pokoju, później spojrzała na sufit, w inne miejsce.

Słowa wynurzyły się na powierzchnię i cuchnęły jak kartofle w garnku. Milczałam.

Blef.

Żart.

Sztuczka starego, zmęczonego widma, zbyt zgorzkniałego i cynicznego, by pamiętać, że za każdą parą obserwujących go oczu czai się również umysł.

Popatrzyłam na Janus, ona zaś, czując mój wzrok, odwzajemniła spojrzenie. Nie obchodziło ją, czy będę żyła, nie obchodziło ją, czy umrę, i nie kłamała.

Pobiegłam przez pokój do niskich drewnianych drzwi, wpadłam do maleńkiej toalety ze spadzistym sufitem, zerknęłam w lustro wiszące nad umywalką i popatrzyłam na twarz Samira Chayeta. Noszę ją już od

czterech godzin, lecz jeszcze nigdy na nią nie spojrzałam. Mam czterdzieści kilka lat? Proste, ciemne, krótko obcięte włosy, przystrzyżona broda – niezbyt elegancko, lecz dobrymi nożyczkami – prawie na pewno zrobiłam to samodzielnie. Moja skóra ma ciemną barwę jesionu przetartego papierem ściernym, nazwisko może być francuskie, arabskie. Można przyjąć, że algierskie, ale co dalej? Matka, ojciec, miejsce urodzenia, język, religia? Szukam na szyi krzyżyka – nie znajduję go – sprawdzam, czy na palcach nie ma obrączek ani pierścieni, wydaję z kieszeni portfel, komórkę. Wyłączyłam telefon, gdy wskoczyłam w ciało Samira; nie chciałam robić z siebie idiotki, odbierając połączenia; teraz znów go uruchamiam i przeglądam portfel. Mam pięćdziesiąt euro w gotówce, dwie karty debetowe tego samego banku, legitymację zawierającą informacje, które już znam – nazywam się Samir Chayet, jestem starszym pielęgniarzem. Czym się zajmuje starszy pielęgniarz? Wiedziałam to kiedyś, dawno temu, kiedy studiowałam medycynę w San Francisco: byłam wtedy młoda i malowałam sobie paznokcie u nóg. Czasy się zmieniły. Pozbyłam się tych paznokci, gdy znudziły mnie choroby pacjentów, a teraz Samir Chayet dysponuje zupełnie innym sprzętem, przestrzega innych reguł, których nie znam.

Kroki Janus chodzącej w pokoju. Trzy godziny to dużo czasu dla uzbrojonych ludzi mających dostęp do helikoptera. W kuchni płynie woda z kranu: Janus zmywa naczynia.

– Wiesz, że już pewnie tu są, prawda? – woła.

Pomocna informacja.

Zawartość portfela. Karty kredytowe są niebezpieczne – łatwo mnie spytać o PIN, łatwo przyłapać na pomyłce. Legitymacja biblioteczna, dwie karty lojalnościowe, legitymacja związków zawodowych, kwit z miejscowego pola golfowego.

Kim właściwie jest Samir Chayet?!

Patrzę w lustro, dotykam palcami brody, włosów, mankietu. Spoglądam w okrągłe brązowe oczy, które w dzieciństwie prosiły o więcej i nigdy nie spotkały się z odmową. Czuję swój brzuch, nieco obwisły, ale nie tak, by budziło to zażenowanie. Kiedy unoszę brwi, wydaje się, że unosi się cała skóra na głowie; gdy się marszczę, mam

wrażenie, że czoło usiłuje dotknąć nosa. Zdejmuję pokrywę spłuczki w toalecie, wrzucam do środka portfel i telefon, po czym umieszczam wieko na miejscu.

W tej chwili pytanie, kim jest Samir Chayet, nie wydaje się tak ważne jak to, na kogo wygląda.

– Jesteś gotowa na pudding? – dobiegł z kuchni głos Janus.

Spoglądałam jeszcze przez chwilę na swoje odbicie, po czym wyłączyłam światło.

– Co to takiego? – spytałam, wchodząc do kuchni. W tej chwili mówiłam po arabsku w dialekcie z Maghrebu, powoli, z trudem wymawiając słowa.

Janus stała przy zlewie, w parze żółtych gumowych rękawic na zwiędłych dłoniach, z bańkami płynu do zmywania naczyń na gorsie koszuli. Kiedy usłyszała mój głos, uniosła brwi i odpowiedziała w tym samym języku ze wschodnim akcentem:

– Deser śmietankowo-karmelowy z sosem malinowo-waniliowym.

Przygotowane przez kogoś w supermarkecie.

– Brzmi wspaniale. Mogę powycierać?

Błysk zaskoczenia w kąciку warg.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Zdjęłam z haczyka ścierkę do naczyń, stanęłam obok Janus i zaczęłam metodycznie wycierać naczynia.

– Próbowowałaś kiedyś zrobić deser śmietankowo-karmelowy? To znaczy sama? – spytałam, testując słowa przebiegające przez mój umysł, przypominając sobie ich kształt, przyzwyczajając się do swojej roli.

– Raz. Kiedy byłam gospodynią domową w Buenos Aires. Zapadł się w rondlu, wyglądał, jakby ktoś wyrzygał banany.

– To się często zdarza.

– Byłaś szefową kuchni?

– Kiedyś, przez jakiś czas.

– Z sukcesem?

– Używałam za dużo chili. Kierownictwo restauracji było rozczarowane, że nie gotuję w stylu, z którego jestem znana.

Powiedziałam im, że jest mdły i nieciekawy. Kazali mi się poprawić albo poszukać nowej pracy.

– Nie brzmi to ciekawie.

– Chciałam przetestować pewną hipotezę.

– Jaką?

– Że styl szefa kuchni ma w sobie coś opartego na biologii, to znaczy, że umiejętność lepszego wyczuwania smaków jest oparta na specyficznej chemii jamy ustnej.

– No i? – Janus z ciekawości uniosła głos i na moment przestała zmywać.

– Zupełnie nie rozumiem, o co w tym wszystkim chodzi.

Przebywałam w ciałach największych muzyków i dalej nie potrafię usłyszeć żadnej wzniosłości w Mahlerze. Nosłam ciała wielkich tancerzy i moje mięśnie były tak elastyczne, że mogłam stać na jednej nodze i bez trudu ssać wielki palec drugiej, a jednak...

– Jednak?

– Musiałam uznać, że chociaż ciało jest idealnie wyćwiczone, brak doświadczenia nie pozwala mi prezentować odpowiedniego kunsztu. Zrozumiałam, że płuca śpiewaka operowego albo nogi primabaleriny nie wystarczają, by osiągnąć doskonałość. W tym dniu przeżyłam gorzkie rozczarowanie.

– Nie chciało ci się ciężko pracować.

– Nikt nie lubi ciężkiej pracy. Chyba można powiedzieć, że brakowało mi motywacji.

Wykonywałyśmy nasze czynności w milczeniu, gdy tymczasem w pokoju obok płonął ogień na kominku.

– Wyobrażam sobie, że ucieczka źle by wyglądała – rzekła w końcu Janus.

– Słucham?

– Jeśli już tu są.

– O tak. Ucieczka wyglądałaby podejrzanie.

– Zamierzasz iść na bezczelnego? Udawać normalnego człowieka?

– Taki mam plan.

– I myślisz, że wytarcie naczyń pomoże?

– Myślę, że istoty naszego rodzaju nigdy nie współpracują. Myślę, że jesteśmy samotne. Myślę, że potrzebujemy przyjaciół... przyjaźni bardziej niż towarzystwa. Myślę, że wszyscy się boją, ale bardziej

w samotności. Za chwilę będzie pudding.

– Czeka cię niespodzianka.

Odstawiłam ostatnie naczynie na półkę i wróciłam do salonu, a tymczasem Janus wyjmowała deser z lodówki. Miałam do wyboru dwa białe talerze z puddingiem śmietankowo-karmelowym z sosem w kolorze fuksji; obok każdego leżała srebrna łyżeczka. Janus siedziała naprzeciwko mnie, nie jedząc.

Po chwili:

– Czy...

Przełknęłam następną łyżkę.

– Czy mogłabyś... – zaczęła znowu lekko drżącym głosem.

Umilkła. Kilka powolnych oddechów, a później: – Chyba wezmę teraz morfinę, proszę...

Odłożyłam łyżeczkę i usiadłam wygodnie w fotelu.

– Nie.

– Nie?

– Nie. Chcesz umrzeć – bardzo proszę. Chcesz, by ktoś dodał ci siłę, chcesz mieć publiczność w swojej wielkiej chwili – świetnie. Ale jeśli chcesz powstrzymać ból, to zupełnie inna sprawa.

Janus zacisnęła pięści, aż zbieleły jej kostki. Uśmiechała się szeroko, mrużąc oczy.

– Jak sądzisz, ile życia ci zostało, Samirze?

– Sama za mnie zdecydowałaś. Obie umrzemy. Dobrze gotujesz.

– Bardzo się starałam. Czy nie jesteś...

Jej słowa były ledwo słyszalne, dźwięki ledwo unosiły się na końcu języka, gdy nagle zgasło światło.

Nie rozległo się pstryknięcie bezpieczników ani ostry syk zwarcia. Lamy zgasły zupełnie nagle, a my siedziałyśmy razem, cienie w pomarańczowym świetle ognia. W szyby bębnił deszcz, z kranu w kuchni kapiała woda, spadając do zlewu wciąż pachnącego sztucznymi cytrynami. Popatrzyłam na miejsce, gdzie siedział cień Janus, z prostymi plecami, sztywnym karkiem, dłońmi ściskającymi krawędź stołu.

Czekałyśmy.

– Samir?

– Tak?

Janus mówiła drżącym głosem, uderzała dłońmi w drewno.

– Dziękuję.

– Za co?

– Że nie uciekłaś.

– Jak powiedziałaś, byłoby to zbyt przewidywalne.

Tupnięcie buta za drzwiami, cień przebiegający za oknem.

Przyszło mi do głowy, że woda zniszczy dywany na podłodze.

Odsunęłam talerz od krawędzi blatu, by jego zawartość się nie wylała.

– Samir? – Zająknięcie się, niepokój, coś przypominającego kwaśne łzy na zmasakrowanej twarzy.

– Tak?

– Powodzenia.

Szybę w oknie rozbił metalowy przedmiot. Zasłoniłam rękami uszy, lecz mimo to usłyszałam granat hukowo-błyskowy toczący się po podłodze. Dałam nurka pod stół, ogłuszający wybuch uderzył mnie w potylicę. Skuliłam się, podciągając kolana do podbródka i zasłaniając rękami głowę, a tymczasem frontowe drzwi wyleciały z zawiasów i rozległ się tupot ciężkich butów mężczyzn, którzy wpadli z obu stron do pokoju. Mieli spodnie wsunięte w skarpetki, rękawy przyklejone taśmą do rękawiczek. Chociaż dzwoniło mi w uszach, a w mózgu rozlegało się paniczne wycie, usłyszałam, że Janus wstaje, rozkłada ramiona i oznajmia radośnie po angielsku:

– Kocham to pieprzone ciało!

Wypowiadając to zdanie, musiała się poruszyć, musiała się rzucić do przodu, próbować kogoś dotknąć, bo rozległy się strzały pistoletów maszynowych z tłumikami, które ucichły długo po jej upadku na podłogę. Rozchyliłam powieki, usiłując z powrotem przyzwyczaić oczy do ciemności, i zobaczyłam, że Marcel leży na ziemi po drugiej stronie stołu, podziurawiony kulami – kilkanaście trafiło w pierś, jedna w gardło, jeszcze jedna w dolną szczękę i ostatnia w głowę. Mimo to napastnik nadal strzelał, puścił jeszcze trzy serie. Z koszuli Marcela tryskały krople krwi, gdy trafiały w nią kolejne pociski. W końcu zapadła cisza i słychać było tylko plusk deszczu.

Później – od początku było to nieuniknione – ktoś przyłożył kolano do moich pleców i lufę pistoletu do podstawy czaszki, a ja zaczęłam

błagać o litość, starając się jak najlepiej imitować arabski z Maghrebu.

Rozdział 71

Grupy wojskowych komandosów nigdy nie stosują półśrodków.

Skoro można zrobić kilka zwarć, dlaczego nie przeciąć kabla zasilającego?

Skoro można przeciąć jeden kabel zasilający, dlaczego nie wyłączyć elektryczności w całym mieście?

To najwygodniejsze.

Siedziałam z kolanami pod brodą, zaczynały mi drętwieć ręce związane kablem na plecach i patrzyłam na uzbrojonych po zęby mężczyzn, którzy unoszą bezwładne, zakrwawione zwłoki Marcela... kimkolwiek był... z czerwonej podłogi w salonie. Włożyli je do czarnego plastikowego worka i wynieśli. Kiedy to zrobili, stanęło nade mną kilku ich kolegów w kominiarkach i czarnych kombinezonach. Trzymali w rękach pistolety maszynowe z tłumikami, celując w moją głowę. Nie miałam pojęcia, co maluje się na ich twarzach. Od czasu do czasu błagałam. Błagałam o litość, błagałam, by powiedzieli, o co chodzi, błagałam, by zostawili mnie w spokoju. Błagałam w imieniu najdroższej, ukochanej matki, która nie mogłaby beze mnie żyć. Błagałam ze względu na swoje niespełnione marzenia. Błagałam o życie. Mówiłam językiem, którego nie rozumieli.

Jedenastu ludzi.

Do zabicia Janus wystarczyłoby mniej liczny zespół, ale było ich jedenastu: różnili się tylko wzrostem i ruchami. Przeszukali dom w świetle latarek, obejrzelni niedojedzone resztki obiadu na stole, sztucce schnące w kuchni. Obszukali moje kieszenie i nie znalazłszy dokumentów, spytali szczerliwie po francusku z paryskim akcentem: Kim jesteś? Jak się nazywasz?

Próbując naśladować francuski z algierskim akcentem, odpowiedziałam, że nazywam się Samir, Samir Chayet. Proszę, nie zabijajcie mnie!

Co tu robisz, Samirze Chayecie?

Przyszedłem się spotkać z panem Marcelem. Pan Marcel miał mi pomóc.

W czym pomóc?

W dostaniu pracy. To przyjaciel mojego kuzyna. Proszę. Nie mówię dobrze po francusku. Jestem z Algierii, Algierii, rozumieją panowie? Przebywam we Francji od niedawna. Proszę, puśćcie mnie! Czy panowie są z policji?

Nie są z policji. Jedna z postaci w czarnych kombinezonach zbliża się do drugiej, szepcze coś do ucha. Kto to taki? Co to za człowiek?

Twierdzi, że nazywa się Samir Chayet. Algierczyk. Słabo mówi po francusku. Nie ma dokumentów. Nie możemy być pewni.

Spoglądają na mnie oczy, studiują moją twarz. Jakiś głos mówi cicho: Ktoś zauważył jego zniknięcie?

Nie okazuj reakcji. Twój francuski jest zbyt kiepski, byś rozumiał rozmowę o własnej śmierci. Nie zdradź, że się boisz. Skup się na problemie, który musisz rozwiązać. Skup się na niewinności.

Później rozlega się głos z silnym cudzoziemskim akcentem i mimo bariery językowej poznaję dźwięk, poznaję sylwetkę na tle ognia, wzrost, budowę ciała.

– Nie możemy tu zostać – mówi. – Bierzemy go?

Głos wydaje się znany, bo kiedyś należał do mnie. Mówiłam nim po turecku, serbsku i niemiecku, a potem wepchnęłam temu człowiekowi skarpetkę do ust i w milczeniu przykułam go kajdankami do kaloryfera w Zehlendorfie. Działo się to wiele twarzy temu, a głos należy do Nathana Coyle'a, mordercy, zawodowego zabójcy i fanatyka. Bardzo możliwe, że oznacza to ocalenie.

– Weźcie go – odpowiada jego szef.

Wykonali rozkaz.

*

Siedziałam ze związanymi rękami i workiem na głowie na podłodze furgonetki jadącej w nieznanym kierunku i modliłam się.

Minęło dużo, dużo czasu, odkąd się ostatnio modliłam.

Kołysałam się do przodu i do tyłu, wzywając po arabsku litościwego, miłosiernego, wszechwiedzącego, wszechpotężnego

Allacha, a kiedy skończyły mi się tradycyjne inwokacje, zaczęłam bełkotać różne rzeczy, aż wreszcie ktoś w pobliżu prawie krzyknął:

– Proszę, każcie mu się zamknąć!

Dłoń w rękawiczce ściągnęła worek z mojej głowy, chwyciła mnie za podbródek i brutalnie obróciła moją głowę. Spojrzałam w oczy, które tak długo patrzyły na mnie z pogardą w lustrze łazienki, i usłyszałam znajomy głos cicho mówiący kiepską francuszczyzną:

– Siedź cicho albo zamkniemy ci gębę, rozumiesz?

Przez chwilę czułam się wręcz urażona, że mnie nie poznał, jakby w moich oczach, w ruchu tęczówki lub zwężeniu źrenicy można było dostrzec nieme słowa: Witaj, nieznajomy!

– Proszę, nie zrobiłem nic złego! – szepnęłam.

Coyle z powrotem włożył mi worek na głowę.

*

Zwolniliśmy.

Zatrzymaliśmy się.

Wyprowadziły mnie z furgonetki czyjeś ręce. Nic nie widziałam przez tkaninę zakrywającą twarz, nawet światła księżyca.

– Pustułko, pomóż mi! – zawołał czyjś głos.

Wzięło mnie pod ręce dwóch mężczyzn, po czym poprowadzili mnie po asfalcie, żwirze i wyboistej ścieżce biegnącej stromo w dół. Była błotnista i śliska, potykałam się od czasu do czasu. Plusk strumienia płynącego w dole, trzask łamanych gałązek, cichnący warkot motoru. W ciemności zaskrzeczał ptak obudzony w środku nocy przez intruzów, błoto zmieniło się w drobne kamyki, później okrągłe mokre głązy. Znalazłam się w korycie potoku, gdzie rzucono mnie na kolana.

– Proszę, nie róbcie mi krzywdy! – załkałam po francusku, potem po arabsku i znów po francusku. – Nazywam się Samir Chayet! Mam matkę i siostrę! Proszę, nie zrobiłem nic złego!

Wokół mnie poruszały się dwie – co najwyżej trzy – postacie. Przeprowadzili mnie tu, by mnie zabić.

– Błagam! – łkałam, szarpiąc więzy. – Błagam, nie róbcie mi krzywdy!

W takich okolicznościach można się zsikać. To kwestia czysto

fizjologiczna.

Szczęknięcie pistoletu obok mojej głowy. Nie tak planowałam zakończyć życie.

Janus.

Podoba ci się to, co widzisz?

– Galileusz.

Wypowiedziałam to słowo najcichszym szeptem, zabrzmiało w mroku niczym tchnienie, po czym natychmiast pojawiły się ręce, chwyciły mnie za gardło i uniosły moją głowę. Poczułam obok siebie ciało Coyle'a, który postawił mnie na nogi.

– Co powiedziałaś?! – syknął. – Co powiedziałaś?!

– Odsuń się! – warknął inny mężczyzna, szef, który, jak mogłam się domyślać, zamierzał mnie zabić.

– Galileusz! – Coyle zerwał mi z głowy worek, popatrzył mi w oczy, potrząsnął mną i ryknął: – Co wiesz o Galileuszu?!

Spojrzałam na jego twarz i szepnęłam w chłodnym mroku:

– Galileusz żyje.

Strzał w ciemności, jedno pyknięcie pistoletu z tłumikiem.

Szarpnęłam się, próbując się zorientować, gdzie trafiła kula. Trzymające mnie ręce się rozluźniły; upadłam na kolana. Podobnie Coyle. Jego twarz znajdowała się tuż obok mojej, wybałuszył oczy i otworzył szeroko usta ze zdumienia. Popatrzyłam po sobie i nie zauważyłam rany po kuli. Spojrzałam na Coyle'a i spostrzegłam, że jego kombinezon lekko połyskuje, że znajduje się na nim powiększająca się ciemna plama, która okazała się czerwona w świetle latarki.

Chrzęst butów mordercy za moimi plecami. Wydawało się, że został tylko on, jeden człowiek zamierzający zabić dwie osoby.

Popatrzył obok mnie w oczy Coyle'a.

– Przykro mi – rzekł, unosząc pistolet. – Muszę wykonać rozkaz.

Niebo się przetarło i lśniły na nim tysiące gwiazd, oświetlając strome ściany niewielkiego wąwozu. W ciągu dnia miejsce to mogło być piękne: czarne kamienie obmywane przez srebrzystą wodę. W świetle latarki przymocowanej do pistoletu z tłumikiem wydawało się miejscem samotnej śmierci.

Coyle się poruszył. Nie widziałam w ciemności, że jego ręka

znajduje się w pobliżu pistoletu, ale poczułam ruch, zobaczyłam, że latarka się obraca, usłyszałam dwa szybkie wystrzały, które oświetliły ziemię nienaturalnym żółtym światłem, usłyszałam uderzenie ołowiu w kość. Uniosłam wzrok i zobaczyłam mordercę z bronią gotową do strzału. Zrobił krok do przodu i poślizgnął się na kamieniach. Zrobił drugi i ugięły się pod nim kolana. Upadł, uderzając głową o ziemię, a jego ręka wpadła z pluskiem do rzeki.

Coyle również się przewrócił. Najpierw na twarz, lecz po chwili przekręcił się na bok na mokrych kamieniach.

*

Wysoko w górze lśniły reflektory furgonetki. Nikt nie krzyknął, nikt nie wszczął alarmu, nikt się nie pojawił.

– Coyle! – syknęłam. Słyszając swoje nazwisko, próbował unieść głowę. – Przetnij mi więzy! – Jego głowa opadła na kamienie. – Mogę ci pomóc, mogę ci pomóc! Przetnij mi więzy!

Sunęłam ku niemu na kolanach, zobaczyłam lśniąca plamę krwi na koszuli.

– Coyle!

Miał otwarte oczy, lecz nie odpowiedział. Pochyliłam się nad jego twarzą. Widać było tylko oczy: całą pozostałą skórę zabezpieczały warstwy materiału, plastiku i taśmy klejącej. Ale to wystarczyło; pochyliłam się i pocałowałam go w oczy.

Ból.

Stłumiłam krzyk, wsadziłam rękę do ust i dygotałam, czując straszliwy ból przeszywający moje ciało. Przebiegał przez napięte mięśnie szyi i skurczony brzuch, biegł w dół do kolan i docierał aż do stóp. Jego źródłem była kula, niewielkiego kalibru i spowolniona przez tłumik, lecz jednak kula, która utkwiała w moim prawym barku, w splocie nerwów wyjącających z bólu, drących na strzępy myśli i mącających zmysły. Przede mną kołysał się Samir Chayet, mrugając oczami w ciemności. Uniosłam się, wsparta na lewym ramieniu. W mojej głowie szumiała krew, a Samir zaczął szeptać: Co? Gdzie? Jak? Jego głos stawał się coraz donośniejszy, ogarniała go panika. Uklękałam i przeszukałam kieszenie na piersiach, spodnie, pas, aż znalazłam niewielkie ostrze.

– Zaczekaj! – szepnęłam. Głos mi się załamał. Samir zauważył szybko stygnące zwłoki po swojej lewej stronie, po czym zaczął krzyczeć i lamentować bez żadnego sensu. – Zaczekaj! – syknęłam znowu i ściągnęłam z twarzy kominiarkę. – Nie ruszaj się!

Westchnął głęboko, kiedy musnęłam ostrzem jego plecy, lecz zdołał powstrzymać szloch. Przyłożyłam nóż do kabla krępującego mu nadgarstki, a później go przecięłam: nagły ruch omal nie przewrócił mnie na ziemię. Samir upadł na czworaki, dygocąc, a ja przyłożyłam mu nóż do gardła.

Zastygł jak osaczone zwierzę.

– Posłuchaj! – syknęłam, najpierw po arabsku, potem po francusku, przypomniawszy sobie, że Samir, którego odgrywałam, nie był prawdziwy. – Tracę dużo krwi. Dotknij mojej skóry.

Trwoga, niezrozumienie w oczach. Obróciłam lekko nóż, przystawiając go do jego ciała.

– Dotknij mojej skóry!

Przycisnęłam ostrze do jego szyi, a on pochylił się w moją stronę. Drżały mu ręce. Kiedy musnął mój policzek, odrzuciłam nóż w ciemność i

skoczyłam.

Mocno biło mi serce, miałam zasikane majtki, spocone plecy, oczy pełne łez, ale co za błogosławiona ulga! Coyle upadł z krzykiem na ziemię, trzymając się za zraniony bark, a ja stanęłam nad nim i dotknęłam zakrwawionego kombinezonu.

– Coyle! – syknęłam, czując lepkaż na swoich rękach. – Macie apteczkę?

– W furgonetce... – jęknął. – W furgonetce...

– Jak daleko jesteście od miasta?

– Siedem, osiem kilometrów! – Miał wykrzywioną twarz, wierzgał nogami w powietrzu, wijąc się pode mną. Czasami ludzie wiją się, by uciec przed czymś, co ich przeraża, a czasami, by pamiętać, że mają ciało, a nie tylko ból. Tym razem było to jedno i drugie.

– Mogę ci pomóc! Mogę cię stąd zabrać! Twój przyjaciele cię zdradzili! Słuchasz mnie?!

Lekkie skinienie głowy, świszczący oddech.

– Mogę cię stąd zabrać, zawieźć cię do lekarza, ale musisz mi zaufać!

– Kepler? – niezbyt mądre pytanie, lecz i tak je zadał.

– Mogę ci pomóc, ale musisz mi podać hasło. – Krótki śmieszek, szybko zdławiony przez ból. – Coyle! – warknęłam. – Pustułko, czy jak się naprawdę nazywasz, zabijają cię! Mogę ci pomóc przeżyć. Podaj mi hasło!

– Aureliusz! – wystękał. – Moje hasło to... Aureliusz.

Dotknęłam nagą dłonią jego policzka.

– Jeśli kłamiesz, oboje zginiemy – szepnęłam.

– Przekonaj się.

– Potrzebuję twojego ubrania – powiedziałam, wyciągając rękę w stronę jego paska. Przycisnął zakrwawioną rękę do mojej, nie pozwalając mi rozpiąć sprzączki. – Już to wszystko widziałam. – Jego ręka się nie poruszyła. – Muszę ukryć twarz.

Cofnął dłoń i ściągnęłam mu spodnie nogawka po nogawce. Kiedy zdejmowałam koszulę, zaszeleściła jak rzep. Pod spodem nosił niebieski kombinezon z lycry, cały śliski od krwi. Spodnie miał zbyt krótkie, marynarkę za ciasną; byłam prawie zdziwiona. Naciągnęłam na głowę kominiarkę i poczułam zapach jego potu. Wzięłam pistolet, sprawdziłam magazynek, przycisnęłam mu własną koszulę do rany i poczułam, jak dygocze.

– Wszystko będzie dobrze – szepnęłam, zaskoczona spokojnym tonem swojego głosu. – Wyliżesz się.

– Nie możesz tego wiedzieć – jęknął.

Wyjęłam magazynek z pistoletu, odrzuciłam go, wsunęłam rękę do kieszeni, by nikt nie widział mojej nagiej skóry. Zaczęłam się wspinać błotnistą ścieżką, jeszcze bardziej zdradliwą wskutek deszczu, w stronę świateł furgonetki na drodze na górze.

Rozdział 72

Jak policzyłam, by zabić kalekę o imieniu Janus, do Saint-Guillaume wysłano jedenastu komandosów.

Trzech czekało obok furgonetki zaparkowanej na poboczu drogi nad strumieniem. Miała włączone reflektory. Dwóch zaczęło się już odprężać: zdjęli kominiarki i trzymali w gołych rękach zapalone papierosy. Okazało się, że to mężczyzna i kobieta. Trudno zapalić zapalniczkę w wełnianej rękawiczce, jeszcze trudniej się zaciągać w kominiarce.

Może nie wiedzą, co się zdarzyło nad rzeką?

Może im powiedziano, że śmierć Coyle'a to wypadek, a nie egzekucja?

Może po prostu wykonują rozkazy?

Trzymałam ręce w kieszeniach, na głowie miałam wełnianą kominiarkę, w półmroku moja sylwetka wydawała się znajoma i byłam sama.

Mężczyzna siedzący w furgonetce obrócił się na mój widok i zawołał:

– Herodot?

– Aureliusz – odpowiedziałam rzeczowo i dodałam: – Chyba potrzebujemy młotka.

Na twarzy kobiety pojawiło się zdziwienie, ale wypowiedziane przeze mnie słowa pozwoliły mi dotrzeć do tylnych drzwi furgonetki i zbliżyć się na wyciągnięcie ręki do najbliższego mężczyzny. Natychmiast wyjęłam ręce z kieszeni, dotknęłam jego twarzy i skoczyłam, tak że nie zdążył nawet dostrzec mojej skóry.

Aluminiowy kubek z kawą upadł na ziemię, potoczył się po asfalcie i wpadł do rowu pełnego wody. Samir Chayet się zachwiał, zamrugał powiekami i uniósł ręce do kominiarki, którą ze zdziwieniem wyczuł na twarzy. Wyciągnęłam z kabury pistolet, po czym wpakowałam jedną kulę w udo kobiety, a drugą w brzuch stojącego obok

niej mężczyzny. Kiedy upadli na ziemię, podeszłam do nich i wyjęłam im z kabur pistolety. Nie wiedząc, co z nimi zrobić, cisnęłam je w głąb ciemnego wąwozu – potoczyły się z grzechotem po kamieniach.

W dalszym ciągu trzymając broń w pogotowiu, zajrzałam do szoferki. Okazała się pusta, więc odwróciłam się i popatrzyłam na skamieniałego z prerażenia Samira, ściskającego w dłoniach kominiarkę.

– Cześć! – powiedziałam. – Jesteś pielęgniarzem, prawda? Nad strumieniem leży mężczyzna w kombinezonie z lycry. Chcę, żebyś go tu przyniósł. Został postrzelony. Ci dwoje też są postrzeleni, choć dopiero czas pokaże, czy śmiertelnie. Jeśli nie będziesz wykonywał moich rozkazów, zabiję cię, ich i każdego, kto się zbliży, rozumiesz?

Doskonale zrozumiał.

– Fantastycznie! – wykrzyknęłam z wymuszoną pogodą. – Zdaje się, że widziałam w szoferce latarkę. Weź ją i idź nad strumień. Będę obserwować jej światło.

*

W mroku czas biegnie wolniej.

Na moim nadgarstku lśnił tani plastikowy zegarek wskazujący straszliwie późną godzinę. Nocne niebo traciło entuzjazm do polewania ziemi deszczem, który zmienił się w gęstą, senną mżawkę zasłaniającą czarną linię szczytu urwiska. Stałam z dala od snopów światła rzucanych przez przednie reflektory furgonetki; schowałam pistolet do kieszeni, trzymałam w ręce latarkę i obserwowałam mikroskopijne światełko daleko w dole, gdzie nad strumieniem znajdował się Samir.

Mężczyzna, którego postrzeliłam w brzuch, stracił przytomność i miałam wrażenie, że jest to dobrodziejstwo dla wszystkich zainteresowanych. Kobieta była przytomna, przyciskała ręce do uda, oddychała szybko i nierówno, miała oczy pełne bólu. Krew sącząca się przez jej palce i pokrywająca asfalt była jasnoczerwona i rzadka w świetle latarki, a czarna i gęsta w mroku. Nie trafiłam w tętnicę udową, czego dowodził fakt, że jeszcze żyła, choć wydawało się, że nie zamierza mi za to podziękować.

Oparłam się o bok furgonetki i dopiłam kawę.

Nikt nie miał ochoty rozmawiać.

Światło Samira zaczęło podążać w górę. Skierowałam latarkę na szczyt ścieżki i czekałam, aż pojawią się dwie zabłocone postacie. Coyle obejmował Samira ręką za szyję; drugą przyciskał do swojego ramienia; spomiędzy jego palców ciągle sączyła się krew. W bezlitosnym świetle latarki pobladła twarz Coyle'a wydawała się szara, a wargi miały siny odcień. Twarz Samira zaczerwieniła się z wysiłku, zacisnął zęby i rozchylił wargi jak koń, który lada chwila rzuci się do ucieczki.

– Wsadź go do środka – powiedziałam, wskazując tylne drzwi furgonetki.

– Co zrobiłaś? – szepnął Coyle, spoglądając na dwie leżące postacie.

– Ich szef strzelił do ciebie. Nie pytałam o politykę firmy.

Coyle nie krzyknął, gdy Samir położył go na podłodze furgonetki. Uznałam to za zły znak.

– Jesteś pielęgniarzem: zrób coś.

– Chcesz mnie zabić?

Kiedy wcześniej zadałam to samo pytanie, mówiłam drżącym głosem po arabsku, lecz teraz, gdy usłyszałam Samira, posługiwał się czystą, wyraźną francuszczyzną z silnym akcentem z południa. W jakiś sposób miałam wrażenie, że mój popis aktorski lepiej pasował do rysów jego twarzy niż to, co teraz mówi.

– Daję ci słowo, że pozwolę ci żyć, jeśli opatrzysz tego człowieka. A jeśli uciekniesz, zabiję wszystkich, rozumiesz?

– Nie znam cię. – Poczulałam przyływ podziwu. Samir Chayet, rozdygotany, skamieniały ze zgrozy człowiek, który obudził się w środku nocy ze związanymi rękami, okazał wolę walki.

– Nie rozumiesz, co się stało, nie wiesz, skąd się tu wziąłeś. Sytuacja wygląda następująco: możesz zaryzykować i uciec albo zaryzykować i zostać. Powinieneś ocenić, które ryzyko jest większe, uwzględniając posiadane przez siebie skąpe informacje.

Zastanawiał się, co zrobić, i dokonał mądrego wyboru.

*

– Ten człowiek potrzebuje krwi – powiedział po pięciu minutach.

– Znasz swoją grupę? – spytałam Coyle'a.

– Jasne – warknął z podłogi furgonetki. – A ty znasz swoją?

– Mój przyjaciel uwielbia żartować – zwróciłam się do Samira. –
Ma surowe, męskie poczucie humoru.

– Tak czy inaczej potrzebuje krwi, bo inaczej niczego nie
gwarantuję.

– Zajmę się tym. Weź apteczkę: dwóch ludzi leżących na drodze
prawdopodobnie będzie jej potrzebować. Jeden może mieć komórkę.
Proponuję, żebyś zawiadomił policję – tylko policję – zaraz po naszym
odjeździe.

Rozdział 73

Kiedy odjeżdżałam, Samir Chayet był czarną sylwetką w lusterku wstecznym. Nosiłam jego ciało przez niespełna osiem godzin i jego życie już nigdy nie będzie takie samo.

Coyle leżał za mną na podłodze furgonetki z ręką przyciśniętą do opatrunku na barku. Oddychał nierówno i miał poszarzałą twarz. Naarzucałam mu na ramiona marynarkę i owinęłam nogi kocem, lecz mimo to dalej miał dreszcze.

- Co teraz? – spytał, szczękając zębami.
- Porzucimy furgonetkę. Zabiorę cię do lekarza.
- Jestem twoim zakładnikiem?
- Więcej kłopotów niż korzyści.
- Dlaczego mi pomagasz?
- Pomagam sobie. Zawsze. Nie zemdlejesz?
- Dasz mi środek nasenny?
- Nie.
- To nie zemdleję.

*

Jechałam na północ, szukając największych tablic informacyjnych i najszerzych dróg. Sądząc po wyżłobionych przez wodę rozpadlinach i czarnych sosnach na wzgórzach, domyślałam się, że zapuszczam się coraz głębiej w Masyw Centralny samotną autostradą przecinającą suche płaskowyże i wilgotne doliny wśród wulkanicznych skał. Na siedzeniu pasażera obok mnie zadzwoniła komórka, lecz ją zignorowałam. Po kilku minutach znowu się odezwała.

- Zamierzasz odebrać?

Głos Coyle'a, cichy szept zza moich pleców.

- Nie.

Lampy sodowe świadczyły, że wjechaliśmy na autostradę. Mijaliśmy znaki wskazujące drogę do zabytkowych zamków i miast

słynących ze zręcznych rzemieślników, które oferowały wiele atrakcji: średniowieczne mury obronne, pamiątki z epoki katarów, sekrety templariuszy, herby krzyżowców. W ciemnych oknach sklepów dla turystów wisiały miecze, tarcze i stare pieczęcie. Może były również narkotyki.

Komórka znowu zadzwoniła.

Nie zwróciłam na nią uwagi.

Znowu zadzwoniła.

Znowu ją zignorowałam.

Na skraju jednego z miast skręciłam na pusty parking supermarketu.

Telefon zadzwonił po raz czwarty, natarczywie podskakując na siedzeniu obok mnie.

Włączyłam głośnik i odebrałam połączenie.

Odgłos gwałtownie wciąganego powietrza po drugiej stronie.

Potem cisza.

Usiadałam wygodnie, przymknęłam powieki, by nie widzieć oślepiających, pomarańczowych świateł parkingu, i czekałam.

Niewykluczone, że gdzieś ktoś zrobił to samo.

Cisza.

Wielki ryk ciszy telefonu, w którym panuje milczenie. Wytężając słuch, miałam wrażenie, że słyszę ledwo dosłyszalny oddech, spokojny, opanowany.

Coyle poruszył się za moimi plecami, czekając na początek rozmowy.

Nie powiedziałam ani słowa.

Miałam wrażenie, że w miarę, jak cisza się przeciąga – trwa trzydzieści, czterdzieści sekund, minutę – oddech staje się coraz szybszy, płytszy, wręcz podniecony.

Dziecko dyszące z zachwyty, bawiące się gdzieś w ciemności w chowanego.

Czekałam.

Czekanie mi nie przeszkadzało.

Nikt nie podawał hasła, nie prosił o odzew.

Nagle oddech się urwał i zmienił w jeden krótki dźwięk.

Chichot.

– Cześć! – powiedziałam.

Śmiech ucichł równie nagle, jak się zaczął.

– Widzę cię – szepnęłam. – Widzę cię. Przychodzisz za późno.

Cofasz się, czaisz i znowu próbujesz. Ale zawsze cię widzę, kimkolwiek jesteś.

Cisza.

– Nie powinieneś kazać zabijać mojej gospodyni. Wiem, dlaczego to zrobiłeś, rozumiem. Ale kiedy nadejdzie czas, chcę, żebyś o tym pamiętał.

Przerwałam połączenie.

Wyjęłam z komórki baterię i wrzuciłam pod fotel.

Włączyłam silnik i wyjechałam z parkingu.

Syk kół na mokrym asfalcie.

Grzechot wycieraczek na przedniej szybie.

– Kto to był? – spytał Coyle, choć może już wiedział.

– Chyba się domyślasz.

– Dlaczego się nie odezwał? – Coyle oparł się na zdrowym ramieniu i próbował mnie zobaczyć w lusterku wstecznym.

– Nie miał nic do powiedzenia.

– Powiedz mi, kto to był.

– A jak myślisz?

– Chcę, żebyś to powiedziała.

Wzruszyłam ramionami.

– Prawdziwy Galileusz był geniuszem. Uważam za obraźliwe, że nazywasz tę istotę jego imieniem.

– Przez cały czas próbujemy go powstrzymać.

Usiłowałam się uśmiechnąć, choć nie widział wyrazu mojej twarzy. Starłam się nadać głosowi uspokajające brzmienie.

– Powiedz mi: nie masz wrażenia, że ginie ci czas?

Nie odpowiedział.

– Na pewno – westchnęłam. – Wszystkim to się zdarza. O drugiej zaczynasz czytać książkę, a potem nagle się okazuje, że minęła piąta po południu i jesteś tylko dwie strony dalej. Wracasz do domu znajomymi ulicami, zamyślasz się, a kiedy znów skupiasz się na tym, gdzie jesteś,

widzisz, że dotarłeś do domu za późno – znacznie później, niż przypuszczałeś. Znajdujesz w komórce informacje o połączeniu, którego zupełnie nie pamiętasz; może przypadkowo wybrałeś numer, opierając się o stół? Poczekalnia z czasopismami sprzed trzech lat, nie ma co się tym przejmować, ale... o Boże! Minęło tyle czasu i nie wiesz, jak to się stało. Widmo potrzebuje tylko kilku sekund. Podaję swój portfel nieznannej kobiecie. Całuję nieznanego, telefonuję, pluję w twarz człowieka, którego kocham, uderzam policjanta, popycham podróżnego czekającego na pociąg. Wydaję rozkaz głosem człowieka, który ma władzę: Nathan Coyle musi umrzeć. Mogę zmienić twoje życie w niespełna kilka sekund. A kiedy wszystko się kończy, stajesz przed ławą przysięgłych i możesz tylko wyjąkać, że nie wiesz, co cię naszło. No to powiedz, Nathanie Coyle? Ginie ci czas?

Milczący telefon, cisza w furgonetce.

– Tak myślałam.

*

W mieście Cavaliere (PRZEŻYJ PODRÓŻ W PRZESZŁOŚĆ – biuro turystyczne otwarte od poniedziałku do czwartku od dziesiątej rano do trzeciej po południu, z wyjątkiem sjeisty) plan wiszący na kościele z beżowych cegieł wskazywał drogę do niewielkiego szpitala. Wąska uliczka z domami mieszkalnymi, drzwi podobne do wszystkich innych, różniące się tylko tym, że obok dzwonka wisi niewielka plastikowa tabliczka z prośbą, by nie palić na schodach.

Zaparkowałam furgonetkę na środku ulicy, zostawiłam włączony silnik i zajrzałam do tyłu. Coyle nie stracił przytomności, ciągle oddychał, miał przekrwione oczy i zaciśnięte palce.

– Trzymasz się jeszcze? – spytałam.

– A jak sądzisz?

– Tak naprawdę wcale nie pytałam. Pamiętaj, że to nie ja cię postrzeliłam. To twoi towarzysze kazali cię zabić.

– Dlaczego?

– Dlaczego masz pamiętać, czy dlaczego wydali taki rozkaz?

– Jedno i drugie.

– Moim zdaniem powinieneś się domyślić – odpowiedziałam,

pochylając się do przodu z rękami splecionymi wygodnie na kolanach. – Masz poważne kłopoty niezależnie od tego, że zostałeś skompromitowany przez istotę o imieniu Kepler. Interesujesz się Galileuszem, nie wykonałeś zadania, a poza tym czytałeś dossier, którego nie powinieneś znać. Domyślam się, że mimo moich doskonałych rad zadałeś kilka pytań. Na przykład: „Dlaczego zginęła Josephine?” albo „Czy Galileusz był kiedykolwiek we Frankfurcie?”, albo „Jakie tak naprawdę są właściwości szczepionki przygotowywanej w ramach programu?”. Cokolwiek. Czy się mylę?

Nie odpowiedział. Nie myliłam się.

– Łatwo odpowiedzieć na pytanie, dlaczego twoi przyjaciele postanowili cię zabić. Wydano rozkaz. Zadzwonil telefon, wysłano mejl, a ktokolwiek się odezwał, znał hasło i miał odpowiednią władzę, toteż wydał rozkaz. Oczywiście macie procedury, zabezpieczenia przed taką sytuacją, ale zabezpieczenia zależą od wiarygodności ludzi, którzy je stosują. Kto tak naprawdę wydaje w tej chwili rozkazy?

– Myślisz, że... Galileusz zinfiltrował Aquariususa?

– Tak.

– Dotarł na szczyt?

– Tak.

– Jak?

– Miał czas.

– Dlaczego? – Usiłował pokonać nie tylko ból, przewyciężyć nie tylko odrętwienie wywołane morfiną. – Dlaczego?

– Bo jesteś użyteczny. Bo gdybym chciała badać widma, naprawdę je badać, gdybym chciała poznać sposób ich funkcjonowania, prawdopodobnie również stworzyłabym organizację taką jak Aquarius. Stara maksyma głosi, że wrogów należy mieć jak najbliżej siebie.

Nie odpowiedział, nie mógł patrzeć mi w oczy. Oddychał szybko, z wysiłkiem, skóra lśniła mu od potu.

– Wykrwawiasz się.

Brak odpowiedzi.

– Mogę ci pomóc, ale musisz coś dla mnie zrobić.

– Co?

– Chcę, żebyś mnie przywiązał do siedzenia i wycelował we mnie

pistolet. – Na jego twarzy pojawił się pytający wyraz, a później zrozumienie. – Ciągle chcesz mnie zabić?

– Tak – odpowiedział bez wahania, uśmiechając się bez wesołości.

– Uważasz to dobry pomysł?

– Tak.

– Chcesz żyć?

Nie musiał odpowiadać na to pytanie. Skinęłam głową i wyciągnęłam w jego stronę nagie dłonie. Nie poruszył się, w dalszym ciągu trzymając się za zakrwawione ramię z głową zwróconą na bok.

– Galileusz kazał cię zabić i Aquarius wykonał rozkaz – szepnęłam. – Podoba mi się to równie mało jak tobie, ale jeśli nie chcesz się tu natychmiast wykrwawić, nie mamy innego wyjścia.

Uniósł się na łokciu.

– Zwiąż sobie ręce – odpowiedział i dodał: – Daj mi pistolet.

Zawahałam się.

Wręczyłam mu pistolet.

Oparł palec na spuście, lekko jak dyrygent testujący batutę, sprawdzając jego ciężar, rozważając różne opcje. Wycelował broń, po czym położył ją obok siebie. Przywiązałam sobie ręce do haczyka znajdującego się nad siedzeniem pasażera, zaciskając kabel zębami, aż wgrzył się mocno w ciało, a później jeszcze bardziej zwiększyłam nacisk, ze złości. Furgonetka miała niewygodną wysokość: nie mogłam ani stać, ani siedzieć, tylko kucałam ze zgiętymi kolanami i uniesionymi rękami, wisząc jak stary płaszcz.

– W porządku – powiedziałam do Coyle'a, który patrzył na mnie z podłogi. – Czy mógłbyś?...

Wstał na kolana, przyciskając pistolet do piersi. Postawił jedną nogę na podłodze furgonetki, przez chwilę myślałam, że się przewróci, lecz po chwili wstał i ruszył chwiejnie w moją stronę, patrząc mi w oczy.

Chwila.

Tylko chwila i nie wiedziałam.

Może to błąd?

Kilka razy dotknął spustu pistoletu.

Za mało czasu, by coś zaplanować, za mało czasu, by wymyślić coś lepszego.

Czy popełniłam błąd, pozwalając mu żyć?

Może.

Może szybko się o tym przekonam?

Wyciągnął rękę i podniósł z podłogi coś czarnego. Kominiarkę, brudną, dawno porzuconą. Skrzywienie kącików warg, które mogłoby być uśmiechem. Ruszył niepewnie w moją stronę, pomachał nią przed moją twarzą, rozkaz wyrażony gestem, nie słowami. Otwórz szeroko usta.

– Bardzo cię boli, Nathanie Coyle? – spytałam.

– Przekonaj się – odparł. Usiłowałam się nie zadławić, gdy wepchnął mi do ust wilgotną tkaninę. Podrażniła gardło i wywołała odruchy wymiotne. Przełknęłam ślinę i poczułam smak wełny, błota, dymu z papierosów. Coyle znów dotknął kilka razy spustu pistoletu. Musnął lufą moją pierś, oglądając swoje dzieło.

Chwila.

Zastanawiał się. Przez biały bandaż sączyła się krew, zasychała na jego palcach, wokół szyi.

Popatrzył na mnie, a ja na niego.

Drżała mu dłoń, gdy wyciągnął do mnie rękę. Wisiała kilka centymetrów od mojej skóry, dygocąc nie tylko z zimna. Nie wiem, czy zamierzał wykonać ten ruch, czy ciężar własnych palców stał się dla niego zbyt wielki. Musnął moją skórę

i skoczyłam, czując ogromną ulgę i zawroty głowy. Niosący zabójca szarpał się w więzach przymocowanych do dachu furgonetki, a ja cofnęłam się o parę kroków, ściskając swoje ramię. Ból nie był nieznośny i nie przenikał całego mojego ciała, lecz zmienił się w dziwne pulsowanie: ogień płonący w rytmie mojego serca. Jęknęłam, oparłam się o ścianę furgonetki, poczułam rzadką krew płynącą w głowie, oczy wypełniły mi łzy. Mój jeniec szarpał się w więzach, a później wierzgnął, usiłował wstać i znów się przewrócił, wykrzykując niezrozumiałe dźwięki przez kominiarkę wciśniętą do ust. Kiwnęłam w jego stronę pistoletem i syknęłam:

– Tylko spróbuj!

Uśmiechnęłam się i powoli wyslizgnęłam się z samochodu, stawiając niepewnie nogi i walcząc z zawrotami głowy.

*

Pielęgniarka mająca nocny dyżur otworzyła drzwi dopiero po dłuższej chwili.

Kiedy je uchyliła, najpierw zobaczyła moją twarz, szarą i pokrytą krwią, i na jej twarzy pojawił się szok i współczucie. Później spostrzegła bandażę na moim ramieniu i piersi. Chyba zrozumiała, co się stało, lecz w tej samej chwili chwyciłam ją za palec wskazujący i

gdy Coyle zaczął padać, objęłam go w pasie i podtrzymałam.

– W porządku – szepnęłam nowym, łagodniejszym głosem. – Nic ci nie będzie.

Sprowadziłam go po schodach, a jego oczy odzyskały ostrość i spojrzał na mnie.

– Kepler?

– Znajdę dla ciebie krew – odparłam. – I środki przeciwbólowe. Jaką masz grupę?

– Dlaczego to robisz?

– Grupa krwi. Powinieneś również powiedzieć, czy jesteś na coś uczulony.

– A plus. Mam grupę krwi A plus.

– Okej. Zostań tutaj. Jeśli twój przyjaciel w furgonetce zacznie krzyczeć, zastrzel go.

– Kepler! – zawołał, gdy lekko zbiegłam po schodach w sandałach pielęgniarki. – To mój przyjaciel, wiesz?

– Jasne. Możesz zdecydować, co z nim zrobisz.

*

Klinikę oświetlały białe jarzeniówki. Nosiłam brudny niebieski fartuch i sandały na niskich obcasach. Miałam na wargach za dużo szminki i chciało mi się spać. Nim rozległo się pukanie do drzwi, oglądałam telewizję. Na ekranie rozgrywano partię pokera: zielony stolik, ręce rozdające i dobierające karty, stracone szanse. W ciemnym rogu płonęło światelko automatu z kawą, okienko rejestracji było zamknięte. Drzwi w korytarzu prowadziły do maleńkich pokoików, w których stały łóżka przykryte białymi prześcieradłami. Oglądałam

drzwi, aż znalazłam najbardziej solidne, poklepałam się po kieszeniach, wyjęłam pęk kluczy. Trzy z jedenastu pasowały do zamków; drzwi się otworzyły.

Pokój znajdujący się za drzwiami był rajem dla człowieka szukającego groźnych lekarstw na groźne choroby. Francuskie apteki – nigdzie na świecie nie można znaleźć tylu potencjalnie toksycznych specyfików. Łatwo zdobyłam środki przeciwbólowe: najsolidniejsza skrzynka w pokoju dała się otworzyć dużym kluczem. Klinika dysponowała bardzo niewielkimi zapasami krwi; na pojemnikach napisano, dla kogo są przeznaczone: staruszka, który nie może przybyć do szpitala na transfuzję, albo młodej damy, której geny wydały jej wojnę jeszcze przed urodzeniem. Ukradłam kilka litrów, włożyłam do plastikowej torby sól fizjologiczną, igły, sterylne kompresy z gazy, czyste bandaże, środki uspokajające oraz zakrzywioną igłę do szycia ran.

W telewizorze jeden z pokerzystów zrezygnował z gry, straciwszy kilka ostatnich sztonów. Publiczność biła brawo, a prowadzący zegnał pokonanego zawodnika, który zmierzał w stronę feerii złotych świateł. Wyszłam z kliniki, pozostawiając wszystko na swoim miejscu.

*

Coyle siedział tam, gdzie go zostawiłam, i poczułam zdziwienie.

Trzymał pistolet na kolanach i opierał głowę o bok schodów. Miał nierówny, ciężki oddech. Słyszając moje kroki, obrócił lekko głowę.

– Znalazłaś to... czego szukałaś? – Mówił powoli, z wysiłkiem. Pomogłam mu wstać, zręcznie ujmując go pod pachami.

– Tak. Odlóż pistolet.

– Myślałam, że chciałaś... bym kogoś zastrzelił.

– Jestem tą pielęgniarką dopiero od pięciu minut. Ludzie bez przerwy tracą pięć minut. Jest późno, środek nocy. Pomyśli, że przyszliśmy, potem poszliśmy, wyobrazi sobie, że wszystko jej się przyśniło. Tak jest lepiej.

– Często to robisz? – spytał, wsuwając pistolet pod marynarkę zarzuconą na ramiona.

– Od czasu do czasu. Potrzyj to.

Wziął podaną przeze mnie plastikową torbę, raczej instynktownie

niż w wyniku świadomego wyboru. Wyciągnij rękę, by się przywitać; poproś o potrzymanie torby – zrób to szybko, ludzie nie myślą. Kiedy jego palce zacisnęły się na rączce, chwyciłam jego dłoń i z głębokim oddechem

spojrzałam w oczy pielęgniarki, która zachwiała się na nogach.

Poczułam ból przesywający ciało i o mało nie upadłam.

Ujęłam mocniej plastikową torbę, odwróciłam się i odeszłam.

W klinice na górze grał telewizor, tykał zegar, paliły się światła i w ciągu ostatniej minuty nic się nie zmieniło.

*

Z powrotem w furgonetce.

Odciełam mężczyznę przywiązanego za nadgarstki do wieszaka, a kiedy miał już wolne ręce, skoczyłam, zanim zdążył dojsć do siebie.

Coyle osunął się na podłogę, a ja wyciągnęłam kominiarkę z ust i wyplułam kilka strzępów brudnej wełny. Bolały mnie ramiona i piekły nadgarstki, które obtarłam, szarpiąc się w więzach. Położyłam Coyle'a na plecach, znów przykryłam go kocem, powiedziałam, że mam środki nasenne i przeciwbólowe.

Przejechałam kilka kilometrów, zaparkowałam furgonetkę na pustym parkingu za zamkniętym magazynem, gdzie nie było kamer monitoringu, i zabrałam się do pracy. Powiesiłam pojemnik z krwią na haku na suficie, do którego byłam wcześniej przywiązana. Zdjęłam opatrunek i oświetliłam latarką zakrwawioną ranę. Tylko otwór wlotowy, widziałam tuż pod skórą koniec pocisku małego kalibru. Dłoń Coyle'a chwyciła mnie w ciemności za rękaw, po czym przypomniała sobie o obrzydzeniu i powoli się rozluźniła.

– Znasz... znasz się na medycynie? – spytał.

– Jasne. Kiedyś prawie zdobyłam dyplom lekarza.

– To mnie nie uspokaja.

Zmieniłam bandaż, nie usunęłam kuli.

– Morfina?

– Nie.

– To twoje ciało.

Siadając za kierownicą, czułam na karku jego palący wzrok.

Rozdział 74

Stacja benzynowa na krętej autostradzie biegnącej przez góry. Coyle nie spał, ale również się nie odzywał. Siedział owinięty kocem z tyłu furgonetki.

Moje ciało nie miało pieniędzy. Pistolety, noże, tak – ale żadnej gotówki.

Mimo to poszłam na stację, zamówiłam czarną kawę i dwie zapiekanki *croque monsieur*. Kiedy zbliżyłam się do kobiety o kaprawych oczkach siedzącej przy kasie, odstawiłam kawę i chwyciłam ją za rękę. Mój poprzedni gospodarz zachwiał się, mając zamęt w głowie, a ja otworzyłam szufladę kasy, chwyciłam plik euro i wsadziłam mu je do ręki.

Ledwo zdążył skupić na mnie wzrok i zauważyć mój ruch, skoczyłam znowu.

Podaliśmy kasjerce banknot o nominale dwudziestu euro. Wydawała się zdziwiona, że kasa jest już otwarta, ale popatrzyła na moją uśmiechniętą twarz i nie zadawała żadnych pytań.

Przycupnęłam na chłodnej metalowej ławce pod czerwoną markizą i postawiłam obok kawę, by ostygła. Na horyzoncie wstawało wilgotne, żółte słońce, małe i gniewne na tle szarego nieba. Był całkowicie bezbarwny ranek. Nad trawą na skraju asfaltu wisiała niska mgła. Sprzed dystrybutorów paliwa odjeżdżały z rykiem wielkie ciężarówki i włączały się do ruchu na autostradzie.

Skończyłam kanapkę i znów włączyłam komórkę.

Trwało to chwilę, wreszcie pokazał się esemes: *Podoba ci się to, co widzisz?*

Potem następny, wysłany po kilku minutach. Nadawca nie mógł się powstrzymać: *To dla ciebie. :-)*

Roześmiana buźka.

Minął mnie kierowca z wieloma podbródkami, w czerwonej kufajce trzepocącej wokół brzucha. Spytałam o godzinę, a kiedy

odpowiadał, chwyciłam go za nadgarstek, skoczyłam, wyjęłam komórkę z ręki poprzedniego gospodarza, wrzuciłam do swojej kieszeni i skoczyłam z powrotem.

Niespełna pięć sekund.

W razie potrzeby trzy.

Ciągle czułam zawroty głowy gospodarza.

Kiedy kierowca przestał się kołysać, powiedział, że jest szóstą trzydziści. Pora jechać, nim na autostradzie zrobi się tłok.

*

Weszłam do kabiny w męskiej toalecie, podwinęłam rękaw, znalazłam żyłę i wstrzyknęłam sobie dziesięć mililitrów środka nasennego. Później wyszłam z kabiny, zbliżyłam się do mężczyzny stojącego przy pisuarze i powiedziałam niewyraźnie:

– Uderz mnie.

Odwrócił głowę, więc chwyciłam go za rękę i skoczyłam.

Uderzyłam go z całych sił, ze spodniami ciągle wokół kostek.

Byłam potężnie zbudowaną mężczyzną i nadrabiałam masą brak regularnego treningu. Poza tym mój przeciwnik był pod działaniem środków nasennych.

Naprawdę nie miał żadnych szans.

*

Świt na stacji benzynowej we Francji.

Szukam samochodu.

Nie ciężarówki – zbyt wielu ludzi interesuje się ciężarówkami zmierzającymi do punktu przeznaczenia. Idealni są pracownicy kończący nocną zmianę, ale wymaga to kilku przesiadek. Najpierw

kierowca ciężarówki, z oddechem pachnącym miętówkami, później policjant z obolałym krzyżem i lewym bokiem, wreszcie sprzątaczką,

ach, sprzątaczką. Niebieski fartuch, włosy ufarbowane na czarno, blada cera, chude ramiona, skończyła myć podłogę, a kiedy przeglądałam zawartość jej kieszeni, odkrywam, że jestem właścicielką portfela

z czterdziestoma euro, nie mam fotografii męża ani dzieci, moja stara, brzydka komórka jest wyłączona i – Bogu dzięki! – znajduję kluczyki do samochodu.

Opieram szczotkę o ścianę i ruszam do wyjścia, zabierając kawę i kanapki.

Rozdział 75

– Kim jesteś, do cholery?! – spytał Coyle.

– Nazywam się Irena Skarbek – odpowiedziałam z miną niewiniątka. – Jestem sprzątaczką.

– Widzę, że jesteś sprzątaczką. Problem polega na tym, dlaczego jesteś sprzątaczką.

– Nie możemy jechać furgonetką, mogą ją wyśledzić. Wrzuciłam komórkę do kieszeni kierowcy ciężarówki. Mam nadzieję, że wybierze się w daleką podróż z nadmierną prędkością.

– Aquarius się domyśli, że wyrzuciłaś telefon.

Pomogłam Coyle'owi wstać.

– Nie może zlekceważyć sygnału komórki i musi za nią pojechać. Nawet jeśli zyskamy tylko kilka dodatkowych godzin, będę zadowolona. Jak sądzisz, jaki samochód może mieć kobieta taka jak ja?

*

Używane renault sunęło autostradą, grzechocąc i popiskując na zarwanych resorach. Na lusterku wstecznym irytująco kołysał się plastikowy krucyfiks. Pod tylną szybą z aprobatą kiwała głowami rodzina puszystych kotów. Tapicerka pachniała papierosami, dźwignia zmiany biegów była trochę zbyt sztywna. Na tylnym siedzeniu leżały moje torby z narzędziami chirurgicznymi i zakrwawione koce, a także kolekcja starych płyt CD i podniszczonych map.

Coyle siedział na miejscu dla pasażera z głową odchyloną do tyłu i wyciągniętymi nogami, zdając sobie sprawę z mojej narastającej irytacji.

– Mogę?... – spytał w końcu, wskazując krucyfiks.

– Jeśli nie masz nic przeciwko. – Włożył krucyfiks do schowka na rękawiczki, po czym spojrział do środka i zawahał się.

– Coś ciekawego? – spytałam.

– Słucham? Nie, nie bardzo. Zwykle... zwykle nie kradnę cudzych

samochodów.

– A ja kradnę. Przez cały czas. Jest tam prawo jazdy?

– Czy to ważne?

– Lubię mieć komplet dokumentów. To ułatwia życie, jeśli ma się ochotę pomieszkać dłużej w czyimś ciele.

– Masz ochotę pomieszkać dłużej?

Poruszyłam się na siedzeniu, sprawdzając ciężar ramion, sztywność pleców.

– To ciało jest zmęczone, ale ja także jestem zmęczona, więc to nie ma większego znaczenia – odparłam. – Nie zauważam większych problemów z mięśniami i układem kostnym; nie noszę bransoletki medycznej, nie mam żadnego inhalatora ani EpiPen.

– EpiPen?

– Pszczoły, orzechy, laktoza, pszenica, krewetki – nie wolno lekceważyć rzeczy, które mogą zabić alergika. Sprawdź schowek na rękawiczki.

– Nie widzę niczego takiego.

– W takim razie chyba pomieszkam dłużej. Kanapkę?

– Mogę się wyrzygać – odpowiedział powoli i ostrożnie, wskazując ciągle parującą zapiekankę z szynką.

– Nie chcesz jeść?

– Rzadko do ciebie strzelano, prawda?

– Dużo do mnie strzelano. Znacznie częściej niż do ciebie, sądząc po twoich bliznach. Po prostu nie widać po mnie skutków fizycznych.

– Pieprzyć twoją kanapkę – powiedział.

Jechaliśmy w milczeniu. Później:

– Dlaczego Irena?

– Miała samochód.

– To wszystko?

– Kończyła zmianę. Po nocnej zmianie większość ludzi natychmiast idzie spać. To znaczy, że w ciągu ośmiu lub dziewięciu godzin nikt nie zamierza się z nią kontaktować. Mogę wiele zrobić w ciągu ośmiu godzin.

– To wszystko? To podstawa twojego... wyboru?

– Jeśli pytasz, czy wolałabym być efektowną dwudziestokilkulatką

z ładnym biustem, solidnym kontem bankowym i zdrowymi zębami, to oczywiście tak. Ale takie osoby nie kręcą się koło stacji benzynowych na autostradzie A75.

Coyle wydawał się zbyt zmęczony, by znów okazać pogardę.

Włączyłam radio, zmieniłam kilka stacji, wybrałam spokojny jazz. Samochody nadjeżdżające z północy miały włączone przednie światła, choć słońce stało już wysoko na niebie. Na horyzoncie płynęły czarne deszczowe chmury. Billboardy stojące przy autostradzie reklamowały centra ogrodnicze, świeże mleko, wiosenną odzież, prymitywne poglądy polityczne i używane fiaty.

– Dlaczego mi pomagasz?

Coyle mówił ciężkim głosem. Kołysała mu się głowa i spoglądał niewidzącym wzrokiem na nadjeżdżające auta. W przednią szybę uderzyły pierwsze krople deszczu. Włączyłam wycieraczki i musiałam zwolnić z powodu pogorszenia widoczności: spod tylnych kół samochodów jadących z przodu zaczęła pryskać woda.

– Z sentymentu? – zasugerowałam, a on zaśmiał się z pogardą. – Mógłbyś mi pomóc.

– Mógłbym cię zabić.

– Nie w tej chwili.

– Zabiłem cię. Zabiłem twoją gospodynię. Wspominałaś wcześniej o... zemście.

– Przyszło mi to do głowy.

– Co się zmieniło?

– Nie zabijam pionków. Chyba że muszę. Poza tym...

– Poza tym?

– Przez dłuższy czas nosiłam twoją twarz. Byłoby mi przykro ją niszczyć.

– Nad strumieniem powiedziałaś temu mężczyźnie... pielęgniarzowi....

– Samirowi?

– Tak. Powiedziałaś mu, że w sytuacji, w jakiej się znalazł, musi rozważyć ryzyko swoich działań i zdecydować, czy zostać, czy uciekać. Dlaczego nie uciekasz?

– Ponieważ uważam, że nie jesteś gotów mnie zastrzelić tak szybko

jak kiedyś.

- Ukradłaś moje ciało.
- Ale je zwróciłam.
- Przykute kajdankami do kaloryfera.

– Poinformowałam policję, gdzie cię może znaleźć, żebyś nie umarł z głodu. Doprawdy, gdybyś sprawiedliwie rozważył, które z nas ma więcej powodów, by wyrządzić drugiemu krzywdę, przekonałbyś się, że to ja powinnam cię zastrzelić. Zamordowałeś Josephine, zabiłbyś każdego, by mnie zniszczyć. Bez mrugnięcia okiem zastrzeliłeś Janus, porwałeś mnie w trakcie kolacji, a kiedy podjęłam skomplikowane starania, by utrzymać cię przy życiu, gdy postrzelili cię twoi przyjaciele, co otrzymałam w zamian? Tylko wrogość i krytykę. Jeśli moja argumentacja cię nie przekonuje, jest jeszcze jedna kwestia: Aquarius cię okłamał. Sfałszowali dossier Galileusza. Wysłali cię na drugi koniec świata, byś zabił mnie i moich gospodarzy, ale nie tknęli potwora, który naprawdę zasługuje na śmierć. Kiedy zacząłeś coś z tego rozumieć, próbowali cię zabić. Niech diabli wezmą genezę naszej znajomości. Potrzebujesz mnie. Dzięki mnie żyjesz. To wszystko.

Zastanawiał się nad moimi słowami. Przygryzł wargi, zamknął oczy, zacisnął ręce.

- Zastrzeliłem... zastrzeliłem Marigare'a.
- Mari...
- Człowieka, który do mnie strzelił. Zastanawiam się... czy mógł

być...

- Nie, nie był Galileuszem.
- Tak, wiem. Był... jednym z nas.
- Próbował cię zabić.
- Tak.
- Wiesz dlaczego?
- Nie.
- Powiedział, że wykonuje rozkazy.
- Pamiętam.

– Nie brałabym tego osobiście. Galileusz kontroluje Aquariususa, a Aquarius nie ma o tym pojęcia. Osoba, która kazała cię zabić, może tego w ogóle nie pamiętać. Z drugiej strony ktoś zawsze ponosi

odpowiedzialność za wykonanie rozkazów, a także ich wydanie. Tak czy inaczej, strzelałeś w obronie własnej, więc prawdopodobnie nie jest to twoje największe przestępstwo.

Zerknął na mnie szybko, zaciskając palce.

– Chcesz go... znaleźć? Zabić Galileusza?

– Tak. Chyba tak.

– Dlaczego?

– Z powodu tego, co zrobił. Przez pamięć o przyjaciółach. Ale chyba przede wszystkim dlatego, że Galileusz zamierza mnie dopaść. Oboje... walczyliśmy ze sobą i wydaje się, że nasze relacje mają swoją własną logikę. Postąpiłabym niemądrze, gdybym nie zareagowała w odpowiedni sposób. Galileusz psuje nam opinię.

– Kepler...

– Ireno – poprawiłam automatycznie.

– ...uważam, że zachowujesz się podobnie.

Nie odpowiedziałam.

W radiu ktoś wygłaszał namiętną przemowę. Krzyczał na wiele tematów. Podatki – za wysokie. Świadczenia społeczne – za niskie. Czas pracy – za długi. Opieka zdrowotna – zbyt kosztowna.

Co proponował?

Ludzie powinni bardziej się starać, oczywiście! Sam starał się przez całe życie i teraz mieszka w małym mieszkaniu nad naleśnikarnią i nie ma nawet pięćdziesięciu euro. Walczył i przegrał, ale winę ponoszą za to inni.

Dziękuję panu, powiedział spiker i przerwał mu w pół słowa. Wydaje się, że mógłby pan opowiedzieć słuchaczom wiele ciekawych rzeczy.

*

– Powiedziałaś, że rozumiesz – odezwał się Coyle.

– Co takiego?

– Przez telefon. Powiedziałaś, że... wiesz, dlaczego kazał zabić twoją gospodynię... Josephine. Powiedziałaś, że wiesz.

– Tak.

– Wyjaśnij mi.

– Bo ją kochałam.

– O to chodziło?

– Tak. Znam Galileusza od blisko stu lat. Uwielbia, gdy się go kocha. Widma bardzo tego pragną. Jesteśmy piękni i bogaci, ludzie nas kochają, lecz nie kochają nas samych, tylko ciała, które nosimy. Kochałam Josephine. Byłam szczęśliwa w jej ciele. Stałam się nią. Byłam równie piękna jak ona. Przestałam być cieniem, zjednoczyłam się z nią, zmieniłam się w coś więcej niż to, czym ona kiedykolwiek była. Właśnie stąd bierze się piękno. Piękno to nie nogi, skóra, piersi i twarz, tylko pełnia istnienia, całkowita, prawdziwa. Byłam piękna jako Josephine, a Galileusz... już od dawna nie jest piękny. Chciał być piękny w Edynburgu, pragnął tego w Miami, lecz bardzo dawno temu zapomniał, co to właściwie znaczy. To wszystko.

Chwila milczenia. Później:

– Przykro mi. Z powodu Josephine. Z powodu twojej straty.

Nie odpowiedziałam, a Coyle więcej się nie odzywał, lecz kiedy na niego spojrzałam, miał wilgotne oczy. Odwrócił twarz, bym więcej tego nie widziała.

*

– Gdzie teraz jesteśmy? – spytał po chwili. Miał szarozółtą skórę, oddychał ciężko i wbijał wzrok w podłogę.

– Zaraz się zatrzymamy – odpowiedziałam i zdałam sobie sprawę, że właśnie nadeszła ta chwila.

*

Hotel z niewielkimi oknami i parkingiem otoczonym żelaznym ogrodzeniem.

Siedziałam przez kilka minut na miejscu kierowcy, ćwicząc podpis Ireny według wzoru na karcie debetowej. Nie dysponowałam kodem PIN i nie mogłam z niej skorzystać.

Hotel starał się przypominać motel, na ile to możliwe we Francji, choć jego kierownictwo nigdy nie przyznałoby, że zniża się do poziomu amerykańskiej gościnności. Poprosiłam o najtańszy pokój i udało mi się zapłacić gotówką.

– Doba hotelowa kończy się o dziesiątej rano – wyjaśnił recepcjonista o martwym wzroku, po czym wręczył mi mały klucz z ogromną zawieszką. – Śniadanie jest wliczone w cenę pokoju.

– Dziękuję. Wyjedziemy na długo przed śniadaniem.

Do pokoju szło się ścieżką wyłożoną kamiennymi płytami. Pod jednym z pochylonych cedrów zatrzymał się rudy kot z łapką uniesioną do pyszczka. Wyglądał jak dziecko przyłapano na podkradaniu słodyczy i patrzył na mnie, gdy niosłam Coyle'a na plecach. Był stanowczo za ciężki. Irena Skarbek miała wiele zalet, lecz nie odznaczała się siłą fizyczną.

Coyle poplamiał pościel krwią, gdy tylko opadł na łóżko. Przykryłam go kocami, przyniosłam coś do picia oraz dzbanek wody, by zmyć krew z jego szyi, twarzy i rąk. Wróciłam do samochodu po resztę artykułów medycznych, a gdy przechodziłam przez dziedziniec, rozległ się okrzyk: „Hej, jest pani sprzątaczką?! Muszę zrobić pani awanturę!”.

– Nie jestem sprzątaczką – warknęłam w odpowiedzi. – Proszę znaleźć właściwą osobę.

– Irena? – Coyle dygotał pod kołdrą.

– Tak?

– Gdzie jest Max?

– Jaki Max?

– Byłaś nim, nim zostałaś Ireną. Co z nim zrobiłaś?

– Zostawiłam go śpiącego w toalecie na stacji benzynowej, podałam mu środki nasenne. Musiałam go też uderzyć, ale lekko.

– To dobry człowiek.

– Tak. – Westchnęłam. – Prawdopodobnie on także tylko wykonywał rozkazy. Przykro mi. – Wbiłam mu igłę w skórę, a chociaż wykrzywił wargi i zmrużył oczy, leżał bez ruchu, gdy zawartość strzykawki wnikała do jego układu krwionośnego. – Ręka – powiedziałam, on zaś posłusznie przycisnął trzema palcami wacik na żyłę. – Trzymaj ją w tym miejscu przez dwie minuty.

– Co to było?

– Środek nasenny. W którymś momencie zaśniesz.

– Po co?

– Albo zaśniesz, albo umrzesz.

– Nie... rozumiem, do czego ci jestem potrzebny. – Jego mowa od razu stała się rozwlekła. – Powiedziałaś, że masz wszystko, by zniszczyć Aquariususa. Do czego... jestem ci potrzebny?

Wzruszyłam ramionami, zgięłam kolana, usiadłam w chybotliwej pozycji w rogu łóżka i popatrzyłam na zasypiającego Coyle'a. Oparłam się o ścianę.

– Zastrześliłeś moją poprzednią sojuszniczkę. Zawsze warto mieć pod ręką posłuszne ciało.

– Właśnie tym jestem? Posłusznym ciałem? – Zamknął oczy, słowa wydobywające się z jego ust były prawie niedosłyszalne.

– Nie. Jesteś... czymś innym.

Może chciał coś dodać, ale nie wykrztusił ani słowa.

Cokolwiek mógłby powiedzieć, wątpię, czy zrobiłoby to na mnie jakieś wrażenie.

Rozdział 76

Śpię.

Niespokojnie, często się budzę.

W maleńkim pokoiku znajduje się tylko jedno łóżko. Chociaż jest dwuosobowe, Coyle leży na ukos. Nawet gdyby mojego delikatnego nosa nie raził zapach potu, pościel jest wilgotna od krwi.

Śpię na podłodze i budzę się w dziwnych pozycjach, z jedną ręką wyciągniętą w bok, a drugą przygniecioną. Mimo że w pokoju jest gorąco, trzęsę się z zimna. Jestem zadowolona, że moje mięśnie są już zmęczone, i zirytowana, że nie mam więcej tłuszczu, by zatrzymać ciepło.

Śnią mi się na poły zapomniane sny.

Sny o

Janus. Bóstwie o dwóch twarzach, pięknej kobiecie z szafirami we włosach leżącej obok mnie w apartamencie w Miami. Skakała nago po pokoju, klepiąc się po tyłku i krzycząc: „Kocham to ciało, kocham, kocham, kocham!”. Była wtedy młodym, przystojnym Michaeliem Peterem Morganem, który uprawiał taekwondo i miał w przyszłości poznać swoją idealną żonę.

Janus-ktora-była-Marcelem, spalone wargi i zwiędłe palce, skóra o barwie zgniłych pomidorów, w których zagnieździły się czerwie, podoba ci się to, co widzisz?

Sny o Galileuszu.

Jest mój.

Jest piękny.

Jest mój.

Podoba ci się to, co widzisz?

Budzę się i przez chwilę nie pamiętam, gdzie jestem ani kim jestem. Czuję mdłości i siadam na skraju sedesu, ściskając go rękami. Wiem, że nie zwymiotuję, i pragnę, by to ciało to zrobiło.

Hotel jest zbyt tani, by goście dostawali pastę do zębów,

i zaczynają mnie boleć zęby.
Coyle śpi głęboko.
Zostały mi cztery euro.

*

Czekam w lobby hotelu. Siedzę na niskiej kanapie naprzeciwko automatu z papierosami i przeglądam prasę.

Kiedy pojawia się tęgi mężczyzna w niebieskiej koszuli, odkładam gazetę, wstaję i podchodzę do niego z uśmiechem.

– Przepraszam, czy mógłby mi pan powiedzieć, która godzina? – pytam, gdy sięga do kieszeni po portfel.

Spogląda na mnie ze zdziwieniem, a ja muskam go palcami.

Kładę portfel na automacie, przesuwam do tyłu, by nie był widoczny, po czym chwytam nadgarstek Ireny Skarbek, uśmiecham się i dziękuję za pomoc.

Siadam na kanapie i dalej czytam gazetę.

Mężczyzna otrząsa się z zamroczenia. Zerka na swoje ręce, sprawdza kieszenie i koszulę, patrzy na podłogę i w końcu na mnie. Ogląda mnie od stóp do głów, zauważa strój sprzątaczkę, zastanawia się przez chwilę, czy nie jestem złodziejką, lecz nic o tym nie świadczy, toteż wraca na górę.

Może zostawił portfel w łazience, myśli. Albo obok łóżka.

Zabawne, mógłby przysiąc, że miał go przy sobie, gdy schodził.

Czekam, aż zniknie, po czym zdejmuję portfel z automatu.

Mam siedemdziesiąt cztery euro i mój dzień nabiera tempa.

*

Pamiętam swoje pierwsze spotkanie z Galileuszem.

Mieszkał w ciele Taszy... a może Tulii?

Ja byłam Antoniną Baryszkiną, młodą i piękną. Przez sześć miesięcy grałam na wiolonczeli i czarowałam mężczyzn w Moskwie.

A po wykonaniu zadania byłam

(z trudem przypominam sobie dawne nazwiska)

Josifem Brunem, najbardziej zaufanym służącym wielkiego księcia. Nosiałam czarny surdut z wysokim kołnierzykiem, ciasne czarne

spodnie, miałam lekko szpakowatą brodę i natychmiast po przesiadce zorientowałam się, że dochodzę do siebie po problemach żołądkowych, których nikomu nie zdradziłam. W 1912 roku służący nie chorowali. Ich zawód nie przewidywał takiej możliwości.

Stałam obok Antoniny, która siedziała oszołomiona na fotelu, kołysząc się na boki. Po chwili otworzyła oczy. Był to ten sam fotel, ten sam pokój, ta sama pora dnia, gdy ją po raz pierwszy ujrzałam. Nosiłam to samo ciało, mogłoby się zatem wydawać, że po prostu mrugnęła i nic się nie zmieniło. Miała ten sam strój i tak samo upięte włosy, choć minęło sześć miesięcy i wiosna zmieniła się w jesień.

– Antonino, musimy porozmawiać – odezwał się jej ojciec, a ja natychmiast się skłoniłam i opuściłam pokój.

Przez trzy dni w domu rozlegały się jej wrzaski.

Pozostałam przez grzeczność w obolałym ciele Josifa Bruna. Nie wykonywałam obowiązków lokaja, nikt tego ode mnie nie oczekiwał. Mieszkałam w pawilonie na terenie posiadłości, z dala od pozostałych służących, i udawałam, że cierpię na zatrucie pokarmowe, z którego Josif niedawno wyzdrowiał. Czytałam książki, odbyłam kilka dyskretnych spacerów po ogrodzie, grałam sama ze sobą w szachy i żałowałam, że nie mam już dostępu do pokoju muzycznego pałacu.

Czwartego wieczoru odwiedził mnie stary książę i usiadł po drugiej stronie szachownicy.

– Zagramy? – spytał.

Zgodziłam się.

Grał znośnie, lecz zbyt szybko wykonywał posunięcia: jego niecierpliwość przejawiała się w nierozważnych atakach i niestarannej obronie. Przrzekłam sobie, że okażę mu miłosierdzie, ale szachy nie są grą, w której dobre intencje są trwałe, i wkrótce zbiłam mu większość figur.

– Jutro nas opuszczasz? – spytał lekkim tonem, dotykając palcami gońca, co nie miało już żadnego znaczenia.

– Tak.

– Dokąd pojedziesz?

– Jeszcze nie wiem. Może na południe. Zachód wydaje się trochę... niestabilny jak na mój gust.

– Boisz się wojny.

– Uważam, że nie można jej wykluczyć.

– Nie mogłabyś przeżyć konfliktu jako... żona generała? Córka ministra? Mieszkając daleko od linii frontu?

– Mogłabym. Ale z mojego doświadczenia wynika, że wojna dotyka wszystkich, nawet – a może szczególnie – żony, siostry i matki mężczyzn, którzy biorą udział w walce. Kobiecość nie chroni przed konfliktami. Czekamy na wiadomości, które w końcu nadchodzą. Żyjemy w trwodze, bezsilne i samotne, nie mogąc nic zrobić, walczyć w obronie ludzi, których kochamy.

– A kogo ty kochasz, Josifie? – spytał cicho. – Kogo naprawdę kochasz?

Odsunęłam się od szachownicy, splotłam ramiona na piersi, przypomniałam sobie, kim jest moje ciało, po czym ułożyłam dłonie na kolanach.

– Jeśli jestem żoną, kocham męża. Jeśli jestem siostrą, kocham brata. Jeśli jestem oficerem, kocham swoich żołnierzy. Mój dar polega na tym, że mogę się wcielić w każdego. Dlaczego miałabym być oschłym mężczyzną? Dlaczego miałabym być matką, która nie lubi swoich dzieci? Kocham swoją rodzinę, bo inaczej nie chciałabym z nią żyć. Kocham każdego, kim jestem; inaczej nie chciałabym mieszkać w jego ciele.

Wpatrywał się w szachownicę, marszcząc brwi.

– Nie masz pokusy zostać mną? Nie pociąga cię status księcia?

– Nie.

Oblizałam wargi, popatrzyłam na drobne oczy w starczej twarzy, zauważyłam żółte plamy na rękach, napięte ścięgna szyi, wygięty krzyż, gdzie postawa walczyła z wiekiem. Spostrzegłam mój wzrok i rzuciłam:

– Zniechęca cię mój wiek.

– Nie, księżę. Nie o to chodzi, chociaż starość może być szokiem, jeśli człowiek nie osiąga jej stopniowo. Masz władzę, szacunek ludzi należących do twojej sfery, a także zdrowie, lecz uważam, że nie jesteś... piękny. Brakuje ci radości lub miłości, które sprawiają, że piękno to coś więcej niż tylko ciało. – W jego policzku drgnął mięsień i ten drobny ruch wystarczył. Złożyłam dłonie w przepaszającym geście. – Nie

powinnam tego mówić.

– Nie – odparł ostrzej, niż zamierzał, a później dodał cichym głosem: – Nie. Powiedziałaś to, co myślisz. Robią to w mojej obecności bardzo nieliczni ludzie. Moja córka... pluje mi w twarz, chce, żebym umarł. Myślisz, że postąpiłem słusznie, angażując cię do tej roli? Uważasz, że kierowała mną... miłość?

Milczenie.

– No, mów... – ponaglił mnie. – Przed chwilą gratulowałem ci szczerości. Nie zawieź mnie teraz.

– Sądzę, książę, że gdy zaangażowałeś mnie do odgrywania roli swojej córki, kierowała tobą miłość. Myślę, że dobrze jej życzysz i poprzez moją interwencję chciałeś jej zapewnić bezpieczeństwo w życiu, którego nie może osiągnąć dzięki własnej naturze.

– Ale to nie wszystko, prawda? – parsknął. – Wyrzuc to z siebie.

– Książę... ta umowa przyniosła nam obojgu wielkie korzyści. Ale muszę zadać następujące pytanie: jeśli bezpieczeństwo twojej córki wymaga interwencji innej osoby, czy w takim razie nie zmuszasz jej do czegoś, co jest sprzeczne z jej naturą? Mogłabym to wyrazić inaczej: czy córka, którą kochasz, i córka, którą masz, to rzeczywiście ta sama osoba?

Wpatrywał się w szachownicę, choć nie widział już figur.

– Nie wspomniałaś o tym, gdy przyjęłaś warunki umowy.

– Nie leżało to w moim interesie. Ale nasza transakcja jest zakończona i spytałeś o moją opinię, książę. Oto ona.

Dotknął palcami pionka, przesunął go, byle tylko wykonać jakiś ruch. Nieistotny gest, bo wynik gry był już przesądzony.

– Moja żona uważa, że córka jest chora.

Czekałam i obserwowałam szachownicę, pochylona do przodu. Noszenie luźnego męskiego ubrania sprawiało mi przyjemność, bo nie czułam uścisku gorsetu, który utrudniał oddychanie.

– Sądzi, że to choroba umysłu. Powtarza to od wielu lat. Antonina czasem... zachowuje się dziwnie. Krzyczy na ludzi... których nie ma w pobliżu, opowiada niewiarygodne historie, zmyśla. Kiedy była dzieckiem, wierzyłem, że to po prostu problemy związane z dojrzewaniem, cecha osobowości, która z czasem może się stać prawie czarująca. Teraz jest młodą kobietą i ta nadzieja gaśnie. Zanim się

pojawiłaś... przespała się z synem chłopca. Miał czternaście lat, ona była o rok starsza, a kiedy skończyli, przybiegła do domu, ciągle... nieczysta, i krzyknęła, co zrobiła. Wcale nie wyrażała skruchy, ale biegała po pokoju, śmiała się nam w oczy, podciągnęła suknię, by pokazać zakrwawione majtki, plunęła matce w twarz i powiedziała, że teraz jest wolna. Wolna i błogosławiona w oczach Boga. Zbiłem ją tego wieczoru. Biłem tak mocno, że nawet żona błagała, bym wreszcie przestał, choć wciąż miała na twarzy zaschniętą plwocinę córki. Nikomu nic nie powiedzieliśmy. Czekaliśmy, aż rana się zagoi, i nikomu nie pozwalaliśmy zbliżyć się w tym czasie do domu, do Antoniny. Miałem nadzieję, że twoja obecność uleczy naszą rodzinę, ocali dobre imię córki, i nie mam żadnych zastrzeżeń do twojego zachowania. Zachowywałaś się wzorowo. Może nawet za bardzo. W ciągu ostatnich kilku miesięcy niemal zapomniałem, że nie jesteś moją córką. Patrzyłem, jak tańczy, śmieje się, uśmiecha. Słuchałem opowiadanych przez nią anegdotek, patrzyłem, jak kłania się kawalerom, których apróbuję, i grzecznie odrzuca zaloty zbyt wyniosłych. Odnosiła się właściwie do służby, była hojna wobec przyjaciół, miła dla nieznajomych, dbała o swoją godność. W ciągu ostatnich miesięcy córka była taka, jak zawsze pragnąłem, a teraz... ty odeszłaś, ona wróciła, a ja rozumiem, że skorzystałem z twoich usług nie dla córki, tylko dla siebie. Przeżyłem kilka miesięcy z dzieckiem, które sobie wymarzyłem. Nie wiem, co robić.

Płakał. Stary książę płakał, przyciskając do oczu drobne pięści. Na włosach jego brody lśniły kropelki łez przypominające lodowe sople. Otworzyłam usta, by się odezwać, lecz nic nie powiedziałam. Popatrzyłam na szachownicę, spostrzegłam, że za kilka posunięć nastąpi mat, ale nie poczułam triumfu. Książę wydawał z siebie ciche szlochy, nieco głośniejsze od czkawki, i natychmiast je tłumił, a jego zaciśnięte pięści świadczyły o głębokim wstydzie.

Po chwili uniósł głowę i szepnął z zaczerwienionymi oczyma:

– Zostaniesz moją córką? Zostaniesz nią... trochę dłużej?

Pokręciłam głową.

– Proszę, zostań moją córką. Bądź taką, jaka powinna być.

Wyciągnęłam ręce, dotknęłam jego dłoni, delikatnie położyłam je na kolanach i rozsunęłam palce.

– Nie – odpowiedziałam i skoczyłam.

Kołysał się przede mną mój stary sługa Josif.

– Zostań tu! – warknęłam i wstałam z fotela. Zatrzeszczały mi kości, oczy miałam zaczerwienione i opuchnięte od łez. Bardzo bolały mnie nogi, czułam skurcze w udzie, lecz stary książę był zbyt dumny, by posługiwać się laską, choć wyraźnie jej potrzebował.

Dom spał, lampy były przygaszone, a ja wdrapałam się po schodach i pokuśtykałam do pokoju Antoniny. Przed drzwiami siedziała tęga matrona z kluczem przywiązany do paska. Wzięłam go bez słowa, a ona się nie poruszyła i dalej pochrapywała przez nos. Wślizgnęłam się do ciemnego pokoju.

Meble zniknęły. Usunięto wszystkie przedmioty, którymi Antonina mogłaby zrobić sobie krzywdę. Zakratowane okna były zasłonięte ciężkimi kotarami, a w pokoju unosił się przytłaczający smród moczu i ekskrementów, którymi wymazano podłogę, a także lekka woń mydła i solanki.

W mroku poruszyła się postać odziana w podartą białą koszulę nocną, która nie mogła chronić od zimna. Wyglądała żałośnie. Wiele razy spoglądałam na tę twarz w lustrze i wydawała mi się prześliczna. Teraz widziałam tylko burzę młodości i nienawiści, rozczochrane włosy i oczy pełne pragnienia zemsty.

– Antonino... – szepnęłam. – Antonino... – szepnęłam znowu.

Jedna z nóg nie wytrzymała wysiłku i upadłam na kolana. – Przebacz mi – powiedziałam. – Przebacz mi. Wyrządziłem ci krzywdę. Ukradłem ci czas. Odebrałem ci godność, imię, duszę. Kocham cię. Przebacz mi...

Wyszła powoli z ciemnego kąta pokoju i ruszyła ku mnie, szurając nogami. Klęczałam ze zwieszoną głową, splótłszy przed sobą dłonie. Zatrzymała się, widziałam tylko jej stopy i nagie łydki. Uniosłam wzrok. Miała zmierzwione włosy, które okręciły jej się wokół szyi, jakby chciała się na nich powiesić. Splunęła mi w twarz. Wzdrygnęłam się, lecz się nie poruszyłam. Znowu splunęła. Prawie nie czułam śliny, gdy spłynęła mi z czoła. Miała temperaturę ciała.

– Kocham cię – powtórzyłam, a ona pokręciła głową i zasłoniła uszy. – Kocham cię. – Wyciągnęłam ręce, przycisnęłam dłonie do jej stóp, unieruchomiłam je. – Kocham cię.

Jej ręce zmieniły się w szpony, przeciągnęła nimi po swojej twarzy i nagle wyrwała nogi z moich rąk. Milczała, pozostała tylko wściekłość, ciepło i wilgoć na mojej twarzy, gdy zniżyła wargi do poziomu moich oczu i krzyczała, krzyczała, krzyczała, aż wreszcie straciła oddech. Chwyciłam ją za ramiona i przycisnęłam do siebie. Gryzła i drapała, szarpała moją brodę, twarz, jej paznokcie wbijały się w moją pokrytą zmarszczkami skórę, jakby chciała mi ją zerwać z czaszki. Pozwalałam jej walczyć, aż w końcu opuściły ją siły, i wtedy mocno ją objęłam.

Hałasu nie dało się ignorować. Przybiegły służące, a wraz z nimi żona księcia, która stanęła w drzwiach i gapiała się z otwartymi ustami na to, co zobaczyła. Ruchem głowy kazałam jej odejść, i jeszcze mocniej przytuliłam córkę. Czułam jej gorący oddech aż do rana.

Później stałam się kimś innym i odeszłam.

Rozdział 77

- Budzę się nagle, z lękiem. Zachodzi słońce, śnił mi się Galileusz.
Coyle ciągle śpi na łóżku. Budzę go, gdy nikną ostatnie ślady dnia.
– Musimy ruszać.
– Dokąd jedziemy? – pyta, gdy pomagam mu zejść do samochodu.
– Trzeba znaleźć pociągi.

*

Dotarliśmy do Lyonu tuż po ósmej wieczorem.

Podobnie jak w wielu starych francuskich miastach, w Lyonie znajdują się piękne kamieniczki nad brzegiem leniwej rzeki, bazylika z wysokimi wieżami, starożytne mury obronne i przedmieścia z gigantycznymi *supermarchés*, ogromnymi parkingami i marketami odzieżowymi w parterowych barakach z sufitami z żelaznych kratownic. Zostawiłam Coyle'a drzemiącego w samochodzie na parkingu marketu, który reklamował się nieśmiertelnym sloganem: JEDZ NAJSMACZNIEJ, ŻYJ NAJLEPIEJ, KUPUJ NAJTANIEJ!, po czym weszłam do środka z ukradzionymi euro. W mikroskopijnym wozie strażackim, który kołysał się do przodu i do tyłu przy akompaniamencie syreny, chichotało dziecko. Koło kas znajdował się billboard z informacją, że odwiedzony przeze mnie niewielki supermarket to idealne miejsce do przygotowywania wesel i przyjęć, stworzony również z myślą o przypadkowych klientach pragnących zrobić zakupy. Nad warzywami unosiły się szare smużki pary, a zapach drożdży mieszał się z lekkim jazzem dobiegającym z głośników na suficie.

Kupiłam chleb, mięso, wodę i naręczę męskich ubrań, wszystkie obszerniejsze, niż należało. Kasjerka nosiła zieloną czapkę z daszkiem i ze zdumieniem spoglądała na moje zakupy jadące w jej stronę po ladzie.

- To dla mojego brata – wyjaśniłam.
– Kaze pani kupować sobie spodnie?

– Mam dobre oko do rozmiarów.

*

Coyle spał w samochodzie.

– Coyle. – Delikatnie dotknęłam jego ramienia, a kiedy się nie poruszył, musnęłam mu policzek wierzchem dłoni. Otworzył oczy, które błysnęły w ciemnym aucie, przypomniał sobie, gdzie jest i z kim, po czym cofnął się instynktownie. Przełknęłam ślinę i powiedziałam:

– Jesteśmy w Lyonie

– Co jest w Lyonie?

– Głównie transport publiczny. Proszę.

– Co to takiego?

– Czyste ubrania. Dla ciebie.

– Nie dla ciebie?

– Jeśli będę miała ochotę się przebrać, znajdę coś lepszego od nowych ubrań. Przymierz je. Chyba zapamiętałam twoje rozmiary.

Skrzywił się, ale odpowiedział:

– Pomożesz mi?

Podkręciłam ogrzewanie, pomogłam mu rozpiąć guziki i zdjąć zniszczoną koszulę. Co dziwne, opatrunek na ramieniu nie był przesiąknięty krwią ani się nie obluźował. W słabym świetle parkingu obmacałam skórę wokół rany i spytałam:

– Boli?

– Nie.

– Jak się czujesz?

– Znośnie. Masz zimne ręce.

– Nie mam zbyt dobrego krążenia. Proszę. – Włożyłam mu T-shirt przez głowę, pomogłam wciągnąć rękawy, a później wsunęłam koszulkę w spodnie. Kiedy musnęłam palcami bliznę na brzuchu, nie poruszył się, lecz miał napięte wszystkie mięśnie. – Pasuje?

– Tak.

– Kupiłam ci też sweter. Prawdopodobnie rozleci się po pierwszym praniu, ale jest ciepły i czysty.

– Dziękuję.

– Drobnostka.

– Po co zawracasz sobie tym głowę?
Westchnęłam i odwróciłam głowę.
– Poplamiełeś tapicerkę krwią – rzekłam cicho. – Krew trudno wyczyścić.

*

Kierowcy usiłujący dotrzeć do centrum Lyonu muszą mieć mnóstwo cierpliwości, by pokonać niezliczone ronda. Pojechałam jednokierunkowymi ulicami w stronę rzeki, gdzie rozgrzana młodzież chłodzi się techno z lat dziewięćdziesiątych i basami z pierwszej dekady dwudziestego pierwszego wieku. Zaparkowałam niezgodnie z przepisami przed szarym kamiennym kościołem, z którego portyku Najświętsza Maria Panna spogląda ze smutkiem na swoją grzeszną trzódkę, i powiedziałam:

– Nie możemy więcej używać tego samochodu.
– Dlaczego?
– Irena zniknęła przeszło osiem godzin temu. Jeśli miała dziś wieczorem pracę, powinna ją zacząć przed kilkoma godzinami. Poprzednia osoba, której ciało nosiłam – Max – została na stacji benzynowej...
– Myślisz, że Aquarius już wie, kim jesteś?
– Znasz ich lepiej ode mnie. Namierzyli mnie?
– Tak, to możliwe.
– W takim razie musimy porzucić samochód. Odtąd poruszamy się publicznymi środkami komunikacji. Jeśli dostaniemy się do Hiszpanii, choćby do Gibraltaru, i nie wywołamy alarmu, wszystko będzie znacznie prostsze. Muszę sobie golnąć.
– Golnąć?
– Możesz chodzić?
– Nie za wcześnie na alkohol?
– Zawsze jest dobra pora – odpowiedziałam i otworzyłam drzwiczki furgonetki. – Uwielbiam tequilę.

*

Zamówiłam tequilę, a Coyle sok pomarańczowy.

Sok pomarańczowy to we Francji gazowany roztwór cukru o pomarańczowym kolorze serwowany z kulistej butelki.

Siedzieliśmy w barze, w którym wisiały płaskie ekrany telewizyjne pokazujące piłkę nożną i zawody rowerów BMX. Gości interesował tylko jeden mecz, a ich miny świadczyły, że to rozgrywki lokalne, które nie idą najlepiej. Spocony Coyle miał w dłoni papierową serwetkę i zaciskał zęby.

– Wszystko w porządku, proszę pana? – spytał barman.

– Skręcił kostkę – odpowiedziałam.

– Powinien pan iść do lekarza. Czasem mogą z tego wyniknąć komplikacje.

– Zdarza się. Jeszcze tequili?

Coyle popatrzył na mnie sceptycznie, lecz zamówił następny kieliszek. Za naszymi plecami ktoś strzelił bramkę i wszyscy widzowie jęknęli z rozpaczą.

– Niedługo się upijesz – mruknął Coyle przy akompaniamencie jęków fanów piłki nożnej i syku otwieranych piw.

– Zdradzę ci jeden z sekretów widm. Opuszczony gospodarz zwraca znacznie mniejszą uwagę otoczenia, jeśli w chwili przebudzenia jest odurzony, pijany, ma wstrząs mózgu albo jego stan psychiczny jest w inny sposób zmacony.

– Zamierzasz się przesiąść?

Wypiłam następny łyk tequili, poczułam palący smak alkoholu i syknęłam z zadowoleniem.

– Mam materiały. Ukradłam je Aquariusowi w Berlinie.

– Wspomniałaś o tym.

– Poinformowałaś o tym Aquariusia?

– Tak. My... oni się ciebie bali.

– Rozumiem, że nie wiedzieli, że jestem z Janus?

– Nie.

– Dlaczego tam pojechałaś?

– To moje zadanie – odpowiedział. – Tym się zajmuję. – Kolejny łyk, po czym odstawiłam na bok pusty kieliszek. – Nie, nie o to chodzi. – Mówił bardzo cicho, lecz go słyszałam. – Pytałem o Galileusza i wysłali mnie do Paryża. W tym czasie myślałem, że... W tym czasie w ogóle nie

myślałem. Właśnie tym się zajmowałem, jeśli cię to interesuje.

Moje ostre, twarde paznokcie uderzały z grzechotem w brzeg kieliszka.

– Nie pomogę ci im szkodzić – szepnął. – Nie pomogę ci w działaniach przeciwko członkom Aquariusu, niezależnie od tego, co zrobili. Jeśli to rzeczywiście oni. Nie jesteś moim przyjacielem. Chodzi o Galileusza, nic więcej.

– Rozumiem.

Ryk kibiców piłkarskich na ekranie telewizora, pogarda rozgoryczonych fanów oplakujących przegrany mecz. Okrążyłam palcem brzeg kieliszka, który uparcie nie chciał dźwięczeć.

– Nowy Jork – powiedział Coyle. – W Nowym Jorku jest... fundator. Kiedy pokazałaś mi w Berlinie dossier, próbowałem z nim porozmawiać, ale szefowie Aquariusu się sprzeciwili. Powiedzieli, że okłamałaś mnie w sprawie Galileusza, że próbujesz szerzyć chaos. Alice trafiła do szpitala, wiedziałaś o tym?

– Kiedy ją opuściłam, była posiniaczona, ale mogła chodzić. Reszta to kwestia psychologiczna, nie mam z tym nic wspólnego.

– Obchodzi cię to?

– Nie w tej chwili.

Popijał sok, jakby była to whisky, balsam na stare i nowe rany jego ciała.

– Wiedziałem, że mnie okłamują. Ty jesteś pasożytem, ale nie kłamiesz. Chyba powinienem ci za to podziękować.

– Ależ proszę.

– Fundator – powtórzył. – W Nowym Jorku jest fundator.

– Czego?

– Nas. Aquariusu. Poszczególne komórki działają osobno. Jeśli jedna zostanie zinfiltrowana, pozostałym nic nie zagraża, ale istnieje jeden ośrodek kierowniczy, który wszystko kontroluje. Nie jesteśmy złymi ludźmi. Nie krzywdzimy swoich. Jeśli wydano rozkazy... jeśli Galileusz jest chroniony... fundator zna przyczynę.

– Nie byłabym tego taka pewna. Wiesz, kim jest ten fundator?

– Nie.

– Potrafisz go znaleźć?

Milczenie.

Wycisnęłam do swojego kieliszka resztki soku z cytryny i spojrzałam na zmiażdżone wnętrze owocu.

– Zastanawiasz się, czy go zabiję – szepnęłam. – Czy to po prostu jeden wielki podstęp. Masz dobre instynkty. Jesteś dzięki nim bezpieczny do czasu, gdy twój lęk przed nagłym ciosem noża w plecy będzie oznaczał, że nie został nikt, by patrzeć na twoją śmierć. Nie zadawaj sobie pytania, czego chcę ani nawet kim jestem. Pytaj tylko o jedno: co mogę zrobić? Wystarcza mi dziesięć sekund, by zniszczyć człowieka. Kiedy strzeliłeś do mnie na schodach stacji metra Taksim, pomyślałam: Tak, dlaczego nie, stanę się mężczyzną, stanę się kobietą – kimkolwiek – a potem poderżnę mu gardło. Zajmie to tylko chwilę, a kiedy zabiorą mnie policjanci, umazaną jeszcze ciepłą krwią, zniknę. Twoja śmierć byłaby króciutkim epizodem w moim życiu.

Konsekwencje ponosi tylko ciało. Ale z jakiegoś powodu, którego w owym czasie nie potrafiłam zgłębić, pozwoliłam ci żyć. Mogłabym uciec. Jestem świetna w uciekaniu. Teraz, gdy mam już czas się nad tym zastanowić, myślę, że cię oszczędziłam, jakkolwiek się naprawdę nazywasz, ponieważ gdy próbowałeś mnie zabić, potraktowałeś mnie w wyjątkowo osobisty sposób. Sama już nie pamiętam, kiedy ostatnio przytrafiło mi się coś takiego... Usiłowałeś zabić właśnie mnie. Za wszystko, co zrobiłam. Trudno mi wyrazić, jakie to ekscytujące. I oto jesteśmy razem, ty i ja, i moim zdaniem powinieneś wiedzieć, że moje uczucia przeszły pewną ewolucję. Stały się bardziej zniuansowane. W czasie tej wesołej przygody lepiej cię poznałam i, mówiąc prosto, kocham cię. Przeklinaj mnie, nienawidź, pluj na mnie, nie ma żadnej różnicy – to wyraz odrazy do mojej duszy. Nie tego, kim wydaję się być, lecz tego, kim naprawdę jestem. Jesteś piękny. Wolałabym iść pieszo do Aleppo w skórze trędowatego niż cię skrzywdzić.

Coyle dopił sok, zajrzał do pustej szklanki.

– Cóż... – odezwał się w końcu, po czym umilkł. – Okej – dodał po chwili namysłu. – W porządku.

Wyciągnęłam pusty kieliszek w stronę barmana.

– Tequila. Jeszcze trochę tequili.

– Nie wypić pani dosyć, madame?

– Będę miała dosyć, gdy nie zdołam wstać. Mój cudowny przyjaciel odwiezie mnie do domu.

Mężczyzna wzruszył ramionami, jak to potrafi zrobić tylko francuski barman, wyrażając mądrość i apatię, po czym nalał mi następny kieliszek. Coyle znieruchomiał obok mnie.

– Jak właściwie mam ci pomóc wrócić do domu?

– Co robisz, kiedy polujesz na takich jak ja? Sprawdzasz dokumentację szpitali, szukając pacjentów cierpiących na nagłą amnezję? A może badasz sprawy finansowe, szukasz ubogich, którzy zaczynają wydawać mnóstwo pieniędzy, albo bogaczy rozdających cały swój majątek?

– Jedno i drugie. Podążamy śladem morderstw.

– Amnezję może wywołać wiele czynników. Uderzenie w głowę, szok. Prawdopodobnie również połączenie odpowiednich substancji chemicznych.

– Kepler... – rzekł ostrzegawczym tonem. W jego głosie pojawiło się zrozumienie. – Do czego zmierzasz?

– Można wytropić każde ciało, z którego korzystam. Można zidentyfikować samochód i Irenę. Pora ruszać.

– Dokąd? Chcesz zostać inną sprzątaczką? Kolejne dziwki i złodzieje? To w twoim stylu, prawda?

– Zwykle tak. Ale tym razem sytuacja jest inna. Irena nie jest moim jedynym obciążeniem.

Wahał się przez chwilę, lecz wreszcie podjął decyzję.

– Wykluczone.

– Coyle...

– Nie nazywaj mnie w ten sposób. Wykluczone, kurwa!

– Zastanów się nad tym...

– Właśnie dlatego pozwoliłaś mi spać? Opatrzyłaś mnie?

– Nie chciałam, żebyś umarł.

– Albo nie chciałaś, żeby ci było niewygodnie.

– Dobry gospodarz, chętne ciało...

– Chemicznie poprawione dla twojej przyjemności...

– Coyle! – prawie krzyknęłam, położyłam dłonie na kolanach i wciągnęłam do płuc zimne nocne powietrze. – Mogę sobie wyobrazić

ciała, w których mieszkałabym mniej chętnie niż w twoim.

Rezygnowałam z gospodarzy, bo swędzą ich kolana albo trzeszczą im stawy. Naprawdę myślisz, że chciałabym zamieszkać w ciele z raną postrzałową, gdybym miała lepszy wybór?

– A jeśli cię znajdą?

– Przrzekam, że zrobię wszystko, by przy najbliższej sposobności znaleźć się w ciele bardziej gotowym do walki. Jakie masz możliwości?

– Mnóstwo.

– Ciągłe masz kulę w ramieniu.

– Nie wyobrażam sobie, że będziesz się śpieszyć z jej wyjęciem.

– Twoi ludzie...

– Wiem! – krzyknął i uderzył dłońmi w bar, aż podskoczył mój kieliszek i głowy obecnych obróciły się. Skurczył się pod ich spojrzeniami, wyglądał jak żółw chowający się do skorupy. – Wiem – mruknął. – Wiem.

– Mogę cię zabrać do Nowego Jorku.

– Jak?

– Zawiozę cię do fundatora. Nie zrobię mu krzywdy. Czy cię okłamałam? Skrzywdziłam?

– Zabiłaś Eugene'a. Zrobiłaś to w Berlinie.

– Eugene'a zabiła Alice – odparowałam. – Zastrzeliła go, bo w nim byłam, ale on umarł, a ja przeżyłam. Nie zginąłby, gdybyś zostawił mnie w spokoju. Mogę cię zaprowadzić do Galileusza.

– Nie wiem... Muszę się zastanowić. Odurzyłaś mnie. Boże, bez przerwy gadasz. Muszę się zastanowić.

Delikatnie dotknęłam jego dłoni.

– Wspaniale, ale zaraz się wyrzygam i nie mamy czasu – odpowiedziałam.

Jego ręka drgnęła, ale za późno.

Rozdział 78

– Cześć! – powiedziałam.

Coyle otworzył oczy, oblizał wargi i spytał:

– Gdzie jestem?

– U dentysty.

Spojrzał na niski sufit, posadzkę z białej terakoty, na mnie.

– Kim jesteś?

– Nehra Beck, żonaty, dwoje dzieci, karta lojalnościowa miejscowej kawiarni, skłonność do kolekcjonowania pokwitowań (ktoś mógłby to nawet nazwać obsesją).

– Która godzina?

– Około północy. Ja – a raczej ty – powiedzieliśmy, że to pilna sprawa i że zapłacimy. Kiedy Nehra zdał sobie sprawę, że mam kulę w łopatce, trochę się zdenerwował. Musiałam wytłumaczyć, że nie chodzi o zęby, a potem... Cóż, sam widzisz, co nastąpiło potem.

– A dzień?

– Ten sam – odpowiedziałam. – Minęło kilka godzin. Przepraszam za ten skok, ale zachowywałeś się nierozsądnie, a ja byłam kompletnie pijana. Kiedy już znalazłam się w twoim ciele, zdałam sobie sprawę, że twoje stoickie zachowanie to pozór i że przede wszystkim trzeba usunąć kulę. – Wzięłam ogromne metalowe szczypce z metalowego stolika stojącego obok i szczęknęłam nimi znacząco. – Doszłam do wniosku, że dentysta może mieć dość środków znieczulających, by trochę złagodzić ból. W tej chwili czekam, aż zaczną działać.

Rozdział 79

Później Coyle otworzył oczy, a ja powiedziałam:

– Nazywam się Babuszka. To prawie na pewno nie moje prawdziwe imię, ale mam w torebce osiemdziesiąt euro gotówką, klucze do mieszkania, pół butelki wódki, cztery prezerwatywy, listek paracetamolu, gaz pieprzowy i to.

Rzuciłam karty na łóżko, na którym leżał Coyle. Popatrzył na nie, potem na mnie, znowu na karty i rzekł:

– Wyglądasz... jak istota stworzona przez chirurga plastycznego.

– Naprawdę? – Dotknęłam dłońmi swoich bujnych kształtów. Na tęgą białą szyję opadały platynowe włosy. – Cóż, tak, piersi wydają się silikonowe, ale twarz jest chyba własna, prawda?

Coyle, leżący na plecach na łóżku taniego hotelu, obejrzał moje w dużej części obnażone ciało.

– To jakiś rodzaj kary, co? Zemsta Boga?

– Bzdura! – zawołałam, po czym usiadłam obok niego na łóżku i schowałam karty do torebki. – Babuszka była bardzo miła. I tania. Pięćdziesiąt euro za dwie godziny. W Paryżu jest znacznie drożej, możesz mi wierzyć. Jak się czujesz?

Obmacał ramię wokół świeżego opatrunku, krzywiąc się przy każdym dotknięciu.

– Niewiele pamiętam.

– Byłeś kompletnie nawalony! – odpowiedziałam radośnie, sprawdzając elastyczność olśniewająco białych tipsów. – Wiedziałam, że jesteś nawalony, bo to ja dałam ci dragi, ale dopiero po poderwaniu Babuszki zdałam sobie sprawę, na jakim haju jestem... jesteś... to znaczy jesteśmy. Dobrze wykorzystałam ten czas. Niedawno przeskoczyłam i tak naprawdę... – Wyciągnęłam rękę w stronę miękkiej skóry jego policzka.

– Zaczekaj!

Czekałam z uniesionymi brwiami. Babuszka miała niewiarygodne

wyskubane brwi. Uwielbiałam je. Coyle odetchnął głęboko.

– Powiedziałaś, że potrzebujesz... spokojnego ciała. Kogoś, kto nie będzie wrzeszczał, uciekał. Chociaż twoja... twoja Babuszka jest tania, jeśli wyjdzie z tego pokoju hotelowego, zaraz przyleci alfons i będziesz miała straszne kłopoty. Dlatego mnie potrzebujesz, zależy ci na mojej współpracy. Więc zaczekaj. – Czekałam, a Coyle przycisnął pięści do czoła i znów głęboko odetchnął, dygocąc na całym ciele. – Powiedz, czy możesz mnie zabrać do Nowego Jorku.

– Mogę cię przeprowadzić przez kontrolę celną – odpowiedziałam z prostotą. – Mogę nie sprawdzić biletu, podstemplować twój paszport, nie przeszukać twojego bagażu. Mogę komfortowo polecieć do Nowego Jorku pierwszą klasą w kimkolwiek zechcę. Zabiorę cię tam, jeśli mi pozwolisz.

– I co potem? Obudzę się przykuty kajdankami do kaloryfera?

– Albo w wygodnym pokoju hotelowym obok pięknej kobiety.

– Obejrzałaś się w lustrze?

– Nie – przyznałam. – Ale długo patrzyłam na Babuszkę, gdy stanęła w drzwiach. Obiecywała wiele cudownych przyjemności: dreszczyk erotyzmu, tajemnice seksu. Uznałam, że jest bardzo muskularna. – Wyciągnęłam nogi, czując mięśnie łydek i ud. Z ciekawości opuściłam ręce i próbowałam dotknąć palców nóg. Kiedy dłonie znalazły się poniżej kolan, ścięła i mięśnie odmówiły posłuszeństwa. Wyprostowałam się z westchnieniem. – Może przesadziłam. Ale wydawało mi się, że Babuszka ma czuły uśmiech. Śmiała się jakby z samej siebie. Moim zdaniem jestem fantastyczna, w pewien sposób.

– Często to robisz? Słyszałem, że są ludzie, którzy nawiązują... relacje z istotami takimi jak ty. Nigdy nie mogłem w to uwierzyć.

– To prawda. W swoim czasie miałam kilku takich – zmienników, jak można ich nazywać. Nie martw się, zawsze zachowywałam się bardzo przyzwoicie. Nie należy nadużywać cudzego ciała. W ciele zmiennika nigdy nie prowadzę niebezpiecznie samochodu ani nie uprawiam seksu bez zabezpieczenia – w gruncie rzeczy nigdy nie uprawiam seksu bez pozwolenia. Taka relacja sprowadza się do tego, że ktoś chce się z tobą następnym razem umówić, nie trzeba zatem wykonywać

dziwnych skoków od kelnera na szefa kuchni, szofera i z powrotem. Dobry zmiennik jest... może być przyjacielem. Jeśli tego chce.

– Też ich kochałaś?

– Tak, oczywiście. Wiedzieli, kim jestem, i mieli do mnie zaufanie. Powierzali mi swoje nagie ciała. Jeśli to nie jest akt miłości, nie wiem, co nim jest. Kocham wszystkich swoich gospodarzy. Kochałam Josephine. – Oczy Coyle’a lśniły w żółtawym świetle wolframowych żarówek palących się w pokoju, lecz nie odezwał się ani słowem. – Był czas, że brałam wszystko siłą. Ty – działania twoich kolegów – w jakiś sposób odgrzebały te doświadczenia, wspomnienia. Ale Josephine Cebula wiedziała, na co się zgodziła. Zawarłam z nią umowę w poczekalni międzynarodowego portu lotniczego we Frankfurcie, w hali odlotów, kiedy udowodniłam, co potrafię. Miałam myć jej ciało, dotykać dłońmi włosów, oglądać ją nagą. Miałam ją ubrać w nowiutkie stroje, stanąć przed lustrem i obracać się w różne strony, zastanawiając się, czy mój tyłek wydaje się duży w czerwonym świetle, a mały w niebieskim. Miałam się śmiać jej śmiechem, napełniać jej brzuch jedzeniem, przesuwając językiem po zębach, całować jej wargami, pieścić jej opuszkami palców, spać nocą z nieznanym i cichutko szeptać opowieści o miłości do ucha kochanka. Robiłam to wszystko, bo mi na to pozwoliła, bo poprosiłam i zawarłyśmy umowę... Kochałam ją. Nie ma większego daru niż ten, który mi ofiarowała, ani tego, który ja zamierzałam jej dać. Nowe życie. Nowe istnienie. Szansę stania się tym, czym, pragnęła być, a to wszystko za czas wcale nie dłuższy niż wyrok więzienia za drobną kradzież. A ty ją zabiłeś, Nathanie Coyle. Kimkolwiek jesteś. Zabiłeś ją.

Jeszcze nigdy nie słyszałam tak głębokiej ciszy. Wydawało się, że wnika w szkielet nocy.

– Ja... – zaczął i urwał. – To nie... – powiedział i znowu umilkł.

Słowa na końcu języka. Może usprawiedliwienia, wymówki. Wykonywanie rozkazów. Sprawiedliwość. Zemsta. Błędne decyzje, brak czasu, zbyt wielka presja. Minione dzieje – biedny Nathan Coyle, zraniony, cierpiący wskutek dawnych wydarzeń, nie sądźcie go z powodu czynów popełnionych z cudzej woli.

Słowa pojawiły się na jego wargach i znikły, nim zdążył je

wypowiedzieć.

Obserwowałam, jak się roztopiają, parząc mu ciało, aż wreszcie odwrócił wzrok i nic nie powiedział.

Spacerowałam po pokoju, włączyłam telewizor.

Opowieści...

...o cudzych problemach.

Wyłączyłam telewizor.

Czekałam.

Potem powiedział, że chce umyć zęby.

Łazienka jest tam. Bardzo proszę.

Wstał, skrzywiony z bólu, i sprawdził, czy bandaż na ramieniu i piersi się nie obluzowały.

Drzwi do łazienki były uchylone i obserwowałam z łóżka, jak pojawia się i znika w jaskrawym świetle. Kiedy woda przestała płynąć, otworzyłam drzwi szerzej, by go lepiej widzieć. Stał z dłońmi opartymi o krawędź umywalki i wpatrywał się w lustro, jakby on także widział tylko swoją twarz, jakby on także próbował rozwiązać problem, jaki może przybrać kształt. Oparłam się o framugę drzwi, chirurgicznie skonstruowana prostytutka w mieście, gdzie stawki są kiepskie, alfonsi nieprzyjemni, gdzie tajemnice mojego fachu leżą ukryte pod świeżo umyтыми kocimi łbami na ulicach. Nie spojrzał na mnie, nie odrywał wzroku od własnych hipnotycznych oczu.

– A jeśli się nie zgodzę? – spytał.

– W takim razie odejdę. Znajdę dossier Aquariususa, zniszczę go i zostawię cię w spokoju.

– Żeby umarł? To groźba?

– Nie zrobię ci krzywdy. Aquarius, Galileusz... twoje domysły są równie dobre jak moje. Ale nie zrobię ci krzywdy.

Skinął głową, patrząc na swoje odbicie, po czym spojrzał na umywalkę. Przygarbił się, nagle wydawał się przedwcześnie postarzały.

– Zrób to – powiedział. – Zrób to.

Wyciągnęłam rękę i zawahałam się, trzymając palce nad jego nagimi plecami.

– Zrób to! – warknął, wykrzywając wargi. Zmarszczył brwi, a ja przycisnęłam palce do jego skóry i, instynktownie wyprzedzając jego

gniew,

skoczyłam.

Jestem Nathanem Coyle'em. Mocno bije mi serce. Pieką mnie oczy, boli pierś.

Jestem Nathanem Coyle'em. Stoję bez tchu, obolała, a w drzwiach łazienki chwieje się na nogach oszołomiona kobieta o nieprawdopodobnym imieniu.

Jestem Nathanem Coyle'em. Patrzę w lustro w oczy, w których wzbierają łzy.

I przez chwilę, widząc swoje odbicie, proszę Boga, bym mogła być kimkolwiek innym.

Rozdział 80

Nie ma samolotów lecących z Lyonu do Nowego Jorku.

Znowu pociągi.

Pasażerowie pociągu są trudniejsi do wytropienia niż samochody.

TGV, pęd wciskający w fotel, ryk tuneli, równiny północnej Francji.

Z powrotem do Paryża.

Przy stoliku dla czterech osób siedział koło mnie stary mężczyzna z rozłożoną gazetą.

Przez pewien czas czytałam mu przez ramię artykuły, ale on czytał szybko, a ja wolno. Byłam zmęczona, znudzona i samotna, więc dotknęłam dłonią jego nadgarstka i skoczyłam.

Coyle poruszył się obok mnie, zobaczył okno i szarozielone pola, usłyszał huk lokomotywy, poczuł zapach drogiej kolejowej kawy i w końcu zauważył mnie. Ciągle trzymał swoją rękę na mojej.

– Jeszcze nie dojechaliśmy?

– Nie.

– O co chodzi?

– Chciałam... chciałam się przywitać.

– Dlaczego?

– Myślałam, że... chcesz się dowiedzieć, co słyszać. – Spojrzał na mnie z niedowierzaniem. – Przepraszam – wymamrotałam. – Chciałam po prostu być miła.

Skoczyłam z powrotem przez jego gorącą dłoń.

Na Gare de Lyon opuściłam Coyle'a na kilka sekund. Zachwiał się i odzyskał równowagę, opierając się o biletomat.

– O co teraz chodzi?

– Kończą się nam pieniądze – odpowiedziałam i wyciągnęłam z kieszeni portfel. – Weź to. – Wyjęłam z portfela wszystkie banknoty z wyjątkiem jednego i podałam mu je.

Spojrzał na nie z pogardą biskupa patrzącego na pokonanego diabła, po czym przyjął pieniądze.

– Kim teraz jesteś? – spytał, gdy schowałam do kieszeni znacznie lżejszy portfel.

– Człowiekiem, który uścisnął rękę nieznanemu. To uściśnij mi rękę, Nathanie Coyle, i ruszajmy dalej.

Powoli rozprostował palce i delikatnie uścisnął mi dłoń.

*

Pojechałam metrem na lotnisko, a później warczącym autobusem przegubowym do terminala. Naprzeciwko mnie stała opalona kobieta o jasnych włosach, w zielonej sukience mocno ściśniętej w talii. Śmiała się radośnie, rozmawiając z przyjaciółką przez komórkę. Doszłam do wniosku, że zmierza na parking po powrocie ze słonecznych wakacji w jakimś południowym kraju. Nie obawiała się, że jutro czeka ją praca albo że będzie rozbita po nagłej zmianie stref czasowych; cieszyła się z powrotu do rodziny i przyjaciół, którzy zbiorą się, by ją powitać.

Swędziały mnie palce, by musnąć jej skórę i móc się śmiać tym wesołym, jasnym śmiechem, gdy matka, ojciec – a może nawet podziwiający mnie bracia, z którymi w dzieciństwie się kłóciłam, lecz którzy teraz są dorośli i darzą mnie dojrzałą miłością, będą mnie ściskać i nazywać swoją kochaną siostrą.

Później się rozejrzałam i zobaczyłam odbicie Nathana Coyle'a patrzące na mnie z szyby. Drzwi się otworzyły i dziewczyna zniknęła.

*

Jeden bilet do Nowego Jorku. Kolejka.

Byłam...

– Proszę o paszport.

Coyle zamrugał i poczuł dotyk mojej ręki. Patrzył przez niewielkie okienko nad ladą, na której zmęczeni podróżni kładą paszporty, próbując opuścić Francję. Uśmiechnęłam się do niego i powiedziałam wesoło po francusku:

– Zamierzam sprawdzić pański paszport, panie Coyle. – Cofnęłam

palce, przestając go dotykać.

Po raz pierwszy znajdowałam się we wnętrzu boksu funkcjonariusza zajmującego się kontrolą paszportową. Nigdy wcześniej nie było takiej potrzeby. Niewygodny wysoki stołek, skomplikowane wyposażenie, którego przeznaczenia nie rozumiałam i którym nie umiałam się posługiwać, pistolet w kaburze schowany pod ladą.

– Odczekaj chwilę, a potem przejdź, jakbym zakończyła odprawę – powiedziałam. – Będę kilka ciał z tyłu.

Skinął głową, a kiedy uśmiechnęłam się do niego i życzyłam mu miłego lotu, ruszył naprzód jak człowiek pogrążony w pójście.

Wsunęłam do skanera jeszcze kilka paszportów, obejrzałam kilka twarzy, po prostu dla zabawy, zastanawiając się, który z pasażerów może być przestępcą, a który przemytnikiem. Skaner kodów kreskowych zaczął radośnie popiskiwać, gdy włożyłam do niego dwa paszporty. Na ekranie komputera pojawiły się nazwiska i liczby, a ja udałam, że je czytam, gdy tymczasem przed boksem czekali tędy turyści i zmęczeni biznesmeni. Kiedy pojawił się człowiek nieco przypominający Coyle'a, o podobnej budowie ciała, kolorze włosów i rysach twarzy, uśmiechnęłam się szczególnie promiennie i wyciągnęłam rękę po paszport. Dotknął moich palców

i ja również musnęłam jego skórę.

*

Dziewięć ciał później, gdy Coyle podszedł na lotnisku do wykrywacza metalu i położył torbę na pasie transmisyjnym, by ją prześwietlono, spytałam:

– Wiecie pan coś szemranego, proszę pana? – Zerknął na mnie z błyskiem w oku, bo celnicy raczej nie posługują się słowem „szemrany”. – Uśmiechnęłam się i dodałam: – A może kontrola osobista?

– Mamy na to czas?

– Och, proszę pana, nie wie pan, że dotyk cudzej skóry jest znacznie bardziej podniecający od własnej? – upomniałam go, uruchamiając pas transmisyjny, na którym leżała torba. – Ale widzę, że nie ma pan ochoty na kontrolę, a mnie wrasta paznokcie lewej nogi,

a zatem może pan iść.

*

Później byłam
biznesmenem z koszmarnymi zębami, plomby wymagały
wymiany, ból w dziąsłach, czy uważał to za normalne?

Siedziałam obok Coyle'a w hali odlotów z teczką w jednej ręce
i papierowym kubkiem w drugiej.

– Herbaty?

Popatrzył na kubeczek, później na mnie i bez słowa wziął herbatę
z mojej dłoni.

– Dziękuję.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Przyniosłam cukier na
wypadek, gdybyś miał ochotę posłodzić.

– Pijam gorzką.

– W porządku. Zęby są od tego zdrowsze.

Siorbał herbatę, a ja usiadłam wygodnie w fotelu. Wsadziłam
teczkę między kolana i nerwowo przesuwiałam językiem po
zrujnowanych zębach. Lotnisko Charles'a de Gaulle'a jest podobne do
wszystkich portów lotniczych na świecie: sklepy wolnocłowe, drogeria
dla nieostrożnych podróżnych, których stumililitrowe buteleczki
szamponu zawierają o jeden mililitr płynu za dużo i wydają się ochronie
niebezpieczne. Mężczyźni w eleganckich garniturach próbujący
sprzedawać zamożnym pasażerom najnowsze samochody sportowe
i księgarnia z bestsellerami miesiąca, opowieściami o amerykańskich
adwokatach o idealnym uzębieniu, amerykańskich kochankach
prowadzących idealne życie, amerykańskich mordercach, którzy nie
chcą się poddać i umrzeć.

Kobiety w chustkach trzymały dzieci za ręce i studiowały tablicę
informacyjną z godzinami odlotów. Zmęczeni podróżni czekający na
samolot do raju drzemali z głowami odchylonymi do tyłu
i wyciągniętymi językami, mocno przyciskając bilety do powoli
poruszających się piersi. Znalazłam w kieszeni bilet, sprawdziłam
lotnisko docelowe i czas odlotu, po czym zerknęłam na tablicę
informacyjną nad głową.

– Nawet nie wiem, dokąd mam lecieć.

Coyle zerknął na trzymane przeze mnie papiery.

– Zdaje się, że twój lot jest opóźniony.

– Typowe. A twój?

– „Proszę czekać na komunikat”.

– To może oznaczać wszystko.

– Moim zdaniem to dobrze.

– Jesteś pewien?

Zerknął na mnie ze zdziwieniem.

– Nie lubisz... latać?

– Po raz pierwszy przepełnęłam Atlantyk na pokładzie holenderskiego klipra o nazwie „Nessy Reach”, biorącego udział w wyścigu herbacianym. Cholernie niebezpieczny rejs.

– A samoloty?

– Nie lubię immanentnego zagrożenia związanego z lataniem. Jeśli samolot spadnie, człowiek jest martwy niezależnie od tego, kim jest: grubą rybą podróżującą w pierwszej klasie czy skromnym pasażerem klasy ekonomicznej.

– Mój Boże, jesteś tchórzem! – zawołał.

– Doprawdy? Moim zdaniem odwagę należy definiować w odniesieniu do normalnego postępowania człowieka. Robiłam wiele rzeczy, których nie mógłby zrobić odważny człowiek: opuszczałam kochanka, uczestniczyłam w rozmowie kwalifikacyjnej, wyruszałam na wojnę. Przyznaję, że nie angażowałam się emocjonalnie w te czynności, co sprawiało, że sytuacja nie wydawała się niebezpieczna, ale dalej muszę spytać... czy naprawdę jestem tchórzem? Moim zdaniem można znaleźć argumenty za i przeciw.

– W porządku: nie jesteś tchórzem. Po prostu działasz według innych reguł.

Uśmiechnęłam się i spytałam:

– Masz ochotę na jeszcze jedną filiżankę herbaty?

– Nie, dziękuję.

– Powinnam się pozbyć tego ciała. Samoloty mogą mieć opóźnienie lub nie, ale umysł ma ograniczoną wytrzymałość.

– Wiem. – Wyciągnął rękę, nie patrząc na mnie. Jego palce były

wiotkie jak dłoń królowej podającej rękę do pocałowania.

– Jesteś bardzo odważny – powiedziałam, dotykając palcami jego skóry.

*

Samolot powoli kołował na pas startowy.

Demonstracja procedur bezpieczeństwa. Włożyć maskę tlenową, schować głowę między kolanami, najpierw ratować siebie, a dopiero potem dzieci lub przyjaciół.

Pęd startującego samolotu wbił nas w fotele. Oparłam głowę o zagłówek, czułam pulsowanie w barku i ręce, zmagalam się z pokusą dotknięcia rany, obserwowałam, jak pejzaż za oknem traci solidność i zmienia się sieć linii prostych, dróg i ścieżek stworzonych przez człowieka. Zamówiłam wegetariański posiłek i butelkę wody, a później, stwierdziwszy, że filmy wyświetlane podczas lotu są jeszcze gorsze, niż przypuszczałam, rozegrałam partyjkę szachów z nieznanym pasażerem na fotelu D12, który szybko przegrał i nie proponował rewanżu.

Później znaleźliśmy się nad oceanem. W dole widać było maleńkie obłoki i ogarnęło mnie zmęczenie. Bolało mnie ramię, piekły oczy i pod wpływem chwilowej pokusy stałam się

mężczyzną o okrągłej twarzy, zbyt grubym jak na fotel w klasie ekonomicznej, z brzuchem ściśniętym przez pas bezpieczeństwa, z niewygodnie podkurczonymi kolanami i unieruchomionymi łokciami. Poruszyłam się niezgrabnie w fotelu, słuchając szumu silników i grzechotu wózka z napojami jadącego w przejściu, a tymczasem Coyle popatrzył na mnie zamglonym wzrokiem i spytał:

- Odważny?
- Słucham?
- Powiedziałaś, że jestem odważny.
- Naprawdę?
- Przed chwilą.
- Kilka godzin temu.
- Gdzie teraz jesteśmy?
- Nad Atlantykiem.

– Co się stało?

– Stało?

– Dlaczego... jesteś tym, kim jesteś? – spytał, wskazując ręką mój brzuch.

– Było mi niewygodnie. Chciałam rozprostować nogi. Ten pan blokował mi drogę, więc postanowiłam rozprostować jego nogi.

– Wierzę w to. Powiedziałaś, że jestem odważny.

– Tak mi się wydawało.

– Chwilę temu.

– Nazwałam cię także mordercą, ślepym durniem i zabójcą kobiety, którą kochałam. To wszystko prawda. A jednak lecimy razem samolotem i nic złego się nie dzieje. Nie martwiłabym się o to.

– Długo zamierzasz nim być?

Poruszyłam się niezgrabnie na siedzeniu.

– Nie – odrzekłam w końcu. – Jestem za gruba. Poręcze fotela ściskają mi brzuch i bolą mnie kolana. Mam płaskostopie, koślawe paluchy i posmak imbiru w ustach. Poza tym podejrzewam, że grozi mi zawał. Jeśli chcesz obejrzeć film albo coś w tym rodzaju, możemy zmienić miejsce. Masz ochotę na pierwszą klasę?

– Jakie filmy można tu obejrzeć?

– Koszmarne. Grasz w szachy?

– Słucham?

– Grasz w szachy?

– Nie. To znaczy tak, gram.

– Masz ochotę na partyjkę?

– Z tobą?

– Jasne. Zaproponuj grę pasażerowi na miejscu D12, zaraz się wszystkim zajmę.

– Nie jestem pewien...

– Pozwalasz mi nosić swoje ciało, ale nie chcesz grać ze mną w szachy?

– Jedno to ponura konieczność, drugie wygląda jak fraternizacja.

– Skoro nie chcesz...

Chwila milczenia. Później:

– Nie jestem twoim przyjacielem. Musisz to rozumieć.

– Naturalnie.

– W Berlinie, w Stambule mówiłem poważnie. Wierzę we wszystko, w co wierzę. Kilka minut tu lub tam, partia szachów... To nie zmienia tego, kim jesteś. Co sobą reprezentujesz. Pozwalam ci... się dotykać... bo muszę, ale budzi to we mnie odrazę. Nie wiem, dlaczego ci to tłumaczę.

– Wszystko w porządku – odparłam. – Wszystko będzie okej.

Cisza. Pod warunkiem, że w hałaśliwym samolocie może panować cisza.

– Więc... chcesz spać? – spytałam, poruszając się niezgrabnie w fotelu.

– Twój gospodarz się nie zorientuje, jeśli zostaniesz za długo?

Wzruszyłam ramionami.

– Samoloty są nudne. Większość ludzi jest zadowolona, jeśli czas mija niepostrzeżenie.

– Przydałoby mi się trochę czasu.

– Świetnie.

– W samotności.

Skinęłam lekko głową z zamyśloną miną.

– Nie ma problemu – mruknęłam i wyciągnęłam rękę, by dotknąć dłoni sąsiadki. – Zobaczymy się po drugiej stronie Atlantyku.

*

Jestem szefową dużej firmy.

W domu prawdopodobnie uprawiam jogę.

Jem krewetki i piję szampana.

Coyle siedzi sam, ja też.

Rozdział 81

A później...

– Proszę okazać paszport.

Uśmiechnęłam się promiennie do mężczyzny za ladą.

Specjalnością portu lotniczego w Newark są oficerowie imigracyjni, których grymasy zdają się mówić, że nawet jeśli nie zdołają zabronić pasażerowi wjazdu do Stanów Zjednoczonych, to na pewno maksymalnie go utrudnią.

Położyłam na ladzie portfel z biletami, a kiedy wyciągnął rękę, zaciskając wargi, jakby się spodziewał rozczarowania, chwyciłam go za nadgarstek i powiedziałam:

– Witamy w Nowym Jorku!

Coyle odzyskał równowagę po przeciwnej stronie lady, a ja ostentacyjnie przeglądałam jego dokumenty.

– Amerykanie mają hopla na punkcie bezpieczeństwa. Cierpisz na choroby zakaźne?

Coyle przycisnął dłonie do czoła, próbując uspokoić ciało i umysł.

– Słucham?

– Muszę zadać kilka pytań. Czy cierpisz na choroby zakaźne?

– Tylko ty jesteś zakaźna.

– Przykre. Czy kiedykolwiek aresztowano cię za wykroczenie świadczące o niemoralności? Nie bardzo wiem, co tak naprawdę oznacza wykroczenie świadczące o niemoralności, choć wiele w życiu widziałam.

– Nigdy nie byłem aresztowany – odpowiedział ostrożnie. – To twój amerykański akcent?

– Próbuję naśladować akcent z New Jersey.

– Kiepsko.

– Dopiero się rozgrzewam. To nie tylko wymowa, ale składnia i słownictwo. Mam dyżur, jestem dumna ze swojego munduru, a zatem nie mogę mówić slangiem. Czy zajmujesz się lub kiedykolwiek

zajmowałeś szpiegostwem, sabotażem, działalnością terrorystyczną lub ludobójstwem? Chyba możemy postawić wielkiego ptaszka w każdej rubryce, co?

– Zamierzasz mnie zadenuncjować przed władzami amerykańskimi?

– Zastanawiałam się nad tym w przypiływie dobrego humoru – odpowiedziałam, przesuając dokumenty z powrotem w stronę Coyle’a.

– Myślałam także o tym, że mógłbyś pójść korytarzem dla pasażerów chcących zadeklarować coś do oclenia, śpiewając północnokoreański hymn państwowy, ale wątpię, czy ktoś uznałby to za zabawne. Proszę. Jesteś już prawie w Stanach.

*

Przez kilka minut walczyłam z ogarniającą mnie paniką. Jeździłam ruchomymi schodami, szukając Coyle’a, i nie mogłam go znaleźć.

Wreszcie go zauważyłam. Siedział na podłodze oparty plecami o ścianę z wyciągniętymi nogami i mocno przyciskał dłoń do starego opatrunku. Miał szarą twarz i miarowo oddychał. Przykucnęłam obok niego, kołysząc się na wysokich obcasach, i spytałam:

– Dobrze się czujesz?

Obrócił lekko głowę, żeby na mnie spojrzeć, i przez sekundę widział nie mnie, tylko kostium stewardesy, mały kapelusik, umalowane wargi.

– Wszystko w porządku, jestem... – Zawahał się i zmrużył oczy. – To ty? – Wyciągnęłam dłoń o długich paznokciach i pomogłam mu wstać. – Czuję się lepiej. Myślałem, że o tym wiesz.

– Wszystko w porządku. Zabiorę cię w bezpieczne miejsce.

– Dlaczego nie możesz iść sama?

– Im mniej cię zaczniesz dziwnie zachowywać, tym mniej zwrócę na siebie uwagę. Dzięki temu będę mogła lepiej cię chronić.

– Robisz to, żeby mnie chronić?

– Bóg wie, że nie robię tego dla twojego jedwabistego ciała – odpowiedziałam, dotykając palcami jego chłodnego ramienia.

*

Coyle nie kłamał.

Czułam się znacznie, znacznie lepiej.

Gdy zajęłam miejsce w pociągu, moje palce były lodowato zimne.

Palił mnie pusty żołądek, a w ramieniu pulsował tępy ból. Pociąg pędził na północ. Powlokłam się do toalety z nierdzewnej stali w pokrytym plamami rdzy wagonie, po czym zdjęłam koszulę i obejrzałam bandaż. Wydawały się czyste, ale kiedy dotknęłam palcem rany, poczułam ból spływający po kręgosłupie i zrezygnowałam z dalszych eksperymentów.

*

Potem byłam...

– Cześć! – Coyle chwiał się przede mną, a ja wcisnęłam mu do ręki klucz do pokoju i powiedziałam: – Idź do windy i jedź na najwyższe piętro. Wynajęłam pokój na jedną noc.

Popatrzył na mnie, mrugając oczami. Uśmiechałam się do niego promiennie jako recepcjonistka. Spojrzał na klucz, który wcisnęłam mu do ręki, po czym odwrócił się bez słowa i ruszył w stronę rzędu mosiężnych drzwi do wind. Odczekałam, aż odejdzie, zawołałam portiera, i podążyłam za nim.

*

Hotel był wspaniały – wspanialszy niż te, do których byłam przyzwyczajona. Pokój miał pokryte skórą łóżko, fotele, chromoniklową łazienkę, trzy warstwy grubych kotar i telewizor większy od drzemiącego hipopotama. Coyle leżał już na łóżku. Jego stopy wisiały w powietrzu i splótł dłonie na brzuchu.

– Coyle? – Otworzył jedno oko i spojrzał na mnie. – Nic ci nie będzie – powiedziałam. – Wyjdę, znajdę kogoś bogatego, kupię więcej środków przeciwbólowych i opatrunków.

– Kim teraz jesteś?

– Nie wiem. Zdobędę wszystko, czego potrzebujesz.

– Jeszcze nigdy mnie nie postrzelono.

– Mnie tak. Wiem, co czujesz. Wyjdiesz z tego.

– Nie możesz być pewna. Nigdy nie zostajesz dostatecznie długo,

by się przekonać.

- Wrócę za jakiś czas.
- Kim będziesz, kiedy wrócisz?
- Kimś innym. Kimś nowym. Sobą.

*

Wzięłam klucz do pokoju, zakopałam w doniczce obok windy, zjechałam na parter.

Uścisnęłam rękę pierwszego mężczyzny, który wychodził z hotelowej restauracji, a kiedy portier wpatrywał się we mnie rozkojarzonym wzrokiem, wręczyłam mu dziesięciodolarowy napiwek, grzecznie podziękowałam i wyszłam na ulicę.

W Nowym Jorku lodowaty chłód przenika człowieka do szpiku kości. Zima na Manhattanie nie pozwala skórze przyzwyczać się do zmiany temperatury, lecz natychmiast dociera prosto do serca. Lekko ubrany wędrowiec ma wrażenie, że zamarza od środka, choć to niemożliwe. Wiatr wiejący od strony oceanu pędzi po ulicach, popycha żółte taksówki, wiruje wokół wieżowców, uderza z boku na przejściach dla pieszych, porywa gazety i szarpie włosy. Nowojorskie apteki różnią się od swoich francuskich odpowiedników jak lodowata Alaska od plaż na Hawajach. Znika szpitalna biel, długie lady i schludne półki – zamiast tego widać ściany obwieszane plakatami, które informują o obniżkach cen, reklamują niezawodne środki na porost włosów albo samoopalacze będące gwarancją satysfakcji seksualnej. Klient przeciska się między półkami pełnymi szamponów, maszynek do golenia, pilników i lakierów do paznokci, po czym staje przed maleńką ladą, a oczy sprzedawcy sugerują, że jeśli nie kupi lekarstwa, będzie nieuleczalnie chory.

Kupiłam bandaże, środki przeciwbólowe i zestaw do udzielania pierwszej pomocy. Zastanawiałam się przez chwilę, czy nie wskoczyć w sprzedawcę i nie zaopatrzyć się w antybiotyki, po prostu na wszelki wypadek. Nie. W odróżnieniu od Coyle'a moje obecne ciało nie zaczeka na mnie w czasie plądrowania półek, powinnam zatem zachować cierpliwość i zrobić to dopiero w razie konieczności.

Próbowałam biec ulicami Manhattanu, ale moje tęgie ciało i obolałe kolana stawiały opór, toteż wróciłam do hotelu, idąc, zdyszana,

z zaczerwienioną twarzą.

Klucz do pokoju Coyle'a był ciągle zakopany w doniczce rośliny stojącej obok wejścia do windy. Wygrzebałam go, oczyściłam z ziemi i weszłam do środka.

Coyle nadal leżał w łóżku z kocem podciągniętym pod brodę. Miał dreszcze. Dotknęłam delikatnie jego nogi i szepnęłam:

– Coyle...

Otworzył powoli oczy. Po chwili zamroczenie zmieniło się w strach na widok nieznajomej twarzy.

– Kepler? – Mówił powoli, miał wyschnięte usta.

– Mam nowe opatrunki. Chcesz się napić?

– Tak... proszę.

Przyniosłam z łazienki plastikowy kubeczek z wodą i uniosłam mu głowę, by mógł pić małymi łykami. Nie za szybko.

Kiedy skończył, powiedziałam, że muszę obejrzeć opatrunek.

Zrób to, co musisz zrobić, odparł.

*

Niespokojna noc.

Coyle spał na hotelowym łóżku, przykryty kilkoma kocami.

Ja siedziałam w fotelu naprzeciwko niego i nie zmrużyłam oka. Czuwałam. Czasami się budził, a ja podawałam mu wodę i środki przeciwbólowe, podciągałam koce pod brodę i czekałam, aż znowu zaśnie. Czasami mamrotał, ledwo dosłyszalnie szeptał o dawnych postępkach i wyrzutach sumienia. Siedziałam, obejmując rękami głowę: nie oglądałam telewizji, nie czytałam książki, lecz słuchałam i czekałam.

Prawie nie pamiętałam, kiedy ostatnio spałam.

Z wysiłkiem przypominałam sobie, gdzie jestem, skąd się tu wzięłam. Pokój w Bratysławie, Belgradzie lub Berlinie, a ja byłam...

mężczyzną, który kochał...

kobietą, która powiedziała...

coś.

Zajrzałam do portfela, znalazłam nazwisko, pomyślałam, że nic mnie to nie obchodzi. Nie interesowała mnie własna twarz ani charakter. Byłam kimś, kto przypadkiem jest mną. Cokolwiek to oznacza.

Szara obwódka wokół zasłon oznajmiła nadejście świtu,
wypędzając z pokoju mrok.

Coyle leżał nieruchomo, miał równy oddech i puls. Umyłam ręce
w nieskazitelnie czystej umywalce, zakopałam klucz do pokoju
w doniczce obok windy i wyszłam.

*

Metro. Godzina szczytu w Nowym Jorku.

Kiedy pociąg zwalnia, pasażerowie lecą do przodu na plastikowych
siedzeniach. Jedziesz w dół schodami ruchomymi, które irytująco
grzechoczą, a otwierające się i zamykające bramki przypominają
zwierzęce szczęki.

Jechałam pociągiem metra w godzinie szczytu. Kiedy tłum stał się
wystarczająco gęsty,

skoczyłam,

skoczyłam

i znowu skoczyłam,

poruszając się bez ruchu,

zostawiając swoje ciało daleko z tyłu.

Rozdział 82

Gdy wróciłam do hotelu, Coyle nie spał i oglądał dziennik telewizyjny.

Wiadomości dotyczyły spraw lokalnych i były nachalnie subiektywne. W kraju wolności wolno mówić wszystko, niezależnie od tego, czy ma się coś do powiedzenia.

Znów byłam portierem.

– Nie mogę zostać długo w tym cieple – powiedziałam, wszedłszy do pokoju z tacą z owocami i rogalikami. – Jak się czujesz?

Coyle instynktownie dotknął opatrunku na barku.

– Kurewsko. Ale nie za bardzo kurewsko.

– Masz ochotę coś zjeść?

– Spróbuję.

Spróbował i poprosił o więcej.

– Powinienem doprowadzić to ciało do porządku – powiedział. – Muszę zatelefonować.

– Do kogo?

– Do przyjaciółki.

– Jakiej przyjaciółki?

Obrzucił mnie z ukosa ostrym spojrzeniem. Daj spokój. Zdjęłam z głowy płaską czapkę i podrapałam się po ciemnych włosach, aż spod paznokci wyleciała niewielka chmura łupieżu.

– Okej. Zaufałeś mi, więc chyba jestem ci to winna. Ale proszę, nie rób niczego nierozważnego.

– Bardziej nierozważnego niż kradzież ciała portiera na godzinę?

– Jak powiedziałam, czasem ludzie są wdzięczni, że minęło kilka godzin. Pójdę na spacer w kimś, kto nie rzuca się w oczy.

*

Poszłam na spacer w kobiecie, która nie rzucała się w oczy.

Gęste siwe włosy i ciężkie powieki nadawały jej wygląd staruszki,

lecz skóra była jędrna i różowa. Kiedy napinałam pod koszulą mięśnie rąk, wydawały się mocne i zdolne do pracy.

Szłam wolnym krokiem turystki, bo tylko turyści naprawdę spacerują po Nowym Jorku.

Dotarłam na plac Waszyngtona i stanęłam pod białym łukiem wzniesionym przez dawnych ojców miasta, którzy nienawidzili imperializmu, lecz mieli słabość do jego pychy. W wielkim środkowym kręgu uliczni grajkowie współzawodniczyli z gołębiami i sobą nawzajem o uwagę przechodniów. Kiedy po raz ostatni odwiedziłam plac, wyszłam zza rogu i zobaczyłam czterystu zombi z gnijącymi twarzami, szarą skórą, nożami rzeźnickimi wbitymi w głowy lub sterczącymi z pleców. Gawędzili o pogodzie. Jeden z zombi, z gardłem pomalowanym na czerwono barwnikiem spożywczym, odłączył się od grupy, stał pod dębem i rozmawiał przez komórkę. Pytał, co dalej i gdzie musi skręcić w lewo.

W tej chwili niebo było szare, pod stopami chrzęściła trawa i tylko najodważniejsi studenci zdecydowali się opuścić budynki uniwersyteckie otaczające plac. Kilku ludzi rzuciło wyzwanie deszczowym chmurom i siedziało przy stolikach z szachownicami, które znajdowały się na końcu tak zwanej „dzielnicy szachowej” Nowego Jorku, pełnej szacownych klubów i ludzi rozumiejących różnicę między partią wiedeńską a gambitem królewskim. Jeden z nich zaproponował mi partię: przegrany miał zapłacić zwycięzcy dwadzieścia pięć dolarów. Poklepałam się po kieszeniach i ze zdziwieniem odkryłam, że mam prawie trzysta dolarów w portfelu z miękkiej skóry. Usiadłam, by zagrać – jasne, dlaczego nie?

Nie wiem, czy jest pani dobra w szachach, powiedział mój przeciwnik. To nie hazard, tylko pieniądze za grę, to wszystko.

Świetnie, odparłam. Przyszłam tu tylko dla zabicia czasu.

Przedstawił się jako Simon. Mieszkał w schronisku Armii Zbawienia.

– Kiedyś byłem projektantem wnętrz – wyjaśnił, atakując moje figury jak lew stado jagniąt. – Ale później przyszła recesja i imam się różnych zajęć.

Na przykład szachów?

– Zarabiam na grze jakieś osiemdziesiąt dolców dziennie. Teraz, gdy jest zimno, trochę mniej. Czasami ludzie nie chcą płacić, a policja nie reaguje, bo to hazard, oficjalnie zakazany. Na szczęście się nie czepiają, jeśli ktoś nie sprzedaje pod stołem narkotyków.

– Nie możesz nic zrobić?

– Jeśli nie płacą? Nic. Ludzie uważający się za dobrych graczy nie lubią przegrywać.

– Co się dzieje, jeśli przegrywasz?

– Płacę. Nie mógłbym przychodzić, gdybym nie płacił.

– Jak często przegrywasz?

Z namysłem ssał kciuk, po czym wydał policzki i wypuścił powietrze.

– Nie na tyle często, by nie opłacało się grać.

Kiwnęłam głową i usiłowałam odeprzeć atak. Uważnie przedstawiał figury, nie unosząc głowy znad szachownicy. Palce jego prawej ręki były pokryte odciskami, a lewej nie. Miał szare oczy o ciężkich powiekach, skórę o barwie kawy i przedwcześnie siwiejące włosy. Spytałam, jak się czuje w schronisku Armii Zbawienia.

Odpowiedział, że to dach nad głową. Surowe zasady, ale dach nad głową.

Pokonał mnie, choć z trudem, a ja uścisnęłam mu rękę, poczułam chłód czubków palców i chociaż był piękny – wyjątkowo piękny – nie chciałam nim być choćby na jeden dzień. Położyłam na stoliku pięćdziesiąt dolarów i odeszłam.

*

Zostawiłam swoje ciało tam, gdzie je znalazłam, a potem zostałam kobietą z tyłkiem boleśnie ściśniętym przez kolorową spódniczkę, policjantem z posmakiem nikotynowej gumy do żucia w ustach, kurierem ze słuchawkami włączonymi zbyt głośno pod kaskiem, sprzątaczką zmieniającą pościel w pokojach hotelu, ze zbyt ciasną obrączką na palcu.

Z powrotem do Coyle'a.

Zapukałam do drzwi i zawołałam:

– Obsługa!

Ku mojemu zaskoczeniu Coyle odpowiedział. Miał umytą twarz, uczesane włosy i coś w rodzaju grzecznego wyrazu twarzy.

– Już?

– Tak, już – odpowiedziałam. Zostawiłam pod ścianą wózek z bielizną pościelową i przepchnęłam się obok niego do pokoju. – Nie wiem, czym się zajmowałeś, ale to ciało koniecznie musi się wysikać.

Kiedy wróciłam, siedział na końcu łóżka. Opuścił nogi, splótł dłonie, zwiesił głowę.

– Miałaś miły spacer?

– Jasne. Zwiedzałam miasto, chłonełam atmosferę.

Zatelefonowałeś?

– Tak.

– No i? Mam się spodziewać, że z szafy za chwilę wyskoczą uzbrojeni ludzie?

– Nie. Już ci mówiłem. Dzwoniłem do przyjaciółki.

– Jakiej przyjaciółki?

– Pomoże nam spotkać fundatora.

– I ten fundator będzie miał dla nas odpowiedzi? Dla ciebie?

– Tak przypuszczam.

Wzruszyłam ramionami.

– Świetnie. Kto teraz?

Rozdział 83

Za długo nie spałam.
Moje ciała są wypoczęte, a ja nie.

*

Siedzieliśmy w barze restauracyjnym na rogu ulic Lafayette i East Houston i czekaliśmy.

Coyle pił kawę.

Ja tkwiłam w azjatyckiej studentce o jasnopomarańczowych włosach, w której fioletowym plecaku znajdowały się książki na temat...

– Medycznych zastosowań chityny.

– Doprawdy? – Pusty dźwięk, gdy Coyle potrącił filiżankę z kawą.

– Wielki Boże... – Znalazłam na dnie plecaka niewielki szklany słoik. Znajdował się w nim owad o długości palca wskazującego, gruby jak kciuk. Poruszył się niezgrabnie, uderzając przezroczystymi skrzydłami w szklane ścianki. – Im jestem starsza, tym bardziej zdumiewa mnie to, co znajduję na dnie torebek albo plecaków.

– Wiesz coś o medycznych zastosowaniach chityny? – spytał Coyle, gdy schowałam słoiczek w głębi plecaka.

– Szczerze mówiąc, nic.

– To miejmy nadzieję, że nikt nie będzie zadawał zbyt wielu pytań.

Proszę pani, mógłbym dostać jeszcze trochę kawy?

Kelnerka się uśmiechnęła i o mało nie dygnęła, po czym napełniła filiżankę.

– A dla pani, panienko?

– Macie placki z boczkiem?

– Jasne!

– Z syropem?

– Zawsze podajemy placki z syropem, słoneczko.

– W takim razie proszę.

– Już się robi!

Coyle przycisnął dłonie do filiżanki.

– Rozumiem, że nie chorujesz na cukrzycę?

– Nic na to nie wskazuje i mam wrażenie, że nie jadłam śniadania.

– Bez przerwy jesz?

– Jem, kiedy jestem głodna. Po prostu czasem się zdarza, że jestem głodna w kilku ciałach z rzędu. Przyznaję, przesiadka trochę wzmacnia apetyt. Powiesz mi coś o swojej przyjaciółce?

– Pracuje dla Aquariususa.

– Wybacz mi, ale nie budzi to we mnie zaufania.

– Ja jej ufam.

– Doskonale, ale czy ona ufa tobie? Rozstałeś się ze swoimi szefami w szczególny sposób.

– Ufa mi. Rozmawialiśmy. Ufa mi. Czasem... byliśmy blisko.

– Powiedziałeś jej o mnie?

– Nie.

– Chcesz, żebym...

– Nie – przerwał szybko. – Nie. Chcę, żeby to było... czyste.

Uczciwe. – Zastanawiał się przez chwilę. – A jeśli coś się stanie, jeśli ona... Jeśli pojawi się Aquarius, mogę cię potrzebować. – Wypowiedział te słowa powoli, z goryczą. – Jak masz na imię?

– Słucham? Chyba... Susie. Nazywaj mnie Susie.

– W porządku.

Pojawił się wielki stos polanych syropem placków z płatami boczku. Jadłam z apetytem, zbierając syrop palcem, a Coyle starał się nie okazywać, że go mdli.

Później na pomarańczowej kanapie usiadła naprzeciwko nas kobieta, która, jak często się zdarza w przypadku nieznanymi, mogła być kimkolwiek i pochodzić z dowolnego kraju. Miała długie rękawy, długie rękawiczki, długą jedwabną chustę zasłaniającą twarz oraz długie, prawdopodobnie ciasne skarpetki znikające pod nogawkami spodni. Położyła przed sobą na stole zwiniętą gazetę i choć w środku mógł się znajdować wyjątkowo gruby dodatek sportowy, bardziej prawdopodobne było, że jest to pistolet kalibru dwadzieścia dwa, nabity i gotowy do strzału.

Coyle spojrzał w szare oczy widoczne między brzegami chusty,

uśmiechnął się i rzekł:

– Cześć, Pam!

Jedna z dłoni w rękawiczkach znajdowała się pod gazetą, a druga ścisnęła brzeg blatu. Kobieta popatrzyła najpierw na Coyle'a, potem na mnie, później znów na Coyle'a.

– Gdzie się poznaliśmy? – spytała. Mówiła czystym akcentem z Manhattanu, twardym i energicznym.

– W dwa tysiące czwartym roku w Chicago – odpowiedział. – Nosiłaś niebieską sukienkę.

– San Francisco, dwa tysiące ósmy. Co jedliśmy wieczorem w dniu akcji?

– Potrawy japońskie. Ty sushi, a ja teriyaki. Następnego dnia odlatywałam wcześniej rano samolotem i nie chciałam mnie budzić, by się pożegnać.

– Co powiedziałaś przed odjazdem?

– Powiedziałem, że twój mąż to szczęściarz i że nikomu o tym nie wspomnę.

– I powiedziałaś komukolwiek? – spytała ostro.

– Nie, Pam. Nikomu nie powiedziałem. To ja.

Przyglądała mu się przez chwilę, po czym powoli odwróciła się w moją stronę.

– Kto to?

– Nazywam się Susie – odrzekłam. – Jestem przyjaciółką.

– Nie znam cię.

– Nie, nie znasz.

– Pam, nie wiem, co słyszałaś.... – wybuchnął Coyle.

– Słyszałam, że cię schwytano – odparowała. – Akcja zakończyła się fiaskiem. Jest ostrzeżenie przed tobą. Podobno zostałeś skompromitowany przez Janus.

– Wierzysz w to?

– Wierzę, że ty to ty. Nie myśl, że to łatwe. Phil...

– Nazywam się teraz Nathan.

– W porządku, Nathanie – ciągnęła na tym samym oddechu. – Zostałeś dwukrotnie skompromitowany w ciągu dwóch tygodni. Są rozkazy.

– Zamierzasz je wykonać? Zrobisz to?!

– Ja... nie wiem. Czytałam dossier, które przysłałeś z Berlina.

– Mówiłaś komuś? – spytał, szybko unosząc wzrok. Dla mnie również była to niespodzianka.

– Nie.

– I?

– I widzę różne interpretacje.

– Marigare strzelał do mnie. Miał rozkaz mnie zabić. Uniosła brwi pod chustą. Zaskoczenie, może niewiara.

– Dlaczego?

– Przywieźliśmy podejrzanego, potencjalne widmo. Marigare doszedł do wniosku, że świadek jest skompromitowany. Mieliśmy... – wymawiał słowa powoli, jakby czuł w ustach smak olejku anyżowego, który nie daje się splukać – ...wyeliminować zagrożenie. Zabraliśmy go nad rzekę i nagle powiedział: „Galileusz”.

– W porządku. A potem?

– Potem Marigare do mnie strzelił. Oświadczył, że wykonuje rozkazy, i strzelił do mnie. W Berlinie Kepler pokazała mi dossier. Okłamali mnie, okłamali nas, Pam. Kłamali o tym, co się stało we Frankfurcie, kłamali o Galileuszu. Kepler powiedziała...

– Kepler kłamie.

– Sama widziałaś dossier Galileusza. Wierzysz w nie? Jesteś jedyną osobą, która je widziała. Co w nim wyczytałaś?

– Zabiłaś Marigare’a. – Mówiła piskliwym głosem, połykając słowa, których nie chciała usłyszeć.

– Ja... Tak. Strzelił do mnie. Popatrzył na mnie, wiedział, kim jestem, i strzelił do mnie.

Znów zerknęła na mnie, siedzącą w milczeniu w kącie, po czym spojrzała na Coyle’a.

– Założmy, że ci wierzę. Jak udało ci się przeżyć?

Przeciągłe westchnienie Coyle’a wyrażało więcej niż jakiegokolwiek słowa. Broń ukryta pod gazetą zwróciła się w moją stronę. Mocniej objęłam kubek z kawą.

– Kepler – powiedziałam. – Możesz nazywać mnie Kepler.

Głęboki oddech. Odchyliła głowę do tyłu, poruszyła ręką, znów

kierując w moją stronę pistolet, którego lufa wyrzała z gazety. Nie odezwała się, bo musiałaby wypowiedzieć na głos zbyt wiele słów, i zamiast tego zaczęła mówić Coyle.

– Ona... to nie jest dla nas groźne – rzekł cichym, napiętym głosem.
– Przyszła tu z własnej woli.

– Jeśli znasz moje imię – dodałam – wiesz, że dysponuję danymi komputerowymi Aquarius. Ukradłam je w Berlinie. Mogłabym zniszczyć Aquarius bez pomocy Phila, niczym nie ryzykując. Jestem tu tylko z powodu Galileusza.

– Współpracujesz z tym?! – syknęła do Coyle’a.

– Inaczej bym zginął. Ona... to... – wypluł to słowo, przypominając sobie, że posługiwałam się jego wargami. – To pomogło mi przeżyć. Nienawidzi Galileusza i nie zrobiło mi krzywdy...

– Zmasakrowało naszych ludzi w Berlinie!

– Uratowało mi życie.

– Nosilo twoje ciało! – syknęła. – Zbrukało je! Boże, przecież nawet nie wiesz, co z tobą robiło! Wiesz, co z tobą robiło?!

– Ja nie... – zaczęłam, a ona wrzasnęła, żebym się zamknęła, tak głośno, że ludzie zaczęli odwracać głowy, a Coyle się wzdrygnął. Po chwili zadrżała i ściszyła głos. Opuściła głowę, a w wąskiej szparze między oczami a chustą pojawiła się niebieska żyła podobna do gąsienicy.

– Pam – odezwał się uspokajająco Coyle – złamałaś rozkazy, spotykając się tu ze mną. Czytałaś dossier Galileusza, jestem pewien. Wiem, że rozumiesz. Wiem, że wiesz o... Rozumiesz, czym jest ta istota. Czym jest Galileusz. Co dla mnie znaczy. Teraz możesz wykonać rozkaz i zastrzelić mnie, zastrzelić tę... dziewczynę w obecności tych wszystkich ludzi. Może na zewnątrz czeka grupa, która nas zaatakuje po wyjściu. Nie wiem. Ale cokolwiek postanowisz, pamiętaj: Galileusz nas rozpracował. Aquarius prowadził badania we Frankfurcie, a Galileusz je wykorzystał, przejął nad nimi kontrolę. Ja... zabiłem kobietę. Nie, to niewłaściwe określenie. Zamordowałem. Zamordowałem kobietę na schodach stacji metra Taksim z powodu kłamstw Galileusza. Niszczy nas od wewnątrz, gra nami. Ale... to zrobiłem. Zabij mnie albo nie zabijaj, ale cokolwiek postanowisz, musisz powstrzymać Galileusza.

Nie odpowiedziała. Coyle powoli wyciągnął rękę nad stołem i dotknął dłonią jej ręki odzianej w rękawiczkę. Pozostawił ją w tej pozycji, lecz nic się nie zmieniło. Płakała bezgłośnie, ukrywając twarz.

– Idźcie! – szepnęła.

– Jeśli chcesz, żebyśmy...

– Idźcie! Wyjdźcie!

– Fundator...

– Po prostu idźcie! – warknęła. Coyle cofnął rękę, skinął głową i bez słowa wstał. Zrzuciłam plecak na swoje chude ramiona i ruszyłam za Coyle'em w stronę drzwi.

– Coyle... – powiedziałam półgłosem, ale pokręcił głową, więc umilkłam i poszłam za nim w milczeniu.

Rozdział 84

Zmieniliśmy hotel.

Pożyczyłam w tej okolicy zbyt wiele ciał, by się czuć bezpiecznie.

Coyle oglądał wiadomości telewizyjne.

Spacerowałam tam i z powrotem po pokoju. Minęła doba.

– Jestem spóźniona na zajęcia – powiedziałam w południe następnego dnia.

– To idź na zajęcia – odparł, nie odrywając oczu od ekranu telewizora.

– Nie interesują mnie owady o właściwościach leczniczych.

– To znajdź coś, co cię interesuje, Kepler, i zajmij się tym.

Zmarszczyłam brwi i wyszłam z plecakiem z pokoju hotelowego.

*

Pojechałam metrem.

Owad w słoiczku na dnie plecaka stawał się coraz słabszy i lekko tłukł skrzydłami o szkło. Odkręciłam pokrywkę, wpuściłam do środka trochę powietrza, po czym znów ją zakręciłam. Postawiłam naczynie na podłodze wagonu, wyciągnęłam rękę w stronę najbliższego pasażera, nie zwracając uwagi, kim jest ani jak wygląda, a potem skoczyłam.

Jestem piękna i kupuję piękne rzeczy, które uczynią mnie jeszcze piękniejszą.

Jestem turystą z aparatem fotograficznym na ramieniu, w beżowych półbutach. Stoję w sali Muzeum Historii Naturalnej i patrzę na ogromne zwierzęta, które umarły przede mną.

Jestem tęgą businesswoman i jem ciasto czekoladowe, które jej by nie smakowało, ale mnie wydaje się pyszne.

Jestem uczennicą, siedzę z podwiniętymi nogami w bibliotece, czytam o minionych epokach, dawnych legendach. Kiedy woła mnie matka, biegnę do niej i mocno ją obejmuję, a ona pyta: „Co się stało?”

O co ci chodzi?”. Ujmuje dłońmi moją głowę, opiera rękę na moim ramieniu i kocha mnie prawie tak mocno jak ja ją.

Jestem przyszczatym studentem sprzedającym T-shirty w sklepiku muzeum.

Jestem taksówkarzem, który się zatrzymał, by zapalić papierosa.

Z chodnika macha do mnie mężczyzna, który każe się zawieźć na dworzec Union Station.

Spoglądam w lusterku na opuchniętą twarz pasażera. Ciężko dyszy, nie chce rozmawiać i nie ma nic do powiedzenia, ale, do licha, zachodzi słońce i jesteśmy w Nowym Jorku, więc pytam:

– Wraca pan do domu?

– Nie.

– Wyjeżdża pan z miasta?

– Tak.

– Podróż w interesach?

– Nie.

– Sprawy osobiste?

– Tak.

I na tym rozmowa się kończy.

Nie daje mi napiwku, gdy wysiada.

Jestem...

kimś, kimkolwiek, gdy podrywa mnie dziwka.

Jestem zupełnie pijana, siedzę nad

kolejną

whisky

przy barze w autentycznym irlandzkim pubie, który, jak można przypuszczać, jest autentyczny dzięki niewygodnym stolkom w kształcie liści koniczyny i niemej rozpaczki pijaków.

Pyta, czy pójdziemy gdzieś, gdzie będziemy sami.

Patrząc na trupio bladą twarz pokrytą błękitnymi żyłkami. Jasne, mówię. Czemu nie?

Daj mi rękę.

*

Kiedy wracam do hotelu, mam wrażenie, że Coyle w ogóle się nie

poruszył. Zerka na mnie w drzwiach i nie zawraca sobie głowy pytaniem mnie o imię, to i ja nie zadaję sobie trudu jego podawania i idę prosto do łazienki.

Zdejmuję buty.

Wysokie zapiętki wrzynały mi się w skórę, a kiedy przesuвам dłońmi po wewnętrznej stronie łydek, czuję szorstkość. Przeglądam torebkę, by znaleźć lekarstwo, które powinno się tam znajdować – tabletki dostępne tylko na receptę starannie podzielone na połówki. Tygodniowy zapas wystarczy dzięki temu na dwa tygodnie, ponieważ to ciało, mające dwadzieścia dwa dolary w gotówce i niedysponujące kartą kredytową, nie stać na więcej.

Zażywam od razu dwie połówki i patrzę twarz pokrytą makijażem, który nie jest w stanie ukryć choroby.

Nie zostało mi dużo życia.

Przypominam sobie Janus-która-była-Marcelem.

Osako Kuyeshi w szpitalnym szlafroku.

Mam torbiele.

I straciłam pamięć.

Wydaje się, że masz wizję, ale nie determinację.

Krótkie życie na tym świecie całkowicie mi pasuje.

*

W sypialni Coyle nie odwraca twarzy od telewizora i mówi:

– Dzwoniłem do Pam.

– Co powiedziała?

– Zaaranżowała spotkanie z fundatorem. Twierdzi, że jest bardzo zainteresowany.

– Jesteś pewien?

– Słyszałem na własne uszy.

– Jesteś pewien, że to nie pułapka?

– Tak.

– Byliście kochankami?

– Tak.

– Zależało ci na seksie czy na niej?

– Na jednym i na drugim. To się skończyło dawno temu.

Usiadłam na łóżku i poruszałam stopami, by przestały boleć.

– Kochasz ją?

– Zbyt łatwo używasz słowa „kochać”, Kepler.

– Nie, wcale nie. Proszę, nie nazywaj mnie Kepler. Idea, że miłość to romantyczny, stały związek dwojga ludzi, jest kompletnie absurdalna. Mogłeś kochać rodziców, bo dawali ci poczucie bezpieczeństwa. Kochałeś swoją pierwszą dziewczynę, w jej obecności czułeś się lekki i przebiegały cię dreszcze. Żonę kochałeś ze stałością oceanu uderzającego w nadbrzeżne skały, kochankę płomiennie jak meteor rozświetlający nocne niebo, a najlepszego przyjaciela z wiernością góry. Miłość jest wspaniała, był kiedyś film pod takim tytułem. A zatem czy kochasz Pam?

– Nie. Raz. Tak. Jeśli ciała znajdują się... w konkretnym czasie, konkretnym miejscu. Tak. Na swój sposób.

– Kiedy mamy się spotkać?

– Jutro rano.

– Okej.

Podciągnęłam kolana pod brodę i oparłam głowę o ścianę. Coyle w końcu odwrócił się w moją stronę i obejrzał mnie od stóp do głów.

– Dziwka?

Mruknęłam na znak potwierdzenia.

– Wydajesz się... blada.

– Umieram. – Spojrzał na mnie uważnie i uniósł brwi. –

Oczywiście stopniowo – dodałam. – Mam w torebce mnóstwo lekarstw, ale podzieliłam tabletki na połowy, by wystarczyły na dłużej. To niezłe ciało.

– Dobrze się czujesz w umierającym ciele?

– Wszyscy w jakiś sposób umierają, prawda?

– Nie ty. Żyjesz według innych reguł.

– Naśladuję Janus. On... Zabawne, zawsze myślałam o niej jako o kobiecie, zawsze wydawała się... delikatniejsza od ludzi, w których mieszkała. Kiedy umarła, nosiła ciało człowieka bliskiego śmierci. Zdawała sobie sprawę, że zginie. Popełniła zbrodnię, ponieważ z premedytacją osiedliła się w kimś, komu wpakowałeś kulę w głowę. Skazała go na śmierć. Ale widma muszą w kimś, gdzie umrzeć. Brakuje

nam odwagi, by dotknąć pomarszczonej dłoni konającej kobiety podłączonej do respiratora albo pocałować człowieka, którego serce przestaje bić. Janus wcześniej próbowała, lecz nigdy jej się nie udało. W odróżnieniu od większości ludzi mamy w tym zakresie możliwość wyboru.

– Planujesz umrzeć?

– Planuję żyć do chwili, gdy nie będę miała wyboru. Ale chyba nie należy rozmawiać o takich sprawach przed dniem, gdy możemy wpaść w pułapkę i zginąć. Jak twój bark?

– Nie zagram szybko w tenisa.

Przesunęłam palcami po włosach ufarbowanych na słomkowy kolor, usłyszałam szelest rozdwojonych końcówek i umierających cebulek, oblizałam usta i skinęłam niezobowiązująco głową.

– To będzie pułapka, sam wiesz.

– Nie wiem. Nic już nie wiem.

– Rozkazy, by zabić ciebie, zabić mnie, zabić Josephine – wszystkie wydali szefowie Aquariususa. Skoro na szczycie organizacji jest fundator, w takim razie albo Galileusz się w niego wcielił, w przeszłości lub obecnie, albo jest w kontakcie z kimś opanowanym przez Galileusza. Tak czy inaczej, Galileusz wie, że się pojawimy. Będzie czekał. Może nie w ciele fundatora, może nie w kimś, kogo znamy, ale na pewno tam będzie.

– Co twoim zdaniem powinniśmy zrobić?

Wzruszyłam ramionami.

– Jeśli teraz nie zaryzykujemy, wątpię, czy pojawi się inna szansa. Po prostu nie chcę, by spotkała nas wielka niespodzianka.

– A jeśli fundatorem jest Galileusz? Zabijesz go? – spytał.

– A ty?

– Nie wiem. Myślałem, że to zrobię. Myślałem, że go zabiję, kimkolwiek jest, w kogokolwiek się wcielił. Jeśli jeden człowiek straciłby życie, by Galileusz mógł umrzeć, wydawało się to ceną... możliwą do przyjęcia. Teraz... nie wiem, co zrobię, gdy nadejdzie ta chwila.

Nie odpowiedziałam. Uniósł się wyżej na łokciach i przyjrzał mi się uważnie.

- Kiedy ostatnio spałaś?
- Spałam? Zdaje się, że to ciało śpi w ciągu dnia.
- Nie ciało. Ty. Kiedy ostatnio spałaś?
- Ja... Bardzo dawno temu.
- Powinnaś się przespać.
- Będziesz... – Słowa zamarły mi w ustach. Obliziałam wargi, czując na języku tanią szminkę. – Będziesz tu, kiedy się obudzę?
- A gdzie miałbym być?

*

Śpię.

Próbuję spać.

Coyle przygasza światła, wyłącza telewizor, kładzie się na plecach obok mnie.

Próbuję sobie przypomnieć: kiedy po raz ostatni ktoś mnie obserwował bez mojej wiedzy?

Chcę się do niego przytulić.

Gdybym była dzieckiem

albo kobietą o drobniejszej budowie,

może o kasztanowych włosach, delikatnych nadgarstkach, przytuliłabym się do jego boku, a on by mnie objął.

Gdybym była kimś innym.

Śpię w ubraniu, gotowa do ucieczki, gotowa do skoku.

Słucham jego oddechu, podobnie jak on mojego.

Za oknem, gdzieś w dole, turkocze ciężarówka.

Syrena policyjna daleko w mroku.

Wznoszenie się i opadanie cudzej piersi.

Mam słowa na końcu języka.

Przewracam się na drugi bok. Coyle nie śpi, ma otwarte oczy, obserwuje mnie.

Natychmiast rozumiem, że nie uważa mojego ciała za atrakcyjne, i rzeczywiście, w konwencjonalnych kategoriach nie jest piękne.

I sama niezbyt dobrze się w nim czuję.

Jeszcze nie wiem, jak być piękną w tym ciele.

Instynktownie wyciągam rękę w stronę jego dłoni i waham się.

Nie cofa ręki, ciągle mnie obserwuje.
Moje palce są centymetr od jego skóry.
Chcę go tylko dotknąć.
Nie skoczyć, po prostu dotknąć.
Poczuć cudze tętno.
Czeka.

Widziałam już ten wyraz jego twarzy, ale w tej chwili nie
pamiętam, czy była to jego twarz, czy moja.

Odwracam się do niego plecami.

Muszę spać, bo jest dzień, a mężczyzna, który nie nazywa się
Nathan Coyle, ciągle tu jest.

Rozdział 85

Mam na imię...

Irena.

Nie. Ireną byłam we Francji. Nie mam ochoty być znowu Ireną.

Marta. Marilyn. Greta. Sandra. Salome. Amelia, Lydia. Susie.

Moja torebka nie zawiera żadnych dokumentów. To ciało nie ma imienia, jedynym opisem jest stan fizyczny. Nie wiem, jaka historia kryje się za ziemistą twarzą spoglądającą na mnie w lustrze, z połówkami tabletek w torebce. Próbuję zgadywać, lecz nie przychodzi mi do głowy nic przekonującego i nie jestem w stanie wymyślić nawet najprostszej biografii. Może uciekłam...

zostałam zabrana z domu...

ojciec, który bił...

ojciec, który kochał.

Może widzę w tej twarzy kobietę niesprawiedliwie oskarżoną o porwanie dziecka innej kobiety, wsadzoną do więzienia, z którego wyszłam zbyt zraniona, by żyć. Może kiedyś próbowałam narkotyków i coś nie wyszło, ale nie miałam w sercu przekonania o własnej wartości. Mój brak wiary w siebie wielokrotnie udawadniał, jak trafnie się oceniałam.

Może mam córkę, która płacze samotnie w domu, tęskniąc za matką.

Może mam męża, siedzącego w gaciach przed telewizorem i oglądającego hokej z puszką piwa w ręce, w czapeczce naciągniętej na opuchnięte czarne oczy.

Może nie mam niczego i moje życie to tylko przepołowione tabletki i następny klient, by za nie zapłacić.

Później za moimi plecami w drzwiach łazienki pojawia się Coyle i pyta:

– Gotowa?

– Prawie. Chcę najpierw gdzieś iść.

*

Nathan Coyle nie był człowiekiem pasującym do sklepu z damską odzieżą na Sixth Avenue. Usiadł na wyściełanej ławeczce przed przymierzalnią, skrzyżował nogi, splótł ręce na piersi i może wyobrażał sobie, że jest kochającym mężem, który czeka, aż żona wybierze ubranie. Skóra łuszczyła mi się pod bielizną, a ja przymierałam eleganckie spódnice, eleganckie buty, eleganckie spodnie, elegancką biżuterię, aż wreszcie, uznawszy, że w najgorszym wypadku wyglądam niczym zmęczona spikerka radiowa, wyszłam z kabiny, obróciłam się przed nim i spytałam:

– Co ty na to?

Obejrzał mnie od stóp do głów.

– Wyglądasz... inaczej.

– Wszystko zależy od stylu. Którą wolisz? – Wyciągnęłam dłoń, na której leżały dwie bransoletki, jedna ze złota, a druga ze srebra.

– Gdybym miał kupować? Srebrną.

– Ja też tak myślę. Ale za złotą można dostać w lombardzie kilka dolarów więcej.

Wreszcie zrozumiał i popatrzył na jedwab, płótno, drogie buty i markową torebkę.

– Chcesz jej zapłacić ubraniami?

– Mogę także wsunąć do torebki trochę pieniędzy.

– Myślisz, że to coś zmieni?

– Masz lepszy pomysł?

– Nie – przyznał. – Nie mam. Pieniądze... to prymitywna rekompensata za to, co robisz.

– Śpi jak kamień, a po kilku godzinach budzi się w innym miejscu, w innym ubraniu. Niewiele wiem o swojej gospodyni, ale mogę się domyślać, jak wyglądało jej życie, i to na pewno nie jest najgorsze, co ją spotkało.

– Kiedy się poznaliśmy, zasnąłem, a potem się obudziłem.

Przeniosłem się ze złego miejsca do jeszcze gorszego.

– Wtedy cię nie kochałam – odrzekłam, oglądając się w lustrze. – Czasy się zmieniają.

– Kochasz siebie, nie swojego gospodarza.

Wzruszyłam ramionami.

– Nasz związek ma bardzo intymny charakter. Spróbuj znaleźć różnicę. – Odwróciłam się, zadowolona ze swojego wyglądu. Moją ozdobę stanowiło bogactwo, nie uroda. – Popatrz. Podoba ci się to, co widzisz?

*

Pojechaliśmy metrem. Zbyt wielu pasażerów, by znaleźć wolne miejsca, ale gdy obijałam się o ludzi w zatłoczonym wagonie, nie miałam ochoty skoczyć. Trzymałam ręce w kieszeniach nowego płaszcza i było mi ciepło; miałam lekko zgięte palce i rozluźnione ścięgna w naturalnej pozycji. Uśmiechnął się do mnie piękny mężczyzna z długimi czarnymi włosami i skórą o barwie stopionej czekolady. Odwzajemniłam uśmiech i pomyślałam, że przyjemnie byłoby poczuć od wewnątrz jego wargi, jakbym całowała kogoś obcego, a nie siebie. Spoglądała na mnie dziewczynka ze skrzypcami na plecach, obserwując mój bogaty strój, kosztowną biżuterię. Na moją torbę zerknął złodziej kieszonkowy i przyszło mi do głowy, że mogłabym się w niego wcielić i staranować jego głową szybę, by chronić swojego gospodarza. Popatrzyłam mu prosto w oczy i uśmiechnęłam się, dając do zrozumienia, że wiem, czym się zajmuje. Uciekł na najbliższym przystanku, by szukać łatwiejszych ofiar, a ja dotknęłam dłonią torby z pieniędzmi i lekarstwami, poczułam elastyczność skóry nowych butów na nowych stopach i ogarnęło mnie zadowolenie.

Kiedy znaleźliśmy się na Osiedzi Szóstej Ulicy, na ścianach wciąż widać było ślady huraganu „Sandy” – woda zalała białe kafelki i czerwoną mozaikę. W stronę Piątej Alei płynął gęsty tłum dobrze ubranych turystów z aparatami fotograficznymi; podążyłam za nimi jednokierunkowymi ulicami do Central Parku. Na Madison Avenue utknęła niewielka ciężarówka dostawcza i utworzył się za nią korek sięgający aż do Siedemdziesiątej Drugiej Wschodniej – kierowcy zablokowanych wozów gniewnie naciskali klaksony. Przy pobliskim kiosku stało dwóch policjantów w granatowych mundurach, którzy pili kawę i szykowali się do interwencji, gdy poczują przyływ energii po

kofeinie.

Coyle szedł nieco z przodu, ja podążałam za nim swobodnym krokiem. Już od dawna nie czułam się tak dobrze w żadnym ciele. Byłam bardzo czujna.

– Tutaj – rzekł wreszcie.

Popatrzyłam na budynek i wybuchnęłam śmiechem.

– Coś cię bawi?

– Jasne. Nie widzisz w tym komizmu?

– Poczucie humoru nigdy nie było moją mocną stroną. Chodź.

Ruszyłam za nim po schodach do muzeum.

*

Metropolitan Museum of Art w Nowym Jorku.

Muzeum to za mało powiedziane. Muzea zwiedza się kilka godzin – co najwyżej pół dnia. Muzeum to miejsce, gdzie można iść w niedzielne popołudnie, kiedy nie jest dostatecznie ciepło, by siedzieć w parku. Do muzeum można zabrać dalekiego krewnego, którego dobrze się nie zna, lecz któremu obiecało się wycieczkę po mieście. Muzeum to skarbnica historii, które słyszałeś jako dziecko i które później zapomniałeś, zaabsorbowany ważniejszymi sprawami związanymi z seksem i pieniędzmi.

Metropolitan Museum of Art to nie muzeum, lecz raczej pomnik. Świątynia wzniesiona na cześć dawnych ludów i zaginionych kultur, sanktuarium starożytnych przedmiotów wybranych przez dawno zmarłych ludzi, ofiara złożona wielkim artystom i potężnym władcom. Jest tu mnóstwo pięknych rzeczy, których pożądam i których nie mogę mieć.

Kiedy stoję za Coyle'em w kolejce do kasy, przychodzi mi do głowy, że ceny biletów wprawiają gości w paskudny humor.

*

Coyle wchodzi po wielkich marmurowych schodach, które prowadzą do wielkich marmurowych sal. Na końcu muzeum znajduje się świątynia egipska, a między nami a nią złote napierśniki, szable inkrustowane srebrem, posągi starożytnych cesarzy spokojnych

w śmierci, topór, który ścinał głowy ambitnych książąt. Są tu inkrustowane macicą perłową skrzynie z laki, w których przemytnicy opium transportowali swoje towary do Chin, fajki marzycieli, którzy umarli, wachając wonny dym. Muszkiety, z których strzelano w czasie buntu w Kairze, Koran znaleziony w spalonym meczecie, nadal poplamiony krwią. Tutaj suknia rosyjskiej arystokratki, w której tańczyła na balach przed rewolucją, a tam delikatna niebieska porcelana, z której wiktoriańskie kobiety piły indyjską herbatę. Wszystkie te rzeczy były kiedyś piękne, a upływ czasu sprawił, że stały się święte.

Coyle chce, byśmy szli szybciej.

Stój, zaczekaj, chcę popatrzeć, mówię.

Patrzemy.

Galeria twarzy, portrety królów i królowych, prezydentów i pierwszych dam, rewolucjonistów i męczenników za sprawę. Fascynują mnie, obserwują mnie tak samo jak ja ich. Coyle mówi, że się spóźnimy.

To coś zaczeka kilka minut, odpowiadam. To zaczeka.

– Kepler?

Mruczę coś w odpowiedzi, nie zwracając na niego uwagi, i patrzę na twarz kobiety, która wydaje się zdumiona, że malarz sportretował ją właśnie w tym momencie. Głowę ma lekko odwróconą i zerka do tyłu przez ramię, jakby przed chwilą zawołał ją ktoś nieznajomy, choć myślała, że jest sama.

– Kepler.

– Co takiego?

– Przepraszam. Za Josephine.

Jego słowa sprawiają, że odwracam wzrok. Coyle wydaje się maleńki pod tymi portretami, wygląda jak zgarbiony karzełek. Prawie nieludzki pod żywymi płótnami, wbija wzrok w ziemię i wypowiada jedno nędzne słowo. „Przepraszam”.

Przeprasza, że się pomylił.

I znowu: przepraszam.

Przeprasza za morderstwo, choć nazywa je inaczej.

I jeszcze raz: przepraszam.

Przepraszam za...

Lista chyba jest dłuższa. Nie mamy czasu.

Potem:

– Jeśli coś pójdzie nie tak, jeśli to pułapka, wskocz we mnie.

– Co takiego? – mamroczę. Przez chwilę nie pamiętam, jakie buty noszę, jakiej jestem płci; moje ciało znajduje się w innym miejscu.

– Jeśli Pam jest... Jeśli zostaliśmy zdradzeni, jeśli się okaże, że coś się stało... Kobieta, którą teraz jesteś... Myślę, że... jest piękna. Teraz ją... widzę. I ciebie. Widzę was obie. Zrobiłem kilka rzeczy i nie były... Tak czy inaczej...

Robi wydech, a potem znowu wdech. Gdzie jest ten mężczyzna, który w zapadłej dziurze we wschodniej Europie potrafił uspokoić serce jedną myślą, który wyglądał tak dumnie i wiedział, że ma rację? Szukam w jego twarzy dawnego Nathana Coyle'a i nie widzę go. Spogląda na mnie ktoś inny, zniszczona twarz tamtego mężczyzny.

– Tak czy inaczej – powtarza, prostując się trochę – jeśli będziesz musiała wybierać, jeśli nadejdzie chwila, by podjąć decyzję, chcę, żebyś została mną. Moim zdaniem... tak będzie lepiej.

– W porządku – odpowiadam, uznając to za dobry pomysł. – Zgoda.

*

Docieramy do drzwi. W poprzek wisi czerwona lina, która zabrania nam wstępu. Obok tabliczki z napisem: SPECJALNA UROCZYSTOŚĆ – WSTĘP WZBRONIONY stoi samotna funkcjonariuszka ochrony z krótkofalówką przypiętą do pasa. Wyraz jej twarzy świadczy, że już dawno przestała się czemukolwiek dziwić.

– Kepler... – Coyle chce coś dodać, waha się. – Nigdy nie powiedziałaś mi swojego imienia.

– Nie. Ty też nie podałeś swojego. Czy to ważne?

Wahanie, lekki ruch głowy, a potem niespodziewany, piękny uśmiešek.

– Powodzenia.

Z kolistego korytarza za strażniczką wychodzi kobieta o imieniu Pam i mówi:

– Ci państwo są ze mną.

Funkcjonariuszka się odsuwa. Wchodzimy za Pam do środka.

Rozdział 86

Była to chińska herbaciarnia.

Okrągłe drzwi, a później kwadratowy dziedziniec z biegnącą dokoła ścieżką wyłożoną płytkami ceramicznymi. W środku kołysał się bambus, a w sadzawce, do której kapłała woda, pływały karpie pokryte białymi i pomarańczowymi cętkami. Dziedziniec otaczał kamienny mur z nieregularnych głazów wulkanicznych, których dziwaczne kształty kojarzyły się z zaklętym rykiem skamieniałego potwora.

Na środku stał niewielki drewniany stolik, a na nim niebieski porcelanowy imbryk do herbaty, trzy porcelanowe filiżanki i srebrna taca z maleńkimi ciasteczkami. Tyłem do drzwi siedział mężczyzna: szara apaszka na szyi, czarna marynarka, srebrne włosy. Kiedy się zbliżyliśmy, nie uniósł wzroku i nie przestał popijać herbaty. Między nami a mężczyzną stała Pam z twarzą ciągle zasłoniętą szarą chustą, którą nosiła podczas ostatniego spotkania. Nie widzieliśmy jej ust i nosa, tylko posępne spojrzenie.

– Stój! – warknęła do Coyle’a. – Powiedz mi coś, co chcę wiedzieć.

– Eliasz. Mój kryptonim to Eliasz.

Popatrzyła na mnie.

– To ona?

– To Kepler – odparł Coyle, nim zdążyłam się odezwać.

Nie odpowiedziała, lecz skinęła małym palcem, każąc mi odejść od stołu i stanąć pod białą ścianą.

– Jeśli zbliżysz się na odległość trzech metrów do mnie albo kogokolwiek obecnego w tym pokoju, zastrzelę cię, przysięgam – powiedziała.

Uniosłam ręce i pozwoliłam się zaprowadzić do najbliższej ściany.

– Stój. Obróć się twarzą do ściany.

Wykonałam polecenie, trzymając uniesione ręce.

Kroki za moimi plecami. Daleko. W bezpiecznej odległości.

Coyle: Ona nie jest groźna.

Pam: Gadasz głupoty.

– Przyszła, zdając sobie sprawę z ryzyka.

– Więc jest nie tylko brzydka, ale i głupia. – Głos Pam, piskliwy, pełen napięcia.

Później rozległ się inny głos, zmęczony, należący do starszego, siwego mężczyzny noszącego szarą apaszkę:

– Nie zaprosiłaś mnie tu na randkę, prawda?

Głos

brzmiał

znajomo.

Patrzyłam na białą ścianę, obok pływały tłuste karpie, na moim spokojnie umierającym ciele znajdowały się klejnoty i stroje o wartości kilku tysięcy dolarów.

Jestem Kepler i wiem, kim jest fundator.

Po chwili rozległ się ten sam głos:

– Ma pan ochotę na herbatę, panie Coyle? – Odgłos nalewania wrzątku do białej porcelanowej filiżanki. – Rozumiem, że chciał się pan ze mną pilnie spotkać. Normalnie odrzuciłbym taką prośbę – zwłaszcza ze strony człowieka tak skompromitowanego jak pan – ale Pamela wspomniała o kilku interesujących kwestiach, o których chciałbym porozmawiać. Proszę usiąść.

Skrzypnięcie krzesła, brzęk spodka i filiżanki.

– Jestem fundatorem – ciągnął męski głos po krótkiej przerwie na wypicie łyku herbaty. – Zdaje pan sobie sprawę, że nie interesuję się bieżącym zarządzaniem pańską organizacją. Sama decyduje o swojej działalności. Ja tylko... przekazuję pewne środki. Podobnie jak w przypadku muzeum. Moje zainteresowania mają charakter eklektyczny.

– Dziękuję panu.

– Za co?

– Za... herbatę.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

– I za spotkanie się ze mną.

– W tym przypadku przyjemność jest nieco mniejsza, zwłaszcza

z uwagi na to, kto panu towarzyszy.

– Kepler... pomogła.

– Panie Coyle, muszę zwrócić uwagę, że jakiegokolwiek wyrazy poparcia lub zrozumienia dla istoty, którą pan tutaj przyprowadził, kompromitują pana w moich oczach. Prosiłbym, by skupił się pan na jedynej kwestii, która zainteresowała mnie i Pamelę.

– Na Galileuszu.

Wzdrygnęłam się na dźwięk imienia wypowiedzianego przez Coyle'a i wyobraziłam sobie, że on również się zachnął. Mogłam się tylko domyślać, z powodu jakich wspomnień.

– Rzeczywiście, Galileuszu – mruknął fundator. – Wczoraj wieczorem Pamela zechciała pokazać mi dossier. Naturalnie przeglądałem je już wcześniej, ale nie tak... krytycznym okiem. Twierdzi pan, że istota o imieniu Galileusz w jakiś sposób przeniknęła w szeregi pańskiej organizacji?

– Tak, proszę pana.

– Bo tak utrzymuje Kepler?

– Tak, proszę pana, i z innych powodów.

Patrzyłam na biały mur z dłońmi obok głowy i zastanawiałam się, czy tak właśnie czuje się gospodarz. Świat się porusza, a ja jestem nieruchoma: w tle rozgrywają się rzeczy, nad którymi nie panuję. Jestem kobietą sprzedającą swoje ciało za lekarstwa, na które mnie nie stać, a wokół trwają spiski, rozgrywają się historie, ja zaś spoglądam na mur i czekam.

– Na przykład?

– Frankfurtu.

– Tak, badania medyczne. Co z nimi?

– Miały na celu opracowanie szczepionki przeciwko widmom.

Uważam, że Galileusz dokonał sabotażu, by zbierać dane nie na temat niszczenia istot podobnych do siebie, lecz ich tworzenia.

– Ponieważ?

– Moim zdaniem to Galileusz zamordował naukowców z Frankfurtu.

– To jeszcze niczego nie dowodzi.

– Winę zrzucono na Kepler i jej gospodynię. Kazano mi zabić ich

oboje. Dlaczego musiałem zabić gospodynię?

– Nie wiem.

– Jest pan fundatorem.

– Jak już wspomniałem, mam różnorodne zainteresowania, eklektyczne gusta i nie podejmuję decyzji operacyjnych. Teraz współpracuje pan z istotą, którą próbował pan zabić? Dlaczego?

– Z powodu Galileusza.

Westchnienie, zmiana pozycji ciała. Może zjadano ciastko lub słodzono powoli stygnącą herbatę. Wyobraziłam sobie palce delikatnie trzymające oblane lukrem francuskie ciastko, tak by nie zniszczyć kolorowej powierzchni. Obraz sprawił, że się uśmiechnęłam.

– Galileusz... – Fundator westchnął głęboko, jak starzec. – Zawsze wracamy do Galileusza.

Pluskała fontanna, pływały karpie. Z okrągłymi drzwiami krążyły tysiące ludzi z oczami zwróconymi na cuda przeszłości.

Później fundator powiedział:

– Kepler.

Uniosłam głowę, słysząc swoje imię, lecz nie odwróciłam się od ściany. Na krzesłach za moimi plecami poruszały się ciała.

– Popatrz na mnie, Kepler.

Odwróciłam się z uniesionymi rękami i spojrzałam w oczy siwowłosego mężczyzny. Miał szarą twarz pokrytą żółtawymi plamami i podkrążone oczy. Obwisła, pomarszczona skóra na szyi przypominała miękkie płetwy foki. Bardzo ciemne oczy spoglądały na mnie bez nienawiści. Nie poznawał mnie, ale ja znałam jego nazwisko.

Odchrząknął, podrapał się z irytacją po gorsie wyprasowanej białej koszuli i spytał:

– Dlaczego tu jesteś?

– Interesuję się Galileuszem, podobnie jak Coyle.

– Dlaczego?

– Wydaje się to... słuszne. Może nawet nie o to chodzi. Mieliśmy tych samych gospodarzy. Nosiałam jego ciała, on moje. Na początku rywalizowaliśmy ze sobą. Później nastąpił odwet. Zdradziłam Galileusza, a on się zemścił.

– W jaki sposób?

– Nosił ciało kogoś, kogo kochałam. Musiałam zabić tego człowieka. Był... piękny. Nie miałam serca wpakować mu kuli w głowę. To się działo w Miami, potem w Berlinie... Poprosiłam o pomoc przyjaciela, a Galileusz spalił go żywcem. Postarał się, bym to zobaczyła. Spytał: „Podoba ci się to, co widzisz?”. Widmom zawsze podoba się to, co widzą. Rozumiemy, że zawsze możemy być lepsi. Może dziś, może jutro, może twarz, ręce, może... może stanę się lepsza? Może nikogo nie będą obchodzić rzeczy, które robiłam, gdy ostatnim razem byłam kimś innym? Może ktoś mnie pokocha? Może ludzie pokochają właśnie mnie? Może jeśli pokocham ludzi dostatecznie mocno, nie będą mieli wyboru i pokochają mnie w zamian? Podoba ci się to, co widzisz? – pytamy i odpowiedź brzmi: Tak, oczywiście. Kocham cię, kocham. Jeśli jestem widmem, czy będziesz mnie kochał?

Nie ulega wątpliwości, że Galileusz to potwór. Równie oczywiste jest, że zinfiltrował waszą organizację, rozszarpał ją na kawałki. Galileusz was zniszczył. Można dyskutować, czy przypadkiem nie próbuje, za pomocą badań i morderstw, pomnażać siebie, tworzyć potomstwo, coś, co po nim zostanie. Wątpię, czy sam Galileusz potrafiłby uczciwie ocenić swoją działalność.

Fundator znów podrapał się po kamizelce i koszuli, a ja zaczęłam się zastanawiać, jakie blizny pooperacyjne mogą się znajdować na ciele przygarbionego starca.

– Jesteś pierwszą... – Urwał i uśmiechnął się z żartu, który tylko on rozumiał. – Jesteś prawie pierwszą istotą twego gatunku, z którą rozmawiam – poprawił. – Potrafisz lepiej udawać człowieka, niż się spodziewałem. Moje gratulacje. Galileusz mógł nas... skompromitować na różne sposoby, o których nie wiemy. To zbyt odrażające, by o tym mówić, a jednak musimy o tym porozmawiać. Sugerujesz, że... wydano rozkazy, które następnie wykonano?

– Tak.

– I że wydał je Galileusz?

– W czyimś ciele.

– Oczywiście mamy procedury, by temu zapobiec.

– Wasze procedury stworzyli ludzie, a ludzie bywają zawodni.

Galileusz kręci się w pobliżu waszej organizacji od długiego czasu.

Może kiedy uzgadniał pan z kimś hasło, tak naprawdę była to zupełnie inna osoba?

– Trudno mi w to uwierzyć.

– Ludziom zawsze trudniej wierzyć w prawdę niż w miłe kłamstwa.

Wstrzymał oddech i długo drapał się po koszuli.

– To mamy wierzyć tobie? Morderczyni? Handlarce niewolników?

– Ależ proszę pana! – Coyle zerwał się na nogi.

– Niezależnie od tego, co mówi Coyle, nie sądz, że możesz odpokutować wyrządzone przez siebie krzywdy, udając istotę ludzką! – przerwał fundator, podnosząc głos.

Pam odsunęła się od stołu, by znaleźć się poza zasięgiem Coyle'a. Trzymała w rękach pistolet.

– Nie, proszę pana...

– Michaelu Peterze Morganie! – Mój wysoki, napięty głos przeciął powietrze i sprawił, że fundator z powrotem usiadł na krześle. Jego chłodne, zwiędłe dłonie dygotały. – Ile ma pan teraz lat? Pańskie ciało jest już bardzo stare, ale pan – ma pan dwadzieścia, trzydzieści lat? Jest pan co najmniej trzydzieści lat młodszy od ciała, którego jest pan więźniem. Proszę mi powiedzieć: czy kiedy zabito Janus, wiedział pan, że kazał pan uśmiercić samego siebie? To pana zastrzelono w domu w Saint-Guillaume: rękę, która trzymała dłoń pańskiej żony, serce, które kochało pańskie dzieci. Ciało należało do pana, ale dusza do Janus. Stracił pan mnóstwo czasu. Stracił pan młodość, która znikła w mgnieniu oka – krótka drzemka i obudził się pan taki jak teraz, jako człowiek o eklektycznych gustach. Kim pan właściwie jest? Moim zdaniem nawet pan tego nie wie.

Stary mężczyzna, skurczony, zwinięty w kłębek wokół własnego bólu, z jedną ręką ściskającą krawędź stołu, a drugą przyciśniętą do piersi, uniósł na mnie mętny wzrok i syknął:

– Skąd wiesz, kim jestem?

– Znałam Janus. Znałam człowieka, którym był pan w swoim prawdziwym życiu. – Otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz skrzywił tylko kąciki warg i nie wydał żadnego dźwięku. – Panie Morgan, czy ginie panu czas? – spytałam.

Milczenie.

Nie-milczenie.

Milczenie powietrza przechodzącego przez usta.

Milczenie napiętych mięśni, krążącej krwi, szybko bijących serc.

Milczenie świata krążącego za drzwiami.

Ryk niemilczenia umysłów, które nie ośmielają się głośno myśleć.

– Panie Morgan, studiował pan ekonomię na Harvardzie –

szeptnęłam. – Ćwiczył pan taekwondo i koszmarnie się pan ubierał.

Pańscy rodzice umarli, skończył pan dwadzieścia pięć lat i był pan ciągle prawiczką, gdy Janus zajęła pańskie ciało. Dla pana trwało to tylko chwilę. Kiedy odzyskał pan przytomność, żona płakała u pana boku, a pańskie córki, Elsa i Amber, nie rozumiały, co się stało z ich ojcem. Myślały, że umarł. Śmierć umysłu, nie ciała. Wiem o tym, bo pana znam, panie Morgan. W 1961 roku wypiliśmy z panem drinka w klubie młodszych pracowników naukowych w Princeton, kiedy byłam... kimś innym. Po prostu wykonywałam swoją pracę. I od tamtego czasu bezlitośnie tropi pan widma, korzystając z bogactw pozostawionych przez Janus, ale teraz jest pan stary i zupełnie samotny, więc muszę spytać: czy ginie panu czas?

Milczenie.

Fundator szybko, nierówno oddychał. Spuścił głowę i mocno przyciskał dłonie do piersi.

– Nathanie, odsuń się od niego – szeptnęłam.

Coyle powoli się cofnął.

Ruszyłam w stronę Morgana. Pam przesunęła się w bok, obserwowała mnie, oparta plecami o ścianę, trzymając pistolet wycelowany w moją pierś, zachowując dystans do wszystkich osób obecnych w pomieszczeniu. Uklękłam przed fundatorem, popatrzyłam na starcze dłonie pokryte plamami wątrobowymi, tak młode, gdy je ostatnio widziałam. Powoli wyciągnęłam wyprostowane palce i szeptnęłam:

– Muszę pana dotknąć, panie Morgan. Muszę się przekonać, że jest pan tym, za kogo się pan podaje.

Drżała mu głowa, miał łzy w oczach, nie mógł mówić, nie powstrzymał mnie, ledwo oddychał.

– Kepler... – szepnął Coyle. Pytanie, ostrzeżenie, lecz nie mógł mnie powstrzymać, nie teraz, i zanim ktoś zdążył zmienić zdanie, chwyciłam dłonie Morgana, trzymałam je mocno, ścisnęłam jego palce i niczego nie poczułam.

Tylko skórę.

Po prostu skórę.

Puściłam rękę, Morgan dygotał, po jego pomarszczonej twarzy płynęły łzy. Był młody, taki okropnie młody.

– Kepler? – Głos Nathana, wysoki i napięty.

– To nie Galileusz. – Wstałam i odsunęłam się od Morgana, dając sobie trochę przestrzeni, miejsca, by odetchnąć. Rozejrzałam się po herbaciarni: starzec, który nie dorósł, ranny morderca, kobieta w szarym stroju. – Nathanie, kiedy tu przyszliśmy, powiedziałaś: „Eliasz”. Czy to kryptonim Pameli?

Otworzył usta, by odpowiedzieć, po czym znowu je zamknął, odwrócił się i spojrzał jej w oczy.

Zachichotała, przyciskając pod chustą trzy palce do dolnej wargi.

– Ups! – powiedziała i nacisnęła spust.

Wyraźnie nie mogła się zdecydować, do kogo strzelić, bo przez sekundę celowała to w Coyle’a, to we mnie. W końcu, wzruszając ramionami, wybrała mnie i nacisnęła spust. W tym momencie zaczęłam już biec, toteż kula jedynie strzaskała moje lewe ramię, rozłupując kość z głośnym trzaskiem, który eksplodował mi w uszach. Coyle chwycił Pam za nadgarstki, a gdy próbowała obrócić pistolet, powalił ją na ziemię, uderzył kolanem w twarz i na chuście pojawiła się krew.

Upadłam na podłogę, krzycząc z bólu, zalana krwią, a tymczasem Pam,

nie-Pam,

ta-która-nie-była-sobą,

ta-która-była-Galileuszem,

obróciła się i uderzyła Coyle’a łokciem w szyję. Usłyszałam dwa strzały, brzęk szkła na suficie nad głową, w dół poleciał deszcz odłamków. Później nastąpiły trzy kolejne strzały, kule przeleciały nad moją głową i trafiły w ścianę, po czym rozległ się szcęk naciskanego spustu. Galileusz zrzucił z głowy chustkę, ukazując złociste włosy. Jego zakrwawiona twarz skurczyła się z wysiłku i uderzył Coyle’a otwartą

dłonią w szyję.

Dopiero teraz zdałam sobie sprawę,
stanowczo za późno,
że Pam nie nosiła rękawiczek.

Nagle na dziedziniec wpadła funkcjonariuszka ochrony, która pilnowała drzwi. Miała srogą minę, trzymała w ręce krótkofalówkę i krzyknęła: „Stać! Wszyscy stać!”. W jej kierunku nie pobięła Pamela, ale Coyle, wyciągając nagie dłonie ku jej twarzy.

Leżałam na posadzce i chwyciłam strażniczkę za kostkę. Moje palce dotknęły jej na moment przed Galileuszem, a potem skoczyłam

i uderzyłam krótkofalówką w szyję Coyle'a.

Cofnął się na niepewnych nogach, rozmazując dłonią krew i śluz na policzku i wargach. Popatrzyłam na swoją twarz,

na twarz Coyle'a,
na twarz, która była Galileuszem.

Potrząsnęłam głową, zastanawiałam się, czy nie błagać, nie uklęknąć u jego stóp,

ale uniósł pięść, by zdać cios, walnęłam go zatem krótkofalówką w ranę w barku, tak mocno, jak tylko się odważyłam, a Coyle, nie-Coyle,

wydał z siebie ryk zwierzęcia zaplątanego w drutach kolczastych i uderzył mnie pięścią w policzek, aż zazgrzytały mi zęby. Runęłam na ziemię, czując w ustach słonawy smak krwi i słysząc grzechot obluzowanych plomb. Coyle przeskoczył nade mną, popędził w stronę drzwi, zerwał czerwoną linę zasłaniającą wejście i zniknął w tłumie wypełniającym muzeum.

Szłam na czworakach i obejrzałam się za siebie.

Pamela z wysiłkiem wstawała na nogi, trzymając w ręce bezużyteczny pistolet.

Moja bezimienna, opuszczona gospodyni w nowym pięknym ubraniu, powoli tracąca siły w potokach krwi. Morgan w dalszym ciągu siedział na fotelu z oczami zwróconymi w górę i zwieszonymi ramionami. W czasie walki o pistolet Galileusz oddał pięć strzałów i jedna z kul trafiła w pierś fundatora.

Pam powoli obróciła oczy i spojrzała na swojego szefa. Z jej gardła wyrwał się głuchy dźwięk, który mógł się zmienić w szloch, ale nie było czasu, należało się śpieszyć. Z trudem wstałam, podniosłam krótkofalówkę i wbiegłam do muzeum.

Rozdział 87

W najbardziej ruchliwe dni Metropolitan Museum of Art odwiedza pięćdziesiąt tysięcy osób.

Nie był to najbardziej ruchliwy dzień i po salach krążyło zaledwie dwa lub trzy tysiące zwiedzających.

*

Znalazłam Coyle'a na szczycie schodów, gdy z trudem łapał oddech. Niewielka grupka ludzi taktownie próbowała na niego nie patrzeć. Uderzyłam go kolanem w pierś i łokciem w szyję, powaliłam na chłodną posadzkę i ryknęłam:

– Kim jesteś?

– Coyle! – pisnął. – Znasz mnie pod nazwiskiem Coyle!

– Kim byłam w nocy, gdy Marigare strzelił? – Nie odpowiedział, więc nacisnęłam łokciem trochę mocniej. Wybałuszył oczy i wysunął język. – Kim byłam?!

– Pielęgniarem! Samirem... Samirem Chayetem!

– Kto cię zawiózł do Lyonu?

– Irena. Ty. Irena! – Mówił ledwo dosłyszalnym szeptem, przygnieciony do podłogi przez strażniczkę. Poczzerwieniały mu czubki uszu.

Zeszłam z niego, bo wokół zbierało się coraz więcej gapiów.

– Kto cię dotknął? – szepnęłam. – Kto cię dotknął?

– Kobieta. Miała rude włosy. Mój bark...

– Uderzyłam cię. Przepraszam.

Rozejrzałam się w tłumie – kobieta o rudych włosach, kobieta o rudych włosach – i nie zauważyłam nikogo takiego, lecz to mogło nic nie znaczyć.

– Uciekaj! – syknęłam. – Uciekaj stąd!

– Co takiego?

Postawiłam go na nogi.

– Uciekaj. Twoje rany będą cię chronić: nie zamieszka w rannym ciele. Była strzelanina, zaraz pojawi się policja. Uciekaj!

– Nie mogę tak po prostu...

– Idź! – Mój głos odbijał się echem od twardych, czystych ścian klatki schodowej. Odepchnęłam go od siebie, znowu odwróciłam się w stronę tłumu i krzyknęłam: – Uciekajcie, wszyscy!

Kiedy się odwróciłam, chwycił mnie za rękaw.

– Zostań mną! – szepnął. – Nikt inny nie umrze.

Próbowałam wyrwać rękę i pokręciłam głową.

– Kepler! – Ścisnął mnie mocniej, przyciągnął do siebie. – Zabiłem Josephine. To ja to zrobiłem. Zamordowałem kobietę, którą kochałaś. Zostań mną! Kobieta, którą teraz jesteś, nie musi umrzeć. Nikt inny nie musi umrzeć. Galileusz mnie zna, zna moją twarz. Zostań mną!

Płakał.

Jeszcze nigdy nie widziałam płaczącego Nathana Coyle'a.

Wyrwałam rękę i odepchnęłam go.

– Nie – powiedziałam. – Kocham cię.

I pobiegłam przez tłum.

*

Galileusz.

Kim jesteś, Galileuszu?

Jestem funkcjonariuszką ochrony.

Jestem japońskim turystą podziwiającym samurajskie miecze.

Jestem nauczycielką robiącą notatki na temat amerykańskiej rzeźby.

Jestem studentką rysującą posąg bogini Kali, która tańczy na czaszkach swoich wrogów, zabitych w słusznym odwecie.

Jestem mężczyzną chcącym usiąść na ławce w galerii.

Kobietą jedzącą racuszek.

Jestem kelnerką pchającą wózek z ciastkami.

Zwiedzającym z audioprzewodnikiem przyciśniętym do ucha.

Portierem z paskiem zaciśniętym zbyt mocno na grubym brzuchu.

Każdy krok jest kimś nowym, każdy krok to nowy kolor skóry.

Moje ciało jest jedwabście miękkie, świeżo nawilżone dziś rano.

Mam egzemę koło łokcia, czerwone guzy na ramieniu.
Jestem stara i przygarbiona,
młoda i piękna,
moja skóra ma barwę jesiennego zachodu słońca,
jest jasna jak śnieg,
ciemna jak oliwa,
tak ciepła, że czuję każde naczynko krwionośne w swoich
świeżych, szerokich wargach,
tak chłodna, że palce u nóg w czubkach butów wydają się
kawałkami zamrożonego mięsa.

Krażę między galeriami, stoję pod kamieniami ze świątyń
egipskich, patrzę w oczy średniowiecznych świętych, szukam tego, kto
mnie szuka.

Gdzie jesteś, Galileuszu?
Na pewno niedaleko.
Nie uciekłeś, nie tym razem.
Podoba ci się to, co widzisz?
Jesteśmy tu po to, ty i ja.
Przyjdź i skończmy z tym.
Podoba ci się to, co widzisz?
A potem jestem...

...uzbrojonym strażnikiem, ponieważ w chińskiej herbaciarni padły
strzały i w fotelu siedzi martwy mężczyzna, bogacz, sponsor licznych
wydarzeń kulturalnych. Mur jest podziurawiony kulami, podobnie jak
szklany sufit, przez popękane tafle wpada gniewne światło dnia, na
posadzce leży zakrwawiona kobieta z torebką pełną pieniędzy, która nie
pamięta, jak znalazła się w tym miejscu. Uzbrojeni strażnicy odcięli
skrzydło budynku, policja obstawia galerię, ale to dobrze, Galileuszu,
doskonale.

Bo tam, gdzie są policjanci, jest broń, kamizelki kuloodporne
i okazje.

Wślizguję się w mężczyznę o wielkim płaskim nosie i czarnych
włosach ostrzyżonych na jeża. Jestem nowojorskim policjantem,
trzymam w rękach strzelbę bojową, mam niebieską kamizelkę
kuloodporną, wielkie czarne buty i ochraniacze na kolana. Posuwam się

do przodu wraz z grupą funkcjonariuszy, do której mnie przydzielono, bo takie jest moje zadanie. Odpowiadam na pytania skinieniem głowy i nic nie mówię, bo nie wiem, co miałabym powiedzieć.

Policjanci otaczają chińską herbaciarnię i ustawiają posterunki przy drzwiach. Z początku było nas sześciu, lecz teraz na zewnątrz zatrzymuje się dwadzieścia, trzydzieści ciężarówek, a także ekipy telewizyjne. Za kilka godzin będziemy głównym tematem wiadomości, STRZELANINA W METROPOLITAN MUSEUM OF ART, ale zaczekajcie, to nie koniec, będzie jeszcze więcej strzałów.

Zamkniecie muzeum?

Nie, nie zamkniemy muzeum.

Trzeba zamknąć muzeum, panie dyrektorze.

Wie pan, jak długo to potrwa, ile będzie kosztować?

Zabito człowieka, panie dyrektorze.

To tragedia, ale takie rzeczy się zdarzają, do licha, macie już pistolet sprawcy, nie możecie przestać straszyć nam gości?

Patrzę na dziesiątki policjantów i uzbrojonych strażników: jeden z nich to Galileusz. Obaj szukaliśmy broni, najlepiej należącej do kogoś noszącego kamizelkę kuloodporną. Teraz patrz, po prostu patrz, szukaj nienormalnych zachowań, mężczyzny, który się chwieje, jest powolny, nie reaguje na swoje imię, zostaje z tyłu. Szukaj człowieka, który nie pasuje, który nie ma dumnie wyprostowanych pleców, który nerwowo postukuje palcem w osłonę spustu, który zbyt uważnie przygląda się sąsiadom.

Który z was mówi po francusku, choć nie powinien mówić po francusku?

Który z was uwielbia drużynę bejsbolową New York Mets, ale ma na bokserkach logo New York Yankees?

(Pan Jak-Ci-Tam).

Kto nie pamięta numeru swojej odznaki?

Nie wie, co jadł na śniadanie.

Nie zna swojego nazwiska.

(Ja nazywam się Kepler).

Kim jesteś, Galileuszu?

Później podchodzi do mnie mężczyzna z rewolwerem, z odznaką

przypiętą do skórzanego pasa i pyta:

– Masz to, Jim?

Odwracam się i patrzę mu w oczy, musi być moim partnerem, a ja mam na imię Jim, może mam to coś, o cokolwiek mu chodzi, ale nie mogę tego powiedzieć.

A może wcale nie nazywam się Jim?

Spogląda na mnie, ja na niego, trwa to trochę za długo. Uśmiecha się, próbując zrozumieć dziwny wyraz moich oczu, a ja dotykam spustu strzelby bojowej i zastanawiam się, czy z tak bliskiej odległości ma jakiegokolwiek szanse nawet w kamizelce kuloodpornej. I czy ja mam jakiegokolwiek szanse.

– Jim? – powtarza. – Masz to?

– Nie – odpowiadam. – Jeszcze nie.

– Jim? – Irytacja, troska w głosie. – Jim? Gdzie to jest?

Chwila, wątpliwość, wahanie. Kątem oka widzę ruch, który może być równie niewinny jak drapanie się po nosie, równie ukradkowy jak dotknięcie swędzącej małżowiny usznej, lecz nie waham się; wyciągam rękę, dotykam palcami szyi partnera i na twarz chlapie mi krew.

Strzał niemal z przystawienia, krew, mózg i odłamki kości.

Spoglądam na twarz mężczyzny, który prawie na pewno nazywał się Jim i prawdopodobnie miał to, o co go proszono. Pada na posadzkę jak szmaciana lalka. Jego ręka osuwa się po mojej szyi i ramieniu, martwe ciało leży na ziemi. Kula trafiła w potylicę i wyleciała czołem, spryskując krwią kolumnę za moimi plecami.

Z tyłu stoi strzelec, zaledwie dziewiętnastolatek, z pistoletem w dłoni i palcem na spuście, w policyjnej czapce nasuniętej na oczy. Chichocze.

Chwytam pistolet. Oczy mordercy rozszerzają się ze zdziwienia, a ja dwukrotnie strzelam mu w pierś i trzeci raz w szyję, płynnym ruchem unosząc broń od biodra. Jednocześnie wydaję z siebie pusty, nieartykułowany dźwięk. Obok moich stóp leży ciało policjanta, którym przed chwilą byłam. Czuję pod podszewkami wilgotną krew.

Chwytają mnie czyjeś ramiona, wyrrywają mi z rąk pistolet, a ja wrzeszczę z wściekłości. Powalają mnie na ziemię, trzech, czterech

mężczyzn, przyciskają moją głowę, twarz, ramiona, ale nie jestem wściekła na nich, tylko na trzech innych policjantów usiłujących obezwładnić mężczyznę, który strzelał, obezwładnić Galileusza. Na jego szyi pojawiają się bąble krwi, pękają przy każdym oddechu, rozbryzgując kropelki krwi, a potem

jeden nagle robi krok do tyłu.

Jeden z mężczyzn trzymających Galileusza robi krok do tyłu, patrzy na mnie i się uśmiecha.

Znowu krzyczę

i

twarz dotyka mi ręka,

przykładam rękę do jego twarzy,

odrywam się od wijącego się, dezorientowanego ciała, odchodzę od szamocących się ludzi i wrzeszczę:

– Galileuszu!

Odwraca się i ucieka.

Pobiegłam za nim, pozostawiając z tyłu oszołomionych kolegów, dotknęłam kabury, chwyciłam pistolet, uniosłam go, by strzelić. Skręcił za róg, jego młode, ubrane w mundur ciało wydawało się pełne niezmiętej energii. Minął posągi spokojnego Buddy, jadesitową rzeźbę pięknej Guanyin z lutnią w ręce i gałęziami wierzby za plecami. Strzeliłam i spudłowałam, trafiając w jedwabny parawan przedstawiający smukłe ptaki brodzące. Przewrócił się, a ludzie stojący wokół niego zaczęli krzyczeć i rozstąpili się przed nami. Nagle Galileusz zachwiał się

i w tej samej chwili jego dłoń musnęła ramię kobiety z kucykami, w fioletowej sukience, a ja znowu wrzasnęłam:

– Galileuszu!

Obejrzał się i zobaczył, że się zbliżam, zauważył, że go spostrzegłam, i popędził naprzód pod ciemnym drewnem szintoistycznego łuku odpędzającego złe duchy. Znow skręcił, ślizgając się po marmurze, do sali, w której znajdowały się skrzypce i wiolonczele, flety z kości słoniowej i gitary inkrustowane macicą perłową. Świątynia muzyki, gdzie

chwycił ramię białego ubranego mężczyzny, który spojrzał w moją

stronę i, widząc, że na niego patrzę, po raz pierwszy okazał lekki strach. Rzucił się do ucieczki, szybciej od kobiety, miał buty lepiej nadające się do biegania. Rzucił płaszcz i torbę, uciekając wśród wiejskich pejzaży ze stogami siana i barankami, mijał płaszące wieśniaczki i umierających świętych, znów skręcił, znów próbował skoczyć, tym razem nie uciekał, lecz siedział nieruchomo w ciele strażnika przy drzwiach, ale niech to diabli, uniosłam pistolet, by strzelić, i na widok mojej twarzy strażnik rzucił się w moją stronę z wyciągniętymi rękami. Nacisnęłam spust, kula odrzuciła go do tyłu, a kiedy padał, dotknął dłonią ręki tego samego mężczyzny, którym był poprzednio. Natychmiast zerwał się na równe nogi, odwrócił się i uciekł, pozostawiając za sobą wrzeszczącego strażnika.

– Galileuszu!!!

Mój głos, dziwny, miedziane gardło, płuca palacza, odbił się echem od ścian. Teraz jest kobietą, która rzuca we mnie torebką, potem nastolatkiem stawiającym gigantyczne kroki, pędzi jak błyskawica, a ja dyszę, próbuję złapać oddech, ale nie zrezygnuję z pościgu ani z tego ciała, bo ma kamizelkę kuloodporną i pistolet. Galileusz biegnie lekko przez kolejne sale, ścigam go z tupotem. Czysty strzał – tylko o to mi chodzi.

Tłumy ludzi krzyczą i rozstępują się między nami jak Morze Czerwone przed gniewnym Mojżeszem. Biegniemy przez sale pełne totemów plemiennych zrabowanych na Pacyfiku, obok płaszczy obszytych muszelkami zerwanych z martwych indiańskich czarowników. Galileusz skacze i staje się kobietą, później dzieckiem, potem znowu mężczyzną. Mijamy pomniki ku czci zmarłych, starożytne wizerunki bóstw, które zbladły, gdy ich czciciele o nich zapomnieli, rzeźbione symbole mające pomóc duszom zmarłych dostać się do nieba lub zatonać w oceanie miłości, z którego powstały.

Biegna za nami policjanci, strażnicy, ale skąd mają wiedzieć, kogo ścigać? Rzucają na ziemię mężczyznę, który był Galileuszem; kobieta, w której mieszkał trzy ciała wcześniej, stoi i krzyczy, a policjanci celują jej w twarz bronią. Kim pani jest? Kim pani jest? Dlaczego pani uciekała?! Gdzie uciekałam?! – odpowiada bez tchu. – Dlaczego uciekałam?!

Postać w szarym ubraniu, Galileusz to dziecko, proste czarne włosy, blada kremowa skóra, szare szorty i skarpetki do kolan. W ręce trzyma otwarty tornister, tak że w środku widać podręczniki szkolne; kiedy biegnie korytarzem, z tornistra wysypują się papierki.

Kobieta z przodu. Ma pistolet, chusta na twarzy jest pognieciona. Widzę nagą skórę na nadgarstkach, wokół oczu i na szyi, ale nie przejmuję się tym, unosi pistolet, celuje

nie w dziecko,
lecz we mnie.

Pamela stoi, a ja krzyczę:

– Jestem Kepler! Jestem Kepler!

Nie zwraca uwagi, zdaje się nie zauważać dziecka biegnącego w jej stronę, unosi pistolet i strzela.

Rzucam się na posadzkę. Jestem policjantem. Noszę kamizelkę kuloodporną, mam sprawne mięśnie, odbywam długie piesze patrole... A może nie? Może wszędzie jeżdżę samochodem, odżywiam się pączkami, a moje serce może w każdej chwili wysiąść? W zamieszaniu nie zdołałam tego sprawdzić. Tak czy inaczej, kula to kula. Nie mamy czasu.

Padam na ziemię.

Z góry spogląda na nas Zeus, pełen gniewu i smutku z powodu postępów śmiertelników. Afrodyta czesze marmurowe włosy, Ares zмага się z szalejącym wojownikiem, Herkules dusi węża, a Janus o dwóch obliczach, bóg bram, drzwi, zakończeń i czasu, śmieje się jedną połową twarzy i płacze drugą, a ja? Ja chowam się pod posągami Ateny, bogini mądrości i wojny, z pogodnym uśmiechem na twarzy, z góry wiedzącej, kto zwycięży.

Pam stoi na środku sali. Biegła w stronę odgłosów strzelaniny, jest odważna, głupia lub w inny sposób zaangażowana emocjonalnie. Nie strzela znowu, lecz wiele już się wydarzyło: ludzie biegną, uciekają z galerii, przepychają się w stronę wyjścia. Ktoś włączył alarm, trwa ewakuacja zarządzana przez policję. Na schodach za moimi plecami ktoś upada, ktoś krzyczy, ktoś szlocha i przypominam sobie stację metra Taksim, gdzie wszystko się zaczęło, gdzie uciekałam przed

nieznajomym z pistoletem, jak teraz Galileusz ucieka przede mną.

Jestem policjantem.

Należy słuchać moich rozkazów.

– Wszyscy wyjść! – krzyczę, ale wszyscy już wyszli.

Trzymam spoconymi rękami pistolet, błyskawicznie przychodzę do siebie, serce zwalnia i bije w piersi równym rytmem.

– Williamie...

Dziecięcy głosik, prawie śpiew:

– Och, Williamie!

Co za William, do licha?!

(Mój Will, martwy w porcie w Miami).

Ach tak.

Byłam kiedyś Williamem.

Dawno temu.

Wyglądam zza posągu Ateny i widzę go.

Chłopiec, Galileusz, zaledwie dziewięciolub dziesięcioletni.

Uśmiecha się, jedną ręką trzyma Pam za rękę, a w drugiej ściska tornister. Ona spogląda w przestrzeń, ma twarz bardziej szarą od chusty, ciągle trzyma w ręce pistolet, ramię wisi bezwładnie wzdłuż ciała. Oczywiście. Przyszła tu bez rękawiczek i stoi jak matka z dzieckiem, a dzieckiem jest Galileusz.

Kieruję pistolet w stronę chłopca, a później Pam.

– Ale kim teraz jestem? – piszczy chłopiec.

Chwieje się na nogach, Pam mruga, potem się uśmiecha, jej palce zaciskają się wokół piąstki dziecka.

– Kim mam być, jak sądzisz? – pyta, po czym ona również się kołysze, a chłopiec szczyrzy zęby i przyciska dłoń Pam do swojego policzka niczym kot ocierający się o nogi właściciela.

– Zastrzel mnie...

– ...a może mnie?

– Kogo...

– najpierw?

On zmienia się w nią, ona w niego, tulą się do siebie. W chwilach, gdy Pam nie jest Galileuszem, płyną jej po policzkach łzy, a kiedy chłopiec nie jest Galileuszem, siusia w spodnie, zagubiony,

zdezorientowany, przytulony do obcej kobiety i niemający pojęcia, jak się tu znalazł.

Stoję.

Celuję z pistoletu w punkt między nimi – daje mi to największe szanse, jeśli okażę się szybka, a oni powolni.

Jestem nowojorskim policjantem wezwanym na miejsce przestępstwa.

Jestem uzbrojona.

Przyszłam zabić dziecko, Galileusza.

Will, umierający na nabrzeżu w Miami, krew płynąca z jego piersi.

Johannes Schwarb, publicznie spalony żywcem.

Podoba ci się to, co widzisz?

Galileusz szczyrzy zęby, lecz uśmiech natychmiast znika z jego twarzy. Pociera piąstką oko i mówi, jękając się:

– A-a-a-a-le proszę, niech pan nie robi krzywdy małemu dziecku.

Ściskam mocniej pistolet, celuję mu w głowę.

– Nie znam cię – odpowiadam. – To tylko chwila, nic więcej.

Mgnienie oka i skończone.

Dotykam palcem spustu.

Strzał.

Nie mój.

Coś uderza mnie w plecy, w kamizelkę kuloodporną, i przewraca na ziemię. Łąduję na czworakach, łapię oddech. Dzwoni mi w uszach. Galileusz stoi przede mną. Strzał go przestraszył i musiał wskoczyć w Pam, stoi przede mną bez tchu, trzymając obiema rękami gotowy do strzału pistolet, a obok niej płacze chłopiec. Jest kompletnie oszołomiony, nie wie, co robić, niczego nie rozumie.

Za moimi plecami rozlegają się czyjeś kroki.

Obracam głowę, przy najbliższym ruchu czuję straszliwy ból żeber i widzę nad sobą Coyle'a, który mierzy do Pam z pistoletu, a ona kieruje lufę w jego stronę.

– Pamiętasz mnie? – pyta Coyle. Galileusz przekrzywia głowę, zaciekawiony. – Pamiętasz mnie? – Głos Coyle'a odbija się echem w pustej sali, okrąża posąg smutno uśmiechniętej matki Hery, wykręcone ramiona wściekłego Posejdona i ginie w chłodnych białych

kamieniach muzeum.

Przez chwilę chciałam wstać, lecz zmieniłam zdanie i pozostałam na czworakach, oddychając głęboko. Kamizelka zatrzymała pocisk, lecz jestem w szoku: dzwoni mi w uszach i czuję w ustach metaliczny smak adrenaliny.

– Coyle... – jęknęłam.

– Zamknij się! – warknął, wciąż wpatrując się w Galileusza. –

Pamiętasz mnie?

– Nie – odpowiedział. – Kim jesteś?

Oddycha głęboko. Czy jest ranny? Czy wyobrażał sobie, że zamordowanie go cokolwiek znaczy dla istoty takiej jak Galileusz?

– Hej, chłopcze!

Dziecko spojrzało na Coyle'a.

– Uciekaj stąd.

Chłopiec się nie poruszył.

– Uciekaj! – Głos Coyle'a odbił się echem od kamiennych ścian, posągów bogów i potworów. Chłopiec pobiegł, zostawiając tornister, ślizgając się na papierkach pokrywających posadzkę.

Coyle przez cały czas celował w Pam, a ona w niego.

– Cóż, i co teraz? – odezwał się w końcu Galileusz.

Dłoń Coyle'a drżała, ale jeszcze bardziej drżał jego głos.

– „Santa Rosa”. Nosileś tam moje ciało, pamiętasz?

– Nie.

– Zabiłem kobietę. Ty ją zabiłeś, przebywając w moim ciele.

Pamiętasz?

Galileusz wzruszył ramionami. Coyle ścisnął drżącymi rękami pistolet.

– Wbiłeś we mnie nóż. Jak możesz nie pamiętać?! – Wrzask rozlegający się w sali.

Myślę: wpadasz w histerię, Nathanie Coyle. Nic.

Galileusz usiłował sobie przypomnieć, bez skutku.

Tak czy inaczej, nic go to nie obchodziło.

– Nathanie... proszę... – Próbowałam wstać, uklęknęłam na obu kolanach, potem na jednym i wyciągnęłam drżącą dłoń w stronę broni. – Daj mi pistolet. Zrobię to. Daj mi pistolet!

– Och! Kochasz mnie? – W głosie Galileusza zabrzmiało zaskoczenie, zachwyt. Patrzył na Coyle’a z rozpromienioną miną, przyglądając się jego twarzy, prostując plecy, uszczęśliwiony jak księżniczka roztaczająca swoje wdzięki przed księciem. – Czy ja też cię kocham?

Coyle przygryzł dolną wargę, zaciskał palce na kolbie pistoletu. Później opuścił broń.

Galileusz się uśmiechnął.

Rzuciłam się w stronę pistoletu, sunąc brzuchem po podłodze, ale kiedy dotknęłam palcami kolby, Coyle przydeptał mi stopą rękę. Moje palce skurczyły się konwulsyjnie i poczułam przeszywający ból w łokciu. Pochylił się, otoczył mi ramieniem szyję, postawił na nogi, przycisnął do siebie plecami i dotknął lufą mojej głowy.

– Przepraszam – mruknął. – Przepraszam...

– Co robisz?!

– Ona ma rację. Kocham ją. Kocham Pam. Oczywiście nie jest to jakaś wielka miłość, bynajmniej. Kocham ją... wystarczająco. Po prostu trochę bardziej, niż nienawidzę Galileusza.

– Zginie albo Pam, albo my! – syknęłam. – Tak to się skończy!

Uderzył mnie. Cios nie był mocny, ale zadał go kolbą pistoletu i nie musiał się wysilać. Zwiotczałam w jego ramionach, poczułam stróżkę krwi spływającą za uchem i jego gołą rękę na mojej szyi.

– Zabiłem Josephine – szepnął. Jego głos był prawie niedosłyszalny, przeznaczony tylko dla mnie, przypominał westchnienie kochanka. – Zabiłem ją bez mrugnięcia okiem. Zabiłem ją, choć już odeszłaś, pamiętasz?

Galileusz patrzył. Coyle oblizwał wargi.

– W porządku – rzekł. – Okej. – Drżały mu ręce, poruszał wargami, jakby chciał sam siebie połknąć. Później odrzucił na bok pistolet, który potoczył się z trzaskiem po posadzce. Odepchnął mnie i wyprostował plecy, patrząc na Galileusza.

Galileusz mocno ścisnął swoją broń, nie mogąc się zdecydować, kogo najpierw zastrzelić. Zwinęłam się w kłębek na posadzce i zamknęłam oczy, czekając na strzał, ból, koniec.

– Bądź mną – odezwał się Coyle.

Nie mówił do mnie.

Uniosłam wzrok.

Stał z opuszczonymi rękami i patrzył na Galileusza.

– Bądź mną – powtórzył i zrobił krok w jego kierunku.

Galileusz przekrzywił lekko głowę.

– Dlaczego? – spytał.

– Nathanie... – Mówiłam ochryplym, świszczącym głosem, mój język prawie się nie poruszał. – Nie...

– Kepler mnie kocha – powiedział. – Zabije cię niezależnie od tego, kim jesteś. Kocham cię. Kocham cię, kocham... osobę, którą nosisz. Nie pozwolę jej umrzeć, nie teraz, nie po tym wszystkim... Ale Kepler mnie nie zabije. Zabiłem... wielu ludzi. Wykonywałem rozkazy. Nie pamiętasz mnie, ale cię kocham. Bądź mną.

Poczołgałam się po posadzce, chwyciłam pistolet Nathana, uniosłam go. Stał między mną a Galileuszem, uniemożliwiając mi strzał.

– Coyle! Na litość boską, odsuń...

Dotknął dłonią policzka Galileusza, delikatnie, jak kochanek witający kochankę po długim rozstaniu.

– Naprawdę chcesz być kochany? – spytał. – Naprawdę chcesz się dowiedzieć, co to znaczy? – Galileusz przyciskał mu pistolet do brzucha, lecz Coyle nie zwracał na to uwagi. – Kiedy Kepler była mną, rozebrała mnie. Leżała w wannie i czuła ciepło przenikające moje ciało, przykryła się kocem, patrzyła w lustro i widziała moje oczy. – Chcesz wiedzieć, czym naprawdę jest miłość?

– Nathanie! – wyszlochałam. Przez moje ciało przebiegła fala gorąca, ogarnęła mnie trwoga. – Proszę!

– Zabije cię – szepnął Coyle, pieszcząc wargami ucho Galileusza. – Zabije cię bez mrugnięcia okiem. Zajmie to tylko sekundę, a potem zniknie. Taką ma naturę. Chwila, która nadchodzi, chwila, która mija. Ale nie pozwolę na to: już nie. Ona mnie kocha. Kepler mnie kocha, prawda?

– Proszę, nie...

Mówił cichym, bardzo cichym głosem.

– Posłuchaj jej. Słyszałaś kiedyś, by ktoś tak błagał?

– Nie – odpowiedział Galileusz. – Nie w ten sposób.

– To miłość. Nie litość, jak błagaliśmy cię o litość na „Santa Rosa”. Nie strach, ból ani przemijający kaprys. To czysta miłość jednej istoty do drugiej. Kepler zna mnie lepiej niż jakakolwiek żywa istota. Kepler mnie kocha. Nigdy by mnie nie skrzywdziła, rozumiesz?

– Tak – odparł Galileusz.

Coyle się uśmiechnął i dotknął wargami szyi Galileusza.

Stali obok siebie przez dłuższą chwilę, mężczyzna i kobieta. Pam obejmowała dłońmi plecy Coyle’a, tuląc go do siebie. Wyglądali jak żywy posąg wykonany z kamienia, jakby zamierzali trwać w tej pozycji wiecznie.

Później Coyle opuścił ręce.

Pam się zachwiała, oszołomiona, zdezorientowana.

Coyle stał na miejscu z opuszczoną głową i wyprostowanymi plecami. Pam rozejrzała się po sali, jej wzrok padł na mnie, otwierała i zamykała usta, szukając właściwych słów.

Coyle uniósł głowę i uśmiechnął się do niej. Chwycił ją jedną ręką za szyję, a drugą wyrwał pistolet z jej zwiotczałych rąk, po czym przyłożył lufę do jej brzucha.

– Nie! Nathanie! Nie!

Obrócił lekko głowę na dźwięk mojego głosu, ale się nie poruszył, nie zdjął palców z szyi Pam. Odrzuciłam pistolet, usłyszałam jego grzechot wśród greckich rzeźb i rzymskich bóstw.

– Pozwól jej odejść – powiedziałam. – Zrobię, co zechcesz. Idź, gdzie chcesz, bądź, kim chcesz. Pozwól jej odejść.

Musnął palcami szyję Pam, badając jej krzywiznę.

– Proszę.

Błagałam na kolanach: proszę.

Coyle,

nie-Coyle,

się uśmiechnął.

Nie był to jego uśmiech.

– Kochasz mnie? – spytał.

Zamknęłam oczy,

– Tak.

- Kochasz mnie?
- Tak, bardzo cię kocham.

Przestał dotykać palcami szyi Pam. Odepchnął ją bardzo łagodnie, popatrzył na jej zapłakaną twarz, rozmazany makijaż.

- Uciekaj – szepnął. – Uciekaj.
- Uciekła.

*

Zostałam sama z Galileuszem.

Z Coyle'em.

Z Galileuszem.

Podszedł do mnie. Nie poruszyłam się. Zatrzymał się przede mną, uśmiechnął się, spojrzał mi w oczy. Jego ręka przyłożyła mi pistolet do głowy. Drugą ręką ujął mój podbródek i postawił mnie na nogi. Nie opierałam się. Dotykał palcami mojej twarzy, ani delikatnie, ani mocno, podjął decyzję, przyciągnął mnie bliżej, przycisnął swoje wargi do moich. Galileusz mnie pocałował, a ja pocałowałam Coyle'a.

Puścił mnie i znów na mnie spojrzał. Oczy wypełniły mu się łzami, na wargach pojawił się podniecony, zachwycony uśmiech.

- Naprawdę mnie kochasz!

– Tak.

- Kochasz mnie! Naprawdę mnie kochasz, kochasz!

Patrzyłam na twarz, która kiedyś należała do mnie, teraz mającą dziecięcy wyraz, pełną radości, nadziei, zaciekawienia. Opuścił pistolet, na krótko o nim zapominając, po czym wyciągnął rękę, dotknął mojej szyi i przycisnął mnie do siebie. Pocałował mnie jak skazaniec wypuszczony przed chwilą z więzienia, a ja trzymałam go mocno i odwzajemniałam pocałunki. Prawą ręką dotykałam jego włosów, czując ciepło skóry, a lewą wsunęłam pod zwisające ramię i objęłam go w talii.

Musnęłam palcami jego palce i poczułam, że ciągle trzyma w dłoni pistolet.

Kiedy przyciskał mnie do swojej cieplej, znajomej skóry, miałam wrażenie, że jestem Nathanem Coyle'em, a on mną. Dotykaliśmy się, czułam jego tętno, nie wiedziałam, czyja ręka należy do czyjego ciała, czyja noga opiera się o czyje udo, czyje wargi całują czyje wargi.

Wiedziałałam, co zrobiłby Coyle, co robił w chwili, gdy Galileusz przestał mnie całować i popatrzył mi w oczy. Po policzkach płynęły mu łzy.

Kochał mnie.

Moje palce zacisnęły się na kolbie pistoletu w jego dłoni i łagodnie obróciły lufę w jego stronę.

Musnął palcem mój policzek, kreśląc zarys mojej twarzy.

– Teraz wiem, czym jest miłość – powiedział.

Nacisnęłam spust.

Rozdział 88

Kiedy policja znajduje ciało, już je znaleziono.

Jeden z nich,

mężczyzna, który jest...

...kimś...

mężczyzna z pistoletem

już tam jest.

Wołają, Aldama, pokaż ręce, Aldama, odsuń się od ciała, pokaż ręce.

Nie wykonuje polecenia.

Zamiast tego tuli ciało mężczyzny, który leży martwy, trzyma je jak dziecko i płacze.

Zakładają mu kajdanki i odprowadzają.

Sanitariusz pyta, jak się nazywa.

Nie pamięta.

Szok, mówią – musi być w szoku. Dopada to w końcu każdego, nawet starego Aldamę.

Porucznik przynosi filiżankę kawy.

Kiedy ją podaje, ich palce się muskają.

Co ja tu robię, kurwa?! – pyta Aldama. – Dlaczego jestem skuty, kurwa?! Co się dzieje, kurwa?!

Porucznik nie odpowiada.

*

Nowy Jork w zimie.

Idę, ale za wolno i zaczynam błędzić. Na niebie świeci jasne zimowe słońce, ale budynki są wyższe niż niebo i nie mogę odnaleźć drogi na pogrążonych w cieniu ulicach.

Idę i nawet nie zauważam, że mam lodowate nogi, zimne palce. Musiałam mieć płaszcz, zostawiłam go w szatni muzeum, musiałam mieć torebkę, jest w niej gdzieś moje nazwisko. Kobieta sprzedająca

prażone orzeszki i sos karmelowy mówi:

– Hej, proszę pani! Nic pani nie jest?!

Jestem panią?!

Dziś jestem panią?

– Hej! Przepraszam, zabłądziła pani?!

– Nie, nie zabłądziłam.

– Wygląda pani na zagubioną.

– Nie jestem zagubiona. Nic mi nie jest. Dziękuję.

Jej usta mówią „okej”, ale oczy świadczą, że mi nie wierzy, że uważa mnie za kłamczuchę, choć nie jest pewna, o co właściwie chodzi.

Odchodzę, zdając sobie sprawę z własnego ciała. Mam cienkie, pajęczne nogi, grube rajstopy, sine palce, trochę rozczochrane włosy. Kiedy odzyskuję świadomość, przypominam sobie krew płynącą w moich żyłach i czas zaklęty w oczach, ale to tylko chwila, która minęła.

Idę zbyt wolno, wszystko jest zawsze za wolne. Powoli podróżuję, powoli się uczę, powoli zdobywam nowe informacje, powoli rosnę, powoli zdobywam męża, powoli się żenię, powoli się starzeję i powoli umieram. Życie jest zbyt powolne, zawsze zbyt powolne,

i nie mogę zbyt długo przebywać w tym ciele. Ktoś ma coś, czego pożądam, czymkolwiek to jest.

Idę,

a potem biegnę.

Pędzę bez ruchu, podróżuję przez dotyk.

Moja skóra szaleje na wietrze,

mój oddech to niespokojny dreszcz

i jestem

kobietą w wełnianych rękawiczkach chroniących przed zimnem,
mężczyzną w żółtych butach, który zgubił drogę.

Jestem nieznaną, która dała ci na ulicy bukiet białych kwiatów,
twarzą, którą zapomniałeś, gdy się odwróciła.

Jestem piękna,

dopóki nie zobaczę, że ona jest ode mnie piękniejsza,

a on jeszcze piękniejszy.

Nie potrafię nasycić się pięknem.

Jestem kobietą, która nastąpiła ci na nogę w pociągu,
potrąciła cię w kolejce,
spytała o godzinę.

Jestem starcem, który zapomniał swojego nazwiska,
zmęczoną starą kobietą, która chciała być kimś innym.

Jestem nikim.

Jestem Kepler.

Jestem miłością.

Jestem tobą.

